

Zniknięcie Emily Marr

„Mistrzyni gatunku”

ROSAMUND
LUPTON



LOUISE
CANDLISH

Louise Candlish
Zniknięcie Emily Marr
Przełożyła Małgorzata Glasenapp



*Pamięci Lyndy Alison Candlish
(1944–2012)*

Podziękowania

Chciałabym podziękować Emmie Beswetherick i Danowi Mallory'emu z wydawnictwa Little, Brown za wsparcie na pierwszych etapach tworzenia książki oraz Rebecce Saunders za cierpliwą i rozsądną opiekę podczas pracy nad powieścią. Podziękowania kieruję także do Davida Shelleya, Lucy Icke, Cath Burke, Hannah Green, Kirsteen Astor, Carleen Peters, Felice Howden, Emmy Stonex oraz Vicky Harris za doskonałą korektę i Emmy Graves za projekt okładki.

Dziękuję także Claire Conrad, Rebecce Folland, Kirsty Gordon i Jessie Botterill z agencji Janklow & Nesbit w Londynie.

Wyrazy wdzięczności należą się także Natalie Downing za pomoc przy zbieraniu informacji o demencji oraz Michaelowi Orrowi za uzupełnienie moich wiadomości na temat chorób psychicznych. Oczywiście odpowiedzialność za wszelkie znajdujące się w tekście błędy spada wyłącznie na mnie. Chciałabym podziękować także życzliwym pracownikom Biura Koronera Southwark przy Tennis Street w Londynie.

Dziękuję również Jojo Moyes, Rosamund Lupton i Dorothy Koomson. Niełatwo jest zapracowanym pisarzom znaleźć czas na ocenianie książek napisanych

przez kolegów po fachu i tym bardziej jestem wdzięczna wymienionym autorkom za tę przysługę.

Podziękowania otrzymują także Jacqueline Miller za pomoc podczas pracy nad książką oraz moja rodzina i przyjaciele, zwłaszcza Nips i Greta.

Wreszcie chciałabym wyrazić wdzięczność Heinrichowi Böllowi, autorowi powieści *Utracona cześć Katarzyny Blum*, która była dla mnie źródłem inspiracji.

Dokłada się wszelkich starań, aby uniknąć ingerowania w prywatne życie poszczególnych osób, ale czasami jest to nieuniknione w interesie wymiaru sprawiedliwości.

Koronerzy i dochodzenie. Informator

Ministerstwo Sprawiedliwości Wielkiej Brytanii

Sama przestałam rozpoznawać siebie, zarówno na publikowanych wszędzie zdjęciach, jak i w lustrze. Miałam wrażenie, że zaczynam się rozpuszczać, znikać.

Jakby Emily Marr przestawała istnieć.

Emily Marr

Prolog

Sussex, lipiec 2011 r.

Pierwszy raz w życiu widziała kogoś tak przerażonego. Strach malujący się na jego twarzy był paniczny, pierwotny, był reakcją człowieka, który wie, że zaraz umrze.

W dodatku chłopak był taki młody.

Kiedy samochód wypadł z drogi, Lisa siedziała w swoim aucie, stojącym w korku na przeciwległej jezdni. To korek sprawił, że mogła widzieć wypadek ze szczegółami, tak dobrze, że potem składała zeznania na policji i podczas dochodzenia. Była na skrajnym prawym pasie, metr czy dwa od barierek rozdzielających obie jezdnie. Miejsce w pierwszym rzędzie.

Dawno nie jechała tą trasą i zapomniała o robotach drogowych, przez które obniżono dozwoloną prędkość i zamknięto jedno pasmo ekspresówki. Ostatnim razem było lepiej, żadnych korków, tylko kilka minut jazdy w żółtym tempie, teraz jednak być może coś się stało – stłuczka czy inna przeszkoda. Brat kiedyś wyjaśniał jej „falową” dynamikę ruchu pojazdów, powodującą zatory i korki, ale nie słuchała zbyt uważnie. Przypomniała sobie tylko, jak mówił, że „wystarczy jeden idiota, który zwolni aż do zatrzymania, i pozamiatane”.

Jeśli kierowca nadjeżdżającego saaba był idiotą, to był idiotą naprawdę niebezpiecznym. Zamiast zwalniać, przyspieszał bez umiaru i przecinając wszystkie pasy jezdni, kierował się ku środkowym barierkom, prosto na samochód stojący tuż przed autem Lisy. Znalazł się w końcu tak blisko, że odruchowo się skurczyła, zasłaniając twarz ramieniem. W pierwszej chwili nie zrozumiała, co się tam dzieje, ani dlaczego wydawało jej się, że z przodu widzi jakby trzy głowy, a nie dwie. W każdym razie jej uwagę przykuła jedna z twarzy, należąca do młodego chłopaka czy mężczyzny, właśnie ta twarz. Małpi grymas, oszołomione spojrzenie, sztywność rysów z ustami szeroko otwartymi do krzyku. Ten widok zahipnotyzował ją, zmroził do głębi serca.

A potem nagle zniknęli. Na moment przed zderzeniem z barierką samochód odbił gwałtownie w lewo, zmieniając kierunek niczym gokart. Przez bardzo krótką chwilę mogła widzieć postać kierowcy – opadającą na piersi głowę z długimi blond włosami zasłaniającymi twarz. Kobieta. Lisa zrozumiała teraz, dlaczego widziała trzy głowy – ktoś siedzący z tyłu musiał sięgnąć między przednimi fotelami i chwycić za kierownicę, dlatego wyglądało, jakby wszyscy siedzieli w jednym rzędzie. To ten ktoś kierował pojazdem, nie kobieta z opuszczoną głową.

Ale jeszcze tylko przez krótką chwilę. Jeszcze ogarnięta strachem Lisa obserwowała najpierw w bocznym, a potem we wstecznym lusterku, jak

samochód zjeżdża z drogi i spada w dół nasypu. Nachylenie było tak duże, że prawie od razu straciła go z oczu, ale koniec mógł być tylko jeden – auto musiało wpaść na gęsty pas drzew, który przy tej prędkości był niczym kamienna ściana. Huk kolizji wydałby się jej znacznie głośniejszy, gdyby nie miała nastawionego radia, z którego dobiegały teraz roześmiane głosy, wypełniając zamkniętą przestrzeń dookoła niej. Pomyśleć, że włączyła radio, by odegnąć senność! Miną trzy noce, zanim znowu będzie mogła zasnąć. Ściszyła radio, wyłączyła silnik i otworzyła drzwi samochodu. Na chwilę ogarnęła ją fala klaustrofobii, serce waliło zbyt mocno, krew tętniła w uszach. Wreszcie wysiadła.

Stała niepewnie, na uginających się kolanach. Tam gdzie saab musiał wpaść z drogi, niczego specjalnego nie było widać, tylko wierzchołki drzew. Spodziewała się przynajmniej jakiegoś dymu, wznoszącego się niczym znad ogniska, jak w filmach, ale niczego takiego nie zauważyła. Nie było też żadnego hałasu, w każdym razie nic nie przebijało się przez dźwięki nadjeżdżających ciągle z południa samochodów. Wydawało się niewiarygodne, że mijający ją teraz kierowcy nie mieli pojęcia, co się tutaj wydarzyło, nie orientowali się, że jadą przez miejsce, w którym przed chwilą coś się stało. Być może usłyszą później o wypadku, ale nigdy się nie dowiedzą, że o mały włos staliby się jego uczestnikami.

Takie były jej pierwsze myśli, formujące się

w głowie przypuszczenia, kiedy stała przy swoim aucie, jeszcze niezdolna do działania – że saab musiał wcześniej w coś uderzyć, może nie w drugi samochód, ale na przykład w zwierzę czy jakiś przedmiot na jezdni. Wtedy kierująca kobieta przeraziła się albo była zbyt oszołomiona i straciła kontrolę nad kierownicą, którą próbował przejąć pasażer z tyłu. Ale nie udało mu się.

Na trzęsących się nogach, oparta o dach auta, Lisa próbowała zdecydować, czy da radę bezpiecznie przejść przez barierki i jezdnię na drugą stronę drogi. Samochodów jadących z przeciwka było niedużo, nie był to poniedziałkowy poranek i pogoń do pracy, jechały jednak dość szybko, na obu pasach. Trzeba by przebiec jezdnię w dobrym momencie.

W korku za sobą usłyszała trzaskanie drzwiczek samochodowych i poczuła się pewniej, jakby wyratowana z opresji – pozostali patrzyli na to samo, co ona, niektórzy widzieli może nawet samo zderzenie. Ludzie wysiadali z aut i szykowali się do przejścia przez drogę, by szukać ofiar wypadku. Inni dzwonili po pomoc.

Rozdział 1

Tabby

Francja, maj 2012 r.

– Musisz iść – powiedział rozkazująco głos. – Nie możesz tu zostać.

Tabby udawała, że jeszcze śpi. Poruszyła się sennie w pościeli, jakby śniła zbyt głęboko, żeby coś mogło ją obudzić tak od razu. Nie bardzo zdawała sobie sprawę, do kogo należy głos, ale to jakoś jej nie zmartwiło.

W końcu ostatnio zdarzało jej się budzić, nie wiedząc, w jakim jest kraju, a co dopiero – w którym towarzystwie.

No właśnie... Otworzyła trochę oczy, żeby się rozejrzeć. Leżała w dużym łóżku, w miękkiej pościeli (Bóg jeden wie, że ostatnimi czasy łóżko i pościel przestały być dla niej czymś oczywistym), w pokoju urządzonej na biało i niebiesko. Gładkie jasne ściany, nierówne niebieskie belki na suficie, białe prześcieradła, błękitny chodnik przy łóżku, biała toaletka, niebieski wazon – ktoś trzymał się tutaj jasno określonej wizji. Dwa okna, głęboko osadzone w ścianie, zasłonięte były okiennicami. Okiennice, oto wskazówka – to znaczy, że ciągle jeszcze jest we Francji, oczywiście! Przyjechała jakiś miesiąc temu i nocowała w różnych pokątnych hostelach w Lyonie, a potem w Paryżu, nie potrafiąc

opracować żadnego planu ucieczki. Zresztą dokąd miałyby jechać, z powrotem do Anglii? Nie ma mowy, przynajmniej na razie. Dopóki będzie miała pieniądze.

Myśl o pieniądzach obudziła w niej niepokój, który znikł, gdy zobaczyła postać mężczyzny przechodzącego koło łóżka. Był od niej znacznie starszy, może nawet dwa razy starszy (w wieku dwudziestu pięciu lat nie bardzo umiała rozróżnić czterdziestkę i sześćdziesiątkę), i miał bardzo wyraziste rysy. Gęste włosy, mniej więcej w połowie siwe, nosił elegancko odgarnięte nad opalonym czołem, teraz zmarszczonym jakby w głębokim intelektualnym namyśle. A może był to jedynie namysł nad problemem, który stanowiła jej obecność.

– No chodź, musisz już wstawać!

Mówił po angielsku, ale z typowym francuskim akcentem, a ton jego głosu nie był wcale nieprzyjemny. Spojrzała mu w oczy i zobaczyła, że miał zdecydowany wyraz twarzy, bez żadnych wahań czy wątpliwości, mogła mu tylko zazdrościć.

– Musisz iść – powtórzył. – Moja rodzina dzisiaj przyjeżdża.

– Aha – powiedziała, jakby usłyszała to polecenie po raz pierwszy, i usiadła w pościeli.

Jak ma na imię? Albo poznała go dopiero wczoraj, albo tym razem naprawdę straciła pamięć, ale to akurat było niemożliwe – pamiętała dobrze, że jest we Francji, i w głowie miała dokładnie tyle samo informacji, co

każdego poranka tuż po obudzeniu: wiedziała, że ojciec nie żyje, że matki równie dobrze mogłoby nie być, że przyjaciele gdzieś się pogubili; wiedziała, że ktoś, kogo kochała najbardziej na świecie, powiedział jej, że nie chce mieć z nią nic wspólnego. Że nie chce nawet wiedzieć, gdzie ona przebywa, byle tylko nie była w tym samym kraju, co on.

A teraz ten mężczyzna też jej nie chciał. Jakby była jakimś utrapieniem, kulą u nogi, o czym prędzej czy później musieli się przekonać wszyscy, których spotykała.

Nie płacz, powiedziała sobie w duchu. Oni nie mają racji. Jesteś OK.

– Taksówka przewiezie cię przez most. Lotnisko jest niedaleko, chyba że wolisz znowu jechać pociągiem? Dworzec jest w centrum miasta, można stamtąd lecieć do Paryża albo tam, gdzie chcesz teraz jechać.

Jaki most? Centrum jakiego miasta? Była teraz pewna, że jeszcze wczoraj obudziła się w Paryżu. „Tam, gdzie chcesz teraz jechać” – brzmiało to niczym romantyczna przygoda, kolejna, która na nią czekała, bo ich wspólna przygoda bez wątpienia była romantyczna, czy może raczej erotyczna. Powoli zaczęła przypominać sobie wczorajszą podróż, zakończoną w niebieskim pokoju: wieczorny pociąg z Paryża, kolejne drinki po drodze, chłodne wnętrze dworca ze stropem wysokim jak niebo, taksówka czekająca na zewnątrz.

Przypomniała sobie, jak mężczyzna podawał

taksówkarzowi jej plecak. To była dobra wiadomość, bo w tym plecaku mieścił się cały jej świat (raczej to, co z niego zostało), a jeszcze nie była gotowa się z nim rozstać.

Stał teraz przy oknie. Otworzył je do środka, okiennice popchnął na zewnątrz. Robił to powoli i z uwagą, jakby odprawiał jakiś rytuał. Może miał nadzieję, że kiedy się odwróci, jej już nie będzie i problem zniknie. Usłyszała stłumiony szum fal, a ułamek sekundy później zobaczyła morze. Musiała zmrużyć oczy – wyglądało bardziej jak płaszczyzna światła niż woda. Chłodne powietrze dotknęło jej skóry, przypominając, że jest dopiero maj.

– Gdzie jesteście? – zapytała.

– W wiosce Les Portes. Mówiłem ci już. – Odwrócił się, patrząc na jej ciało z trudnym do rozszyfrowania wyrazem twarzy. Domyśliła się, że wcześniej nie miała racji: on sam nie wiedział, czy była już tylko kłopotem, czy może jeszcze pokusą.

– Aha.

Les Portes. *Le village à la pointe nord*... wioska na północnym krańcu. Pamiętała to określenie, słyszała je wczoraj. Teraz przypomniało jej się, jak taksówkarz wypakował jej plecak z bagażnika przy jakiejś pustej ulicy z białym murem, jak ktoś mu zapłacił. Pieniądze. Niepokój powrócił, ściskając ją w żołądku. Nie mogła dłużej odganiać najważniejszego wspomnienia: nie miała już pieniędzy. Nie tylko gotówki przy sobie czy

czegokolwiek na koncie – nie miała dostępu do żadnych pieniędzy. Od wczoraj bankomaty w całej Europie nie wypłacały jej już nic, przekroczyła debet, a jej konto zostało zablokowane. Gdyby nie to, że wyczerpała już całkowicie kartę w telefonie, z pewnością otrzymałaby z banku wiadomość o swojej ruinie finansowej. Bilet na pociąg kupił jej wczoraj mężczyzna o nieznanym imieniu, tak samo jak późniejsze drinki. Przyjechała z nim tutaj, bo doszła do punktu, w którym przestało mieć znaczenie, gdzie będzie spała i na jakich warunkach. Co nie znaczy, że się jej nie spodobał, kiedy zauważyła go w barze koło dworca Montparnasse i kiedy zapłacił jej rachunek, uwalniając ją od nieprzyjemnej próby zapłacenia kartą, która musiała zostać odrzucona. Podobał jej się. Robił wrażenie faceta zamożnego i opiekuńczego, na jakich kobiety z reguły zwracają uwagę – nawet te, które mają dom i mają dokąd wracać. Gdyby ją teraz poprosił, chętnie zostałaby z nim dłużej.

Zamiast tego ją wyrzucał. Jedynym jej atutem było to, co na początku zwróciło jego uwagę, więc wyciągnęła do niego nagie ramię i odrzuciła kołdrę zapraszająco. Podeszedł do niej i usiadł obok, dotykając jej uda.

– Masz zimne ręce – powiedziała. – Chodź się rozgrzać.

Westchnął.

– Ale *potem* musisz iść.

– Przestań to powtarzać – odparła. – Już słyszałam.

To musi być pokój gościnny, pomyślała, przyciągając go do siebie. Nie ten, w którym sypia z żoną. Ktoś – pewnie jego żona, a może jakiś dekorator wnętrz – stanął kiedyś w drzwiach, spojrzął na puste wnętrze i powiedział sobie: niebieski i biały, tak właśnie będzie dobrze. Tak powinien wyglądać dom nad morzem. W łazience koniecznie ręczniki z wyszytymi muszelkami albo kotwicami; na schodach zamiast balustrady gruba lina okrętowa; oprawione w ramki fotografie z czasów, gdy ludzie na plaży nosili kostiumy zakrywające całe ciało, a na wakacje przyjeżdżali pociągiem ciągniętym przez parowóz; w korytarzu wiosło z haczykami jako wieszak na ubrania.

Ale teraz co innego zaczynało ją pochłaniać.

– Zanim się mnie pozbędziesz... – wyszeptała. – Wiesz w ogóle jak mam na imię?

– Oczywiście, że wiem. Tabitha.

– Mhm.

Czasami, od kiedy rozstała się z Paulem, używała innego imienia. Nie dlatego, że obawiała się zaangażować albo coś chciała ukryć, ale po prostu dlatego, że takie rzeczy się zdarzają, kiedy wszystko się ciągle zmienia, kiedy jesteś cały czas w trakcie wędrówki. Można używać dowolnego imienia, bo twoje prawdziwe imię nikogo nie obchodzi. Chociażby po to, żeby sprawdzić, czy wtedy zmieni się bieg wydarzeń albo czy łatwiej będzie podjąć decyzje inne niż zwykle.

Jednak temu mężczyźnie podała swoje prawdziwe imię. Nawet nie zdrobniała Tabby, ale pełną, oficjalną wersję, którą kojarzyła ze szkołą czy z funkcjonariuszami straży granicznej. Zapewne chciała zrobić na nim wrażenie. Z tą myślą wygięła ciało jeszcze bardziej, kierowana nie tyle namiętnością, co uczuciem wdzięczności.

Taksówkarz nie mówił po angielsku, a ona nie chwaliła się swoim znośnym francuskim – nie miała ochoty na rozmowę. Wiedział, że ma ją przewieźć „przez most”, ale postanowiła czekać do ostatniej chwili z decyzją, czy będzie udawać, że dalej wybiera się pociągiem, czy samolotem, doskonale wiedząc, że nie ma pieniędzy ani na jedno, ani na drugie. I za nic nie chciała przyznawać, że nie ma pojęcia, gdzie się znajduje.

Okolica okazała się piękna, cicha i rozległa, z ziemią spłaszczoną jakby pod ciężarem złotego światła i ogromnego nieba. Zmrużyła oczy i spoglądała przed siebie, wypatrując tablic z nazwami mijanych miejscowości.

Na pierwszej napis Les Portes-en-Ré przekreślony był skośną czerwoną linią, czyli właśnie musieli stamtąd wyjechać. Wkrótce pojawiły się podobne nazwy: Arsen-Ré, Loix-en-Ré, Saint-Martin-de-Ré. Byli więc w Ré, albo raczej na Ré, ponieważ morze pojawiała się na horyzoncie raz z jednej, raz z drugiej strony – to musiała być wyspa albo półwysep. Most zapewne

prowadził na stały ląd.

Ré. Teraz jej mózg pracował już na pełnych obrotach i pamiętała, że po raz pierwszy usłyszała tę nazwę, kiedy jej nowy znajomy – na imię miał Grégoire, przypomniała sobie tuż przed pożegnaniem – zaproponował, by tu przyjechali, bo właśnie wybierał się na weekend do letniego domu, dzień wcześniej niż reszta rodziny, żeby spotkać się z majstrem w sprawie ciekącego dachu. Ale skąd miałyby słyszeć o Ré? To miejsce nie trafiało do planów podróży ubogich turystów, za to pełne było letnich rezydencji należących do ludzi pokroju Grégoire’a, bogatych paryżan, dla których spokojne nadmorskie weekendy stanowiły coś oczywistego.

Zapewne intruzi podobni do niej zapraszani byli na noc tylko w chwilach słabości.

Wreszcie gdy samochód pokonał prosty odcinek drogi między lasem a rozległym polem, za którym widać było niebieskie pasmo morza, zobaczyła most. Był oddalony o dwa czy trzy kilometry i wyglądał jak długi, łagodnie zakrzywiony kręgosłup, przywodząc na myśl ogon dinozaura. Na drugim brzegu widniały jakieś przemysłowe zabudowania, dźwigi i ogromne statki. W porównaniu z tym widokiem miasteczko, które właśnie opuszczali, było ślicznie miniaturowe, ze spokojną, lśniąca w słońcu powierzchnią zatoki, nad którą krążyły mewy. Taksówka minęła szykowny hotel z szaro oszalowanymi ścianami, molo, na którym

ustawiono rzeźby, elegancko wyglądającą *boulangerie* z tarasem zastawionym pastelowymi meblami... Co tam spokojne weekendy, pomyślała Tabby, w takim miejscu można chcieć zamieszkać na stałe, jeśli ktoś ma luksus wyboru.

– Stop – powiedziała do kierowcy, a on od razu się zatrzymał.

Grégoire dał jej na taksówkę pięćdziesiąt euro. Za przerwana podróż musiała zapłacić dwadzieścia, więc zostało jej w kieszeni jeszcze trzydzieści. Poza tym miała tylko jakieś drobnaki, monety, które znalazła w zakamarkach torebki.

Wróciła do hotelu, który dopiero co minęli, i w holu odszukała mapę Francji, dzięki której wreszcie mogła się zorientować, gdzie jest: Rivedoux-Plage na Île de Ré, niedaleko leżącego na stałym lądzie miasta La Rochelle, mniej więcej w połowie wysokości atlantyckiego wybrzeża, na południowy zachód od Paryża i północny zachód od Bordeaux. Do Calais trzeba by jechać kilka godzin, do Saint-Malo, skąd odpływały promy do Anglii, trochę krócej. Od razu odrzuciła myśl o pokonaniu tych odległości autostopem.

W recepcji zapytała, ile kosztuje najtańszy pokój.

– Sto dwadzieścia euro.

Dziewczyna za kontuarem wyjaśniła, że rozpoczął się już sezon wielkanocny i ceny poszły w górę. Tabby dopiero teraz przypomniała sobie o świątach, bo podczas podróży człowiek traci rozeznanie we

wszystkich przedłużonych weekendach, wolnych dniach i świątecznych feriach. Wędruje się przez kalendarz jak przez mapę.

W każdym razie, jeśli o nią chodziło, mogli równie dobrze zażądać tysiąca dwustu euro.

Zacząła więc inaczej: czy można dostać w hotelu jakąś pracę?

– A co pani potrafi robić?

– Cokolwiek. Stać za barem. Sprzątać. Może mogłabym pracować jako pokojówka?

Recepcjonistka pokręciła przecząco głową.

– Ale jest więcej hoteli i restauracji w La Flotte i w Saint-Martin. Tam powinna pani zapytać.

Dała Tabby turystyczną mapkę i rozkład jazdy autobusów. Następny autobus jadący do wymienionych miejsc – w kierunku, z którego właśnie przyjechała – odchodził dopiero za godzinę, ruszyła więc piechotą wzdłuż głównej drogi, szlakiem ścieżek rowerowych biegnących przez las, dopiero co widziany z okna taksówki. Czuła się dziwnie spokojna, nieustraszona, zaczarowana, jak dziewczynka z bajki, chroniona przez niewidzialny czar. Nikt nie wie, że tu jestem, myślała, ciesząc się poczuciem samotności i tajemnicy. Jestem całkiem sama. Mogę zacząć wszystko od nowa.

Jako kelnerka albo pokojówka, jeśli będzie miała szczęście...

Dotarła do La Flotte. Było większe niż Rivedoux, z ładną przystanią, brukowanym nabrzeżem i wietrzną

promenadą. Z pewnością według miejscowych standardów życie tutaj było dość ożywione, ale w porównaniu z Paryżem czy innymi miastami, w których była wcześniej, toczyło się sennie i niespiesznie. Przy promenadzie znajdowało się jednak mnóstwo barów, kafejek i hoteli. Wchodziła do każdego, jednak nigdzie nie potrzebowali do pracy Angielki mówiącej kiepsko po francusku.

Opadła trochę z sił, ale postanowiła iść dalej do Saint-Martin, największej miejscowości na wyspie. Tutaj jednak rozboleły ją nogi, ogarnęło przygnębienie i nie miała siły rozpocząć poszukiwań od razu. Poza tym przystań onieśmiała ją swoim szykiem, bistra i galerie sztuki przypominały eleganckie dzielnice paryskie, gdzie tacy jak ona nie mieli czego szukać; zacumowane przy nabrzeżu śliczne jachty i lśniące łodzie motorowe dodatkowo podkreślały elitarny charakter okolicy. Usiadła na ławce z widokiem na fale i przyglądała się ludziom, turystom poza sezonem – niektórzy mieli na sobie futra i markowe okulary przeciwsłoneczne, a ich dzieci nosiły płaszczyki droższe niż wszystkie noszone przez nią w życiu ubrania. Za trzydzieści euro na pewno nie dałoby się przenocować w tutejszym hotelu, a tylko prawdziwy cud mógł postawić na jej drodze jakieś tanie schronisko. Musiała pomyśleć o innym rozwiązaniu.

„Inne rozwiązanie” – jak to niewinnie brzmiało! Nigdy się na coś podobnego nie zdecydowała, nie spała pod gołym niebem. W Paryżu spotkała dwóch

Australijczyków, którzy opowiadali, że podczas wyprawy do Grecji stale tak nocowali. W ich opowieściach brzmiało to jak zwykły kemping bez namiotu. Trzeba siedzieć do późna, jak najdłużej się da, mówili, a potem przysnąć w jakimś ustronnym miejscu na parę godzin, do wschodu słońca. Żaden problem, jeśli jest sierpień, a na plaży pod klifem stoją stare kutry rybackie, ale czy to się może udać nad Atlantykiem na początku maja? Czy nie groziło jej wyziębienie albo, w miejscu takim jak to, po prostu aresztowanie? Instykt odpowiedział jej, że mogłaby oddalić się od gęsto zaludnionego pasa nad morzem i poszukać schronienia w głębi wyspy – na przykład w lesie, przez który przechodziła, może tam udałoby się znaleźć jakąś chatkę czy stodołę? Była to jednak tylko luźna myśl. Godziny dzielące ją od zapadnięcia zmroku kurczyły się szybko, ale ona ciągle liczyła, że coś ją uratuje, zanim przeminą. Coś.

Trzydzieści euro. Nie była jeszcze całkowicie włóczęgą.

Poczuła się głodna, poszła więc na deptak biegnący przez centrum miasteczka w poszukiwaniu jakiegoś sklepu albo *boulangerie*. Kupiła małą bagietkę i usiadła z nią na ławce gdzieś w połowie ulicy wypełnionej sklepami sprzedającymi pamiątki. Postawiła plecak na ziemi i jadła prosto z papierowej torebki. Prawdziwy sezon jeszcze się nie zaczął, ale dookoła kręciło się sporo kupujących. Przyglądała się grupce opuszczającej

właśnie sklep z tekstyliami, zastanawiając się, jakie to uczucie: być tutaj na wakacjach i nie biedować, mieć szczęście, a nie pecha, mieć pieniądze i ochotę na kupowanie serwet, dywaników łazienkowych, pokrowców na poduszki i rękawic kuchennych. Po raz kolejny zaczęła się zastanawiać, czy posiada coś, co mogłaby sprzedać.

– Niech to szlag trafi, na litość boską!

Odwróciła się w kierunku wypowiedzianego po angielsku przekleństwa. Kilka metrów dalej na lewo, w wąskiej uliczce odchodzącej od deptaka, przed pomalowanymi na zielono drzwiami stała kobieta. Naciskała guziki elektronicznego zamka, wypowiadając na głos litery i cyfry, które zapewne tworzyły kod otwierający. Zakląła znowu, gdy po raz drugi nie poradziła sobie z wystukaniem odpowiedniej kombinacji. Udało jej się dopiero za trzecim razem („Be jeden jeden dziewięć zero trzy en, *dziękuję* bardzo!”). Dźwięk ojczystego języka wywołał u Tabby to specyficzne uczucie, jakiego doznajemy, słysząc gdzieś w niespodziewanym miejscu ulubioną piosenkę – oto wreszcie pojawia się jakaś nadzieja! Mogła zastukać do drzwi tej kobiety i poprosić o pomoc, może pożyczyć trochę pieniędzy, jedna Angielka od drugiej. Ale to przecież było bez sensu. Dlaczego ktoś, choćby nawet i rodaczka, miałby pożyczać pieniądze kompletnie obcej osobie?

Nie, musiała znaleźć budkę telefoniczną, zadzwonić

do banku w Anglii i wyblagać ostatnie już powiększenie dopuszczalnego debetu – na tyle, żeby wystarczyło jej na podróż do domu i wynajęcie jakiegoś pokoju (byle nie mieszkać u matki i ojczyma), na kupienie jedzenia, zanim znajdzie pracę; jakąkolwiek pracę, bo żebracy nie przebierają w ofertach, a ona była właśnie żebraczką. Musiała przyznać, że tu, na malowniczej brukowanej uliczce Saint-Martin-de-Ré doszła do kresu swoich możliwości, do punktu końcowego.

Skończyła jeść chleb i zastanawiała się, ile w takim miasteczku może kosztować butelka wody. Rozsądniej byłoby dostać za darmo szklankę wody z kranu. Chciało jej się siusiu i musiała poszukać publicznego ustępu albo kafejki, w której pozwoli jej skorzystać z toalety bez kupowania czegoś do picia.

Tymczasem w bocznej uliczce znowu pojawiła się ta sama kobieta, tym razem z niewielką walizką, jakie bierze się do samolotu jako bagaż podręczny. Zamknęła drzwi wejściowe i skręciła za róg, z opuszczoną głową, idąc tak szybko, że Tabby zdołała tylko zauważyć burożółty płaszcz przeciwdeszczowy i rozjaśnione końce krótkich włosów w mysiobrązowym kolorze. Kobieta poszła w górę, w kierunku kościoła – pewnie wyjeżdża z miasta, pomyślała leniwie Tabby. Też coś, zostawiać takie piękne miejsce, z własnej woli wracać do Anglii! Ale zapomniała już, że tak właśnie postępują normalni ludzie. Kończą się im wakacje, mają dom, do którego mogą wrócić, za którym tęsknią, choćby

wypoczynek był najprzyjemniejszy. Albo, jeśli mieszkają właśnie tutaj, mają pracę, do której muszą chodzić, i miejsca, w których muszą czasem bywać. Czasem wyjeżdżają i przyjeżdżają.

Wyjeżdża z miasta... Miejsca, w których muszą bywać... Wyjeżdżają i przyjeżdżają.

Trzeba przyznać, że niedobry pomysł przyszedł Tabby do głowy dopiero po dłuższej chwili. Kiedy już dotarł do jej świadomości, wywołał w niej tyle samo odrazy, ile podniecenia. Potem przyszło uczucie wyzwolenia – jakby nie odpowiadała za własne postępowanie, jakby działała poza własną władzą sądenia. A moment później – stało się to nieprzyzwoicie szybko – nie mogła już myśleć o niczym innym.

B11903N.

Weszła w uliczkę, kierując się do zielonych drzwi. Nie rozglądając się na boki, wystukała tę samą sekwencję, którą wcześniej na głos wypowiedziała kobieta. W zamku rozległo się potwierdzające kliknięcie i kiedy pchnęła drzwi, uchyliły się bez oporu. Z opuszczonymi oczami szybko wślizgnęła się do środka, przymknęła za sobą drzwi i przez chwilę stała odwrócona twarzą w ich stronę, nasłuchując. Poczucie lekkości, uwolnienia zniknęło bez śladu. Teraz jej płuca rozszerzały się i ścisnęły boleśnie i nieregularnie, jak miechy w rękach szaleńca. Co ty wyprawiasz? Co ty w ogóle wyprawiasz?

Odwróciła się wreszcie i spojrzała przed siebie. Krótki korytarz prowadził do niewielkiego pokoju z dwoma oknami i przeszklonymi drzwiami, które otwierały się na skrawek ziemi zbyt wąski, by zmieściły się tam jakiegokolwiek meble ogrodowe, a do tego zamknięty wysokim, rzucającym cień ceglanym murem. Obok była wąska kuchnia z szafkami w ostatnim stadium zużycia i zagraconym, ale dość czystym blatem. Widok samotnego kubka na suszarce do naczyń przypominał jej, jak była spragniona, podeszła więc do zlewu i napiła się wody. Odstawiając kubek z powrotem, rozejrzała się po mieszkaniu z nowej perspektywy. Przy kominku stały dwie nieduże kanapy, stare i poprzecierane, obok okrągły stół otoczony tanimi wyplatanymi krzesłami i trochę innych przedmiotów jakby prosto z podrzędnego komisju: lampy, książki, całe wyposażenie ubożego mieszkania. W prawym rogu pokoju było wejście na schody – a więc to był dom, mały i wsunięty w głąb uliczki, schowany przed oczami przechodniów, z oknami tylko od podwórka.

No dobra, powiedziała sobie, teraz pomyśl. Dom nie wyglądał na kwaterę dla wczasowiczów, a nawet jeśli nią był, to kobieta zostawiła swoje rzeczy, więc zapewne się nie wyprowadziła. Scenariusz najlepszy z możliwych: mieszkała w Anglii i przyjeżdżała tu tylko od czasu do czasu (w przeciwnym razie dlaczego miałyby się mylić przy otwieraniu drzwi?); teraz pojechała na lotnisko (stąd walizka), żeby wrócić do domu, i być może chciała

przyjechać ponownie do Francji dopiero latem. W takiej sytuacji Tabby mogłaby tu zostać tygodniami i, znając kod, otwierać sobie drzwi bez zwracania niczyjej uwagi. Nieważne, czy w domu był prąd, potrzebowała tylko wody, która – wiedziała to już – nie była zakręcona.

Spróbowała zapalić światło: działało.

Najgorszy scenariusz: kobieta wróci za pięć minut, bo poszła tylko na zajęcia jogi albo po zakupy. Można na wiele sposobów wyjaśnić, dlaczego ktoś wychodzi z domu o piątej po południu z niewielką walizką, i tylko nieliczne możliwości zakładają wyjazd za granicę. Kimkolwiek była, mieszkała sama, o czym świadczyły pojedyncze rzeczy: jeden rower oparty o ścianę, jedna para kaloszy przy drzwiach, jedna kurtka i jeden polar na wieszaku w przedpokoju, jeden kubek na suszarce.

Tabby zaczęła wchodzić po schodach, starając się iść cicho, jak włamywacz, którym przecież była. Uważała, żeby nie ocierać ściany plecakiem. Na górze były dwa pokoje. Stojąc w drzwiach większego z nich, zauważyła kilka przedmiotów ustawionych na komodzie: oprawiony w skórę notes, małą butelkę perfum (luksusowej angielskiej marki, w połowie pustą), laptop, który nawet ona swoim niewprawnym okiem umiała zidentyfikować jako przestarzały. Za drewnianą ramę lustra wsunięta była pocztówka z reprodukcją obrazu, na którym wirowały róże i czerwienie – jeden z bardzo nielicznych osobistych akcentów w pokoju. Ale Tabby nie chciała myszkować, sprawdzać i dotykać. Była zbyt

zmęczona, a poza tym miała przecież jakieś zasady. Ta myśl ją rozbawiła, a własny uśmiech w tych okolicznościach – że też w ogóle coś mogło ją rozśmieszyć! – sprawił, że wszystko wydało jej się kompletnie nierzeczywiste.

Jeżeli nie mogła ufać swoim własnym reakcjom, to jak miała wierzyć, że wszystko dzieje się naprawdę, a nie tylko odgrywa w jej głowie, gdy zdrzemnęła się, siedząc gdzieś na słońcu?

Na razie jednak potrzeba skorzystania z toalety była wystarczająco realna. Wychodząc z ubikacji, modliła się w duchu, by szum wody szybko przebrzmiał, w razie gdyby kobieta miała nagle wrócić. Pomyślała: powinnam wyjść z tego domu, zapomnieć, że w ogóle tu weszłam. Nikt nigdy się nie dowie.

Ale zmęczenie brało górę i skierowało ją jeszcze po trzech schodkach w górę, do drzwi drugiej sypialni, w głębi korytarza. Była mniejsza niż pierwsza, niewiele obszerniejsza niż kajuta na łodzi, a jedyne umeblowanie stanowiło podwójne łóżko stojące pod oknem, komoda z szufladami i stołek. Wyglądało tu tak, jakby nikt nie wchodził do tego pokoju miesiącami. Przymknęła za sobą drzwi i usiadła na łóżku.

Jej drugi pokój gościnny tego dnia, drugie łóżko należące do kogoś innego. Pościel była porządna, ale w dotyku wilgotna i zimna, jak materiał, którego od dawna nikt nie ruszał.

Położyła się na narzucie i zamknęła oczy. Nawet

teraz, w tej sytuacji, ostatnia jej myśl dotyczyła Paula.

Pozbawiony marzeń sen skończył się fizycznym dotykem – ktoś nią potrząsał. Czuła mocny uścisk na lewym ramieniu i czyjś oddech na twarzy, wszystko pełne gniewu.

– Kim jesteś? Co robisz w moim domu? – Słowa były wypowiedane po angielsku, gorączkowo i bez zastanowienia, a potem powtórzone po francusku.

Tabby otworzyła oczy. Stała nad nią spotkana wcześniej kobieta, oczywiście, z nerwowymi rumieńcami na twarzy i ciemnymi oczami, w których widać było strach. W pokoju panował półmrok – zapadł już wieczór.

Próbowała usiąść prosto. Podczas snu musiała naciągnąć na siebie narzutę, która teraz zaplątała się wokół jej kostek, ograniczając ruchy.

– Przepraszam – powiedziała głosem schrypniętym od spania – bardzo przepraszam. Ja tylko chciałam odpocząć. Myślałam, że pani nie wróci...

Przerwała, widząc, że to bez sensu. Nie miała nic na swoją obronę, nic, co usprawiedliwiłoby włamanie do cudzego domu, oczywiście naruszenie prawa. Powinna uciekać, i to szybko.

– Zaraz, jesteś z *Anglii*? – To odkrycie jakby jeszcze mocniej zdenerwowało obcą kobietę. Zrobiła się jeszcze bardziej czerwona na twarzy i silniej ścisnęła ramię Tabby. – Mów, kim jesteś! Jak mnie znalazłaś?

Tabby nic nie rozumiała.

– Byłam bardzo zmęczona, nie wiedziałam, co robić, i jak usłyszałam ten kod...

– Jak to, usłyszałaś kod? Śledziłaś mnie?

Tabby pomyślała, że najwyraźniej mówią o zupełnie innych rzeczach, ale nie było sensu tego drążyć.

– Nie, po prostu widziałam, jak pani wstukuje ten kod, a jednocześnie mówiła go pani na głos. Skończyły mi się ostatnie pieniądze i musiałam znaleźć jakieś miejsce do spania, więc otworzyłam sobie drzwi.

Kobieta przerwała jej jeszcze raz.

– Czyś ty oszalała? Nie możesz tak sobie używać cudzych kodów i wchodzić do mieszkań! To jest prywatny dom, a nie jakaś noclegownia!

– Wiem, to był głupi pomysł. Bardzo przepraszam. – Te słowa brzmiały żałośnie niewystarczająco, wręcz obraźliwie, jakby była zbyt arogancka, żeby bardziej się postarać.

– To w ogóle nie do wiary, to jest włamanie. Idę zadzwonić na policję.

– Niech pani tego nie robi, proszę. Chciałam wyjść, gdy tylko się obudzę, przysięgam. Naprawdę nie miałam zamiaru niczego ukraść, słowo honoru.

– Słowo *honoru*?

Tabby wyczuła, że kobieta sama nie wie, co ma zrobić, i zaświtała jej nadzieja – może, jeśli się pospieszy, uda jej się jeszcze uciec. Uwolniła już nogi z pościeli, teraz wyrwała ramię z uścisku tamtej i rzuciła się do drzwi i na schody. Kobieta jednak biegła zaraz za

nią, jej kroki na schodach brzmiały uciekającej tuż za plecami. Tabby wpadła wreszcie do pokoju na dole i zaraz potknęła się, boleśnie wykręcając nogę w kolanie; jednocześnie przypomniała sobie, że przy łóżku na górze pozostał plecak. Wiedziała, że nie może go tu zostawić, i odwróciła się w stronę kobiety, żeby się poddać. Ból w kolanie był tak silny, że musiała osunąć się na podłogę, i zanim zdążyła się opanować, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła zawodzić:

– Proszę, niech mnie pani puści. Przysięgam, że już nigdy tu nie przyjdę...

– O matko, co się z tobą dzieje! – krzyknęła kobieta, najwyraźniej tak samo roztrzęsiona jak Tabby. Rzeczywiście, przez chwilę nie mogła nic powiedzieć, oddychając głęboko i starając się uspokoić. – Wstań z tej podłogi i usiądź na kanapie. Zrobię ci coś do picia. Musisz się chwilę pozbierać, żeby dojść do siebie.

– Jaki to ma sens? – zaszlochała Tabby. – Równie dobrze mogę iść i skoczyć z mostu, żeby mieć już to wszystko z głowy!

Kobieta patrzyła na nią, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Zrobię herbaty – powiedziała wreszcie. Dopiero kiedy się odwróciła, Tabby wstała i pokuśtykała na kanapę.

Woda gotowała się długo, tak długo, że łyzy Tabby zdążyły obeschnąć. Była zbyt zrozpaczona, żeby odczuwać zakłopotanie. Zanim kobieta zajęła się nalewaniem wrzątku do kubków i szukaniem czegoś

w lodówce, Tabby czuła na sobie jej badawcze spojrzenie. Nie odzywały się, ale nietrudno było zgadnąć, o czym tamta myśli. Przeżyła przecież koszmarną chwilę – znaleźć obcą osobę we własnym domu, we własnym łóżku! Prawdziwy cud, że od razu nie pobiegła po pomoc i nie wróciła z policją (Tabby pamiętała posterunek obok parkingu przy nabrzeżu, dwie minuty drogi stąd). Co ona sama by zrobiła w takiej sytuacji? Ale myśl, że mogłaby być posiadaczką jakiegoś domu albo przynajmniej prawowitym najemcą, była dla niej tak boleśnie abstrakcyjna, że nie potrafiła sobie odpowiedzieć na to pytanie. I jak zwykle pomyślała o Paulu, nie po to, żeby obwiniać go o swój upadek, ale z nadzieją, że mógłby zjawić się i jej pomóc. Uratować ją.

Nigdy jeszcze nie czuła się tak opuszczona.

– No dobrze, tu jest herbata. Jak tam noga?

Podniosła wzrok ze zdziwieniem, bo kobieta powiedziała te słowa zupełnie nowym tonem. Był łagodny, uspokajający, *miły*. W dodatku, gdy zbliżała się do kanapy, niosąc tacę z herbatą, Tabby zauważyła, że całkowicie zmieniła się jej postawa: ramiona miała rozluźnione, twarz wypogodzoną. Tabby nie umiała wyjaśnić, dlaczego tak się stało, zdawała sobie jednak sprawę, że było to coś więcej niż naturalne przeminięcie szoku i strachu – to musiała być jakaś decyzja, postanowienie. Jak gdyby w czasie kiedy gotowała się woda na herbatę, kobieta przemyślała swoją rolę w tym

niespodziewanym wydarzeniu i obmyśliła sobie nową, mniej oczywistą linię postępowania.

– Chyba wszystko w porządku – powiedziała Tabby.
– To tylko kolano, trochę skręcone.

Kobieta postawiła tacę na niskim stoliku i podała jej kubek.

– Napij się i spróbujmy wyjaśnić, co się tutaj właściwie stało. – Usiadła na kanapie naprzeciwko, rozluźniona i spokojna. W oczach miała nawet cień uśmiechu. Zmiana nastroju zabrzmiała najwyraźniej w kolejnym pytaniu: – Więc jak się nazywasz? Chyba nie Śnieżka?

Tabby zawahała się przez chwilę. Jeśli poda swoje prawdziwe imię i nazwisko, wciąż grozi jej doniesienie na policję i być może dlatego właśnie kobieta postanowiła rozmawiać z nią tak przyjaźnie. Może nawet dodała jej czegoś usypiającego do herbaty! Kierując się instynktem, wybrała jednak rozwiązanie, które uznała za szansę.

Podniosła kubek do ust i poczuła ciepły, drzewny zapach herbaty. Powiedziała:

– Nie, mam na imię Tabitha. Tabby.

– A ja – odparła kobieta – jestem Emmie.

Rozdział 2

Emily

Londyn, grudzień 2010 r.

Poznałam Arthura Woodhalla dwunastego grudnia 2010 roku i dzisiaj wiem na pewno, że przed tym dniem nie żyłam naprawdę. Nie byłam w pełni sobą. Miałam trzydzieści lat i, chociaż teraz to może brzmieć niewiarygodnie, świat nie bardzo się mną interesował. Znajomi mówili wprawdzie, że jestem atrakcyjna, ale jakoś nigdzie nie pasowałam. Mówili, że mam wielkie serce, ale ja wiedziałam, że to serce nie radzi sobie z własnymi uczuciami.

Nigdy wcześniej nie byłam naprawdę szczęśliwa.

To była sobota i akurat nasi sąsiedzi, Laingowie spod numeru 197, wydawali bożonarodzeniowe przyjęcie, imprezę dla członków Stowarzyszenia Przyjaciół Walnut Grove. Dowiedziałam się w trakcie zabawy, że takie przyjęcia urządzali po kolei różni Przyjaciele, zwłaszcza ci posiadający większe domy, którymi warto było się pochwalić. Matt i ja nie należeliśmy do Przyjaciół, ale zostaliśmy zaproszeni, bo sypialnia w naszym mieszkaniu pod numerem 199 przylegała częściowo do salonu domu pod 197 i obawiano się, że możemy się skarżyć na głośną muzykę. Laingowie nie mieli ochoty, by ich przyjęcie

zapisało się w pamięci mieszkańców Walnut Grove z powodu interwencji policji wezwanej przez sąsiadów.

– Wcale się nas nie spodziewają – powiedział Matt. To on otworzył drzwi, kiedy przyszła Sara Laing, którą opisał mi potem jako „elegantkę, co lubi się rządzić”. – Chcą się tylko zabezpieczyć, w razie gdyby impreza za bardzo się rozkręciła. Chodźmy lepiej do pubu.

– Nie, proszę – powiedziałam. – Chodź, zobaczymy, jak żyje lepsza połowa narodu. Pomyśl o darmowych drinkach.

Pieniądzy nie mieliśmy za wiele, a Matt był prostym chłopakiem, więc nie trzeba go było dłużej namawiać. Kazałam mu wziąć prysznic, a sama w tym czasie suszyłam włosy i malowałam się w moim ulubionym stylu z lat pięćdziesiątych: ciemne brwi, podkręcone rzęsy, kreska na powiekach, miękkie i różowe usta. Potem włożyłam ciemnoczerwoną jedwabną sukienkę, którą kupiłam w butik z używanymi ciuchami koło pracy. Miała odkryte ramiona i w lustrze widziałam jaśniejącą skórę dekoltu – wyglądałam smakowicie, jak truskawka zanurzona w śmietanie.

– Ta sukienka nie zakrywa zbyt wiele – rzucił Matt, a w jego głosie nie było ani aprobaty, ani niezadowolenia, jakby go to w ogóle nie dotyczyło. Po pięciu latach stopniowo wygasającej bliskości staliśmy się już tylko współlokatorami, a wynajęcie razem kolejnego mieszkania było przejawem życiowej inercji, niczym trwanie przy kiepskim koncercie bankowym albo

niedbałym lekarzu. Lepszy wróg, którego już znamy. Byliśmy przyjaciółmi korzystającymi z jednej sypialni, bo nie mogą sobie pozwolić na dwie. Ale naprawdę przyjaciółmi, to jest ważne. Może nie sypialiśmy ze sobą, lecz nie przestaliśmy się lubić.

Kiedy szliśmy na przyjęcie, najpierw ścieżką przez nasze podwórko, potem przez posesję Laingów, zawstydziałam się w imieniu właściciela domu. U nas w ogródku panował koszmarny bałagan: brudne pojemniki na śmieci z numerami mieszkań wymalowanymi żółtą farbą oraz resztki zwiędłej lawendy wzdłuż zachwaszczonego trawniczka – za to u Laingów wszystko było artystycznie zaaranżowane i profesjonalnie utrzymane. Pojemniki schowane w drewnianej altance pomalowanej na szlachetną zieleń, a przy drzwiach dwa świerki w wielkich donicach, ozdobione choinkowymi lampkami. Lampki błyskały także w oknie na pierwszym piętrze, gdzie pod drzewkiem sięgającym sufitu odbywało się przyjęcie. Dotarł do nas stłumiony dźwięk toczących się rozmów i serce zabiło mi szybciej. Matt rzeczywiście nie miał większej ochoty na to przyjęcie, lecz ze mną było inaczej. Mówiłam sobie, że jestem przeciwko wszystkiemu, co reprezentują sobą Przyjaciele Walnut Grove, ale w rzeczywistości skrycie pragnęłam dołączyć do tego ekskluzywnego towarzystwa. Mieć na własność jeden z tych wąskich domów w stylu georgiańskim, z rzędami wysokich okien

w tradycyjnych ramach, być posiadaczką kawałka ulicy, która co rusz pojawia się w filmach kostiumowych, mieć męża i życie towarzyskie (przyjęcia bożonarodzeniowe!) takie jak Marcus i Sara Laingowie – cóż za niepodważalny dowód dla świata, że jesteś kimś.

Po trochę zbyt długiej chwili drzwi otworzył niski, atletycznie zbudowany mężczyzna; zgadłam, że to musi być Marcus. Chociaż zaczął już łysieć, wyglądał młodo jak na swój wiek (uznałam, że pewnie jest koło pięćdziesiątki), a teraz z entuzjazmem uniósł się lekko na palcach.

– O, jak miło, wreszcie jakaś świeża krew! – zawołał na nasz widok, przekrzykując zgiełk przyjęcia głosem aktora z teatryku lalkowego. Za nim, na zatłoczonych schodach, pojawiła się jego żona. Była młodsza od niego o jakieś pięć lat i niewystarczająco wysoka do swojej sukni, zwiewnej i tak długiej, że wlokła się po ziemi – obawiałam się, że w każdej chwili może się potknąć. Podeszła do nas jednak bez trudności, rzucając mi zimny uśmiech, po czym przywitała się jedynie z Mattem, którego wzięła pod ramię jak starego znajomego i natychmiast odeszła z nim gdzieś w tłum, nie oglądając się na mnie. Stałam zdumiona, czując się tak, jakby ktoś wyrwał mi torebkę na ulicy.

– Dobrze. Coś do picia – zawołał mi do ucha Marcus. – Jedną sekundę!

Po czym od razu zniknął w jednym z pokoi. Przez

głowę przemknęła mi myśl, że już nie wróci, i kiedy na serio rozważałam odwrócenie się na pięcie i powrót do domu, pojawił się znowu, wręczając mi kieliszek szampana i proponując, że zaprowadzi mnie na górę i zapozna z innymi gośćmi. Poczułam pustkę w głowie i po raz pierwszy od wielu tygodni zachciało mi się palić.

Meble w salonie odsunięto pod ściany, żeby na środku pokoju zrobić miejsce dla rozmawiających. Nad ich głowami wisiał ogromny żyrandol, biały i nieruchomy, jak zamarznęta fontanna. Nigdzie nie widziałam Matta. Przyjrzawszy się tłumowi, Marcus spojrział na mnie z udawaną desperacją, aż wreszcie koło okna dostrzegł grupę mężczyzn w średnim wieku. Tam właśnie się skierowaliśmy.

– Miła niespodzianka dla panów! – zawołał, ku mojemu zażenowaniu. – Poznajcie naszą sąsiadkę Emmę!

– Emily – poprawiłam go, czując, że się czerwienię.

– Emily, przepraszam. Sara pewnie źle usłyszała.

Zatrzymał się. Podczas prezentacji stał cały czas bardzo blisko mnie, przez co zaczęłam się czuć koszmarnie niezręcznie w mojej mocno wydekoltowanej sukience. (Co mnie podkuśiło, żeby ją włożyć? Była taka burleskowa). Grupa przed nami składała się z trzech mężczyzn, każdy z nich wydawał się rozgrzany wypitym już alkoholem.

– Czym się wszyscy zajmujecie? – zapytałam, a mój

głos z onieśmielenia zabrzmiał zbyt głośno i wysoko.

Marcus był prawnikiem w City, Arthur – lekarzem w pobliskim szpitalu, Ed – dziennikarzem, a ostatni z nich, którego imię mi umknęło – lektorem filmowym (głosu nie rozpoznałam). Agent, który wynajmował nam mieszkanie, opowiadał dużo o ciekawym sąsiedztwie na ulicy, która znajdowała się na tyle blisko szpitala, by przyciągać pracujących tam lekarzy, była na tyle droga, że interesowali się nią prawnicy i bankierzy, oraz miała na tyle romantyczny charakter, że podobała się artystom (Matt, pracujący jako informatyk dla sklepu rowerowego, i ja, animatorka w kawiarni prowadzącej warsztaty ceramiczne dla dzieci, nie bardzo pasowaliśmy do tej ostatniej kategorii).

Wszyscy byli po czterdziestce lub po pięćdziesiątce, więc rzeczywiście, jak mówił Marcus, byłam wśród nich względnie młoda. Na schodach widziałam wprawdzie kilkoro nastolatków, a w drzwiach salonu pojawiały się raz za razem jakieś dzieci, które zapewne bawiły się gdzieś w domu w swoim towarzystwie, nie zauważyłam jednak żadnych dwudziesto- ani trzydziestolatków. Muzyka zdecydowanie pochodziła z czasów, kiedy się urodziłam.

– Należysz do Przyjaciół? – spytał mnie lektor.

Przełknęłam ślinę.

– Nie, nie należymy do stowarzyszenia, ale mieszkamy w sąsiednim domu. Właśnie się wprowadziliśmy, kilka tygodni temu. Mieszkanie B.

Czasami jeszcze mówiłam o sobie i Matcie w liczbie mnogiej, jakbyśmy byli parą. To właśnie był jeden z tych momentów.

– Mieszkanie B – powtórzył lektor, zwracając się jakby porozumiewawczo do pozostałych – trzeba to zapamiętać.

Stojący obok niego Ed zachichotał.

– To co, jak zgubisz kiedyś klucze i będziesz potrzebował noclegu, zapukaj do mieszkania B?

– Naprawdę nie wiem, o czym mówicie – powiedziałam z uśmiechem. – Poza tym mamy za mało miejsca: jest jeszcze mój chłopak.

– Dla niektórych na tej ulicy to nawet byłaby dodatkowa atrakcja – parsknął Ed. Za ten dość ryzykowny ton rozmowy odpowiadał z pewnością szampan podawany przez Laingów. Był doskonały, kremowy i gładki na podniebieniu. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek piła coś równie kosztownego.

– Uważajcie, żeby Nina nie dowiedziała się, co tutaj wygadujecie – powiedział Marcus. – To żona Eda – dodał w moim kierunku. – Ktoś, komu lepiej nie wchodzić w drogę.

Nie miałam zamiaru nikomu wchodzić w drogę, ale rozmowa toczyła się zbyt szybko, żebym zdążyła to powiedzieć.

– Nina pisze dla „Press” – wyjaśnił lektor. – Ma na swoim koncie więcej skalpów niż wódz Komanczów.

Nie czytywałam „Press”, ogólnokrajowego

tygodnika, i nie wiedziałam nic o Komanczach, ale to nie miało znaczenia, bo zdążyłam zauważyć, że nikt nie spodziewa się po mnie erudycji. Zostałam już oceniona jako ktoś, kto nie ma nic do zaoferowania w dziedzinie najważniejszej – znajomości (albo pieniędzy). Miałam być ozdobą, przysłowiową głupią blondynką; być może ubierając się w sukienkę z dawnych czasów, prowokowałam traktowanie mnie w starym stylu.

– Czyich skalpów?

– Wiesz, tych wszystkich ludzi, którym przez lata urządziła publiczne egzekucje. Ministrów, aktorów, różnych gwiazdek. Ta ruda z telewizji – zdaje się, że w końcu trafiła na terapię, wiesz coś o tym, Ed?

Roześmiał się, widząc moją nierozumiejącą minę.

– Babka z telewizji, nie Nina – wyjaśnił. – Sara się z nią przyjaźni, prawda, Marcus?

– Nie tak bardzo, jak by chciała – odpowiedział Marcus, a ja, pamiętając zachowanie Sary w stosunku do mnie, nieładnie ucieszyłam się z jego nielojalności wobec żony. Podnosząc brew, spojrzał na Eda, który skromnie nie wypowiadał się na temat swojej żony, po czym zwrócił się do jedyne go z mężczyzn, który się jeszcze nie odezwał.

– Arthur może ci więcej opowiedzieć, prawda, stary? Sylvie, jego żona, jest jedną z założycielek siejącego postrach sabatu z Grove.

Ale Arthur nie zwracał uwagi na rozmowę, zajęty swoimi myślami. Nie byłam pewna, czy w ogóle

słuchał, co mówimy. W przeciwieństwie do pozostałych nie wykonywał zamaszystych ruchów ani nie starał się zrobić wrażenia. Był tego wzrostu co ja na szpilkach, jego ciało miało trochę chłopięcą budowę, a z postawy i wyrazu twarzy przebijało znużenie. Podczas gdy pozostali gapili się na mój dekolt dokładnie tak, jak na to zasługiwałam, jego wzrok przesunął się po mnie jakby niechętnie, jak po wystawie sklepu, do którego wcale nie chciał wchodzić.

– Chciałabym umieć pisać – powiedziałam do Eda. – To moje marzenie. Ale gdybym zaczęła, i tak pewnie nikt nie chciałby tego czytać.

– No, ja czuję się bardzo podobnie – odparł. – Może zamienimy się zawodami?

– A czym się właściwie zajmujesz? – zapytał mnie Marcus. – Chyba cię nie pytałem.

– Pracuję w kawiarni, która prowadzi warsztaty ceramiczne przy Linley Avenue. Organizujemy przyjęcia dla dzieci, lepienie z gliny i tego typu atrakcje.

Ale przybytki w rodzaju Earth, Paint & Fire były najwyraźniej poniżej ich poziomu. Jedynie Ed kiwnął głową, ale nie zdołał ukryć lekceważenia.

– To jest to miejsce, gdzie dzieciaki malują kropki na kieliszkach do jajek, a rodzice płacą po dwadzieścia funtów za tę przyjemność?

– O, naprawdę? Zawsze uważałem, że ludzie, którzy lubią pracować z małymi dziećmi, muszą być trochę nawiedzeni – odezwał się lektor.

– No cóż – odpowiedziałam z lekkim uśmiechem. Nawet bez ich komentarzy dotarło do mnie, że w porównaniu z ich wspaniałymi zawodami mój sposób zarobkowania musi wydawać się żałosny, więc postanowiłam zaakceptować swoją podrzędną pozycję towarzyską z humorem. – To tymczasowe zajęcie – dodałam. Wyobraziłam sobie siebie za rok: na takim samym przyjęciu, w innym domu, ale już z lepszą pracą. Będę stażystką w gazecie albo pisarką rozpoczynającą powieść. Będę jedną z nich.

Marcus opuścił nasze towarzystwo, a kiedy Ed i lektor wrócili do tematu najnowszej ofiary Niny, spróbowałam nawiązać kontakt wzrokowy z Arthurem. Chciałam się jakoś zrehabilitować, zobaczyć w jego oczach coś więcej niż odbicie mojego dekoltu.

– Pod którym numerem mieszkanie? – spytałam, gdy wreszcie spojrzął na mnie.

Milczał przez chwilę, jakby analizował sens mojego pytania według długiej listy możliwych interpretacji.

– Pod jedenastym. Na drugim końcu ulicy.

To były jego pierwsze słowa, odkąd wymienił swoje imię. Od razu zachwyił mnie jego głos: niski i poważny, przeznaczony do poufnych rozmów.

– Długo mieszkanie przy Grove? – zapytałam (zorientowałam się już, że tak się tu mówi o naszej ulicy, jakby była tylko jedna taka w Londynie).

– Od czasu zanim urodziły się dzieci, dwadzieścia lat, coś koło tego. Obawiam się, że są już za duże na

malowanie kieliszków do jajek.

A więc jednak słuchał.

– Nie ma sprawy. Nie przyszedłam tu szukać klientów. Poza tym nie dostaję procentu od zysków, co stwierdzam z żalem.

Nieczęsto zdarza mi się używać wyrażenia „co stwierdzam z żalem”, ale jak już powiedziałam, było w Arthurze coś, co sprawiało, że chciałam zaprezentować się z najlepszej strony. Zrobiło mi się przyjemnie, kiedy uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Twoja żona też tutaj jest? – spytałam.

– Tak, gdzieś tu powinna być.

Zapewne ze sławną Niną, współzałożycielką Komanczów czy jak tam nazywała się ich koteria, która wydawała się tak zabawna ich mężom. Wszyscy tutaj się znali, co było oczywiste – wystarczyło wyciągnąć rękę do góry i człowiek mógł niemal dotknąć sieci wzajemnych powiązań, znajomości i krążących informacji. W pokoju wyczuwało się samozadowolenie, satysfakcję, niemal uciechę z powodu przynależności do tak doborowego towarzystwa. Nikt nie rozglądał się na boki w poszukiwaniu lepszego partnera do rozmowy, jak to się często dzieje na przyjęciach, wszyscy byli całkowicie zajęci swoimi rozmówcami. Byłam pewna, że kiedy rozejdą się moi towarzysze, zostanę sama i nikt do mnie nie podejdzie aż do końca. Ed i lektor już odsunęli się dalej od nas. Czy Arthur też miał zamiar to zrobić? Przez chwilę czułam wielką ochotę, by złapać

go za rękę.

– Nikogo nie znam – wyznałam. – Mam wrażenie, jakbym się tu zabłąkała przypadkiem.

– Przecież dopiero się wprowadziliście – odparł. Teraz, kiedy nikt nie słuchał naszej rozmowy, trochę się rozluźnił i patrzył na mnie jeśli nie z aprobatą, to przynajmniej z zachętą.

– Nie znam jeszcze nawet najbliższych sąsiadów – mało bywam w domu, ciągle nie rozpakowałam połowy kartonów. Mój ojciec jest bardzo chory i kiedy tylko mogę, jadę do niego po pracy, a potem jestem tak zmęczona, że nie chce mi się nawet myśleć o wypakowaniu rzeczy, co dopiero o urządzaniu mieszkania.

Zawsze staram się przyjaźnie rozmawiać z nowo poznanymi ludźmi, ale takie zwierzenia zupełnie do mnie nie pasowały i sama nie wiedziałam, co we mnie wstąpiło; wtedy doszłam do wniosku, że to pewnie szampan – wypiłam już dwa kieliszki i właśnie wzięłam do ręki trzeci. Potem dopiero zrozumiałam, że było to podejście Arthura, urok życzliwego zainteresowania, częsty u lekarzy specjalistów pracujących w szpitalach. Wypracowany po to, by uspokajać pacjentów i dodawać im otuchy, na mnie podziałał jak wyzwalacz od zahamowań.

– Na co choruje twój ojciec? – zapytał. Spojrzał na mnie z większym zainteresowaniem i zobaczyłam wyraźnie kolor jego tęczówek: ciepły brąz

z bursztynowymi plamkami, jak szylkret.

– Ma alzheimera, zaawansowanego. Lekarze nie spodziewają się, że przeżyje kolejny rok.

Podniósł lekko brwi.

– Tak ci powiedzieli?

– Nie dosłownie, ale można to wywnioskować – wiesz, jak to bywa.

– Pewnie jest w domu opieki?

– Do niedawna był, ale teraz przenieśli go na oddział szpitalny. Nie chce jeść i ciągle łapie jakieś infekcje. – Poczułam przypływ rozpaczyny ściskającej za gardło i wypiłam łyk szampana, żeby móc dalej mówić. – Mam nadzieję, że stamtąd wróci. W domu opieki było lepiej.

– Ile ma lat?

– Sześćdziesiąt dwa.

– To wcześnie.

– Niektórzy pacjenci na jego oddziale są znacznie młodszy. To strasznie smutne miejsce.

Nagle opanowało mnie przygnębienie, z powodu biednych ludzi, których widziałam w szpitalu, i z powodu mojej własnej sytuacji. Nie mam nic, pomyślałam ze smutkiem, nikogo. Spojrzałam na swoją truskawkową sukienkę i zdałam sobie sprawę, że symbolizuje pomyłkę – nie była radosnym znakiem początku, lecz świadectwem mojej nieumiejętności oceny sytuacji. Była nie na miejscu wśród dobrze skrojonych sukien innych kobiet, uszytych z kosztownych, ciężkich materiałów, które miały za

zadanie opływać i otulać, nie przylegać i odsłaniać. Znowu popełniłam ten sam błąd – zjawiłam się w miejscu, do którego nie należałam. I równie dobrze, jak zwykle, mogłam przyjść sama. Kiedy wcześniej powiedziałam, że czuję się przypadkowym gościem, w rzeczywistości miałam na myśli, że czuję się samotna.

– Wszystko w porządku? – zapytał Arthur z galanterią, a na jego twarzy malowała się ojcowska troska, która obudziła we mnie bolesne skojarzenia.

– Chyba pójdę poszukać Matta – powiedziałam, nie ruszając się z miejsca. – Nie widziałam go, odkąd przyszliśmy.

– Daj znać, gdybyś potrzebowała pomocy.

Spojrzałam na niego, nie rozumiejąc.

– Mam na myśli twojego ojca – wyjaśnił.

– Aha. Czy to właśnie jest twoja dziedzina medycyny? Demencja?

Wyrażenie „dziedzina medycyny” zabrzmiało sztucznie, zbyt formalnie i staroświecko, ale nie zwrócił na to uwagi.

– Nie, nie, jestem okulistą.

Nie dodał nic więcej, więc nie chciałam go rozczarowywać, zadając typowe pytania („Nie brzydzisz się dotykać gałek ocznych?” było najczęstsze, jak się później dowiedziałam).

– Miałem na myśli jakąś ogólną pomoc – powiedział. – Choroby degeneracyjne są bardzo trudne dla rodziny. Możesz mieć różne pytania, na które nie

dostaniesz jasnych odpowiedzi w szpitalu. Na pewno mają za mało lekarzy. Wiem, jak to czasem wygląda.

Wobec tej nieoczekiwanej życzliwości mój nastrój od razu się poprawił.

– Dziękuję. To bardzo miło z twojej strony.

– Nie ma za co. W gruncie rzeczy o to chodzi w tym wszystkim. – Machnął ręką w stronę zbiorowiska gości na środku pokoju. Wydało mi się ono nagle jakąś obcą zabawą, z której oboje uciekliśmy. – Żeby sąsiedzi pomagali sobie nawzajem.

– Naprawdę? Nawet ci, którzy wynajmują nędzne kawalerki wielkości połowy tego salonu? I nie należą do Przyjaciół?

– Tak. Każdy się liczy – powiedział. Patrzył na mnie z głębokim przekonaniem i ogarnęło mnie wzruszenie. Zrozumiałam, że mimo swoich osiągnięć i pozycji (nie miałam wtedy pojęcia, jaką naprawdę był znakomitością) tak samo jak ja czuł się nie na miejscu, być może właśnie dlatego, że wszyscy byli dla niego ważni, co zapewne nie było poglądem powszechnym wśród zebranych. Wtedy pożałowałam, że powiedziałam o swoim zamiarze szukania Matta. I chociaż to ja się oddalałam, poczułam się jak ktoś, kto widzi z peronu odjeżdżający pociąg i dopiero wtedy pojmuje, że właśnie tym pociągiem powinien był pojechać.

Rozdział 3

Tabby

Od samego początku Emmie była dla niej zagadką. Tabby zupełnie nie wiedziała, co o niej myśleć. Ale to nie miało znaczenia – ważne było, co myślała Emmie, i że to nie wiązało się od razu z wezwaniem policji i oskarżeniem Tabby o przestępstwo. Wystarczający powód do radości. W dodatku Emmie nie wygoniła jej, posadziła na własnej kanapie i starała się zrozumieć okoliczności, które doprowadziły Tabby do tak desperackiego kroku – po prostu cud.

Najwyraźniej tego dnia nic nie działo się zgodnie z przewidywaniami, a najbardziej nieprzewidywalne były własne poczynania Tabby. Najlepsze, co mogło jej się zdarzyć, to przeżyć bez szwanku do rana.

Tego pierwszego wieczora Tabby opowiadała przez dwie godziny, aż zapadł zmrok i wewnątrz pokoju zaczęło się odbijać w pociemniałych oknach. Wszystko się uciszyło i w domu słychać było tylko jej głos, przerywany czasami jakimś pytaniem Emmie. Opowiadała o swojej podróży z Paulem, o tym, jak siedem miesięcy wcześniej polecili razem do Bangkoku, we dwójkę przeciwko światu – albo dla świata – i jak trzy miesiące później, kiedy dotarli do Indii, zamienili się w coś, czego nie rozumiała i czego

nie chciała, w podróżującą parę ludzi, którzy nie mogli wytrzymać razem w jednym kraju, nie mówiąc już o jednym pokoju.

– Nie chodziło o jakąś pojedynczą rzecz – powiedziała do Emmie. – Każdego dnia zrywały się kolejne łączące nas nici.

Ale próbując wytłumaczyć obcej osobie, jak w oczach Paula nowe miejsca i poznawane osoby wydawały się oświetlać coraz jaskrawiej jej własną niedoskonałość, Tabby doznawała tego samego poczucia bezradności, które towarzyszyło jej wtedy. Gdyby potrafiła to zrozumieć, umiałaby zapobiec katastrofie. Skąd Emmie miałyby wiedzieć, jak to jest odczuwać każdą chwilę jak ostatnią? Wcale nie życzyła jej takiej wiedzy.

A kiedy przyszedł koniec, nie przyniósł żadnej ulgi, tylko ogromny ból, tak jak się obawiała.

– Nie rozumiesz? Nas już nie ma – powiedział, przenosząc tym jednym zdaniem ich wspólne życie do przeszłości. Dlaczego, spytała oczywiście. Dlaczego? A kiedy on zastanawiał się, zobaczyła, że nie brakuje mu słów, tylko stara się, żeby nie były dla niej zbyt bolesne.

– Jesteś zbyt...

– Zbyt jaka?

– Jest ciebie zbyt wiele – powiedział w końcu.

Teraz znowu powtórzyła:

– To nie była tylko jedna rzecz.

Emmie przytaknęła, kiwając lekko głową, ze

zrozumieniem w oczach. Słuchała historii Tabby z uprzejmym spokojem, jakby była terapeutką, która z góry zaplanowała całą sesję. Dopiero kiedy Tabby opowiedziała, jak Paul ją zostawił, dosłownie porzucił na środku ulicy w Waranasi, bez mapy, przewodnika, a nawet (o ile mógł wiedzieć) pieniędzy, Emmie odezwała się, poruszona:

– To okropne! – zawołała z oburzeniem. – Mogło ci się przytrafić cokolwiek w takiej sytuacji. Mogli cię okraść albo zgwałcić!

Tabby uśmiechnęła się z wdzięcznością. W obecnych okolicznościach nie liczyła na współczucie.

– Na szczęście było tam sporo turystów i w końcu zabrałam swoje rzeczy z hostelu i znalazłam dworzec kolejowy. Miałam trochę pieniędzy, nie byłam całkiem bez grosza.

Inaczej niż teraz.

– Ale i tak musiałaś czuć się strasznie. Wiadomo, jak to jest zostać porzuconym przez kogoś, kto nie chce nas więcej znać.

Emmie gniewnie ściągnęła brwi, patrząc na Tabby z nagłym wzburzeniem. Jej ciało przybrało inną pozę, wyprostowała się i pochyliła do przodu, jakby czekała, aż Tabby zapyta, w jaki sposób weszła w posiadanie tej bolesnej wiedzy. Przez chwilę Tabby miała ochotę poddać się ciekawości i zapytać, ale odstraszyło ją rozdrażnienie na twarzy Emmie.

– To jest straszne – przytaknęła. – On zupełnie się

zmienił, jakby stał się kimś innym. W ogóle nie przypominał chłopaka, którego znałam.

Myślałam, że znam.

– Ale podczas podróży ludzie potrafią się zmienić, prawda? – ciągnęła. – Wiedziałam o tym, ale sądziłam, że my... że byliśmy... razem.

Czy ja kiedykolwiek dojdę do siebie? – zapytała się w duchu. Tułaczka po świecie po rozstaniu z Paulem, ucieczka od normalnego życia, która obróciła się w karę i pokutę za tę dezercję – to wszystko zaczęło się wtedy, gdy ją zostawił. A dzisiaj nastał chyba najgorszy dzień. Czy to znaczy, że zamiast stopniowo odzyskiwać spokój, będzie się czuła coraz gorzej?

Spojrzała na Emmie z nową rozpaczą, jakby czekała odpowiedzi. Emmie tymczasem miała kolejne pytanie, które wyraźnie ją nurtowało:

– Miał żonę?

– Paul?

To był dziwaczny pomysł, uznała Tabby; przecież żonaci faceci raczej nie wyjeżdżają na roczne włości z plecakiem w towarzystwie swoich dziewczyn – chociaż po drodze spotkali kilku rozwiedzionych.

– Nie. Małżeństwo to ostatnia rzecz, na którą miałby ochotę.

– Małżeństwo z tobą, chciałaś powiedzieć.

Tabby była zaskoczona gorzkim tonem, z jakim Emmie wypowiedziała te słowa. Dopiero co mówiła o porzuceniu i wszystko to wskazywało na jakąś

niedawno przeżyta tragedię osobistą, może rozpad małżeństwa. Ale Tabby nie ośmieliła się pytać, nie chciała ryzykować, że urazi nowo poznaną znajomą, która mogłaby sobie przypomnieć, że zamiast siedzieć i wysłuchiwać jej zwierzeń, należałoby raczej wyrzucić ją na ulicę i zmienić kod otwierający drzwi.

– Więc jak trafiłaś na Ré? – zapytała Emmie.

– Trochę przypadkiem – odparła Tabby, nie chcąc opowiadać o nocy spędzonej z Grégoire'em, między innymi ze względu na ten gorzki ton w odniesieniu do żonatych mężczyzn. Uważała się za uczciwą dziewczynę, ale gdyby do włamania dodać przespanie się z przypadkowo poznanym cudzym mężem, wszystko zaczęłoby przemawiać przeciwko niej. – Kupiłam tani bilet z Paryża. Pomyślałam, że może znajdę tutaj pracę. To duże lotnisko, prawda?

– Tak, kiedy zaczyna się sezon. Ale to dopiero pod koniec czerwca. Tutaj jest bardzo drogo. Udało mi się znaleźć chyba najtańsze mieszkanie na całej wyspie. Ten dom jest zbyt zniszczony, żeby go wynajmować turystom. – Emmie rozejrzała się dookoła z dezaprobatą, chociaż w oczach Tabby jej dom był rajem z wygodami. – Trochę dziwne miejsce dla kogoś, kto nie ma grosza przy duszy – dodała, spoglądając na Tabby z obudzoną na nowo podejrzliwością.

– Chyba po prostu nie chciałam wracać do domu i skorzystałam z pierwszej lepszej okazji – wyznała Tabby prawdomównie.

– Dlaczego nie chcesz wracać do domu?

– Nie mam dobrych układów z rodziną, zwłaszcza od śmierci taty. Moja mama jest... Nieważne, po prostu nie jestem w jej domu mile widziana. Nie dogaduję się z ojczymem.

– Czemu nie? Masz matkę za złe, że związała się z kimś za szybko po śmierci ojca?

Tabby musiała się chwilę zastanowić, nim zrozumiała, co Emmie ma na myśli.

– Nie, nie o to chodzi. Rodzice rozeszli się na długo przed śmiercią ojca, każde kogoś sobie znalazło. – Naprawdę chciała powiedzieć coś o rodzicach, ale kiedy przychodziło do mówienia o czasach po rozwodzie, wciąż jeszcze brakowało jej słów, tak długo odpychała od siebie te wspomnienia. Poza tym było już w jej historii wystarczająco dużo okropności, nie chciała wyciągać kolejnych.

– Masz jakieś rodzeństwo?

– Ojciec miał dwie przybrane córki, ale nigdy się z nimi naprawdę nie zaprzyjaźniłam i po jego śmierci już się nie widziałyśmy.

Jak to wszystko beznadziejnie brzmiało, jakby wszystkie jej związki z bliskimi ludźmi były porażką. Jej dotychczasowe postępowanie było wystarczająco nieciekawe, a teraz dodawała do niego godną pożałowania historię rodzinną.

– Jak długo nie było cię w domu?

– Siedem miesięcy.

– Aż tyle?

– Tak, od października.

Znowu miała ochotę zapytać swoją rozmówczynię o to samo, ale surowa mina Emmie przypominała jej, że nie była to pogawędka między równymi sobie. Jedną z nich, właśnie ona, miała się wytłumaczyć i przekonać drugą o swoich intencjach.

– Nie wiem jak ty, ale ja zupełnie nie mam kontaktu z domem – dodała z uśmiechem, chcąc uniknąć dłuższych przerw w konwersacji, podczas których Emmie mogłaby zmienić zdanie na jej temat. – Właściwie cokolwiek mogłoby się wydarzyć, a ja nie miałabym o niczym pojęcia.

Emmie spojrzała na nią zaintrygowana.

– Chcesz powiedzieć, że przez cały ten czas nie rozmawiałaś z nikim w Anglii? – spytała z niedowierzaniem. – W ogóle nie wiesz, co się tam dzieje?

Tabby pomyślała o całych tygodniach i miesiącach, podczas których nie zaprzętała sobie głowy wydarzeniami na świecie.

– Wiesz, przez pierwsze miesiące, kiedy jeszcze byłam z Paulem, siedzieliśmy głównie gdzieś na plaży albo jechaliśmy z jednego miejsca do drugiego. Fajnie było nie wiedzieć, co dzieje się gdzie indziej.

To prawda, że z początku miała poczucie dobrowolnego wygnania, smakowania nieznaną dotąd wolności, ale potem była po prostu zbyt zajęta swoim

złamanym sercem, żeby interesować się czymkolwiek innym. Rozpacz stała się jej krainą, a wszystko inne pozostawało poza zasięgiem.

– Zupełnie nie miałam do tego głowy.

Czuła się trochę zawstydzona tym wyznaniem, ale Emmie najwyraźniej się spodobało.

– Więc to znaczy... – zaczęła mówić z optymistyczną nutą w głosie, ale nie dokończyła zdania. Odwróciła tylko wzrok i uśmiechnęła się do siebie.

– Co znaczy? – spytała Tabby, zdobywając się na odwagę.

– Nic. Nieważne. – Emmie wyprostowała się i zebrała puste kubki ze stołu, znowu spokojna jak na początku rozmowy. – Dobrze, że nic nie wiesz. Ale to nie ma znaczenia.

Tabby nie miała pojęcia, jak to rozumieć, ale na razie bardziej obeszło ją, że Emmie poszła do kuchni i znowu nastawiła wodę na herbatę. Wyrok w jej sprawie najwyraźniej został odroczoney.

Wtedy Emmie zawołała:

– Pewnie jesteś głodna! Chciałabyś coś zjeść?

Dla Tabby zabrzmiało to jak wybawienie.

Kiedy zrobiło się naprawdę późno, Emmie powiedziała, że Tabby może zostać na noc. To zaproszenie zapało Tabby dech w piersiach, ale starała się powściągnąć entuzjazm, w obawie, że Emmie mogłaby się nagle zorientować, co właściwie robi,

i przypomnieć sobie, że ma do czynienia z kimś, kto dopiero co włamał się do jej domu. Myśl o nocy spędzonej w jakiejś bramie koło przystani, nad czarną, stojącą wodą i z zimną przestrzenią Atlantyku na horyzoncie, wcale jej nie pociągała.

– Wiesz, gdzie jest druga sypialnia – powiedziała Emmie i to był jedyny dowód, że w ogóle pamięta o początku ich wspólnego wieczoru. Dodała, że rano musi iść do pracy, ale Tabby może spokojnie się wyspać, wziąć kąpiel i zadbać o swoje skrzycone kolano.

– Dziękuję ci bardzo, Emmie, to fantastycznie.

Proszę, proszę, tak może zacząć się szczęśliwy dzień, pomyślała Tabby. Nie zasługiwała na taką przychylność i nie była pewna, dlaczego została jej ofiarowana – najwyraźniej historia jej osamotnienia poruszyła Emmie – ale z całą pewnością nie miała zamiaru odrzucać propozycji.

Kiedy tylko zamknęła za sobą drzwi sypialni, ogarnęło ją uczucie całkowitego szczęścia. Położyć się do łóżka we własnym pokoju ze świadomością, że może spać, jak długo będzie chciała, i wstać bez pośpiechu. Nie martwić się, że ktoś zacznie dobierać się do jej plecaka (w którym zresztą nie było nic cennego) czy do niej samej. Jak nieprzewidywalne jest życie – rzeczy, które w dzieciństwie traktujemy jak oczywistość, w wieku dwudziestu pięciu lat mogą stać się tak trudne do zdobycia, że wydają się błogosławieństwem: czyste łóżko, pełny żołądek, spokojna noc.

A rano – dzwony z pobliskiego kościoła, błękitne niebo, długa, przyjemna kąpiel.

Woda leciała strasznie powoli, ale Tabby się nie przejmowała; najważniejsze, że była gorąca. W dużej, staroświeckiej wannie Tabby mogła zanurzyć się cała. Jej skóra cieszyła się zapomnianym luksusem, a kolano zupełnie przestało boleć. Farba na suficie łuszczyła się, a przez świetlik widać było stare dachówki, ale do wnętrza wlewało się słońce, wyłaczając nieregularne kąty łazienki. Cokolwiek mówiła Emmie, ten dom był tysiąc razy lepszy niż schronisko w Paryżu, w którym spędziła kilka nocy, ze zbiorowymi sypialniami, do których zdążyła się już przyzwyczać, ze wspólnymi łazienkami, mieszającymi się zapachami.

Dom Grégoire'a wydawał jej się tylko odległym wspomnieniem, jakby jej się przyśnił. Spojrzała na swoje ciało zanurzone w wannie, na swoją skórę w różnych odcieniach – ramiona i nogi nadal opalone południowym słońcem, brzuch jaśniejszy i bardziej bezbronny – i spróbowała zobaczyć siebie samą poprzedniego poranka, w jego objęciach. Ale to wspomnienie oddaliło się, a ona powróciła myślami do tego jedyne. Do Paula.

Zastanawiała się, jak co dzień, gdzie mógł teraz być. Czy już wrócił do Anglii, kogo poznał od czasu, gdy się rozstali, czy zdarza mu się żałować, że nie są już razem, i czy wrócił wtedy w to miejsce, gdzie ją zostawił (z tą nadzieją czekała ponad godzinę), czy... Zadawała sobie

kolejne pytania, cierpiąc tak, że trudno jej było oddychać. Nauczyła się przerywać ten proces, tak jak nauczyła się nie śledzić jego losów na portalach społecznościowych, gdzie umieszczał wiadomości dla rodziny i przyjaciół. Coraz dotkliwszy brak pieniędzy, potrzebnych na korzystanie z kafejek internetowych, ułatwiał tę abstynencję. Dawno już wykorzystała cały limit na karcie do telefonu. Z początku przerażała ją myśl o odcięciu od sieci komórkowej, ale potem stało się to naturalne, tak było nawet lepiej.

Przypomniała sobie laptop w sypialni Emmie, ale nawet nie przyszło jej do głowy, żeby go użyć bez pozwolenia. Nie poruszył jej specjalnie paradoks tej sytuacji, bo teraz wydawało jej się trudne do wyobrażenia, że jeszcze wczoraj mogła włamać się do czyjś domu z zamiarem mieszkania w nim tak długo, jak się da. Przecież nie mogłaby czegoś takiego zrobić, prawda?

Nie, na pewno nie.

Emmie wróciła do domu w porze lunchu. Tabby czekała, żeby jej podziękować; plecak postawiła przy drzwiach, kubek, z którego piła rano herbatę, stał umyty na suszarce. Emmie okazała się życzliwa i wielkoduszna, ale Tabby wiedziała, że najwyższy czas poszukać sobie mieszkania i źródła zarobku. Najlepszym rozwiązaniem wydało jej się znalezienie pracy w jakimś hotelu czy pensjonacie, więc postanowiła zdobyć listę w biurze turystycznym

i sprawdzić wszystkie po kolei. Czy będzie z jej strony bezczelnością, jeśli poprosi Emmie o przechowanie jej plecaka na ten czas? Zrobiłaby lepsze wrażenie, nie targając go ze sobą, niczym jakaś uciekinierka. Po kąpieli, uczesana i przebrana w czyste ubranie, wyglądała wreszcie jak człowiek; jak ktoś, komu można dać pracę, bo wzbudza zaufanie, a nie tylko z litości.

Miała zamiar podarować Emmie jakiś upominek w podziękowaniu, gdy tylko trochę stanie na nogi.

– Wszystko w porządku? – zapytała Emmie od progu. Tabby, która spodziewała się raczej irytacji i zniecierpliwienia, była zaskoczona jej dobrym humorem. Zupełnie jakby ucieszyła się na jej widok. W świetle dnia dostrzegła, że Emmie jest atrakcyjną kobietą, a przynajmniej mogłaby być atrakcyjna, gdyby chciała: miała wyraziste, symetryczne rysy twarzy, szeroko osadzone duże oczy i proste, białe zęby. Z dłuższymi włosami wyglądałaby lepiej niż teraz, z krótką, niedbale obciętą fryzurą. Zresztą czy ja w ogóle mam na ten temat coś do powiedzenia, zreflektowała się Tabby – przed kąpielą musiałam sama wyglądać jak kloszard.

– Tak sobie myślałam – zaczęła Emmie z uśmiechem – wiem, jak to jest, kiedy wszyscy są przeciwko tobie, więc jeśli naprawdę nie masz żadnego pomysłu, co dalej, możesz zostać tutaj, aż jakoś się ogarniesz. Jako moja lokatorka.

Tabby wpatrzyła się w nią szeroko otwartymi

oczami, a serce zabiło jej szybciej.

– Naprawdę?

– Tak.

– To strasznie miło z twojej strony, ale...

– Nie masz pieniędzy? – Emmie wzruszyła ramionami. – Jeżeli nie mogą ci nic przysłać z domu, to na początek możesz być mi winna. Zapłacisz, jak będziesz miała z czego. Jakieś pięćdziesiąt euro za tydzień spokojnie wystarczy. Sama nie płacę za ten dom zbyt wiele.

To była naprawdę korzystna propozycja – cały tydzień w takim luksusie za cenę jednej czy dwóch nocy w paskudnym schronisku – cóż z tego, skoro Tabby nie miała pięćdziesięciu euro. Połowa tej sumy stanowiła prawie cały jej majątek.

– Mogłabym ci dać dwadzieścia na początek, a resztę, kiedy tylko dostanę pracę? Miałam właśnie iść do przystani i popytać w kawiarniach.

– Chyba dam radę coś ci załatwić u kobiety, u której pracuję. Wydaje mi się, że ciągle szuka pracowników. Musisz tylko trochę mówić po francusku, a ona płaci gotówką, nie trzeba podpisywać żadnych papierów ani nic. Nawet nie wie, jak się nazywam. To znaczy, jak mam na nazwisko – dodała Emmie, widząc zdziwione spojrzenie Tabby.

– A co właściwie robisz? – spytała Tabby.

Emmie składnie się wyrażała i wydawała się wykształcona, co dla Tabby oznaczało, że pewnie nie

pracuje fizycznie. Ona sama nie bardzo sobie radziła z pracą biurową. Przed wyruszeniem w podróż trudno jej było zahaczyć się gdzieś na stałe, a na ostatniej posadzie, w sekretariacie firmy zarządzającej nieruchomościami, miała trudności ze zorganizowaniem się, mimo niewygórowanych wymagań. Nie potrafiłaby przygotować żadnego dokumentu po francusku i nie chciała, żeby jej brak kwalifikacji zaszkodził Emmie.

– Sprzątam – odparła Emmie, jakby już jej to wcześniej mówiła. – Dasz sobie z tym radę, prawda? Większość domów tutaj to domy wakacyjne albo zbudowane specjalnie na wynajem, więc im bliżej sezonu, tym więcej pracy. W lipcu i sierpniu podobno robi się prawdziwe szaleństwo, trzeba przygotowywać domy na przyjazd właścicieli i sprzątać te wynajmowane. Ale to przyzwoita praca, można się czymś zająć i nie myśleć.

– Jasne, sprzątanie – powiedziała Tabby, starannie ukrywając zaskoczenie. – Długo już tu pracujesz?

– Od kiedy przyjechałam, jakiś miesiąc temu.

A więc bardzo niedawno, co mogło tłumaczyć niewielką liczbę osobistych drobiazgow w domu. Dziwna pora roku na przyjazd, jeśli, jak powiedziała, pracy było najwięcej w sezonie. Wobec przyjaznego nastawienia Emmie Tabby postanowiła zaryzykować jedno czy dwa pytania więcej.

– A co robiłaś przedtem, w Anglii?

W mgnieniu oka twarz Emmie przygasła.

– Co innego.

– Chciałaś po prostu mieszkać we Francji?

– Nie, właściwie to nie.

– Nie układało ci się w domu?

– Nie za bardzo.

Zapadła chwila ciszy, podczas której Emmie szukała słów, patrząc na Tabby uważnie, zanim odwróciła wzrok.

– Nie tylko ty masz za sobą trudne przejścia, które najlepiej zapomnieć.

Tabby miała wielką ochotę zapytać, co to były za przejścia, o jakich rzeczach Emmie chciała nie myśleć, dlaczego poprzedniego wieczora powiedziała: „Dobrze, że nic nie wiesz”. Nie wiesz czego? Ale jak dotąd odpowiedzi Emmie były tak wymijające, że zorientowała się, iż nie powinna pytać. Wobec jej wielkodusznej propozycji Tabby nie mogła sobie pozwolić na nagabywania, zwłaszcza że alternatywą mogło okazać się podkradanie jedzenia w sklepie i podróżowanie autostopem.

Emmie westchnęła.

– To jak, chcesz zostać czy nie?

– No jasne – odparła Tabby.

Rozdział 4

Emily

Zanim napiszę coś więcej, chciałabym zaznaczyć, że piszę to wszystko dla siebie, dla nikogo innego, a już na pewno nie do publicznej wiadomości. Niektórzy ludzie, moim zdaniem, powinni to przeczytać – moją wersję, przedstawioną tak uczciwie, jak tylko potrafię – ale nie mam zamiaru dać im ku temu okazji. Zresztą i tak by nie chcieli, przynajmniej dopóki wszystkie wydarzenia są tak mało odległe, a cierpienie tak dojmujące. Wręcz przeciwnie: zapewne woleliby jedynie ujrzeć, jak spotyka mnie odpowiednia kara, niczym Annę Boleyn czy morderczynię Ruth Ellis, których nazwiska wymieniano w artykułach na mój temat – a raczej na temat tej Emily Marr, za którą mnie uznali.

„Czy to najbardziej znienawidzona kobieta w Wielkiej Brytanii?” – pytała jedna z gazet, i nie napisała tego nawet Nina Meeks.

Więc dlaczego w ogóle chcę pisać? Dlaczego zadawać sobie tortury, przeżywać wszystko na nowo? Na pewno nie dla potomności czy żeby się pochwalić. Myślę, że sama tego drugi raz nie przeczytam, nawet nie wydrukuję sobie na pamiętkę. Kiedy podczas przyjęcia powiedziałam Edowi Meeksowi, że chciałabym być pisarką, w najczarniejszych snach nie wyobrażałam

sobie, że przyjdzie mi opisywać taką historię. Ale być może nic innego nie skłoniłoby mnie do zajęcia się pisaniem.

Powód jest prosty – chcę to z siebie wyrzucić. Jeżeli pozbędę się tych wszystkich słów, opróżnię głowę, to może uda mi się napełnić ją potem innymi słowami, inną opowieścią. Nowym życiem.

Może. Jak widać, muszę mieć nadzieję. Nie pozostaje mi nic innego.

Po raz drugi spotkałam Arthura w niespodziewanych okolicznościach – w prowadzącej warsztaty ceramiczne kawiarni, w której pracowałam. Ojcowie dorastających chłopaków nie należeli do typowej klienteli Earth, Paint & Fire, w ogóle mężczyźni, a nawet chłopcy rzadko się u nas zjawiali. Malowanie dzbanuszków i jedzenie babeczek z kremem najwyraźniej jest zajęciem preferowanym przez matki i córki. A jednak zjawił się któregoś sobotniego popołudnia w styczniu, tuż przed zamknięciem. Podszedł do mnie w sali na tyłach kawiarni, kiedy sprzątałam po przyjęciu z okazji piątych urodzin, zakończonym fontanną czekoladową. W tej sali każdy krzyk odbijał się bolesnym echem i piski dziewczynek nadal brzmiały mi w uszach, zwłaszcza ten konkretny ton, który nauczyłam się bezbłędnie rozpoznawać jako graniczny: z jednej strony hałaśliwa radość, a zaraz potem histeryczne zanoszenie się, które zazwyczaj kończyło się interwencją rodzica i wyniesieniem delikwentki przerzuconej przez ramię

niczym zepsuta lalka.

Kiedy więc zaczął mówić, dźwięk jego głosu przyniósł spokój i ulgę. Miałam ochotę dotknąć tego brzmienia, zanurzyć nadgarstki w jego chłodnym nurcie i poczuć, jak moje serce wyrównuje rytm.

– Dzień dobry. Nie wiem, czy mnie pamiętasz, spotkaliśmy się na przyjęciu u Marcusa i Sary. Nazywam się Arthur Woodhall.

– Oczywiście, że pamiętam. Co słyhać?

Uświadomiłam sobie, że jestem w fartuchu poplamionym farbą i wysmarowanym czekoladą (kto wie, czy nie miałam śladów po czekoladzie także na twarzy) i że w ogóle nie prezentuję się najlepiej. Włosy, które na przyjęciu spadały mi na plecy jasną kaskadą, teraz zebrane były w roboczą kitkę. Na legginsach i bluzie plamy, znoszone baleriny. Za to jego swobodny weekendowy strój (dżinsy i sweter) zdradzał schludność i zamożność.

– Przyszedłeś odebrać dziecko z zabawy urodzinowej? Chyba wszyscy poszli już do domu.

Rzucił okiem na otaczający nas bałagan.

– A więc to była zabawa? Urodzinowa? Myślałem, że walka wszystkich ze wszystkimi.

Roześmiałam się.

– Na to samo wychodzi. I nie wiesz nawet, jak przyjemnie jest wreszcie porozmawiać z kimś, kto nie ma zamiaru wybuchnąć płaczem.

– No, to akurat dzisiaj, ale w inny dzień nie ręczę za

siebie – odparł.

Popatrzyliśmy sobie w oczy z uśmiechem. Ogarnęła mnie rozbrajająca pewność, że zgodzę się na wszystko, co miałby ochotę mi zaproponować.

– W takim razie czym mogę służyć? – spytałam.

– Przysłano mnie tutaj, żebym odebrał jakiś talerz – odparł takim tonem, jakby mówił o artefakcie z kosmosu, a nie o zwykłym elemencie wyposażenia domowego. – Żona była tu dwa tygodnie temu z siostrzenicą i pomalowały talerz. Mówiła, że powinien już być gotowy.

– Masz paragon?

– Niestety nie.

– Jeśli to było dwa tygodnie temu, to powinien być wśród ostatnio wypalanych prac, w ten poniedziałek albo w poprzedni. Wszystkie stoją na wystawie w kawiarni, chodźmy zobaczyć.

Zaprowadziłam go do wielkiej oszklonej witryny naprzeciwko kontuaru, w której setki dzieł czekały na odebranie. Stały tam zastępy szklonych figurek kotków, piesków, kaczek i żółwi oraz całe flotylle dzbanuszków do mleka, sosjerek i czajniczków. Niektóre były pomazane byle jak i na pewno nieprzeznaczone na widok publiczny, ale inne, starannie wykonane i ozdobione przemyślanym wzorem, zasługiwały na prezentację. Razem stanowiły barwne zbiorowisko, we wszystkich kolorach tęczy, wylewanych przez dzieci z plastikowych butli, które codziennie

napełniałyśmy na nowo. Czasami wyobrażałam sobie, co by się stało, gdyby witryna załamała się pod ich ciężarem – jakby nastąpił kolorowy koniec świata.

Odwróciłam się do Arthura z tą samą życzliwą pobłażliwością, z jaką traktowałam każdego zagubionego faceta zjawiającego się w kawiarni na polecenie żony – no dobrze, może jeszcze z odrobiną kokieterii.

– Czego właściwie szukamy? Wiesz, jaki duży był ten talerz?

– Chyba duży. To urodzinowy prezent dla siostry Sylvie i zdaje się, że jest z datą urodzin. To powinno ułatwić sprawę.

Ale kiedy postawiłam przed nim trzy talerze i jeden półmisek, wszystkie z datami przypadającymi w ciągu najbliższych dwóch tygodni, Arthur przyznał, że nie potrafi sobie przypomnieć, kiedy jego szwagierka ma urodziny.

– Wiesz, jakiego był koloru?

Tego też nie wiedział.

– Obawiam się, że moje przygotowanie do tej misji jest żałosne – powiedział, bez śladu zakłopotania na twarzy, a dla mnie jego słowa zabrzmiały niezwykle. Klienci nie rozmawiali ze mną w taki śmiały, bezpośredni sposób. Zdarzało się jednak, że podobnie jak on nie wiedzieli, czego szukają. Matki potrafiły wydać setki funtów na przyjęcie urodzinowe połączone z warsztatami, po to by później niemal nie zwracać

uwagi na jego przebieg, zamiast tego zajmując się rozmową z innymi rodzicami. Czasami po sobotniej wizycie nie chciało im się nawet wrócić po wypalony talerz czy czajniczek, za który z góry zapłaciły. Był to naprawdę kosztowny sposób zapewnienia dziecku rozrywki przez godzinę.

– Chyba będziesz musiał po niego przyjść jeszcze raz – powiedziałam, słysząc we własnym głosie wyraźny zapraszający ton. – Nie mogę ci wydać żadnego z tych tutaj, bo może się okazać, że zabierzesz cudzy, a ten klient oczywiście zjawi się natychmiast, jak tylko zamkną się za tobą drzwi.

– No pewnie. Tego nie możemy zrobić.

Liczba mnoga sugerowała wspólny spisak, ale zanim zdążyłam się tym nacieszyć, on podbił stawkę, pytając, czy już skończyłam na dzisiaj, a jeśli tak, to czy miałabym ochotę przejść się z nim kawałek w stronę domu? Zdumiała mnie własna reakcja na tę propozycję: serce zabiło mi szybciej, a moje ciało stało się lekkie, jakby porywano mnie na rajską wyspę w towarzystwie przystojnego gwiazdora filmowego, którego samolot wylądował na ulicy przed kawiarnią.

– Jasne – powiedziałam, starając się, żeby mój głos zabrzmiał pogodnie, a nie z zachwytem. – Świetny pomysł.

Jak zwykle w sobotę moja zmiana przeciągała się, za co nie dostawałam żadnych nadgodzin ani odznaki za pracowitość (już dawno zorientowałam się, że nie mam

co liczyć na awans – kierowniczką była właścicielką sieci franczyzowej, a w wakacje zastępowała ją szwagierka), więc zdecydowałam, że wychodzę, nie kończąc sprzątnia i bez pytania Charlotte o zgodę.

– Muszę dzisiaj wyjść punktualnie – zawołałam do niej. – Jestem umówiona.

Stała akurat za kasą i zaczynała liczyć dzienny utarg, więc tylko zmarszczyła brwi, nie patrząc na mnie.

– Wszystko już prawie skończone, trzeba tylko odkurzyć podłogę. Aislene może to zrobić, prawda? – dodałam. Aislene, która przychodziła w soboty sprzątać, dostawała wynagrodzenie za godziny, więc trudno było się spodziewać, że wykona jakąś nadmiarową pracę za darmo.

Arthur czekał na mnie na zewnątrz. Poszłam za nim, zbuntowany niewolnik, który odrzucił kajdany, Kopciuszek, który ucieka na bal.

– Może pójdziemy przez park? – zaproponował. – Czy jest już za ciemno?

– Nie, chodźmy, jeżeli jest jeszcze otwarty.

Nie przyszłoby mi do głowy o tej porze roku samotnie wracać przez park, nie tylko dlatego, że był nieoświetlony, ale też trzeba było nadłożyć drogi, żeby przez niego przejść. Tymczasem akurat teraz obie okoliczności okazywały się sprzyjające: nikt nas nie zobaczy i jeśli nie będziemy się spieszyć, powrót na Grove zajmie dobre pół godziny. Ciekawa byłam, czy on też wziął to pod uwagę.

– Cieszę się, że na ciebie trafiłem – powiedział, kiedy czekaliśmy na przejściu. – Chciałem zapytać, jak z ojcem.

Poczułam, że uśmiech znika mi z twarzy, i zmusiłam się, żeby go utrzymać. Nie chciałam, żeby widział we mnie wiecznie zrozpaczoną córkę; zresztą nie chciałam być ciągle zrozpaczona.

– Prawdę mówiąc, to niezbyt dobrze. Podczas dwóch moich ostatnich wizyt był mało przytomny. Coraz trudniej mi wierzyć, że chodzenie tam ma sens – z jego punktu widzenia. Nawet jeśli nie śpi, nie zawsze mnie rozpoznaje. Czasem muszę mu pokazać moje zdjęcie z dzieciństwa, ale to też nie zawsze działa.

– Nie zapisują się nowsze wspomnienia. To część tej choroby. Poza dzieciństwem i wczesnym okresem dorosłości wszystko wydarza się jakby po raz pierwszy.

– No właśnie. Nie ma sensu się z nim spierać ani próbować mu czegoś przypominać. Zazwyczaj zgadzam się ze wszystkim, co mówi, a jeśli coś go niepokoi, staram się jakoś odwrócić jego uwagę.

– Tak chyba jest najlepiej – powiedział Arthur.

Brama parku była jeszcze otwarta. Kiedy wyszliśmy z zasięgu światła ulicznych i ruszyliśmy pustą alejką obramowaną cichymi, ciemnymi drzewami, poczułam, że bardzo mam ochotę mu się zwierzyć, jak wtedy na przyjęciu.

– Czasami wydaje mi się, że on chciałby pamiętać. Wiedzieć to wszystko, co kiedyś. Być tym, kim kiedyś

był. Ale wiem, że to złudzenie i że przypisuję mu swoje własne uczucia. To nieodwracalna choroba i dawno już wyszedł z wczesnego stadium. – Westchnęłam, żeby smutek nie ścisnął mi całkiem gardła. – Jest tam taka pielęgniarka, stażystka, do której jest bardziej przywiązany niż do mnie. Nawet jeśli ich kolejne kontakty są jakby po raz pierwszy, on czuje, że jest mu bliska. Oczywiście nie mam o to żalu – cieszę się, że w ogóle może się tak czuć, z kimkolwiek.

– Ale na pewno musi ci być bardzo ciężko – powiedział Arthur, a jego głos był pełen prawdziwego współczucia, jakbyśmy dobrze się znali, jak gdyby dzielił mój ból. Nie mogłam powstrzymać się przed porównaniem jego reakcji z pytaniami Matta, które były dość bezceremonialne i wyraźnie zakładały najgorszą z odpowiedzi.

– Nie, jakoś sobie radzę, naprawdę. To się już ciągnie od paru lat i pogodziłam się z sytuacją. Teraz staram się przygotować na to, co nieuniknione.

Nie byłam wcale aż taka dzielna. Byłoby więcej prawdy w stwierdzeniu, że na razie przygotowuję się na konieczność przygotowania się do kolejnych wydarzeń.

– A co z twoją mamą?

– Mama zmarła, gdy miałam dziewięć lat. Dlatego jesteśmy tak związani ze sobą, tata i ja. Dlatego jest mi tak ciężko.

Pomimo zapadającego zmroku zauważyłam zaskoczenie i litość na jego twarzy.

– Spotkało cię nieszczęście, Emily.

– No tak. Ale i tak mam więcej szczęścia niż wielu ludzi.

Na przykład to, że po raz pierwszy usłyszałam, jak wymawia moje imię, sprawiło, że nagle poczułam się niesamowicie szczęśliwa. Ciekawe, jak by zareagował, gdybym mu to powiedziała. Ciekawe, co by zrobił, gdybym wsunęła mu rękę pod ramię, mówiąc, że boję się ciemności – albo nie mówiąc nic.

– To dobrze, że podchodzisz do tego w taki sposób – powiedział. – Łatwo jest poczuć się prześladowanym przez chorobę. Codziennie mam z tym do czynienia. Ludzie zawsze chcą wiedzieć, dlaczego właśnie ich to spotkało, jakby choroba była jakąś karą czy niesprawiedliwością.

– To nie mnie spotkało – odparłam. – Dla niego jest znacznie gorsze. Ale on nie traktuje swojej choroby jako kary czy podobnie. To pewnie akurat jedna z dobrych stron alzheimera.

– Masz rodzeństwo, żeby podzielić się obowiązkami?

– Mam brata. Mieszka w Newbury, ale przyjeżdża do ojca raz na tydzień. Kiedy przyjeżdża, robię sobie wolne.

Ponieważ Phil był jedyną osobą, która mogła mnie zastąpić przy tacie, rzadko się spotykaliśmy, niestety.

– Ale i tak musi ci być trudno. Wydaje mi się, że radzisz sobie najlepiej jak można. Do tego pracujesz na

cały etat w kawiarni. Masz naprawdę sporo na głowie.

– Nie jest tak źle, da się żyć. Na szczęście nie mam dzieci – powiedziałam, spoglądając akurat na pusty już plac zabaw w oddali. – I tak mam więcej wolnego czasu niż większość ludzi.

– Ale chciałybyś mieć kiedyś dzieci? – zapytał takim tonem, że w jego głosie słychać było niedopowiedziane: oczywiście. Zajrzał mi w oczy, czekając na odpowiedź. A kiedy nic nie mówiłam, zreflektował się. – Przepraszam. Chyba jestem za bardzo przyzwyczajony do domyślania się różnych rzeczy. To nie moja sprawa. – Ale wciąż patrzył mi w oczy, aż musieliśmy zwolnić kroku. Wreszcie odwrócił wzrok i przyspieszył. – Robi się zimno – powiedział.

Podbiegłam, żeby się z nim zrównać.

– Chciałabym mieć dzieci, jasne – powiedziałam z pośpiechem, jakbym bała się, że stracę jakąś szansę. – Oczywiście, że bym chciała. Ale mój chłopak...

– Ten, z którym przyszłaś na przyjęcie? Matt?

– Mhm. On nie myśli o zakładaniu rodziny. Zresztą ja też nie myślę o rodzinie z nim, więc to nie problem. On nie chce być ze mną. A ja nie chcę być z nim.

Było to śmiałe wyznanie według wszelkich standardów, ale Arthur przyjął to nieporuszony, jakby każdego dnia wysłuchiwał podobnych zwierzeń.

– Aha. Tak to wygląda.

– Właśnie tak – odparłam, odetchnąwszy głęboko. – Nie miałyby mi za złe, że tak powiedziałam. Wprawdzie

mówię o nim „mój chłopak”, ale tak naprawdę jesteśmy już tylko przyjaciółmi, współlokatorami. Musieliśmy szybko znaleźć jakieś nowe mieszkanie i nie było czasu na podejmowanie ważnych decyzji. Powinniśmy byli po prostu to skończyć.

Bezsens wspólnego wynajmowania mieszkania z Mattem nigdy nie wydał mi się tak jaskrawy. Całe to marnotrawstwo! Oboje zasługiwaliśmy na coś lepszego niż związek ze względów praktycznych.

– Potrafisz skłaniać ludzi do mówienia o sobie, prawda? – powiedziałam, bo już drugi raz potraktowałam niezobowiązującą rozmowę z tym facetem jak spowiedź. Zdumiewał mnie brak skrępowania u któregośkolwiek z nas. – Ale bardzo taktownie, nie obraż się.

– To chyba część mojej pracy – odparł. – Muszę umieć dowiedzieć się wszystkiego, co konieczne.

Nie chciałam zastanawiać się, czy informacje o moim związku z Mattem mogłyby być dla niego „konieczne”. W końcu był żonaty.

– No tak, w szpitalu pewnie musisz radzić sobie z różnymi osobami i wysłuchiwać najróżniejszych sekretów.

– Owszem. Chociaż nie zawsze mam ochotę je poznawać.

Uśmiechnęłam się.

– Też używasz eufemizmów, jak lekarze w szpitalu u taty? Założę się, że nigdy w rozmowach z pacjentami

nie wypowiedzasz słowa „śmierć”, prawda?

Po raz pierwszy w moim towarzystwie roześmiał się na głos, serdecznym śmiechem, który od razu rozbawił i mnie.

– No cóż, ponieważ głównie zajmuję się leczeniem zeza, to temat śmierci nieczęsto się pojawia.

Co za pomyłka. Zrobiłam pocieszoną minę.

– Ale mogą być przecież jakieś powikłania przy znieczuleniu?

– To prawda, ale o takich sprawach rozmawia z pacjentem anestezjolog. Ja zajmuję się tylko problemami z widzeniem.

Bardzo łatwo było wyobrazić go sobie przy pracy: na pewno jest całkowicie spokojny, tak skupiony, że niemal surowy. Pewnie bardzo wczesnie wiedział, kim zostanie, i poszedł na studia na najlepszą uczelnię – w przeciwieństwie do kogoś takiego jak ja, kogoś, kto w ogóle nie poszedł na studia i w żadnej pracy nie zagrzał długo miejsca. Nie wspinałam się po szczeblach kariery, co najwyżej przechodziłam na sąsiedni wolny stopień, nie chcąc zastanawiać się nad tym, że ciągle pozostaję blisko ziemi (może też miałam problemy z widzeniem). Otrząsając się z tych myśli, powiedziałam:

– Ja nigdy nie miałam narkozy. Nie mam pojęcia, jakie to uczucie.

– Nie ma czego żałować, możesz mi wierzyć. Najwyraźniej nie potrzebowałaś żadnej operacji.

– Nie. A ty?

Podniósł odrobinę brwi, z uśmieszkiem.

– Chyba powinienem trochę lepiej cię poznać, zanim zacznę ujawniać tego typu informacje.

To była jedna z najdziwniejszych rozmów w moim życiu. Zwierzałam się z kłopotów z ojcem, opowiadałam o swoim nieudanym związku, pytałam, czy miał kiedyś jakąś operację! Gdyby na jego miejscu był ktoś inny, uznałabym już dawno, że się koszmarnie wygłupiłam, ale z nim miałam wrażenie, że jestem po prostu miła i bezpośrednia. Wydało mi się dziwnym zrządzeniem losu, że dwie osoby wiodące krańcowo odmienne życie, jedna z takimi osiągnięciami, a druga nijaka, mogą mieć sobie tyle do powiedzenia i odczuwać tak bliski związek. Była to bliskość, której nie chciałam jeszcze wtedy nazwać, ale musiałam wiedzieć, na czym polegała – na pewno nie na wspólnym kodzie pocztowym.

Doszliśmy do końca parku i Arthur otworzył przede mną bramkę. Zbliżała się godzina zamknięcia, pewnie byliśmy ostatnimi spacerowiczami. Na zewnątrz, w świetle latarni, przyspieszyliśmy kroku i wkrótce doszliśmy do mojego końca ulicy i do dróżki prowadzącej do drzwi domu pod numerem 199. Okna mojego mieszkania były ciemne – Matta nie było. Zatrzymałam się na chwilę z Arthurem, mając wielką ochotę zaprosić go na górę, prawie (ale jednak nie całkiem) gotowa zignorować obraz mieszkania, jaki

stanął mi przed oczyma: w kuchni zlew pełny brudnych naczyń od wczoraj, wszędzie porozrzucone rowerowe ciuchy i gadzety Matta, pożalowania godny brak czegokolwiek do picia poza tanim piwem.

– Chciałabym cię zaprosić na herbatę – powiedziałam wreszcie – ale to miejsce jest pewnie w takim stanie, że wstydziłabym się je komuś pokazać.

Sądząc po miłym, lecz zawiedzionym uśmiechu Arthura, zaproszenie nie zostałoby odrzucone.

– Gdybyś kiedyś miała okazję zobaczyć pokój mojego starszego syna, od razu byś zrozumiała, że widziałem dużo gorsze rzeczy.

Wyobraziłam sobie jego dom na drugim, elegantszym końcu Grove – rodzina czekająca na jego powrót, żona ciekawa, jak wyszedł zrobiony na warsztatach talerz. Wszystko z wyjątkiem pokoju syna nieskazitelne, podobnie jak u Laingów: mnóstwo stylowych, drogich mebli, na ścianach odziedziczone po przodkach obrazy, może fortepian w bibliotece. Dziś wieczorem pewnie wyjdą na jakąś szykowną kolację albo dobroczynną galę, a może do teatru czy do opery. Oczywiście należą do Przyjaciół. A jednak wydało mi się już wtedy, że te wszystkie rzeczy nie mają dla niego większego znaczenia, że zajmują go szlachetniejsze sprawy.

– No cóż, może innym razem – powiedział, ciągle się uśmiechając.

– Koniecznie.

Staliśmy tak, patrząc na siebie w zapadających ciemnościach, oddaleni na wyciągnięcie ręki, wystarczająco blisko, bym widziała, że jego oczy są podkrążone, a skóra wokół nich delikatna, jakby zmęczona ciągłym przecieraniem. Żadne z nas nie zrobiło kroku, żeby odejść, i miałam to samo uczucie, co na przyjęciu, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy – trudne do przewyciężenia fizyczne przyciąganie; nie więzi serca, jeszcze nie, ale jakąś więź cielesną, coś sięgającego trzewi.

– Wyglądasz inaczej – powiedział po chwili, tonem refleksji.

Zdałam sobie sprawę, że chodzi mu o różnicę w stosunku do dnia, kiedy się poznaliśmy.

– Jak, znacznie gorzej? Wymęczona i obdarta? – roześmiałam się. – Z całą pewnością.

– Nie, wcale nie to miałem na myśli. Obie wersje mi się podobają.

– Dziękuję.

Nie wiedziałam, co innego mogłabym odpowiedzieć.

Wreszcie odwrócił się i odszedł, rzucając szybkie spojrzenie na okna domu Laingów, kiedy go mijał. Chociaż musieli być dobrymi znajomymi, wyobraziłam sobie, że Arthur miał nadzieję, iż nie natknie się na wychodzącego akurat Marcusa albo Sarę. Tak samo jak ja.

To jego żona, Sylvie Woodhall, tydzień później

przyszła odebrać talerz. Klęczałam akurat niedaleko kontuaru i rozpakowywałam dostarczone niedawno pudła z biżuterią gotową do szklwienia, kiedy usłyszałam, jak podaje Aislene swoje nazwisko i opisuje talerz.

– Przysłałam w poprzednią sobotę męża, ale najwyraźniej nie umiał sobie poradzić z tym zadaniem. – A potem zawołała: – O, to ten, na samym dole, ten duży złoty! Nie mam pojęcia, jak mógł go nie zauważyć.

– Powinien sobie sprawdzić wzrok – zawtórował jej jakiś kobiecy głos, a potem roześmiał się krótko i ostro. Nie musiałam zgadywać, to na pewno była łowczyni skalpów, dziennikarka Nina.

Zmieniłam trochę pozycję za swoim kartonem, żeby móc dyskretnie im się przyjrzeć. Obie były dawno po czterdzieście albo tuż po pięćdziesiątce, bardzo dobrze ubrane: markowe wełniane płaszcze i zamszowe kozaki na koturnach, kaszmirowe szale w stonowanych kolorach okręcone niedbale wokół szyi i na ramionach, torebki co najmniej sto razy droższe niż którakolwiek z moich toreb. Żona Arthura miała gęste, naturalnie wyglądające blond loki, szczupłą twarz o trochę kanciastych rysach i typowo angielską delikatną karnację. Nina nosiła krótszą, ciemną fryzurę, a gładkość i perłowy blask jej cery świadczyły o wizytach w dobrych zakładach kosmetycznych. Stały w kolejce do kasy – Sylvie, trzymając w objęciach wielki złoty talerz, niczym trofeum

sportowe – i rozmawiały swobodnie o prywatnych sprawach, nie przejmując się, że ktoś mógłby je słyszeć. Klienci często zachowywali się w ten sposób i już dawno nauczyłam się nie zwracać uwagi na te telenowełe relacjonowane dookoła; tym razem jednak słuchałam uważnie. Skończyłam już rozpakowywanie pudeł z biżuterią i zabrałam się do kartonu ze skarbonkami, chociaż miały jeszcze poczekać. Przeciągałam pracę jak najdłużej, z nadzieją, że nie pojawi się Charlotte, której na pewno by się to nie spodobało.

– Tak czy siak moim zdaniem radzisz sobie doskonale – mówiła Nina mocnym, donośnym głosem, idealnym do publicznych wystąpień. Roztaczała wokół siebie aurę zdecydowania i pewności siebie, jakiej nie spotyka się na co dzień, jakby w każdej chwili potrafiła bez żadnego przygotowania uciszyć obecnych i poprowadzić wiec w dowolnej sprawie. – To już prawie dwa lata, co? Jak na niego, świetny wynik.

– O ile wiem, to tak. Żałosne, żeby trzeba było gratulować mu takich osiągnięć.

– Moim zdaniem to ty powinnaś gratulować sobie, że udało ci się przez to przejść, zamiast mieć poczucie winy, że nie cieszysz się ze wszystkiego jak jakaś Mała Księżniczka.

– Ale czasami sobie nie radzę, nie umiem powstrzymać złości – głos Sylvie był wyższy niż jej przyjaciółki i brzmiał trochę prosząco. – Nie tylko z powodu tego, ale w ogóle, bo nasze role tak się różnią.

Wiesz, o co chodzi, już ci mówiłam, wszystkie te domowe obowiązki na mojej głowie, rzeczy, o których on nie ma najmniejszego pojęcia. Które są tak bardzo poniżej jego poziomu, że równie dobrze mogłyby się dziać pod ziemią.

Nina z westchnieniem ściągnęła rękawiczki (skórzane, w pięknym szaroniebieskim kolorze), jakby zanosiło się na dłuższą dyskusję.

– I wygląda, że z wiekiem to się tylko pogarsza, no nie? Nie uwierzyłabyś, jak Ed zachowuje się ostatnio, jak najważniejsza osoba na świecie. Można by pomyśleć, że jest co najmniej ministrem spraw zagranicznych, a nie facetem, który tylko próbuje zadać jakieś pytanie na konferencjach prasowych. Jest po prostu zbyt cenny dla przyszłości naszego kraju, żeby zająć się rezerwowaniem stolika w knajpie albo czekaniem na hydraulika. Arthur przynajmniej ma sekretarkę od całej tej brudnej roboty. A my co, w większości robimy, co robimy, chociaż wcale się o to nie starałyśmy. Może oni jednak mają więcej rozumu, niż nam się wydaje?

– Może. – Sylvie Woodhall stała dalej ode mnie niż Nina i nie słyszałam jej tak samo dobrze, ale udawało mi się zrozumieć prawie wszystko. – Problem w tym, że u nas istnieje duża różnica, taka prawdziwa. Nie mam takiego zawodu jak ty, moja praca nie może się równać z jego pracą, w żaden sposób. – Westchnęła. – Ale to nic nowego i nie wiem, dlaczego w ogóle o tym mówię, szkoda czasu.

Byłam ciekawa, czym zajmuje się Sylvie. Stawiałam na amatorskie projektowanie wnętrza albo biżuterii czy inną tego typu niedochodową pracę; na pewno nie na etacie, tylko we własnym zakresie; bez wątplenia nie klęczała nigdzie na podłodze przy rozpakowywaniu pudeł ze skarbonkami.

Jeżeli chodzi o Arthura, to po naszym ostatnim spotkaniu wrzuciłam jego nazwisko w wyszukiwarkę i wiedziałam już, że jest wybitnym i szanowanym lekarzem, światowej klasy specjalistą w leczeniu zezów, a jego reputacja została ugruntowana wiele lat temu, gdy leczył jednego z członków rodziny królewskiej, cierpiącego na problemy ze wzrokiem po wylewie. Przez piętnaście minut spędzonych przy komputerze Matta dowiedziałam się także, że pracuje w szpitalu St Barnabas i przyjmuje prywatnie w gabinecie przy słynnej Harley Street oraz że ma aż dwie sekretarki, nie tylko jedną, które mogą go wyręczać w rezerwowaniu stolików i umawianiu hydraulika. Po jego nazwisku ciągnął się szereg skrótów oznaczających jakieś bliżej mi nieznane tytuły naukowe, a on sam był patronem prowadzonej charytatywnie kliniki w Afryce, w której pracował przez kilka dni w roku. Czasami pojawiał się nawet na stronach z wiadomościami towarzyskimi.

– Ale dlaczego właściwie nie miałyby się równać – powiedziała Nina. – Tylko dlatego, że on jest sławnym chirurgiem? To w końcu żadne bohaterstwo, co on robi, prawda? Nie pracuje na intensywnej terapii ani nie

przeszczepia serc niemowlętom. To tylko zez. Podwójne widzenie. Daj spokój, większość ludzi potrafi to świetnie wyleczyć, zmniejszając wieczorne spożycie alkoholu.

– No jasne, ja w każdym razie potrafię doskonale – odparła Sylvie i obydwie roześmiały się z tego żartu, który musiał być jakąś aluzją do spraw osobistych.

Śmiech Sylvie, cichszy i gorzki, trwał dłużej niż swobodny, głośny śmiech Niny. Chociaż Sylvie żartowała z samej siebie, widać było, że cieszy ją okazja, by trochę wyśmiać męża. Pomyślałam, że pewnie podobne okazje nie zdarzają się często (zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę moją własną reakcję na jego urok) i że to Nina dodaje jej pewności siebie. Przyjrzałam się Ninie. Trochę się jej obawiałam, ale rozumiałam, na czym polega jej atrakcyjność: była zdecydowana, silna i miała poczucie humoru. To ona narzucała ton rozmowie, wspierając przyjaciółkę tak śmiało i życzliwie, jak mnie nikt nigdy nie wspierał (ani ja nikogo). W jaki sposób bezbarwna i narzekająca Sylvie zdobyła jej przyjaźń – a przede wszystkim miłość Arthura? Czy kiedyś była inna? Ciekawiło mnie, jak potoczyła się ich historia. Zresztą nie tylko mnie – zauważyłam, że nie jestem jedyną osobą przysłuchującą się ich rozmowie, bo kilku innych klientów umilkło, zerkając na nie z boku. Nawet jak na standardy tego miejsca Sylvie i Nina zachowywały się bardzo swobodnie, co uznałam za zwykłą arogancję. Na przyjęciach albo wśród swoich znajomych zapewne

bardziej liczyły się ze słowami, ale tutaj, gdzie bywały głównie matki z dziećmi i ludzie z innych, mniej eleganckich ulic oraz personel, który z definicji znajduje się poniżej wszelkich norm (jakby mieszkał pod ziemią, pomyślałam cierpko) – tutaj nie musiały uważać. Każdy jest ważny, powiedział mi Arthur, ale dla kobiet takich jak one nie była to prawda. Nikt nie był dla nich ważny, poza ludźmi, którzy dzielili z nimi wyżyny.

Co oczywiście nie znaczyło, że w ogóle nie zwracały uwagi na nikogo z zewnątrz. Od czasu do czasu zdarzało się, że kogoś zauważyły – tak jak teraz mnie, gdy wreszcie, zmęczona klęceniem, zmieniłam pozycję i przesuwając pudło bliżej szafki, ściągnęłam do tyłu łopatkę, chcąc pozbyć się bólu ramion.

– My się znamy, prawda? – zawołała Nina, patrząc na mnie z zainteresowaniem. Sylvie dotarła wreszcie do kasy i podała talerz do zapakowania, a Nina zrobiła krok w moim kierunku. Najwyraźniej bawił ją taki sprawdzian pamięci. – Tylko skąd?

– Być może widziała mnie pani tutaj już wcześniej? – podsunęłam nieśmiało. Pod jej wycelowanym prosto we mnie spojrzeniem moja twarz pokryła się rumieńcem.

– Nie, na pewno nie, nigdy tutaj nie byłam. Czy nie była pani na przyjęciu u Marcusa i Sary w Boże Narodzenie?

– Byłam – przytaknęłam i przełknęłam ślinę. – Mieszkam zaraz obok. Ale wydaje mi się, że się tam nie spotkałyśmy?

Chyba rozśmieszyła ją myśl, że mogłabym nie być pewna; uważać ją za osobę, którą można zapomnieć.

– Jak się pani nazywa? – spytała.

– Emily Marr.

– Emily Marr – powtórzyła, nie tyle nieprzyjaźnie, co z namysłem, jakby spodziewała się, że ta informacja przyda jej się w przyszłości.

– Nina Meeks – przedstawiła się, a jej nazwisko zadźwięczało w powietrzu. Jeżeli ktoś wcześniej nie wiedział, kim jest ta żartująca ze wszystkiego, charyzmatyczna kobieta, teraz już nie miał wątpliwości. – Mieszkam na drugim końcu Grove – powiedziała. – Ale nie zdradzę, który numer – ściany mają uszy.

Wydało mi się zastanawiające, że nie chciała głośno podawać swojego adresu, ale nie miała oporów, by na głos opowiadać o swoim mężu i o małżeństwie Sylvie.

– A to kolejna sąsiadka, Sylvie Woodhall. Poznałyście się na przyjęciu? – zapytała.

Wstałam, kiedy Sylvie, słysząc swoje imię, odwróciła się w naszą stronę – nie chciałam rozmawiać z nimi na kolanach, w postawie podległości i pomniejszenia.

– Nie, nie poznałyśmy się. Miło mi. Ale chyba poznałam pani męża – powiedziałam i od razu tego pożałowałam. Na jej twarzy widać było jasno, że mimo licznych podobieństw do Niny nie miała jej pewności siebie. To, że znałam jej męża (i stanęłam przed nią, by to oznajmić), nie zostało przyjęte jak zwykle

stwierdzenie towarzyskiego faktu. W sposób oczywisty była nerwową, podejrzliwą żoną i stwierdziłam, że najlepiej będzie, jeżeli nie powiem nic więcej.

Naszą rozmowę zakończyła Aislene, podając Sylvie zapakowany talerz.

– Proszę bardzo. Mam nadzieję, że siostrze spodoba się wzór. Bardzo ładnie wyszedł, prawda?

Sylvie tylko skinęła głową, zbyt zajęta myślami, by odpowiedzieć, a Nina odwróciła się ode mnie bezceremonialnie i zwróciła się z powrotem do przyjaciółki.

– Dobra, Sylv, chyba należy nam się jakiś lunch, co? Kiedy wychodziły, usłyszałam, jak mówi:

– Masz nadzieję, że co?

Po czym znowu roześmiała się swoim szczególnym wilczym śmiechem.

– No coś ty, kochana, daj spokój! Na pewno nie, nie ośmieliłby się, zwłaszcza po ostatnim razie.

Skończyłam już rozpakowywanie i zaczęłam składać kartonowe pudła, zastanawiając się, jakie lęki przyjaciółki Nina starała się rozproszyć, kiedy był „ostatni raz” i czy ma coś wspólnego z owym „już prawie dwa lata”, którym Sylvie powinna się cieszyć.

I dlaczego moją twarz ciągle palił rumieniec.

Rozdział 5

Tabby

Pracodawczynią Emmie była Angielka imieniem Moira, właścicielka agencji obsługującej domy na wynajem oraz zapewniającej sprzątanie i serwis w domach letniskowych, do których posiadacze zjeżdżali na wakacje.

Moira mieszkała z mężem i dziećmi na stałym lądzie i dojeżdżała codziennie do biura w La Flotte przez ten sam most, którego Tabby tak bardzo nie chciała ponownie przekroczyć. Była już po pięćdziesiątce; upływ czasu nazaczył wprawdzie jej sympatyczną twarz, ale jej nie zniszczył. Miała spokojny, wyważony sposób bycia, choć z pewnością kiedyś musiała być pełna werwy i zaangażowania.

– Czy mogłabyś powiedzieć mi coś więcej o sobie?
– poprosiła.

To pytanie nigdy nie peszyło Tabby – już prędzej miałyby problem z wybraniem odpowiednich informacji z opowieści cisnącej się na usta.

– Mam dwadzieścia pięć lat i przyjechałam do Francji na lato, może na trochę dłużej, jeśli wszystko dobrze się ułoży. Mam masę energii.

To była prawda – od kiedy zamieszkała z Emmie, starała się nie plątać jej pod nogami i wychodziła na

długie spacery wzdłuż wybrzeża i przez winnice, poznając okolicę z entuzjazmem przybysza do ogrodu Eden.

– Przysłała mnie tutaj Emmie – dodała. – Powiedziała, że mam odpowiednie kwalifikacje.

Za radą Emmie przysłała do biura Moiry, nie zapowiadając się wcześniej, o wpół do pierwszej. Podczas godzin tradycyjnie przeznaczonych na lunch, od dwunastej do drugiej, kiedy Francuzi robią sobie przerwę, Anglicy mają więcej czasu. Od razu została przyjęta.

Moira wysłuchiwała jej relacji o zdobytych doświadczeniach (która nie była całkiem zgodna z prawdą, ale Tabby wiedziała, że w razie czego da sobie radę) i wyglądała na usatysfakcjonowaną. Już na pierwszy rzut oka Tabby widziała, że Moira należy do tych kobiet w średnim wieku, które mają słabość do młodych i zapewne własną młodość wspominają z sentymentem – w przeciwieństwie do takich, które potrafią tylko zazdrościć i złorzeczyć, gdy przemijają ich najlepsze lata (do głowy przysłała jej matka, chociaż Tabby doskonale już opanowała umiejętność szybkiego pozbywania się jakichkolwiek myśli o niej). Być może dlatego łatwo było sobie wyobrazić, że swego czasu przywiodła ją do obcego kraju miłość, a teraz, dwadzieścia czy trzydzieści lat później, uniesienia miłości przeszły już do historii, zaś małżeństwo powoli się wypalało.

Ale ponosiła ją wyobraźnia. Nic w twarzy Moiry nie wskazywało na rozczarowanie czy rezygnację. Musi przestać poddawać się temu nawykowi przypisywania nowo poznanym osobom swoich własnych nieszczęść. Musi wybić sobie z głowy uzalanie się i zabrać do roboty, żeby jakoś wydobyć się z nędzy.

– Bardzo zależy mi na pracy – zapewniła z zaangażowaniem, nie pamiętając, czy już to mówiła. – Mogę robić wszystko.

– No cóż, ktoś, kto umie pracować, zawsze się przyda – powiedziała Moira. – I do tego zjawiasz się we właściwym momencie.

Czegoś takiego Tabby dawno nie słyszała.

– Mam kilku klientów, którzy wynajmują swoje domy od końca maja aż do końca września, i w każdy weekend będzie sporo roboty ze zmianą turnusów.

– Na czym polega ta praca?

– Przede wszystkim trzeba posprzątać po wyjeżdżających i przygotować dom dla kolejnych gości, żeby był jak nowy. Sprawdzić, czy niczego nie brakuje ani nie jest zepsute. Goście zazwyczaj wymeldowują się o jedenastej rano, a nowi zameldowują się o trzeciej po południu, więc masz cztery godziny na sprzątanie. Ale czasem są tylko dwie godziny. To bardzo ciężka praca, a latem robi się tutaj naprawdę gorąco. Myślisz, że dałabyś sobie radę? Masz wystarczająco dużo siły?

– Na pewno. Wczoraj przeszłam dwadzieścia kilometrów do Loix i z powrotem.

– Niezła wyprawa. Nie masz roweru albo samochodu?

– Nie, na razie nie. W razie czego jeżdżę autobusem.

Posiadanie samochodu było w jej oczach równie prawdopodobne jak to, że wyjdzie za mąż za księcia Karola i zostanie królową Anglii.

– Czy będę musiała kupić własne środki do czyszczenia?

To pytanie mogło być decydujące. Nie miała pieniędzy na zakupy, a pożyczanie wszystkiego od Emmie nie wchodziło w grę.

– Nie, wszystkie potrzebne rzeczy są w domach. Jeżeli trzeba coś pilnie dokupić, oddaję pieniądze, kiedy dostanę paragon.

Tabby miała wielką nadzieję, że nic takiego się nie zdarzy przed jej pierwszą wypłatą. Dała Emmie dwadzieścia euro i zostały jej tylko jakieś drobne.

Nagle coś jej przyszło do głowy.

– Ale nie odbieram Emmie pracy, prawda? Ona będzie miała pierwszeństwo?

Moira spojrzała na nią z zainteresowaniem.

– To bardzo ładnie z twojej strony, ale jak już mówiłam, pracy wystarczy dla wszystkich. – Zamilkła na chwilę, po czym spytała: – Skąd się znacie? Przyjechałyście tu razem?

– Nie, poznałyśmy się kilka dni temu. Wynajmuję od niej pokój w Saint-Martin. Spotkałyśmy się, kiedy właśnie miała zamiar poszukać współlokatorki. Miałam

szczęście.

– Faktycznie.

Moira zamilkła i przygryzła wargi. Tabby patrzyła na nią, próbując zgadnąć, czego Moira nie chce jej powiedzieć.

– Emmie jest dość szczególna – oznajmiła w końcu Moira. – Trzyma się z daleka od ludzi. Ale jeśli okażesz się tak pracowita jak ona, to mi wystarczy.

– Na pewno.

– Przy twoim pierwszym zleceniu przyjdę pokazać ci, co i jak. Z początku jest trochę trudno, ale szybko się nauczysz. Jaki masz numer telefonu?

– Mój telefon jest na razie nieaktywny – wyznała Tabby – i chyba nie mamy w domu stacjonarnego.

Nie miały też łącza internetowego, jak powiedziała Emmie. Prędzej czy później będzie musiała jakoś wejść do internetu.

– Może na razie sama będę do pani dzwonić? – zapytała.

– Dobrze. Albo może wyślę ci wiadomość na telefon Emmie? Normalnie dzień albo dwa wcześniej wysyłam jej SMS-em adresy domów do sprzątnia. Wszystko się uprości, jak za parę tygodni przydzielę ci regularne zlecenia i będziesz miała zapasowe klucze u siebie.

– Na pewno Emmie nie będzie miała nic przeciwko – odparła Tabby.

Kiedy na rowerze pożyczonym od Emmie jechała z powrotem do Saint-Martin, po raz kolejny

zastanawiała się nad niespodziewanym obrotem swojego losu. Jakby niefortunny początek znajomości z Emmie wcale się nie zdarzył – w ciągu czterdziestu ośmiu godzin stała się dla Tabby współlokatorką, koleżanką z pracy, a nawet przewodniczką. To, że normalna osoba wzięła do siebie autostopowiczkę bez grosza, zaproponowała jej pokój i pozwoliła zalegać z czynszem, pomogła jej znaleźć pracę i pożyczała swój jedyny środek transportu – to wszystko wydawało się zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe, a w dodatku zdarzyło się w chwili, kiedy Tabby była na skraju załamania.

Dlaczego Emmie jej zaufała? Przecież tak się właśnie zdarzyło – w chwili kiedy postawiła przed Tabby kubek z herbatą, a na jej twarzy odmalowało się postanowienie, by dać obcej dziewczynie szansę i wysłuchać jej historii. Chciała jej pomóc i był to jej świadomy wybór. Tabby wcale nie była pewna, czy na miejscu Emmie zachowałyby się równie wspaniałomyślnie. Teraz przyrzekła sobie, że weźmie z Emmie przykład. Życzliwość jest towarem rzadkim, ale to nie powód, żeby traktować ją nieufnie.

Wyspa jej się podobała. Nie była jeszcze zatłoczona i na razie stanowiła oazę spokoju, cichą przystań na Atlantyku, którego wody podczas przyływu uderzały z pełną mocą w falochron. Za to kiedy zaczynał się odpływ, brzegi przykrywały lśniące czarne wodorosty i ławice ostryg. Wtedy odnosiła wrażenie, że to miejsce

zapomniane, opuszczone nawet przez ocean, i ten nastrój bardzo jej odpowiadał.

Wędrując po wyspie, odkryła szlak małych, cichych wiosek z brukowanymi uliczkami i ładnymi kamiennymi kościołami. Widziała staroświecki amfiteatr, średniowieczne targowisko i całe rzędy rybackich domów z okiennicami. Saint-Martin okazało się największą z miejscowości i ozdobą wyspy – uliczki zamknięte były wspaniałymi gwiazdzistymi fortyfikacjami, zbudowanymi wieki temu przez słynnego inżyniera wojskowego nazwiskiem Vauban. Przeczytała o tym w broszurce wziętej z biura informacji, zadowolona, że nie jest turystką jak inni. Przeszła na drugą stronę i będzie pracować dla turystów. Zajmie się porządnie pracą, będzie żyć skromnie i odkładać pieniądze, ułoży sobie jakiś plan, wymyśli sobie przyszłość.

Chyba to Emmie mówiła coś o zapominaniu trudnych przeżyć? To właśnie będzie doskonałe miejsce, by zapomnieć o nieszczęściach. A przynajmniej – spróbować zapomnieć.

Zażądała wtedy, żeby powiedział wyraźnie, co zrobiła źle, jakie miała wady – a raczej tę jedną zasadniczą wadę, polegającą na tym, że była Tabby Dewhurst.

– Jest mnie za wiele w jakim sensie? – spytała. Musiała przy tym mrużyć oczy przed słońcem i zamykać uszy na zgiełk ulicy. Benares – to było

intensywnie kolorowe tło, chociaż nie miała pewności, czy jakieś inne nadawałoby się lepiej.

– Za dużo potrzebujesz – odparł. – Za bardzo się zbliżasz. Zbyt poważnie traktujesz. Chcesz, żebym zastąpił ci wszystkich.

Ogarnął ją gniew, za którym była rozpacz.

– To nieprawda. Kogo zastąpić? Kim miałbyś dla mnie być?

– Przyjacielem, terapeutą, rodziną. – Odetchnął głęboko, jakby zastanawiał się, czy mówić dalej. Ale kiedy ktoś stwierdził, że rzuca wszystko, nie ma wiele do stracenia, więc powiedział: – Przykro mi, że zmarł twój ojciec, ale nie mogę go zastąpić i oprócz tego wszystkiego być jeszcze nim. Przykro mi, że nie rozmawiasz z matką, ale nią też nie mogę być. Przyjaciele, którzy cię zawiedli albo, jak mówisz, wcale cię nie słuchają – nimi wszystkimi też nie mogę być. Na pewno nie tutaj. Nie jestem wędrownym terapeutą. W ogóle nie jestem żadnym terapeutą!

Słuchała go przerażona. To prawda, że był dla niej znacznie więcej niż tylko partnerem przez te cztery lata, kiedy byli razem – był jej wybawcą, podporą. Bez niego nie poradziłaby sobie ze śmiercią ojca i nie umiałyby dojechać do siebie po zerwaniu z matką. Nie zapełniłaby pustki.

– Przecież po to się ma chłopaka czy dziewczynę – powiedziała. – Żeby dawać sobie nawzajem to, czego drugiej osobie potrzeba.

– Ale nie cały czas, bez przerwy – odparł – i nie do takiego stopnia, że wreszcie stoi się na środku ulicy i ma się ochotę krzyczeć. – Najwyraźniej miał ochotę krzyczeć.

Tabby zaczęła drżeć.

– Paul, przecież jestem taka jak zawsze – wyszeptwała.

I od razu zdała sobie sprawę, że tym zdaniem właśnie się pogрузzyła, dała mu broń do ręki. Jej potrzeby kumulowały się, niemożliwe do zaspokojenia.

Zanim odszedł, pozostawiając ja na pastwę losu, usłyszała coś jeszcze gorszego.

– Próbowałem już wcześniej ci to powiedzieć – rzucił – ale ty nigdy nie chciałaś zrozumieć.

To ją ścisnęło za gardło i z trudem wypowiedziała pytanie:

– Kiedy?

– Na przykład tuż przed wyjazdem z Anglii. – Machnął ręką, wyrażając frustrację. – Tak byłoby znacznie...

Nie dokończył zdania, ale ona i tak domyśliła się, co chciał powiedzieć – tak byłoby znacznie lepiej, sensowniej. Chciał wyjechać sam. Albo chciał wyjechać, żeby zakończyć ich związek; nie wiedział, jak inaczej może wyrwać się z jej duszącego uścisku. Człowiek, którego kochała, był gotowy ruszyć w podróż tylko po to, żeby się od niej uwolnić, a ona nie tylko tego nie dostrzegła, ale jeszcze nalegała, by pojechać z nim! Nie miała pojęcia, że bierze udział w misji skierowanej

przeciwko niej samej.

– Nigdy nie powiedziałaś, że chcesz ze mną zerwać – zaprotestowała. – Dlaczego tego nie mówiłaś wyraźnie? Nie umiem czytać w twoich myślach.

Tym razem nie musiał nic odpowiadać – wszystko malowało się na jego twarzy: litość i obawa. Litość, bo nie miała na całym świecie nikogo; obawa, że gdyby było z nią bardzo źle, on już jej nie pomoże. Litość pozostała, ale obawę udało mu się pokonać.

– Ta podróż była mi potrzebna – powiedziała z przekonaniem, którego wcale nie odczuwała. – Czuję się już o wiele lepiej. Nie chcę już pamiętać o przeszłości.

– Ja też nie – odparł.

Potem zrozumiała, że tylko on w trakcie tej rozmowy mówił prawdę. Ale tego rodzaju myśli nie przychodzą do głowy od razu, na miejscu, kiedy człowieka rozpraszają bezradne oczy i dłonie, kiedy ból w sercu wygrywa ze słowami.

Tak się złożyło, że Moira znalazła dla niej pracę już po dwóch dniach. Jedną z pracownic, miejscowa dziewczyna z wioski Sainte-Marie, zachorowała i trzeba było przejąć jej obowiązki: czy Tabby chciałaby się tym zająć? Ekscytujące i nieznane dotąd poczucie, że znalazła się we właściwym czasie na właściwym miejscu, jeszcze się pogłębiło.

Zgodnie z ustaleniami Moira przyjechała udzielić jej wskazówek podczas pierwszego sprzątnia. To była

prosta praca, w zasadzie taka sama, jaką większość kobiet wykonuje na co dzień w domu – tyle że trzeba było się spieszyć. Tabby zabrała się do rzeczy bardzo sumiennie, żeby zrobić dobre wrażenie, i pod koniec trzygodzinnej sesji zaczęły boleć ją mięśnie w ramionach.

– Świetnie – oceniła Moira, przyjrzawszy się wszystkiemu, i zapłaciła jej od razu gotówką. Dotyk ściskanych w dłoni banknotów doprowadził ją niemal do łez – czuła ulgę, wdzięczność losowi i niemal rodzącą się wiarę w przyszłość.

Teraz już udowodniła swoją rzetelność i zaczęła pracować sama, zabierając się do wszystkiego z takim samym wigorem jak pod okiem Moiry. Ścierała podłogi, odkurzała dywany i szorowała toalety, jakby jej życie od tego zależało – bo w końcu tak właśnie było. W swoich pierwszych domach w La Flotte i Saint-Martin, pustych na czas jej sprzątanego, nie robiła żadnych przerw i nawet do głowy jej nie przychodziło, by oddać się znacznie przyjemniejszemu zajęciu: leżeniu na najwygodniejszym łóżku i fantazjowaniu, że to ona jest jego właścicielką.

Przez ostatnie pół roku praktycznie nie bywała w cudzych mieszkaniach i wiele rzeczy ją ciekawiło. Domy należały do Francuzów, którzy w nich mieszkali na stałe albo przyjeżdżali na weekendy. Bawiło ją oglądanie nieznanego stylów urządzania mieszkań, wyposażenia łazienek, nawet francuskich kosmetyków.

Miała bujną wyobraźnię i najmniejszy pretekst (rodzinna fotografia, puchar z zawodów sportowych, stary słownik z dedykacją) sprawiał, że zaczynała snuć fantazje i wyobrazać sobie codzienne życie mieszkańców, wymyślając im zawody i historie, które nie mogły być prawdziwe – ale sprawiały, że czas mijał szybciej.

W trzecim domu już bez skrępowania zaczęła otwierać szuflady w nocnych stolikach i szafki w łazienkach, rzucała okiem na wszystkie te prywatne książki, świecidełka i środki antykoncepcyjne (w jednym przypadku – zamknięty na kłódkę pamiętnik). Z zapałem godnym poszukiwacza skarbów sprawdzała, co leży na wierzchu szaf i z tyłu na półkach, ale oczywiście nie znajdowała nic szczególnego, w każdym razie nic egzotycznego: jakąś przeterminowaną zupę w proszku albo stare okulary pływackie. Przeczucie, że to zainteresowanie jest co najmniej perwersyjne, zagłuszała bez trudu, wmawiając sobie, że robi wszystko w imię doprowadzenia domu do czystości i porządku.

Czwarty dom był typowym całorocznym domem do wynajęcia, w którym nie było już żadnych osobistych drobiazgów. Wiedziała, że tak właśnie będzie wyglądać większość domów, które przyjdzie jej sprzątać w sezonie. W jednej zamkniętej na klucz szafce mieściły się zapewne jakieś osobiste przedmioty, a poza tym królowały kanapy z pokryciami zdejmowanymi do

prania, sprzęty kuchenne prosto z Ikei, szafki bez żadnych niespodzianek. Moira poinstruowała ją, że ma wyrzucać wszystkie produkty w otwartych opakowaniach, a Emmie dodała, że sprzątaczkę mogą je sobie zabierać, jeśli chcą. Tutaj półki świeciły pustkami, czekając na nowych gości. Dopiero na sam koniec sprzątania znalazła trójpak soku jabłkowego z marketu Sainsbury's (więc przyjeżdżali tu Anglicy), ale ponieważ paczka była nieotwarta, postąpiła zgodnie z zasadami i wstawiła soki do szafki.

Pięć minut później, szykując się już do wyjścia, poczuła się dziwnie zdenerwowana – wydawało się, że znalezisko bez znaczenia obudziło w niej jakieś emocje, wspomnienie o ojcu schowane gdzieś głęboko, jak wiele innych wspomnień o nim z czasów po rozwodzie rodziców. Zgrzewka soku jabłkowego, małe kartoniki ze słomkami, jakie daje się dzieciom do szkoły – coś tak niepozornego budziło w niej uczucia z minionych lat, kiedy była nastolatką; uczucia osamotnienia i porażki, mocne i świeże. Zamknęła dom i ruszyła w drogę do Saint-Martin, przypominając sobie siebie jako szesnastoletnią dziewczynę, kiedy zjawiała się w nowym domu ojca po kłótni z matką na temat ojczyma, Steve'a.

– Tabitha. Nie spodziewaliśmy się ciebie dzisiaj. – Drzwi otworzyła nowa żona ojca, Susie. Mówiła głosem zaledwie o ton cieplejszym niż do faceta z gazowni, który przyszedłby odczytać liczniki w połowie obiadu. Wyraźnie wahała się, czy poprosić Tabby o wizytę

w dogodniejszej porze, czy wpuścić ją do środka i kazać jej się streszczać. Spojrzała na torbę w ręku Tabby, ale nic nie powiedziała. – Wejdz. Mike jest w ogrodzie, z dziewczynkami.

Nigdy nie mówiła „twój ojciec”, zawsze „Mike”. Tabby zauważyła, że to nie była z jej strony jakaś świadoma strategia (właściwie było to nawet miłe, włączało ją w krąg dorosłych), ale była w tym niezwykle konsekwentna.

Ojciec właśnie wszedł do pokoju. Musieli bawić się wyjątkowo energicznie, bo cały był zgrzany i zdyszany. Przybrał ostatnio na wadze; nowa żona dobrze go karmiła. Za nim pojawiły się dwie córeczki Susie i podały mu zapakowane w folię trzy kartoniki z sokiem, żeby wyjął dla nich po jednym. Mówiły do niego „tato”, żadne tam „Mike”. Podał im soki, a dla siebie wziął trzeci. Przytknął właśnie słomkę do ust, gdy zauważył Tabby.

– Cześć, kochanie! Kiedy przyszłaś?

– Właśnie w tej chwili. – Miała wielką ochotę przytulić się do ojca, ale nie zrobiła tego. Okazywanie uczuć stało się teraz jakieś niezręczne i łatwiej było go unikać. – Cześć, dziewczynki, fajna była zabawa? W co graliście? – dodała.

– W nogę – odpowiedział za nie ojciec.

Obie zachłannie wysysały sok z kartoników, zwyczajem małych dzieci, jakby były na granicy śmierci z odwodnienia.

– Może też masz ochotę na sok? – spytał.

– Chyba już więcej nie ma – odezwała się Susie.

– Nic nie szkodzi – powiedziała Tabby. – Nie chce mi się pić. Może później.

Widziała, że Susie nie jest zachwycona, słysząc to „później”. To nie tak, że nie lubiła Tabby albo żałowała jej trochę soku, nie o to chodziło; po prostu starannie planowała weekendy swojej rodziny i nie lubiła niespodzianek.

– Wszystko w porządku? – zapytał ojciec.

– Tak, to znaczy... Nie, właściwie nie całkiem – zająknęła się Tabby. Nagle poczuła się zdezorientowana. Widok ojca, mieszkającego w domu, w którym ona sama była zaledwie gościem; sposób, w jaki padało na niego światło – czuła się, jakby spotkała jego sobowtóra albo przeniosła się w przyszłość i zobaczyła go w czasach, kiedy nie był jej już więcej potrzebny. Ale on był jej potrzebny, dlatego tu przyszła. Zbyt mało czasu spędzała w tym domu i wszystko było dla niej obce. Wyobrażała sobie tę scenę po drodze i nie umiała sobie przypomnieć koloru kanapy, rozmiarów ogrodu ani nawet wzrostu Susie, do której należał dom. Czy byłoby inaczej, gdyby to Tabby wyprowadziła się ze swojego domu z matką, a Susie z dziewczynkami wprowadziły się na ich miejsce? Czy bolałoby tak samo, ale w inny sposób? – Chciałam spytać, czy mogłabym tu zostać jakiś czas – powiedziała, zwracając się również do Susie.

– Zostać? – powtórzyła żona ojca. – To znaczy nocować?

Tabby wiedziała, że brak pokoju gościnnego był często wymieniany jako przyczyna, dla której nie mogła zostawać na noc u ojca, więc szybko dodała:

– Mogę spać na dole na kanapie. Albo może w namiocie w ogrodzie.

– W namiocie? Co ty wygadujesz, oczywiście, że możesz zostać – powiedział ojciec, dokładnie tak, jak na to liczyła (był zgodnym człowiekiem i między innymi dlatego Susie z taką łatwością przyszło włączyć go do swojej rodziny).

– Możemy porozmawiać? – zapytała od razu Susie, co też było do przewidzenia. Wysłała dziewczynki przed telewizor, stojący w odległym końcu salonu, zapewne na wypadek kłótni. Ale przecież nie pozwalała sobie na kłótnie, Tabby powinna pamiętać. Należała do osób, które jej matka określała jako biernie agresywne. Rozmowa, prowadzona przyciszonymi głosami, odbyła się w kuchni i po chwili Tabby usłyszała, jak Susie idzie po schodach na górę i przesuwa coś w jednej z sypialni. Layla, starsza córka, poszła za nią, żeby zapytać, co się dzieje, a ojciec wrócił do Tabby, żeby przedstawić jej ostateczną decyzję.

– Nie ma problemu – powiedział, chociaż jego rumieniec świadczył o czymś zupełnie innym. – Dziewczyny mogą przez jakiś czas pomieszkać razem. Możesz spać w pokoju Layli.

Jakby na dany znak z góry rozległ się rozżalony głos Layli.

– To tylko na jedną noc czy dwie – tłumaczyła jej Susie. – Jak wtedy, kiedy przyjeżdża babcia.

– Ale dlaczego musi spać w moim pokoju? – jęczała Layla. – Dlaczego nie u Jessiki?

– Jesteś pewien? – Tabby zwróciła się do ojca. Była w desperacji, ale teraz zaczęła żałować, że się tak wprosiła.

– Jasne. To nie na długo, prawda? No, powiedz, co się znowu stało?

Miała zamiar powiedzieć ojcu całą prawdę. Powtarzała sobie słowa, te prawdziwe, wyobrażając sobie, jak wyrzuca je z siebie z jednym oddechem, chyba nie patrząc ojcu w oczy: „Steve się do mnie przyczepił. Mówi, że zrobił mi zdjęcie w samej bieliźnie i wrzucił na jakąś stronę w internecie, żeby oglądali to inni faceci. Mówi, że dostaje wiadomości, że mu współczują, bo musi się męczyć z taką nieletnią pokusą pod jednym dachem. Nie mogę powiedzieć mamie, mówi, że wszystkiemu zaprzeczy i powie, że to ja próbuję go poderwać, i to prawda, wiem, że mama stanie po jego stronie...”.

Ta ostatnia rzecz przerażała ją najbardziej, bardziej niż opowieść Steve’a, która wcale nie musiała być prawdziwa. Kiedy niby miałby zrobić jej zdjęcie w samych majtkach? Nie było żadnej takiej okazji, chociaż już myśl o tym była ohydna. Ale podejrzenie, że

matka prędzej uwierzy Steve'owi niż jej, to było naprawdę straszne. Dla Steve'a rozwiodła się z ojcem, więc może była gotowa poświęcić dla niego także relację z córką?

Wszystko to Tabby miała zamiar powiedzieć ojcu. Zapytać, co jego zdaniem powinna zrobić, i usłyszeć, że cokolwiek to będzie, on zrobi to razem z nią albo za nią, że nigdy już nie będzie musiała znosić takiego molestowania. Ale teraz, w tym domu, z dwójką małych dzieci w zasięgu głosu miała wrażenie, że zanieczyściłaby tą historią powietrze i dałaby Susie jeszcze więcej powodów do niechęci.

– Pokłóciliśmy się – powiedziała w końcu.

– O co?

– Nic specjalnego.

I na tym się skończyło. Nie powiedziała matce i teraz nie powiedziała też ojcu. Może od początku wiedziała, że tak będzie. Może chciała go sprawdzić, zobaczyć, czy przyjmie ją do domu bez powodu, tylko dlatego, że go poprosiła.

I tak właśnie zrobił. Musiało jej wystarczyć, że pokiwał głową ze zrozumieniem, chociaż prawdopodobnie myślał, że kłótnia ze Steve'em była czymś ważnym – albo niczym szczególnym, ale jego rolą było się przejąć i traktować sprawę jak coś szczególnego, dopóki Tabby sama nie stwierdzi, że nic się nie stało i nie wróci do domu. Dopóki nie skończyła osiemnastu lat, jej dom był przy matce. Wszyscy

wiedzieli, że po rozwodzie dzieci zostają z matką, nawet te, które są na tyle duże, że mają swoje zdanie i wolałyby mieszkać z ojcem. Tak więc „Mike” wyprowadził się do obcego domu z cudzymi dziećmi i dostał pod opiekę Laylę i Jessicę, a Steve, który nie miał własnych dzieci, dostał Tabby.

Mieszkała wtedy u ojca przez kilka dni, zanim wróciła pod wpływem nacisków z obu stron. Jediną strategią, jaka jej została, była nadzieja – nadzieja, że Steve już więcej nie będzie jej dręczył, kiedy będą sami w domu, że wystarczy mu gapienie się na jej nogi, piersi albo usta. Nigdy nie patrzył jej w oczy, tylko gapił się na jej ciało, dopóki nie wstała i nie wyszła z pokoju.

Zamontowała zasuwkę na drzwiach swojego pokoju. Dopiero później miało się okazać, że w niewłaściwym miejscu.

– Jak masz na nazwisko? – zwróciła się do Emmie któregoś wieczora, pod koniec pierwszego tygodnia, od kiedy razem zamieszkały. Zerknęła na pocztę przychodzącą codziennie rano, ale nie było tam nic do Emmie, same koperty adresowane do państwa Robert, zapewne właścicieli domu.

Emmie podniosła głowę znad książki, z nieufnym spojrzeniem.

– Przypomniało mi się, jak mówiłaś, że Moira nie zna twojego nazwiska – wyjaśniła Tabby. – I zdałam sobie sprawę, że ja też nie.

Z wyjątkiem pierwszego dnia, kiedy opowiedziała Emmie historię swojego życia w histerycznym przypływie szczerości tak przemożnej, że teraz nie mogła sobie nawet przypomnieć, o czym mówiła, a co zachowała dla siebie, nie było między nimi bliskości. Dużą rolę odegrał bez wątpienia brak okazji – obie pracowały, a Tabby nadal chodziła na spacer, okrążając fortyfikacje albo podążając ścieżkami rowerowymi do okolicznych wiosek. Dziwiło ją, jak szybko zaczęła odnosić wrażenie, że wędruje tak już od miesięcy, drogami prowadzącymi wzdłuż wybrzeża, gdzie pod stopami chrzęściły muszelki, albo w głąb wyspy, wzdłuż równych rzędów winogronowych krzewów i rezydencji otoczonych murami. Być może dlatego, że towarzyszyły jej wciąż te same myśli: myśli o Paulu, które musiała odganiać, o tym, że nadal go potrzebowała w sposób, który go odstraszył. Widziała coraz wyraźniej, że jej miłość do niego trwa niezmienną, niezależnie od tego, czy on kochał ją. Była jak uzależnienie, jak zaburzenie – nigdy już się go nie pozbędzie, co najwyżej nauczy się trzymać je w ryzach. Jego nieobecność określała ją tak samo jak jego bliskość, i były takie chwile, kiedy nie miało znaczenia, która jest aktualna.

Po powrocie z tych wypraw do ich domu schowanego w bocznej uliczce tak wąskiej, że z trudem mijaly się na niej dwie osoby, nauczyła się wcześniej chodzić spać, dzięki czemu ani nie wydawała pieniędzy, ani nie siedziała Emmie na głowie. Kiedy były razem

w jednym pokoju, starała się dopasować do nastroju współlokatorki, która, ku jej zdziwieniu, była najczęściej milcząca i czymś zajęta. Dwa razy Emmie przesiadła cały wieczór w swoim pokoju, nad komputerem.

Ale Tabby była z natury rozmowna, ktoś mógłby nawet powiedzieć, że gadatliwa, więc nie wytrzymała długo tej skrytości. Była też ciekawska – dlatego właśnie zaglądała w kąty mieszkań klientów Moiry. Teraz czekała na odpowiedź Emmie z prawdziwym zainteresowaniem.

– Mason. Emmie Mason – odpowiedziała Emmie z przesadnym westchnieniem rezygnacji.

– Emmie Mason – powtórzyła Tabby, żeby przyzwyczaić się do nowych słów. – Brzmi jak nazwisko jakiejś dawnej gwiazdy filmowej albo coś w tym guście.

– Jest, jakie jest – powiedziała Emmie.

– Jasne.

To był kolejny fakt w skromnej kolekcji danych na temat Emmie. Wiedziała już, że Emmie przyjechała do Saint-Martin mniej więcej półtora miesiąca wcześniej i najpierw mieszkała w pensjonacie w nowszej dzielnicy, zanim znalazła ten dom w obrębie dawnych murów, przeglądając tablicę z ogłoszeniami w jednym z supermarketów. Czynnosc był niewielki, bo dom wymagał całkowitego remontu; nic nie działało jak powinno, mówiła Emmie (Tabby stwierdziła, że rzeczywiście tak jest, przynajmniej jeśli chodzi

o urządzenia elektryczne, z których można było włączać tylko jedno naraz). Choć wydawała się całkiem zadomowiona, nie założyła konta w banku, a rachunki opłacała razem z czynszem, wszystko gotówką. Żyła na czarno i Tabby miała zamiar wziąć z niej przykład. Po francusku Emmie mówiła doskonale, wystarczająco dobrze, żeby znaleźć lepszą pracę, ale zadowalała się sprzątaniami. Tabby nie spytała o jej wiek, ale sądziła, że jest tuż po trzydziestce. Nie zadawała też pytań, które mogłyby potwierdzić jej teorię – że Emmie skazana jest na samotność i cierpienie z powodu tej samej choroby, co ona: z powodu złamanego serca.

– A dlaczego chciałaś wiedzieć? – zapytała Emmie, patrząc na nią niespokojnie.

A dlaczego chcesz wiedzieć, czemu ja chcę wiedzieć? – pomyślała Tabby, bo jej pytanie nie dotyczyło żadnych intymnych kwestii. „Jak się nazywasz?” to nie to samo, co pytać o grupę krwi, ulubioną metodę depilacji czy listę partnerów seksualnych.

– Tak po prostu, bez powodu. Po prostu spytałam. Ty wiesz, że mam na nazwisko Dewhurst, prawda?

– Tak – odparła Emmie, jakby spełniała dziwną i krępującą zachciankę Tabby, cierpiącej na przymus zdradzania obcym swoich najskrytszych fantazji.

Kontrast pomiędzy tym nastawieniem a początkowym zainteresowaniem i współczuciem, którymi obdarzyła ją Emmie, był tak jaskrawy, że

w innych okolicznościach Tabby mogłaby poczuć się urażona.

Teraz jednak spojrzała na Emmie z życzliwym uśmiechem. Nie miała zamiaru doszukiwać się wad w swojej współlokatorce. Zaryzykowała żart:

– Emmie, jesteś jak ktoś biorący udział w programie ochrony świadków. Wiesz, nie patrzysz ludziom w oczy, nie zostawiasz śladów. Ktoś cię ściga albo coś?

Emmie uśmiechnęła się i jej rysy trochę złagodniały.

– No wiesz, chyba nie zaproponowałabym ci mieszkania, gdybym była taka całkiem aspołeczna.

– Może pomyślałaś, że przyda ci się jakaś pomoc? – zaśmiała się Tabby. – W razie gdyby dopadli cię prześladowcy?

Emmie przyjęła to lepiej, niż można by się spodziewać po mało obiecującym początku rozmowy.

– Dobra, następnym razem, jak znajdę obcą osobę śpiącą w moim łóżku, na pewno zawołam cię na pomoc.

Obie się roześmiały i Tabby pomyślała, że może uda im się zaprzyjaźnić, odkrywając u siebie nawzajem podobne poczucie humoru. Jakie to ma znaczenie, że Emmie jest z natury bardziej skryta? Przecież, jak sama powiedziała, zaprosiła kogoś do wspólnego mieszkania, prawda? Trudno o większą otwartość. Niechęć do zwierzeń wynikała zapewne z życia w samotności przez całe tygodnie, a może nawet miesiące. Spotkały się w niefortunnych okolicznościach, ale towarzystwo Tabby na pewno się Emmie przyda. Wkrótce będą się

dzieliły opowieściami o facetach, jak typowe samotne dziewczyny.

– Tak, właśnie to pomyślałam – powiedziała Emmie, chociaż Tabby nie wypowiedziała tych myśli na głos.

– Co pomyślałaś?

Ale w odpowiedzi na jej pytające spojrzenie Emmie także spojrzęła pytająco, aż Tabby zaczęła się zastanawiać, czy jednak w roztargnieniu nie powiedziała czegoś głośno. Albo tak było, albo to Emmie należała do osób, którym ich własne myśli rozbrzmiewają w głowie tak jasno i wyraźnie, że biorą je za część prowadzonej rozmowy.

Coś takiego może się zdarzyć, gdy ktoś zbyt długo mieszka sam, prawda?

Więc Tabby uprzejmie zignorowała tę dziwną wypowiedź.

– Może otworzymy okiennice? – spytała. – Jeszcze nie jest ciemno.

Zmrok zapadał tutaj później niż w Paryżu i nawet mimo muru zasłaniającego widok przez okna wpadało sporo dziennego światła, za którym tęskniła.

– Wolę, kiedy są zamknięte – odparła Emmie.

Rozdział 6

Emily

Nie będę się rozpisywać o mojej rodzinie. Nie mogę siedzieć nad tą opowieścią bez końca, wkrótce będę musiała znaleźć jakąś pracę i zacząć zarabiać, a zresztą nie ma potrzeby spisywania całej autobiografii. Chcę napisać o Arthurze i o mnie, to wystarczy. Zresztą nie wydaje mi się, żeby moje dzieciństwo miało tutaj jakieś znaczenie. Nie zgadzam się oczywiście z prasowymi dywagacjami na temat moich tragicznych, pozbawionych matki wczesnych lat życia, przez które stałam się socjopatyczną kobietą modliszką (przede wszystkim nie uważam się za kobietę modliszkę ani za socjopatkę), ani też nie zamierzam doszukiwać się w sobie zaburzeń psychicznych, które zrobiły ze mnie potencjalną ofiarę. Ja się po prostu zakochałam, to wszystko. Zdarzyła mi się miłość, jedyna w swoim rodzaju, wyjątkowa.

Powinnam jednak napisać, że z początkiem tamtego roku opanowały mnie nieznane, dziwne uczucia. Świadomość, że w niedługim czasie mogę stracić ojca, budziła we mnie nowe pragnienia, by cieszyć się każdym dniem, korzystać z życia, póki jestem wystarczająco młoda i zdrowa, żeby docenić jego uroki. Teraz dopiero widzę, że nosiłam wysoko głowę, kiedy

trzeba było raczej przygiąć się do ziemi.

Ale niczego nie żałuję. Nawet teraz.

Według Niny Meeks to ja bezwstydnie uwiodłam Arthura. Niby byłam zwykłą sąsiadką, a w rzeczywistości – seksualną pułapką wystawiającą na pokaz zza płotu swoje wdzięki, drapieżną i nienasyconą, obracającą się ku niemu jak słonecznik ku słońcu. Tymczasem było zupełnie inaczej. Tego dnia, kiedy wszystko się zaczęło, miałam głowę zajętą zupełnie czym innym.

Po pracy poszłam odwiedzić tatę. Wizyty na oddziale były najtrudniejsze właśnie w sobotnie popołudnia, kiedy najwyraźniej było widać kontrast pomiędzy światem na zewnątrz, napędzanym młodą, bezwzględną energią, a cichym, starzejącym się szpitalnym królestwem smutku. W soboty po pracy byłam też najbardziej zmęczona, czasami zbyt zmęczona, żeby zdobyć się na pogodny nastrój i podtrzymać ojca na duchu.

Szpital leżał pod Londynem, w Hertfordshire, oddalony o godzinę drogi metrem i pociągiem od mojej dzielnicy. Oddział dla cierpiących na demencję był miejscem przygnębiającym nawet w najlepszy dzień, jak pewnie wszystkie podobne placówki, w których obowiązują ściśle reguły bezpieczeństwa. Pacjenci wymagali ciągłego nadzoru, więc trzeba było dzwonić i czekać, aż ktoś z personelu pootwiera kolejne

zamknięte na stałe drzwi. Czasami, gdy brakowało pielęgniarek, na samo wejście musiałam czekać dobre dziesięć minut.

Podczas tej właśnie wizyty pewne zdarzenie szczególnie mnie przybiło, chociaż starałam się nim nie przejmować. Kiedy szłam do sali, gdzie leżał ojciec, uśmiechnęłam się do idącej z naprzeciwka siostry, wiozącej na wózku starszego mężczyznę, w którym rozpoznałam Ronniego, jednego z sąsiadów ojca w domu opieki. Chociaż jego demencja nie była aż tak zaawansowana, widać było, że podupadł na zdrowiu – jego ciało wydawało się wychudzone i słabe jak u większości tutejszych pacjentów.

– Dzień dobry, Ronnie – powiedziałam, chociaż nie miałam nadziei, że mnie rozpozna. A już na pewno nie spodziewałam się tego, co zrobił, gdy się mijaliśmy: ze zdumiewającą energią podskoczył na wózku i sięgnął ręką do moich piersi, chwytając i ściskając boleśnie. Krzyknęłam, a pielęgniarka łagodnie odciągnęła jego dłoń.

– Bardzo przepraszam – powiedziała miłym tonem, który zażegnałby każdy kryzys. – Zupełnie tracą zahamowania. Impulsy, nad którymi umiemy panować – oni się im poddają.

Słyszałam o tym zjawisku, nazywanym odhamowaniem, wiele razy i przy wielu okazjach, często w kontekście różnych czynności, które zdrowi ludzie wykonują w odosobnieniu, podczas gdy chorzy

nie mają oporów, by robić je publicznie. Uszkodzenie płąta czołowego mózgu oznaczało, że Ronnie, mój ojciec i inni pacjenci tego oddziału w mniejszym lub większym stopniu przestali być społecznymi, cywilizowanymi istotami, jakimi byli wcześniej. Cała praca wychowawcza, którą wykonali kiedyś rodzice i nauczyciele Ronniego, setki napomnień i pouczeń, przepadło, a on wrócił do życiowego punktu wyjścia.

– Nic się nie stało – powiedziałam. – Proszę się nie martwić.

Po czym uśmiechnęłam się do Ronniego, jakby nie dręczyła mnie właśnie myśl, która przyszlaby do głowy każdemu na moim miejscu: czy osoba, którą odwiedzam, także robi podobne rzeczy?

W dyżurce pielęgniarek dowiedziałam się, że czeka na mnie niespodzianka. Po raz pierwszy od dwóch tygodni tata wstał z łóżka i siedział w sali wypoczynkowej. Przykryty szczelnie kocem wyglądał trochę jak zranione zwierzę, które ktoś znalazł w lesie i zostawił w spokoju w ciepłym kącie, żeby dochodziło do siebie. Ojciec chorował już od jakiegoś czasu, ale za każdym razem, gdy go widziałam, czułam to samo bolesne niedowierzanie. Chodziło nie tylko o demencję, ale też o fizyczne wyniszczenie – kiedyś, całkiem niedawno, był silnym, muskularnym mężczyzną, który się nigdy nie poddawał i sam wychował dwoje dzieci. A teraz był słaby i nie mógł zająć się nawet samym sobą. Schyliłam się, żeby go pocałować, i usiadłam

obok, wymieniając swoje imię, jak zawsze. Zdawało się, że mnie poznaje, a przynajmniej chyba nie uważał, że jestem kimś obcym.

– Nie potrzebujesz już kroplówki? – zapytałam, zwracając się specjalnie do niego, a nie do stojącej obok pielęgniarki. Nie cierpiałam rozmów prowadzonych nad głowami pacjentów, których uznawano najwyraźniej za głuchych albo pozbawionych świadomości.

– Ostatnio je o wiele lepiej, prawda, Vince? – odpowiedziała za niego pielęgniarka.

– To wspaniale – powiedziałam. – Świetnie sobie radzisz, tato!

Przez chwilę na jego twarzy zagościło zadowolenie, ale zaraz jego miejsce zajął niepokój.

– Szukałem Lesley – powiedział. – Nie mogę jej znaleźć. Szukałem wszędzie.

Lesley to była moja matka. Wiedziałam oczywiście, że nie mogę mu powiedzieć, iż nie żyje – byłaby to dla niego wiadomość tak samo porażająca jak dwadzieścia lat temu, nie byłby w stanie poradzić sobie z przeżywaniem tego szoku na nowo. Tak samo było z jego rodzicami, którzy dawno już nie żyli, ale on często chciał ich odnaleźć.

– Pamiętasz, jak pojechaliśmy kiedyś na cały dzień do Londynu i siedzieliśmy na schodkach na Trafalgar Square? – zapytałam, przywołując jedną z wielu sytuacji z wczesnego dzieciństwa. Czasami tata też je pamiętał, chociaż miał o wiele więcej wspomnień z czasów, kiedy

on sam był dzieckiem. – I gołębie ciągle siadały Philowi na kanapce, a on się wystraszył, a mama zaczęła się śmiać. Phil nie mógł przestać płakać, a mama nie mogła przestać się śmiać.

– Phil nigdy nie lubił ptaków.

Teraz i tata się roześmiał i jakoś udało mi się sprowadzić rozmowę na temat obiadu, który jadł tego dnia, i jego ulubionych jogurtów – które smaki najbardziej przypadają mu do gustu.

– Cieszę się, że przyszedłeś dzisiaj ze mną – powiedział nagle. – Nie lubię przychodzić do szpitala sam.

– Wiem, ja też nie – odparłam i wzięłam go za rękę, żeby wiedział na pewno, że oboje jesteśmy tylko odwiedzającymi, że odwiedziny już się skończyły i teraz tylko przysiedliśmy na chwilę, żeby odpocząć przed powrotem do domu. Od jakiegoś czasu tak robiłam, chociaż nie powinnam była mówić mu nieprawdy. Robiłam tak od dnia, kiedy usiłowałam mu wytłumaczyć, że on jest pacjentem i ja go odwiedzam; wpadł wtedy w rozpacz.

Czasami dodawałam jakieś zmyślane szczegóły, żeby go pocieszyć – na przykład, że zaraz zabiorę go do domu moim nowym supernowoczesnym kabrioletem i pokażę mu, jak pięknie mieszkam przy eleganckiej ulicy Walnut Grove. Być może wymyślałam te historyjki także dla siebie.

Zdarzało się, że pytał, kogo właściwie przyszliśmy

odwiedzić. Podawałam wtedy jakieś pierwsze lepsze nazwisko. Ale tego dnia nie zapytał o nic.

Nie, nie myślałam o Arthurze, kiedy wróciłam do domu. Myślałam akurat o Matcie; że zadzwonię do niego, dowiem się, w którym obskurnym pubie zagnieździł się ze swoimi znajomymi, i pójdę do nich dołączyć. W którymś momencie przestałam myśleć o nich jako o naszych znajomych i uznałam, że należą tylko do niego, a także zrozumiałam, jaki jest ich wspólny cel – żeby przedłużyć swoje „po dwudziestce” jak najdalej w „po trzydziestce”, jak tylko się da. Uprawiali taniec polegający na ciągłych życiowych unikach (oczywiście zaprzeczając, jakoby coś takiego robili). Ci, którzy poddali się presji i wpadli w małżeństwo lub urodziły im się dzieci, byli albo wyśmiewani, albo marginalizowani przez grupę. A pozostali wiedzieli, że lepiej nie zdradzać się z jakimikolwiek poważniejszymi ambicjami. Wszystko to było absurdalne.

Jednak tego wieczora nie zamierzałam się przejmować. Miałam ochotę znaleźć się wśród ludzi z dawnej paczki, wśród świadomie egocentrycznych dorosłych, i dać się ponieść sobotniemu rozgorączkowaniu świata – żeby upewnić samą siebie, że oddział szpitalny jest zamkniętą sferą, do której mogę wchodzić i wychodzić, kiedy tylko chcę. Gdybym potrafiła, cofnęłabym czas do momentu, kiedy poznaliśmy się z Mattem, kiedy po moim ciele błędziły

jego ręce, a nie ręce jakiegoś otępiałego umysłowo pacjenta mijanego na korytarzu szpitala.

Tak jak się spodziewałam, mieszkanie było puste i jak zwykle zabałaganione. Zastanowiły mnie ślady w sypialni, świadczące o pospiesznym pakowaniu; rozejrzałam się i stwierdziłam, że zniknął plecak Matta. Nie było w tym nic dziwnego, już dawno doszliśmy do etapu, na którym przestaliśmy uzgadniać weekendowe plany. Ja w soboty pracowałam i jeździłam do szpitala popołudniami, a Matt miał weekendy wolne. Pierwszy raz jednak nie miałam pojęcia, gdzie może się podziewać.

Zadzwoiłam na jego komórkę.

– Wyjechałeś gdzieś na weekend?

– Jestem w Szkocji.

Rozlegające się w tle hałasy i wrzaski świadczyły wymownie, że siedzi akurat w pubie, o jakim marzyłam.

– W Szkocji? Ale dlaczego?

– Na wycieczce rowerowej z chłopakami z działu. Mówiłem ci przedwczoraj, Emi.

Niejasno przypomniały mi się jakieś zdania o rowerach górskich i szlakach, ale byłam pewna, że nie było mowy o żadnych konkretnych datach.

– Aha, OK. Wyleciało mi z głowy. Kiedy wracasz? Jutro?

– Dopiero w poniedziałek.

Coś – niemożność zaspokojenia tej potrzeby fizycznego kontaktu, ostateczne uświadomienie sobie, że

czasu nie da się cofnąć i że ten facet będzie już zawsze daleko ode mnie, nawet siedząc w tym samym mieszkaniu – sprawiło, że wypowiedziałam wreszcie słowa, które powinny zostać wypowiedziane dużo, dużo wcześniej.

– Możemy pogadać, jak wrócisz? O nas.

– Jak to o nas?

W jego głosie nagle zabrzmiało coś wymijającego, jak u kogoś, kto boi się uciążliwych pretensji ze strony byłej dziewczyny – którą tak naprawdę byłam i doskonale to wiedziałam. „Eks” w każdym znaczeniu, tylko nie z nazwy.

– O wszystkim. – Staralam się mówić przyjaznym tonem. Nie chciałam go urazić. – Nie chcę tego tak dłużej ciągnąć i myślę, że ty też nie.

Westchnął. Nie będzie żadnej walki, żadnych cierpień i bolesnego zrywania więzi.

– Dobra. W poniedziałek wieczorem. Muszę już kończyć.

Ta rozmowa niewiele pomogła, nadal miałam ochotę na drinka. W domu nie było nic do picia, więc wyszłam do monopolowego przy głównej ulicy, po drodze wyobrażając sobie negocjacje z Mattem w poniedziałek: czy lepiej postawić na szczerłość i osobisty ton, czy może mówić ostrożnie i nie wprost? Tak czy siak, na pewno będzie smutno, choćby tylko przez wzgląd na dawne, wygasłe uczucia.

Kiedy mijałam pub na rogu Grove, zobaczyłam

Arthura Woodhalla siedzącego w środku z dwiema czy trzema osobami, przy stoliku zaraz koło okna. Siedział twarzą do ulicy i pomachałam mu, zwalniając kroku i czekając na reakcję, ale nie odmachął. Poszłam więc dalej, tłumacząc sobie, że zapewne nie widział mnie dokładnie przez światła odbijające się w szybie.

Ale w sklepie z alkoholami wkrótce po moim wejściu otworzyły się drzwi i jeszcze zanim się odwróciłam, wiedziałam, że to on. Więc jednak mnie widział i poszedł za mną.

– Hej – uśmiechnęłam się do niego. Moje ciało zareagowało całą gamą impulsów i wiedziałam, że nie będę potrafiła stłumić tego poruszenia. – Czy nie widziałam cię przed chwilą w pubie?

Rozejrzał się krótko z wyrazem rozbawionego zaskoczenia na twarzy, jakby niepewny, gdzie właściwie się znalazł.

– Powiedziałem, że zostawiłem portfel w domu.

Nie była to wcale odpowiedź na moje pytanie, ale ponieważ sama patrzyłam na niego niczym na zjawę, to pomyślałam, że może on czuje się równie nierealnie.

– Ale nie zostawiłeś – odparłam prosto.

Podrapał się w czoło. Kiedy spojrział mi w oczy, moje tętno zupełnie zgubiło rytm. Na jego twarzy widać było wyraźną fascynację i obawę, jakbym była dzikim, egzotycznym zwierzęciem, które niechcący zapędził w pułapkę.

– Siedzę tam z sąsiadami – powiedział. – Może

miałybyś ochotę do nas dołączyć?

Zawahałam się.

– To bardzo miło z twojej strony, ale czy nie byłoby trochę dziwne, gdybyś wrócił ze mną zamiast swojego portfela?

Zauważyłam, że użył liczby pojedynczej – „siedzę z sąsiadami” – i chciałam upewnić się, jak wygląda kluczowy element sytuacji.

– Zresztą, co powiedziałaaby twoja żona, gdybyś tak niespodziewanie zjawił się z jakąś dziewczyną? Mogłoby się jej nie spodobać.

– Sylvie wyjechała z chłopakami na weekend do Sussex.

– Sussex?

– Mamy tam letni dom.

No jasne. Życie państwa Woodhallów z pewnością musiało zawierać różne letnie domy i mieszkania na mieście, kolacje w restauracjach z gwiazdkami Michelina oraz weekendy w dobrych hotelach. A jednak Arthur stał tutaj, w podrzędnym monopolowym, najwyraźniej całkowicie oczarowany... mną.

– Ja też zostałam sama. Matt pojechał na wycieczkę rowerową do Szkocji.

– Aha.

Przesunął się na bok, żeby przepuścić wchodzących klientów, a w mojej głowie kłębiły się wszelkie możliwe odpowiedzi, jakich mógł mi udzielić na pytanie, które bardzo chciałam mu zadać. Najgorsza

zakładała natychmiastowe odrzucenie, po którym przyszłyby do mnie z pretensjami Sylvie albo jakaś jej przyjaciółka (szybko odegnałam wizję Niny Meeks), zostałąbym pośmiewiskiem całej okolicy, sąsiedzi przestaliby mi się kłaniać i rozpowiadaliby na mój temat plotki. Nie, to jednak był Londyn. Nawet na ulicach takich jak Grove, mających własne sąsiedzkie stowarzyszenia, istnieje pewien margines anonimowości i swobody, również dla tych, którzy przekroczyli pewne granice. Ludzie byli zbyt zajęci swoimi rodzinami i pracą, żeby angażować się w nagonki na sąsiadów. Nie, nawet najgorsze, co mogło się zdarzyć, było i tak niczym w porównaniu z tym, co widziałam i przeżyłam wcześniej tego popołudnia.

Nie mam pojęcia, jak długo nad tym wszystkim myślałam, ale Arthur po prostu spokojnie czekał, jak aktor, którego koleżanka pogubiła się w tekście i chwilowo nie ma sposobu, żeby jej pomóc.

– Może wpadnij później do mnie na drinka, jeśli masz ochotę – powiedziałam w końcu. Nie było to pytanie i dzięki temu wydawało się mniej karygodne.

Nie odezwał się. Pozornie w ogóle nie zareagował, nawet spojrzaniem, ale wiedziałam, że odpowiedź brzmi: tak.

– Pamiętasz, gdzie mieszkam?

– Sto dziewięćdziesiąt dziewięć, mieszkanie B.

– Mhm.

To była elementarna, pełna napięcia rozmowa

o pragnieniach. Kiedy odwrócił się i wyszedł, zdawało mi się, że w ogóle się nie spotkaliśmy, że to była tylko rozpaczliwa fantazja, powstała pod wpływem wydarzeń tego dnia, wizyty w szpitalu i zniknięcia Matta. Fantazja kobiety zbyt zmęczonej, żeby wymyślić bardziej rozbudowany dialog. Nie zdziwiłabym się, gdyby sprzedawca zapytał, czemu rozmawiam sama ze sobą.

Niemniej jednak kupiłam lepsze wino niż normalnie, dwie butelki zamiast jednej, i pospiesznie wróciłam do domu. Moje zmęczenie gdzieś zniknęło. Postanowiłam odłożyć sprzątanie i zająć się najpierw sobą. Wzięłam prysznic i zmyłam z siebie zapachy szpitala i metra. Wtarłam w skórę olejek różany, włożyłam dzinsy i jedwabną bluzkę, trampki zamieniłam na obcasy. Wysuszyłam i spięłam włosy, zrobiłam sobie kreski na powiekach i umalowałam usta. W rezultacie nie byłam ani przesadzonym cukierkiem, jak na przyjęciu u Laingów, ani bezbarwną, zmiętą postacią sprzed pół godziny. Potem posprzątałam jedyny ładny pokój w mieszkaniu, salon z wysokimi oknami, i zapaliłam świeczki o pomarańczowym aromacie.

Zrobiła się już dziesiąta wieczorem. Nie wiedziałam, o której zamykają pub ani jak długo Arthur ma zamiar tam siedzieć. Gdy tak czekałam, nasza mnie obawa, że źle zrozumiałam naszą rozmowę. Poczułam jednocześnie strach i pustkę. Modliłam się, żeby to było złudzenie, żeby się okazało, że wszystko wymyśliłam, a jednocześnie byłam tak przygnębiona, że miałabym

ochotę popełnić samobójstwo, gdyby się nie zjawił. Zakręciło mi się w głowie, kiedy zdałam sobie sprawę, że jakimś sposobem, bez ostrzeżenia czy uzasadnienia, Arthur Woodhall stał się osobą, którą chciałam zobaczyć najbardziej na świecie. Nikt nie mógłby go zastąpić.

Przyszedł tuż przed jedenastą. Kiedy wchodził do mieszkania, nie było po nim widać tego poruszenia, jakiego sama doświadczałam; dopiero gdy przypadkiem spojrzałam w lustro, zdałam sobie sprawę, że po mnie także niczego szczególnego nie widać. Wyglądałam na zupełnie spokojną. Byłam czysta, z jasnym spojrzeniem i zdrowym rumieńcem, jak ktoś, kto właśnie wykąpał się po bieganiu. Nie wyglądałam jak uwodzicielka, wystrojona i gotowa do działania.

– Cześć.

Odsunęłam się, żeby wpuścić go do środka. Nie byłam pewna, co robić dalej. Wyobrażałam sobie, że zamiast normalnego przywitania od razu zacznie mnie całować, śmiałym, chciwym pocałunkiem, ale teraz to wyobrażenie wydało mi się absurdalne i wzięte prosto z powieści dla nastolatek. W salonie gestem zaprosiłam go, żeby usiadł na kanapie (naszym jedynym meblu do siedzenia), i poszłam do kuchni po wino. Po powrocie usiadłam obok niego, skromnie trzymając kolana razem i łokcie przy sobie, jakbym to ja była gościem, a on – usadowiony wygodnie, swobodny, z ramieniem na oparciu kanapy i stopą opartą o kant stolika –

gospodarzem.

– Nie zwracaj uwagi na mieszkanie. To pewnie jedyna taka nora na całej ulicy.

– Ale podoba mi się – powiedział. – Przypomina mi jedno miejsce, w którym mieszkałem lata temu, jeszcze na studiach. – Po chwili, zdając sobie sprawę z wydzwięku tych słów, przeprosił. – Chyba powinienem ująć to jakoś inaczej.

– Nie, nie przejmuj się, masz rację. To rzeczywiście wygląda jak stacja. Wprawdzie nigdy nie studiowałam, ale gdybym nawet poszła kiedyś na uniwersytet, to powinnam już dorobić się czegoś porządniejszego.

– „Już”? Ile masz lat, Emily?

– Trzydzieści. A ty?

– Czterdzieści osiem.

Osiemnaście lat. Mniej więcej tego się spodziewałam.

– Jestem dla ciebie starym dziadem, co? – uśmiechnął się.

– Nie.

Pomyślałam o Ronniem, którego spotkałam dzisiaj na oddziale, o tym, jak choroba zamieniła go w egocentryczne dziecko; o moim ojcu, skurczonym i starym.

– Miałaś ciężki dzień? – spytał, odrobinę mrużąc oczy. Znowu przyszło mi do głowy, że musi mieć zdolność odgadywania myśli. Zaraz jednak zdałam sobie sprawę, że zwrócił raczej uwagę na tempo,

w jakim opróżniałam kieliszek.

– Tak, tak się złożyło. Okropny. Ale teraz już czuję się znacznie lepiej.

Teraz, kiedy przyszedłeś. Odstawiłam kieliszek i odwróciłam się, żeby spojrzeć mu prosto w twarz, pełna oczekiwania i nadziei. I znowu ogarnęło mnie przerażenie. Myśl, że mógłby mnie odtrącić, była nagle sto razy gorsza niż wcześniej, w sklepie z winem. Miałam wrażenie, że gdyby coś poszło nie tak, świat by mi się zawalił na głowę, musiałabym wyjechać stąd jak najszybciej, w pośpiechu, w środku nocy. Matt zgłosiłby na policji moje zaginięcie. Tak bardzo uderzyła mnie ta wizja, że kiedy Arthur przysunął się do mnie, pozostałam w kompletnym bezruchu. Zawahał się.

– Czy źle cię zrozumiałem? – zapytał, jakby nie chcąc zrobić niczego wbrew mojej woli, ale bez śladu zmieszania.

– Nie, nie. Oczywiście, że nie.

Ale ciągle nie byłam w stanie się ruszyć, zahipnotyzowana jego bliskością, bliskością mężczyzny, który wydawał mi się jednocześnie obcy i znany najlepiej na świecie.

– To dobrze. Tak myślałam.

Poczułam na twarzy ciepło jego skóry, ust, potem dłoni. Jego pocałunki były stanowcze i precyzyjne, jakby formalne, za to ręce – delikatne i rozkojarzone, całkowicie nieformalne. To połączenie przełamało we mnie ostatnie bariery. Po chwili kochaliśmy się na

kanapie, obejmując się spazmatycznie, wyężając i jęcząc; było to bardziej żywe niż kiedykolwiek, a moje reakcje wykraczały poza normalne doznania. Jakbym została pobudzona do życia po raz pierwszy. Czułam słabość w całym ciele pod wpływem tej nowej wiedzy, przyprawiającego o zawrót głowy przekonania, że wszystko teraz stało się lepsze, błędy naprawione, przyszłość oświetlona jasnym światłem.

Oczywiście wiem, że to brzmi śmiesznie. Całkowita przesada, pod każdym względem.

– Czuję się jak pod wpływem jakichś narkotyków – powiedziała, kiedy leżeliśmy ciasno jedno obok drugiego. Zachwycało mnie gorąco jego ciała, twardość obojczyka pod moim policzkiem, rytm jego tętna. – Dolałeś mi do wina czegoś ze szpitalnej apteki?

– Chyba nie było takiej potrzeby – odparł. – Poza tym endorfiny działają podobnie do narkotyków. – Przez chwilę głaskał mnie po włosach i spoważniał. – Tak dla jasności, żebyś nie miała wyrzutów sumienia: to ja szukałem ciebie.

– No tak, odprowadziłeś mnie i poszedłeś za mną do sklepu – zgodziłam się.

– I przyszedłem do ciebie do pracy.

– Po ten talerz? Myślałam, że żona cię wysłała?

– Sam zaproponowałem. Potem byłem jeszcze raz, ale wyszłaś na lunch.

– Tak? Nikt mi niczego nie przekazał.

Pomyślałam o Charlotte (a może to była Aislene?)

z wywołaną przez wzruszenie sympatią, wiedząc, że nie mogła zdawać sobie sprawy z wagi tego przeoczenia.

– Nie prosiłem o to – odpowiedział Arthur. – Miałem nadzieję, że któregoś dnia spotkam cię na ulicy. I spotkałem.

– Tak po prostu zdałeś się na los?

Poraziła mnie myśl, że to wszystko równie dobrze mogło się nie wydarzyć.

– Byłem przekonany, że sprawy na pewno się ułożą.

Słuchałam go jak zaczarowana. Z łatwością zmieniał ton od powagi do kpiny i czasami nie wiedziałam, co bardziej zasługiwało na reakcję.

– Aha – powiedziałam. – Raczej trudno to nazwać intensywnym poszukiwaniem. Jesteś rozczarowany, że nie musiałeś się bardziej namęczyć, żeby mnie zdobyć?

Uśmiechnął się i kącik jego ust podniósł się z niemal kobiecym wdziękiem.

– Ani trochę. Wręcz przeciwnie.

Przytuliłam się do niego jeszcze bardziej, wsuwając mu palce we włosy. Nasze ciała zdążyły ostygnąć i zrobiło mi się zimno, więc zarzuciłam na nas koc przykrywający kanapę. Jego tandetna szorstkość jakby potwierdzała moją własną tanią dostępność.

– Nie musisz wracać do domu? Twoja żona nie zadzwoni z Sussex?

– Nie, już z nią rozmawiałem. Nie będzie dzwonić, mówiłem, że wychodzę. Poza tym pracuje nad tym, żeby nie ulegać swoim podejrzeniom.

– Podejrzeniom na mój temat?

Tak mnie to zaniepokoiło, że wysunęłam się z jego objęć i usiadłam.

– Nie, nie na twój. Na temat kobiety, jakiegokolwiek. Wszystkich kobiet. Muszę przyznać, że nie byłam święty przez te wszystkie lata.

W tym wyznaniu nie było arogancji, raczej melancholia i żal (później dowiedziałam się, że Arthur nie należał do ludzi, którzy „niczego nie żałują”; byliśmy pod tym względem podobni, wbrew modzie uważaliśmy oboje, że człowiek może żałować różnych rzeczy w życiu; zarozumiałstwem byłoby tego nie robić). Jego słowa nadały sens rozmowie Sylvie i Niny, którą usłyszałam w pracy („To już prawie dwa lata, co? Jak na niego to świetny wynik”), i nie były dla mnie zaskoczeniem. Tego wieczora czułam się wyjątkowo, ale byłam świadoma, że jego atrakcyjność z pewnością działa także na inne kobiety, łącznie z Sylvie. Czyż nie padłyśmy wszystkie ofiarą słynnego uroku chirurgów? Same podałyśmy siebie na tacy, co zapewne dla niego stanowiło jedną z dodatkowych korzyści zawodowych, jak dla wielu mężczyzn na wysokich stanowiskach, od dyrektorów korporacji po sławnych aktorów.

– W takim razie może nie powinna walczyć z podejrzeniami – powiedziałam. – Może raczej powinna je sprawdzać?

To go rozbawiło.

– Po czyjej jesteś stronie, Emily Marr? – zapytał,

przyciągnął mnie z powrotem do siebie i znowu zaczął gładzić moje ciało. Czułam w jego dłoniach zachwycenie, które dokładnie odpowiadało mojemu. Jakby wzajemne posiadanie wymagało dowodu w postaci nieustającego fizycznego kontaktu, u obu uczestników równie intensywnego, równie namiętnego.

– Po twojej – powiedziałam. – Jestem po twojej stronie. Ale przecież wiesz to dobrze, prawda?

Całował mnie raz za razem, a potem znowu od siebie odsunął, przyglądając mi się z niekłamanym zachwytem, jakbym była zagubionym i odnalezionym skarbem, poszukiwanym cudem. Nikt tak na mnie nie patrzył od czasów dzieciństwa.

– Jesteś bardzo piękna, Emily, nawet piękniejsza, niż myślałem. Mogłabyś być modelką.

Zmarszczyłam nos i potrząsnęłam głową.

– Wykluczone. Poza tym jestem za niska.

– Naprawdę? Wydajesz się wysoka.

Sięgnęłam po jedną z moich szpilek, porzuconych na podłodze przy kanapie, i podniosłam ją do góry.

– Noszę buty na wysokich obcasach.

Wyjął mi z ręki pantofel i przyjrzał mu się.

– Podobają mi się.

Wzięłam do ręki leżący na oparciu biustonosz.

– Do tego zbyt okrągłe kształty. Według świata mody mam straszną nadwagę.

– Podoba mi się taka nadwaga – zamruczał. – Podobasz mi się cała, zresztą chyba widać. Nie mogę

przestać cię dotykać, Emily...

Znowu się kochaliśmy, znowu z dziką euforią, jak wcześniej. Potem piliśmy, drzemaliśmy i budziliśmy się nawzajem, znowu zaczynaliśmy rozmawiać. Żałuję, że nie zapamiętałam każdego słowa, bo była to najbardziej zaczarowana rozmowa w moim życiu – ale większość uleciała mi z pamięci. Jednak pewnych fragmentów nie zapomnę:

– Jest w tobie coś wyjątkowego, Emily. Coś, czego nie widziałem nigdy wcześniej. – Chciał to koniecznie wyjaśnić, od razu. – Jesteś zbyt niewinna na swój wiek, o to chodzi.

Nawet teraz nie wiem, czy miał na myśli mój wiek w sensie przeżytych lat, czy może czasy, w których przyszło nam się spotkać.

Tej nocy w głowie zawróciły mi jego komplementy, jego koneserskie uznanie, względy samca alfa. Ale rano – wyszedł, gdy spałam, kiedy jeszcze było ciemno – postanowiłam nie oczekiwać niczego więcej. To była właśnie taka noc radosnej spontaniczności, jakiej mi brakowało, zaspokojenie potrzeby, krótkie szaleństwo, które powinnam potraktować jako katalizator koniecznych w życiu zmian. Zaraz po powrocie Matta powiem mu, że gdy tylko skończy się półroczny okres naszej umowy najmu mieszkania, każde z nas pójdzie swoją drogą. Będę musiała wymyślić nowy plan finansowy i trzymać się go, nawet gdybym miała nie dojadać. Zacznę szukać lepszej posady, z większą pensją,

i dam radę sama płacić za mieszkanie albo wynajmę coś mniejszego.

Tak. Arthur Woodhall był wysoko postawionym człowiekiem, który zechciał spędzić ze mną noc, co zresztą, jak sam przyznawał, było kolejną z jego przygód. Poza tym był żonaty. Ten fakt można ignorować – nawet jeśli nie akceptować – przez jedną noc, ale z pewnością nie przez dłuższy czas. Nie leżałoby to w mojej naturze. Musiało mi wystarczyć, że któregoś razu, zimą, w sobotnie popołudnie, poszedł moim śladem; że byłem dziewczyną, którą uznał za zbyt niewinną na jej wiek.

Nie wiedziałam wtedy, że on nie miał zamiaru zachowywać się racjonalnie ani tłumić swoich pragnień tak jak ja. Że nie patrzył na całą sprawę jak na miłą przygodę czy krótkotrwały podbój. Nie wiedziałam, że znajdzie mnie znowu następnego wieczora i że oboje rzucimy się ku sobie, nie bacząc na nic, nigdy nie rozstając się bez obietnicy kolejnego spotkania.

Nie wiedziałam, że różnię się od innych kobiet, także od jego żony, i że ta różnica zacznie mnie określać bardziej niż wszystko inne.

Rozdział 7

Tabby

Przyzwyczajona do spokojnego rytmu życia w miasteczku poza sezonem, Tabby była zdegustowana metamorfozą, jaka nastąpiła w czerwcu, kiedy Saint-Martin zmieniło się w kurort, w którym najwyraźniej cały świat chciał zaznać morskich wakacji. Samochody stały w kolejce przed parkingiem, który wcześniej był jedynie kawałkiem łąki na końcu miasteczka, grupy zwiedzających tłoczyły się na zabytkowych fortyfikacjach, rowerzyści jeździli w tę i we w tę całymi ławicami, a przed lodziarnią na nabrzeżu ustawiała się długa kolejka. Nagle wszędzie pojawiły się budki z ostrygami i goframi, osiołki do przejażdżek i stylizowane karuzele. Wszystkie sklepy powystawiały towar na ulicznych stoiskach, więc rue de Sully czy rue Jean Jaurès wyglądały jak targowiska pod gołym niebem, sprzedające barwne stroje: srebrne sandałki, turkusowe sarongi, nieprzemakalne kurtki, bluzki z marynarskim kołnierzem, apaszki i szale – długie kawałki kolorowej bawełny zawiązane w połowie, powiewające na wietrze.

Tabby już od miesiący nie kupiła sobie nic do ubrania i nie przychodziło jej nawet do głowy, żeby wydać osiemdziesiąt euro na plażową bluzkę czy

czterdzieści na kapelusz. Tego typu sumy znajdowały się poza zasięgiem kogoś, kto zaczyna wszystko od nowa. Zaplanowała swoje wydatki bez komplikacji: najpierw musiała zarobić i odłożyć pięćdziesiąt euro na czynsz, potem na jedzenie i autobus. To, co zostawało, oszczędzała – musiała uskładać kilkaset euro na podróż powrotną do Anglii, najlepiej do Londynu, gdzie znajdzie jakąś lepszą pracę i zacznie spłacać swój debet. Byłoby nie do pomyślenia, żeby wydała trzydzieści euro na jeden z pastelowych ręczników *fouta* przywożonych z północnej Afryki. Nie ulegało jednak wątpliwości, że było bardzo przyjemnie dotykać wystawionych na sprzedaż tkanin, pozwalać miękkim materiałom, by spadały gładko na dłonie i nadgarstki.

Emmie jakby nie zwracała uwagi na nagłe pojawienie się turystów. Jej życiowa przestrzeń ograniczała się do domu na uboczu, a z wypraw do pracy czy po zakupy przynosiła jedynie bardzo ogólnikowe spostrzeżenia.

– Mam nadzieję, że nie przyjedzie zbyt wielu Anglików – powiedziała tylko, gdy Tabby zdawała jej szczegółową relację z rozmów podsłuchanych w *boulangerie* (kupowały tam codziennie rano ciepłą bagietkę za jedno euro).

– Teraz widuję ich dość często – odpowiedziała Tabby. – Może zaczęły się jakieś szkolne ferie?

– Myślałam, że tu przyjeżdżają głównie Francuzi. – Emmie zmarszczyła brwi.

Z początku Tabby miała nadzieję, że z turystami z Anglii będzie można nawiązywać wakacyjne znajomości, które tak lubiła podczas podróży, ale szybko przekonała się, że przyjezdni należeli do ludzi, którzy nie interesują się osobami takimi jak ona. Były to zamożne rodziny najwyraźniej bardzo z siebie zadowolone, rodzice nawołujący dzieci podczas przejażdżek rowerowych po brukowanych uliczkach, letnicy rozsiadający się przy restauracyjnych stolikach na tarasie z widokiem na morze i mówiący między sobą, jak też jest tutaj cudownie, oraz zamawiający dzieciom ucztę z *moules et frites*. Czasem całe rodziny zgodnie ubierały się w prążkowane żeglarskie podkoszulki, które można było kupić wszędzie w dowolnym rozmiarze, oraz w oldskulowe tenisówki w spranych szarościach i różach.

– Znam ten typ – powiedziała Emmie, kiedy Tabby opisywała przyjezdnych. – Kiedyś myślałam, że też chciałabym tak żyć.

Zaskoczona tym niespodziewanym osobistym wyznaniem Tabby nie od razu zadała pytanie.

– Ale co masz na myśli – mieć męża i dzieci? Pieniądze? Czy kosztowne wakacje?

– Trudno to określić. Po prostu... należeć do nich.

Powiedziała to z zastanowieniem i Tabby wiedziała, że potem zatopi się w myślach. W ciszy, która zapadła, Tabby pozwoliła sobie na krótkie rozmarzenie z sobą i Paulem w roli głównej – o tym, że razem jeżdżą

rowerami po wyspie, nawołując do siebie głosami, w których brzmiała pewność siebie, ustalając, gdzie zatrzymać się na ostrygi (sama nigdy nie próbowała ostryg). Była przekonana, że Emmie miewa podobne fantazje, a jedyną różnicą między nimi jest osoba byłego ukochanego.

– Może tu znalazłaś swoje miejsce? – powiedziała z sympatią.

– Może – odparła Emmie.

Turnusy zmieniały się teraz co tydzień i po raz pierwszy musiały pracować szybko, porządkując domy po poprzednich lokatorach i przygotowując dla następnych. Na ogół wymiany odbywały się w sobotę, ale w niektórych domach była to niedziela albo piątek, co dla Tabby oznaczało więcej pracy i większy zarobek. Od tej pory weekendy kojarzyły jej się z turkotem ciągniętych po bruku walizek, rozpoczynającym się wcześniej rano i trwającym do wieczora.

Praca była męcząca i monotonna. Moira dawała im spis czynności, które musiały być wykonane we właściwym porządku. Najpierw trzeba było zdjąć pościel i wraz z ręcznikami wrzucić do pralkosuszarki, dzięki czemu na koniec sprzątania można było pościelić łóżka na nowo. Potem cały dom musiał zostać posprzątany zgodnie z wysokim, wakacyjnym standardem, oczekiwanym przez letników, którzy często płacili tysiące euro za tygodniowy pobyt. Z początku Tabby musiała przedłużać pracę, żeby zdążyć ze

wszystkim (któregoś razu zdarzyło jej się myć jeszcze podłogę w kuchni, gdy taksówka z gośćmi zajęła już przed dom), ale wkrótce nabrała takiej wprawy, że mogła robić sobie przerwy. Spędzała je, siedząc w ogrodzie albo na tarasie, podziwiając głęboki błękit nieba i wdychając zapach morza. Próbowwała sobie wyobrazić, jak czują się ci, którzy przyjeżdżają do Ré na wakacje, spodziewając się zapewne samych przyjemności. Czy zastanawiają się, kto wcześniej spał na tych samych materacach, pił kawę z kubków, wycierał nogi na wycieraczce, przeglądał broszury z informacjami dla turystów? Czasami wydawało się jej, że wyczuwa resztki jakiejś woni, energii pozostałej po tych, którzy wyjechali; jej zadaniem było usuwać wszelkie takie ślady, ale lubiła je, lubiła ciepło czyjgoś toczącego się życia.

Niektórzy klienci zlecali tylko jednorazowe przygotowanie domów do sezonu. To były ich własne domy letniskowe, do których przyjeżdżali na wakacje, *des maisons secondaires*. Już sama idea posiadania drugiego domu na lato zdumiewała Tabby – te domy były w pełni umeblowane, zaopatrzone we wszystko, co potrzebne: szczotki, zmiotki, odplamiacze w spreju, rakiety tenisowe i zestawy do gry w bule. Okazało się, że tylu ludzi ma zapasowe wyposażenie na życie, podczas gdy ona nie miała nawet tego podstawowego.

Nie chciała myśleć o mieszkaniu, które wynajmowali kiedyś z Paulem, kilka lat przed

zakończoną właśnie podróżą – musiałyby w końcu ze wstydem przyznać, że w jednej chwili oddałyby Francję, słony atlantycki wiatr, swoją nową szansę w życiu, żeby tylko wrócić do tego małego mieszkanka w Guildford razem z nim. Wtedy, kiedy jeszcze ją kochał.

Gdy trzeba było posprzątać jakiś większy dom, Moira wyznaczała do pracy dwie dziewczyny, więc wkrótce Tabby dostała dodatkowe zlecenie do wykonania razem z Emmie. Ucieszyła się – nie tylko otrzymała wynagrodzenie ekstra, lecz także mogła pracować w towarzystwie. Sprzątanie było samotnym zajęciem i nie zawsze jej to odpowiadało. Był tylko problem z dojazdem – miały jeden rower, więc Tabby musiała pojechać autobusem, który podczas sezonu był wypakowany po brzegi turystami zwiedzającymi wyspę albo podróżującymi do La Rochelle. Zaczęła w końcu rozważać kupienie jakiegoś używanego roweru (sprzedawanego przez którąś z licznych wypożyczalni) i sama się zdziwiła, że snuje takie plany, że zamierza zostać na wyspie na tyle długo, by taka inwestycja miała sens.

Jednak Emmie, przyjrzawszy się adresowi przesłanemu SMS-em przez Moirę, zawyrokowała:

– Za daleko na rower, obie musimy jechać autobusem. To tuż obok Trousse-Chemise.

– Gdzie to jest?

– Kawał drogi stąd, za Les Portes. Sprawdzę, jak często jeżdżą autobusy.

Tabby była zadowolona, że nie musi się tym zajmować.

Kiedy szły razem na przystanek, Tabby z daleka pozdrawiała znane z widzenia sprzedawczynie i kelnerki w restauracjach. Lubiła taką wymianę grzeczności, która tutaj była zwyczajem. Emmie tymczasem szła przed siebie, nic nie mówiąc, czekając na Tabby na rogu ze wzrokiem wbitym w ziemię. Mieszkała w okolicy już dwa miesiące, ale najwyraźniej chciała pozostać w miasteczku outsiderką.

– Spodziewasz się, że przyjadą latem jacyś goście? – zapytała Tabby, gdy dotarły już na przystanek.

– Goście? Przecież wszędzie jest pełno ludzi.

– Nie o to chodzi – wyjaśniła Tabby, podejrzewając, że Emmie celowo udaje, iż nie rozumie. – Czy ty będziesz miała gości? Rodzinę albo znajomych z Anglii?

Przyszło jej jednocześnie do głowy, że to oznaczałoby dla niej utratę mieszkania, więc postanowiła trochę zmienić temat.

– Gdzie mieszkają twoi rodzice?

Emmie spojrzała w jej stronę, ale nie całkiem prosto na nią.

– Nigdzie. Oboje nie żyją.

Tabby spojrzała na nią całkowicie zaskoczona.

– Ojej, Emmie, jak mi przykro. Nie miałam pojęcia, że jesteśmy po takich samych przejściach. Mam na myśli mojego ojca.

Przez chwilę chciała wziąć Emmie za rękę albo nawet objąć, ale powstrzymała się – Emmie nie wyglądała na kogoś, kto lubi kontakt fizyczny.

– To miałaś na myśli, mówiąc wcześniej o trudnych przeżyciach – śmierć rodziców? Czy zmarli niedawno?

– Wolałabym o tym nie rozmawiać – odparła Emmie.

– Jasne, oczywiście. Rozumiem.

Czekały na autobus bez słowa. Dla Tabby było to bardzo znaczące przemilczenie ze strony Emmie, tym bardziej że w tej sprawie potrafiłaby przecież okazać współczucie i udzielić wsparcia. Jej ojciec zmarł trzy lata wcześniej z powodu udaru. Po jego śmierci przez kilka miesięcy płakała wieczorami, dopóki nie zasnęła. Ponad rok dręczyła ją bezsenność i depresja. Stopniowo nauczyła się jakoś odsuwać od siebie poczucie straty i nie wspominać ciągle chwili, kiedy dowiedziała się o śmierci ojca – od matki, w któreś wtorkowe popołudnie. Ogarnęła ją wtedy ciemność, do której z czasem tak przywykła, że kiedy najgorsze minęło, ze zdumieniem na nowo patrzyła na świat.

Rzadko teraz myślała o twarzach ludzi widzianych na pogrzebie, od których kiedyś trudno jej się było uwolnić: o rozpachy malującej się na buziach Layli i Jessiki tak wyraźnie, że przez chwilę obawiała się, czy nie zniekształci ich rozwijających się rysów; o Susie, po której widać było smutek pełen tego rodzaju buntu, jaki często przeradza się w wyrzuty i obwinianie innych.

Z początku Tabby z ulgą myślała o tym, że nie widziała ojca w dniach poprzedzających śmierć, więc nikt nie może jej przypisać winy za jego odejście, ale potem przyszedł straszny żal, że się nie spotkali. Zresztą Susie nie chciała się nim dzielić po śmierci, tak jak nie chciała się nim dzielić za życia, a Tabby czuła podobnie. Po pogrzebie nie próbowała się spotkać ani z Susie, ani z dziewczynkami.

Matka i Steve oczywiście też tam byli. Unikala wzroku Steve'a, ale przychodziło jej to z trudem – dawny krzywdziciel przyciągał jej spojrzenie jak upiór. Jakże była szczęśliwa, że odchodzi stamtąd z Paulem, że nie jest już pod opieką matki, wystawiona na obrzydliwie natarczywy wzrok Steve'a.

Nagle przypomniała sobie, jak opowiadała o tym wszystkim Emmie podczas ich pierwszej rozmowy, jak mówiła: „Wcale nie cierpiał. Na szczęście nie było z nim tak, że chorował latami i trzeba się było nim zajmować. Wszyscy mówili, że tak było lepiej, właściwie to było bardziej miłosierne”. Wcześniej w swoim życiu rzadko słyszała słowo miłosierny i potem też nie było okazji, żeby mogło się pojawić – może poza dniem, kiedy Emmie przyjęła ją pod swój dach. „Każdemu z nas może się coś stać w każdej chwili. Wiem, że to banał, ale taka jest prawda”.

Teraz była na siebie zła za to gadulstwo. „Każdemu z nas może się coś stać w każdej chwili” – biedna Emmie pewnie myślała wtedy o swojej własnej stracie.

A co, jeśli któreś z jej rodziców „chorowało latami”? Jak mogła tak bezmyślnie gadać? Z drugiej strony łatwiej byłoby zachować się z taktem i wrażliwością, gdyby Emmie otworzyła się choć trochę; ryzyko urażenia jej w każdej, nawet niewinnej rozmowie, stałoby się mniejsze.

Myślała o tym wszystkim, kiedy przyjechał autobus i wsiadały do środka. Emmie wybrała siedzenie naprzeciwko niej i odwróciła się do okna, być może nie chcąc narażać się na kolejne pytania. Tabby zamknęła oczy i odprężyła się. Podróż na drugi koniec wyspy wlokła się w nieskończoność; w końcu uspiło ją łagodne powietrze i ciągłe kołysanie zatrzymującego się i znów ruszającego autobusu. Emmie musiała ją obudzić, gdy dojechały na miejsce. Dom, oddalony od przystanku o dziesięć minut drogi, stał przy ulicy prowadzącej do morza. Za mijanymi ogrodzeniami kryły się rezydencje znacznie większe niż domki i bungalowy, jakie zazwyczaj sprzątały. Tabby zdała sobie sprawę, że czeka je pracowite popołudnie, i poczuła żal, że nie może wymknąć się na plażę i poleżeć na wydmach.

Dom był piętrowy i obszerny, otoczony cyprysami i drzewami owocowymi. Na zewnątrz miał piękny kamienny taras, wąski błękitny basen i trawnik schodzący w kierunku morza. Cudowne miejsce z widokiem na morze z dwóch stron, z dala od sąsiadów. Przebywając tam, człowiek miał wrażenie, że znajduje

się na końcu świata. Okiennice miały ten sam kolor co niebo.

Emmie wystukała kod przy drzwiach i w środku wyłączyła alarm.

– Popatrz, tu już jest czysto! – zawołała, rozglądając się w holu, żeby ocenić rozmiary czekającej je pracy. – Jak skończymy, będzie błyszcząło – dodała z dziwnym rozradowaniem, rozpraszając wszelkie nadzieje Tabby na obniżenie zwykłych standardów. Tabby spojrzała na terakotowe podłogi z nagłym znużeniem, a przed oczyma wyobraźni stanęły jej niezliczone inne posadzki czekające na szorowanie. Wkrótce zrobi się naprawdę gorąco, a nie wszystkie domy będą miały klimatyzację. Jeżeli już teraz poczuła się zmęczona, to jak wytrzyma pracę w pełni sezonu?

Nie masz innego wyboru, powiedziała sobie surowo. Pamiętaj, mogłaś trafić do schroniska dla bezdomnych. Albo gorzej.

– Dobra, zabierajmy się do roboty – powiedziała Emmie. Znalazła szafkę ze środkami do czyszczenia i zadysponowała, że Tabby zajmie się kuchnią i holem, podczas gdy ona sprzątnie ogromny salon w głębi. – Trzeba będzie też zamieść taras – dodała. – Jeśli mają myjkę ciśnieniową, możemy jej użyć.

Po czym wzięła się do energicznego zamiatania swojego terenu. Według instrukcji po zamiataniu powinno nastąpić odkurzanie, a następnie mycie na mokro, chociaż Tabby od jakiegoś czasu pomijała etap

odkurzania, gdy pracowała sama. A już nigdy nie przyszło jej do głowy sprzątać tarasów czy podwórek, o ile nie otrzymała od Moiry specjalnego polecenia.

Wzięła się do roboty. Okazało się, że tak dobrze wdrożyła się do nowego życia, że zapomniała o swoich początkach na wyspie – dopiero kiedy zrobiła przerwę, by napić się wody, spojrzała na rodzinne fotografie w holu i zorientowała się, gdzie jest.

Nalała szklankę wody dla Emmie, która skończyła już salon i przeniosła się do pierwszej z trzech łazienek na piętrze.

– Już tutaj byłam – powiedziała.

– Naprawdę? To wyjaśnia, dlaczego jest tak czysto – odpowiedziała Emmie, zajęta szorowaniem listew przypodłogowych z takim zacięciem, jakby lepiły się od brudu. – Właściciele pewnie nie byli w domu od tamtej pory. Korzystają z kuchenki? Moira mówiła, że niektórzy ludzie wcale nie gotują, nawet jeśli są w domu tygodniami. Pewnie płacą jej stałe wynagrodzenie i mają sprzątanie nawet jak nikogo nie ma. Niektórzy mogą sobie na to pozwolić.

– Nie, nie na zlecenie Moiry – powiedziała Tabby, ignorując refleksje Emmie (sposzregła jednak, że Emmie robi się rozmowna, jedynie kiedy w grę wchodzi temat ogólny). – Nie w pracy.

– No to kiedy? – spytała Emmie, bardziej z rezygnacją niż z ciekawością.

– Jak przyjechałam na wyspę... Nie mówiłam ci

jeszcze, co się stało, zanim trafiłam do twojego domu.

Emmie spojrzała na nią zaskoczona, z niepokojem w oczach, ale jej twarz rozpogodziła się, gdy tylko Tabby zaczęła opowiadać:

– Przyjechałam z facetem, właścicielem tego domu. Tak dotarłam na wyspę.

Nie musiała dodawać, że to była przygoda z żonatym, bo wszędzie dookoła pełno było dowodów na życie rodzinne: zdjęcia, na których rozpoznała swojego kochanka, rowery, deski surfingowe, rakiety do tenisa, stojące rzędem adidas należące do nastolatków.

– Miałaś z nim romans? – spytała Emmie ze smutkiem w głosie, a Tabby nie wiedziała, czy przygnębiło ją akurat to wyznanie, czy w ogóle konieczność wysłuchania zwierzeń współlokatorki.

– Nie, to była tylko jedna noc. Poderwał mnie w barze w Paryżu. Albo to ja go poderwałam, nie pamiętam. Myślisz, że jestem ohydna?

– Dlaczego miałabym tak myśleć?

– No... Niektórzy ludzie nie akceptują takich rzeczy. Pewnie większość. On jest żonaty. I ma dzieci.

– Dwoje. Widziałam zdjęcia. Dwóch synów.

– Sama tego nie akceptuję – stwierdziła Tabby.

Emmie potrząsnęła głową.

– Dlaczego wyjechałaś z Paryża z kompletnie obcym facetem? Pozwoliłaś, żeby przywiózł cię w takie odludne miejsce? Mógł cię zwyczajnie zamordować.

– Tutaj pewnie nikogo nie zamordowano od stuleci –

uśmiechnęła się Tabby.

– No tak, ale równie dobrze mogła to być francuska stolica zbrodni, przecież tego nie wiedziałaś.

– W ogóle nie myślałam o takich rzeczach – odparła Tabby, zbity z tropu takim obrotem rozmowy. Emmie nigdy nie udzielała przewidywanych odpowiedzi ani takich, na które się liczyło. Raz potrafiła wychwycić jakieś tylko zasugerowane stwierdzenia, których sam wypowiadający był ledwie świadomy, a innym razem brała wszystko dosłownie, nawet jeśli miało się na myśli coś zupełnie innego. – Wypiłam kilka drinków. A poza tym zrobił na mnie dobre wrażenie, wiesz, jak to jest, jakbym dobrze go znała i mogła mu zaufać.

Emmie nie odpowiedziała, ale z wyrazu jej twarzy Tabby wywnioskowała, że istotnie, wiedziała, jak to jest.

– Tak czy siak, następnego dnia rano mnie wyrzucił. Był umówiony z kimś z firmy budowlanej, a po południu przyjeżdżała jego rodzina.

– Ale czego właściwie oczekiwałaś? – zapytała Emmie, a w jej oczach znowu pojawił się dziwny smutek.

– Chyba niczego. Pamiętam tylko, że czułam się potem fatalnie. Jakbym to zrobiła dla kasy.

– Dał ci pieniądze?

– Nie! Zapłacił tylko za pociąg i taksówkę.

– No cóż, jedna noc to chyba nie powód do wielkiego zmartwienia, nie uważasz? – powiedziała Emmie, przybierając wreszcie lekceważący wyraz

twarzy, jakby uznała temat za zamknięty.

Niespodziewanie Tabby ogarnęły emocje.

– Emmie, chodzi o to, że to był mój pierwszy facet po rozstaniu z Paulem. Poczułam się beznadziejnie. Czy to zawsze musi kończyć się tak samo – że ktoś mnie wyrzuca ze swojego życia? Jakby nie dało się inaczej: ja zbliżam się do faceta, on zbliża się do mnie, a potem on zabiera zabawki i do widzenia. Zmienia zdanie. – Usłyszała rozpacz w swoim głosie i przestraszyła się, że tak szybko potrafi porzucić optymizm i zacząć się użalać nad sobą. Już miała dodać: „Nikt mnie nie chce”, ale wzięła się w garść i powiedziała tylko: – Zresztą nieważne, tak tylko musiałam się wyzalić.

Ale Emmie zerwała się na równe nogi i wpatrywała się w nią nie tylko z zainteresowaniem, ale też z prawdziwym, żywym współczuciem, jakiego Tabby nie widziała u niej od czasu ich pierwszego spotkania.

– Nie, doskonale wiem, jak się czujesz, Tabby. Kiedy ten ktoś mówi, że nigdzie dalej nie można już zajść. Nigdzie dalej w *miłości*. To okropne zostać odtrąconą, nieważne, czy on jest żonaty, czy nie.

„Odtrącona” – jakie ładne, staroświeckie określenie, pomyślała Tabby, chociaż przecież nie została odtrącona przez Grégoire’a, tylko przez Paula; i tak przecież wyszłaby z tego domu, jeśli nie zaraz rano, to niedługo potem. Facet mógłby być jej ojcem. I nie było mowy o żadnej miłości, prawda? Ale nie chciała urazić Emmie, wypowiadając to wszystko na głos.

– Emmie, czy mogę cię o coś zapytać?

– Możesz – powiedziała Emmie.

– Czy ty też zostałam odtrącona? Porzucona, jak ja? Czy to dlatego przyjechałam tutaj? Czy jesteśmy w takiej samej sytuacji?

Emmie patrzyła na nią przez chwilę z wyrazem dobrze znanej ostrożności na twarzy.

– Nie, nasza sytuacja nie jest taka sama, Tabby. Chociaż wolałabym, żeby tak było.

Tabby aż paliła się z ciekawości. Zresztą nie była to jedynie ciekawość – chciała móc odwdzińczyć się Emmie współczuciem za współczucie. Wiedziała (nawet jeśli Paul był innego zdania), że wsparcie powinno być dwustronne.

– Ale jaka jest twoja sytuacja? Nigdy nic nie powiedziałaś. Mogłabym ci jakoś pomóc. Już samo rozmawianie czasem pomaga, prawda? – Emmie milczała, więc Tabby, niewiele myśląc, brnęła dalej: – Pamiętasz, jak zastałam mnie w swoim domu?

– Raczej trudno byłoby to zapomnieć.

– Powiedziałaś wtedy: „Jak mnie znalazłaś?”.

Rysy Emmie stężały.

– Nie wydaje mi się.

– Na pewno tak powiedziałaś, dobrze to pamiętam. Emmie, dlaczego myślałaś, że cię szukałam?

– Niczego takiego sobie nie przypominam – odparła Emmie – ale jeśli tak naprawdę było, to pewnie dlatego, że tylko taki powód przyszedł mi do głowy.

To był typowy unik. Normalnie Tabby dałaby spokój, ale teraz, w emocjach, nie chciała zrezygnować.

– Jesteś w innej sytuacji niż ja – więc w jakiej? Czy chodzi o coś odwrotnego? Ukrywasz się przed kimś, kto cię szuka? Myślałaś, że mogę go znać?

Wyobraziła sobie maniakałnego kochanka, chcącego za wszelką cenę zdobyć Emmie, i przez moment poczuła zazdrość, że ktoś może tak bardzo pragnąć innej kobiety, podczas gdy ją tak łatwo porzucano. Zawstydziła się. A co, jeśli ten facet to jakiś brutal i Emmie boi się o własne życie? Nie ma czego zazdrościć. To mógł być na przykład typ podobny do Steve'a, jakiś zwyrodnialec, ktoś o wiele bardziej niebezpieczny, niż mogła sobie wyobrazić.

Emmie spojrzała na nią z rezygnacją.

– Nie nazwałabym tego ukrywaniem – powiedziała w końcu, a w jej głosie brzmiała prawdziwa desperacja. – To raczej wygnanie.

– Wygnanie? – Dla Tabby to słowo niosło skojarzenia polityczne, przywołując różne zdetronizowane królowe i wypędzonych przywódców. – Dlaczego miałabyś zostać wygnana? Nie rozumiem.

– No właśnie, dlatego nie chcę o tym rozmawiać. Ty nie możesz zrozumieć, a ja nie mogę wytłumaczyć.

– Ale przecież możesz. Możesz mi powiedzieć, jestem po twojej stronie.

Mówiąc to, poczuła ucisk w sercu – tak mówił do niej ojciec, kiedy była mała. I był po jej stronie, nawet

w latach Susie, a przynajmniej dopóki Susie całkiem go nie przekabaciła. W każdym razie w głębi serca zawsze brał jej stronę, a to było lepsze niż nic, lepsze niż wszystko, co robiła matka.

– Tego nie wiadomo – powiedziała Emmie cicho, prawie do siebie. – Nikt nie stanął po mojej stronie, więc dlaczego z tobą miałoby być inaczej?

– Bo jestem inna. Obiecuję, że postaram się zrozumieć, cokolwiek to będzie.

Emmie westchnęła ze znużeniem. Stały nadal w tych samych miejscach, rozdzielone progiem łazienki, ale Emmie przysiadła teraz na brzegu wanny.

– Jeżeli koniecznie chcesz wiedzieć, zostałam oskarżona o bycie kimś, kim nie byłam.

Tabby pomyślała chwilę. Oskarżona o bycie, nie o zrobienie czegoś. To było istotne rozróżnienie.

– O bycie kim?

– Złym człowiekiem.

– Złym człowiekiem? – To zabrzmiało dziwacznie, dziecinnie. – Dlaczego złym? Popełniłaś jakieś przestępstwo?

– To zależy od punktu widzenia.

– A jaki jest twój punkt widzenia? To jest dla mnie najważniejsze.

Ale Emmie nie chciała powiedzieć.

– Dlaczego przyjechałaś tutaj? – zapytała Tabby, nie chcąc tracić raz zdobytego gruntu. – Powiedz przynajmniej tyle. Ta wyspa nie jest specjalnie znana

w Anglii. Dlaczego nie pojechałaś do Paryża albo na południe?

– Pewnie mogłam jechać gdziekolwiek. Ale słyszałam o Ré. Od przyjaciela. – Przerwała na chwilę, po czym dodała: – Mieliśmy tu przyjechać razem.

– Razem? Więc jednak chodzi o faceta?

Emmie przytaknęła, a przynajmniej sprawiła takie wrażenie, na swój sposób spuszczać wzrok i jednocześnie opuszczając głowę.

– Kto to? Czemu zerwaliście? Gdzie on teraz jest?

Ale Emmie podniosła rękę.

– Proszę, nie pytaj mnie już więcej. Chcę wyrzucić to wszystko z pamięci. Potrzebuję nowych słów, nowych historii.

– Ale... – zaczęła Tabby.

– Nie, proszę!

Tabby nic z tego nie rozumiała. Jakie nowe historie? Jakie nowe słowa? Wreszcie wydobyła z Emmie wyznanie o złamanym sercu, na którym tak jej zależało, ale nie czuła żadnej satysfakcji. Przypomniała sobie w końcu, że nie powinna denerwować ani irytować Emmie, która okazała jej tyle dobrej woli. Ta wspaniałomyślność urosła teraz w jej oczach, kiedy zaczęła się domyślać, w jak kiepskiej formie musi być jej wybawicielka.

– Bierzmy się do pracy – powiedziała Emmie i wróciła do szorowania z pogodnym wyrazem twarzy, jakby właśnie spędziły chwilę na wesołych ploteczkach,

nie mówiąc nic godnego rozpamiętywania. – Dzięki za wodę. Możesz teraz zająć się ścieleniem łóżek? Szafa z pościelą powinna być gdzieś koło głównej łazienki, w głębi domu.

– Dobra, jasne.

Tabby poszła w stronę sypialni, czując żal w sercu. Nie dość, że zmusiła biedną Emmie do mówienia o sprawach, o których tamta najwyraźniej chciała zapomnieć, to jeszcze wchodząc do pokoju, który rozpoznała od razu, przypomniała sobie noc z Grégoire'em. Wtedy ta sypialnia wydała jej się taka elegancka, a teraz zobaczyła, że był to mniejszy z dwóch pokoi gościnnych, najskromniejszy w całym domu. Grégoire musiał być rzeczywiście zamożnym człowiekiem, a ona stała się jego tanią i łatwą zdobyczą.

Emmie miała rację, że chciała wyrzucić wszystko z pamięci. Lepiej by było, gdyby nasze serca nie skupiały się tylko na jednym, pomyślała. Mężczyźni, związki, miłość – nie tylko to powinno skłaniać ludzi do robienia różnych niezwykłych rzeczy, do wyjeżdżania w świat, do rozpoczynania nowego życia. Powinnyśmy tu przyjechać w pogoni za przygodą, a nie uciekając przed przeszłością! Jakieś inne, szlachetniejsze sprawy powinny nas skłaniać do działania.

Przez chwilę zastanawiała się, czym mogłyby być te szlachetniejsze sprawy, i nic nie przychodziło jej do głowy. Była jednak przekonana, że na pewno chce je znaleźć.

Rozdział 8

Emily

Arthur otwarcie opowiadał o swojej małżeńskiej niewierności, o tym, jak przysporzył swojej żonie cierpień nie tylko tym, że ją zdradzał, ale też dlatego, że wolał spędzać krótkie chwile wolnego czasu z kim innym – z kimkolwiek – z dala od rodziny. Gdyby zajmowały go golf, wspinaczka czy zdalnie sterowane helikoptery, wyszłoby na to samo – byłby równie złym mężem i nieobecny ojcem. Nie miał oczywiście powodów do dumy, ale powiedział, że zdrady małżeńskie to chleb powszedni w jego środowisku. Niektórzy z kolegów po fachu mieszkali w ogóle z dala od rodziny, do której dołączali tylko na weekendy. Inni rozwodzili się, żenili ponownie, po czym znowu rozwodzili, nie licząc na wyrozumiałość najbliższych. Zdrada przestała być ryzykiem zawodowym, urosła do rozmiarów epidemii.

– Nie takiego małżeństwa chciałem – powiedział. – Nie chciałem, żeby skończyło się porażką. Na pewno nie chciałem, żeby skończyło się porażką przeze mnie.

– Postąpiłbyś jakoś inaczej, gdybyś mógł zacząć wszystko od początku? – spytałam.

– Tak. Ale zmieniłbym tylko jedną rzecz – powiedziałbym „nie” zamiast „tak” za pierwszym razem.

Wtedy nie byłoby kolejnych.

Jednak powiedział „tak” (koleżance z pracy, co było do przewidzenia) i potem kobiety pojawiały się i znikwały, jak łatwa nagroda po godzinach ciężkiej pracy, niczym drink wypijany w barze w drodze do domu. Te, które zostawały na dłużej, pełniły rolę ulubionego pubu.

– Zrobiłem błąd, bo uznałem, że jeśli dla mnie to niewiele znaczy, dla niej też nie będzie ważne – powiedział, myśląc o Sylvie.

– I co się stało?

– Dwa lata temu dała mi ostateczne ostrzeżenie. Znalazła już prawnika i napisała pozew rozwodowy, tyle że jeszcze go nie wysłała.

– A ty?

– A ja przestałem.

– Tak po prostu?

Nie zważając na ironię faktu, że opowiadał o tym, podczas gdy jego nagie ciało splecione było z moim, słuchałam jego słów w napięciu, jak prawdy niepodlegającej wątpliwościom.

– Tak, pod warunkiem że Sylvie przestanie ciągle mnie oskarżać. – Podniosłam brwi, a on dodał: – Wiem, jak to brzmi, wiem, że to ja byłem winny, ale gdybym spał ze wszystkimi kobietami, o które mnie podejrzewała, nie miałbym czasu na pracę. Czasami naprawdę szedłem ze znajomymi na piwo.

– Mhm. I wyglądałeś na ulicę, patrząc, kto

przechodzi...

– To nie fair. – Pogłaskał mnie grzbietem stopy po łydce. – Tak czy owak, oboje dotrzyaliśmy umowy.

– Daj spokój, Arthur – powiedziałam. Nie dało się dłużej ignorować fałszu tej sytuacji. – Ona pewnie dotzymała, ale ty, jak widać, raczej nie. I nie jestem pewna, czy podoba mi się porównanie mnie do wizyty w pubie.

– Ależ to, co jest teraz, to zupełnie co innego – zaprotestował. – Zupełnie, całkowicie innego.

– Dlaczego? Romans jak każdy.

– To nie romans. To coś prawdziwego, *coup de foudre*. Dopiero teraz widzę, jak bezsensowne były wszystkie poprzednie związki.

Nie słyszałam nigdy wcześniej określenia *coup de foudre*, ale też nigdy wcześniej nie miałam romansu z żonatym mężczyzną, w dodatku z bardzo zakochanym żonatym mężczyzną. Byłam zaskoczona intensywnością i dynamiką naszego związku, który sprawiał wrażenie przyspieszonej wersji zwykłego uczucia. Staraliśmy się, żeby każde spotkanie było znaczące, jakbyśmy byli ministrami spraw zagranicznych urządzającymi nadzwyczajne posiedzenia, na których trzeba było rozwiązać kwestię grożącej wojny. Kluczowe decyzje zapadały w pościeli, ważne obwieszczenia wygłaszano podczas zapinania zamków błyskawicznych i pasków od spodni. Przyrzeczenia, wyznania, obietnice – nie trzeba było ich wymuszać ani prowokować (czy, jak

w wypadku Matta, unikać), bo zjawiały się nieoczekiwane, od razu w całych grupach, zapierając dech w piersiach.

– Zakochałem się w tobie – powiedział któregoś razu, zaledwie po kilku spotkaniach, i to nawet nie w łóżku, ale już potem, gdy zostało nam tylko kilka minut, podczas których ubieraliśmy się, zbieraliśmy klucze, sprawdzaliśmy portfele, gotowi powrócić do przyzwoitego życia.

– Naprawdę? – spytałam, zatrzymując się ze spódnicą wciągniętą do połowy uda. Zaraz jednak wróciłam do ubierania, mówiąc sobie, że to tylko takie przekomarzanie.

– Tak – odpowiedział stanowczo.

Znowu na niego spojrzałam i zobaczyłam, że jest całkowicie poważny.

– Myślisz, że to rozsądne?

Podczas całego naszego romansu zachowywałam się ze spokojnym opanowaniem, stanowiącym albo cechę postaci stworzonej na użytek Arthura, albo autentyczny, nowy wymiar mojej osobowości. Cokolwiek to było, Arthur bardzo lubił ten mój sposób bycia. Mówił, że jego uwagę zwróciło przede wszystkim „całkowite niedopasowanie” we mnie – że jestem osobą, której skromność zupełnie nie pasuje do wyglądu, i że chciałby, abym zdała sobie sprawę, jak bardzo jestem w tym piękna.

Uśmiechnął się do mnie z czułością i pobłażaniem.

– Nie, w ogóle nie użyłbym słowa „rozsądne”. Przecież nic tu nie jest rozsądne, prawda? Przychodzenie tutaj nie jest rozsądne.

Poza pierwszym weekendem, kiedy Matta i Sylvie nie było w mieście, nie mogliśmy spotykać się w moim mieszkaniu, więc umawialiśmy się w jedynym przyzwoitym hotelu w okolicy, w Inn on the Hill. Stał przy głównej ulicy, niedaleko stacji metra, kilka przystanków autobusem od Earth, Paint & Fire i blisko szpitala, w którym pracował Arthur. Może przez przypadek, a może nie, zawsze dostawaliśmy ten sam pokój o nazwie Marrakesz, z wystrojem w stylu marokańskim: kafle z terakoty, barwne dywany, duże drewniane łóżce z rzeźbionymi słupkami podtrzymującymi baldachim, w łazience błękitna mozaika i miedziana umywalka oraz eleganckie kosmetyki do użytku gości, z których nigdy nie korzystaliśmy (miałam wielką ochotę je zabrać, ale wstydziłam się przed Arthurem). Zastanawiałam się, czy ten pokój zawsze dawano parom spotykającym się na potajemnych schadzkach, jako namiastkę miesiąca miodowego w Maroku. A może cały hotel zbudowano na potrzeby lekarzy z pobliskiego szpitala?

– Mam wrażenie, że ty chyba nie czujesz tego co ja – powiedział Arthur, ale na jego twarzy nie było rozczarowania ani nawet troski. Miał charakter wojownika. Nie przyjmował myśli o przegranej.

– Oczywiście, że czuję tak jak ty – odparłam,

wygarniając buty spod łóżka i ciągle patrząc mu w oczy.
– Ale wydaje mi się, że nadal mogę zawrócić.
Powstrzymać to wszystko, zanim będzie za późno.

Otworzył szerzej oczy – z zainteresowaniem, nie ze z wątpieniem. Przy nim nie trzeba było bać się nadmiernej prawdomówności.

– Dlaczego miałabyś chcieć to powstrzymać? – zapytał.

Z powodu długiej ludzkiej historii trójkątów, pomyślałam; z powodu wszystkich triumfujących żon i pogwałbionych kochanek. Nieprzypadkowo tak to się zazwyczaj kończy.

– To chyba oczywiste? Bo nie chcę być jedną z tych kobiet, które latami czekają, aż ich żonaty kochanek weźmie rozwód, czego on nie ma zamiaru zrobić. Bo właściwie po co? Wie doskonale, że może ją mieć jako ekstradodatek – to dlatego mówi się: mieć kogoś na boku, prawda? Ale zanim ona zda sobie z tego sprawę, jest już za późno, żeby zacząć coś od nowa, za późno na dzieci, za późno na wszystko. Zmarnowała swoje najlepsze lata.

Powiedzenie tego w trzeciej osobie nie odebrało moim słowom ostrości i mimo że byłam przed chwilą taka dzielna, nagle dopadło mnie okropne przygnębienie. Poczułam, jak to jest być właśnie taką kobietą, o której mówiłam – obudzić się w wieku czterdziestu czy czterdziestu pięciu lat i uświadomić sobie, że tylko na początku wszystko było piękne, a cała

reszta, która nastąpiła później, stanowiła jedynie konsekwencję popełnionego błędu.

Arthur, który najwyraźniej nie podzielał moich obaw, przechylił się nad łóżkiem i złapał mnie za rękę, przyciągając do siebie i szybko podtrzymując, kiedy straciłam równowagę. Nasze twarze były teraz tak blisko jak przed pocałunkiem i poczułam, że brak mi tchu.

– Myślisz, że tak właśnie będzie? Że będę cię zwodził, zmarnuję twoje najlepsze lata, a potem rzucę w kąt? Że tak właśnie postępuję?

– Tego nie powiedziałam.

– Ale tak myślisz, prawda? – Wyraźnie go to rozbawiło. – Nigdy nie słyszałaś o pozytywnym nastawieniu, panno Marr?

– Słyszałam o zakochiwaniu się w niewłaściwych facetach, którzy otwarcie przyznają się do ciągłego zdradzania żony i którzy nie mają nadziei na zmianę tego zachowania, dopóki żyją.

Spodziewałam się, że będzie oburzony tą charakterystyką, ale on roześmiał się triumfalnie.

– Więc się przyznajesz? Że się zakochałaś?

Ta rozmowa była tak różna od wszystkich rozmów, jakie do tej pory odbyłam ze swoimi chłopakami, że miałam wrażenie, jakbym uczyła się nowego języka.

– Tak, przyznaję – odparłam. – Chociaż nie wiem, czy mi to w czymś pomoże.

– Słuchaj – powiedział, a w jego głosie zabrzmiała

determinacja, która znaczyła, że ma zamiar oznajmić coś ważnego. Nie wiem, na czym polegała ta zmiana – jego oczy, a nawet ton pozostawały takie same; być może zmieniał się oddech, który stawał się nagle skoncentrowany, niesłyszalny. – Historia, którą opowiedziałś, należy do dawnych czasów. Dzisiaj rozwody są równie powszechne jak śluby, zwłaszcza kiedy ludzie mają dorosłe dzieci, tak jak ja.

Zmieszała mnie wzmianka o jego dzieciach. Do tej pory skupiałam się tylko na naszej wzajemnej seksualnej fascynacji, na poczuciu, że unosimy się ponad światem szarych ludzi, i jakoś nie przyjmowałam do wiadomości istnienia jego synów. Ich miejsce było pomiędzy zwykłymi ludźmi, pomiędzy tymi, których zostawiliśmy na ziemi. Znałam oczywiście ich imiona, Alexander i Hugo, wiedziałam, że jeden ma osiemnaście, a drugi niecałe siedemnaście lat i w szkole jest o klasę niżej, że starszy latem zdaje maturę i robi sobie rok wolnego przed studiami, a młodszy później zamierza zrobić tak samo. Arthur przyznawał, że nie spędzał z nimi zbyt wiele czasu, gdy byli mali, szczególnie w porównaniu z dzisiejszymi zaangażowanymi ojcami, ale nie miałam wątpliwości, że bardzo ich kocha, bezwarunkową, pierwotną miłością każdego dobrego rodzica. Nigdy ich nie krytykował, mówił wyłącznie o swoich własnych niedociągnięciach. Poza tym na co dzień mieli Sylvie, myślałam – ona nie musiała pracować, jak dzisiejsze matki. Teraz widzę, że to brzmi podle, wiem – zwykła

wymówka, ale prawda jest taka, że dla mnie czymś normalnym było posiadanie tylko jednego rodzica; to, że nie ma innego wyboru.

– Ale nie chciałeś przecież odejść poprzednim razem – powiedziałam w końcu. – Kiedy dała ci to ostrzeżenie.

– Mniejsza o poprzedni raz. Poprzednim razem nie znałem ciebie. Dzięki temu, co teraz czuję, zobaczyłem, że jesteśmy z Sylvie okropnie nieszczęśliwi od wielu lat. Ale ja wreszcie znalazłem coś, czego szukałem. Nie mam żadnych wątpliwości.

Z trudem przyszło mi uwierzyć w to, co chciał powiedzieć: że ma zamiar zostawić dla mnie żonę. A już na pewno nie mogłam mu zaufać. „Poprzednim razem nie znałem ciebie” – byłabym idiotką, gdybym nie wzięła pod uwagę, że takie oszałamiające deklaracje mógł składać każdej ze swoich kochanek. Że być może, mimo mojej ładnej buzi i oryginalności, byłam dokładnie taka sama jak wszystkie inne kobiety, które się w nim kochały: zagubiona, pokieroszowana przez życie, bezbronna, zwłaszcza w miłości. Bo oczywiście byłam zakochana, jak najbardziej.

– Arthur, proszę, nie oszukuj mnie, nie drocz się ze mną. Nie jestem głupia, wiem, że masz zbyt wiele do stracenia, musiałbyś oszaleć, żeby rozwieść się z żoną. W tej całej historii to ja będę cierpieć, wiem o tym, trudno, pogodziłam się. Tylko proszę, nie udawaj, że może być inaczej.

Patrzył na mnie intensywnie, bez mrugania.

– Niczego nie udaję – powiedział tym swoim poważnym tonem. – Nie znasz mnie jeszcze na tyle dobrze i nie wiesz, że nigdy nie rzucam słów na wiatr. I teraz mówię, że *będę* z tobą. Nie musisz się godzić na nic innego.

– Myślisz tak teraz – odparłam, poruszona jego słowami i uściskiem jego dłoni – kiedy jesteś tu ze mną. Ale to się może zmienić, gdy wieczorem będziesz w domu z rodziną.

– A może wtedy tym bardziej będę tak myślał, bo chłopaków nigdy nie ma w domu, a Sylvie już od jakiegoś czasu unika przebywania ze mną w jednym pokoju – powiedział. Oczy mu się zwięzły. – Tak jak mówiłem, dzieci wylatują z gniazda, a rodzice muszą układać sobie dalsze życie. Można się ożenić więcej niż raz. Jeden z moich kolegów ma już czwartą żonę.

– A jaką liczbę ty chciałbyś osiągnąć? – zachichotałam, chcąc rozładować napięcie, ale on pozostał niewzruszony.

– Nie żartuj sobie z tego, Emily. I odpowiem ci na pytanie: chciałbym mieć jeszcze jedną żonę. Ciebie. Kiedy odejdę od Sylvie, to będzie pierwszy i ostatni raz.

– Naprawdę?

– Tak. Tak właśnie będzie. To tylko kwestia czasu. Powiedz, że mi wierzysz.

Patrzyliśmy na siebie z desperackim oddaniem.

– Wierzę – powiedziałam.

Puścił moje ręce dokładnie w momencie, gdy moje ciało pod wpływem wzruszenia w końcu opadło z sił i przewróciłam się na łóżko ze śmiechem. W tej chwili cała przeszłość poszła w niepamięć, a wraz z nią wszystkie troski i cierpienia – wszystko znikło, zdmuchnięte eksplozją radości. Nigdy w życiu nie czułam się bardziej szczęśliwa, na pewno. To był szczyt euforii.

– Ale co będzie z chłopcami? – spytałam, ciągle jeszcze nie mając odwagi, by wypowiedzieć ich imiona, świadoma, że nie mam do tego prawa, jakby obawiając się jakichś złych czarów.

– Odejdę od niej – odparł – ale nie od nich. Muszę się upewnić, że będę mógł ich widywać tak samo często jak teraz. Alex niedługo wyprowadzi się z domu, jego to tak bardzo nie dotknie. A Hugo – myślę, że sobie poradzi. Czasami wydaje mi się, że jest doroślejszy ode mnie. Porozmawiam z nim na poważnie, postaram się odpowiedzieć na wszystkie pytania i rozproszyć wszystkie wątpliwości.

– Teraz są już starsi – powiedziałam. – Byłoby trudniej, gdyby byli młodsi.

– Nie zrobiłbym tego, gdyby byli młodsi – odparł. – Nawet dla ciebie.

Pokazał mi, gdzie jest moje miejsce. Ale byłam bardzo szczęśliwa, mogąc je zająć.

Matt zgodził się wyprowadzić. Jeszcze przed tamtą deklaracją ze strony Arthura nalegałam, żebyśmy się

rozstali, chociaż później nikt nie przejmował się prawdą i twierdzono, jakoby wszystko to świadomie rozegrała, wyrzucając z domu poprzedniego kochanka dopiero wtedy, gdy byłam pewna, że zaklepałam sobie nowego.

Zgodnie ze zwyczajem panującym w naszym związku staraliśmy się wzajemnie nie ranić podczas rozmów o rozstaniu. Nie wypytywaliśmy się nawzajem bez potrzeby i nie oskarżaliśmy o nic. Nie było już między nami ciepła, ale nie było też obojętnego chłodu.

– Jedno z nas musi się wyprowadzić i jeśli wolisz tu zostać, to ja to zrobię – oznajmiłam, starając się nie dawać mu do zrozumienia, jak bardzo jest mi pilno. Chciałam, żeby to była nasza wspólna sprawa i wspólna decyzja. Niemniej jednak inicjatywa wyszła ode mnie i musiałam przygotować się na poniesienie konsekwencji.

– Więc ty się wyprowadź – powiedział z początku. Zgodziłam się bez dyskusji. Potem podczas nieprzespanej nocy rozważałam swoje możliwości i następnego dnia rano zamierzałam poszukać niedużego mieszkania gdzieś bliżej mojej pracy. To nawet lepiej – z daleka od Walnut Grove będzie mi łatwiej widywać się z Arthurem.

Ale wieczorem Matt oznajmił, że zmienił zdanie.

– Nie dam rady sam płacić czynszu tutaj, nawet przez dwa czy trzy miesiące. Ja się wyprowadzę, OK?

– Dobrze.

Domyśliłam się, że musiał pogadać z przyjaciółmi i ktoś pewnie zaproponował mu wolną kanapę albo gościnny pokój. Albo może też spotykał się z kimś, z nową dziewczyną, która zgodziła się, żeby się do niej wprowadził.

W tym czasie zadał mi tylko jedno pytanie, które sprawiło mi trudność, bo można było na nie udzielić wielu różnych odpowiedzi:

– Co się z tobą dzieje, Emily?

Patrzył na mnie zdezorientowany, jakby przestał mnie rozpoznawać. Czułam się jednocześnie dumna i było mi żal – wiedziałam, że związek z Arthurem mnie zmienił, ale nie chciałam, żeby Matt przestał we mnie widzieć kogoś dobrze znanego. Byliśmy przyjaciółmi już długi czas.

– Co masz na myśli? Nic się nie dzieje.

– Czy to z powodu tej eleganckiej lali od ciebie z pracy?

– Charlotte? To nie jest lala, Matt. To człowiek. – Ale zrozumiałam dokładnie, o co mu chodzi – sądził, że uważam się za nazbyt dobrą dla zwykłego faceta takiego jak on; że zaczęłam mieć ambicje i chciałabym być taka jak Charlotte i większość jej klienteli. Nie powiedziałam mu, że nasze stosunki z Charlotte wyraźnie się ochłodziły, odkąd zaczęłam coraz częściej zwalniać się z pracy z powodu tajemniczo pojawiających się migren. – Jestem dokładnie taka sama jak zawsze – dodałam stanowczym tonem.

Matt skapitulował.

– No tak, wyglądasz tak samo. A nawet lepiej niż kiedykolwiek.

– Ty też wyglądasz nieźle.

Zapadła cisza; nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia, ale cieszył mnie ten moment refleksji przed rozstaniem.

– Nie dam rady zwrócić ci połowy depozytu za mieszkanie, dopóki sama się nie wyprowadzę – oznajmiłam w końcu. – Możemy się tak umówić?

– Jak wolisz. Dam ci swój nowy adres.

I tak to się właśnie skończyło z Mattem. Nie pomijam tu żadnych jego wypowiedzi ani nie staram się pomniejszyć jego roli. Po prostu zabieganie o dziewczynę, która nie chciała jego uwagi, nie leżało w jego naturze. Gdyby uparł się zostać ze mną, utrudniać wszystko albo mścić się, mógłby narobić mi strasznych kłopotów.

Kiedy powiedziałam Arthurowi, że z końcem miesiąca oficjalnie odzyskam wolność, bardzo się ucieszył i stwierdził, że jesteśmy już „w połowie drogi”.

– On musi być niespełna rozumu, że o ciebie nie walczy – stwierdził, po czym półzartem dodał: – Ale i tak nie miałyby ze mną szans, więc może to lepiej.

Podjeżdżałam, że z Sylvie będzie zupełnie inaczej. Oddana żona z dwudziestoletnim stażem małżeńskim to inna historia niż niezbyt zaangażowany chłopak po pięciu latach związku. Ona się tak łatwo nie podda.

Byliśmy ze sobą już trzy miesiące, gdy nadeszło pierwsze zderzenie z rzeczywistością. To była naprędce zaaranżowana schadzka w sobotnie popołudnie, kiedy w prywatnej klinice Arthura któryś z pacjentów odwołał wizytę, a ja podczas przerwy na lunch zwolniłam się z pracy, twierdząc, że mam mdłości („To chyba z powodu tej migreny”, powiedziała Charlotte, ale ona była już znużona moimi wymówkami i spytała tylko pogardliwie: „Jesteś pewna, że to nie ciąża?”), zupełnie jakby nie zarabiała na życie dzięki ludziom, którzy postanowili mieć dzieci). Późnym popołudniem wyszłam głównym wyjściem z naszego hotelu i wpadłam wprost na Sarę i Marcusa Laingów, którzy wracali właśnie z zakupów, sądząc po naręczach toreb z co szykowniejszych sklepów w okolicy. Decydując się na korzystanie z pobliskiego hotelu, zwłaszcza w weekendy, zawsze ryzykowaliśmy spotkanie z sąsiadami, dlatego nigdy nie opuszczaliśmy budynku razem, starając się zachować co najmniej dziesięciominutową przerwę między wyjściami. Jeżeli to ja byłam druga i nie spieszyłam się do pracy, często szłam jeszcze na kawę do hotelowej kawiarni, przeciągając ten czas do dwudziestu minut albo więcej. Akurat tego dnia wychodziłam pierwsza.

– Cześć, Emily – zawołał Marcus, a w jego głosie słychać było autentyczne zadowolenie na mój widok. – Dawno cię nie widziałem. Jak się miewasz?

– Bardzo dobrze, dzięki. A wy?

Kiedy jej mąż prowadził konwersację, Sara przyglądała mi się ze spokojną wrogością. Ponieważ ani trochę nie próbowałam flirtować z jej mężem, jedynym powodem musiał być mój wygląd. Nie zerknęłam przed wyjściem do lustra i miałam nadzieję, że nie wyglądam zbyt wyraźnie na osobę, z której ktoś scałował cały makijaż. Wiedziałam o kobietach jedno: żadna nie lubi czuć się mniej pociągająca niż druga, zwłaszcza młodsza.

– A co zrobiliście z dziećmi? – spytałam ją ze swobodną poufałością, na którą nigdy bym sobie nie pozwoliła, gdybym nie próbowała właśnie ukryć własnych poczynań i nie umierała ze strachu, że zaraz za moimi plecami pojawi się Arthur. Ale temat dzieci zadziałał jako gwarantowany odwracacz uwagi i Sara nie mogła się powstrzymać od opowiadania.

– Są na przyjęciu urodzinowym. Całkiem sympatycznym. Najpierw jazda konno w Richmond Park, a potem prywatny seans nowego filmu o wampirach.

– Ojej! To się trochę różni od przyjęć z mojego dzieciństwa. Mają dobrze, prawda? Widuję ich czasem rano, jak wychodzą z domu – dodałam. – Wyglądają elegancko w swoich mundurkach. Gdzie chodzą do szkoły?

Nigdy przedtem nie słyszałam nazwy, którą wymieniła, jednak sądząc po jej dumnym wyrazie twarzy, to musiała być jakaś szczególnie elitarna szkoła.

Udało mi się odwrócić jej uwagę. Ale to jeszcze nie był koniec. Zauważyłam, że trzy razy zerknęła na wejście do hotelu – staliśmy niemal na schodach – i nie mogłam dłużej unikać wyjaśniania, co tam robiłam, chociaż wiedziałam doskonale, że tłumaczenie się jest dowodem nieczystego sumienia. Nie chciałam mówić, że byłam w kawiarni, bo bałam się, że zaraz pojawi się Arthur i powie dokładnie to samo. Musiałam wymyślić historię, której nie mógłby powtórzyć.

– Pytałam właśnie o pracę – powiedziałam, wiele się nie zastanawiając. – Pomyślałam, że może znajdę tu coś ciekawego.

– Nie pracujesz już w tej kawiarni z warszatem? – zapytał Marcus. Byłam pod wrażeniem jego pamięci.

– Pracuję, ale dzisiaj mam wolne popołudnie – podałam kolejny niepotrzebny szczegół; nie mogli wiedzieć, że zawsze pracuję w soboty. – Tak czy siak, nie mają żadnych wakatów. Wiadomo, recesja.

Zerknęłam na drzwi wejściowe, upewniając się, czy nie wisi na nich ogłoszenie o poszukiwaniach kandydatów do pracy.

– Sytuacja niedługo się poprawi – powiedział Marcus, uśmiechając się miło. – Poza tym są jeszcze inne opcje, prawda?

Umiałam trochę czytać w myślach innych ludzi, nie dzięki jakimś specjalnym talentom, ale dzięki codziennym kontaktom w pracy z parami dokładnie takimi jak Laingowie. Mogłam zgadnąć, co myśleli.

Dlaczego ona wykonuje fizyczną pracę? Dlaczego nie znajdzie sobie przyjemnej posady w biurze, jakiegoś prawdziwego zawodu? Potrafi się dobrze wysławić, a i prezencji jej nie brakuje. Jakim szalonym pomysłem, niemożliwym wyzwaniem na tym słonecznym chodniku w eleganckiej dzielnicy byłoby wyjaśnianie dwojgu bogatym ludziom, że dorastałam w niedostatku, że ojciec musiał rzucić pracę, żeby zająć się umierającą mamą, i nigdy już nie udało mu się wrócić do poprzedniego poziomu życia, bo z trudem utrzymywał się na kolejnych posadach, gdzie szefowie nie byli na tyle oświeceni, by pojąć, dlaczego mężczyzna miałby samotnie wychowywać własne dzieci. Nie mieliśmy pieniędzy na studia i także teraz nie było pieniędzy na nic poza podstawową opieką podczas jego okrutnej choroby.

Nienawidziłam siebie za to, że w głębi serca zgadzam się z diagnozą Arthura, iż nie mam szczęścia. Zdarzało mi się pogrążyć w żalu nad sobą. Ale jeśli ja nie miałam szczęścia, to co można by powiedzieć o tym biedaku, który był kiedyś moim ojcem, zamkniętym teraz na szpitalnym oddziale i niewiedzącym nawet, co tam robi? Że jest przeklęty?

– Pomyślałam sobie, że może czas na coś nowego – powiedziałam jak jakaś pierwsza naiwna, z niemądrym uśmiechem. – W Earth, Paint & Fire jestem już prawie dwa lata, teraz chciałabym znaleźć jakąś poważniejszą pracę.

– Damy ci znać, gdybyśmy o czymś wiedzieli – powiedział dzielnie Marcus. Nie spojrzałam na Sarę, nie chciałam widzieć jej ledwie udawanego przytaknięcia.

Właśnie kiedy uznałam, że mogę już bezpiecznie się pożegnać, Marcus zawołał głośno: „Arthur!” i podniósł rękę. Spostrzegłam z ulgą, że Arthur nie wyszedł z hotelu głównym wejściem tak jak ja, ale pojawił się w wylocie alejki biegnącej wzdłuż bocznej ściany hotelu, na której znajdowało się wyjście awaryjne. Podszedł do naszej trójki z naprawdę dobrze udanym zaskoczeniem na twarzy.

– Nie pamiętam, czyście się poznali na naszej imprezie – powiedział Marcus, zwracając się do niego i do mnie.

– Wydaje mi się, że tak – odparłam wesołym tonem.
– Jest pan tym lekarzem od oczu, prawda?

– Można to i tak określić – odezwała się Sara. Wraz z Marcusem roześmiali się głośno, rozbawieni moim obcesowym pytaniem. Było jasne, że darzyli Arthura szacunkiem i cieszyli się ze spotkania. Przyjrzałam mu się dyskretnie; nie wyglądał na kogoś, kto spędził popołudnie, uprawiając seks.

– Obawiam się, że nie pamiętam, jak pani ma na imię – zwrócił się do mnie przeproszającym tonem, a Marcus od razu pospieszył z wyjaśnieniami.

– Emily. Emily Marr. Nasza sąsiadka. Pracuje w warsztacie ceramicznym.

– Nie zajmuję się wyrobem ceramiki – roześmiałam

się. – Wszystko przyjeżdża do nas z fabryki, gotowe do pomalowania.

– No nie, co za rozczarowanie! – powiedział Marcus.

– A co, podobają ci się kobiety w kombinezonach wysmarowanych gliną? – zapytał Arthur z rozbawieniem.

– Nie, tylko wysmarowane gliną – parsknął w odpowiedzi Marcus.

– Cóż, wszyscy mamy jakieś słabości – stwierdził Arthur. Mówił żartobliwym tonem, w którym słychać było pewność siebie, tak samo jak na przyjęciu u Laingów. Byłam pod wrażeniem swobody, z jaką rozmawiał z tą dwójką, czy raczej z Marcusem, bo wymiana zdań najwyraźniej nie podobała się Sarze, która starała się ukryć grymas niezadowolenia. Poczula do mnie instynktowną niechęć, podobnie jak wcześniej Sylvie Woodhall w kawiarni. Nie mogłam jednak mieć im tego za złe; byłoby idiotyzmem wymagać, żeby mnie lubiły, podczas gdy cała szczęśliwa urządziłam sobie romans z mężem jednej z nich. Kiedy tak stałam z nimi na ulicy, poczułam, że kompletnie nie umiem sprostać tej sytuacji, że nie nadaję się do żadnej z ról, które przyszło mi grać. Dwadzieścia minut wcześniej Arthur powtarzał mi do ucha, że mnie kocha, a teraz oddałabym sto takich zapewnień za jeden sekretny znak. On jednak spojrzął na mnie, jakbyśmy się rzeczywiście nie znali i jakby nie miał specjalnej ochoty, by to się zmieniło.

– No nic, nie przeszkadzam dłużej – powiedział,

uśmiechając się ogólnikowo. – Miłego weekendu wszystkim.

Odczekałam dłuższą chwilę, zanim wysłałam mu SMS-a:

Ta uliczka prowadzi gdzieś jeszcze poza wyjściem z hotelu?

Odpowiedział:

Skrót na stację. Powiedziałem że wracam z Harley Street.

To OK. Bałam się że się domyślą.

Nie. Nie martw się.

Sara mnie nie lubi. Zauważyłeś?

Może dlatego że podobasz się Marcusowi. A u niego z oczami wszystko OK o ile wiem.

Nie bardzo przemówiła do mnie ta hipoteza, ale wolałam to, niż gdyby Sara nienawidziła mnie z racji podejrzeń o romans z mężem znajomej.

Poza tym cieszyłam się, że wpadłam akurat na nią, a nie na przykład na samą Sylvie – albo na jej przyjaciółkę Ninę Meeks.

Rozdział 9

Tabby

Ponieważ praca trafiała się w najróżniejsze dni, kolejne tygodnie wydawały się niepostrzeżenie przechodzić jeden w drugi. Nie było między nimi żadnych przerw, bo letni sezon trwał bez ustanku zarówno dla letników, jak i dla tych, którzy ich obsługiwali. Tabby nie miała wątpliwości, po której stronie wolałaby być, gdyby tylko miała wybór. Dzięki regularnym dochodom udało się jej zażegnać widmo bezdomności i zaczęła coraz częściej mieć ochotę na jakąś zabawę, na przyjemności. Nagle zaczęło jej doskwierać surowe życie, jakie prowadziła. Była znudzona.

Chociaż wiele się w jej życiu wydarzyło przez ostatnie miesiące, to przecież nie minęło aż tak dużo czasu od chwili, gdy oddychała pełną piersią, ciesząc się światem, gdy unosiła się na falach Zatoki Tajlandzkiej z rozpostartymi ramionami i zamkniętymi oczami, czując słońce na twarzy. Teraz nie miała dostępu do toczącego się wszędzie wokół miłego wakacyjnego leniuchowania, przyjemnych chwil spędzanych w barach i kawiarniach na nabrzeżu, i czuła się coraz bardziej sfrustrowana. Zaczęła spostrzegać, że nie ma racjonalnych powodów, by wraz z Emmie wiodły tak

ascetyczny żywot, jak stare panny czy wdowy po poległych, a nie młode kobiety w kwiecie wieku. Żyły całkowicie w ukryciu, jak mniszki. Nie miały żadnego towarzystwa oprócz siebie nawzajem, dwie dziwaczki bez żadnych przyjaciół i z jednym rowerem do dyspozycji, zajęte szykowaniem domów na wakacje dla innych ludzi, którzy siedzieli w słońcu, pili różowe wino, jedli lody, tańczyli, śmiali się i tak dalej – czyli robili wszystkie te rzeczy, które sprawiają, że życie jest przyjemnością, a nie udręką.

Tabby sądziła, że już zapomniała o nocy spędzonej z Grégoire'em, a nawet potrafiła udawać sama przed sobą, że nic takiego się nie wydarzyło, więc mocno przeżyła ponowny pobyt w jego domu. Stojąc przy łóżku w gościnnej sypialni z ciężką belą świeżej pościeli w ramionach, poczuła nagle gdzieś w środku niespokojne szarpnięcie, gdy przypomniała sobie, jak przyjemnie było kochać się z mężczyzną. Idealnie byłoby robić to z Paulem, który, choć niezadowolony z wszystkich pozostałych stron wspólnego życia, nigdy nie narzekał akurat na ten aspekt. Niepokój nie opuszczał jej, kiedy rozkładała prześcieradła, oblekała kołdrę w nową, błękitno-białą poszewkę w kratkę i klepała poduszki, żeby przywrócić im miękkość. Był jak czkawka, której nie potrafiła się pozbyć.

Czuła się samotna. Samotność doskwierała jej codziennie i Tabby nie czuła się na siłach, by jej sprostać – w przeciwieństwie do Emmie, która, jak się

wydawało, dzięki swojemu usposobieniu dobrze radziła sobie z samotnością (a może po prostu lepiej niż Tabby potrafiła ukrywać swoją frustrację?).

– Może byśmy wyszły gdzieś wieczorem? – zapytała Tabby w którąś sobotę, niedługo po sprzątaniu domu w Les Portes. Rozmowy i śmiechy letników, dobiegające do nich przez otwarte drzwi kuchenne, były zawsze głośniejsze w weekendy, gdy do miasteczka zjeżdżało jeszcze więcej ludzi. – Nie masz umówionej pracy na jutro, prawda?

– Nie. Ale co właściwie masz na myśli? – spytała Emmie z wahaniem, jakby w tym skromnym kurorcie istniały setki potencjalnie grożących życiu i czci zajęć, z którymi nie chciałyby mieć nic wspólnego.

– Po prostu drinka w jakimś barze. Tyle ich jest, a ja jeszcze w żadnym nie byłam. Pijesz alkohol? – spytała, bo nigdy nie widziała Emmie pijącej. Sama kupowała od czasu do czasu jakieś wino, które w supermarketach było tanie jak woda, ale Emmie zawsze odmawiała, gdy Tabby ją częstowała. – Albo mogłybyśmy pójść na kawę. No chodź, nie można spędzać wszystkich wieczorów na czytaniu albo nad komputerem...

Zająknęła się, bo zbyt późno zdała sobie sprawę, że Emmie nigdy nie przyniosła swojego laptopa na dół. Trzymała go ciągle w swoim pokoju, co znaczyło, że jeśli Tabby wiedziała o przesiadywaniu przed komputerem, musiała ją podejrzeć przez szybę w drzwiach.

Ale na szczęście Emmie nie przyszło to do głowy.

– No dobrze, czemu nie – powiedziała. – Daj mi tylko chwilę, to się ubiorę.

Była niespodziewanie miła, nawet zadowolona, i Tabby pożałowała, że już dawno nie zaproponowała wspólnego wyjścia. Właściwie dlaczego? Pewnie z powodu pieniędzy. Bary i kafejki przy nabrzeżu były drogie, a na jej liście priorytetów figurowało przede wszystkim oszczędzanie, nie wydatki. Emmie, która z początku wydawała jej się w znacznie lepszej sytuacji finansowej, najwyraźniej podobnie jak Tabby ledwie wiązała koniec z końcem. Poza butelką drogich perfum w domu nie było widać żadnych oznak wcześniejszej czy obecnej zamożności, żadnych kosztowniejszych pozostałości dawnego życia. Nawet rower był częścią wyposażenia wynajmowanego domu.

W swoim pokoju Tabby wydzieliła z odłożonych pieniędzy kwotę wystarczającą na jedną czy dwie karafki wina. Przy okazji widok kupki poskładanych porządnie banknotów sprawił ją w nagłą radość. Oczywiście, że może na chwilę zapomnieć o napiętym budżecie. Ciężko pracowała, żeby wydobyć się z niedostatku, od sześciu tygodni żyła jak pustelnica, a już od miesięcy nie przywiązywała wagi do swojego wyglądu. Stojąc przed lustrem i malując się, czuła, jak jej euforia rośnie – miała wrażenie, że nie tyle nakłada na siebie maskę, ile ją zdejmuje, robiąc coś, co już dawno powinna była zrobić. Miała tylko dwadzieścia pięć lat, była młoda!

Należy jej się wyjście do świata.

Zeszła pospiesznie na dół, żałując, że Paul nie może jej widzieć znowu w dobrej formie – była to słaba, niemądra myśl, ale przynajmniej przestała uważać, że i tak nie byłoby na co patrzeć.

– Gotowa? – zawołała, słysząc, jak otwierają się drzwi na górze. Kiedy zobaczyła Emmie schodzącą po schodach, otworzyła usta ze zdumienia. Najpierw ukazały się śliczne buty: ciemnozielone zamszowe szpilki, a potem dół sukienki, szerokiej, powiewnej, w różowo-zielone wzory. Sukienka, jak się po chwili okazało, miała głęboki dekolt i marszczenia przy ramionach. Nie tylko nie pasowała do zwykłego stylu Emmie, ale był to w ogóle pierwszy raz, kiedy Tabby widziała ją w jakiegokolwiek sukience. Emmie także się umalowała: miała różowe usta, ciemny cień pod oczami i kreskę na górnej powiece oraz jasny podkład na twarzy, który delikatnie zmiękczał jej rysy. Włosy, normalnie pozostawione w nieładzie (Tabby uznała, że zapewne były trudne do ułożenia), były teraz zaczesane do tyłu i przytrzymane wąską opaską. To nie było zwykłe poprawienie urody – to była przemiana.

– Wow, Emmie, wyglądasz niesamowicie!

– Dzięki.

– Nigdy cię wcześniej nie widziałam w makijażu. Dasz radę iść w tych butach?

Emmie zmarszczyła brwi, urażona.

– Oczywiście, że dam radę. Czemu miałabym nie

dać?

– Miałam na myśli: po bruku.

– Aha. No tak, zobaczymy.

Udało im się przejść niedaleką drogę bez wypadku. Tabby wzięła Emmie pod ramię, żeby pomóc jej utrzymać równowagę na nierównych kamieniach. Już to samo w sobie wydawało się niezwykle, bo nie było między nimi tyle zażyłości, żeby kontakt fizyczny stał się naturalny. Ludzie zaczęli im się przyglądać, gdy tylko wmieszały się w tłum na promenadzie. Tabby miała na sobie jedną z przejrzystych bluzek kupionych na Wschodzie; zapomniała już, jak wiele przez nią widać. Sukienka Emmie była za to bardzo obcisła w biuście i biodrach – dziewczyna musiała być szczuplejsza, kiedy ją kupiła. Gdy usiadły w barze na nabrzeżu, Tabby spostrzegła, że spojrzenia zamieniały się w dłuższą lustrację.

– Co za pogoda, o tej porze jeszcze jest gorąco! – powiedziała, kiwając na kelnera. – Poudawajmy, że też jesteśmy na wakacjach, niech inni teraz trochę popracują.

Ale ledwie zamówiły wino, Emmie zerwała się na równe nogi.

– Skoczę tylko po papierosy – oznajmiła.

Tabby była zdumiona.

– Papierosy? Nie wiedziałam, że palisz?

– Tak, zdarza mi się od czasu do czasu.

I poszła, zanim Tabby zdążyła coś odpowiedzieć.

Kiedy została sama, zauważyła, że dwóch mężczyzn siedzących przy sąsiednim stoliku patrzy na nią z wielkim zainteresowaniem. Jeden z nich nieprzyjemnie przypominał jej Steve'a: miał taką samą typowo angielską karnację i arogancki wyraz twarzy. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że może tu spotkać kogoś znajomego z Anglii. Nie Paula, oczywiście – to nie była okolica uczęszczana przez podróżników, ale jak najbardziej popularna wśród turystów, a do tego oddalona tylko o krótki lot samolotem z Londynu. Wiedziała jednak, że raczej nie natknie się na matkę i Steve'a. Nie byliby zainteresowani z tego samego powodu, z jakiego nie pasowali do tego miejsca – nie było wystarczająco modne i efektowne, zbyt spokojne; tu na plaży noszono stare kostiumy kąpielowe i stonowane bawełniane sukienki. Nic dziwnego, że ona i Emmie zwracały na siebie uwagę, parując po nabrzeżu z makijażem na twarzach.

Dookoła zapełniały się stoliki i gęstniał gwar rozmów. Gdy kelner przyniósł wino, Tabby naląła sobie kieliszek, nie czekając na Emmie, bo nagle poczuła, że ma wielką ochotę się napić. Jej myśli powędrowały bowiem do dnia, kiedy poskarżyła się matce na zachowanie Steve'a. I jaki to przyniosło skutek.

Było to jakieś pół roku po wprowadzeniu się Steve'a do ich domu i niedługo po tym, jak matka zwierzyła jej się, że ma nadzieję na jego rychłe oświadczenia.

– Nie lubię, jak na mnie patrzy – zaczęła Tabby, starając się skupić na sobie uwagę matki. Żeby porozmawiać z nią sam na sam, musiała zatrzymać ją rano, przed wyjściem do pracy.

– Och, to taki jego zwyczaj – odparła matka. – Lubi kobiety, ale to nic złego.

Duma, z jaką to powiedziała, przygnębiła Tabby najbardziej. Matka najwyraźniej miała zamiar odnosić wszystko, co dotyczyło Steve’a, tylko do siebie, nie do córki; widzieć jego przewinienia jako komplementy pod własnym adresem. Cieszyła się odzyskaną pozycją kobiety pożądaney, nawet jeśli to krępowało jej córkę. Tabby przypuszczała, że wszystkie dzieci z pierwszych małżeństw mają podobne problemy, gdy ich matki znajdują sobie kogoś nowego – ale na pewno nie muszą zmagać się z tym, co ona.

– Mamo, on wszedł do łazienki, kiedy byłam w kąpielu. Widział mnie bez ubrania!

– Wiem, opowiedział mi wszystko, Tabby. Nie miał pojęcia, że w ogóle jesteś w domu, myślał, że jesteś w szkole. – Tutaj akurat Steve mówił prawdę. Powinna być wtedy w szkole, ale uciekła z historii. – Był tak samo zszokowany jak ty. Spróbuj postawić się na jego miejscu. Był cały czerwony, gdy o tym mówił.

– Ale on...

– Proszę, Tabby, przestań – przerwała jej matka. Jej głos stał się twardy. – Jest mi wystarczająco trudno ułożyć wszystko od nowa bez wysłuchiwania twoich

narzekań.

Zakończyła rozmowę, nim Tabby zdążyła zebrać siły, by opowiedzieć jej więcej o tym, co robił „szokowany” Steve. Pewnie, mogłaby nalegać, mogłaby pójść za matką aż do samochodu i rzucić jej w twarz wszystkie szczegóły, mogłaby krzyknąć: „Oświadczy się? Może lepiej ci powiem, co on mi oświadczył!” – ale po co? Zostałaby tylko oskarżona o chęć zwrócenia na siebie uwagi, o próbę skłócenia matki ze Steve’em, o psucie harmonii tam, gdzie matka miała zamiar harmonię utrzymać. Nie miała szans.

Ale nie potrafiła zapomnieć – ani jednego szczegółu. Była sama w domu i leżała w wannie z książką, gdy Steve wrócił niespodziewanie z pracy. Usłyszała, jak otwierają się i zamykają drzwi wejściowe, jak wykrzykuje imię matki, a potem, kiedy nie było odpowiedzi, jej własne.

– Jestem w łazience! – zawołała w odpowiedzi.

Usłyszała jego kroki na schodach, niespieszne i miarowe, a następnie z przerażeniem zobaczyła, że naciska od zewnątrz klamkę.

Najpierw w drzwiach pojawiła się jego twarz, następnie ramiona. Potem wszedł do środka i zamknął drzwi za sobą.

– Co ty robisz, Steve? – krzyknęła. – Wynoś się stąd!

– Mówiłaś, że jesteś w łazience. Chciałaś, żebym ci coś przyniósł?

Jego niewinny ton nie oszukał jej ani na chwilę.

– Nie, oczywiście, że nie chciałam! Chodziło mi o to, żebyś tu nie wchodził!

Ale on już siadał na ręczniku, który zostawiła na klapie od sedesu, patrząc prosto na nią. Nie był wysoki i jego twarz – nie najbrzydsza i całkiem chłopcęca, ale tracąca cały urok przez jego ciągle oblizywanie ust – znalazła się nieoczekiwanie blisko jej twarzy.

Siedziała w wodzie na tyle długo, że piana zdążyła dawno zniknąć i nic nie zasłaniało jej ciała. Wszystko, co mogła zrobić – i co zrobiła od razu, kiedy zaczął otwierać drzwi – to objąć piersi ramionami i podciągnąć kolana, trzymając stopy razem. Nie miała pojęcia, co mógł widzieć z miejsca, w którym siedział, ale i tak było to za dużo.

– Dlaczego tu siadasz? Podaj mi ręcznik i wynoś się!

– Jaki ręcznik?

– Ten, na którym siedzisz, Steve!

Nie spojrział jej w oczy, zamiast tego wpatrywał się w jej ciało. Zatrzymał wzrok na ramionach przykrywających piersi.

– Sorry, nie mogę go dosięgnąć. Musisz wziąć sobie sama.

Po to musiałyby oczywiście klęknąć albo częściowo wstać, odsłonić się z jednej strony, żeby wyrwać spod niego ręcznik. I, co najgorsze, na pewno go dotknąć. Wyobraziła sobie te nagie zapasy, które byłyby dla niego znacznie zabawniejsze niż jej bezruch w chłodnej, brudnej wodzie.

Woda stawała się coraz zimniejsza, ale jej twarz płonęła, a serce waliło jak młotem. Bała się.

– Czego chcesz, Steve?

– No właśnie, w tym rzecz. Chodzi o to, czego ty chcesz, prawda?

– O czym ty mówisz? Ja niczego nie chcę.

Spojrzał na nią i otworzył lekko usta.

– Wiem, że potrzebujesz pięćdziesięciu funtów, słyszałem, jak prosiłaś Elaine. A może ja ci je dam? – Ku jej zdumieniu wyciągnął z tylnej kieszeni spodni kilka banknotów i położył je na parapecie za swoją głową.

– Dlaczego ty miałbyś dawać mi pięćdziesiąt funtów? – zapytała, ale już zaczynała rozumieć.

– Nie bądź taka – powiedział, na tyle bezczelny, by udawać obrażonego. – Słowo, nie musisz nic specjalnego robić. Po prostu oprzyj się wygodnie, załóż ramiona za głowę i daj mi popatrzeć. Tylko się porządnie przyjrzę. I kasa jest twoja. Pięćdziesiąt.

– Połóż tu pięćdziesiąt milionów, to może się zastanowię – parsknęła, starając się ukryć wstyd i przerażenie. Za żadne skarby nie chciała się rozpłakać.

– No daj spokój, przecież to nic takiego. Mała przysługa. Chyba wiesz, że dostaję świra, mieszkając z tobą pod jednym dachem.

– Mieszkaś z moją matką, nie ze mną.

Ta odpowiedź była słaba, a jej ewentualne odejście z tego domu uciech zbyt odległe dla wszystkich, żeby

rozważać je na poważnie. Nawet gdyby miała się wyprowadzić jutro, nie byłoby to żadną obroną przed tym, co działo się w tej chwili, przed jego obmacującym jej ciało spojrzeniem, którym jakby próbował rozluźnić jej ramiona i odsłonić wszystko, co zakrywała.

– Ona nie musi się o niczym dowiedzieć – powiedział – nie martw się o nią.

Tabby ogarnęły mdłości z obrzydzenia. Od nienawiści do niego zakręciło jej się w głowie.

– Martwię się o siebie! – powiedziała.

Pokazał język i zęby w kolejnym obleśnym uśmiechu.

– Nie no, ty nie masz żadnych powodów do zmartwienia, możesz mi wierzyć.

Pochylił się ku niej odrobinę, a ją ogarnęła panika. Byli sami w domu i pewnie sąsiadów także nie było, więc nikt nie usłyszałby jej wołania o pomoc. Czy naprawdę mógłby próbować coś z nią zrobić siłą? Czy była w niebezpieczeństwie, groził jej gwałt? Na razie jej nie dotknął, ale gdyby tak się stało, wiedziała, co miała robić – walczyłaby wszelkimi sposobami. Ale to wpatrywanie się, to naruszenie granic bez fizycznego kontaktu – to było jak groźba, jak zapowiedź agresji.

– Wynoś się! – krzyknęła ile sił. – Wynoś się stąd albo pójde na policję!

– Spokojnie. Tylko sobie rozmawiamy... – Ale w końcu podniósł się powoli i włożył pieniądze z powrotem do kieszeni. Chociaż nadal się uśmiechał,

jego oczy przybrały nieprzyjemny wyraz, a ona skurczyła się jeszcze bardziej. – I nie trać czasu na opowiadanie o wszystkim matce, bo powiem jej, że próbowałaś mnie poderwać.

– Akurat by ci uwierzyła.

– Myślisz, że nie?

Mógł mieć rację. Być może by mu uwierzyła.

Potem już zawsze zamykała się w łazience, nawet kiedy Steve wyjeżdżał na dłużej. Zaczęła nocować u koleżanek, gdy tylko nadarzała się okazja, albo u ojca i Susie, jeśli się zgodzili.

Pijąc teraz wino i przyglądając się wieczornemu życiu w Saint-Martin, myślała, czy to po prostu musiało się zdarzyć – to, że weszła do mieszkania Emmie wtedy w maju. Czy to nie była naturalna konsekwencja wyuczonego zachowania: proszenie ludzi o schronienie i opiekę, przerzucanie na nich odpowiedzialności, zmuszanie ich, żeby wybierali między potępieniem a litością, odrzuceniem a akceptacją? W którym momencie straciła zdolność decydowania sama o sobie? A może nigdy jej nie miała? Tak twierdził Paul. On w końcu wybrał odrzucenie.

– Co się stało? – usłyszała nad sobą głos Emmie, która wróciła do stolika z papierosami i patrzyła na Tabby wyczekująco.

– Nic, tak się zamyśliłam. Zobacz, dostałyśmy już wino... – Tabby przesunęła kieliszek w jej kierunku. – Twoje zdrowie! *Santé!*

– *Santé*.

Dziwnie było widzieć Emmie wystrojoną i umalowaną, siedzącą naprzeciwko z kieliszkiem wina i papierosem (trzymała go jakby zawstydzona, jak uczennica) i rzucającą spojrzenia na prawo i lewo, jakby dopiero dzisiaj przyjechały do Saint-Martin i po raz pierwszy przyglądały się ludziom. Po części Tabby cieszyła się z tej przemiany – w końcu będą mogły trochę się zabawić – ale odczuwała też wewnętrzny sprzeciw. Być może nie całkiem rozumiała poważną, skrytą, powściągliwą Emmie, ale polubiła ją właśnie taką. Tamta Emmie miała na nią bardzo dobry wpływ.

– To o czym myślałaś? – zapytała Emmie. – Wyglądałaś, jakbyś była zła.

To było do niej niepodobne, zadawać osobiste pytania, jakie normalnie zadałaby Tabby.

– O niczym. Nie wiem, chciałabym, żeby ten Anglik przestał się na mnie gapić. Wkurza mnie to.

Emmie zmarszczyła brwi.

– Anglik?

– No. Słyszałam, jak rozmawiali z kelnerem.

Ruchem głowy pokazała Emmie stolik z prawej strony, przy czym, ciągle zdenerwowana wspomnieniem Steve'a, starannie unikała kontaktu wzrokowego z siedzącymi tam mężczyznami. Emmie spojrzała na nich i natychmiast odwróciła się z powrotem, spuszczać nisko głowę. Tabby przypisała tę gwałtowność wpływowi wina i nikotyny.

– Co się stało?

Emmie nerwowo rozgniała papierosa w popielniczce.

– Nie patrz na ciebie. Patrz na mnie.

– Na ciebie?

To było bez sensu, bo Emmie przecież dopiero co przyszła i nie widziała natrętnych spojrzeń – rzucał je tylko jeden z Anglików, nie obaj – ale w sposobie, w jaki to powiedziała, nie było przechwalania się, próżności czy arogancji. Wydawała się autentycznie przestraszona.

– To nic takiego, ale kiedy cię nie było... – zaczęła Tabby, lecz Emmie dokończyła za nią, podnosząc trochę głoś:

– Czekali aż wrócę.

– Może. Nie cierpię, jak ludzie tak się gapią. Myślałam właśnie, jak mi to przypomina...

Emmie znowu jej przerwała:

– Mnie oczywiście też!

Jakby dla podkreślenia swoich słów, przesunęła krzesło tak, by zupełnie odwrócić się do mężczyzn plecami.

– Nie zwracajmy na nich uwagi – powiedziała Tabby z zakłopotaniem, zastanawiając się, dlaczego ich rozmowa coraz bardziej przypomina kłótnię (i co Emmie miała na myśli, mówiąc: oczywiście?). Spozregła, że kelner właśnie przyniósł mężczyznom rachunek. – Zresztą już wychodzą, więc mamy to

z głowy.

– Ja chyba też już wrócę – odparła Emmie, wciąż zdenerwowana.

– Coś ty? Przecież dopiero przyszłyśmy. Nie zdążyłaś wypić nawet jednego kieliszka.

– Wiem, ale muszę iść. Nie mam wyboru.

– Nie masz wyboru? Dlaczego?

Kiedy Emmie nie odpowiedziała, Tabby zmieniła ton.

– Daj spokój, chociaż dopij ze mną tę butelkę. Jest taki piękny wieczór, nie możemy spędzić go zamknięte w ciemnym domu.

– No dobrze.

Emmie wzięła do ręki kieliszek. Mężczyźni wyszli, a ich stolik zajęła od razu francuska para, która wydawała się całkowicie nieszkodliwa. Jednak przestało być przyjemnie. Emmie siedziała podenerwowana, Tabby przygnębiona. Rozmowa rwała się i dobry nastrój sprzed pół godziny prysł. Kiedy Emmie znowu zaczęła zbierać się do powrotu, Tabby nie protestowała.

– OK, jak chcesz. Ja jeszcze trochę zostanę. Może się przejdę i porozglądam po sklepach.

Emmie zniknęła tak szybko, że Tabby aż to zastanowiło. Może jeden z Anglików był jej znajomym i chciała go dogonić? Jak inaczej dałoby się wytłumaczyć ten nagły pośpiech, zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak starannie ubrała się i umalowała przed wyjściem? Ale nie – ze swojego miejsca mogła widzieć

Emmie idącą wzdłuż nabrzeża, a potem rue de Sully w stronę ich domu. Mężczyzn nie było nigdzie widać, więc nie mogło chodzić o żadnego z nich. Tabby miała do siebie żal. Pewnie wyobraziła sobie zbyt wiele i wzięła zupełnie normalne chwilowe zainteresowanie za uciążliwe natręctwo. Czuła się odpowiedzialna za tak niespodziewane zakończenie wspólnego wieczoru. Tyle zostało z ich zasłużonej rozrywki! Być może przyjęła pustelniczy styl życia Emmie nie tylko z powodów finansowych – może jeszcze nie była gotowa wyjść na świat, ciągle pogrążona w myślach o przeszłości, o Paulu i ojcu, a nawet o Stevie. Nic dziwnego, że Emmie nie chciała zostać; może wyczuła, że grozi jej wysłuchanie kolejnej łzawej historii. „Nikt mnie nie kocha...” i tak w kółko. Zaczęła już nudzić samą siebie.

Odliczyła pieniądze, zostawiła je na stoliku i wyszła z baru. Było jeszcze jasno i nie miała ochoty wracać do domu. Większość sklepów nadal była otwarta, pełna turystów. Postanowiła do nich dołączyć i zaczęła przeglądać pamiątkowe nadmorskie bibeloty, z których najmniejszy miał cenę równą jej tygodniowemu budżetowi na jedzenie. Ale wino było tańsze, niż przewidywała, więc może mogłaby sobie pozwolić na jakiś drobiazg na poprawę humoru, żeby mieć pamiątkę z tego...

– Tabitha, to naprawdę ty?

Zaskoczona, poczuła, że ktoś dotyka jej talii i usłyszała męski głos nad uchem: Grégoire. Otworzyła

usta, ale nie potrafiła wydobyć z siebie nic sensownego w odpowiedzi. Wmawiała sobie dotąd, że ledwie by go poznała, gdyby natknęła się na niego znowu (i że on z pewnością nie poznałby jej), i teraz musiała uświadomić sobie, jak wielkie to było złudzenie. Był nadal pociągający, wyższy, niż pamiętała, męski i pewny siebie, a jej ciało zareagowało na jego widok dokładnie tak samo jak wcześniej, w barze przy Gare Montparnasse – chociaż nie mogła tego dobrze pamiętać, bo zbyt wiele wtedy wypiała; bez wątpienia jednak od razu wpadli sobie wzajemnie w oko.

– Co robisz? – zapytała, zupełnie niepotrzebnie, bo właśnie prowadził ją przez otwarte drzwi do wnętrza sklepu, oświetlonego lampionami. Domyśliła się, że gdzieś w pobliżu musi być jego żona, więc ich spotkanie nie może odbyć się na ulicy, gdzie mogłaby ich zobaczyć. Właściwie, stwierdziła, nie był to żaden szczególny zbieg okoliczności. Grégoire miał dom na wyspie, był sobotni wieczór, wszędzie pełno ludzi. Pewnie siedział w jednej z kafejek czy restauracji, może po drugiej stronie basenu portowego, i zobaczył ją siedzącą w barze, a potem poczekał na okazję, by do niej podejść.

Nie było bowiem żadnej wątpliwości, że niezbyt się cieszył z tego spotkania. Zatrzymawszy się teraz obok stołu, na którym poustawiano wysokie słoje z muszelkami i kamykami, złapał ją za nadgarstki, jakby chciał ją aresztować.

– O co chodzi? – zapytała, delikatnie uwalniając najpierw jedną, potem drugą rękę, choćby tylko dlatego, żeby wyzwolić się trochę spod jego uroku.

– Ciągłe jesteś tutaj?

Na jego twarzy malowało się zabawne zakłopotanie, prawie jakby czuł się zraniony, jakby to ona podeszła znienacka do niego i wepchnęła go do sklepu.

– To chyba oczywiste – odparła z lekkim uśmiechem.

– Ale dlaczego zostałeś? Myślałem, że wrócisz do Paryża?

– Nie chciałam wracać. Nie cierpię Paryża. Nie wiem, po co tam w ogóle pojechałam. – Dopiero mówiąc to, w pełni zdała sobie sprawę, że to prawda. I pomyślała z wdzięcznością o Emmie. Jakkolwiek skończyło się ich wyjście na miasto, od czasu wyjazdu z Anglii nie czuła się tak pewnie i bezpiecznie. – Ale nie martw się, nie jesteśmy w tej samej miejscowości. Ty mieszkasz w Les Portes, a ja tutaj. Nie mam zamiaru cię odwiedzać.

Była ciekawa, jak by zareagował, gdyby mu powiedziała, że sprzątała jego dom i ścieliła to samo łóżko, w którym razem leżeli, ale łatwo było się domyślić, że podejrzewałby ją o najgorsze. Od tego zaczyna się nękanie, mógłby powiedzieć. Za chwilę zaprzyjaźniłaby się z jego żoną i ni z tego, ni z owego zjawiła jako gość na przyjęciu. Pomyślała, kiedy przyglądał jej się chłodno, że będzie próbował jej

grozić, żądać, żeby opuściła wyspę, czego wcale nie chciała robić. Kiedy znowu się odezwał, jego słowa kompletnie ją zaskoczyły:

– A może chcę, żebyś mnie odwiedziła.

– O?

Ale, co było żałosne i przewidywalne, jego słowa sprawiły jej przyjemność, niczym wyznanie miłosne. Chciał jej i to wystarczyło, żeby odwzajemniła się tym samym. Nagłe pragnienie fizycznego kontaktu podniosło temperaturę jej ciała, jakby miała dostać gorączki. Co jej przyszło do głowy? Nie, tego nie potrzebowała.

– Masz żonę, Grégoire – powiedziała, przypominając o tym fakcie nie tylko jemu, lecz i sobie samej. – Wiem, że wcześniej mi to nie przeszkadzało, ale przeszkadza mi teraz.

Jego szybkie spojrzenie w kierunku drzwi potwierdziło jej przypuszczenia, że żona, a może i cała jego rodzina, jest tego wieczora w Saint-Martin.

– *Nous allons séparer* – odparł cicho, nie wiadomo dlaczego przechodząc na francuski. Tabby pomyślała, że może łatwiej mu kłamać w ojczystym języku.

– *Vraiment?* – podniosła brwi, żeby podkreślić sarkazm, i znowu zaczęła przyglądać się towarom w sklepie. Wzięła do ręki piękną stożkowatą muszlę i obracała ją w palcach.

Wyczuwając jej lekceważenie, Grégoire znowu przeszedł na angielski:

– Tak. Kiedy lato jest skończone, wracamy do Paryża, Noémie i ja będziemy mieszkać osobno.

– Mhm, jasne. Bardzo możliwe. Oczywiście w to wierzę.

Odłożyła muszlę na miejsce. Cały słój kosztowałyby co najmniej pięćset euro, oceniła na oko.

– Kiedy możemy znowu być razem? – zapytał. – W następny weekend? W sobotę?

– Zwariowałeś – odpowiedziała. Co za bezczelność, że mówił takie rzeczy, gdy w pobliżu była jego żona, że zachowywał się tak, jakby już się zgodziła, jakby wystarczyło tylko uzgodnić terminy. Ale prawda była taka, że jej oburzenie stanowiło jedynie część rytuału. Kobieciarze wcale nie podrywają wszystkich kobiet, które spotkają – starannie wybierają swoje cele, wyczuwają, które są najbardziej wrażliwe na ich wdzięk, potrafią je zidentyfikować po jednym geście czy spojrzeniu, dobierają swoje ofiary podobnie jak szkolni dręczyciele. Wiedzą, jaką siłę przekonywania ma naleganie, jak ważna jest wytrwałość.

Więc kiedy zapytał ją poważnym głosem, z naciskiem, jakby był antyterrorystą ratującym właśnie życie jakiegoś porwanego nieszczęśnika do akompaniamentu policyjnych syren:

– Masz tutaj mieszkanie, w Saint-Martin? Pokój? – Ona już kiwała głową, zgadzała się, tak, dobrze, spotka się z nim w kolejny weekend, oczywiście że tak. Ale nie dlatego, że padła jego ofiarą, przynajmniej nie tylko

dlatego. Był jej potrzebny. Kiedy pójdą razem do łóżka, zamknie oczy i będzie sobie wyobrażać, że jest z Paulem – albo właśnie je otworzy, żeby dobrze oswoić się z tym, że już nigdy nie będzie z Paulem. Tylko raz, w ramach terapii, która po tej powtórnej sesji już powinna podziałać.

– Mam tutaj mieszkanie – zaczęła, ale myśl o Emmie, która przychodzi po pracy do domu i natyka się na Grégoire’a, otrzeźwiła ją. – Dzielę z kimś dom, ale nie mogę przyprawdzać gości.

– Więc w hotelu. Znajdę coś dla nas. Daj mi swój numer.

– Nie. – Znowu próbowała stawiać opór, walcząc tak samo z nim, jak z samą sobą. – Ty daj mi swój numer.

– Nie możesz do mnie dzwonić.

– Wyślę ci SMS-a. Napiszę w tygodniu, jakie mam plany na sobotę. Będę pracowała, ale może będziesz mógł przyjść na chwilę.

Grégoire wziął jedną z leżących na ladzie ulotek i zapisał numer telefonu. Potem pochylił się i pocałował ją gdzieś koło ucha. Nagła bliskość jego twarzy, intymność tego gestu sprawiła, że jej serce zabiło żywiej niż przez ostatnich kilka tygodni.

– Muszę już iść – powiedział, a ona przypomniała sobie, jak powtarzał jej polecenie „musisz już iść” tamtego ranka na początku maja. Pocieszyła się, że ta zmiana zaimka świadczy o postępie, o przemianach na jej korzyść.

Odczekała pięć minut, zanim wyszła. Na zewnątrz zobaczyła, że siedzi po drugiej stronie basenu portowego, naprzeciwko miejsca, które wybrała z Emmie, w ogródku restauracji serwującej owoce morza. Była z nim oczywiście *la femme* Noémie i dwóch synów, których widziała na zdjęciach w ich domu. Półmiski z jedzeniem stały przed nimi na stoliku, ustawione na piętrowym stojaku. Widziała wyraźnie Grégoire'a, który otwierał ostrygę i podnosił ją do ust.

Była zbyt wzburzona, żeby iść do domu, więc usiadła przy stoliku w pobliżu i zamówiła kieliszek wina, obserwując całą rodzinę. Jej uwaga skupiła się oczywiście na Noémie, która była dokładnie tak szczerą i zadbaną, jak się spodziewała. Miała dobrze obcięte blond włosy w platynowym odcieniu i gładką cerę, a w jej uszach i na nadgarstkach błyszcząca kosztowna biżuteria. Ubrana była w lnianą beżową sukienkę. Czy wiedziała, że jej mąż lubi zaczepiać młode dziewczyny dosłownie pod jej nosem? Tabby słyszała o francuskiej tolerancji dla małżeńskiej niewierności, ale czy te opowieści były prawdziwe? Czy każda kobieta w średnim wieku uznawała zdradę za coś nieuniknionego, czy może dotyczyło to tylko tych, których mężowie byli bogaci i dobrze ustawieni? A dla mężów – jakie to musi być dziwaczne, jakie skomplikowane, żeby mieć dwie kobiety naraz.

Albo wcale nie jest skomplikowane, sądząc po postępowaniu Grégoire'a. Zjadł już swoje ostrygi i teraz

pokazywał coś synowi na talerzu. W jakiś przewrotny sposób jego opanowanie i zupełny brak zdenerwowania, swobodne podejście do własnego wiarołomstwa, dodawały mu atrakcyjności. Byłoby tak łatwo podejść do ich stolika i powiedzieć wszystko głośno – ale zamiast tego miała zamiar pożyczyć telefon Emmie, żeby się z nim znowu skontaktować. Dobrze, pomyślała, jutro będzie trzeźwa i spojrzy na wszystko inaczej, bardziej rozsądnie; może sobie uświadomi, że jest już zupełnie inną osobą niż dziewczyna, która wcześniej pojechała z Paryża na małą wyspę na Atlantyku z podstarzałym lowelasem, mężczyzną, który mógł ją zamordować.

Przypomniała sobie reakcję Emmie i uśmiechnęła się.

Wróciła do domu i z ulgą stwierdziła, że Emmie poszła już spać. Drzwi do jej pokoju były zamknięte, światło zgaszone. Kiedy Tabby na paluszkach przechodziła do łazienki, zdała sobie sprawę, że jest porządnie wstawiona. Wspominanie zajścia ze Steve'em sprawiło, że wypila więcej, niż chciała – większość butelki zamówionej wraz z Emmie, a potem jeszcze trochę wina, gdy obserwowała Grégoire'a – a zdążyła już odzwyczaić się od alkoholu. Następnego dnia miała pracę, sprzątanie domu letniskowego w La Flotte, jednego z tych starych domów, które były wąskie i głębokie, wyłożone metrami kwadratowymi kafli, z pięcioma łózkami do pościelenia. Wszystko to będzie

podwójnie męczące na kacu. Postanowiła wziąć środki przeciwbólowe i popić je dużą ilością wody – był to sposób, który знаła ze swoich bardziej swobodnych czasów. Problem w tym, że nie miała nic przeciwbólowego, a apteka i *supérette* były zamknięte już od ósmej. Jedyna nadzieja w Emmie, może miała jakieś zapasy.

W łazience nie było żadnej szafki, tylko półeczka nad umywalką, na której kładły szczoteczki do zębów, i koszyk z pokrywką stojący na podłodze, w którym Emmie trzymała swoje przybory toaletowe. Tabby otworzyła go. W środku był szampon, odżywka, dezodorant, tampony i plastry, krem antyseptyczny, żel na ukąszenia komarów, tani krem z filtrem – ale ani jednego opakowania aspiryny czy paracetamolu. Tabby zauważyła kosmetyczkę i pomyślała od razu o makijażu, jaki Emmie zrobiła sobie tego wieczora: o zdecydowanych czarnych kreskach i szmince w kolorze dojrzałego arbuza. Zaciekawiona, otworzyła zamek i obejrzała kosmetyki. Były w większości nowe, tanich angielskich marek.

Głębiej jej palce natrafiły na coś grzechoczącego obiecująco – opróżnioną do połowy buteleczkę z tabletkami. Etykieta została wydrukowana przez poradnię East London NHS Trust i nosiła datę sprzed roku. Lekarstwo nazywało się Quentapil. Tabby nigdy o nim nie słyszała, ale nie ulegało wątpliwości, że było to coś znacznie silniejszego niż aspiryna. Przyszło jej

do głowy, że może to być lek na depresję, przepisany z powodu przygnębienia Emmie po śmierci rodziców albo po wszystkich tych nienazwanych wykroczeniach, które doprowadziły do jej „wygnania”. Emmie nie powiedziała na ten temat nic więcej od czasu rozmowy w łazience w domu Grégoire’a, a Tabby dotrzymała obietnicy i nie zadawała pytań. Wierzyła jednak w porzekadło, że swój pozna swego. Być może znajdowały się w nieco odmiennej sytuacji, ale była pewna, że obie cierpią z powodu zawiedzionej miłości, a nic innego nie mogło zranić równie mocno.

Mnie też by się przydało coś takiego, pomyślała, pocierając kciukiem etykietę. Kawalek, gdzie znajdowało się nazwisko pacjenta, został oddarty, widać było tylko duże E, zapewne początek imienia Emmie. Włożyła fiolkę z powrotem do kosmetyczki, kosmetyczkę odłożyła do koszyka i zamknęła pokrywkę.

Schodząc po schodach na dół, żeby przeszukać szuflady w kuchni (gdzie w końcu udało jej się znaleźć paracetamol), poczuła przypływ wdzięczności dla swojej gospodyni. Nigdy nie zapomni, że Emmie podała jej pomocną dłoń, kiedy nikt inny nawet nie zauważył, że jest z nią źle, łącznie z Grégoire’em. Ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że w tej chwili Emmie jest dla niej kimś najbardziej przypominającym przyjaciela.

Rozdział 10

Emily

Wkrótce – zbyt szybko – po spotkaniu z Laingami przed hotelem, wróciwszy któregoś dnia z pracy, zastałam w drzwiach kartkę od Sary:

Emily, czy opiekujesz się czasem dziećmi? Mam problem z opieką jutro wieczorem, więc gdybyś była zainteresowana, zadzwoń proszę na numer poniżej albo zajrzyj do nas.

– Mam nadzieję, że się nie gniewasz, że cię zapytałam? – powiedziała przez telefon głosem słodkim jak miód. – Wiem po prostu, że w kawiarni robicie przyjęcia dla dzieci, więc masz doświadczenie. Myślałam, że może przydałoby ci się parę funtów ekstra. Mówiłaś, że szukasz pracy, prawda?

Nie byłam pewna, czy nawiązanie z nią kontaktów służbowych pogorszy, czy polepszy sytuację, więc postanowiłam nie wymyślać i zgodziłam się.

– Jasne, nie ma sprawy. Jeśli naprawdę masz kłopot, chętnie pomogę.

Zaproponowała godziwe wynagrodzenie i umówiliśmy się na dziewiętnastą trzydzieści następnego dnia. Okazało się zresztą, że był to idealny moment, bo właśnie tego wieczora Matt postanowił spakować swoje rzeczy i moja nieobecność ułatwiła tę

chwilę i jemu, i mnie.

Kiedy się zjawiłam w domu pod numerem 197, nie zauważyłam niczego podejrzanego. Śmiała dziewczynka, na oko dwunastoletnia, zaprowadziła mnie na dół do kuchni, która wyglądała dokładnie tak, jak można by sobie wyobrazić centrum domu zamożnej londyńskiej rodziny w piątkowy wieczór: trochę bałaganu z całego tygodnia, trochę kłótni i napominań, na granitowym blacie naczynia po kolacji, a na dębowym stole szkolne podręczniki. W sąsiednim pokoju widać było długie, niskie segmentowe kanapy obite popielatą wełną i wielki płaski telewizor wiszący na ścianie. Dzieci – oprócz dziewczynki był jeszcze dziesięcioletni chłopiec – wołały elegancką angielszczyzną, że nie potrzebują opiekunki, a liczba i rozmaitość różnych elektronicznych gadżetów rozrzuconych dookoła rzeczywiście mogłaby im zapewnić rozrywkę na co najmniej rok. Zauważyłam, że telefon dziewczynki, leżący na stole koło jej podręczników, był znacznie lepszy niż mój własny.

– Zazwyczaj w piątki kładą się później i oglądają jakiś film – powiedziała Sara. – Dają sobie radę sami. Nie musisz z nimi oglądać, jeśli nie chcesz. Gdybyś miała ochotę na coś z lodówki, częstuj się oczywiście.

Była znacznie miłsza niż podczas naszych poprzednich spotkań; pewnie z wdzięczności, że jej pomagam, ale pomyślałam też, że ta zmiana nastawienia może być skutkiem jej wyjątkowo starannie

dopracowanego wyglądu (i mojego wyjątkowo niedbałego). Miała na sobie doskonale skrojoną prostą sukienkę, która musiała kosztować majątek, a do tego modne buty na wysokich obcasach – mogłaby iść na przyjęcie u premiera. Kiedy jednak skomplementowałam jej strój, od razu sięgnęła do włosów i pokazała mi siwe odrosty. Nie zdążyła się umówić do swojego fryzjera, oznajmiła.

– Sama zobaczysz – powiedziała tonem, którego nie potrafiłam zinterpretować. – Im bardziej próbujemy z tym walczyć, tym szybciej wszystko się dzieje.

Nie byłam pewna, czy ma na myśli siwe włosy, czy przemijanie w ogólności, więc uznałam, że najlepiej będzie zmienić temat.

– Marcus wyjechał w interesach? – spytałam uprzejmie.

– Tak, pojechał do Dubaju. Wraca jutro. Miał być już dzisiaj, ale coś go zatrzymało. Dlatego właśnie szukałam kogoś do dzieci na ostatnią chwilę.

To okropne, ale nie mogłam się powstrzymać od myśli, że Marcus przedłużył pobyt z powodu jakiejś atrakcyjnej koleżanki. Ale oczywiście równie dobrze to Sara mogła właśnie wybierać się na nielegalną randkę.

– Jakie masz plany na wieczór? Coś miłego? – zapytałam.

– Och, to tylko takie wyjście z dziewczynami. Mówię: z dziewczynami, ale oczywiście mam na myśli kobiety.

Powiedziała to w taki sposób, że poczułam się wykluczona z tej kategorii, jakbym należała do jednej grupy z dziećmi. Ciekawa byłam, czy wie, że mam już trzydzieści lat – a może jest taki okres w życiu, kiedy trudno ocenić należycie wiek danej osoby.

– Czy powinnam wiedzieć, gdzie będziesz, w razie czego?

– Tylko w barze w Inn on the Hill, ale nie martw się, mam ze sobą telefon.

Wydawało mi się, że wymieniając nazwę hotelu, spojrzała na mnie znacząco, ale pomyślałam, że jestem przewrażliwiona.

Wieczór okazał się uroczy, po prostu dlatego, że spędziłam go w dużym, pięknym domu z ludźmi, którzy mnie właściwie nie znali – zamiast w małym, obdrapanym mieszkanku, gdzie facet, który mnie znał na tyle dobrze, żeby chcieć się wyprowadzić, przepakowywał rowerowe ciuchy z kosza na brudy do plecaka. Obejrzałam film z dziećmi, a potem zagoniłam je na górę, żeby umyły zęby i kładły się spać. Ich pokoje znajdowały się na najwyższym piętrze; poza tym była tam też wielka łazienka, tylko do ich użytku. Zauważyłam stylowe łóżka i designerskie zasłony, dywany i obrazy, które wyglądałyby świetnie w salonie dla dorosłych, i pomyślałam: co za niesamowite dzieciństwo! Dom, w którym mieszkaliśmy z rodzicami, był kilka razy mniejszy, a mieszkanie, do którego wprowadziliśmy się z tatą po śmierci mamy, miało

mniej więcej wielkość sypialni Sary i Marcusa (nie mogłam sobie odmówić zerknięcia do środka: w przeciwieństwie do pokoi dzieci była surowa i nowoczesna, jedynymi meblami były tapicerowane łóżko i pasująca do niego otomana). Co dziwne, teraz zazdrościłam Sarze jej bogactwa o wiele mniej niż poprzednio. Zakochanie odsunęło na dalszy plan wszelkie sprawy materialne – wołałabym moje zapyziałe mieszkanko z Arthurem niż ten wielki, efektowny dom bez niego.

Oczywiście prawda była taka, że nie miałam ani jednego, ani drugiego.

Niedługo po tym, jak dzieci położyły się spać, a ja uporządkowałam pokój telewizyjny i piłam herbatę w kuchni, usłyszałam kroki na ścieżce prowadzącej do domu i zgrzyt klucza w zamku. Sara wracała wcześniej, niż się spodziewałam. Byłam rozczarowana tak rychłym końcem miłego wieczoru – miałam właśnie zamiar poczytać sobie jej numery „Vouge’a”, zbyt drogiego, bym mogła go regularnie kupować.

– Jesteś tu na dole? – zawołała, po czym zeszła do kuchni i położyła torebkę na blacie. Za nią pojawiły się dwie „dziewczyny”: Nina Meeks i Sylvie Woodhall. Powinnam była się tego spodziewać (z perspektywy czasu nie rozumiem, jak mogłam się nie domyślić), ale ich widok kompletnie mnie zaskoczył. Gdybym wiedziała, mogłabym się jakoś przygotować, ale stanąć tak nagle twarzą w twarz z żoną faceta, z którym

sypiałam... Przeraziłam się na myśl, że wszystko najprawdopodobniej zostało specjalnie zaaranżowane przez Sarę. Jak mogliśmy być tak głupi z Arthurem, sądząc, że nikt nie wyciągnie wniosków po spotkaniu koło hotelu? On przecież był znany z niewierności, a o mnie pewnie też niejedno mówiono z powodu wydekoltowanej sukienki, w której pojawiłam się na przyjęciu świątecznym u Laingów. Wyobraziłam sobie, jak Sara opowiada o naszym spotkaniu Sylvie i Ninie: „Mówiła, że poszła tam zapytać o pracę, ale zaszłam później do recepcji i okazało się, że nikt o nic nie pytał przez całe popołudnie”. Jestem święcie przekonana, że specjalnie odwołała swoją nianię, żeby zorganizować ten nagły „kłopot” i zastawić pułapkę, w którą wpadłam jak dziecko.

– Witaj, Emily – powiedziała Nina. – Ostatnio wszędzie można cię spotkać.

– No cóż, w końcu mieszkam po sąsiedzku – odparłam bez złośliwości, ale od razu miałam wrażenie, jakbym odpyskowała nauczycielce.

– Słyszałam. Podobno bardzo przytulnie.

Uśmiechnęłam się słabo, nie umiając wymyślić żadnej inteligentnej odpowiedzi.

Dzięki Arthurowi wiedziałam teraz więcej o Ninie i o tym, jak stała się jedną z najlepiej opłacanych dziennikarek w kraju. Kilka razy czytałam jej felietony, w których pastwiła się nad ministrami albo popierała wystąpienie maltretowanej przez byłego męża aktorki.

Wprawdzie miała feministyczne poglądy, ale jakoś tak się składało, że ofiarami jej bezlitosnego ciętego dowcipu padały najczęściej kobiety. Mówiono, że potrafi przewidzieć, które postaci ze sceny publicznej są w stanie zainteresować czytelników gazet i użytkowników portali internetowych. Kształtowała opinie i przemawiała na rzecz wybranych grup i spraw. Zrozumiałam, że również podczas spotkania ze mną wystąpi w obu rolach.

Uświadomiłam sobie, że czerwienię się i unikam spoglądania na Sylvie, więc spróbowałam zapanować nad swoim zachowaniem. Zaczęłam opowiadać Sarze o wieczorze spędzonym z dziećmi, starając się znaleźć oparcie na bezpiecznym gruncie obejrzanego filmu i umytych zębów, ale przerwała mi natychmiast.

– Jeśli tylko nadal są żywe, a dom nie spalił się do fundamentów, nie potrzebuję szczegółowej relacji – rzuciła. Jej ton był kpiący, a poprzednia wdzięczność i przyjazne nastawienie gdzieś wyparowały. – Może napijemy się wina, co? Dla ciebie woda gazowana, Sylvie?

– Poproszę – odparła Sylvie, siadając o kilka miejsc ode mnie. Jej głos był sztucznie wesoły, niemal piskliwy. Spojrzałam na nią wprost po raz pierwszy. Jej drobna twarz miała jakąś chochlikowatą urodę, podkreśloną burzą loków, spod której zerkwały niespokojne oczy. W przeciwieństwie do koleżanek nie zdjęła płaszcza, co sprawiało wrażenie, jakby czuła się

niepewnie, jakby się bała, że w każdej chwili może stracić bezpieczne schronienie. Może właśnie ta delikatność wzbudzała w przyjaciółkach opiekuńcze instynkty i skłaniała do lojalności oraz – gardło mi się ścisnęło na samą myśl – sprawiła, że mimo wszystko Arthur z nią został, chociaż mógł odejść w każdej chwili.

– Napij się z nami wina, Emily – zakomenderowała Nina, widząc najwyraźniej, że mam ochotę zwiać.

Razem z Sarą usiadły blisko mnie, z dwóch stron, jakby chciały mnie unieruchomić. Sara nalała białego wina do kieliszków i przesunęła jeden w moją stronę. Widziałam, że była najbardziej z nich wstawiona, najbardziej podekscytowana. Czyżby przyjęły ją do swojego kółka? A może od początku w nim była. Co takiego powiedział Marcus o niej i jej przyjaźni z Niną, gdy rozmawialiśmy po raz pierwszy? „Nie tak bardzo, jak by chciała”, przypomniałam sobie. Nagle opanował mnie lęk, że Sara dostarczała mnie tym dwóm pozostałym jako coś w rodzaju ofiary inicjacyjnej. Przeprowadź nam tę dziwkę, to cię przyjmiemy.

– Dobrze się bawiłyście? – spytałam życzliwie. – Myślałam, że posiedzicie do późnej nocy.

– Nie w naszym wieku, kochana – powiedziała przeciągle Nina, bez wrogości, ale też bez zbytniej sympatii.

– Emily nie ma pojęcia, jak to jest być taką starą jędzą jak my – rzuciła Sara. – Ona nie musi się niczym

przejmować.

– Miło, że tak uważasz – odparłam lekkim tonem, który dobrze się sprawdzał wobec nieuprzejmych klientów w Earth, Paint & Fire. Mięśnie miałam tak napięte, że zaczynały mnie boleć ramiona.

Zmusiłam się, żeby spojrzeć na każdą z nich po kolei – unikanie patrzenia na Sylvie byłoby oczywistym przyznaniem się do winy. Gdy nasze oczy się spotkały, przez krótką chwilę poczułam, jakie wrażenie zrobiłaby na mnie w innych, normalnych, okolicznościach, i ze zdziwieniem uświadomiłam sobie, że poczułabym dla niej litość. Nie wzbudziłaby mojego zainteresowania, w przeciwieństwie do Niny czy nawet Sary (gdyby nie były do mnie tak negatywnie nastawione) – wyglądała, jakby zawsze miała powody do narzekania. Trudno było mi sobie wyobrazić jej bliskość z Arthurem, nawet nie patrząc przez pryzmat jego niewierności. Czy to możliwe, że kiedyś pragnął jej tak, jak teraz mnie?

„Stara jęcza” było oczywiście ironiczną przesadą, ale prawda była taka, że Sara miała rację – nie miałam pojęcia, jak to jest być w ich wieku, nie umiałam sobie wyobrazić, co to znaczy więdnąć, czuć się zagrożoną czy odsuniętą, patrzeć z niechęcią na młodsze kobiety. Ale jednocześnie widziałam w oczach dziewczyn dziesięć lat młodszych ode mnie, że traktują kobiety w moim wieku dokładnie w taki sam sposób. Być może dla każdego pokolenia to bezpośrednio starsze jest najbardziej godne pożałowania, nawet tragiczne, i jego

przedstawiciele należy unikać za wszelką cenę. Nie ma lekarstwa na tę niesprawiedliwość i nie ma od niej wielu wyjątków (jednym z nich byłoby moje zauroczenie Arthurem, ale być może ta zasada nie dotyczyła odmiennej płci). Wszystko, co można zrobić, to cieszyć się swoim rozkwitem, kiedy trwa.

Ale skąd mamy wiedzieć, czy znajdujemy się akurat w kwiecie wieku? Nad tym się specjalnie nie zastanawiałam. Niewiele myśląc, łączyłam ten okres życia z atrakcyjnością fizyczną, zbyt mało uwagi poświęcając sile charakteru, odwadze czy godności – które, jak teraz wiem, posiadała Sylvie.

– Jak się miewa piękny Matt? – spytała Sara.

– Świetnie, dziękuję – odparłam. Czułam się zagubiona, ale wiedziałam na pewno, że nie powinnam im mówić, iż właśnie się rozstajemy. – Odkąd pogoda się poprawiła, może wreszcie jeździć na rowerze.

– Widziałam kilka razy, jak pędził po ulicy – powiedziała Nina, co mnie zdziwiło; nie sądziłam, że się poznali. Może Sara przedstawiła go podczas świątecznego przyjęcia. – Słyszałaś, że ktoś potrącił rowerzystę w zeszłym tygodniu, tuż pod domem Sylvie?

– Nie, nic nie wiem. To okropne. Mam nadzieję, że nic poważnego się nie stało? – przejęłam się. Spojrzałam przy tym na Sylvie, która zbyt mną pogardzała (jak sądziłam), żeby się odezwać bezpośrednio do mnie.

– Nie – powiedziała. – Miał złamany nadgarstek.

– Niestety Arthura nie było w domu, żeby mu pomóc – dorzuciła Nina. – Ale pogotowie przyjechało od razu.

– Pewnie jechali ze szpitala – powiedziałam głupio, chcąc uniknąć włączenia Arthura do rozmowy i jakichkolwiek wzmianek o naszym spotkaniu pod hotelem.

– Jak długo jesteście razem? – zapytała Nina.

Zaszokowana, otworzyłam szerzej oczy i raptownie złapałam oddech. Wiedziałam, że zauważyła, ale było za późno. Oczywiście miała na myśli Matta, nie Arthura.

– Eee, prawie pięć lat.

– Planujecie jakieś ceremonie weselne?

Roześmiałam się w odpowiedzi całkiem szczerze i to mnie trochę rozluźniło.

– Nie, Matt nie jest typem skłonny do przysięgania.

– A ty?

Zawahałam się. Cała rozmowa w sposób oczywisty była przesłuchaniem, ale zdałam sobie sprawę, że przyjmując postawę obronną, niczego nie zyskam.

– Sama nie wiem. Chyba jestem jak każda kobieta, wydaje mi się, że dobrze byłoby kiedyś wyjść za mąż – powiedziałam. Żeby uniknąć pułapki rozważań, kto byłby dla mnie odpowiednim kandydatem, odwołam się do innego stereotypu: – Miło byłoby wybierać sukienkę, zaplanować przyjęcie, to musi być fajne...

Nie wiedziałam, co powiedzieć dalej. Każde słowo mogło być niebezpieczne.

Na wzmiankę o sukience wszystkie trzy zwróciły się

ku mnie i przyjrzały się, w co jestem ubrana – było to dziwne uczucie, poczułam się jak sześciopak jogurtu, na którym ktoś sprawdza datę ważności. Kiedy tak mnie lustrowały, mogłam przez chwilę im się przyjrzeć. Na twarzy Sary malowała się niechęć, niemal wrogość; Nina patrzyła z pełnym wyższości rozbawieniem, a Sylvie... Twarz Sylvie była najbardziej poruszająca. Wyglądała na zrezygnowaną, jak żona już oplakująca odejście męża.

Ona wie, pomyślałam.

Nina dotknęła rękawa mojego swetra, szarozielonego bolerka z kołnierzem z delikatnego sztucznego futra.

– Lubisz ciuchy vintage, prawda? Podoba mi się ta fryzura Lauren Bacall i makijaż w stylu retro. Urok starego Hollywood. Pasuje ci, masz do tego dobrą figurę. Szkoda, że więcej dziewczyn się tak nie ubiera, zamiast głodzić się na śmierć w pogoni za ideałem, który kiedyś będzie uznany za wariactwo. – Już miałam nadzieję, że przejdzie na bardziej ogólne tematy, ale szybko powróciła do mnie: – Prawdziwa z ciebie gratka, co, Emily? Mam nadzieję, że Matt docenia, jakie ma szczęście.

Nie podobał mi się ten komentarz, wypowiedziany tak wprost, bardziej jako osąd niż komplement. Można się było domyślić, że byłam już przedmiotem rozmowy i teraz spotkanie ze mną na żywo potwierdziło wcześniej sformułowane opinie.

– Po prostu wolę stare ubrania – odparłam bezbarwnym głosem, bez emocji. – Lubię te materiały i kolory. No i są znacznie tańsze niż nowe.

Nina popatrzyła na mnie w zamyśleniu.

– Upodobanie do ciuchów vintage to wyraz bardzo kobiecej tęsknoty, tak mi się wydaje. Czy mężczyznom się to podoba, Emily? Jak to się czasem mówi o takich strojach? Nie „używane”, tego się już nie słyszy, prawda? Już sobie przypomniałam: „ubrania drugiej miłości”.

Te uwagi zbyt mnie poruszyły, żebym pozwoliła sobie pomyśleć o Arthurze, jego upodobaniu do jedwabnych bluzek i wąskich spódnic, pończoch i pasów – wszystko dobrane z myślą o jego przyjemności. Nawet perfumy, których używałam podczas naszych spotkań, były staroświeckie – niedawno podarował mi śliczną butelkę. Cieszyłam się, że nie pachniałam nimi tego wieczora.

– Niektórym pewnie się podoba – powiedziałam. – Ale nie jestem pewna, czy Matt zwraca uwagę na coś innego niż koszulki rowerowe z lycry.

Nina roześmiała się i Sara się do niej przyłączyła. Miałam nadzieję, że udało mi się zyskać ich uznanie przynajmniej tym małym żartem. Była to zapewne jedyna moja udana wypowiedź tego wieczora. Wstałam, szykując się do wyjścia.

– Powinam wracać do domu, jeśli nie jestem już potrzebna. Jutro muszę wcześniej wstać. Mamy trzy

przyjęcia urodzinowe, więc zapowiada się długi dzień.

– Mój Boże, to przyjdzie chyba połowa dzieci z okolicy! – powiedziała Sara.

– Dobrze wiedzieć, że nasze dzieci są bezpieczne w twoich rękach – dodała Nina.

– Mam nadzieję – odparłam z całą godnością, na jaką było mnie stać. – Sara, dziękuję za wino.

Sara odprowadziła mnie do drzwi i wręczyła pieniądze.

– Dziękuję, Emily, naprawdę jestem wdzięczna, że zgodziłaś się przyjść – powiedziała. Ledwo ukrywała satysfakcję. Zamykając drzwi, już była w półobrocie, tak spieszyło jej się na dół, żeby wysłuchać opinii i wniosków na mój temat.

Gdyby ktoś zaproponował wtedy, żebym włożyła czapkę niewidkę i wróciła w niej do kuchennego stołu, by wysłuchać wszystkiego, co miały o mnie do powiedzenia – odmówiłabym bez wahania.

Opowiedziałam Arthurowi o tym wieczorze, gdy spotkaliśmy się kilka dni później w hotelu. Przez tych parę dni zżerały mnie nerwy, ale nie chciałam nic pisać w SMS-ach.

– Hm – mruknął, wysłuchawszy mnie, nie przerywając, jak to miał w zwyczaju. – To rzeczywiście niepokojące. Musimy znaleźć jakieś inne miejsce, żeby się widywać, nie w tej okolicy. Muszę się zastanowić. Twoje mieszkanie też odpada, jeśli Sara o wszystkim wie. Kłopot.

– Mało powiedziane! – wykrzyknęłam, ale po nim nie było widać, żeby się przejął. Zapewne miał spore doświadczenie w radzeniu sobie z kryzysowymi sytuacjami albo raczej w niedopuszczaniu do tego typu sytuacji, ale ze mną było inaczej. Ciągłe w myślach przeżywałam tamto spotkanie i niepokój nie dawał mi spać. Czułam się coraz bardziej przerażona. Opowieść o potrąconym rowerzyście zaczęła w końcu brzmieć w moich uszach jak groźba, zaś uwaga o „ubraniach drugiej miłości” przybrała charakter insynuacji i jedyne, czego brakowało, to znaczące spojrzenie spod uniesionych brwi w kierunku Sylvie. „Dobrze wiedzieć, że nasze dzieci są bezpieczne w twoich rękach” – czy niedopowiedzianym dokończeniem było: „szkoda, że nie nasi mężowie”?

Ale skąd mogły się dowiedzieć? Przypadkowe spotkanie sąsiadów przed miejscowym hotelem – to cała wiedza, jaką dysponowały. Nawet jeśli Sara poszła potem do recepcji, żeby się czegoś dowiedzieć, to na pewno nikt nie zdradził jej szczegółów rezerwacji. Arthur systematycznie kasował wszystkie SMS-y i listy połączeń, więc nie zostawiał żadnych śladów; poza tym miał osobny telefon prywatny i do spraw służbowych, a ja zawsze używałam jego służbowego numeru. Nie wchodziło w grę żadne przypadkowe połączenie czy omyłkowy SMS, trafiający w niepowołane ręce. Nie – nie mogły wiedzieć. Z pewnością zareagowałam paranoicznie i niepotrzebnie wpadłam w panikę.

– Zrozumiem, jeśli po prostu mnie rzucisz – powiedziałam tępo. – Zabiję się, ale zrozumiem.

Spojrzał mi w oczy z tym swoim całkowitym zaangażowaniem.

– Kochanie, powiedz, że tak nie myślisz.

Próbował rozpiąć mi bluzkę (normalnie na tym etapie bylibyśmy już w łóżku), ale chwyciłam jego palce i przycisnęłam sobie do mostka.

– Zobacz, jak mi wali serce, Arthur, zupełnie zwariowało. Czuję się osaczona i właściwie nic w tym dziwnego – w końcu jestem winna, prawda? Ich podejrzenia są słuszne!

– Nie możesz się tak denerwować. One tylko próbują cię przestraszyć.

Nie cofając ręki, pochylił się do przodu i zaczął całować mnie w szyję, przesuwając się powoli w kierunku dekoltu, odsłaniającego nieco rowek między piersiami. Delikatnie podniosłam jego głowę. Chciałam, żeby na mnie popatrzył, żeby uznał tę katastrofę, żebym mogła liczyć na niego i jego wsparcie.

Nie zawiodłam się. Przestał mnie całować i przyciągnął mnie do siebie, żebyśmy usiedli razem na łóżku, oparci o spiętrzone u wezglowia poduszki. Miał łagodny, zachęcający wyraz twarzy, jaki przybierał zapewne w kontaktach z nerwowymi pacjentami, takimi, którzy w kółko zadają te same pytania.

– OK, porozmawiajmy o tym poważnie. Czy Sylvie coś do ciebie powiedziała?

– Nie. Prawie w ogóle na mnie nie patrzyła. Wszystko mówiła Nina. Każde jej słowo miało jakby drugie dno.

– Nic dziwnego. Pamiętaj, że to jej zawód, prowadziła programy w telewizji, *Question Time* i *Bóg wie co jeszcze*. Oczywiście stara się mieć nad tobą przewagę, na tym się zna. To tylko takie oszustwo, blef. Wiem, że można się przestraszyć, ale to tylko sztuczka.

Patrzyłam na niego w milczeniu. Kiedy tak mówił, jak równy Ninie i jej podobnym, zdałam sobie sprawę z tego, jak bardzo czułam się zagubiona w tym towarzystwie. Bez jego ochrony stanowiłam najłatwiejszą zdobycz.

– Jestem przekonany, że nie może niczego wiedzieć na pewno. Gdyby Sylvie miała jakieś dowody, już dawno by mnie oskarżyła o zdradę. Nie martw się, kochanie. Zajmę się tym. Nie trać do mnie zaufania, proszę.

– Dobrze.

Jego słowa mnie uspokoiły. Na pewno wiedział, co zrobiłaby Sylvie, z doświadczenia i dzięki intuicji. Jednak świadomość, że znajome jego żony dowiedziały się o mnie, nasunęła mi pytania, które chciałam teraz zadać.

– Miałeś kiedyś romans z którąś z nich?

– Jakich nich?

– Z którąś z sabatu. Niną albo jej przyjaciółkami.

Zaśmiał się.

– Nie, oczywiście, że nie. Wykastrowałyby mnie publicznie, gdybym chociaż spróbował. W tym gangu obowiązuje kodeks honorowy. W gruncie rzeczy bardzo to jest pozytywne.

– Ale ty go nie masz?

– Czego, kodeksu honorowego?

Zmarszczył brwi, jakby nikt nigdy nie zadał mu tak osobistego pytania.

– Nigdy o tym nie myślałem w taki sposób.

– Dlaczego? Przecież zdrada to coś złego. Mówiłeś, że cierpiała już w przeszłości, że cię ostrzegała. Musiałeś o tym myśleć.

To oczywiście był zasadniczy paradoks mojej sytuacji, nad którym głowią się kochanki na całym świecie, a którego nigdy dotychczas nie rozważałam: jak mężczyzna, który w oczach zakochanej kobiety jest cudowny, może wyrządzać taką krzywdę swojej żonie, matce swoich dzieci? Przypomniała mi się litość, jaką poczułam na widok Sylvie, na widok jej słabości – byłoby bardzo wygodnie uznać, że Arthur stracił dla niej zainteresowanie z powodu tej właśnie cechy, ale czy nie należałoby pomyśleć, że przyczyną tej słabości może być właśnie jego zaniedbanie i obojętność?

Wtedy on musiałby być niegodziwcem, a ja – idiotką.

Zorientował się, że mnie to niepokoi, i odpowiedział po chwili:

– Myślałem o tym, tak, dlatego ignorowałem

wszystkie pokusy przez dwa lata, dopóki nie spotkałem ciebie. Ale wiedziałem też, że chodziło jej nie tylko o to, żebym pozostał jej wierny, ale też o zachowanie pozorów, o to, co ludzie pomyślą.

– Masz na myśli życie towarzyskie związane z twoją pracą?

Wyobraziłam sobie, w jak eleganckich obraca się sferach, kolacje z księciem Karolem i Camillą albo z saudyjskim księciem, którego kiedyś wyleczył, dystyngowani ludzie podczas imprez charytatywnych i przyjęcia w ich domu, taksówki i limuzyny z szoferami zajeżdżające na Grove, przywożące dostojnych gości.

– Nie, już nie prowadzimy życia towarzyskiego, tylko od czasu do czasu, kiedy naprawdę nie wypada nam odmówić. Albo idę sam.

– Czemu?

– Sylvie miała już dosyć.

– Nie rozumiem.

Wydawało mi się, że Sylvie skorzystałaby, odgrywając rolę towarzyszki. Czy żona w zagrożonym małżeństwie nie powinna dążyć do tego, żeby mąż nie mógł się bez niej obejść?

– Emily, nic dziwnego, że nie rozumiesz. Nie jesteś taka zgorzkniała i złamana jak my i dlatego właśnie cię kocham.

Nigdy nie spowszedniały mi te słowa ani poczucie uległości, jakie u mnie wywoływały.

– Uwierz mi – mówił dalej – że kiedy jesteś

w małżeństwie przez dwadzieścia lat, zaczynasz patrzeć na rzeczy bardzo pragmatycznie. Nie można przez tak długi czas kogoś idealizować. To element naturalnego przystosowania.

Ale pragmatyzm czy też upadek ideałów nie wyjaśniały do końca tego żalu i osamotnienia w oczach Sylvie siedzącej przy stole w kuchni Sary albo mojego wrażenia, gdy zobaczyłam ją po raz pierwszy w Earth, Paint & Fire, i przyszło mi do głowy, że ma za sobą ciężkie przeżycia i boi się, że mogłyby powrócić. To było coś więcej niż lęk przed upokorzeniem czy pragnienie zachowania pozorów – chciała, żeby nadal jej pragnął, byłam tego pewna. Ale nie wydaje mi się, że Arthur kłamał, opowiadając o swoim małżeństwie. Domyśliłam się, że w jego związku, podobnie jak w moim związku z Mattem, zabrakło szczerej komunikacji i dlatego jego interpretacja wydarzeń różniła się od jej interpretacji. To, co on postrzegał jako obojętność, mogło być w rzeczywistości cierpieniem.

– Słuchaj, nie mogę zaprzeczyć, że byłem koszmarnym mężem – ciągnął. – Wiesz o tym. Setki razy nienawidziłem siebie za swoje wyczyny, za wszystkie wymówki przed nią i przed sobą. Ale nie żałuję, że cię spotkałem. Chciałabyś, żebym tego żałował, o to ci chodzi?

– Nie – szepnęłam. – Chcę, żebyś był szczęśliwy.

– Dobrze. Jestem szczęśliwy. Bo czuję, że zaczynam z tobą życie na nowo, że mogę teraz zrobić dobrze te

wszystkie rzeczy, które wcześniej zrobiłem źle. Wiem, że przez jakiś czas nasz związek będzie trwał jednocześnie z moim małżeństwem – wolałbym, żeby tak nie było, ale to tylko krótki czas.

Obsunął się nieco na poduszkach i przyciągnął mnie do siebie.

– Alex zdaje w tym roku maturę. Nie mogę robić żadnych domowych rewolucji do tego czasu, ale kiedy już będzie po wszystkim...

Nawet nie mając doświadczenia, wiedziałam, że to typowa gra na zwłokę uprawiana przez żonatych kochanków, że zawsze będzie jakiś powód do odwlekania decyzji. Potem pewnie czekalibyśmy, aż młodszy syn także zda maturę, potem Arthur mógłby powiedzieć, że nie może im psuć pierwszych lat na studiach, potem mieliby egzaminy końcowe, potem nie można by utrudniać im pierwszych miesięcy pracy w wybranym zawodzie... Jak łatwo byłoby wplątać się w kołowrotek znaczących milczeń i cichych ultimatów długoterminowej kochanki. Dlaczego miałabym różnić się od wszystkich innych kobiet, które przede mną czekały, miały nadzieję, wierzyły, aż wreszcie tego wszystkiego żałowały?

Nie powiedziałam tego na głos. Przez moje obawy i poczucie niepewności już i tak straciliśmy połowę czasu, który mieliśmy dla siebie tego dnia, a nie chciałam, żeby nasze spotkania przynosiły cokolwiek oprócz radości. Przynajmniej dopóki łączyło nas tak

wielkie pragnienie.

Ale Arthur obdarzony był inteligencją, dzięki której potrafił odczytać moje uczucia. Przytulił mnie mocniej i powiedział:

– Tak naprawdę będzie, obiecuję, już bardzo niedługo. Nie mogę odejść od niej w tej chwili, ale zanim to się stanie, będę cię wspierał na inne sposoby.

– Nie chcę twoich pieniędzy – powiedziałam szczerze. Nie tylko Sylvie miała swoją dumę.

– Nie to miałem na myśli.

– Więc co? Jak możesz mnie „wspierać”?

– Tak jak potrzebujesz, tylko mi powiedz. Chciałbym pojechać z tobą do ojca. Wiem, że po wizytach w szpitalu zawsze czujesz się przygnębiona, chociaż udajesz, że wszystko jest w porządku. Chciałbym ci w tym pomóc, jako dowód.

– Dowód czego?

– Dowód, że cię kocham. Bardziej niż jakąkolwiek inną kobietę w moim życiu.

Przytuliłam do niego twarz. Teraz, kiedy porozpinał już guziki mojej bluzki, rozpiął mi stanik, nie mogłam go powstrzymać. Namiętnie odpowiedziałam na jego pocałunki.

– Nigdy nikogo tak nie pragnąłem – szeptał mi do ucha. – Nigdy nikogo tak nie kochałem... To jest... nie umiem tego opisać...

– Ze mną jest tak samo – odpowiedziałam. I z próżności, dla przyjemności, kazałam mu czekać

i powtórzyć wszystkie te zaklęcia.

– Mówiłeś już jakiejś kobiecie, że kochasz ją bardziej niż inne?

– Emily, mówisz tak, jakby były ich całe szeregi... Nie, nie mówiłem.

– Tylko mnie?

– Tylko tobie.

Spełnił obietnicę i pojechał razem ze mną do ojca w następną niedzielę. Coś musiało zostać odwołane, żeby tak się stało, ale nie chciałam o tym myśleć.

Kiedy przyjechaliśmy do szpitala, pomyślałam, że gdyby choroba taty była mniej zaawansowana, byłabym znacznie ostrożniejsza z przedstawianiem Arthura. Gdyby ojciec był zdrowy, w ogóle nie dopuściłabym do ich spotkania. Jakaś część mnie była wdzięczna losowi za nieświadomość taty. Jedyne człowiek na świecie, który bez problemu zaaprobuje żonatego kochanka córki! Wstydziałam się tej przewrotnej wdzięczności – czyż nie spędziłam całych lat, modląc się, żeby ojciec cudownie wyzdrowiał? Płakałam nad tym, co kiedyś miał, a teraz utracił.

Dostał akurat środek uspokajający, żeby łatwiej było mu zasnąć, i nie mógł podnieść głowy znad poduszki. Arthur, siedzący koło mnie, instynktownie zrobił to, czego Phil i ja musieliśmy się nauczyć: użył mowy ciała do przekazania ciepła i serdeczności. Wiedział, że nie ma sensu mówić. Kiedy tata zasnął, jego dłoń pozostała w mojej przez dłuższą chwilę, a Arthur wziął moją

drugą dłoń w swoje ręce. Poczułam wszechogarniającą radość, jaką daje całkowite zaufanie, bliskość przyjaciela, przy którym mogłam okazać swój smutek. Nie miał zamiaru ani bagatelizować, ani unikać tematu, jak Matt. Nie reagował też przerażeniem, jak Charlotte, która bez przerwy wykrzykiwała, że nie wie, jak poradziłaby sobie, gdyby to był jej ukochany ojciec, a nie mój.

Przyciszonym głosem opowiedziałam mu o wykresie, który Phil i ja dostaliśmy od jednego z lekarzy, kiedy zdiagnozowano chorobę.

– Hierarchia potrzeb Masłowa – odparł. – Na samym dole piramidy potrzeby fizjologiczne, a na górze potrzeby duchowe.

– Tak. Dzięki temu możemy rozpoznać, które rejony są już poza zasięgiem ojca.

Górne warstwy piramidy już dawno przestały wchodzić w grę i teraz tata znajdował się mniej więcej na poziomie określanym jako potrzeby miłości i przynależności.

– Dopóki rozumie, że go kocham, to ciągle znajduje się na tym poziomie. Myślisz, że to wie?

– Tak – odpowiedział Arthur. – Z całą pewnością.

Ponieważ była niedziela, żaden specjalista nie dyżurował. Miałam nadzieję, że spotkamy pielęgniarkę ojca z domu opieki, która nadal do niego zaglądała i z którą co jakiś czas rozmawiałam o jego szansach powrotu na dawne miejsce, ale jej także nie było.

Dziwna wydawała mi się myśl, że opiekunowie mogą oderwać się od swoich pacjentów w czasie weekendu, podczas gdy ja myślałam o ojcu niemal każdej godziny. Arthur starał się wydobyć od dyżurujących lekarzy jakieś informacje, których nie mogłabym zdobyć samodzielnie, ale było oczywiste, że nie mają niczego nowego do powiedzenia. Jednak próbował, co było bardzo miłe z jego strony, a do tego obiecał, że gdybym miała jakieś pytania, chętnie zadzwoni w poniedziałek do lekarza i wszystkiego się dowie.

W drodze powrotnej, w jego samochodzie, siedzieliśmy z początku w milczeniu, wdzięczni losowi za duży ruch na drodze, spowalniający nasz powrót do miasta. Zazwyczaj gdy wracałam samotnie od ojca, dzwoniłam do Phila i mówiłam, że wszystko jest mniej więcej tak, jak było, a w jego głosie słyszałam to samo pragnienie, żeby coś się wreszcie stało (które musiało brzmieć także w moim własnym głosie), i jednocześnie ten sam lęk przed jakąkolwiek zmianą. Teraz milczenie Arthura dodawało mi otuchy tak samo jak jego obecność w szpitalu.

Po chwili obróciłam się do niego.

– Wiesz, czasem widuje się na ulicy ludzi, którzy wyglądają tak rozpaczliwie...

Przez okno ze swojej strony zerknął w bok, na przechodniów.

– Chodzi ci o bezdomnych?

– Tak, albo po prostu o takich, którzy wydają się

zagubieni i przytłoczeni jakimś nieszczęściem, na krawędzi przepaści. Chciałabym kiedyś, chociaż jeden raz, móc powiedzieć komuś takiemu: „Chodź ze mną, zamieszkaż u mnie, aż będziesz mógł sam stanąć na nogi”. Pomóc komuś, kto się tego w ogóle nie spodziewa.

– To bardzo szlachetna myśl – powiedział Arthur – ale to trochę ryzykowne, zabierać do domu kogoś, o kim nic nie wiadomo. Jeśli żyje na ulicy, może mieć poważne kłopoty ze zdrowiem psychicznym.

– Nie mówię, że noszę się z takim zamiarem. – Roześmiałam się. – Przynajmniej nie w Londynie. Mogłabym obudzić się z poderżniętym gardłem, gdybym wpuszczała do domu obcych ludzi. Chciałam tylko powiedzieć, że fajnie byłoby któregoś dnia zrobić coś takiego, coś, co zmieniłoby czyjeś życie na lepsze.

– Losowy akt miłosierdzia? To chyba normalne, takie pomysły. Czujesz się tam... – miał na myśli szpital – ...tak bezradna, martwisz się, że nie możesz nic zrobić, żeby pomóc ojcu. Ale powinnaś wiedzieć, że mu pomagasz. To, co mówiłaś o potrzebie miłości i przynależności... Naprawdę, nie mógłby marzyć o lepszej córce. Odwiedzając go tak często, bardzo mu pomagacie, ty i twój brat. W wielu rodzinach bliscy dają sobie spokój z odwiedzinami na długo przed tym stadium. Nie zdziwiłbym się, gdyby do niektórych pacjentów nikt nie przychodził całymi tygodniami.

– Tak bywa. – Z pewnością zdarzały się takie

przypadki w domu opieki, gdzie co najmniej jednego z chorych w ogóle nikt nie odwiedzał. – Ale jak wytłumaczysz fakt, że miewałam takie pomysły, jeszcze zanim tata zachorował? – spytałam.

– Nie wiem. Może powinnaś być lekarzem, nauczycielem albo kimś takim. Mieć możliwość pomagania ludziom na co dzień – odparł i spojrzał na mnie. Na chwilę położył mi rękę na dłoni. – Albo może to stary dobry instynkt macierzyński. Myślałaś o tym? Ludzie, którym możemy pomóc najbardziej, to nasze własne dzieci. Wiem coś o tym.

Zapadło milczenie. Nie wiedziałam, czy myślał o swoich synach, czy o dzieciach, które moglibyśmy mieć razem w przyszłości, ale nie chciałam psuć nastroju swoimi wątpliwościami. Nie chciałam wymagać obietnic ani żądać ich spełnienia. Nigdy więcej nie będę o tym mówiła, przysięgłam sobie. Nie będę rozważała nawet najbliższej przyszłości, nawet tego, co będzie za pół godziny, gdy Arthur wysadzi mnie gdzieś na obrzeżach naszej dzielnicy, bo podwożenie mnie pod dom byłoby zbyt wielkim ryzykiem.

Będę myśleć wyłącznie o tu i teraz.

– Kiedy byłaś ostatnio na wakacjach? – spytał.

Musiałam chwilę pomyśleć.

– Rok temu. Nie, dwa lata temu. Pojechaliśmy w kilka osób do Hiszpanii.

– Jak tylko to wszystko się skończy, zabiorę cię gdzieś.

Nie wiedziałam, czy ma na myśli śmierć mojego ojca, czy rozwód z Sylvie, ale moja reakcja na obie ewentualności, jedną tak straszną, drugą tak pożądaną, była podobna: tęskniłam za końcem niepewności. Miałam wrażenie, że nie dam rady długo czekać.

– Dokąd? – zapytałam i obróciłam głowę, żeby na niego spojrzeć, aż policzkiem oparłam się o zagłówek.

– Znam idealne miejsce. To mała wyspa na zachodnim wybrzeżu Francji. Bardzo spokojna, niezbyt modna, z piękną pogodą. Pojedziemy na dwa tygodnie, znajdziemy sobie jakieś miejsce blisko plaży.

To nie mogło zdarzyć się tego lata – wiedziałam, że w sierpniu miał jechać na dziesięć dni do Sussex, że obowiązki w pracy nie pozwalały mu spędzić tam nawet dwóch dni więcej, nie mówiąc już o tygodniach. Zresztą nie zostawiłabym taty na tak długo. Ale w tamtej chwili, w samochodzie jadącym przez miasto w kierunku rzeki, chciałam wierzyć, że to było możliwe.

– Jak ona się nazywa, ta wyspa? – spytałam.

– Ré. Byliśmy tam kilka razy, gdy chłopcy byli mniejsi.

Zamknęły mi się oczy, gdy opisywał swoją wyspę. Nie miało żadnego znaczenia, czy pojedziemy tam naprawdę, czy nie – to była opowieść na dobranoc, bajka; ładna, uspokajająca, wymyślona dla mnie. Wydmy, saliny przy plaży, stare kamienne domki rybackie kryte czerwoną dachówką, malwy sięgające ponad głowę – wszystko do mojej dyspozycji.

Rozdział 11

Tabby

Prowadząc Grégoire'a na górę, do sypialni domu przy rue du Rempart (którym zajmowała się do tej pory tak odpowiedzialnie, że dostała go jako stałe zlecenie do końca sezonu), Tabby wiedziała już, że nie był to ostatni raz – o ile on będzie tego chciał. Co gorsza, zdawała sobie sprawę, że spotkania z Grégoire'em staną się dla niej atrakcją tygodnia, jakby na przekór wszelkim wyższym aspiracjom jedynie bliskość drugiego człowieka była celem wartym zachodu. Ciekawe, co powiedziałyby na to Steve.

Gdy całowali się, rozbierali, jęczeli i chichotali, unieważniała w myślach swoje poprzednie wymówki i od razu tworzyła nowe. To było jej połączenie z życiem, mówiła sobie. Bez niego mogłabym rozpaść się i umrzeć, i kto by zauważył, kto by się przejął? W ten sposób coś obchodzi przynajmniej mnie.

Grégoire'a także obchodzi, czyż nie? W każdym razie kiedy się kochają, na pewno. Może jeszcze chwilę potem.

Zorganizowanie wszystkiego było trochę skomplikowane. W końcu miała w tym czasie pracować, i nie była to praca, którą można zabrać do domu i nadgonić po godzinach. Wymyśliła, że jeśli przyniesie

własne prześcieradło, może na początku sprzątanania wrzucić całą pościel do prania, jak powinna; jeżeli potem posprząta kuchnię i łazienkę w ekspresowym tempie i uda jej się skończyć przed jego przyjściem, może zrobić sobie przerwę dłuższą niż normalnie; jeżeli zostawi sobie na później tylko mycie podłogi i ścielenie łóżek, jeżeli spędzi z nim nie więcej niż godzinę – wszystko powinno się udać.

Najtrudniejsze okazało się nie zmęczenie, następujące po intensywnym wysiłku przy sprzątananiu (zapobiegały mu adrenalina i podekscytowanie, a poza tym miała cały wieczór na odpoczynek), ale dyscyplina konieczna, żeby wyrzucić Grégoire'a po godzinie.

– Nie spieszę się – powiedział, leżąc nago na łóżku, najwyraźniej zrelaksowany, kiedy ona zaczęła już się ubierać.

– Ty nie, ale ja tak. Grégoire, ja tutaj pracuję. To była moja przerwa.

– Popatrzę, jak kończysz pracę – zaproponował.

– Powinieneś już iść – odparła. – Nie boisz się, że żona zacznie się zastanawiać, gdzie jesteś?

– Ona nie ma znaczenia, gdzie jestem – oznajmił niedbale.

– To, co powiedziałaś, nie ma sensu.

– Musimy mówić po francusku, jak chcesz sens – odpowiedział z uśmiechem.

– Nie mam czasu mówić po francusku!

Tego nie przewidziała. Spodziewała się

cudzołożnika, który wrzucił na siebie ubranie i w dziesięć minut od wytrysku jest już za drzwiami. Nie chciała pytać, jak wytłumaczył żonie swoją nieobecność – tylko by twierdził, że wcale nie musi się tłumaczyć, i dalej powtarzałyby bzdury o separacji z żoną – ale przypuszczała, że nie było to trudne. Wariactwo, pomyślała, słysząc wirowanie pralki na dole i zastanawiając się, jak przemyci do domu używane prześcieradło, na którym właśnie wylegiwał się Grégoire, i jak je upierze bez zwracania uwagi Emmie (łatwizna, stwierdziła w końcu: Emmie ostatnio wciąż wpatrywała się w swój komputer albo siedziała zatopiona w myślach bądź w książce). Spodziewała się, że Grégoire będzie bardziej zestresowany sytuacją – o ile to właśnie świadomość ryzyka nie stanowiła dla niego zasadniczej podniety.

– Możesz oszukiwać sam siebie, ale mnie nie oszukasz – powiedziała, gdy wreszcie zebrał się do wyjścia.

– Tak, Tabitha – odparł z przebiegłym uśmiechem, zadowolony z siebie, skory do żartów. – Znasz mnie doskonale.

Pożałowała, że nie podała mu jakiegoś nieprawdziwego imienia, że nie uciekła całkowicie od Tabby Dewhurst i nie wcieliła w całkiem nową postać.

W domu upchnęła gdzieś prześcieradło i włączyła wodę w czajniku, ciągle na nogach, chociaż już wyobrażała sobie, jak miło będzie położyć się do łóżka.

Miała za sobą cztery godziny sprzątanía ściśnięte do trzech, jedną godzinę seksu, trzydzieści minut spaceru i jeszcze musiała przygotować coś na kolację. Zgodnie z tym, co powiedziała Moirze, miała dużo energii.

Z łazienki dobiegał odgłos lejącej się wody i domyśliła się, że Emmie pewnie bierze kąpiel. Tego dnia przypadało jej sprzątanie dwóch domków letniskowych w La Flotte, z którymi potrafiła sobie poradzić w standardowym czasie od jedenastej do trzeciej. Tabby nie była pewna, czy sama miałaby ochotę na takie wyczyny.

Oczywiście dzisiaj wieczorem nie wybierały się na drinka. Tabby nie dziwiła się, że Emmie nie chce rozmawiać o tamtym wieczorze. Wtedy, następnego dnia, spytała ją, czy coś się stało, ale Emmie, tonem pełnym zdecydowania, odparła, że wszystko jest w porządku. Miała na sobie swoje zwykłe ciuchy, a na twarzy żadnych śladów makijażu. Później Tabby znalazła w kuchennej szufladzie paczkę papierosów, w której brakowało tylko jednego – tego, którego Emmie spaliła przy niej.

Kolejna tajemnica – ale zaczynała już się przyzwyczajać.

Nagle zgasły wszystkie światła i ucichł szum wody w czajniku. Przestraszyła się, gdy to się zdarzyło po raz pierwszy, ale teraz już przywykła. Czajnik pobierał tyle prądu, że czasami wyłączały się korki.

– Zobaczysz w zimie – powiedziała jej wtedy

Emmie. – Podobno można używać albo ciepłej wody, albo grzejników, ale nie jednego i drugiego w tym samym czasie.

Tabby wzruszyła się na myśl, że Emmie spodziewa się, iż nadal będą razem mieszkały w Saint-Martin. Sama miała zamiar wyjechać stąd jesienią. Kiedy skończy się sezon i będzie mniej pracy, już jej tutaj nie będzie. Nie mogła pozwolić sobie na mieszkanie w tak kosztownej okolicy bez regularnych dochodów. Emmie za to nie mówiła nic o planach wyjazdu; zapewne miała zamiar zostać w tym domu tak długo, jak długo właściciele będą chcieli go wynajmować. W przyszłym roku zamierzali przeprowadzić remont, a na razie w każdej chwili mogła się wyprowadzić z tygodniowym wyprzedzeniem.

Tabby włączyła główny przełącznik przy drzwiach wejściowych i zgasiła wszystkie światła, żeby w spokoju zagotować wodę. Gdy zrobiła herbatę, zapaliła je znowu. Oparła się o blat z kubkiem w rękę i wtedy zauważyła fioletową teczkę leżącą na środku kuchennego stołu. Nie widziała jej nigdy wcześniej – najprawdopodobniej należała do Emmie. Była zamykana na gumkę i pewnie stanowiła odpowiednik jej własnego zapinanego na zamek etui, w którym trzymała paszport, bilety i różne niepotrzebne już dokumenty z podróży – jedyne pamiątki, jakie posiadała.

W oczu rzucił się jej ciemny, lśniący rąbek fotografii wystającej z teczki i odruchowo sięgnęła, by

wsunąć ją z powrotem pod okładkę. Ale gdy jej dotknęła, nagle zmieniła zdanie – chwyciła zdjęcie i zaczęła wysuwać je na zewnątrz.

Nie spodobało jej się własne postępowanie, pomyślała o tym od razu, kiedy tylko wzięła fotografię w palce. Na tym polega problem z jej pracą, pomyślała: codziennie ma nieograniczony dostęp do cudzych rzeczy i przez to coraz słabiej widzi granicę między zachowaniem nagannym a właściwym. Zaczyna je dzielić jeden niewielki krok, o którym wie tylko ten, kto go już wykonał. Jakie było to znane pytanie filozoficzne, o którym powiedział jej kiedyś Paul? Jeżeli w lesie złamie się drzewo i nikt tego nie słyszy, to czy drzewo wydało jakiś dźwięk? Coś w tym rodzaju. A poza tym, jeśli ludzie umieszczają gdzieś znak „PRYWATNE”, nie zabezpieczając swoich sekretów solidnym zamknięciem, to cóż – tylko zwiększają pokusę dla innych. I wcale nie chodzi tu o filozofię, ale o ludzką naturę (nie całkiem zdawała sobie sprawę, że ma tendencję, by tłumaczyć swoje błędy ułomnościami ludzkiej natury, a nie własnymi cechami charakteru).

Wydobywszy fotografię z teczki, podniosła ją do światła. Zdjęcie przedstawiało dwoje ludzi: mężczyznę koło trzydziestki z papierosem w ustach, patrzącego zmrużonymi oczyma w obiektyw, oraz młodą blondynkę, która odwróciła twarz od aparatu i od swojego towarzysza. Patrząc na ich eleganckie stroje i dekoracje kwiatowe widoczne w tle, Tabby domyśliła

się, że musiało to być zdjęcie z jakiegoś ślubnego przyjęcia. Nie rozpoznałaby Emmie, gdyby nie sukienka – ta sama, którą widziała na niej w zeszłym tygodniu – i identyczny makijaż. Dziewczyna na zdjęciu była młodsza i szczuplejsza, uchwycona w ruchu, gdy właśnie odwracała głowę, i pasma włosów częściowo zasłaniały jej twarz. Włosy miała długie do ramion i bardzo jasne, niemal platynowe, ułożone w stylu lat pięćdziesiątych, niczym u Lauren Bacall albo Grace Kelly. Tabby podniosła zdjęcie do oczu, podziwiając elegancję stroju na szczuplejszej figurze Emmie. Na tym zdjęciu sukienka lepiej na niej leżała, jakby bardziej do niej pasowała.

– Trudno uwierzyć, że to ja, prawda?

Tabby podskoczyła nerwowo na dźwięk głosu Emmie, stojącej u podnóża schodów, i zaczerwieniła się. Nie słyszała kroków; domyśliła się, że wyłączenie prądu wyciągnęło Emmie z łazienki.

– Przepraszam za światła – powiedziała, starając się niezdarnie tłumaczyć. – Mam nadzieję, że się nie gniewasz... – Podała Emmie fotografię i ciągnęła: – Nie chciałam ci grzebać. Wystawała z teczki i rozpoznałam twoją sukienkę...

To było oczywiste kłamstwo, ale Emmie nic nie powiedziała. Wzięła zdjęcie z rąk Tabby i stanęła blisko, żeby razem mogły mu się przyglądać. Patrzyła na własną podobiznę z wyraźnym zajęciem.

– Wyglądasz zupełnie inaczej – powiedziała Tabby

niepotrzebnie. – Masz takie jasne włosy.

– No tak. Potrzebowałam całkowitej odmiany.

Tabby nie była pewna, czy miała na myśli odmianę przed zrobieniem zdjęcia czy już po; z pewnością coś się musiało radykalnie zmienić, bo obecna Emmie była znacznie bardziej pospolita niż ta olśniewająca dziewczyna i sporo tęższa. Patrząc na fotografię, Tabby spostrzegła kolejny szczegół: młodsza Emmie trzymała w dłoni papierosa na wysokości bioder (na zdjęciu widać było unoszącą się smużkę dymu). Przypomniała sobie, że ledwie wyszły z domu, Emmie od razu pobiegła kupić papierosy. Mówi się, że ludzie rzucający palenie są bardziej skłonni ulec nałogowi, jeśli znajdują się w towarzystwie osób, z którymi kiedyś palili – może ubrania mają podobne działanie? Gdyby się nie pokłóciły o tych gości przy sąsiednim stoliku, może Emmie ujawniłaby jakieś inne dawne przyzwyczajenia? Może opowiedziałaby jej coś o swoim życiu?

Po chwili milczenia Emmie odezwała się nagle.

– Wiem, wiem... – powiedziała z taką przyjemnością w głosie, że Tabby odwróciła się do niej, zaskoczona. Czasami Emmie jakby potrafiła odczytać jej myśli: odpowiadała na słowa, które Tabby tylko pomyślała, a potem kontynuowały rozmowę bez komentowania tego faktu. Ale tym razem jej się nie udało. Miała wyraz twarzy kogoś, kto właśnie usłyszał wyjątkowo miły komplement i stara się skromnie odpowiedzieć.

– Wyglądasz świetnie, kiedy się wystroisz –

powiedziała Tabby ponieważ. – Naprawdę pięknie. Nie wiem, czy bym cię rozpoznała, gdyby nie ta sukienka. Kto robił wam zdjęcie? Jesteście na jakimś ślubie? Ten facet to twój chłopak?

Ta kolejna próba skłonienia Emmie do opowieści o zawiedzionej miłości i jej złym końcu spelzła na niczym, jak wszystkie poprzednie. Emmie jedynie westchnęła, wsunęła fotografię z powrotem do teczki i wzięła wszystko ze sobą, wchodząc z powrotem po schodach.

– Przepraszam – zawołała Tabby do jej oddalającej się postaci. – Wiem, że obiecałam nie pytać.

Kiedy Emmie zeszła później na dół i zjadły razem kolację, Tabby zauważyła, że coś się w niej zmieniło: z upływem wieczoru coraz wyraźniej widać było w jej zachowaniu jakby poczucie własnej ważności, może nawet próżność. Oczywiście Tabby mogła się mylić – Bóg wie, że nie najlepiej znała się na ludziach – ale wydało jej się, że Emmie po raz pierwszy cieszy się z jej zainteresowania.

To wrażenie było tak silne, że Tabby zaczęła się zastanawiać, czy Emmie nie zostawiła fotografii rozmyślnie i czy nie miało to związku z jej spotkaniem z Grégoire'em tego popołudnia. Może chciała pokazać Tabby, że ona także była kiedyś atrakcyjna, że jej również składano niemoralne propozycje i umawiano się z nią na schadzki w sekretnych miejscach.

Ale to nie miało najmniejszego sensu. Tylko

poczucie winy nasuwało jej takie myśli. Bojąc się dezaprobaty Emmie, nie powiedziała jej o ponownym spotkaniu z Grégoire'em, a nie było możliwości, żeby dowiedziała się od kogoś innego. Tabby pożyczyła jej telefon, żeby wysłać Grégoire'owi SMS-a, ale wykasowała wiadomość od razu. Zresztą był tam tylko adres i godzina, a Emmie nie była wróżką ani jasnowidzem. Poza tym nie zostawiła fotografii leżącej po prostu na stole; Tabby musiała wyciągnąć ją z teczki i w ten sposób pogwałciła prywatność współlokatorki, tak samo jak w dniu, kiedy się pierwszy raz spotkały.

Coś jednak zmieniło się w Emmie tego wieczora. Wprawdzie nie chciała odpowiadać na pytania i niechętnie mówiła o powodach, dla których wyjechała z Anglii (zdjęcie wskazywało na to, że w którymś momencie radykalnie zmieniła swój wygląd, a wiadomo przecież, że robią tak ludzie, którzy przeżyli jakieś traumatyczne wydarzenia) – to westchnienie było westchnieniem osoby, która przywykła do wzbudzania zainteresowania. Która nie chciała uciekać przed ludzkimi pytaniami w nieskończoność.

Rozdział 12

Emily

Byłam bardzo ciekawa, jak wygląda dom Arthura. Stał na drugim końcu Walnut Grove, na tym „lepszym” (choć trudno powiedzieć, żeby ta ulica miała jakiś „gorszy” koniec), w szeregu domów zbudowanych dla bogatszych poddanych króla Jerzego, a teraz zamieszkałych przez bogatszych poddanych królowej Elżbiety. Zmieniłam trasę tak, żeby przechodzić koło niego codziennie w drodze do pracy, i dzięki temu mogłam ukradkiem zaglądać w okna na parterze. Niestety przez szyby niewiele było widać i rzadko coś się zmieniało. W jednym pomieszczeniu dostrzegłam regały z książkami (częsty widok w domach na tej ulicy), wysokie oparcie obitego skórą krzesła, jasny abażur na stole. Zasłony były z ciemnego, ciężkiego materiału, zapewne z jedwabną podszewką. Nigdy ich nie zaciągano. Arthur powiedział mi, że to jego gabinet. Kuchnia i rodzinny salon znajdowały się, jak u Laingów, w suterenie, a parter, z trzema wysokimi oknami i skrzynkami kolorowych kwiatów, przeznaczono na reprezentacyjny salon do przyjmowania gości. Na kolejnych dwóch piętrach były sypialnie i łazienki, a w ogrodzie – pracownia Sylvie, która, jak się dowiedziałam, zajmowała się wykonywaniem ręcznie

zdobionych kartek okolicznościowych, które sprzedawała na targach rękodzieła i imprezach charytatywnych.

Powinam tu napisać, że nigdy nie myślałam o przejęciu tego domu na własność, o wyrzuceniu Sylvie i zajęciu jej miejsca w małżeńskiej sypialni. To było absolutnie nie do pomyślenia. Podpisałam wprawdzie umowę najmu mieszkania pod numerem 199, rojąc naiwnie, jak to zaczną należeć do mieszkańców romantycznej i elitarniej dzielnicy, ale w głębi duszy wiedziałam, że jestem tam outsiderką, nawet w zajmowanym mieszkaniu. Zresztą im bardziej kochałam Arthura, tym mniej interesowałam się sąsiedztwem i moim statusem. Wyobrażając sobie życie z Arthurem, myślałam zawsze o małym domku za miastem: z kamiennymi ścianami, kwadratowymi oknami i kwiatami wisterii. O typowym domu rodzinnym, o jakim od dawna marzyłam.

Oczywiście wrogowie powiedzą, że Arthur zastępował w moim życiu ojca – jakby było w tym coś złego czy perwersyjnego. Dlaczego? Dlaczego ukochany mężczyzna nie mógłby być także opiekuńczy i troskliwy? Czy młode kobiety koniecznie muszą chcieć takiego związku jak mój z Mattem, w którym początkowa ekscytacja nowością szybko ustępuje miejsca neutralnej zażyłości, a facet zaczyna traktować cię jak kumpla i szczyć się, jak to udaje mu się uniknąć pułapek, które podobno na niego zastawiasz? Czy to

naprawdę dziwne, że podobała mi się adoracja i docenienie przez starszego mężczyznę?

– Tak bym chciała zobaczyć twój dom – mówiłam czasem do Arthura. – Proszę, może kiedy Sylvie wyjedzie gdzieś z miasta albo pojedzie na wakacje do Sussex. Tylko na pięć minut. Trudno jest kogoś naprawdę poznać, jeśli się nie wie, jak on mieszka.

– Ja mieszkam w pracy – odpowiadał cierpko.

Oczywiście nie mówiłam poważnie. Wiedziałam, że to byłoby zbyt ryzykowne. Arthur i Sylvie mieszkali na Grove od dwudziestu lat i znali wszystkich w okolicy. Nawet gdyby Ed albo Nina Meeks, którzy mieszkali naprzeciwko, nie zobaczyli, jak wchodzę do domu Arthura, ktoś inny mógłby mnie zauważyć i zawiadomić Sylvie, jeśli nie bezpośrednio, to przez kogoś jeszcze innego.

Byłam więc zaskoczona, gdy któregoś dnia zostałam zaproszona. W połowie lipca, po zakończeniu roku szkolnego i wszystkich egzaminów, Sylvie z chłopcami wyjechała do Sussex na wakacje. Mieli tam zostać półtora miesiąca, co było rodzinnym zwyczajem, od kiedy dziesięć lat wcześniej kupili letni dom. Zaraz obok mieszkała siostra Sylvie, a ona sama lubiła przechadzać się po plaży, podczas gdy chłopcy pływali, żeglowali i imprezowali z kuzynami i znajomymi. Arthur miał dojeżdżać do nich w weekendy i wpaść na dziesięć dni pod koniec sierpnia. Mówił, że we wrześniu, gdy Alexander wyjedzie w planowaną podróż, porozmawia

z żoną o swoim odejściu.

Nie chciałam w to wątpić i nie chciałam zastanawiać się, jak przeżyję rozstanie z Arthurem. Zamiast tego cieszyłam się czasem, który mógł mi teraz poświęcić. Nastąpiła dla nas nieznana wcześniej swoboda – pierwszego tygodnia dwa razy zjedliśmy kolację na West Endzie i spędziliśmy całą noc w hotelu w Covent Garden. Nigdy wcześniej nie byliśmy sobą tak zauroczeni.

W piątek drugiego tygodnia zadzwonił do mnie wieczorem.

– Wracam wcześniej do domu. Możemy się spotkać?

– Tak.

Zawsze odpowiadałam, że tak. Już na początku znajomości przekonałam się, że udawanie niedostępnej byłoby niczym odmrażanie uszu na złość sobie samej. Poza tym ja też wróciłam już do domu i nie musiałam wymyślać żadnego pretekstu, żeby zwolnić się wcześniej z pracy. Wszystkie te nagłe choroby i brane w ostatniej chwili wolne dni zaczęły mocno obciążać moje konto u Charlotte.

– Problem w tym, że w Crescent nie mają wolnych pokoi – powiedział. Crescent to był hotel, w którym spotykaliśmy się, odkąd uznaliśmy Inn on the Hill za miejsce zbyt ryzykowne. – Pójdziemy znowu na miasto?

– Przyjdź do mnie – odparłam. – Oszczędzimy sobie dojazdu.

I powrotu – w obie strony osobno, pomyślałam.

– Możemy zaryzykować ten jeden raz – Sary nie ma, widziałam wcześniej, jak gdzieś wyjeżdżała.

Do tej pory moje mieszkanie było dla nas zakazane. Matta już nie było, pozostawała jednak kwestia Laingów, a dokładnie rzecz biorąc – Sary, która pracowała w domu i, jak mi się wydawało, ciągle gdzieś jechała lub skądś wracała swoim wielkim czarnym range roverem, podwożąc dzieci i odbierając je z różnych zajęć, często późnym wieczorem. Od dnia, gdy zatrudniła mnie do opieki nad dziećmi, nie rozmawialiśmy ze sobą, ale rzadko zdarzało mi się wychodzić albo wracać do domu bez poczucia, że jestem obserwowana. Od córeczki Laingów dowiedziałam się przypadkiem, że wyjeżdżają na wakacje dopiero tego samego dnia, w którym Arthur miał dołączyć do Sylvie w Sussex, więc porzuciłam nadzieję, że będzie mógł mnie wcześniej odwiedzać – aż do momentu, kiedy zobaczyłam przez okno Sarę wsadzającą do auta dzieci i pakującą nieduże walizki. Moje nadzieje na chwilę swobody potwierdziły się, gdy usłyszałam, jak dziewczynka mówi, że będzie tęskniła za Misty (mieszkającym u Laingów kotem), na co Sara odparła: „Wrócimy jutro po południu, szybko ją zobaczysz”.

Teraz opowiedziałam o wszystkim Arthurowi i ze zdumieniem usłyszałam, jak mówi:

– Masz rację, możemy jeden raz zaryzykować. Może przyjdiesz do mnie?

– Do ciebie? Jesteś pewien? A co z...?

– Ed i Nina wyjechali dzisiaj rano do Włoch na jakieś przyjęcie. Nie wiem, jak inni sąsiedzi, ale na wszelki wypadek zabierz ze sobą książkę czy coś w tym rodzaju. Jak ktoś później powie o tym Sylvie, wytłumaczę jej, że przyszłaś mi oddać pożyczone materiały.

Rzeczywiście pożyczyłam od niego broszurę na temat choroby Alzheimera, wydaną przez Ministerstwo Zdrowia, i teraz przyciskałam ją do piersi, idąc ulicą i czując się jak studentka niosąca pracę zaliczeniową do oceny. Był jasny, piękny wieczór, wszystko złote i zielone, jakby natura oczyściła domy i ulice z wszelkich śladów niedoskonałego, ludzkiego działania. Znowu poczułam radosną bez troskę, której doznałam wcześniej w samochodzie Arthura, gdy wracaliśmy ze szpitala: nie ma potrzeby martwić się o przyszłość, ani jeśli chodzi o chorobę ojca, ani o związek z Arthurem; trzeba żyć dniem dzisiejszym, trwającą chwilą – a teraz akurat szłam jedną z najpiękniejszych ulic w Londynie w stronę domu mężczyzny, którego kochałam. W końcu mogłam z jakiegoś powodu nie dożyć poranka – czy chciałabym spędzić swoje ostatnie godziny, głowiąc się nad planami wakacyjnymi Sary Laing i Niny Meeks, dwóch kobiet, których właściwie nie znałam i które mną pogardzały (jak na ironię, wyjeżdżając do Sussex, Sylvie była jedyną osobą, która ułatwiała nam życie)?

W stanie radosnego podniecenia otworzyłam furtkę

domu Arthura, wbiegłam po schodach prowadzących do drzwi wejściowych i z dziecięcą uciechą sięgnęłam do dzwonka. Ale to wszystko szybko minęło, gdy otworzył mi Arthur, ze skąpym uśmiechem na ustach, przygotowany na wszelkie śledzące nas oczy i uszy.

– Emily, witaj. Znalazłaś te materiały? Świetnie. Wejdz, napij się kawy i powiedz, czy masz jakieś wątpliwości.

Grał tak przekonująco, że na moment zapomniałam, że jesteśmy kochankami, i chociaż pocałował mnie zaraz po zamknięciu drzwi, to powitanie nie umywało się do naszych zwykłych powitań w pokojach hotelowych, gdy rzucał się na mnie cały rozogniony pożądaniem, mówiąc, że oczekiwanie dłużyło mu się w nieskończoność. Teraz niemal od razu się odsunął i oznajmił, że „najpierw” pokaże mi dom. Kiedy przechodziliśmy z pokoju do pokoju, okazał się raczej niechętnym przewodnikiem i wkrótce moje zachwycone komentarze zdusiło rozczarowanie z powodu tego „najpierw” – z powodu jego założenia, że przyszłam tylko dla seksu, na jego usługi, jak zwykle łatwa do zdobycia.

Niemniej jednak to był piękny dom, naprawdę. Ktokolwiek teraz tam mieszka, można mu pozazdrościć, tak samo jak można było pozazdrościć rodzinie Arthura. Nie miał designerskiego wystroju, jak dom Sary, ale panowała w nim większa swoboda, nawet pewien staroświecki dystans do nowości: wszędzie stały kanapy

i fotele, na dębowych podłogach leżały stare dywany, meble i ściany utrzymane w kolorach żółci, fuksji, ciemnego różu i podobnych ciepłych odcieniach. Nietrudno było sobie wyobrazić dwóch nastoletnich chłopców i ich przyjaciół siedzących wygodnie na wielkich żółto-brązowych kanapach w rodzinnym salonie albo Sylvie gotującą na dużej kuchence z sześcioma palnikami, podczas gdy goście pili aperitif, patrząc przez piękne okna na ogród. Jej pracownia, pomalowany drewniany domek w stylu amerykańskim, odpowiadała dokładnie moim wyobrażeniom o własnej pracowni, gdybym chciała zacząć pisać.

– Ten pokój podoba mi się najbardziej – powiedziała, wchodząc do gabinetu Arthura. Na biurku stały fotografie, ale poza tym nie było śladów życia rodzinnego. Zauważyłam, że zasłony były zaciągnięte. Tyle razy mijałam ten dom i nigdy nie widziałam, żeby były używane, mogłam swobodnie zaglądać do środka – za to teraz, kiedy znalazłam się wewnątrz, nie wolno mi było wyjrzeć na ulicę. Zupełnie bez sensu łzy napłynęły mi do oczu na myśl, że Arthur ukrywa moją obecność. Zdawałam sobie sprawę, że takie były wymogi ostrożności, ale ogarnął mnie wstyd.

Puścił wtedy moją rękę, a ja odczytałam to jako znak, że skończyło się udawanie, iż całe to oglądanie domu jest czymkolwiek więcej niż złym pomysłem.

– Chodźmy na górę – powiedział.

Po raz pierwszy widziałam go tak roztargnionego

i zgaszonego. Zrozumiałam, że musi mieć poważne wątpliwości. Do tej pory myślałam tylko o swoich reakcjach i nie zastanawiałam się nad tym, jak on będzie się czuł, widząc mnie w swoim domu; powinnam przewidzieć ryzyko, że nagle może dotrzeć do niego całe zło naszego postępowania i zachwiać jego przekonania. Ja także byłam nieprzygotowana. Nie spodziewałam się, że ujrzanie rodzinnych fotografii, przedstawiających dwadzieścia lat jego pożycia z inną kobietą, uświadomi mi słuszność moich wcześniejszych podejrzeń: wszystkie te projekty opuszczenia rodziny były jedynie fantazją, przypominały planowanie podróży dookoła świata, której nigdy nie mamy zamiaru odbyć.

Idąc za nim po schodach, poczułam rozpacz, że te myśli przyszły zbyt późno; rozpacz wzrosła jeszcze, kiedy skończywszy zwiedzanie domu, stanęliśmy przed gościnną sypialnią na drugim piętrze. Gdy jej drzwi zamknęły się za nami, pomyślałam, że jedno z nas (lub oboje) może nie cieszyć się uprawianiem miłości tego wieczora, że może się to okazać przeżyciem tak niemiłym, iż zapagniemy zakończyć ten romans od razu. A może jedno z nas już powzięło takie postanowienie i pozwala sobie na ostatnie zbliżenie – na pożegnanie? Byłam do tego stopnia przekonana, że to prawda, że kiedy wślizgnęliśmy się pod kołdrę, kiedy kochaliśmy się cicho i szybko, jakby dom wcale nie był pusty, lecz pełen podejrzliwych mieszkańców, którzy

mogli nam w każdej chwili przeszkodzić – przez cały czas chciało mi się płakać. Spoglądałam na nasze ubrania, zazwyczaj porzucone beładnie na podłodze, a teraz złożone na krześle stojącym koło łóżka, żeby łatwiej je było znaleźć, kiedy już ogłoszone zostanie zerwanie – czego się spodziewałam chwilę po tym, jak nasze ciała oddzieliły się od siebie i odzyskają oddech.

– Nie sprawiło ci to przyjemności – powiedział Arthur. To nie było pytanie, ale stwierdzenie faktu.

– Dziwnie się tutaj czuję – odparłam. „Nie mogę się odprężyć ze świadomością, że zaraz czeka mnie egzekucja”, dodałam w myślach. Dreszcz przebiegł mi po plecach.

– Muszę ci coś powiedzieć – oznajmił ze straszliwym wyczuciem czasu.

– Tak? – Pierwsza łza rozmazała mi widok przed oczami i nie od razu zrozumiałam jego dalsze słowa.

– Chyba znalazłem dla nas miejsce.

– Chodzi ci o nowy hotel?

Oboje mówiliśmy prawie szeptem, jakby bojąc się ukrytych mikrofonów.

– Nie, mam na myśli mieszkanie, miejsce, gdzie możemy zamieszkać razem, kiedy się wyprowadzę.

Serce zabiło mi tak mocno, że musiał to poczuć na swojej klatce piersiowej.

– Kiedy się wyprowadzisz?

Przycisnął mnie mocniej do siebie.

– Mhm. To tylko na jakiś czas, ale mój znajomy

z kliniki mieszka w Hampshire i ma mieszkanie w Marylebone, z którego korzysta, kiedy jest w pracy. Wyjeżdża z rodziną na wakacje na cały sierpień i zostawi mi klucze. Zyskamy miesiąc, żeby sobie coś znaleźć, i będziemy mogli być razem. To ładne mieszkanie, w jednym z domów niedaleko High Street. Jeśli nam się tam spodoba, może poszukamy czegoś w pobliżu. Dobre miejsce na początek, zanim się zdecydujemy, gdzie chcielibyśmy zamieszkać, i zanim prawnicy stwierdzą, jaki będziemy mieli budżet na nowy dom.

Patrzyłam na niego z otwartymi ustami, wciąż jeszcze w szoku.

– Chcesz powiedzieć... chcesz powiedzieć, że masz zamiar odejść od Sylvie już teraz, latem, kiedy jest w Sussex?

– Tak. Nie ma na co czekać. Pojadę tam jutro i porozmawiam z nią. Pogadam z chłopakami. Zdali już wszystkie egzaminy, Alex za parę tygodni wyjeżdża do Ameryki Południowej – co za różnica, czy poczekam, aż wsiądzie do samolotu? A Hugo – dobrze się rozumiemy, jestem pewien, że zniesie to lepiej niż pozostali. Dla Sylvie to też dobry moment. Ma tam blisko rodzinę i nie będzie musiała nikomu nic tłumaczyć, dopóki nie wróci do Londynu.

– O Boże. – Byłam wstrząśnięta. Jak mogłam tak opacznie wszystko rozumieć? – Marylebone? Sądziłam, że jeśli już... że po prostu wprowadzisz się do mnie.

Zmarszczył brwi.

– Nie, nie mogę zostać na Grove, ty też nie, kochanie. Sylvie zna tutaj wszystkich i wszyscy staną po jej stronie. Zlinczowaliby nas. Nie zapominaj, że Hugo jeszcze chodzi do szkoły, nie chciałbym, żeby widywał nas razem w sąsiedztwie, to byłoby okrutne.

No jasne; kiedy to powiedział, wydało mi się to oczywiste.

– Muszę wypowiedzieć umowę na mieszkanie – stwierdziłam. Zresztą miałam taki zamiar niezależnie od planów Arthura, było dla mnie zbyt drogie.

Skinął głową.

– Przyda się jako magazyn na te parę tygodni. W Marylebone nie ma zbyt wiele miejsca.

Powoli otrząsałam się z szoku i zaczęła wypełniać mnie radość.

– Arthur, jesteś pewien? Naprawdę chcesz to wszystko zostawić?

– Tak. Kiedy cię tutaj zobaczyłem, zrozumiałem to na pewno.

– Naprawdę?

– Życie nie trwa wiecznie, a ja chcę spędzić resztę swojego życia z tobą. Nie chcę ryzykować, że mnie zostawisz, jeśli będę ciągle to odkładał. Wiem, że w końcu straciłabyś do mnie serce. Poza tym nigdy nie nadejdzie lepszy moment – wszyscy będą tak samo nieszczęśliwi teraz, jak i za dziesięć lat. Czas jest teraz tak samo zły i tak samo dobry jak kiedykolwiek.

– O mój Boże.

– Wiem. Ale jesteś zadowolona?

– No jasne, że jestem. Jestem wniebowzięta.

Pocałował mnie.

– Nie mogę się doczekać, kiedy będę miał cię w swoim łóżku każdej nocy.

– Ja też nie. – Z radości kręciło mi się w głowie.

– Mam nadzieję, że ze mną wytrzymasz przez tych parę pierwszych miesięcy – powiedział. – Będę miał piekło z każdej strony. Trzeba będzie wszystko uporządkować z prawnikami i księgowym. Sylvie będzie miała po swojej stronie obie rodziny, Bóg wie, co wymyślą, żeby mnie ukarać... – westchnął ciężko. – Ale nie będziemy się o to dzisiaj martwić. Powinniśmy napić się szampana – dodał z uśmiechem.

– Koniecznie! – Ale tak naprawdę nie miałam ochoty świętować zabrania innej kobiecie męża w jej własnym domu szampanem pitym w jej najlepszych kieliszkach.

– Wskoczę coś kupić.

– Nie, nie idź, Arthur. Wystarczy zwykłe wino, cokolwiek. Piwo.

– I tak muszę iść. W tym domu nie ma żadnego alkoholu.

– Naprawdę?

Byłam zdumiona. Wyobrażałam sobie klimatyzowaną piwniczkę z półkami pełnymi butelek fachowo dobranego wina z Bordeaux; kolacje wydawane przy dużym stole dla znajomych ze szpitala

i ich żon, świetnie zorientowanych w temacie najlepszych szczepów i roczników.

– Sylvie miała problemy – powiedział Arthur, stojąc przy łóżku i zapinając koszulę. – Teraz już wszystko w porządku, pije od czasu do czasu kieliszek gdzieś poza domem, ale łatwiej jej to kontrolować, kiedy w domu nie ma alkoholu. Nie chciała też, żeby chłopcy nauczyli się pić w domu. Boi się, że kiedy byli młodszy, dała im zły przykład, i jest bardzo stanowcza w tej sprawie.

– Nie wiedziałam.

Teraz wreszcie zrozumiałam, dlaczego Sara dała Sylvie wodę, a mnie i Ninę poczęstowała winem; dlaczego Sylvie chciała skończyć organizowanie przyjęć w domu; o czym żartowały z Niną, kiedy pierwszy raz widziałam je u mnie w pracy. Kolejny raz pomyślałam, jak dyskretny i taktowny był Arthur, nie wspominając o jej słabościach. Przez cały czas, gdy byliśmy razem, prawie wcale nie mówił o jej wadach – jedynie o własnych albo ogólnie o problemach wiążących się z długim małżeńskim stażem. Żałowałam, że sama nie myślałam o niej równie wielkodusznie.

– Wróć za kilka minut – powiedział. – Zostań, gdzie jesteś.

Czyli nago. Gotowa dać się zniewolić, gdy tylko wróci – i tym razem jak najbardziej z przyjemnością.

Kiedy wyszedł, spędziłam kilka minut, po prostu ciesząc się świadomością, że wreszcie nadeszła ta

chwila – że będziemy razem, i to o wiele wcześniej, niż śmiałam marzyć. Przypomniałam sobie naszą pierwszą schadzke i słowa Arthura, mówiącego: „to ja szukałem ciebie” – i teraz także to on wziął sprawy w swoje ręce. Chciał być ze mną tak samo mocno, jak ja z nim. Wiedziałam, że później, kiedy będzie mnie dręczyć poczucie winy, ta świadomość stanie się dla mnie pociechą. Nie chciałam żyć z poczuciem, że kogoś zbałamuciłam i skłoniłam do opuszczenia rodziny.

Zachciało mi się siusiu. Nie posłuchałam rozkazu, zarzuciłam sukienkę na gołe ciało i wyszłam z pokoju. Stałam na chwilę na podeście, próbując sobie przypomnieć, które drzwi prowadziły do łazienki. Naprzeciwko znajdowała się sypialnia gospodarzy, po której nie zostałam oprowadzona, ale oparłam się teraz pokusie szukania w niej śladów małżeńskiej intymności (zrobiłam wprawdzie krok do środka, lecz gdy tylko zerknęłam na duże, błękitno-szarobrązowe łóżko, skórzane fotele i puszyste dywany, od razu się cofnęłam). Może to zabrzmie fałszywie, a nawet kompletnie niewiarygodnie (zwłaszcza w świetle późniejszych wydarzeń), ale pomyślałam, że jeśli Arthur potrafi traktować swoją żonę z szacunkiem, to ja też powinnam.

Wróciłam do gościnnej sypialni, zajrzałam do torebki i sprawdziłam telefon. Okazało się, że ktoś próbował połączyć się ze mną kilka razy z nieznanego numeru. Natychmiast oddzwoniłam. Z powodu choroby

taty zawsze tak robiłam – mógł do mnie dzwonić ktoś ze szpitala.

– Halo? Mówi Emily Marr. – Przygotowana na złe wiadomości, stłumiłam radość w głosie. Przyzwyczaiałam się już do tych zmian, kiedy musiałam schodzić z wyżyn uradowania po chwilach spędzonych z Arthurem (dzisiaj wyższych niż kiedykolwiek!), żeby rozmawiać w pracy z płaczącym dzieckiem albo, tak jak teraz, pielęgniarką z oddziału taty. – Ktoś do mnie dzwonił z tego numeru – dodałam.

– Emily. Dziękuję, że oddzwoniłaś.

Zanim się przedstawiła, wiedziałam, że to ona. Ułamek sekundy później domyśliłam się, że miała mój numer telefonu od Sary. Pewnie któraś z sąsiadek albo sama Sara została zatrudniona do obserwowania moich poczynąń podczas nieobecności Sylvie i doniosła jej o naszych spotkaniach z Arthurem. Była o krok przed nami. W myślach przeklełam swoją głupotę i wstrętą, wścibską, podlizującą się Sarę.

– Mówi Sylvie Woodhall. Poznałyśmy się u Sary, pamiętasz może? – W jej głosie słyhać było raczej spokojną determinację niż wrogość.

– Tak, oczywiście. Co mogę... – zaczęłam, mając nadzieję, że po drugiej stronie nie słyhać dławiącego mnie strachu, ale od razu mi przerwała.

– Wiesz, dlaczego dzwonię, więc proszę, nie traćmy czasu na udawanie. Wiem o tobie i Arthurze.

Ścisnęło mnie w żołądku. Wiedziała, oczywiście, że

wiedziała. Moje myśli popędziły naprzód: jak usłyszysz, że on chce odejść, zabierze mu cały majątek i będziemy musieli klepać biedę; zabroni mu widywać synów (albo, gdyby nie dało się tego przeprowadzić zgodnie z prawem, nastawi ich przeciwko niemu); zrujnuje jego życie, nasze życie. Albo... albo przekona go, żeby zmienił zdanie i zrujnuje tylko moje.

– Wiem, że jesteś w moim domu – powiedziała.

Te słowa natychmiast sprowadziły mnie na ziemię i poczułam, że kryzys zamienił się w katastrofę. Skąd mogła wiedzieć, że jestem tutaj? Zaszło mi w gardle i zahuczało w głowie pod wpływem nowych koszmarów: a jeśli wcale nie pojechała do Sussex, tylko została w Londynie, na tej ulicy? A jeśli to ona obserwowała moje mieszkanie i swój własny dom; stojąc w oknie Sary albo Niny, czekała, żeby nas przyłapać na gorącym uczynku? Coraz bardziej szalone myśli przychodziły mi do głowy: a jeśli... jeśli była tutaj, w domu, od początku, przez cały wieczór? Jeśli schowała się w którymś z pokoi, w jakiejś sypialni, czekając, aż zostanę sama, i teraz zamierza przyjść i mnie zabić? Nie, jeszcze nie zwariowałam, to było absurdalne. Nikogo tu nie było oprócz mnie.

Arthur, wróć już, poprosiłam w myślach. Wyobraziłam sobie, jak stoi akurat w kolejce, z butelką szampana w ręce, być może dokładnie w tym samym sklepie, w którym po raz pierwszy się umówiliśmy.

Nie mogłam marzyć o odzyskaniu zimnej krwi, ale

przynajmniej zdołałam zaczerpnąć tchu i dzięki temu udało mi się powiedzieć:

– Skąd wiesz, gdzie jestem? Gdzie ty jesteś?

– Tam, gdzie powinnam, czego nie można powiedzieć o innych uczestnikach tego tandetnego romansu. Zadomowiłaś się na mojej ulicy, ale ja mieszkam na niej o wiele dłużej. Mam wielu przyjaciół, Emily, i wiem, że widywaliście się z Arthurem po moim wyjeździe.

A więc sądziła, że nasz związek dopiero się zaczął, pomyślałam z minimalnym poczuciem ulgi; że to tylko taki romansik pod jej nieobecność. Ale ta ulga szybko zniknęła, gdy usłyszałam, co jeszcze ma do powiedzenia:

– Wiem, że sypiasz z nim od miesiący, że kiedyś spotykaliście się w Inn on the Hill. Wiem, że twój chłopak się wyprowadził. Wiem o wszystkim.

Ledwie nadażalam za tym, co mówi, i nie byłam w stanie zastanowić się, jak powinnam zareagować. Co miałabym powiedzieć w tak koszmarnej sytuacji? Zaprzeczać, uspokajać, wyznać grzechy i prosić o przebaczenie? Może bronić swego, nie dbać o nic, wiedząc, że dla niej jest zbyt późno? A co z Arthurem, który w końcu się pojawi – czy powinnam się rozłączyć i udawać, że nic się nie stało, czy może wręczyć mu telefon i poprosić, żeby sam porozmawiał z własną żoną?

– Jesteś tam? – spytała.

– Tak.

– A on? Jest w pobliżu?

– Nie.

Więc jej informator nie śledził nas aż tak skrupulatnie – wiedział, że ja weszłam do domu, ale nie zauważył, że Arthur wyszedł.

– Dobrze. Więc powiem ci, co mam do powiedzenia.

Czyli wszystko, co było wcześniej, się nie liczyło? Usiadłam powoli na łóżku, czując, że powoli odzyskuję równowagę.

– Mam zamiar poprosić cię o to tylko raz – oświadczyła. – Więcej już tego nie powtórzę.

– Poprosić o co?

– Skończ to, Emily. Zerwij z nim. Dzisiaj.

To mnie kompletnie zaskoczyło.

– Co takiego?

– Powiedziałam, zerwij z nim. On tego nie zrobi, wiem na pewno.

– Ale...

– Nie, wysłuchaj mnie najpierw. Mówię poważnie. Jeśli masz w ogóle jakiś szacunek dla swojej płci, jeśli masz chociaż odrobinę współczucia dla dwojga dzieci, które nie zasługują, żeby być zdradzone przez ojca, to skończ ten romans i pozwól Arthurowi wrócić do rodziny – przynajmniej do czasu, aż Hugo skończy szkołę. Jeden rok, Emily, a potem już każda będzie walczyć, jak potrafi, wszystkie chwyt dozwolone.

Te słowa zamąciły mi w głowie w zupełnie nowy

sposób – mówiła, jakby wiedziała, że Arthur postanowił już ją opuścić, jakby słyszała o planach zamieszkania w Marylebone, o których usłyszałam po raz pierwszy tu, na tym łóżku, dwadzieścia minut wcześniej: skąd mogła to wiedzieć? Czy naprawdę mogła założyć tu podsłuch? Czy dlatego wiedziała o mojej obecności w domu? Czy normalni ludzie w ogóle robią takie rzeczy?

– Skąd wiesz, że Arthur myśli o mnie tak poważnie?
– wydusiłam z siebie, mając nadzieję, że dowiem się czegoś o jej metodach śledczych.

– Och, wiem to bardzo dobrze. Już wcześniej mnie zdradzał, co może cię zdziwić – pewnie nie chwalił się swoimi osiągnięciami.

Bynajmniej, pomyślałam, wszystko mi powiedział, mnie nie ma zamiaru oszukiwać.

– Ale tym razem to coś innego – ciągnęła. – Znam go lepiej niż ktokolwiek inny i wiem, że chce odejść.

Mówiąc to, stała się pierwszą osobą poświadczającą siłę uczucia, którym darzył mnie Arthur; pierwszą osobą spoza naszej dwójki, która mogła to zrobić. W ten sposób udało jej się wzbudzić we mnie uczucie, które zamierzała – głęboko w żołądku poczułam mdlący ucisk, bezpośrednie echo jej cierpienia. Kochała go tak samo jak ja i moje szczęście mogło istnieć tylko jej kosztem.

– Nie ode mnie zależy, co zrobi Arthur – odpowiedziałam w końcu z autentyczną pokorą. – Przecież to on musi zdecydować.

– Niekoniecznie. Nie tym razem. Myślę, że ty i ja możemy rozstrzygnąć to między sobą. Jeden rok, Emily, proszę cię tylko o dwanaście miesięcy. Jesteś młoda, dla ciebie to nic wielkiego. Hugo będzie miał wtedy osiemnaście lat, zda maturę. Pozwól mu mieć ojca aż do końca jego dzieciństwa, żebyśmy mogli go wyprawić w dorosłe życie razem, jako rodzina. Nie uważasz, że Arthur jest mu to winien?

Zawahałam się. W tym ostatnim zdaniu było coś teatralnego, wydało mi się zbyt przemyślane, zbyt wykoncypowane. Poza tym jej argumentacja także została ułożona zgodnie z pewną strategią: specjalnie starała się mnie zdezorientować, na pozór pozwalając mi decydować w najważniejszej sprawie, chociaż interesowało ją tylko jedno rozstrzygnięcie. Z dwóch możliwości, które realnie miała przed sobą – albo zatrzyma męża, albo pogodzi się z jego odejściem – postanowiła wybrać kompromis: zatrzyma go przez rok, a potem pozwoli odejść. Ale to na mnie chciała zrzucić ciężar wyboru. Kiedy to zrozumiałam, moje współczucie trochę osłabło.

– Hugo jest już prawie dorosły – powiedziałam. – Jaka to różnica, czy ma siedemnaście, czy osiemnaście lat?

– To wielka różnica. Dopóki mieszka w rodzinnym domu, potrzebuje ojca na co dzień. Ten okres jest bardzo ważny – wiem, bo właśnie przeszliśmy to z Alexem. – W jej głosie zabrzmiało więcej uczucia, a ja

zastanowiłam się, jakie problemy miała ze starszym synem i czy Arthur pomagał jej radzić sobie z nimi, czy też uciekał w pracę i w romans ze mną. Jeśli zaś uciekał, to w jaki sposób miałby ją wspierać teraz, nawet gdyby został w domu? – Brata już nie będzie, to będzie wielka zmiana, a jeśli Arthur także zniknie...

Głos załamał jej się po raz pierwszy, zdradzając emocje. Nie miałam pojęcia, jak powinnam odpowiedzieć. Cierpienie słyszalne w jej głosie, nawet bez widoku jej twarzy, było trudne do zniesienia.

Ale po chwili zaatakowała mnie znowu, ostrzejszym tonem:

– Nie chcę patrzeć, jak zawala maturę i egzaminy na studia tylko dlatego, że jego ojciec woli spakować manatki i zacząć życie od nowa z jakąś lafiryndą. Jak myślisz, jak by się czuł? Czy ktoś taki jak ty jest w stanie sobie to wyobrazić?

– Nie wiem.

Ale, być może pod wpływem jej wrogości, ogarnęło mnie niespodziewanie uczucie szczęścia – myśl, że Arthur mógłby założyć ze mną rodzinę. Jak on to kiedyś powiedział? „Mogę teraz zrobić dobrze te wszystkie rzeczy, które wcześniej zrobiłem źle”.

– Dwanaście miesięcy – powtórzyła. – A potem odsunę się na bok. Dam ci to na piśmie, jeśli chcesz. Błagam cię, Emily!

Błagam? Rzeczywiście mnie błagała, klęczała przede mną na kolanach; kobieta, która ponad wszystkie

swoje potrzeby przedkładała pierwotną troskę o potrzeby swojej rodziny. Ona jedna potrafiła ocenić, czy jej siedemnastoletni syn potrzebuje jeszcze rodzicielskiej opieki; ja mogłam jedynie odwoływać się do własnych doświadczeń z tego okresu życia (ojciec traktował mnie w tym wieku jak dorosłą, jak osobę, którą należy szanować i liczyć się z jej zdaniem) i być może warto było je porównać. Phil był ode mnie o dwa lata starszy, co znaczy, że kiedy wyprowadził się z domu, byłam młodsza niż Hugo Woodhall – a jednak bez problemu poradziłam sobie, zostawszy tylko z ojcem. To samo działo się w tysiącach rodzin. Dlaczego akurat rodzina Sylvie miałyby być jakaś szczególna? Czy dlatego, że Sylvie była zamożna i uważała się za wielką panią, kogoś lepszego od takich jak ja? Zastanowiłam się przez chwilę i zdałam sobie sprawę, czego ona właściwie ode mnie wymaga. Dwanaście miesięcy. Nie widywać Arthura aż do kolejnego lata. A przecież rok bez niego był jak wyrok dożywotniego więzienia, nie przeżyłabym tego.

– Posłuchaj – powiedziałam tonem tak spokojnym, na jaki udało mi się zdobyć. – Wiem, że jestem winna, ale to nie sprawia, że jestem mniej zaangażowana od ciebie. To niedobry pomysł, że próbujesz użyć swoich synów, żeby wzbudzić we mnie poczucie winy. Pewnie połowa ich znajomych ma rozwiedzionych rodziców. Poradzą sobie, tak jak wielu innych ludzi. Ja sama wychowałam się bez matki, o ile cię to interesuje –

pewnie nie. Najważniejsze jest to, że nie chodzi o waszych synów, ale o ciebie, o mnie i Arthura. Tylko on może zdecydować, z kim chce być, i jego uczucia w stosunku do synów nie mają z tym nic wspólnego. Kocha ich bardziej niż ciebie czy mnie i tak powinno być.

Powstrzymałam się przed powiedzeniem więcej, bo zdałam sobie sprawę, że robię właśnie to, czego nie chcę: mówię w jego imieniu. Ale i tak moje słowa ją załamały. Jeszcze zanim się odezwała, wyczułam, że czuje się tak, jak wtedy w kuchni Sary i u mnie w pracy: nie jak silna, bezstronna negocjatorka, którą chciała być na początku naszej rozmowy, lecz jak wyczerpana ofiara, cierpiąca z powodu zdrady i złamanego serca.

– Jak możesz być tak samolubna? – powiedziała w końcu. – Jak możesz nie widzieć, co należy zrobić w tej sytuacji?

– A ty, Sylvie? Sama przecież mówiłaś, że wszystkie chwytaki dozwolone, prawda?

Powiedziałam to bez najmniejszej satysfakcji, czułam się jedynie przybita i wykończona. Jednak tak właśnie myślałam. Sylvie i ja byłyśmy, każda na swój sposób, jednakowo samolubne, jednakowo zdane na łaskę Arthura.

Dopiero kiedy nie odpowiedziała, zrozumiałam, że się rozłączyła.

Przez kilka kolejnych minut starałam się jakoś uporządkować wirujące w głowie myśli. Radość po

wcześniejszej rozmowie z Arthurem (nawet jego żona widziała wyraźnie, że nie będzie mogła go zatrzymać) ustąpiła teraz obawie, że Arthur może jednak zmienić zdanie. Po chwili ten lęk przerodził się w dziwne, nieco wstydlive podekscytowanie, jakbym oglądała to wszystko w telewizji. A kiedy Arthur stanął wreszcie w drzwiach sypialni z butelką i kieliszkami w dłoni, opanowała mnie rozpacz.

– Napijesz się?

– Bardzo chętnie.

Jeśli nie powiem mu o telefonie od Sylvie od razu, to nie powiem wcale. Oczywiście od razu wyczuł, że coś jest nie tak.

– Co się stało, kochanie?

– Nic, czuję się tylko trochę przytłoczona tym wszystkim.

– Widzę właśnie. Cała się trzęsiesz. – Objął mnie i pocałował. – Tak naprawdę nie wierzyłaś, że to zrobię, prawda? – zapytał.

– Jeszcze tego nie zrobiłeś.

– Ale jutro zrobię. Zostawiłem właśnie wiadomość dla Sylvie, żeby spodziewała się mnie po południu i żeby zatrzymała chłopaków w domu, bo z nimi też będę chciał porozmawiać.

Serce mi stanęło i z nerwów zrobiło mi się niedobrze.

– Nie rozmawiałeś z nią?

– Telefon był zajęty. Ale jutro wieczorem będzie po

wszystkim. Zadzwoń do ciebie, jak będę wracał.

– Myślisz, że wrócisz już jutro? Tak szybko?

– Nie sądzę, żeby chciała zatrzymać mnie na noc. Ale jeśli zostanę, jeśli wszystko się przeciągnie, spotkamy się pewnie w niedzielę.

Ku swojemu – i jego – zaskoczeniu nagle wybuchnęłam płaczem.

– Zadzwoń, jak tylko będziesz mógł, dopiero wtedy uwierzę we wszystko. Inaczej będę myśleć, że cię przekonała...

Zaczął mnie pocieszać, a ja starałam się nie myśleć o tej drugiej kobiecie, która najprawdopodobniej w tej samej chwili płakała, z powodu tego samego mężczyzny, ale nie miała od kogo usłyszeć zapewnień, które ja słyszałam od Arthura:

– Proszę, nie płacz, kochanie. Nie powinienem być o niczym mówić, trzeba było ci zrobić niespodziankę. Wiem, że ci ciężko, że czujesz się winna i przestraszona, ale kiedy już wszystko się wyjaśni, będę cię chronił, jak tylko potrafię, obiecuję. Zostań dzisiaj na noc – dodał. – Nie chcę, żebyś wracała sama do domu.

Przebiegł mnie dreszcz.

– A jeśli Sylvie wróci?

– Dlaczego miałyby wracać?

– Może... może chciałyby się z tobą zobaczyć? Pewnie się domyśli, kiedy przeczyta twoją wiadomość?

– Nie ma powodu, żeby chciała cokolwiek zrobić, zamiast poczekać na mnie w Sussex. To kwestia paru

godzin.

– Może masz rację – odparłam. Po chwili namysłu (choć właściwie ledwie mogłam zebrać myśli) stwierdziłam, że pewnie rzeczywiście Sylvie nie ma zamiaru wracać. A nawet gdyby wróciła, może to lepiej, żeby mnie tutaj zastała – i tak wiedziała, gdzie jestem, a wszystko od razu by się wyjaśniło, mogłabym się pozbyć dręczących podejrzeń, że źle odczytałam jej intencje i powiedziałam wszystko nie tak; że powinnam była zawiadomić Arthura o jej telefonie od razu, gdy tylko stanął w drzwiach. Mógłby wtedy przejąć odpowiedzialność; to on miał siłę, by radzić sobie z sytuacją, nie ja.

To doznanie balansowania na ostrzu noża, na granicy szczęścia i rozpacz, sprawiło, że zrozumiałam, iż nasza miłość zawsze będzie przeciwko innym ludziom, zawsze pozostanie źródłem wstydu i potępienia. Nawet jeśli będziemy już wolni, naszym pierwszym zadaniem będzie walka ze światem.

Nie przyjechała. Choć Arthur nie miał pojęcia o tym, czego się dowiedziałam, i tak znał swoją żonę wystarczająco dobrze i wiedział, że będzie wolała poczekać. Propozycja, którą mi przedstawiła, nie powstała spontanicznie i teraz zapewne Sylvie potrzebowała czasu, żeby obmyślić kolejny ruch. Wyobraziłam ją sobie ze słuchawką w rękę, szukającą rady u Niny czy innej przyjaciółki, być może nawet u zaufanej informatorki, która rano złoży jej kolejny

raport o naszych posunięciach. Zastanawiałam się, jak sobie radzi z ukrywaniem sytuacji przed synami, z robieniem śniadania i planów na kolejny dzień, jakby to nie miał być ostatni dzień, który spędzą z Arthurem jako rodzina. Potem przypomniałam sobie, że nastolatki, zwłaszcza starsze, nie wstają na rodzinne śniadania na wakacjach. Żyją w innym rytmie niż rodzice, kładą się o trzeciej nad ranem i śpią do południa. Kiedy Arthur przyjedzie na miejsce, zapewne będą się dopiero wygrzebywać z pościeli.

Arthur, bądź dzielny, pomyślałam. Nie przestanę cię kochać. Nie miałam wprowadzić dzieci, ale miałam jeszcze ojca i wiedziałam, że miłość dziecka jest równie trwała jak rodzicielska.

Nie spieszyliśmy się rano. To było coś nowego, brak pośpiechu; wiedziałam, że należy do tych rzeczy, które odróżniają prawdziwe związki od nielegalnych (takich różnic było znacznie więcej i bardzo chciałam je wszystkie odkryć). Musiałam iść do pracy, ale Arthur czekał na ważny telefon od dyrektora afrykańskiej organizacji charytatywnej i musiał to załatwić przed wyjazdem do Sussex.

O dziewiątej zadzwoniłam do Charlotte.

– Zapomniałam ci powiedzieć, że mam na dzisiaj umówioną wizytę u dentysty.

– Ciągłe zapominasz powiedzieć o jakichś wizytach – odparła tonem kogoś, kto wystarczająco długo znosił sprawy w milczeniu, ale ma już tego dosyć. – Co się

dzieje, Emily? Zaczęły się wakacje, mamy dzisiaj masę ludzi. Nie możesz się po prostu nie zjawić! Czy dentysta w ogóle przyjmuje w weekendy?

– No jasne – westchnęłam. – To tylko kontrola. Będę najpóźniej o jedenastej. I zostanę dłużej po południu, żeby to odrobić.

– Dobrze – powiedziała, ale zdawałam sobie sprawę, że jest wściekła. Musiałam wyjść zaraz po dziesiątej, nie mogłam ryzykować spóźnienia.

– Do zobaczenia jutro o tej porze – powiedział Arthur, całując mnie w holu na pożegnanie.

– Do zobaczenia. Trzymaj się.

Podeszłam do drzwi i w tym momencie rozległ się dzwonek. Podskoczyłam, przestraszona, i wróciłam z powrotem do Arthura.

– Czy to Sylvie?

– Oczywiście, że nie – odpowiedział. – Otworzyłyby sobie sama, prawda? To nie może być sprzątaczką, przychodzi kiedy indziej. Pewnie jakiś kurier albo coś w tym rodzaju. Może poczekać chwilkę w gabinecie, dobrze?

Ze ściśniętym gardłem usiadłam na krześle przy biurku. Słyszałam, jak otwierał drzwi, i jednocześnie zauważyłam, że migał jego telefon, który łądował się akurat na półce. Powstrzymałam chęć sprawdzenia, czy nie jest to wiadomość od Sylvie.

– Słucham?

Jego głos zabrzmiał inaczej niż zwykle, ale

z początku nie mogłam się zorientować, na czym polega różnica. Potem zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy usłyszałam w jego głosie wątpliwość.

– Dzień dobry panu, czy Arthur Woodhall? – zabrzmiał męski głos, którego nie znałam. – Mąż Sylvie Woodhall?

– Tak, zgadza się. Czy coś się stało?

– Jestem posterunkowy Matthews, a to jest oficer z wydziału rodzinnego, Louisa Wayne. Czy możemy wejść i porozmawiać z panem przez chwilę?

– Oczywiście, proszę.

Rozległy się kroki w holu, zamknęły się drzwi, a potem głos kobiecy – zapewne należący do oficer Wayne – spytał bardzo łagodnie:

– Czy jest pan dzisiaj rano sam w domu, panie Woodhall?

– Tak – powiedział Arthur. – To znaczy nie, jest u mnie znajoma, ale... O co chodzi? Czy coś się stało?

Przez chwilę zobaczyłam policjantów, jak przechodzili za Arthurem koło drzwi do gabinetu: dwoje umundurowanych funkcjonariuszy, mężczyzna mniej więcej w moim wieku, kobieta koło czterdziestki. Zachowywali się dość naturalnie, ale wyraźnie było widać, że starają się kontrolować swoje ruchy, że to jakaś wyuczona postawa, której nie potrafiłam odczytać.

Arthur musiał zaprowadzić ich na dół do kuchni, wystarczająco blisko, żebym słyszała głosy, ale na tyle daleko, że nie mogłam zrozumieć, co mówią. Przez

chwilę słyszałam niewyraźne słowa, a potem krzyk: „Nie, nie!” – po którym nastąpiły dalsze, dziwne bełkotliwe okrzyki, wyraźnie słyszalne na górze. Z początku nie rozpoznałam głosu Arthura, ale po chwili dotarło do mnie, że przecież nie krzyczeli policjanci – to musiał być on.

Wszystko wskazywało na jedną z tych rozmów, która zaczyna się od słów: „Z przykrością musimy pana poinformować...”.

Sądziłam, że chodzi tylko o Sylvie. Wiem, że „tylko” to niewłaściwe słowo, że to nigdy nie może być „tylko” ktoś – być może powinnam raczej powiedzieć, że do głowy przyszła mi Sylvie i pomyślałam, że to straszne, wystarczająco straszne, żeby zniszczyć nasz związek. Jak mogłoby być inaczej? Byliśmy w to wplątani w równym stopniu, tak samo winni. Potem, na jakieś dziesięć sekund, oderwałam się od rzeczywistości. Chociaż siedziałam bez ruchu na krześle, czułam, jakbym unosiła się bezcieleśnie w powietrzu, przeżywając ostatnie chwile związku z Arthurem, takiego, jaki był i jaki miał być, i jaki nigdy już nie będzie.

Do jutra o tej samej porze.

W końcu miłość przewyciężyła strach, wróciłam na ziemię. Wstałam z krzesła i wyszłam z pokoju, rzucając ostatnie spojrzenie na okna, które od lutego dwa razy dziennie mijałam na ulicy. Zastony nadal były zaciągnięte; kiedy zostaną odsłonięte, za oknami będzie już inny świat. Zamknęłam za sobą drzwi i zaczęłam

schodzić na dół, do kuchni, przygotowując w myślach straszne, nieuniknione pytania, które będę musiała zadać.

Rozdział 13

Tabby

Kochana Tabby,

Martwię się bardzo Twoim stanem psychicznym i zastanawiam się, czy nie zgłosić na policję, że zaginęłaś. Proszę, odezwij się.

Mama

Och, na litość boską, pomyślała Tabby. Moim „stanem psychicznym”? Ciekawe, kiedy matka zaczęła przejmować się takimi rzeczami?

Od czasu do czasu dostawała w podróży maile od niej; najpierw były to dość rozgadane opowieści o rodzinie i znajomych, o pracy i, oczywiście, obrzydliwym mężu zбочeńcu, ale przez ostatnich kilka tygodni, odkąd Tabby przestała sprawdzać pocztę, zmieniły się w mniej lub bardziej naglące prośby o kontakt i groźby ewentualnych doniesień na policję.

Tabby westchnęła. Oderwanie od technologii podobało jej się bardziej, niż się spodziewała: żadnych wiadomości od matki, żadnych fejsbukowych kontaktów ze znajomymi, którzy mieli zupełnie inne zmartwienia, żadnych gazetowych newsów – w kraju mogłaby wybuchnąć wojna, a ona nie wiedziałaby o niczym. Potem Moira powiedziała jej o kafejce internetowej, która jednak miała nieregularne godziny otwarcia, więc

Tabby po raz pierwszy od dłuższego czasu zajrzała do internetu dopiero teraz, w piątkowy lipcowy wieczór.

Nie miała złudzeń i wiedziała, że tak naprawdę czekała tylko na jedną jedyną rzecz: na wiadomość od Paula – ale żadna wiadomość nie przyszła. Oczywiście, że nie. Dla niego Tabby należała już do przeszłości, czyż nie? „Próbowałam już wcześniej ci to powiedzieć, ale ty nigdy nie chciałaś zrozumieć”. Teraz niczego już nie próbował jej powiedzieć. Przeglądanie skrzynki odbiorczej po raz drugi i trzeci nic nie zmieniało – wiadomości nie było tak jak wcześniej.

Napisała matce konieczną odpowiedź: „Nic mi nie jest. Mieszkam we Francji. Nie rób tragedii”.

Raz czy dwa po wyjeździe rozważała nawet, czy nie opisać w liście, jak dręczył ją Steve, czy nie podzielić się tym z matką, kiedy była na tyle daleko, że nie dotknęłyby jej ewentualne następstwa. Ale za każdym razem rezygnowała. Istniało prawdopodobieństwo, że nie byłoby żadnych następstw, co najwyżej zniszczenie tych resztek dobrej relacji z matką – a kiedyś być może chciałyby, żeby jej dzieci poznały babcię (choć z całą pewnością nie jej męża). Zresztą jaki to miało sens, jeśli jej opowieść o wydarzeniu w łazience, które było najgorsze, została z góry odrzucona i potraktowana jak fantazjowanie?

Bo Steve nigdy jej fizycznie nie dotknął. Kto miałby jej uwierzyć, że tak bardzo przeżywała psychiczne molestowanie z jego strony, że do czasu wyjazdu do

college'u praktycznie przestała się w domu odzywać i miała obsesję na punkcie prywatności, która ogarnęła wszystkie sfery jej życia? W klasie maturalnej, kiedy jej koleżanki ubierały się w wyzywające ciuchy, naśladując, jak to mają w zwyczaju nastolatki, różne gwiazdy popkultury, Tabby, która mieszkała w jednym domu z kimś, kogo nazbyt łatwo było zainteresować, ubierała się jak najskromniej i czesała na chłopaka.

– Wiesz, twoja matka martwi się, że jesteś lesbą – powiedział jej kiedyś Steve. – Ale ja wiem, że to nieprawda. Możesz wkładać na siebie szmaty, ale i tak nie schowasz tego, co masz. Twoje ciało jest niewiarygodne, to przestępstwo, że się tak zakrywasz. Opowiedz mi, co tam robicie z tym twoim chłopakiem, chciałbym usłyszeć ze szczegółami.

Albo:

– Daj spokój, przecież jest lato, za gorąco, żebyś nosiła te wszystkie ciuchy. Włóż kostium i poopalaj się w ogrodzie. Możesz zdjąć biustonosz, mną się nie przejmuj.

Albo:

– Podnieca cię to, co? Już ci się robi mokro w majteczkach?

– Nie słucham cię – odpowiadała lub nie mówiła nic. Starła się nie pokazywać, jak bardzo jest zdenerwowana, ale on i tak wyczuwał. Nawet kiedy się odwracała i odchodziła, nadal czuła jego obleśne spojrzenia, które dotykały jej tak samo jak ręce.

Oczywiście Steve i matka wzięli ślub. Najdziwniejsze było to, że chyba naprawdę kochał matkę, traktował ją bardzo dobrze, właśnie przez to tak trudno było Tabby cokolwiek powiedzieć.

– Spróbuj mieć trochę weselszą minę – powiedziała jej matka rankiem w dniu ceremonii. – Proszę, Tabby, nie zepsuj mi tego dnia.

I tak w końcu stała się zawadą, wredną nastolatką, jakiej obawiają się wszyscy rodzice, snującą się po domu z ponurą miną, knującą, jak by tu zepsuć matce przyjęcie weselne. Czasami słyszała, jak się z niej śmieją. *Śmieją.*

Przynajmniej dzięki temu ślubowi miała dwa tygodnie spokoju, bo pojechali do Hiszpanii na miesiąc miodowy. Steve był zawsze bardzo ostrożny, nigdy nie przysyłał jej maili, nie nagrywał w telefonie wiadomości – nic, co mogłaby pokazać matce albo komukolwiek innemu jako dowód. Czasami zastanawiała się, czy nie kupić jakiegoś sprzętu do podsłuchu, ale nie było jej stać na ukryte mikrofony czy kamerę. Myślała, czy nie zacząć nagrywać go na dyktafon w telefonie, ale to było zbyt oczywiste – gdy tylko sięgała do kieszeni czy do torby, od razu zmieniał temat albo przestawał się odzywać.

Nie, teraz już nie ma sensu nic mówić. W końcu nie wydarzyło się nic konkretnego, a ludzie traktują poważnie wyłącznie konkretne wydarzenia; wszystko inne może zostać uznane za wytwór wyobraźni. Poza

tym było wielce prawdopodobne, że Steve już dawno udaremnił wszelkie skargi z jej strony, przedstawiając swoje własne wersje wydarzeń, w których Tabby była bezwstydną kusicielką, a on sam – jej ofiarą, prześladowaną we własnym domu. Jak łatwo mógłby wysłać sam do siebie jakiegoś dwuznacznego SMS-a z jej telefonu i trzymać w pogotowiu, na wypadek gdyby doszło do konfrontacji. Zresztą to wszystko należało już do zamierzchłej przeszłości. Minęło siedem lat, od kiedy wyprowadziła się z domu – co by jej przyszło z opowiadania teraz o swoich dawnych nieszczęściach? Mogła sobie wyobrazić, jak jej matka zwierza się przyjaciółkom: „To wprowadzie moja córka, ale lepiej, że wyjechała z Anglii. Już przed śmiercią ojca były z nią kłopoty. Ma zbyt bujną wyobraźnię, w tym problem”.

Ponieważ zapłaciła za całą godzinę dostępu do internetu, pomyślała, że mogłaby wrzucić w wyszukiwarkę nazwisko Grégoire’a, ale nie pamiętała, jak się nazywał. Był lekarzem i pracował w Paryżu, ale nie wiedziała, w którym szpitalu – tylko tyle, że jego specjalnością są alergie i immunologia. Nie bardzo rozumiała te skomplikowane słowa po francusku.

Napomniała sama siebie, że nie powinna skupiać się na szukaniu akceptacji u mężczyzn, i przez dłuższą chwilę siedziała, starając się wyrzucić ich wszystkich z głowy. Po chwili wpisała dwa słowa: Emmie Mason.

Okazało się, że to pospolite połączenie – bardziej pospolite, niż się spodziewała. Komputer wyświetlił tysiące wyników. Pierwszych kilka adresów odsyłało do stron poświęconych artystce, piosenkarce i biegaczce o tym samym nazwisku; była też kierowniczka szkoły, właścicielka kwaciarni, dentystka, działaczka ekologiczna zainteresowana permakulturą (cokolwiek to było), nie mówiąc już o dziesiątkach odniesień do różnych stron społecznościowych. Nic dziwnego, że wśród wyszukanych zdjęć nie było zdjęcia Emmie, ani w obecnym, skromnym wcieleniu, ani w dawnym, efektownym stylu z fotografii, którą razem oglądały. Próbowwała też wyszukać „Emmie Mason Londyn” i „Emmie Mason Francja”, ale wyświetlały się jedynie miliony adresów stron, na których te słowa występowały w dowolnych kombinacjach. Jej Emmie była w tym wszystkim jak igła w stogu siana.

No cóż, tego należało się spodziewać, znając Emmie i jej skrytość. Tabby nie byłaby zaskoczona, gdyby któregoś dnia obudziła się jak w filmie: sama w domu, bez Emmie, po czym okazałoby się, że jest jedyną osobą, która wiedziała o jej istnieniu, bo wszyscy ludzie twierdziliby, że nikt nigdy nie widział jej na oczy. Trzeba by wtedy znaleźć jakiegoś detektywa, dziwaka i indywidualistę, który pomógłby rozstrzygnąć, czy zaginiona Emmie była realną osobą, czy tylko przyjaciółką wymyśloną z potrzeby towarzystwa.

Ale nie, nie było z nią jeszcze tak źle. Cokolwiek

myślała matka, Tabby nie potrzebowała pomocy.

Miała do wykorzystania jeszcze dziesięć minut. Chyba po to, żeby się podręczyć, otworzyła znowu skrzynkę mailową i przeczytała kilka wiadomości, które Paul wysłał do niej, gdy jeszcze byli razem i szykowali się do wyjazdu. Były utrzymane w tonie kumpłowskim, jak notatki przesyłane towarzyszowi podróży: „Tylko dwadzieścia osiem dni do Święta Księżycy!” czy: „Zobacz tę niesamowitą aśramę dla surferów!” (nigdy nie sprawdziła, co to właściwie było). Jak łatwo było teraz, z perspektywy czasu, czytać je jak prośby o wyzwolenie. Nie mogę być twoim ojcem – mówił – ani matką, ani terapeutą, ani przyjacielem. Chcę się tylko od ciebie uwolnić.

Potem zaczęła czytać wiadomości, które wysyłała mu w odpowiedzi. Jedna wydała jej się szczególnie znacząca: „Naprawdę, Paul, tylko myśl o naszej wycieczce trzyma mnie przy życiu”. Nie miał wyboru, musiał ją zabrać. Obarczyła go całą odpowiedzialnością.

Przeczytała też ostatni mail, który do niego wysłała, z Paryża, zanim wydała wszystkie pieniądze: „Kocham cię i czekam, gdybyś chciał mnie znaleźć”. Co za upokorzenie – a jednocześnie, czyż każda sylaba nie była okropnie prawdziwa?

Cokolwiek robiła z Grégoire'em, nic nie mogło tego zmienić.

– Kim jest ten facet, przez którego jesteś taka

smutna? – spytał ją następnego dnia w sypialni domu przy rue du Rempart. Oczywiście okiennice pozostawały zamknięte.

– Ty – odparła z przekąsem.

– Nie, ale kto?

– Nikt. To nieważne – powiedziała i tylko dzięki okolicznościom dała radę wymówić te słowa z jakim takim przekonaniem (czy mogło być ważne, skoro leżała właśnie w łóżku z kimś innym?). – On mnie nie chce, więc...

– Jeśli cię nie chce, to dlaczego ty chcesz jego?

– No coś ty. – Spojrzała na niego. – Nigdy nie zakochałeś się w kobiecie, która nie była tobą zainteresowana? Albo właśnie dlatego, że była niezainteresowana?

Zdawała sobie sprawę, że brzmiało to śmiesznie i niedojrzale, jakby wygłaszała psychologiczne komunały z kolorowych gazet, nie mając tak naprawdę pojęcia, o czym mówi. Na szczęście ten brak autentyzmu albo gubił się w tłumaczeniu, albo nie przeszkadzał Grégoire'owi.

– Nigdy. Pewnie to różnice kulturowe – powiedział i wzruszył ramionami.

Tabby zaczęła się śmiać, na co i on się roześmiał, i to była mniej więcej ich najpoważniejsza rozmowa.

Znajomość z Grégoire'em przerodziła się powoli w coś w rodzaju sezonowego romansu. Mieli już swoje zwyczaje, wypracowane metody działania: w piątek po

południu przesyłała mu SMS-em potwierdzenie sobotniego spotkania. W końcu kupiła doładowanie na własną kartę i nie musiała pożyczać telefonu od Emmie, więc czasami nawet rozmawiali. Noémie i chłopcy mieszkali przez całe lato w Les Portes, a on w dni robocze był w Paryżu i przyjeżdżał w piątkowe wieczory albo sobotnie popołudnia (wtedy najpierw spotykał się z Tabby). Nie pytała, jakich używał wymówek. Jeżeli zjawiał się w piątek, pewnie znajdował jakiś pretekst, by wyjść na godzinę czy dwie następnego dnia. Jakimś sposobem jego niefrasobliwość i arogancja uwalniały ją od poczucia winy, ale miała nadzieję, że Noémie także zniknęła od czasu do czasu w którymś z domków letniskowych na wyspie (choć trudno było sobie wyobrazić, żeby jej kochanek musiał w ramach obowiązków służbowych najpierw ten dom posprzątać).

Sprzyjał im także system wymiany lokatorów. Wprawdzie doba hotelowa kończyła się o jedenastej i wtedy oficjalnie zaczynała się praca Tabby, ale ponieważ właściciele mieszkali w Belgii, ich lokatorzy również byli Belgami i zwykle wyjeżdżali jeszcze przed dziewiątą, żeby zdążyć na samolot do Brukseli wylatujący o jedenastej z La Rochelle. Dzięki temu Tabby mogła zaczynać wcześniej i robić sobie potem dłuższą przerwę. Nowi lokatorzy mogli zająć dom dopiero o piętnastej – wcześniej zamki na kod były nieaktywne, więc nikt nie mógł ich zaskoczyć. Właściciele nigdy nie przyjeżdżali na miejsce,

rezerwacje i płatności odbywały się przez internet, tak więc sąsiedzi nie mieli komu donieść o wizytach Grégoire'a – o ile w ogóle byli tam jacyś sąsiedzi, którzy nie wynajmowali swoich domów i nie oddawali ich pod opiekę jakiejś własnej Tabby. Moira od czasu do czasu sprawdzała pracę swoich sprzątaczek, ale według Emmie kończyła pracę w sobotę w południe i jechała do domu na weekend. Ponieważ Grégoire nie pojawiał się przed dwunastą, szanse na to, że zostaną odkryci, były naprawdę niewielkie.

Przed wyjściem po skończonej pracy Tabby miała w zwyczaju sprawdzać wszystkie pomieszczenia w domu. Wnętrze pachniało świeżością, wszystko lśniło i błyszczało – oto doskonałe wakacje na Île de Ré czekały na przybywających Belgów. Czy to z powodu wyrzutów sumienia, czy z chęci zadośćuczynienia, sprzątała nawet dokładniej niż normalnie.

Nie było powodów, żeby ktoś się czegoś domyślił.

Emmie, chociaż Moira chwaliła ją jako doskonałą pracownicę, nie bardzo garnęła się do sprzątania w domu i zgodziła się bez problemu, gdy Tabby zaproponowała, że w ramach czynszu będzie sprzątać raz na tydzień.

Żeby nie przeszkadzać, starała się robić to pod nieobecność Emmie i przykładała się do pracy tak samo jak wtedy, gdy sprzątała dla Moiry. Tutaj pokoje były małe, ale wszystkie urządzenia w znacznie gorszym stanie. Zwłaszcza łazienka wymagała remontu, lecz

Tabby lubiła ją mimo to, pamiętając, jak przyjemna była tam jej pierwsza kąpiel, jak wspaniale było móc się wyciągnąć w wannie bez pośpiechu, patrząc na błękitne niebo widoczne przez poszarzałą szybę okna dachowego.

Z całą pewnością nie chodziło jej o możliwość przegłądania rzeczy należących do Emmie. Nie miała zamiaru szukać fioletowej teczki ani w ogóle zaprzętać sobie nią głowy.

W pokoju Emmie, odkurzając dywan i układając rzeczy w szafie i w szufladach, zawsze starała się zachować szczególną dyskrecję. Oczywiście nie mogła przy tym nie zauważyć wiszącej koło dresowych spodni i bawełnianych podkoszulków ślicznej sukienki, którą Emmie miała na sobie na fotografii, ani też żakietu z czarnego filcu z białym futrzanym kołnierzem – drugiej i ostatniej już eleganckiej rzeczy wśród jej ubrań. Żakiet był w tym samym stylu retro co sukienka, ale stanowczo zbyt ciepły na francuskie lato.

Do jej obowiązków należało ścieranie kurzu ze stojącej pod oknem toaletki i mycie lustra – musiała więc wyjmować wsuniętą za ramę pocztówkę z reprodukcją jakiegoś obrazu, która zawsze ją ciekawiła. Trzymała się jednak twardo postanowienia, by nie odwracać kartki i nie czytać treści, jednak któregoś razu, zupełnie przez przypadek, kartka wysunęła się jej z ręki i upadła tekstem do góry. Było to tylko parę słów napisanych niebieskim atramentem. No

cóż, ciekawość okazała się silniejsza: „Dla E., mojej *coup de foudre*, ucałowania, A.”. Obraz także nosił tytuł *Coup de foudre*, jak przeczytała. Słyszała już kiedyś to sformułowanie, ale nie mogła sobie przypomnieć, co znaczy. W domu nie było żadnego słownika i pewnie mogłaby spytać Emmie, która płynnie mówiła po francusku, ale byłoby to równoznaczne z przyznaniem się, że czytała jej prywatną korespondencję. Mogłaby nie uwierzyć, że to przypadek – mogłaby pomyśleć: „Najpierw fotografia, a teraz to”.

Wsunęła pocztówkę z powrotem na miejsce i postanowiła, że nie będzie sobie nią zaprzętać głowy.

Było wczesne niedzielne popołudnie, pora obiadowa, a więc ryzykowny moment; mimo to napisała SMS-a do Grégoire’a: „Co znaczy *coup de foudre*?”.

Po jakimś czasie przyszła odpowiedź: „Uderzenie pioruna”.

A potem, jakby po chwili namysłu, kolejna: „W Anglii tak się mówi na miłość od pierwszego wejrzenia”.

Wyobraziała sobie wtedy Grégoire’a, jak śmieje się pod nosem na myśl, że może ona uważa, iż to właśnie im się przytrafiło; parska śmiechem, stojąc w wielkiej kuchni i przygotowując z Noémie mule na lunch albo doprawiając sałatę, a potem wychodzą z kieliszkami na słoneczny taras obok basenu. Jakie to miało znaczenie, czy naprawdę miał zamiar odejść od żony, czy nie (oczywiście, że nie miał) – istotny był fakt, że gdyby

nawet od niej oszedł, w ogóle nie wziąłby pod uwagę jej, Tabby, jako potencjalnej partnerki.

Dla nikogo nie była uderzeniem pioruna.

Rozdział 14

Emily

Sylvie i obaj chłopcy nie żyli. Ich samochód wypadł z drogi na trasie niedaleko Horsham i rozbił się na drzewie. Wszyscy troje doznali śmiertelnych obrażeń głowy i klatki piersiowej; stwierdzono, że zginęli na miejscu, a ich ciała zostały przewiezione do kostnicy pobliskiego szpitala. Samochód jechał przed wypadkiem z tak dużą prędkością, że świadkowie, obserwujący wydarzenie z przeciwległej jezdni, opisywali ją jako zawrotną. Tylko cud mógł uratować pasażerów – ale żaden cud się nie wydarzył.

Policjantka z wydziału rodzinnego rozmawiała z Arthurem z prawdziwie macierzyńską troską.

– Myśli pan, że wracali do Londynu? Czy zwykle jeździli tą drogą?

Wydawało mi się, że nie zadawała pytań w ramach oficjalnego śledztwa – po prostu starała się zająć czymś jego uwagę, skłonić do powiedzenia czegokolwiek. Był w szoku, to było wyraźnie widać: oczy miał puste, spojrzenie bez wyrazu, poszarzałą twarz bez kropli krwi, płytki oddech. Chciałam objąć go mocno ramionami, zakryć swoim ciałem, mówić za niego, oddychać za niego – ale wiedziałam instynktownie, że nie powinnam się do niego zbliżać. Od kiedy weszłam

do kuchni, ledwie spojrział w moim kierunku. Musiałam liczyć, że pomoże mu mocna, osłodzona herbata, którą dostał od policjantów.

– Nie kręci ci się w głowie? – spytałam.

– Nie – odparł zupełnie obcym głosem, podobnie jak jego twarz pozbawionym wszelkiego wyrazu. – Nie wracali do Londynu.

Zdałam sobie sprawę, że nie odpowiadał na moje pytanie, tylko mówił do policjantki.

– Byli w Sussex na wakacjach. Miałem do nich dołączyć dzisiaj po południu. Nie mieli powodu, żeby wracać, musieli wybrać się gdzie indziej.

Kobieta powiedziała, że wypadek zgłoszono miejscowemu koronerowi, zgodnie z normalną procedurą w takich sprawach. Prawdopodobnie odbędzie się dochodzenie, dodała, co oznacza, że zarejestrowanie zgonów i wszelkie formalności związane z pogrzebem trzeba będzie odłożyć do czasu uzyskania zgody z biura koronera.

– Dochodzenie? – spytałam, gdy Arthur nie zareagował na słowa policjantki. – Co to znaczy: w takich sprawach? Wydawało mi się, że powiedziała pani, że nikt inny nie ucierpiał w wypadku?

– Tak, ale nie wiadomo, dlaczego samochód zjechał z drogi w tak gwałtowny sposób. Mogło być wiele przyczyn. Nie ma się czym denerwować, koroner przeprowadza dochodzenie w przypadku wszystkich niewyjaśnionych zgonów z przyczyn nienaturalnych,

takie są procedury. Dochodzenie ma na celu ustalenie dokładnego przebiegu wydarzeń, ostatecznej przyczyny zgonu.

„Niewyjaśnione”, „nienaturalne”, „ostateczna przyczyna zgonu” – wiedziałam, co to wszystko znaczy, i ogarnął mnie chłód: czy wypadek był zbiegiem okoliczności, czy może nastąpił na skutek działania z premedytacją.

– Coś musiało być nie tak z samochodem – powiedziałam. – Może zepsute hamulce? Jeżeli jechali sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę albo więcej, a ograniczenie prędkości – jakie jest, jak pan mówi?

– O ile wiem, dozwolona prędkość na tym odcinku wynosi sto dziesięć kilometrów na godzinę, ale nie będziemy znać dokładnej prędkości samochodu do czasu zakończenia śledztwa.

Policjantka dodała:

– Niestety na tej drodze jest wiele problemów z przekraczaniem prędkości. Ostatnio odbyła się rozprawa pewnego motocyklisty, który jechał tam ponad dwieście kilometrów na godzinę.

– Mój Boże – odparłam, wstrząśnięta. – Może...

– Sylvie nie przekroczyłaby prędkości – powiedział Arthur w tej samej chwili, zupełnie jakby nie słyszał, że zaczęłam coś mówić. – Nie z synami w samochodzie. Nie można tego porównać do jakiegoś szaleńca na motorze.

Policjanci od razu się z nim zgodzili i zdałam sobie

sprawę, że nie powinnam była kierować rozmowy w tę stronę.

– Muszę tam pojechać – powiedział Arthur. – Muszę porozmawiać z lekarzem z pogotowia, z policją, z kimś na miejscu.

Zapomniałam w tym wszystkim, że przecież był lekarzem i wiedział mniej więcej, czego się spodziewać. Odstawił herbatę na stół, jakby miał zamiar wyjść właśnie w tej chwili, od razu. Spojrzałam na policjantów, szukając wsparcia – nie mógł przecież nigdzie jechać w takim stanie, ciągle w szoku – ale oni tylko przytaknęli.

– Możemy zorganizować panu transport na miejsce – powiedziała kobieta.

– Nie, pojedę sam.

– Pojadę z tobą – wtrąciłam się. Nie miałam prawa jazdy.

Ale on spojrzał na mnie, jakbym była intruzem, kimś obcym.

– Co? Nie. Nie, dziękuję.

Przyszło mi do głowy pytanie, czy w ogóle wie, jak się nazywam.

– Nie możesz sam prowadzić – powiedziałam, walcząc ze łzami napływającymi do oczu. – Nie możesz zostać sam.

Zwróciłam się do policjantów i powiedziałam, jak mam na nazwisko, nie pamiętając, czy przedstawiłam się już wcześniej, czy nie. Czas zaginał się i rozciągał

w najdziwniejszy sposób.

– Dopilnuję, żeby dojechał bezpiecznie na miejsce. Czy mają państwo adres szpitala?

Nie mogłam powiedzieć „kostnicy”; potrafiłam wymówić to słowo w myślach, ale nie byłam w stanie go wypowiedzieć na głos.

– Pojedziemy pociągiem – ciągnęłam. – Pewnie odjeżdża ze stacji Victoria, zaraz sprawdzę.

Zadzwonię po taksówkę, postanowiłam. Będę przez cały czas siedzieć koło niego, nie spuszczę go z oka ani na chwilę.

Ale zorientowałam się, że policjanci mi nie ufali. Dostrzegli, że Arthur mnie odtrącił, i nie zamierzali podawać mi żadnych szczegółów.

– Jeśli woli pan pojechać sam, to nie ma problemu – powiedziała do Arthura policjantka, ciągle bardzo łagodnym głosem. – Ale pani Marr ma rację, nie powinien pan sam prowadzić. Czy jest ktoś inny, z kim moglibyśmy się skontaktować, żeby zabrał pana na miejsce? Może ktoś z rodziny albo przyjaciół? Możemy do tej osoby zadzwonić i poczekamy z panem, aż przyjedzie.

– Mój brat – powiedział Arthur. – Mieszka w północnym Londynie. On mnie zabierze.

– Jak się nazywa? Czy ma pan jego numer w telefonie?

– Tak. Nazywa się Toby Woodhall.

– Twój telefon jest w sypialni – powiedziałam. –

Przyniosę go, dobrze?

Wszyscy troje spojrzeli na mnie i od razu pożałowałam swoich słów. Nie chodziło o policjantów, którzy całą swoją postawą okazywali bezstronność i brak uprzedzeń, ale o Arthura, w którego oczach malowały się taka konsternacja i zdumienie, jakby nie mógł zrozumieć, skąd ten nieproszony gość wie, gdzie leżą jego rzeczy w jego własnym domu i z jakiej racji uzurpuje sobie prawo, żeby chodzić po pokojach i szukać czegokolwiek. Poszłam po telefon, szczęśliwa, że mogę wyjść z kuchni choć na chwilę. Gdy go znalazłam, z ulgą stwierdziłam, że w nocy nikt nie dzwonił. Ale kiedy wracałam na dół, przypomniałam sobie o drugim telefonie, który leżał na półce podłączony do ładowania w gabinecie. Nie wiedząc, w którym znajdzie się numer do Toby'ego, postanowiłam wziąć oba. Gdy tylko odłączyłam ten drugi, wyświetliła się informacja o dwóch nieodebranych połączeniach.

Kiedy wróciłam do kuchni, Arthur spojrzął na mnie niemal z odrazą. Chciałam zaprotestować, przypomnieć mu, że przecież mnie kocha, a ja Kocham jego, że tak bardzo się Kochamy. Chciałam mu przysiąc, że przeżyje tę tragedię, że tak czy inaczej jego świat się zupełnie nie skończy, ale oczywiście nie mogłam niczego takiego powiedzieć.

Od razu zauważył komunikat na ekranie telefonu i znalazł listę połączeń.

– Jest tu wiadomość od Hugo – powiedział z przerażeniem i zdumieniem.

Odetchnął z ulgą, kiedy policjanci poradzili mu, żeby wstrzymał się jakiś czas z odsłuchiowaniem nagrań z poczty głosowej. Potem zadzwonili do Toby’ego, który jak zrozumiałam, obiecał przyjechać natychmiast. Umówiliśmy się, że zostanę z Arthurem do jego przyścia, i policjanci, po raz ostatni złożwszy Arthurowi wyrazy współczucia, odjechali. Widziałam wyraźnie, jak byli poruszeni, zwłaszcza w porównaniu z ich wcześniejszym opanowaniem. A przecież musieli pewnie robić takie rzeczy codziennie. Zresztą nie, pomyślałam, nie codziennie, skądże. Nie takie straszne rzeczy. Dzisiejsza sytuacja była wyjątkowa.

Kiedy wyszli, próbowałam przytulić Arthura, ale całe jego ciało zaprotestowało, cofnął się instynktownie. Puściłam go i zrozumiałam, że dotknęliśmy się po raz ostatni. Byłam tego pewna, chociaż jeszcze nie wiedział o mojej rozmowie z Sylvie. Nasza miłość nie była jedyną częścią jego osoby, która musiała zostać odrzucona – wiedziałam, że już nigdy nie będzie taki sam, już nigdy nie będzie czuł tak jak kiedyś.

– Nie mogę tego przeżyć za ciebie – powiedziałam.
– Wiem, że lepiej będzie, jeśli pojedziesz z Tobym, ale mogę być przy tobie, gdy tylko zechcesz. Dzisiaj, jutro... tylko mnie zawołaj. Nie możesz być teraz sam.

Brzmiało to okropnie i nic nie odpowiedział.

W końcu zjawił się Toby. W niczym nie przypominał brata – miał chaotyczny styl bycia i głośno wyrażał zdenerwowanie.

– To niemożliwe – powtarzał, a jego głos wznosił się i opadał pod wpływem nieznanymi wcześniej emocji, dla których brakowało mu słów. – Czy to pewne? Wszyscy troje? I Alex, i Hugo? Czy to absolutnie pewne?

Nie bardzo chciałam powierzać mu bezpieczeństwo Arthura, ale wiedziałam, że nie ma innego wyjścia.

– Mieszkam na drugim końcu ulicy – powiedziałam. – Przyniosłam papiery, które pożyczył mi pański brat, i byłam na miejscu, akurat kiedy przyjechała policja.

Nie miał powodu, żeby w to nie wierzyć, więc tylko podziękował mi za pomoc i wziął ode mnie numer telefonu. Potem nakłaniał mnie do wyjścia; sądził pewnie, że chciałam już stamtąd uciec i zająć się swoimi sprawami.

Mój telefon dzwonił i dzwonił w torebce. To na pewno była Charlotte, ale nie miałam siły iść do pracy. Nie mogłam teraz pomagać dzieciom w malowaniu talerzyków ani tańczyć z nimi w kółeczku, śpiewając *Sto lat* i wołając „hip, hip, hura!”. Nie mogłam tłumaczyć mamom, że mała Linda płacze, bo zgubiła bucik podczas zabawy. Nie mogłam uśmiechać się na powitanie ani machać na pożegnanie.

– Zadzwoń do ciebie później, dobrze? – powiedziałam do Arthura, mając jeszcze trochę nadziei.

Spojrzał na mnie niewidzącym wzrokiem, jakby zareagował jedynie na mój głos.

– Nie – odparł. – Nie. Nie dzwoń do mnie.

Próbowałam przełknąć smutek.

– Dobrze – powiedziałam, jakbym uznała, że to dobre rozwiązanie. – Poczekam na wiadomości od ciebie.

Po południu informacje o wypadku pojawiły się w internecie. To były tylko wzmianki w porównaniu z późniejszymi relacjami, z okresu dochodzenia – krótkie notki wśród zwykłych ostrzeżeń o utrudnieniach w ruchu. Jedyne opublikowane zdjęcie ukazywało helikopter ratunkowy stojący na pustej, zamkniętej barierkami jezdni. Nie było widać rozbitego samochodu ani żadnych innych pojazdów pogotowia czy straży.

W poniedziałek w internetowym wydaniu „Telegraph” ukazało się krótkie zawiadomienie, w którym podano nazwiska ofiar wypadku:

Żona i dwaj synowie chirurga okulisty, Arthura Woodhalla, zginęli w wypadku samochodowym w Sussex. Dochodzenie coronera w sprawie tych trzech zgonów zostało na razie przekazane policji. Arthur Woodhall jest znanym lekarzem, specjalizującym się w neurookulistyce i chorobach zezowych, a do jego pacjentów zaliczają się członkowie rodzin królewskich: brytyjskiej i saudyjskiej. Prowadzi prywatną praktykę lekarską w gabinecie przy Harley Street i pracuje

w szpitalu St Barnabas w południowym Londynie. Jest również założycielem organizacji charytatywnej AllSight, walczącej ze ślepotą w krajach Afryki Zachodniej.

Przeczytałam to chyba pięćdziesiąt razy.

Nie wiem dokładnie, ile dni minęło, zanim zadzwonił do mnie ktoś z biura koronera, ale musiało to być niedługo po wypadku – pamiętam, że kiedy przyłożyłam słuchawkę do ucha, czułam, że moja twarz jest cała spuchnięta i obolała po przepłakaniu całej nocy. Funkcjonariuszka, Gwen, powiedziała, że dochodzenie jest już w toku i że zaangażowany jest przy nim wyjątkowo duży zespół policjantów. Domyśliłam się, że to z powodu wysokiej pozycji społecznej Arthura dokładano tak wielkich starań.

– Czy moglibyśmy się umówić z panią na rozmowę?
– spytała. W jej głosie brzmiał rzeczowy profesjonalizm połączony z życzliwą troską. To pierwsze mnie przeraziło, to drugie ścisnęło mi serce.

– Dlaczego?

– Znała pani jedną z ofiar wypadku, panią Sylvie Woodhall.

– Nie, nie znałam jej. Spotkałam ją tylko dwa razy, na kilka minut. – Mówiąc to, czułam się jak przestępca.

– Ale znała pani jej męża i rozmawiała z nią pani niedługo przed jej śmiercią. Może pani dysponować informacjami, które pozwolą nam zrozumieć jej

postępowanie przed wypadkiem.

Musieli sprawdzić listę połączeń w jej telefonie. Pewnie byłam jedną z ostatnich osób, które do niej dzwoniły. A może nawet ostatnią? Nie byłam na razie w stanie o tym myśleć, ale pojęłam, że być może będę musiała.

– Czy odbyła się już sekcja zwłok? – spytałam przez boleśnie zaciśnięte gardło. – Sekcja Sylvie?

To pytanie zajmowało moje myśli w tamte dni i tygodnie. Zastanawiałam się nad tym i w końcu uznałam za prawdopodobne, że z powodu naszej rozmowy wsiadła do samochodu po pijanemu. Arthur powiedział mi, że nie piła już alkoholu, co znaczyło właściwie, że była niepijącą alkoholiczką. Czy przez to, że odrzuciłam jej „propozycję”, przerwała abstynencję i znowu zaczęła pić? Nieprzyzwyczajona do alkoholu, być może nie zdążyła wytrzeźwieć na czas i nie panowała nad kierownicą.

– Tak, sekcja się odbyła – odparła Gwen.

– I jakie są wyniki?

– Biegły lekarz nadal przygotowuje protokół.

Innymi słowy, nie mają zamiaru nic mi powiedzieć. Gwen dodała, że przekaże mój numer jednej z osób prowadzących dochodzenie i prześle mi broszurę dotyczącą procedur, żebym wiedziała, czego się spodziewać.

Powiedziałam sobie w myślach, że prędzej czy później ktoś musi powiedzieć policji, że byłam

kochanką Arthura; być może nawet on sam już to zrobił. Gdzieś na jakimś niskim, żalonym poziomie świadomości miałam nadzieję, że mój udział w dochodzeniu pozwoli mi znowu nawiązać z nim kontakt. Że może sobie o mnie przypomni. Bo nawet jeśli z powodu tej tragedii on przestał mnie kochać, to ja nie przestałam kochać jego.

Później kilka razy składałam zeznania, w których musiałam opowiedzieć o romansie z Arthurem, o naszych planach i o rozmowie telefonicznej z Sylvie. Starłam się, żeby moja relacja była jak najpełniejsza i najbardziej prawdziwa. Gwen pozostawała ze mną w kontakcie telefonicznym i zawiadamała o rozwoju sytuacji. Tak jak się obawiałam, poinformowała mnie, że według wszelkich danych byłam ostatnią osobą, która rozmawiała z Sylvie przez telefon, a najprawdopodobniej w ogóle ostatnią, która miała z nią kontakt, poza jej synami. W związku z tym bez wątpienia zostanę wezwana w charakterze świadka podczas rozprawy dochodzeniowej, ponieważ koroner będzie chciał ustalić, jaki był stan psychiczny Sylvie, kiedy wyruszała w drogę rano w dniu wypadku, a posiadane przeze mnie informacje mogą być tutaj kluczowe.

Nie powiedziała, czy Arthur wie o tym, czy nie.

– Czy ja... Czy jestem w jakichś tarapatach? – spytałam ją.

– Nie, bardzo nam pani pomogła i należą się pani

podziękowania. Zadaniem koronera nie jest wskazywanie winnych, tylko ustalanie faktów i wydanie orzeczenia o przyczynach zgonu – odparła. Dodała też, że koroner wydał już zgodę na pogrzeb trojga zmarłych, a to samo w sobie znaczy, że najprawdopodobniej żadne zarzuty nie zostaną nikomu przedstawione.

Nie spytałam, gdzie i kiedy odbędzie się pogrzeb. Pod żadnym pozorem nie mogłabym tam pójść. Nawet nadzieja zobaczenia Arthura nie przywiodłaby mnie do patrzenia na niego, jak składa do grobu ciała swoich synów. Wyobraziłam sobie poza tym członków rodziny Sylvie, stojących wokół trumny i patrzących na mnie z nienawiścią. Wiedziałam na pewno, że miała siostrę – tę, dla której wraz z siostrzenicą robiła żółty talerz w naszym warsztacie – ale być może byli też rodzice, inne siostry i bracia, siostrzeńcy i bratankowie, kuzyni zmarłych chłopców. Nie mówiąc już o krewnych ze strony Arthura. Straszny ciężar tej tragedii nagle znowu mnie przytłoczył i po twarzy spłynęła mi łza.

– Czy muszę przyjść na tę rozprawę? – zapytałam.

Usłyszałam ciche westchnienie. Gwen była jednak zbyt profesjonalna, żeby okazywać znudzenie czy irytację z powodu protestów, które musiała słyszeć codziennie.

– Wiem, że to stresujące przeżycie, ale naprawdę nie ma się czego obawiać. Jeśli chodzi o konkretną odpowiedź na pani pytanie, to może pani stawić się

dobrowolnie albo wyślemy pani urzędowe wezwanie.

Odeгнаłam sprzed oczu wizję rodziny Sylvie. Nie było możliwości, żebym odmówiła przyjścia.

– Oczywiście, że przyjdę, jeśli to ma w czymś pomóc.

Poinformowała mnie, że mogę skorzystać z bardzo dobrego programu wsparcia dla świadków i że jeśli chcę, ktoś będzie mi towarzyszył podczas rozprawy.

– Chyba nie ma takiej potrzeby – odparłam. – Kiedy odbędzie się ta rozprawa?

– Zawiadomimy panią o dacie, gdy tylko zostanie ustalona. Zapewne po Nowym Roku, to zależy od tego, jak skomplikowane będzie dochodzenie.

Poczułam się, jakby coś uderzyło mnie w żebra. Styczeń? Sama myśl, że miałabym doczekać stycznia następnego roku, przeżyć te wszystkie miesiące, wydawała mi się niemożliwa, tak jakby ktoś kazał mi przepłynąć Atlantyk. Przepłynąć Atlantyk, zanim znowu będę mogła zobaczyć Arthura... Po tej rozmowie z Gwen płakałam nawet bardziej niż zwykle, strasznie, beznadziejnie zrozpaczona. Tyle dobrego, że było jeszcze wcześniej i odebrałam telefon w domu, gdzie mogłam leżeć w łóżku, szlochając aż do uspokojenia. Gdyby to było w pracy, musiałabym po rozłączeniu się udawać, że wszystko jest w porządku, że wcale nie znajduję się właśnie w środku najgorszego koszmaru. Bo oczywiście musiałam chodzić do pracy. Musiałam, w przeciwnym razie bardzo szybko znalazłabym się na

ulicy.

Charlotte uwierzyła w moje wyjaśnienia na temat sobotniej nieobecności; powiedziałam, że musiałam pomóc sąsiadowi, którego spotkała rodzinna tragedia, o czym dowiedziałam się w drodze do dentysty. Słyszała już wiadomości o wypadku i była skłonna przyjąć moje wymówki za dobrą monetę. Ale już od poniedziałku musiałam zachowywać się tak, jakby to, co się stało, nie dotyczyło mnie osobiście – nie mogłam przecież opowiedzieć o mojej prawdziwej roli w wydarzeniach i oczekiwać współczucia. Żeby wytłumaczyć swój wygląd, twarz spuchniętą od płaczu, powiedziałam, że to z powodu uczulenia na komary. Uwierzyła. A kiedy nie mogłam sobie dać rady i zastała mnie zalaną łzami, gdy myłam naczynie do czekoladowej fontanny, musiałam wymyślić coś na poczekaniu – wyznałam, że ojcu się pogorszyło. Odczułam całą żalność tego kłamstwa tak mocno, jakby było prawdziwe.

– Ojej, biedactwo! – powiedziała. – Wiesz, jak blisko jesteśmy z moim tatą. Nie mogę sobie wyobrazić nic gorszego!

Ja mogłam.

– No chyba że to, co spotkało tego biednego okulistę, co stracił całą rodzinę – dodała. – Tego chirurga. To pewnie byłoby gorsze. Od razu można poznać, że stało się coś strasznego, prawda? To znaczy w sąsiedztwie, prawie za rogiem.

Ponieważ nasi dorośli klienci nie rozmawiali niemal

o niczym innym poza „potrójną tragedią”, teatralnie zasłaniając przy tym uszy własnym dzieciom, było to stwierdzenie dość oczywiste.

– To aż ulga, kiedy przychodzi ktoś spoza dzielnicy, kto nie wie o niczym – ciągnęła. – Ale w ogóle z powodu tego wypadku panuje strasznie ciężka atmosfera.

Może to przez mnie; może pojawiała się z moim przyjściem i znikwała, kiedy szłam do domu.

– Ciekawe, czy ta kobieta kiedyś u nas była – zastanawiała się na głos Charlotte. – Sylvie Woodhall.

Jej współczucie było pełne wysiłku, bo nikt nie ucieleśniał lepiej postawy „dzięki Bogu, że to nie ja”. Chwilę wcześniej nie posiadała się ze szczęścia, że to nie jej ojciec umiera w szpitalu, a teraz dziękowała niebiosom, że to nie ona, tylko Sylvie Woodhall straciła panowanie nad kierownicą pędzącego auta.

– Widziałam ją tutaj raz – powiedziałam. – Zrobiła talerz, taki żółty, na urodziny dla siostry.

– Ojej – spojrzała na mnie z podziwem. – Ale masz dobrą pamięć.

Brat zadzwonił do mnie, kiedy zorientował się, że przez ostatnie dwa tygodnie ani razu nie odwiedziłam taty w szpitalu.

– Słyszałem na oddziale, że od jakiegoś czasu tam nie byłaś – powiedział. – Coś się stało?

– Tak, miałam trochę problemów – odparłam. – Trochę to było... stresujące.

– Myślałem, że już dawno rozstaliście się z Mattem?

– Nie chodzi o Matta.

Och, ta niewinność przyjacielskiego rozstania z nieżonatym facetem!

Phil zamilkł, nie chcąc mnie wypytywać.

– Pojadę do taty – zapewniłam go. – Nie zdawałam sobie sprawy, że tak długo to trwało. Pojadę dzisiaj po południu. Jak się czuł, gdy go ostatnio widziałeś?

– Bez zmian.

A więc coś pozostawało bez zmian w tym świecie wywróconym do góry nogami – ale ta wiadomość nie była ani trochę pocieszająca.

– Phil, ale to przecież nieprawda. – Rozpłakałam się i słowa wymknęły mi się spod kontroli. – On nie jest taki sam. Zmienił się nie do poznania. Przecież to straszne! Przez tyle lat poświęcał dla nas wszystko, a teraz, kiedy jesteśmy dorośli i moglibyśmy się odwdziaczyć, to nawet nie możemy. On niczego nie chce. Sam nie wie, czy czegoś chce, przecież on w ogóle nas nie poznaje!

Nastąpiła chwila ciszy – ten krzyk bezradności był spóźniony o całe lata. Phil, podobnie jak ja, doskonale nauczył się udawać, że wszystko jest w porządku, przynajmniej w naszych rozmowach. Może z żoną, Julie, szczerze mówił o swoim cierpieniu, tak jak ja mogłam – kiedyś – opowiadać o swoich uczuciach Arthurowi.

– Nie chciałby, żebyś tak myślała – powiedział głosem zdecydowanym i spokojnym. – Nie załamuj się,

Emi. To przecież dobrze, że jego stan jest stabilny, że się nie pogarsza. – Zamilkł na chwilę. – Wiesz, o czym dzisiaj rozmawialiśmy?

– O czym? – zapytałam.

– O tobie. Jak miałaś koszmary w nocy.

– Wesoły temat.

– No coś ty, żartowaliśmy sobie. Trzecie łóżko, pamiętasz?

– Trzecie łóżko?

Zmusiłam się do przybrania jego tonu, chociaż odwykłam zupełnie od radosnych wspomnień. Ale oczywiście pamiętałam. Przez kilka miesięcy po śmierci mamy po nocach dręczyły mnie koszmary i bałam się ciemności, kiedy miałam spać sama w pokoju, więc tata urządził mi spanie na dole piętrowego łóżka w pokoju Phila. To była mała kajutka, w której głośno rozbrzmiewał każdy oddech, a ja nadal płakałam w nocy i tylko budziłam Phila. Wtedy tata zrobił sobie materac ze śpiworów i koców na podłodze przy moim łóżku i w końcu cała nasza trójka spała w pomieszczeniu niewiele większym od dużej szafy na ubrania. Sprawdzało się to w miarę nieźle aż do dnia, gdy Phil, zapomniawszy o naszym trzecim lokatorze, zeskoczył ze swojego łóżka na ziemię i wylądował ojcu na głowie. Tacie jakimś cudem udało się pozbiierać i zaprowadzić nas do szkoły, ale wiele lat później przyznał się, że tego dnia nie poszedł do pracy, tylko na szpitalną izbę przyjęć, gdzie okazało się, że doznał wstrząsu mózgu.

– Właściwie to tego nie pamiętał – przyznał Phil. – Ale podobała mu się opowieść o moich młodzieżowych wybrykach.

W końcu udało mi się zaśmiać, tylko po to, żeby skończyć tę rozmowę jakoś mniej rozpaczliwie. Sceny z naszego dzieciństwa były teraz niczym fantazje, bajki z morałem, które mogły nas zająć, ale nie dłużej niż przez chwilę.

Rozdział 15

Emily

Arthur kompletnie wyrzucił mnie ze swojego życia. Nie zostawił mi także żadnej możliwości nawiązania z nim kontaktu. Kiedy zorientowałam się, że numer komórkowy, na który zawsze do niego pisałam, został odłączony, zadzwoniłam do jego sekretarek w szpitalu i w klinice przy Harley Street. Obie powtórzyły to samo: doktor Woodhall przebywa obecnie na urlopie okolicznościowym, udzielonym na czas nieokreślony, i nie mogą przekazywać mu żadnych wiadomości. Miały nadzieję, że wykażę się zrozumieniem.

Wtedy po raz pierwszy włączyłam stary laptop, który zostawił mi Matt, i zaczęłam sprawdzać wiadomości w skrzynce mailowej, czasami, w weekendy, wręcz obsesyjnie, kilka razy na godzinę. Oczywiście nic nigdy nie przyszło. Zaczęłam więc od początku: komórka (nie ma takiego numeru), szpital i klinika (oficjalny komunikat), e-mail (nic) – wszystko na próżno.

Straciłam już wówczas nadzieję, że spotkam go na ulicy albo gdzieś w dalszym sąsiedztwie. Wyprowadził się z domu, przynajmniej tymczasowo. To był jedyny wniosek, jaki mogłam wyciągnąć, po tym jak przez parę tygodni przechodziłam obok kilka razy dziennie – nie

tylko w drodze do pracy, ale też późnym wieczorem, po zapadnięciu zmroku, kiedy wbrew zdrowemu rozsądkowi nie mogłam oprzeć się pragnieniu, by pójść pod dom z numerem jedenastym. Za każdym razem okna były ciemne i nic się nie zmieniało. Zastony w gabinecie, zaciągnięte kiedyś, żeby ukryć moją obecność, nadal nie zostały odsłonięte. Czasami podchodziłam do drzwi i przyciskałam dzwonek (którego dźwięk przenikał całe moje ciało jak bicie dzwonu), ale nikt nie otwierał i szybko odchodziłam, bojąc się, że zauważy mnie ktoś z sąsiadów albo żałobników, przychodzących o różnych porach. Bywało ich wielu, często nastolatków stojących parami albo grupkami, w których dziewczyny płakały, nie starając się powstrzymać; było też wiele kwiatów w różnych stadiach rozkładu, karteczek z krótszymi lub dłuższymi przesłaniami, których nie miałam siły czytać, nawet rysunków przywiązanych wstążkami do ogrodzenia.

Jakimś cudem, po części dzięki nasłuchiowaniu odgłosów z sąsiedztwa, udawało mi się unikać spotkania z Sarą i Marcusem. Raz jednak spotkałam na ulicy Ninę Meeks. Szłyśmy naprzeciwko siebie tym samym chodnikiem; zawczasu usunęłam się na bok i nie podniosłam oczu. Rzecz jasna ktoś, kto nie czułby się winny, zatrzymałby najlepszą przyjaciółkę Sylvie i złożył jej kondolencje – ale ja czułam się winna. To ja powtórzyłam słowa „wszystkie chwytły dozwolone” w ostatniej rozmowie z ofiarą wypadku i teraz nie

wiedziałam już, czy było to przedrzeźnianie, czy mówiłam serio. Jakiś okropny zbieg okoliczności sprawił, że minęłyśmy się z Niną akurat przed domem Sylvie z wędnącymi bukietami kwiatów pod ogrodzeniem. Nie odezwała się do mnie, ale gdyby to zrobiła, zapewne powiedziałyby: „To twoja wina. Nieważne, co stwierdzi dochodzenie – to ty jesteś przyczyną śmierci”.

Przyczyną trzech śmierci. Ta świadomość mnie przytłaczała, nie mogłam dojść do ładu z myślą o rozmiarach tragedii. Dwóch chłopaków, jeden osiemnastoletni, drugi jeszcze w szkole, na tyle młody, że jego matka błagała, by ojciec pozostał z nim do pełnoletniości. Synowie, spadkobiercy, radość i duma, źrenice oka – tym wszystkim byli dla Arthura, a ja tak mało o nich wiedziałam, bo stłumiłam swoją ciekawość albo w ogóle jej nie czułam. Z fotografii, które widziałam w ich domu, zapamiętałam, że byli podobni do matki, obaj z blond włosami i niebieskimi oczami. Arthur opowiadał mi, że Alexander był bardziej śmiały, a Hugo raczej zamknięty w sobie. Obaj dobrze się uczyli i zamierzali studiować na dobrych uniwersytetach. Ale co poza tym? Czy byli lubiani? Czy mieli dziewczyny? Jakie mieli zainteresowania i pasje? Czy przed wypadkiem zdawali sobie sprawę z zagrożenia, czy spali, obudzeni rano przez matkę i zagonieni do auta, żeby ruszyć w podróż, która miała zakończyć ich wakacje, ale nie życie? Ilu przyjaciół, kolegów z klasy

i nauczycieli płakało po ich śmierci, po tej strasznej stracie młodego życia? Zapewne byli liczniejsi od tych, których widywałam teraz przed domem Woodhallów. W szkołach pewnie ogłoszono żałobę, a na wakacje wszystkich uczniów padł cień. Kiedy klasa Hugo zbierze się jesienią na rozpoczęciu roku szkolnego, wszyscy będą rozmawiać tylko o jednym; uczniowie otrzymają pomoc psychologiczną i usłyszą, że nie powinni myśleć: „To mogłem być ja”. A co z klasą Alexandra, absolwentami, którzy poszli na uniwersytety albo robili sobie roczną przerwę, przeznaczając ją na podróż? Cóż to za gorzkie zakończenie edukacji i zła wróżba na przyszłość.

Jaka była moja wina? Co najmniej część – a być może wszystko – wydarzyła się przez mnie.

Oprócz Gwen z biura koronera jedyną osobą, która skontaktowała się ze mną w sprawie wypadku, był Toby Woodhall, który parę tygodni po naszym spotkaniu przesłał mi SMS-a. Pisał, że rodzina dziękuje mi za pomoc okazaną Arthurowi po wypadku i że Arthur radzi sobie tak dobrze, jak to możliwe. Zawiedziona tym oficjalnym językiem i brakiem jakiegoś zakodowanego przesłania oddzwoniłam na jego numer. Kiedy jednak włączyła się poczta głosowa, nie wiedziałam, co powiedzieć.

Proszę mu przekazać, że go kocham i tęsknię za nim. Proszę mu przekazać, że jest całym moim życiem. Że żałuję słów, które wypowiedziałam do Sylvie. Żałuję, że

nie powiedziałam...

Nie, lepiej było nic nie mówić.

Chociaż milczenie Arthura w tym okresie można było rozumieć tylko w jeden sposób – jako całkowite odrzucenie – nie przestawałam dzwonić do jego biura i w końcu udało mi się dowiedzieć czegoś nowego: powrócił do pracy w szpitalu St Barnabas. Szybko sprawdziłam, w jakie dni przyjmuje pacjentów w szpitalnej poradni; odkryłam, że moja przerwa na lunch przypada akurat w trakcie godzin przyjęć, i poszłam na oddział.

Zdziwiłam się, że właściwie każdy z ulicy może wejść na oddział okulistyczny bez żadnego sprawdzania, ale zapewne kierownictwo szpitala założyło, że nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby tam przesiadywać bez konkretnego powodu. Poradnia mieściła się w podziemiach i wokół rejestracji kłębił się dziki tłum. Na każdym korytarzu stały rzędy plastikowych krzesełek i wszystkie były zajęte. Czekający, dla których nie starczyło miejsca, stali lub kucali na podłodze, a ciągle napływający przybysze tłoczyli się przy kontuarze, za którym siedział pracownik rejestrujący pacjentów i jednocześnie utrzymujący porządek w kolejce. Co chwila opuszczał swoje stanowisko, żeby pomóc komuś starszemu i niedowidzącemu znaleźć miejsce; musiał się o nie oczywiście wyklócać z już siedzącymi. Jediną inną osobą wzbudzającą jako taki

respekt była tłumaczka towarzysząca pewnej Azjatce, mówiącej coś z niepokojem w języku, którego nie potrafiłam rozpoznać. Poradnia była w oczywisty sposób przeciążona pracą; wyglądała niczym dworzec autobusowy w biednym kraju albo zatłoczona sala odpraw na lotnisku, na którym wylądowało zbyt wiele samolotów naraz.

Czekając w kolejce do rejestracji, zauważyłam, że z bocznego korytarza co rusz wychodzą lekarze i wywołują nazwiska pacjentów, których następnie odprowadzają do gabinetów. Nie było wśród nich Arthura i dwukrotnie opuściłam kolejkę, żeby zaczepić pojawiających się lekarzy i zapytać o numer jego gabinetu; miałam nadzieję, że uda mi się go w ten sposób zaskoczyć. Ale niestety niczego nie udało mi się dowiedzieć – odsyłano mnie na powrót do kolejki.

Po dwudziestu minutach udało mi się dotrzeć do rejestracji.

– Nie jestem zapisana – oświadczyłam. – Chciałam porozmawiać z lekarzem, Arthurem Woodhallem.

– Czy poprosił panią o przyjście poza wyznaczonym terminem? To się raczej nie zdarza. Jak się pani nazywa?

– Emily Marr, ale nie, nie jestem umówiona. Chciałam tylko prosić o przekazanie mu, że tu jestem – albo może gdyby mógł mi pan powiedzieć, w którym gabinecie przyjmuje, to...

Przerwał mi.

– Mogę pani od razu powiedzieć, że doktor

Woodhall nie będzie mógł pani dzisiaj przyjąć, jeśli nie jest pani umówiona. Poradnia była zamknięta i musimy przyjąć wszystkich pacjentów z wczoraj i jeszcze dzisiejszych, sama pani widzi, co tu się dzieje.

– Tak, widzę. – Staralam się uśmiechnąć. Zapomniałam już wtedy, że uważano mnie za piękną, że mężczyźni zawsze mi się przyglądali i wiele razy udawało mi się dzięki temu uniknąć kłopotów. – Jestem jego dobrą znajomą. Będzie wiedział, o kogo chodzi. Mogę poczekać aż do końca, kiedy przyjmie już wszystkich pacjentów. Może tak będzie najlepiej?

Ale najwyraźniej straciłam dawny urok. Rejestrator spojrział podejrzliwie, zirytowany moją propozycją.

– Muszę sprawdzić u sekretarki, jaki ma dzisiaj rozkład pracy...

– Ale proszę, może mógłby pan po prostu zawiadomić go, że czekam? Bardzo proszę.

W końcu zadzwonił, ale, jak zdążyłam się zorientować, nie rozmawiał bezpośrednio z Arthurem, lecz z kimś z jego współpracowników, komu podał moje nazwisko i przekazał prośbę.

– Dobra, poczekam na linii – powiedział w którymś momencie.

Stałam z boku, przyglądając się, jak rejestrował pacjentów jedną ręką, w drugiej trzymając słuchawkę. Kiedy zakończył rozmowę, ledwie panowałam nad sobą z nerwów – czy mi się udało? Czy będę mogła porozmawiać z Arthurem przez telefon albo może

skierują mnie od razu do jego gabinetu? Może jest gdzieś tutaj, parę metrów ode mnie, właśnie w tej chwili! Tęsknota za jego fizyczną bliskością była tak silna, że stojąc tak na czubkach palców, gotowa pobiec, gdzie tylko mi wskażą, miałam wrażenie, że zaraz wzniosę się w powietrze.

Facet w rejestracji odłożył słuchawkę i skinął na mnie ręką.

– Doktor Woodhall prosi, żeby pani opuściła poradnię.

Taktownie ściszył głos, ale mówił zupełnie innym tonem, poważnie i z determinacją.

Poczułam, jakby ktoś mnie z całej siły uderzył, ale spróbowałam udawać zwyczajne zaskoczenie.

– Nie ma czasu, żeby mnie przyjąć?

– Dzisiaj przyjmuje wyłącznie zarejestrowanych pacjentów. Już i tak wszystko jest opóźnione. Kiedy skończy pracę w poradni, musi iść od razu na salę operacyjną. Nie ma żadnej przerwy.

Zaczęłam tracić panowanie nad sobą.

– Ale musi! Przecież na pewno będzie miał chwilę, jedną minutę! A co po operacjach?

Machnął ręką, tracąc cierpliwość.

– Przepraszam panią bardzo, ale sama pani widzi, co się tutaj dzieje.

Ludzie czekający za mną w kolejce zaczęli się irytować, a on sięgnął mi przed nos, żeby odebrać skierowanie od osoby następnej w kolejce, i gniewnie

poruszył myszką po blacie.

– To nie jest miejsce na prywatne wizyty – dodał burkliwie.

– Więc gdzie jest miejsce! – wykrzyknęłam już zupełnie wyprowadzona z równowagi, nie zauważając, że podnoszę głos. Wokół mnie zapadła cisza. Zdałam sobie wtedy sprawę, że robię scenę, o której ktoś może donieść Arthurowi, i zaczęłam bezradnie płakać, zakrywając twarz rękami.

Pojawił się nagle drugi pracownik rejestracji i patrząc w moją stronę, spytał:

– Zadzwoń po ochronę, Bob?

Bob podniósł głowę i obaj spojrzeli na mnie pytająco.

– Nie – powiedziałam, ocierając łzy, cała zasmarkana. – Nieważne. Już wychodzę.

Byłam tak oderwana od rzeczywistości, że zanim doszłam z powrotem do Earth, Paint & Fire, przekonałam sama siebie, że Arthurowi na pewno nie przekazano mojej prośby, że to jego sekretarka powiedziała „nie”, bez konsultacji z nim, starając się go chronić po doznanej traumie. Przy pierwszej nadarzającej się okazji zadzwoniłam więc znowu do szpitala i zostawiłam w poczcie głosowej wiadomość z prośbą, żeby potwierdziła, że Arthur został zawiadomiony o mojej wizycie. Kiedy nie oddzwoniła tego dnia ani następnego, zadzwoniłam do jego prywatnego gabinetu przy Harley Street. Była dziewiąta

rano, tuż przed moim wyjściem do pracy. Tym razem przygotowałam sobie całą strategię. Nie będę prosiła o prywatne spotkanie, ale zarejestruję się jako pacjentka. Oczywiście jednak na samym wstępie rejestratorka spytała, czy mam skierowanie i jaki jest mój numer ubezpieczenia, na co od razu zaczęłam się plątać.

– Nie mogę po prostu przyjść na wizytę i zapłacić za nią prywatnie? – zapytałam.

– Co dokładnie pani dolega?

Zmyśliłam na poczekaniu, że widzę nieostro i odczuwam ból w lewym oku, przez co tylko pogorszyłam sprawę – zbyt mocno się przejęła.

– Wygląda na to, że powinna pani zgłosić się na oddział ratunkowy w szpitalu Moorfields – powiedziała.
– Oddział jest otwarty całą dobę. Czy podać pani dokładny adres?

– Nie – odparłam niecierpliwie. – Chcę iść do doktora Woodhalla. Poleciała mi go dobra znajoma.

Spytała, kto taki.

– Nina Meeks – rzuciłam po chwili gorączkowego zastanowienia. – Dziennikarka. Jest też jego znajomą.

Skapitulowała wreszcie i zgodziła się poszukać wolnego terminu. Kiedy jednak usłyszała moje nazwisko, natychmiast zmieniła zdanie i powiedziała oschle:

– Niestety, doktor Woodhall nie ma czasu. Poza tym prosi, żeby pani tu nie dzwoniła.

– Jak to: prosi? Przecież nie miała pani kiedy mu

powiedzieć, że pani ze mną rozmawia! – Od razu, bezwiednie, podniosłam głos, zaczęłam łapać z trudem oddech, całe moje ciało zareagowało gwałtownym stresem. To było jeszcze gorsze niż sytuacja w szpitalu dwa dni wcześniej, przypominało atak paniki. – Czy on jest gdzieś w pobliżu i słyszy naszą rozmowę? Jeśli tak, to proszę pozwolić mi porozmawiać z nim osobiście, na pewno od razu wyjaśni się to nieporozumienie!

Ignorując mój napad hysterii, odpowiedziała spokojnym, zdecydowanym głosem.

– Doktora tutaj nie ma. Mogę pani tylko powiedzieć, że prosił, żeby pani tu nie dzwoniła. Zostawił bardzo wyraźne polecenia.

Poinstruował wszystkich swoich pracowników, żeby odprawiali mnie z kwitkiem – mnie, która kochała go najbardziej na świecie! Mnie, którą całował od stóp do głów i mówił, że nie może beze mnie żyć!

Rozłączyłam się bez słowa i osunęłam na podłogę, zasłaniając głowę ramionami, jakbym chciała się obronić przed strzałami zza okna. Nie wiem, jak długo tak leżałam, szlochając. Dałam radę tylko zadzwonić do pracy, żeby powiedzieć, że jestem chora. Naprawdę byłam chora.

– To twoja ostatnia szansa – zasyczała Charlotte, doprowadzona do ostateczności (kto mógłby mieć do niej pretensje?). – Jeśli nie zjawisz się jutro, możesz wcale nie przychodzić.

Miała już tak dosyć moich wymówek, że nie

czekając na odpowiedź, rozłączyła się, chociaż musiała słyszeć w słuchawce mój płacz.

Zjawiłam się w pracy następnego dnia, potem następnego i znowu kolejnego. Mijały tygodnie i nic innego poza pracą nie byłam w stanie robić, a kiedy nie pracowałam, leżałam w domu na kanapie, skulona i nieruchoma, czekając, aż znowu pójdę do pracy. Tak jak obiecałam Philowi, zaczęłam odwiedzać tatę w szpitalu i okazało się, że pogorszenie jego stanu, które wymyśliłam, żeby ukryć swoją rozpacz po wypadku, stało się faktem. Zachorował na zapalenie płuc i przeniesiono go do innej sali. Był coraz słabszy, ale rozpoznawał mnie bez problemu, i pierwszy raz od wielu miesięcy miałam wrażenie, że jest znowu sobą. Nie potrafiłabym tego wytłumaczyć, jednak z jakiegoś powodu zaczęłam wierzyć, że dopóki mnie poznaje, dopóty mam szansę, by jakoś to wszystko przetrwać. Nie miałam już żadnej innej nadziei.

– Kocham cię – powtarzałam mu, aż te słowa stawały się obce i abstrakcyjne, jak kołysanka. Zdarzało mi się zasypiać przy jego łóżku i spałabym tak przez całą noc, gdyby pielęgniarki nie budziły mnie i nie wysyłały do domu.

Poza pracą i szpitalem nie chodziłam nigdzie, nie widywałam nikogo. Zdawałam sobie sprawę, że powinnam wypowiedzieć umowę najmu mieszkania – odkąd Matt się wyprowadził, dziewięćdziesiąt procent mojej pensji pochłaniał czynsz i rachunki – ale

wyczerpywała mnie sama myśl o szukaniu czegoś nowego, a nawet o pakowaniu. Jednak najważniejsze było to, że Arthur mógł mnie tutaj znaleźć. Nie mogłam znieść myśli, że przyszedłby któregoś dnia, potrzebując mnie, zadzwonił do drzwi i otworzyłaby mu jakaś obca osoba.

Nie miałam gdzie iść. Phil mieszkał w Newbury i dojazdy do pracy byłyby zbyt długie i zbyt drogie, nawet gdyby on i Julie w ogóle mnie zaprosili. Nie powiedziałam nikomu o swoim związku z Arthurem, więc teraz nie było nikogo, kto by mnie przygarnął i pocieszył albo zbeształ. Ostatnie znajomości, które ograniczyłam podczas naszego romansu, teraz już zupełnie wygasły.

Rozbita psychicznie i fizycznie spędziłam święta samotnie – odrzuciłam zaproszenie od Phila. Nowy rok nastął niepostrzeżenie. Zapewne musiałam coś jeść i pić, bo przeżyłam.

Kiedy teraz przypominam sobie tamte dni, widzę czarną otchłań. Mój mózg pozbył się wspomnień, a przynajmniej wymazał szczegóły, podobnie jak to się dzieje u kobiet po porodzie, zapamiętujących tylko te lepsze, jaśniejsze momenty, kiedy po tym, jak doszły do kresu wytrzymałości, wracały znów między żywych.

Gdybym zaczęła sobie więcej przypominać, rzuciła jakieś światło w tę przepaść, chyba bym oszalała.

Rozdział 16

Tabby

Fioletowa teczka pojawiła się znowu. Leżała na kuchennym stole, na samym środku, tak jak poprzednio – ale tym razem właścicielka wyszła do pracy. Zanim Tabby cegokolwiek dotknęła, zaznaczyła miejsce na blacie monetami wziętymi z miseczki na drobniaki.

Nie poznawała sama siebie.

Może przez to anonimowe życie stała się amoralna, straciła wszelki szacunek dla zasad? Zrobiła się tutaj taka... nieprzewidywalna. Podała wprawdzie Emmie i Moirze prawdziwe nazwisko i opowiedziała Emmie swoją prawdziwą historię, ale równie dobrze mogła wszystko wymyślić. Może zawinił pechowy początek pobytu na wyspie, to on nadał rzeczom opaczny kierunek: najpierw wylądowała w domu rodziny Grégoire'a, potem w domu Emmie, a ostatnio, w podobny sposób, w domu przy rue du Rempart. Żadnej poprawy. Czy bezkarność zaczęła jej się podobać? Może się od niej uzależniła? Czy w ogóle coś ją różniło od Grégoire'a, dla którego zdrada i pogwałcenie zasad były najwyraźniej ekscytujące?

No i musiała jeszcze odpowiedzieć sobie na najważniejsze pytanie: czy świadomość popełnianych występków jakoś je pomniejszała, czy może wręcz

przeciwnie: stawały się jeszcze trudniejsze do usprawiedliwienia?

Nawet ostrzegawczy telefon od Moiry nie wystarczył, aby doprowadzić ją do porządku.

– Tabby, chciałam się upewnić, że zdajesz sobie sprawę, iż zapraszanie gości do domów, w których pracujecie, jest ściśle zabronione. Właściciel domu przy rue du Rempart zwraca na to szczególną uwagę. Wymaga absolutnej dyskrecji i poszanowania prywatności.

Czasami Moira wyrażała się tak górnolotnie; teraz mówiła, jakby właściciel był co najmniej cesarzem Chin, a nie jakimś zwykłym Belgiem, który wynajmował sprzątaczkę, żeby jeszcze skuteczniej zgarniać tysiące euro od płacących jak za zboże wczasowiczów.

– Oczywiście – powiedziała Tabby. – Wiem o tym.

– Chodzi o to, że ktoś mi wspominał, że widział, jak w ostatnią sobotę do domu przyszedł jakiś gość...

– O, a kto?

– O to właśnie chcę ciebie zapytać – odparła sucho Moira.

– Chciałam powiedzieć: kto o tym wspominał?

Tabby była pewna, że jej głos brzmi niewinnie i gorliwie jak zwykle, ale przeraziły ją jej własne myśli, które pobiegły swoimi pokrętnymi drogami, podczas gdy powinna koncentrować się na przekonywaniu Moiry o swojej uczciwości. Tymczasem już zaczęła

zastanawiać się, czy mogłaby się spotykać z Grégoire'em w nowym domu, który dostała do sprzątnięcia w niedzielę; problem był taki, że należał do Anglików i letnicy przyjeżdżali często samochodem z Calais albo z Saint-Malo jeszcze przed rozpoczęciem doby hotelowej, po czym stukali do drzwi i pytali, czy mogą zostawić bagaż, a w ogóle, jak już są, to czy dzieci mogłyby skorzystać z toalety albo napić się wody? Poza tym, czy Grégoire będzie chciał spotykać się w niedzielę? Nawet biorąc pod uwagę jego poglądy, być może uważał niedzielę za szczególny dzień, przeznaczony dla rodziny. Widywała często miejscowych idących w niedzielę do kościoła. Niedziela na całym świecie przeznaczona jest przecież dla bliskich. Pamiętała, jak rodzice zabierali ją w ten dzień na wycieczki i jak w późniejszych latach jej ojciec organizował wypadki za miasto z Susie i dziewczynkami.

Moira zniecierpliwiła się.

– Czy możesz po prostu odpowiedzieć na pytanie, Tabby? Czy ktoś cię odwiedzał przy rue du Rempart, czy nie?

– Nie, oczywiście, że nie. To musiał być listonosz albo jakiś kurier czy coś takiego.

– Jaki kurier?

– No nie wiem. Czasami ktoś dzwoni do drzwi. Któregoś razu dzieci sąsiadów wrzuciły piłkę do ogrodu i ich tata po nią przyszedł. Może powinnam zacząć zapisywać, kto przychodzi? We wszystkich

domach czy tylko w tym?

To było łatwiejsze, niż się spodziewała, a do tego relacja świadka nie była chyba zbyt wiarygodna, bo Moira od razu się wycofała.

– Nie, nie musisz nic zapisywać. Mam do ciebie zaufanie. Chodzi przede wszystkim o bezpieczeństwo. Gdybyś na przykład zaprosiła kogoś na kawę i coś by w domu zginęło, byłyby okropne komplikacje.

– Na pewno nic nie zginie – zapewniła ją Tabby. – Wszystko jest w porządku.

Nic nie zginie, to pewne, ale za to wszystko zostanie przejrzone i dotknięte, w tym ważne dokumenty, które właściciele zostawili zamknięte na klucz. Teraz już bez zastanowienia próbowała otwierać szuflady i szafki różnymi kluczami (które często leżały gdzieś w pobliżu, w pudełkach czy puszkach albo na sąsiednich półkach z książkami). Przyjemność nie wynikała z możliwości przeglądania rachunków od hydraulika albo nawet faktur wystawianych przez Moirę (z wyszczególnionymi godzinami pracy i poniesionymi nakładami finansowymi), ale ze snucia fantazji, że jest jakimś wszytkowidzącym duchem albo przynajmniej czymś zupełnie innym niż grzebiącą w cudzych rzeczach sprzątaczką. To była perwersyjna przyjemność wymierzania sprawiedliwości poza jakimkolwiek sądem, zdrady, o której zdradzany nigdy się nie dowie.

A teraz zawodziła zaufanie osoby, na której jej zależało: Emmie.

Zdjęła gumki i otworzyła teczkę. Skądś wiedziała, że w środku nie znajdzie żadnych zwykłych, nudnych papierów, ale nie spodziewała się tego, co zobaczyła: starannie poukładanego pliku wycinków z gazet i wydruków ze stron internetowych. Może to były materiały zgromadzone w jakichś badaniach? Wszystko było tak równiutko powycinane i ułożone, najwyraźniej w ustalonym porządku, że obawiała się, iż jeśli coś ruszy, może się zdradzić. Na razie skupiła się więc na kartce leżącej na wierzchu. Była to kserokopia artykułu z „Press”. Zaczynał się zdjęciem przedstawiającym dwie kobiety siedzące na ogrodowych krzesłach, mrużące oczy w słońcu, każda z kieliszkiem wina w dłoni, podczas gdy z tyłu widać było grupkę rozebranych dzieci wokół ogrodowego basenu. Podpis głosił: „Szczęśliwe dni: Sylvie Woodhall i Nina Meeks w 1999 roku, kiedy ich dzieci były jeszcze małe”.

Tabby usiadła przy stole, odwrócona plecami do drzwi, i zaczęła czytać.

WSPOMNIENIE O MATCE

Nina Meeks wspomina prawdziwą „tę trzecią”, zagubioną w medialnej sensacji ostatnich dni – porzuconą żonę.

Nie znaleźlibyście w gazetach żadnego nekrologu Sylvie Woodhall po jej śmierci w czerwcu ubiegłego roku. Nie była słynna ani wybitna, przynajmniej w kategoriach wielkiego świata. Dowiedzieliśmy się o niej tylko dlatego, że zginęła,

i wyłącznie dlatego, że była żoną sławnego człowieka, renomowanego chirurga okulisty, Arthura Woodhalla.

To Arthur zawsze cieszył się uznaniem, nie bez powodu. Kojarzył się z wielkim talentem, z pacjentami znanymi z pierwszych stron gazet, z wysoką pozycją doskonałego chirurga, szanowanego przez nas wszystkich, którzy nie mamy żadnej wiedzy medycznej.

Ale akurat na mnie nie robiło to wrażenia. Przyjaźniłam się z Sylvie, nie z Arthurem. Poznałyśmy się, kiedy nasi starsi synowie poszli razem do przedszkola, piętnaście lat temu, i szybko stałyśmy się sobie bardzo bliskie. Wprowadziłam się do domu na tej samej ulicy, mogłyśmy do siebie pomachać, stojąc w drzwiach. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności nasze młodsze dzieci – jej drugi syn i moja córka – również urodziły się w tym samym roku i także się zaprzyjaźniły.

Moje dzieci są teraz tak samo zrozpaczone jak ja.

W tym tygodniu koroner wydał orzeczenie w sprawie wypadku i według moich znajomych prawników nie mogło ono brzmieć inaczej. To jednak nie znaczy, że musimy w nim widzieć coś więcej niż formalność. Owszem, Sylvie kierowała samochodem tego strasznego poranka, ale prawda jest taka, że ktoś ją doprowadził do tragicznej

śmierci. Zrobiła to kobieta, która w tym tygodniu ukazała się nam jako ucieleśnienie tego wszystkiego, co w naszej dzisiejszej kulturze jest najgorsze, godne pogardy: ucieleśnienie braku szacunku dla drugiego człowieka, nieliczenia się z ludzkimi uczuciami i ludzką godnością. Kobieta, która myślała – i bez wątpienia nadal myśli – wyłącznie o sobie.

Nie wymienię tutaj jej nazwiska, chociaż wszyscy doskonale wiedzą, o kogo chodzi. W ciągu kilku dni stała się sławna, w przeciwieństwie do samej Sylvie. Ale nie napiszę, kto to, żeby nie skalać tego tekstu, który zostanie zapewne jedynym nekrologiem Sylvie w ogólnokrajowej prasie. Jeśli my, którzy ją kochaliśmy, mamy jakąś nadzieję, że będzie spoczywać w pokoju – jest pochowana wraz z ukochanymi synami, Alexandrem i Hugo, na cmentarzu niedaleko ich domu w Sussex – musimy ochronić jej pamięć przed skojarzeniem z kobietą, która – wzięwszy pod uwagę wszystkie okoliczności – dążyła do jej śmierci.

Żegnaj, Sylvie. Byłaś wspaniałą matką, oddaną żoną, kochającą córką i siostrą – i najlepszą przyjaciółką. Zawsze starałaś się dać z siebie wszystko, co najlepsze, by twoi bliscy byli szczęśliwi. Cześć twojej pamięci.

Łzy stanęły jej w oczach i przesunęła ręką po papierze, jakby chciała lepiej zrozumieć źródło tak

szczerego, serdecznego hołdu. Jak to jest, mieć przyjaciela, który napisałby o tobie coś takiego, gromiłby twoich wrogów i bronił twojej pamięci! Kim była ta Sylvie i dlaczego Emmie chciała zatrzymać wspomnienie o niej?

Spojrzała na datę – niedziela dwunastego lutego 2012 roku, niemal pół roku temu. Emmie mówiła, że przyjechała do Saint-Martin pod koniec marca. Czy miało to jakiś związek z artykułem? Czy Sylvie była jej przyjaciółką, a może krewną? Może starszą siostrą, której śmierć była dla Emmie tak bolesna, że musiała wyjechać z kraju? Woodhall było nazwiskiem po mężu, może jej panięskie nazwisko brzmiało Mason? Z drugiej strony, czy siostra nie chciałaby raczej pozostać w bliskim kontakcie z resztą rodziny po tak wielkiej stracie? Chociaż... Emmie powiedziała, że jej rodzice nie żyją; przyznała też, że zakończył się także jej związek (a może małżeństwo?). Poza tym do czego miałyby się odnosić to dziwne słowo, którego użyła: „wygnanie”?

Nagle usłyszała szcęk zamka w drzwiach. Szybko zamknęła teczkę i położyła ją na stole w poprzednim miejscu, wkładając jednocześnie monety z powrotem do miseczki. Dzwonienie metalu uderzającego w ceramikę rozbrzmiewało jeszcze, kiedy odwróciła się z pozdrowieniem ku wchodzącej Emmie.

– Cześć, Emmie, wszystko w porządku?

Emmie przeniosła wzrok z teczki na Tabby, która

opuściła głowę, żeby ukryć zmieszanie, i udawała, że przegląda broszurę z biura turystycznego.

– Myślałam, że kończysz o szóstej? – powiedziała, siląc się na lekki ton.

– Nie, o piątej – odparła Emmie.

Tabby pamiętała doskonale, że miała to być szósta, ale powiedziała tylko:

– Zrobię ci herbaty, co? Wyglądasz na zmęczoną.

Czuła, że twarz jej płonie ze wstydu. Czy nie nauczyła się niczego od Emmie, która zachowała się tak wielkodusznie wtedy, w maju, gdy znalazła ją śpiącą we własnym domu? Jak mogła stać się kimś takim? Czyżby naprawdę uwierzyła w te zarozumiałe głupoty o wszytkowidzącym duchu? To, co robiła, było złe i tchórzliwe, i jeśli sama nie potrafi zaprzestać grzebania w cudzych rzeczach, będzie musiała poszukać pomocy specjalisty. Zaczynała być tak samo samolubna i egocentryczna jak kobieta opisana w artykule, który dopiero co przeczytała.

Kiedy gotowała się woda na herbatę, udało jej się odzyskać panowanie nad sobą. Kątem oka widziała, jak Emmie układa różne rzeczy leżące na stole, w tym swoją teczkę. To do niej nie pasuje, pomyślała, zwłaszcza że rano wszystko zostało posprzątane. Usiadły przy stole nad herbatą, a teczka pozostała na samym środku, między ich kubkami, jak wyrzut sumienia. Wyobraziła sobie, że pyta po prostu: „Kto to jest Sylvie Woodhall?” albo „Emmie, co jest w tej teczce?”, ale nawet w jej

myślach te pytania brzmiały fałszywie, zdradzając jej wścibstwo. Postanowiła udawać, że jej nie widzi, i zapytała o dom przy plaży w La Couarde, skąd właśnie wróciła Emmie. Wyjeżdżający letnicy mieli małe dzieci i zostawili zniszczone drzwiczki od szafek i podartą zasłonkę prysznicową. Całe wieki trwało odkurzanie piasku ze szpar podłogi, a poza tym najwyraźniej zabierali ręczniki z łazienki na plażę – były na nich plamy z wodorostów i Bóg wie czego jeszcze.

– A co ty dzisiaj robiłaś? – spytała Emmie.

– Nic takiego. Trochę czytałam, posprzątałam w domu. Zaczął się przypływ, więc może pójdę się teraz wykąpać.

– Nie zauważyłam.

Emmie nie chodziła na plażę ani na spacer, ani na przechadzki po mieście; nie lubiła nawet chodzić na zakupy i z zadowoleniem przyjmowała pomoc Tabby, która uczynnie wszystko załatwiała. Wyglądało to tak, jakby nie lubiła niczego, co wiązało się ze spotykaniem nieznanym. Tabby zastanawiała się czasem, czy to nie jakaś fobia.

Kiedy tak rozmawiały, Tabby spostrzegła, że Emmie jest rozkojarzona i dziwnie podekscytowana. Kilka razy spojrzała na leżącą przed nimi teczkę, a potem wprost na Tabby, jakby chciała ją sprowokować do pytań.

Czy powinna zapytać? Napięcie w powietrzu było wyraźnie wyczuwalne. Sytuacja skłaniała Tabby do najdzikszych przypuszczeń. Uderzyło ją, że

okoliczności tego popołudnia były dokładnie takie same jak poprzednio, kiedy widziała teczkę: papiery leżały na środku stołu, inne rzeczy odsunięte na bok, jakby specjalnie, Emmie gdzieś na górze albo w pracy. To chyba nie zbieg okoliczności, że za każdym razem Emmie pojawiała się akurat wtedy, gdy Tabby zerkała na zawartość teczki? W dodatku wcale nie miała jej za złe, że zobaczyła fotografię, nawet oglądały ją wspólnie.

Czyżby świadomie albo nieświadomie chciała, żeby Tabby otworzyła teczkę? Czy dlatego podała jej nieprawdziwą godzinę powrotu z pracy – żeby zastać ją nad papierami i o tym porozmawiać?

Ale dlaczego miałyby robić coś takiego?

Odpowiedź brzmiała: wcale niczego takiego nie robiła, to oczywiste. Nie było żadnego powodu, dla którego miałyby zastawiać jakieś pułapki albo podchodzić do sprawy tak okrężną drogą. Mogła przecież zacząć o wszystkim normalnie rozmawiać. Poczekam, aż sama coś powie, pomyślała Tabby. Zanim to się stanie, będę się zajmować swoimi problemami.

Ale nie mogła długo wytrwać w tym postanowieniu. Wiedziała, że teraz zacznie zastanawiać się, kim była Sylvie Woodhall i jaką rolę odegrała w życiu Emmie.

Rozdział 17

Emily

Między wypadkiem a rozprawą dochodzeniową minęło sześć i pół miesiąca – wyjątkowo mało, jak się dowiedziałam, ale przecież trwało to w nieskończoność dla kobiety, która odmierzała czas od chwili, gdy ostatni raz widziała ukochanego, nie w miesiącach czy w dniach, ale w godzinach, w minutach. W oddechach.

Rozprawa miała zacząć się szóstego lutego. Pomocna jak zawsze Gwen powiedziała mi, że zazwyczaj przy wypadkach drogowych wszystko zamyka się w jednym dniu, ale tym razem koroner musi rozpatrzeć aż trzy ofiary śmiertelne, więc posiedzenia mogą ciągnąć się dłużej, nawet tydzień. Ja zostałam wezwana na środe po południu, kiedy miałam odpowiadać na pytania, ale oczywiście było to dochodzenie otwarte, więc gdybym chciała, mogłam przychodzić na każdą sesję. Gwen była przekonana, że wszystko powinno odbywać się zgodnie z planem, chociaż oczywiście nie można było wykluczyć opóźnień.

Zapytała, czy mam jakieś pytania.

Miałam tylko jedno, które było dla mnie ważne:

– Czy przyjdzie Arthur Woodhall?

Powiedziała, że tak, że jest jednym ze świadków

i o ile jej wiadomo, będzie obecny osobiście.

– Przez całą rozprawę czy tylko kiedy jest wezwany na przesłuchanie?

– Wydaje mi się, że będzie przez cały czas. Rozprawa to okazja, by rodzina mogła zadawać pytania.

– To znaczy, że może zadawać policjantom własne pytania?

– Tak, patologowi i innym świadkom też.

Innym świadkom? Czyli mnie także. Poczułam się słabo.

– Wszystko jest w poradniku, który pani przesłałam – dodała Gwen. Jej cierpliwość wydawała się nieskończona. Była w tamtym czasie jedyną osobą, która ani nie ignorowała moich emocji, ani się im nie poddawała; traktowała je jak coś naturalnego. – Ale być może nie będzie zadawał nikomu żadnych pytań. Mógł wcześniej poprosić o kopie zeznań świadków.

– Można to zrobić? Czy ja też mogłabym coś takiego dostać?

– Nie, niestety nie, są do wglądu wyłącznie dla członków rodziny. Zresztą coroner nie musi wydać zgody na ich udostępnianie. – Musiała usłyszeć jęk rozpacz, który wyrwał mi się z piersi, ponieważ powiedziała bardzo stanowczym głosem: – Emily, proszę pamiętać, że nikt nie może pani o nic oskarżać. Dochodzenie jest prowadzone przede wszystkim dlatego, że ta sprawa nie trafiła do sądu i nikomu nie zostały postawione zarzuty. W dochodzeniu coronera

nie chodzi o ustalanie winnych.

Usłyszałam to od niej kolejny już raz, przez co nabrałam tylko przekonania, że owszem, odbędzie się szukanie winnych – nie formalnie, nie przez koronera, ale właśnie tam, tamtego dnia na sali posiedzeń.

Nie powiedziałam Charlotte, dlaczego zwalniam się z pracy. Wprawdzie ostatnio byłam mniej nieobecna i przez większość czasu udawało mi się ukryć przygnębienie, ale obie miałyśmy w pamięci groźbę, którą usłyszałam od niej tego dnia, gdy zadzwoniłam do kliniki Arthura i później bez żadnego usprawiedliwienia nie poszłam do pracy. Żeby uprzedzić wszelkie zastrzeżenia, poprosiłam ją o dzień bezpłatnego urlopu i oznajmiłam, że data nie zależy ode mnie.

Powaga dźwięcząca w moim głosie musiała ją zaintrygować, bo spytała, nieco poirytowana:

– Masz jakieś ciekawe plany?

– Nie, po prostu sprawy osobiste.

Zmarszczyła czoło na sekundę, zanim przybrała współczujący wyraz twarzy.

– Och, Emily, chodzi pewnie o twojego ojca! Ciągłe wylatuje mi to z głowy. Czy jest trochę lepiej?

– Trochę. Udało mu się na szczęście wyjść z zapalenia płuc, ale nadal jest w szpitalu. Ale to nie o to chodzi. – Byłam przekonana, że moje wcześniejsze kłamstwa sprowadziły chorobę na tatę, więc nie tłumaczyłam już swojego przygnębienia jego stanem zdrowia. – Mam nadzieję, że się nie gniewasz, ale nie

mogę powiedzieć nic więcej – dodałam.

Pożałowałam swoich słów od razu, bo Charlotte zrobiła straszliwie przerażoną minę.

– O mój Boże, nie wybrali cię chyba na ławniczkę?! Nie ma mowy, żebym dała radę płacić ci pensję i jednocześnie płacić komuś na zastępstwo całymi tygodniami! Zrób wszystko, żeby cię ostatecznie nie wzięli, OK? Udawaj, że jesteś niezrównowazona albo coś w tym guście.

Udawaj?

Westchnęłam.

– Nie bój się, to nie to.

– Hmm, w każdym razie to chyba coś okropnego, bo wyglądasz, jakbyś miała zaraz się rozpłakać. – Spojrzała na mnie uważniej i chyba z prawdziwym zainteresowaniem. Pewnie podejrzewała, że mam jakieś problemy zdrowotne, aborcję albo coś w tym guście, o czym nikt nie chce opowiadać. Co dziwne, jej współczucie było trudniejsze do zniesienia niż zniecierpliwiona obojętność, do której przywykłam – uświadomiło mi, jak bardzo jesteśmy sobie dalekie („ciągle wylatuje mi z głowy” – wylatuje jej z głowy, że mój ojciec umiera!). Kiedyś starałam się zrobić na niej wrażenie, zdobyć jej aprobatę i trochę się z nią zaprzyjaźnić – pamiętam, jak śmiałyśmy się razem z Matta i jego kumpli, rozprawiając o ich wiecznej uczuciowej nastoletniości – a potem przestałam sobie nią zawracać głowę, zaprzątnięta jedynie myślami

o Arthurze i utrzymaniu naszego romansu w tajemnicy. To ja ją zawiodłam – przeznaczyłam jej rolę kogoś, kogo trzeba oszukiwać, kogo nie można obdarzyć zaufaniem. Mogłam winić tylko siebie.

Teraz było za późno. Już nie mogłabym opowiedzieć jej o związku z Arthurem, o rozprawie, o tym, jak być może przyczyniłam się do śmierci trzech osób. Cała sprawa zbyt się skomplikowała i musiała pozostać na zawsze moją tajemnicą.

Mój Boże, nie miałam o niczym pojęcia!

Budynek, w którym mieścił się urząd koronera, był pozbawiony charakteru – szary, w typowym stylu budynków różnych instytucji z końca dwudziestego wieku. Hol był nijaki i nie dodawał otuchy wchodzącym. Sesja, na której miałam zostać przesłuchana, została wyznaczona dopiero na pierwszą, ale z powodu jakiegoś zablokowania ulicy koło stacji metra dotarłam na miejsce spóźniona o dwadzieścia minut. W recepcji nie było już nikogo. Nie wiedziałam, dokąd powinnam pójść ani czy w ogóle zostanę wpuszczona na salę o tej porze – czy zobaczę Arthura po raz pierwszy od pół roku, czy może znowu ktoś zabroni mi do niego dostępu. Cokolwiek miało się zdarzyć, miałam nadzieję, że nie urzęduję żadnej sceny.

W szklanej gablocie znalazłam plan posiedzeń na bieżący tydzień, z nagłówkiem: DOCHODZENIE W SPRAWIE ŚMIERCI SYLVIE MARTHY WOODHALL, ALEXANDRA ARTHURA

WOODHALLA I HUGO BENEDICTA WOODHALLA. Poniżej znajdowała się lista świadków, długa na trzy strony; były na niej nazwiska patologów, policjantów, którzy przyjechali na miejsce wypadku, ratowników medycznych, trzech osób wyszczególnionych jako „naoczni świadkowie zdarzenia” i dwóch policjantów z wydziału dochodzeniowego. Na trzeciej stronie, w sekcji „Informacje dodatkowe”, wypisano trzy nazwiska, które znałam aż nazbyt dobrze:

Nina Meeks

Emily Marr

Arthur Woodhall

Gardło ścisnęło mi się boleśnie i przełknęłam głośno ślinę, ze zwierzęcym odgłosem.

– Czy mogę w czymś pomóc?

Odwróciłam się i zobaczyłam za sobą tęgą, uśmiechniętą kobietę, która trzymała w ręku sztywną podkładkę z klipsem. Zbyt zdenerwowana, żeby spytać, czy to ona właśnie jest pomocną Gwen (co nie wróżyło dobrze mojemu wystąpieniu podczas przesłuchania), wyjąkałam tylko:

– Tak, przepraszam za spóźnienie, jestem świadkiem w sprawie Sylvie Woodhall.

Nie mogłam zdobyć się na wypowiedzenie imion chłopców. Nie mogłam przyznać sama przed sobą, że być może przyczyniłam się do ich śmierci.

– Myślałam, że wszyscy weszli już na salę.

Spojrzała na trzymaną w ręku listę, szukając mojego

nazwiska, a we mnie nadzieja, że powie, iż jest już za późno i równie dobrze mogę od razu wracać do domu, walczyła z poczuciem szczęścia, bo przecież powiedziała „wszyscy”, więc na pewno także Arthur. Był tutaj, w tym budynku, i w końcu będę mogła go zobaczyć.

– Nic się nie stało, przed panią jeszcze kilka osób. Właśnie idę do sali z dokumentami, więc może pani wejść ze mną.

– Dobrze.

Nie spodziewałam się bogatego wystroju ani rzeźbionych krzeseł, ale mimo to zaskoczyły mnie skromne rozmiary i surowość sali, na której toczyła się rozprawa. Za drzwiami natknęliśmy się od razu na rzędy siedzących w ławkach ludzi, tyłem do wejścia; tylko koroner był zwrócony przodem do drzwi. Był to drobny, łysiejący mężczyzna po pięćdziesiątce. Siedział na podwyższeniu, schylony nad papierami rozłożonymi na dużym biurku. Na ścianie za nim wisiał herb monarchii. Przed biurkiem stały dwa rzędy ławek, jakie widuje się w szkołach albo salach kościelnych. W każdym rzędzie było około ośmiu miejsc i wszystkie były zajęte, między innymi przez policjantów w mundurach. Niemal od razu rozpoznałam plecy Arthura i Niny; ona siedziała z przodu z lewej strony, a on w drugim rzędzie z prawej. Oboje ubrani byli na ciemno. Z początku widok byłego ukochanego jakby nie wywołał we mnie żadnej reakcji, dalej przyglądałam się

wszystkiemu dookoła. Z prawej strony sali siedziała młoda kobieta, która zapewne była sekretarką albo stenotypistką, a naprzeciw niej znajdowało się miejsce dla świadka, gdzie akurat w tej chwili stał policjant. Na pulpicie przed nim leżała otwarta teczka. Z prawej strony, niedaleko Arthura, siedziało dwóch młodych ludzi z obojętnymi minami. Na kolanach trzymali otwarte notebooki i domyśliłam się, że to zapewne dziennikarze.

Poza tym sala wypełniona była ustawionymi w rzędach drewnianymi ławkami. Tylko połowa z nich była zajęta. Cicho usiadłam na najbliższej, kładąc torebkę pod nogami, na podłodze. Kilka osób odwróciło się na dźwięk otwieranych drzwi i spojrzało na kobietę, która podawała jakieś papiery koronerowi, ale nikt nie zauważył mojego przybycia. Gdy tylko usiadłam, wyciągnęłam z torebki chusteczkę i starłam z ust szminkę – mocny kolor był niemądrą pomyłką. Potem znalazłam gumkę i szybko zwinęłam włosy w niski kok. Dobrze przynajmniej, że ubrałam się na ciemno, tutaj akurat nie popełniłam błędu.

W rzędzie przede mną zauważyłam starszą kobietę, po siedemdziesiątce: może matkę Sylvie albo Arthura, zrozpaczoną babcię. Płakała cicho, a za rękę trzymał ją mężczyzna w podobnym wieku. Pożałowałam, że ze mną nie ma nikogo; przypomniałam sobie, że Gwen proponowała, iż ktoś ze mną pójdzie, i pomyślałam, że trzeba się było zgodzić.

Akurat mówił koroner. Wypowiadał słowa szybko, dość cichym głosem, trudnym do usłyszenia na końcu sali. Po chwili zrozumiałam, że policjant był z wydziału badania wypadków drogowych i jego nazwisko znajdowało się na liście wysoko przed moim. Jego teczka zawierała fotografie i szkice z miejsca wypadku, do których odnosił się koroner.

– Jak już mówiłem, nie ma konieczności odczytywania i omawiania bardziej drastycznych fragmentów z protokołu przygotowanego przez doktora Michaela Corrina, ale pan miał okazję zapoznać się z tymi materiałami w całości?

Policjant przytaknął.

– I wyniki oględzin pojazdu, o których rozmawialiśmy, zgadzają się, pana zdaniem, z wnioskami wyciągniętymi przez patologa na podstawie obrażeń, jakich doznały ofiary wypadku?

– Tak jest.

– Chciałbym jednak poprosić o wyjaśnienie paru szczegółów, jeśli można. Chodzi konkretnie o fakt użycia bądź nie pasów na tylnym siedzeniu, z lewej strony. Według pana pas nie został zapięty?

– Nie w czasie zderzenia. Być może pasażer jechał zapięty pasem wcześniej w trakcie podróży.

– Nie ma żadnych oznak wskazujących na to, że pas był zapięty, ale nie zadziałał prawidłowo podczas zderzenia?

– Nie, żadnych.

– Wracam teraz do zeznania naocznego świadka, pani Lisy Hawes, którą przesłuchiwałem w poniedziałek. Twierdzi ona, że widziała, iż pasażer siedzący na tylnym siedzeniu – jak wiemy, był to Alexander Woodhall – przesunął się do przodu pomiędzy dwa przednie fotele i chwycił za kierownicę, starając się przejąć kontrolę nad pojazdem. Czy pan albo ktoś z pańskiego wydziału zauważył jakieś oznaki, które świadczyłyby, że było inaczej?

– Nie. Zebrane przez nas materiały w pełni potwierdzają słowa pani Hawes.

Gdy ciągnęła się ta sucha wymiana zdań, mój wzrok odszukał Arthura. Siedział ze schyloną głową, nie mogłam zobaczyć, czy pod wpływem przygnębienia, czy dlatego, że spoglądał w papiery, które leżały przed nim na blacie. Ku swojemu przerażeniu poczułam, jak budzą się we mnie wszystkie uczucia, wywołując zimne dreszcze i wypełniając mi oczy piekącymi, gorącymi łzami. W ciągu sekundy zrozumiałam coś najważniejszego: nie było nic minionego w mojej miłości – kochałam go tak samo jak zawsze. Miesiące milczenia i nieobecności ani trochę nie zmniejszyły mojego oddania. Nawet gdyby tego popołudnia miał ani razu nie zwrócić ku mnie głowy, nawet gdybym miała go już nigdy nie zobaczyć, kochałabym go do samego końca. Ta świadomość nie była w najmniejszym stopniu spokojnym objawieniem; wręcz przeciwnie, była brutalnym, dręczącym przebudzeniem, jak ogłoszenie

wyroku, wymierzenie kary. Nie mogłam zaznać szczęścia z dala od niego, a ponieważ on nie chciał mnie już więcej widzieć, moim losem stało się nieszczęście. Umrę w rozpaczy, tak jak Sylvie.

Ta ostatnia myśl wyrwała mnie z rozżalenia. Tam trwała rozmowa o śmierci, a ja tutaj rozmyślałam o swoim nieszczęściu. Usłyszałam w głowie głos Sylvie: „Jak możesz być tak samolubna?” i ogarnął mnie straszny wstyd.

Zaczęłam znowu słuchać koronera.

– ...czy stwierdzono ślady wilgoci na nawierzchni?

– Nie, to był pogodny, suchy dzień. Nie padało w nocy.

– Czy było już jasno?

– Tak, widzialność była bardzo dobra.

– Dziękuję. Czy mając piętnastoletnie doświadczenie jako policjant zajmujący się wypadkami drogowymi, może pan ocenić prędkość, z jaką nastąpiło zderzenie samochodu z przeszkodą? Na podstawie analizy śladów hamowania i zniszczeń powstałych w pojeździe?

– Tak.

– Jak więc oszacował pan prędkość samochodu w tym przypadku?

– Sądzę, że tuż przed wypadkiem samochód jechał z prędkością około stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Wskazują na to rozległe zniszczenia przodu auta.

– I to zgadza się z zeznaniami naocznych świadków

Lisy Hawes i Nigela Reynoldsa, którzy oceniali prędkość, znajdując się w samochodach stojących na przeciwległej jezdni, a także z oświadczeniami ratowników z pogotowia Sussex, którzy przyjechali na miejsce wypadku, jak również patologów, którzy badali ciała ofiar.

– Tak.

Słuchając tej wymiany zdań, uświadomiłam sobie, że wszystko, o co pytał koroner, dotyczyło tylko faktów – nie było na jego pytania odpowiedzi dobrych ani złych, nie było miejsca na osobiste opinie czy dezaprobatę, dokładnie tak, jak zapewniali mnie pracownicy biura. Często wracał do dotychczasowych ustaleń i przypominał, że jego zadaniem jest stwierdzić, w jaki sposób, kiedy i gdzie zginęli członkowie rodziny Woodhallów.

– Rozmawialiśmy już o pasie bezpieczeństwa na tylnej kanapie, który według pana funkcjonował prawidłowo. Czy zauważył pan inne możliwe usterki w samochodzie?

– Nie, żadnych.

– Żadnych uszkodzeń opon na przykład?

– Nie. Samochód był na przeglądzie w serwisie Camberwell Motors w Londynie zaledwie dwadzieścia sześć dni wcześniej. Dwie opony zostały wtedy wymienione, więc były w zasadzie zupełnie nowe.

– Nie było też śladów wskazujących na jakieś rozmyślne uszkodzenia pojazdu?

– Nie, nic takiego.

– Proszę spojrzeć na fotografię zrobione już po wydobyciu ofiar wypadku z samochodu. Czy to pan kierował dokumentacją fotograficzną wnętrza pojazdu?

– Tak, wraz z moim współpracownikiem Robertem Timmsem.

Jakieś drobne poruszenie w drugim rzędzie przyciągnęło moją uwagę: Arthur. Odwrócił się do kogoś siedzącego obok, kto proponował mu wodę do picia, i wtedy zobaczyłam część jego twarzy, fragment profilu tak dobrze znanego i ukochanego, że tęsknota ogarnęła całe moje ciało. Żeby ją poskromić, musiałam wstrzymać oddech i objąć klatkę piersiową ramionami. Kobieta siedząca przede mną szlochała cicho bez ustanku.

Policjant został tymczasem zwolniony i koroner przedstawiał coś w dłuższej wypowiedzi.

– Jak już mówiłem, zapoznałem się dokładnie z zeznaniami świadków i omówiłem stosowne wnioski z trzech protokołów dostarczonych przez patologów. Uznaję niniejszym, że tożsamość Sylvie Woodhall, Alexandra Woodhalla i Hugo Woodhalla zostały prawidłowo ustalone i że miejsce, w którym zginęli, zostało poprawnie stwierdzone. Nie ma żadnych wątpliwości dotyczących czasu zgonu. Jest również jasne, jakie dokładnie obrażenia spowodowały śmierć ofiar...

Wypuściłam oddech. To brzmiało jak

podsumowanie – czy zostałam zwolniona, już niepotrzebna? Słuchając odpowiedzi policjanta, poczułam się kompletnie bezradna: w jaki sposób miałabym pomóc w dochodzeniu, nie było mnie przecież przy drodze tamtego straszego poranka. Nie byłam naocznym świadkiem ani ratownikiem medycznym. Poza tym sama myśl, że miałabym pójść na miejsce dla świadków i stać tam, pod spojrzeniami ludzi, którzy mnie nienawidzili, sprawiła, że zrobiło mi się słabo.

– Należy jeszcze ustalić, w jaki sposób doszło do zderzenia – nie w sensie technicznym, bo w tym zakresie wszelkie potrzebne informacje zostały już zebrane dzięki śledczemu Brianowi Jarrettowi, ale żeby upewnić się, że samochód zjechał z jezdni przypadkowo, to jest wskutek zbiegu okoliczności, a nie z racji świadomych działań którejś z osób znajdujących się w pojeździe. Jak już oświadczyłem, otwierając tę rozprawę, gdybym miał do dyspozycji jakiegokolwiek dowody świadczące o tym, że było inaczej, odłożyłbym to posiedzenie w celu poczynienia dalszych koniecznych badań.

Koroner mówił to przyjaznym, neutralnym tonem (emanował spokojną pewnością siebie, w czym przypominał mi Arthura), ale treść jego wypowiedzi była szokująca, sugerowała samobójstwo albo nawet zabójstwo. Wszyscy obecni podnieśli głowy, wszystkie plecy wyprostowały się w napięciu, a on powiedział wyraźnie:

– Stwierdziwszy, że samochód nie został w żaden sposób z rozmysłem uszkodzony, chciałbym przesłuchać teraz kilkoro świadków, którzy być może pomogą nam zrozumieć, czy wypadek mógł być spowodowany z premedytacją przez kierującą samochodem panią Woodhall.

Wywołał najpierw kobietę nazywającą się Josa Buxton, która przedstawiła się jako starsza siostra Sylvie mieszkająca w Arundel w hrabstwie Sussex i potwierdziła, że rozmawiała z Sylvie w dniu poprzedzającym wypadek. Pomyślałam wtedy o złotym półmisku, o Sylvie trzymającej go przy piersi niczym trofeum albo tarczę; pomyślałam o spacerze przez park o zmierzchu z mężczyzną, który był cudzym mężem, o uroku, jaki rzucała na mnie jego obecność, o tym, jak czułam, że nie ma sposobu, by się obronić przed tym, co nas czeka. Co takiego powiedział Arthur o naszym uczuciu? Wydaje się niemożliwe, że mogłoby się nie zdarzyć, mówił. Nie chodziło mu jednak o śmierć, o zagładę własnej rodziny.

– Wiem, że miała problemy w małżeństwie – powiedziała siostra, odpowiadając na pytanie, którego nie usłyszałam. – Wiem, że przez te lata Arthur zdradził Sylvie wiele razy i że była tym bardzo przygnębiona.

Wciągnęłam głęboko powietrze. Jakoś nie przyszło mi do głowy, że inni ludzie też mogą być dzisiaj pytani o małżeństwo Arthura, nie tylko ja. Zerknęłam na niego i zobaczyłam, że jego twarz zwrócona jest cały czas

w kierunku koronera, że nie patrzy na szwagierkę, która opowiadała właśnie o jego prywatnym życiu.

– Czy nie chciała rozstać się z mężem? – spytał koroner.

– Nie, z całą pewnością nie. Chciała, żeby rodzina była razem. Uważała, że nastoletnie dzieci potrzebują rodziców tak samo jak we wczesnym dzieciństwie. Dużo o tym czytała. – Jakby przewidując kolejne pytanie koronera, dodała: – To niemożliwe, żeby specjalnie chciała zrobić chłopcom krzywdę. Chciałabym to wyrazić jak najmocniej. Poświęciłaby wszystko dla ich dobra.

Koroner pokiwał głową z szacunkiem.

– Rozmawiała z nią pani ostatni raz rano w piątek dwudziestego drugiego lipca, kiedy odwiedziła panią w pani domu. Nie zauważyła pani, żeby miała jakiś konkretny problem lub usłyszała coś, co mogło wyprowadzić ją z równowagi?

– Nie. Kiedy zapytałam o Arthura, nie powiedziała nic miłego, ale do tego byłam przyzwyczajona. Jak już mówiłam, często czuła się z jego powodu nieszczęśliwa. Pomyślałam, że pewnie znowu ją zdradził albo że miała jakieś podejrzenia. Miewała obsesję na tym tle i z czasem przestałam zwracać uwagę na każdy komentarz czy krytykę dotyczącą męża.

– Obsesję w sensie takim, że podejrzewała istnienie zdarzeń, które w rzeczywistości nie miały miejsca?

– Raczej nigdy nie mogła być pewna, czy miały

miejsce, czy nie. Nie zawsze miała dowody. On doskonale umiał zacierać ślady i skłonić swoich pracowników, żeby mu pomagali. Wie pan zapewne, że Arthur jest sławnym lekarzem, bardzo cenionym specjalistą, i wszyscy traktowali go jak bóstwo. Naprawdę nie wiem, dlaczego Sylvie...

Nie dokończyła, ale było oczywiste, że nie żywi do Arthura żadnych ciepłych uczuć. Myślałam teraz: czy ona wie o mnie? Czy ktokolwiek z nich wie? Czy gdy będę zeznawała, usłyszą moje nazwisko po raz pierwszy i dopiero teraz zrozumieją, jaką rolę odegrałam w tej tragedii? Jeśli tak, to pewnie nie wyjdę z tego budynku żywa.

– Dla zupełnej jasności: rozmawiając z panią tego dnia, siostra nie wspominała o żadnej konkretnej osobie ani wydarzeniu, które mogły wytrącić ją z równowagi? Czy mówiła coś o planach powrotu do Londynu następnego dnia?

– Nie. Zawsze zostawała do końca sierpnia. Jestem pewna, że powiedziałyby mi, gdyby miała zamiar wracać, nawet gdyby chodziło tylko o wizytę u dentysty albo o coś podobnego.

To ja miałam w tym dniu wizytę u dentysty, pomyślałam. Ze wstydu oblało mnie gorąco – wcześniej trzęsłam się z zimna, a teraz zrobiłam się cała czerwona i zaczęłam się pocić.

Skończywszy zeznawać, Josa wróciła na swoje miejsce obok Niny, którą teraz wezwano. Przechodząc

obok, Nina położyła jej delikatnie rękę na ramieniu. Znowu zapragnęłam, żeby i mnie ktoś wspierał; jak mogłam przypuszczać, że uda mi się przeżyć to wszystko samotnie?

Kiedy Nina składała przysięgę, wydało mi się, że jej autorytet i pewność siebie nadały nową wagę dochodzeniu. Czekala na pytania koronera z nastawieniem zupełnie innym niż siostra Sylvie, jakby jej zaangażowanie i znajomość rzeczy były równie dogłębne co jego. Jest taka fascynująca, pomyślałam, tak samo jak wtedy, gdy zobaczyłam ją po raz pierwszy. Jak dobrze byłoby mieć taką przyjaciółkę, taką kobietę po swojej stronie!

Teraz trudno mi uwierzyć, że mogłam się nią tak zachwycać.

Od samego początku okazało się, że wie o prywatnym życiu Sylvie znacznie więcej niż Josa.

– Tak, dowiedziała się o Emily Marr mniej więcej miesiąc wcześniej – powiedziała stanowczym tonem. Usłyszawszy swoje nazwisko, zarumieniłam się mocno i spuściłam oczy, spodziewając się nieprzyjaznych spojrzeń. – Podejrzewała coś już wcześniej; domyśliła się, że Arthur spotykał się z jakąś kobietą. Ale tym razem to było co innego. Widziała, że był szczęśliwy jak nigdy. Opowiadała mi, że któregoś dnia, jadąc samochodem, widziała go idącego po ulicy i że wyglądał jak człowiek w euforii. Tak właśnie powiedziała: w euforii. Strasznie ją to załamało, że

znajduje szczęście u jakiejś obcej osoby, nie w rodzinie. Mniej więcej w tym czasie nasza wspólna znajoma, Sara, powiedziała jej, że widziała jego i Emily przed hotelem Inn on the Hill, więc reszty nietrudno się było domyślić. Żadna filozofia.

– Jaka była jej reakcja?

– Bała się, że Arthur ma zamiar odejść, była przekonana, że nastąpi to raczej prędzej niż później, i musiała zdecydować się, co robić. Do tej pory wystarczało, że groziła mu rozwodem, a on zawsze dochodził do wniosku, że jednak woli pozostać z rodziną. Wiedziała, czego się spodziewać. Ale tym razem wszystko było inaczej i nie była pewna, co robić.

– Czy nie należy traktować jej wyjazdu do Sussex jako próby odejścia od męża?

– Nie, jeździła tam co roku na lato, w lipcu i sierpniu. Uważała, że najlepiej będzie zachowywać się normalnie, zwłaszcza że były to ostatnie wakacje Alexa przed wyjazdem w podróż. – Nina zawiesiła głos, uderzona, tak jak ja i wszyscy inni, słowami: ostatnie wakacje Alexa. – Chłopcy zaprosili już przyjaciół, zaplanowali imprezę pożegnalną i Sylvie nie chciała psuć im planów. Arthur zawsze przyjeżdżał na dwa tygodnie w sierpniu i postanowiła, że właśnie wtedy się z nim rozmówi, kiedy nie będzie zavalony pracą jak zwykle i kiedy oczywiście będzie z dala od niej, od Emily. W międzyczasie chciała zastanowić się, jak powinna sobie poradzić z tym nowym kryzysem.

– Użyła tego określenia? – zapytał koroner. – Uważała, że jej życie znalazło się w sytuacji kryzysowej?

– Jej małżeństwo – owszem. Nie jej życie.

– Czy kiedykolwiek dała pani do zrozumienia, że czuje się złamana przez tę sytuację?

– Nie, wręcz przeciwnie. Josa ma rację: Sylvie chciała walczyć. Na pewno wracała do Londynu właśnie dlatego. Prawdopodobnie chciała doprowadzić do jakiegoś przełomu.

Nina mówiła stanowczym tonem, a jej wyważone gesty, postawa i mimika nadawały każdemu zdaniu wagę niepodważalnej prawdy.

– Kiedyś powiedziała mi – ciągnęła – że najgorsza dla niej jest niepewność, co czeka ją i chłopców. Całymi latami nie czuła się bezpiecznie. Moim zdaniem można powiedzieć, że była ofiarą maltretowania.

To było straszne, gorsze od wszelkich moich wyobrażeń – słuchać o obawach nieżyjącej już kobiety dotyczących mnie samej, przedstawianych w taki sposób, do tego przed ludźmi, którzy nie mogli odczuwać nic oprócz niesmaku i odrazy. Zastanawiałam się, czy Nina wie o mojej rozmowie z Sylvie. Nic o tym na razie nie powiedziała, ale jednocześnie było trudno sobie wyobrazić, że Gwen czy ktokolwiek inny z jej współpracowników mógł odmówić komuś takiemu jak Nina dostępu do wszelkich materiałów, nieważne, czy była krewną ofiary, czy nie.

– Mówiła pani, że nie rozmawiała z panią Woodhall wieczorem w piątek dwudziestego drugiego lipca? Nie dowiedziała się pani zatem od niej samej, jakie miała plany związane z powrotem do Londynu następnego poranka?

– Nie. Jak już zeznałam, zostawiła mi wiadomość, ale byłam wtedy za granicą i nie miałam zasięgu. Nie dotarły do mnie żadne wiadomości aż do chwili, kiedy wróciłam do hotelu wczesnym rankiem w sobotę i uznałam, że o tej porze zapewne jeszcze śpi. Zadzwoiłam do niej o wpół do dziewiątej rano według czasu angielskiego, ale spóźniłam się, jej telefon był wyłączony. Teraz wiem, że była już wtedy w drodze.

– Wiadomość, o której pani wspomniała, została nagrana o dziewiętnastej piętnaście czasu brytyjskiego w piątek dwudziestego drugiego lipca. Pani Woodhall mówi tam, że dowiedziała się, iż jej mąż jest z Emily Marr w domu państwa Woodhallów w Londynie?

– Tak. Powiedziała, że jedna z sąsiadek, znajoma, która wiedziała o całej sytuacji, przysłała jej SMS-a z wiadomością, że widziała, jak o wpół do siódmej Emily przyszła do ich domu. Prosiła, żebym zadzwoniła jak najszybciej, bo chciała ze mną o tym porozmawiać – o tym, co powinna teraz zrobić.

Nina zamilkła i spuściła głowę, mrugając, jakby chciała powstrzymać łzy, po raz pierwszy okazując emocje.

– Kiedy nie oddzwoniłam, musiała postanowić, że

zadzwoń do Emily – podjęła. – Miała jej numer od Sary, która jest sąsiadką Emily.

A więc wiedziała, pomyślałam. Wszyscy wiedzieli. Ta świadomość przyniosła mi ulgę i przeraziła jednocześnie.

– Już wcześniej o tym myślała i odradzałam jej to posunięcie, ale rozmawiałyśmy o tym, co mogłaby powiedzieć Emily, gdyby doszło między nimi do bezpośredniej konfrontacji.

Środkowym palcem prawej ręki przetarła kącik oka.

– Oczywiście teraz, wiedząc, co mogło się wydarzyć, bardzo żałuję, że nie dzwoniłam do niej od razu, bez przerwy, aż odebrałaby telefon. Powiedziałabym jej, żeby nigdzie nie jechała. Powiedziałabym, że przyjadę do niej następnego dnia, prosto z lotniska, i razem coś wymyślimy.

– Była pod wpływem środków nasennych i prawdopodobnie nie obudziłyby jej pani telefony – wtrącił koroner ze współczuciem.

– Zapewne nie – zgodziła się Nina.

– Tak więc wiedząc już to, o czym pani tu powiedziała, oraz to, że pani Woodhall zadzwoniła do pani Marr, jak pani sądzi, co pani Woodhall mogła zrobić potem, mając przed sobą wieczór bez żadnego wsparcia czy możliwości porozmawiania z życzliwą osobą?

Nina westchnęła głośno.

– Jeśli była naprawdę przygnębiona, zapewne by się

czegoś napiła.

– Ma pani na myśli alkohol?

– Tak.

– To przypuszczenie potwierdzają wnioski badania toksykologicznego, w którym stwierdzono wysoki poziom alkoholu w jej krwi, a także nagranie z kamery monitoringu ulicznego przy sklepie Tesco Express w pobliżu Pulborough, gdzie kupiła dwie butelki czerwonego wina.

Poczułam, jak jeżą mi się włosy na ciele. Nie słyszałam wcześniej o wynikach badania toksykologicznego, ale wyglądało na to, że potwierdzały się wszystkie moje obawy: w wyniku rozmowy ze mną Sylvie wróciła do picia.

– Jedna butelka to byłoby bardzo dużo dla Sylvie – powiedziała Nina. – Nawet pół butelki. Ona w ogóle już nie piła. Całe lata minęły od tamtych czasów. Musiała się czuć kompletnie rozbita tamtego wieczora. Jeśli do tego jeszcze wzięła tabletki nasenne... Musiała nie radzić sobie z własnymi myślami.

Na tym skończyły się zeznania Niny. Gdy wracała na swoje miejsce, poczułam, że szuka mnie wzrokiem, jakby rzucała mi wyzwanie, bym jakoś odpowiedziała na jej gniew i żal. Ale ja nie mogłam – i ona o tym wiedziała.

Jako następny świadek został wezwany energiczny, rudowłosy mężczyzna po trzydziestce. Przedstawił się jako doktor Hanrahan z przychodni Grove Walk,

rodzinny lekarz Woodhallów.

– W swoim zeznaniu powiedział pan, że pana zdaniem pani Woodhall raczej nie miewała myśli samobójczych?

– Tak mówiłem. Kiedy była u mnie ostatni raz, była całkiem pogodna i w dobrym zdrowiu. Wcześniej cierpiała na depresję i w ostatnich latach zmagająca się z chorobą alkoholową. Wiedziałem, że ciągle miewa kłopoty ze snem, i rozmawialiśmy o tym, jak może sobie z tym problemem poradzić. Dawniej pomagała sobie alkoholem, żeby zasnąć, ale od około dwóch lat, a na pewno od półtora roku, już tak nie postępowała.

– Czy przepisał jej pan lek o nazwie Zopiklon? Czy stosuje się go w leczeniu bezsenności?

– Tak. Poleciałem pani Woodhall, by brała najmniejszą dawkę. Ale to było kilka miesięcy przed wypadkiem. Nie przyszła po nową receptę, musiała mieć jeszcze część tabletek.

– Wczoraj słyszeliśmy od toksykologa, że alkohol potęguje i najprawdopodobniej przedłuża nasenne działanie zopiklonu.

– Tak właśnie jest. Kiedy wypisywałem receptę, poinformowałem panią Woodhall, że leku nie wolno mieszać z alkoholem w żadnych okolicznościach.

– Więc pana zdaniem pani Woodhall nie miała już problemów z alkoholem?

– Tak mi się wydaje. W przeszłości zdarzało jej się nadużywać alkoholu, ale nie określiłbym tego jako

uzależnienie. Nie chciała, żeby ucierpieli jej synowie, i wcześniej zwróciła się po pomoc.

– Co potwierdza słowa pani Meeks, że pani Woodhall zachowywała abstynencję?

– Tak.

– Ostatni raz badał pan panią Woodhall w maju zeszłego roku. Czy pana zdaniem były widoczne jakieś oznaki pogorszenia jej zdrowia psychicznego?

– Nie. Narzekała na stres i mówiła, że nie może polegać na mężu przy obowiązkach domowych, ponieważ był bardzo zajęty i dużo pracował – niemal codziennie – od początku ich małżeństwa, jak mówiła. Nie był już jej tak bliski jak kiedyś, ale miała bardzo dobre relacje z rodziną i przyjaciółmi. Miała się do kogo zwrócić w razie potrzeby. Nie była załamana.

Ku mojemu przerażeniu coroner nie miał już do lekarza więcej pytań i prędeż, niż się spodziewałam, podziękował mu i wywołał kolejne nazwisko – moje własne. Wstanie z miejsca i zmuszenie się do przejścia tych paru kroków było samo w sobie strasznie trudne. Czułam się, jakby ktoś wrzucił mnie do studni, w której zapadałam się coraz głębiej i głębiej. Ogarnęła mnie najprawdziwsza panika.

Złożyłam przysięgę cienkim, dziecinnym głosem. Kątem oka mogłam widzieć rząd białych profilów i ciemnych sylwetek z mojej prawej strony, ale zmusiłam się, żeby patrzeć wyłącznie na coronera. Nie chodziło tylko o twarz Arthura czy Niny, ale o wszystkie

twarze, bo nie było wśród zebranych nikogo, komu ofiary wypadku nie byłyby bliskie. Koroner tymczasem uśmiechał się do mnie, wyczuwając moje przerażenie, i nigdy jeszcze nie byłam nikomu tak wdzięczna za życzliwość. Nie miał zamiaru mnie o nic oskarżać, nie chciał mnie sądzić ani przypisywać mi żadnej winy.

– Zapoznałem się z pani relacją z rozmowy telefonicznej z panią Woodhall, która odbyła się wieczorem dwudziestego drugiego lipca i którą policja uznała za ostatnią rozmowę pani Woodhall z osobą inną niż jej synowie, poza paroma słowami zamienionymi z kasjerką w supermarkecie. Czy to ona zadzwoniła do pani, czy pani do niej?

Przełknęłam ślinę.

– Ja zadzwoniłam do niej. Zobaczyłam, że ktoś kilka razy próbował dodzwonić się do mnie z nieznanego numeru i to mnie zaniepokoiło. Myślałam, że to może ktoś ze szpitala, gdzie leży mój ojciec, więc od razu oddzwoniłam.

– Pani Woodhall próbowała połączyć się z panią parokrotnie? Ile razy dokładnie?

– Chyba pięć. Potem zobaczyłam, że dzwoniła co kilka minut.

– Powiedziała pani, iż nie odniosła wrażenia, że pani Woodhall była pijana albo pod wpływem środków odurzających podczas tej rozmowy?

– Nie, nie miałam takiego wrażenia. Wydawała się zupełnie trzeźwa.

– A czy pani piła jakiś alkohol tego wieczora?

– Nie, wtedy nie.

Arthur wrócił chwilę później z szampanem i piliśmy go razem, zaledwie kilka minut po tym, jak słuchałam jej pełnego rozpaczyny głosu, zdając sobie sprawę, że skazałam ją na noc pełną beznadziejnego przygnębienia.

– Czy miała pani wrażenie podczas tej rozmowy, że pani Woodhall zamierzała wrócić do Londynu zaraz potem? Na przykład po to, żeby porozmawiać z panią osobiście?

– Nie. Nie sprawiała takiego wrażenia. Myślałam... Wydawało mi się, że uznała moje słowa za ostateczną odpowiedź i że nie będziemy już więcej rozmawiały.

Te ostatnie słowa – „że nie będziemy więcej rozmawiały” – zabrzmiały okropnie i od razu pożałowałam, że nie mogę ich cofnąć.

– Odnosi się pani teraz do tego fragmentu rozmowy, w którym odrzuciła pani jej propozycję, żeby wycofała się pani ze związku z panem Woodhallem na jeden rok, czyli na czas, kiedy młodszy syn państwa Woodhallów miał jeszcze mieszkać z rodzicami?

– Tak. – Rok był dla mnie wiecznością, chciałam wyjaśnić. Byliśmy razem dopiero sześć miesięcy i chcieliśmy być obok siebie przez cały czas. Arthur miał prawie pięćdziesiąt lat, a życie nie trwa wiecznie! Jednak nie odważyłam się spojrzeć na niego, odkąd znalazłam się na miejscu dla świadków; utkwiałam wzrok w koronerze, jedynym źródle dobrej woli

i miłosierdzia. – Ale powiedziałam, że powinna o tym porozmawiać z mężem. Uważałam, że nie do mnie należy robienie tego rodzaju ustaleń – dodałam.

Koroner zajrzał w leżące na biurku papiery. Kiedy przestał na mnie patrzeć, poczułam się pozbawiona ochrony i wsparcia, jakbym miała zaraz osunąć się na podłogę.

– Mówi pani, że sądziła, iż pani Woodhall uznała pani decyzję za ostateczną – czy miała pani wrażenie, że była tym bardzo rozczarowana?

– Na pewno. W rozmowie powiedziała... powiedziała, że mnie błaga. Kiedy powiedziałam „nie”, na pewno był to dla niej zawód. Rozłączyła się bez pożegnania.

– Interesują mnie pani słowa wypowiedziane do pani Woodhall: „wszystkie chwytaki dozwolone”... – Poczulałam, że błędne. Jak to strasznie brzmiało, jak podle, nawet wymówione miłym, spokojnym głosem koronera. – Czy powiedziała to pani jako wyzwanie, na które pani Woodhall miała zareagować od razu?

– Nie – zaprzeczyłam energicznie, podnosząc mimowolnie głos – wcale nie. Powtórzyłam tylko to, co ona sama powiedziała do mnie wcześniej podczas tej samej rozmowy. To nie było wyzwanie, żeby przyjechała i zmierzyła się ze mną, tego wieczora ani następnego dnia, ani w ogóle. Tak jak mówiłam, sądziłam, że będzie chciała porozmawiać teraz ze swoim mężem. To było ich małżeństwo.

Pokiwał głową, jakby całkowicie się ze mną zgadzał, jakby sam nie mógł wyrazić tego lepiej, i w końcu zaczęło opuszczać mnie napięcie.

– Czy powiedziała, kiedy chce z nim rozmawiać?

– Nie, ale Arthur zamierzał jechać następnego dnia do Sussex, żeby się z nią zobaczyć, więc domyślałam się, że właśnie wtedy.

– Nic na ten temat nie mówiła?

– Jeszcze wtedy o tym nie wiedziała, bo Arthur zostawił jej wiadomość, gdy rozmawiała ze mną. Po skończonej rozmowie musiała zobaczyć, że ma jakąś wiadomość w poczcie głosowej.

– Pani o tym nie wspominała?

– Nie.

– Mówiła pani także, że postanowiła pani nie zawiadamiać pana Woodhalla o rozmowie telefonicznej z jego żoną?

– Tak. – To wszystko zaczynało brzmieć jak jakaś farsa, komedia omyłek, tragicznych błędów, nieodebranych połączeń i nieujawnionych w porę informacji. – Tak jak mówiłam, sądziłam, że będą mieli okazję rozmawiać następnego dnia.

– Dziękuję – powiedział koroner. – Czy chce pani jeszcze coś dodać, pani Marr?

– Nie, nic.

I to było wszystko, wszystko, czego chciał – usłyszeć ode mnie, że Sylvie nie mówiła o żadnych planach powrotu do Londynu tego samego wieczora ani

następnego dnia. Że nikt nie wiedział na pewno, czy dotarło do niej, że Arthur zamierza przyjechać tam po południu. Że zupełnie logicznie można stwierdzić, iż to ja byłam bezpośrednią przyczyną jej upicia się albo co gorsza także prowadzenia samochodu po alkoholu.

Ale koroner jeszcze mnie nie zwolnił. Zapytała go o coś jedna z osób siedzących w pierwszym rzędzie: Josa, siostra Sylvie. Chciała mi zadać pytanie, co było dopuszczalne, ale koroner przypomniał jej, że musi być ono ściśle związane ze sprawą.

Josa wstała i zapadła pełna napięcia cisza, w której nie padło żadne słowo.

– Może świadek wyświadczy mi tę uprzejmość i zechce spojrzeć na mnie – powiedziała w końcu głosem, w którym brzmiała nienawiść.

Zszokowana, odwróciłam się w jej kierunku. Jej odraza była wręcz wyczuwalna – cała drżała, patrząc na mnie. Kątem oka widziałam Arthura ze spuszczoną głową i wzrokiem skierowanym w dół. Josa odezwała się:

– Chcę poprosić panią o wyjaśnienie, dlaczego nie poinformowała pani pana Woodhalla o tak istotnej rozmowie telefonicznej.

Nie powiedziała nic więcej, ale przesłanie jej słów i oskarżenie, które z niego wynikało, były tak oczywiste, jakby sformułowała je głośno: „Gdybyś mu powiedziała, wszyscy oni nadal by żyli”. Na pewno Arthur jakoś by zadziałał, dowiedziawszy się, że jego

żona właśnie zadzwoniła do jego kochanki (czy też odwrotnie) – to byłby punkt zwrotny dla nawet najbardziej wprawionego w niewierności męża. Wsiadłby do samochodu i pojechał prosto do Sussex, do żony i synów. Byłby na miejscu o dziesiątej czy jedenastej wieczorem, kilka godzin przed momentem, w którym mieli zacząć swoją fatalną podróż. Zastałby Sylvie albo pijaną, albo nieprzytomną i z pewnością nie dopuściłby jej w pobliże samochodu, zanimby wytrzeźwiała. Następnego dnia przyjechałaby do niej Nina i dałaby jej potrzebne wsparcie.

I nawet gdyby stało się najgorsze, gdyby potem chciała zrobić sobie krzywdę, już nie dotyczyłoby to chłopców, oni by żyli.

Wzięłam głęboki oddech i starałam się patrzeć na Jose.

– Myślę, że byłam zbyt wstrząśnięta. Ta rozmowa z panią Woodhall, zupełnie z zaskoczenia... Nie znałyśmy się w ogóle; nie rozumiałam prawdziwego znaczenia tego wszystkiego. Poza tym, jak mówiłam, wiedziałam, że spotkają się następnego dnia, więc nie sądziłam, że informacja o tej rozmowie będzie istotna.

Ale to nie była cała prawda i widziałam w oczach Josy, że o tym wie. Okropna prawda była taka, że nie chciałam, żeby Arthur wyjechał tamtego wieczora. Chciałam, żeby został ze mną. Byłam jednocześnie wniebowzięta i przerażona, a mieszanka tych dwóch emocji sprawiała, że nade wszystko chciałam być z nim.

Z rozmysłem nie poinformowałam go o rozmowie z Sylvie i jeśli w ogóle rozważałam konsekwencje tej rozmowy, to wyłącznie w odniesieniu do siebie. Czy Sylvie przyjedzie znienacka w środku nocy – bałam się – a gdyby przyjechała, to co ze mną będzie? Ze mną i z Arthurem. O czym ja w ogóle myślałam tamtego wieczora? Może byłoby lepiej, gdyby zastała nas razem. Może byłoby lepiej.

Josa nie uznała mojej odpowiedzi za wystarczającą, ale tylko zasygnalizowała koronerowi, że nie ma nic więcej do powiedzenia. Dopiero teraz mnie zwolnił.

Następny był Arthur. Jego widok, gdy wstawał z krzesła i niechętnie szedł na miejsce, które właśnie opuściłam, gdy stanął przed wszystkimi szary na twarzy i przygarbiony – ten widok boleśnie ścisnął mi serce. Z jego postaci wyzierało to samo poczucie winy i wstydu, jakie musiało być widoczne i na mojej twarzy. Podobnie jak ja trzymał głowę zwróconą wyłącznie do koronera, nie spoglądając w stronę nieprzyjaciół. Widząc zarys jego profilu o tragicznym wyrazie, jego twarz posmutniała, na której nie można się było dopatrzeć nawet wspomnienia uśmiechu, przypomniałam sobie, być może tak jak inne osoby w sali, słowa Niny: „człowiek w euforii”. Uderzająca była pewność, że ten mężczyzna nigdy nie zazna tego stanu ponownie.

I nawet nie spojrzy w kierunku osoby, która była kiedyś dla niego źródłem szczęścia.

– Przesłuchałem już, jak pan słyszał, panią Meeks, panią Buxton i doktora Hanrahana – odezwał się koroner – którzy znali dobrze pańską żonę i podzielają przekonanie, że w jej zachowaniu nic nie wskazywało na chęć popełnienia samobójstwa albo odebrania życia synom. Czy zgadza się pan z tym zdaniem?

– Tak – odparł Arthur. – Nie miała myśli samobójczych, nigdy. Myślę, że nie potrafiła jasno rozumować, wpadła w panikę.

Dźwięk jego matowego, smutnego głosu przeszył mnie nowym bólem. Nigdy nie widziałam, żeby płakał, uświadomiłam sobie.

– Nie otrzymał pan od żony żadnej wiadomości, że jest w drodze do domu?

– Nie, ale i tak nie usłyszałbym jej telefonu. Mój telefon leżał w innej części domu. Po tym jak nagrałem jej wiadomość, zostawiłem go w swoim gabinecie, żeby się naładował. Wyjaśniłem już chyba w zeznaniach, że do kontaktów prywatnych miałem osobny numer telefonu i na pewno na ten numer by zadzwoniła.

Oczywiście wyobraźni odtwarzałam sobie kolejność wydarzeń: wychodzi z domu, dzwoni do żony, kupuje szampana, wraca, podłącza telefon, bierze z kuchni kieliszki, wbiega po schodach do gościnnej sypialni, do mnie – ale obrazy były zamazane, nieostre, jakby na zniszczonej taśmie filmowej sprzed stu lat. Po raz pierwszy przyszła mi do głowy myśl, że Arthur być może specjalnie zostawił telefon tam, gdzie nie mógł go

usłyszeć; że on także chciał przedłużyć naszą radosną, jedyną noc; może też chciał wierzyć, że nie myli się w tym, co robi.

– Ale już po wypadku mógł pan stwierdzić, czy pani Woodhall dzwoniła do pana?

– Tak, i nie dzwoniła. Telefonował do mnie tylko Hugo, rano, w dniu wypadku. – Podniósł prawą rękę do twarzy, dotknął czoła i znowu ją opuścił. Widziałam, jak zaciska palce.

– A wiadomość, którą zostawił panu syn – mówi pan, że odebrał ją pan dopiero po wypadku?

– Tak. Dopiero wtedy zobaczyłem, że dwa razy próbował się do mnie dodzwonić, ale zostawił tylko jedną wiadomość. Musiał ją nagrać na krótko przed tym, jak samochód zjechał z drogi.

Koroner pokiwał głową z powagą.

– Jest to wiadomość nagrana o ósmej dwadzieścia sześć rano, dwadzieścia dwie minuty przed podaną przez ratowników godziną śmierci. Zapoznałem się z tym nagraniem i nie będę odtwarzał go teraz, podczas przesłuchań, poproszę tylko pana o potwierdzenie, że zasadniczą treścią tej wiadomości było, że syn chciał, żeby pilnie zadzwonił pan do żony?

– Tak. Domyślałam się, że chciał, żebym ją namówił, żeby się zatrzymała. Musiała prowadzić samochód w dziwny sposób, co go na tyle zaniepokoiło, że chciał, żebym jakoś interweniowałam.

– Czy może pan też potwierdzić, że głos słyszany

w tle należał do pana żony?

– Tak. Krzyczała na Hugo, żeby przestał ze mną rozmawiać, żeby się rozłączył. Brzmiało to, jakby była w desperacji. Zbyt zdenerwowana, żeby prowadzić samochód.

– Jak się panu wydaje, dlaczego chciała, żeby syn przestał z panem rozmawiać?

– Może nie chciała, żeby mi powiedział, że byli właśnie w drodze do Londynu. Chciała mnie zaskoczyć, bez żadnego ostrzeżenia.

– Mimo że poinformował ją pan, że będzie pan jechał do Sussex tego samego dnia?

– Tak. Może nie odebrała wiadomości albo nie chciała czekać aż do południa. Dawniej, kiedy przyjeżdżałem do Sussex na wakacje, zdarzało mi się zjawiać później, niż to było ustalone.

Nastąpiła chwila ciszy, w której ja i prawdopodobnie inni ludzie zgromadzeni na sali wyobrażaliśmy sobie te spóźnienia i zawód, jaki jej sprawiały.

– Albo może myślała, że złapie mnie na gorącym uczynku – mówił dalej. – Wiem teraz, że była świadoma, iż Emily była w naszym domu, i być może chciała zastać nas razem. Nie wiem, co sobie wyobrażała, ale uważam, że cokolwiek to było, jej zdolność oceny sytuacji musiała być zaburzona przez alkohol i środki nasenne, które wzięła.

– Czy powiedziała by pan, że zdarzało się jej przekraczać prędkość podczas prowadzenia

samochoду?

– Absolutnie nie. Nigdy nie przekraczała prędkości, szczególnie z chłopcami w aucie. Zgadzam się z dotychczasowymi ustaleniami w śledztwie, że musiała zasnąć, trzymając stopę na pedale gazu. Gdy chłopcy zauważyli, co się stało, samochód jechał już zbyt prędko, żeby mogli coś zrobić. Alex próbował, ale nie dał rady ich uratować. Nie wiem, czy komukolwiek by się to udało przy tej szybkości.

– Dziękuję, panie Woodhall. Zdaję sobie sprawę, że powracanie do wydarzeń tamtego dnia musi być dla pana bardzo bolesne. Myślę, że możemy na tym zakończyć posiedzenie.

Gdy tylko Arthur powrócił na miejsce, koroner oznajmił, że ma zamiar odłożyć pozostałe zaplanowane na dzisiaj przesłuchania, i poprosił kolejnych świadków o przyjscie następnego dnia rano.

– To da mi czas na rozpatrzenie wszystkich zebranych materiałów, w tym bardzo użytecznych informacji od pani Marr.

Wiedziałaam, że nie było na sali ani jednej osoby (może poza dwoma dziennikarzami), która nie pomyślałaby wtedy: „Kto jak kto, ale ona na pewno nie zrobiła nic użytecznego”.

Zanim zdecydowałam, czy wyjść pierwsza, czy ostatnia, przed nim czy po nim, większość ludzi opuściła salę, więc problem rozwiązał się sam. W holu zobaczyłam go już w pewnej odległości, samego,

idącego spiesznie do wyjścia. Wyciągnęłam z tego dwa wnioski: po pierwsze, nie czekał na nikogo, łącznie ze mną, więc nie chciał z nikim rozmawiać ani nie potrzebował towarzystwa; po drugie, bez otaczających go znajomych mogłam łatwo do niego podejść i zamienić parę słów. Zastanawiałam się nad tym, kiedy poczułam, że ktoś nieopodal przygląda mi się uważnie, z tą samą niechęcią, z jaką patrzyła na mnie Josa. Ale tym razem był to kto inny: Nina, która stała wraz z mężem Edem w niewielkiej grupie osób koło recepcji.

Nagle zrobiła krok w moim kierunku. Ja cofnęłam się instynktownie, jakbyśmy brały udział w jakimś tańcu. Otworzyła usta i przez chwilę myślałam, że ma zamiar na mnie napluć albo głośno zwymyślać, ale zamiast tego powiedziała, tonem złowrogo spokojnym:

– Na twoim miejscu, Emily, pomyślałabym o tym, żeby zniknąć.

– Co takiego?

– Słyszałaś przecież.

– Czy to jakaś groźba? – spytałam.

– Nie, ani trochę. Nie mam zamiaru cię straszyć. Mówię ci tylko, co bym zrobiła, gdybym była na twoim miejscu.

Zmierzyła mnie wzrokiem od czubka głowy aż do butów: jasnoczerwonych szpilek z kokardkami, w słodkim stylu Betty Boop, które kiedyś tak się podobały Arthurowi – i których nie powinnam wkładać, idąc na przesłuchanie w sprawie śmierci żony i dzieci

mojego kochanka.

Odwróciłam się i pospiesznie wybiegłam na zewnątrz, z nagłym postanowieniem: porozmawiam z Arthurem, czy tego chce, czy nie. Nie odejdę niezauważona. Już panikując z powodu sekund straconych na rozmowę z Niną, rozejrzałam się po parkingu i przyległej ulicy. Serce mi zabiło. Był tam, przy drzwiach swojego mercedesa. Biegając w jego kierunku pomiędzy zaparkowanymi samochodami, poczułam nagle dziką nadzieję: że pojedę z nim do Londynu (czy gdziekolwiek indziej, gdzie teraz mieszka), że porozmawiamy i będziemy pocieszać się wzajemnie. Że się pogodzimy. Pewnie już nigdy nie zaznamy szczęścia, jakie było nam dane na początku, ale przynajmniej moglibyśmy sprawić, by życie stało się znośne.

– Arthur, Arthur, proszę, zaczekaj!

Odwrócił się, niechętnie zamykając drzwiczki, nawet włączył alarm, jakby bał się, że będę chciała wsiąść niezaproszona, i stanął oparty plecami o samochód, patrząc w moim kierunku. Dawniej, gdy patrzył na mnie, w jego oczach widziałam wyłącznie zachwyt, który rzucał na mnie czar nie do odparcia. Teraz po zachwycie nie było ani śladu, a śledząc mnie wzrokiem, mrużył nieco oczy, jakby chciał zmniejszyć mój obraz.

Zawahałam się.

– Nie mieliśmy okazji porozmawiać, od kiedy wszystko się wydarzyło – powiedziałam. Brzmiało to

tak, jakbyśmy padli ofiarą odwołanych spotkań i pechowo pomyłonych dat, a nie rozmyślnego postępowania, i przed oczami stanął mi obraz kobiety płaczącej w korytarzach szpitala St Barnabas, podczas gdy pracownicy recepcji grozili, że wezwą ochronę. Wyciągnęłam rękę, dotykając jego rękawa. Nie śmiałam dotknąć jego dłoni. – Chciałabym ci wytłumaczyć... Czy moglibyśmy... Może miałbyś czas pójść ze mną gdzieś na kawę?

Cofnął ramię. Ze spojrzenia, które rzucił w kierunku wyjścia z budynku, odgadłam, że ktoś obserwuje nasze spotkanie, ale jednocześnie wiedziałam, że reagował zgodnie z własnym uznaniem, nie na pokaz.

– Niestety mam dziś wieczorem spotkanie.

– Nie zostajesz tu na noc? – Dopiero kiedy spojrzał na mnie ze zdumieniem i odrazą, usłyszałam, jak mogło zabrzmieć moje pytanie – jak zaproszenie do spędzenia wspólnie nocy (może w jego letnim domu – czy tam teraz mieszkał? Co dziwne, ta możliwość nigdy nie przyszła mi do głowy). – Chcę powiedzieć, że myślałam, że zostaniesz, żeby wysłuchać orzeczenia koronera jutro rano?

Nic nie mówił, nie miał siły wymyślać odpowiedzi, bo przecież zgadłam, że nie ma żadnego spotkania w Londynie. Stałam tak przed nim, pozbawiona nadziei i opuszczona, jak nigdy potrzebując jego wsparcia i jednocześnie jak nigdy od niego daleka. W desperacji pomyślałam, że gdybym tylko chciała, mogłabym pójść

za nim, gdziekolwiek się wybierał, nic nie mogłoby mnie zatrzymać. Mogłabym usiąść na progu jego domu i czekać, jak zwierzę, którego chciał się pozbyć, ale które ciągle wraca.

Ale nie byłam jego ulubionym zwierzęciem, już nie.

– Proszę cię, Emily. Przecież widzisz, że nie ma już nic...

Nie skończył zdania, ale zapewne miał na myśli: do powiedzenia. Albo: do tłumaczenia. Nie ma już nic między nami.

Łzy napłynęły mi do oczu.

– A ja myślę, że jest jeszcze bardzo wiele, Arthur. To, że wiesz, że ktoś cię kocha i chce być przy tobie w najgorszych chwilach twojego życia. Że nie musisz być sam, kiedy zapada ciemność.

Ale te słowa jakby go tylko zaboląły. Jestem sam, powiedział bez słów. Ty się nie liczysz.

– Musisz o mnie zapomnieć – odparł krótko.

– Naprawdę tak myślisz?

Podczas gdy ja desperacko łapałam każdy oddech, on stał kompletnie bez ruchu. Nie stracił swojego dawnego opanowania.

– Naprawdę tego chcesz? Żebyśmy zapomnieli o wszystkim, co sobie powiedzieliśmy, co czuliśmy?

– Tak.

Moją twarz wykrzywił ból, a on nacisnął przycisk na pilocie i otworzył drzwiczki auta. Patrzyłam, jak siada za kierownicą, z tym rodzajem zdumienia, z jakim ktoś

mógłby się przyglądać astronautcie szykującemu się do lotu, którego cel pozostaje niewyobrażalny dla zwykłych ludzi, na zawsze przykutych do Ziemi.

– Do widzenia, Arthur – powiedziałam do zamkniętego okna. A samochód wykręcił i odjechał, zostawiając mnie na parkingu z twarzą ukrytą w dłoniach.

Nie myślałam już tego dnia o Ninie i o tym, co mówiła. Nie wyjęłam z torebki broszurki przeznaczonej dla świadków zeznających przed koronerem, w której uprzedzono, że dziennikarze mogą prosić świadków o oświadczenia na potrzeby relacji prasowych. W dniu mojego przesłuchania żaden dziennikarz nie zainteresował się w ogóle moją osobą, a zwłaszcza oświadczeniem, jakie mogłabym wygłosić. Po prostu samotnie poszłam na przystanek autobusowy, pogrążona w nieszczęściu i zamęcie, owszem, ale w prywatnym nieszczęściu i prywatnym zamęcie.

Nie miałam pojęcia, czekając tego dnia na pociąg do Londynu, jak cenna jest moja prywatność i jak bardzo jest zagrożona.

Rozdział 18

Tabby

Następnego dnia po zajrzeniu do teczki Emmie Tabby obudziła się wcześniej niż zwykle, cała podekscytowana. Najwyraźniej znalazła się w środku jakiejś tajemnicy i teraz miała już wystarczająco dużo informacji, by wreszcie odkryć przyczynę dziwnego zachowania Emmie. Zdawała sobie sprawę, że nie zdoła przestać o tym myśleć. Może będzie mogła jakoś pomóc, przekonywała samą siebie, i to jej wystarczyło jako usprawiedliwienie.

Niemal podskakiwała z podniecenia, idąc zaraz po śniadaniu do kafejki internetowej – aż zobaczyła wiszącą na szybie odręcznie napisaną kartkę: *Fermé. Ouvert 17 Août*. Nie wierzyła własnym oczom: zamknięte, w pełni sezonu, kiedy właśnie miała rozpocząć swoje poszukiwania! Pewnie nie mieli klientów, pomyślała, bo większość turystów ma własne laptopy i może korzystać z bezprzewodowych sieci w kawiarniach i hotelach. A wszystkie domy, które sprzątała, były wyposażone w komputer do użytku gości. Dzisiejsi wczasowicze spodziewali się łącza internetowego, tak samo jak przyzwoitego ekspresu do kawy, w końcu nastał wiek dwudziesty pierwszy.

Pomyślała raz jeszcze: we wszystkich domach było

łącze internetowe – i we wszystkich znajdowały się informacje dla gości, wśród których umieszczono także hasło dostępu do sieci. Moira mówiła jej kiedyś, że właściciele opłacali miesięczny abonament i goście dowolnie mogli korzystać z komputera i stacjonarnego telefonu, bez dodatkowych kosztów. Oczywiście sprzątaczkom było to surowo zabronione, podobnie jak przeglądanie pozamykanych w szufladach dokumentów czy przyjmowanie kochanków w sypialniach, które miały akurat sprzątnąć.

Tego dnia sprzątała w Le Bois-Plage. Przyjechała na miejsce dużo wcześniej niż zwykle. Zobaczyła jeszcze pakujących się do taksówki letników, jadących na lotnisko. Już od dłuższego czasu ledwie zerknęła na twarze tych wypoczętych, opalonych ludzi; nie miała z nimi wspólnego języka, nawet z tymi, którzy przyjeżdżali z Anglii. Napędzana adrenaliną, pracowała ile sił, aż dom zaczął przypominać fotografię z folderu biura podróży. Akurat w tym domku, bungalowu urządzonym przez dekoratora, było kilka dodatkowych rzeczy do zrobienia: ręczniki i pościel trzeba było odpowiednio poskładać, zostawić specjalne, lokalnie wyrabiane mydła dla dorosłych i cukierki dla dzieci, a w kuchni – tartę cytrynową, którą należało wyjąć z zamrażalnika na samym początku, żeby zdążyła się rozmrozić. Tabby dopilnowała, żeby wszystko zostało zrobione, zanim usiadła przy biurku stojącym w małej wnęce koło kuchni i włączyła komputer. Dobiegał do

niej zapach tarty rozmarzającej na kuchennym blacie.

Po raz pierwszy od rozstania z Paulem nie zaczęła przeglądania internetu od sprawdzenia, czy nie nadszedł jakiś e-mail od niego (czyż nie należało tego uznać za objaw powrotu do zdrowia?). Zamiast tego wpisała w wyszukiwarkę: Arthur i Sylvie Woodhall. Na ekranie pojawiła się zaraz cała masa odniesień, setki tysięcy. Użyła filtra „Wiadomości”, żeby znaleźć najnowsze informacje, aż wreszcie otworzyła link do jednej z najbardziej godnych zaufania angielskich stron. Wiadomość miała datę kwietniową, sprzed czterech miesięcy:

DOKTOR WOODHALL ODCHODZI ZE SZPITALA ST BARNABAS

Doktor Arthur Woodhall, chirurg, bohater jednej z największych ostatnio sensacji medialnych, zrezygnował ze stanowiska w szpitalu St Barnabas w południowym Londynie. Należy przypuszczać, że doktor Woodhall zamierza wyjechać z kraju, chociaż pogłoski o planowanym objęciu przez niego posady w klinice Moorfield w Dubaju zostały niedawno zdementowane przez jego rzecznika, który potwierdził jednocześnie, że doktor Woodhall nadal będzie przyjmował prywatnych pacjentów w poradni okulistycznej przy Harley Street.

Żona chirurga, Sylvie, i jego dwaj synowie zginęli w wypadku samochodowym w lipcu

zeszłego roku. Reakcja opinii publicznej na wyniki śledztwa, które ujawniło szczegóły romansu lekarza z jego sąsiadką, Emily Marr, urosła do niespotykanych wcześniej rozmiarów dzięki kampanii prowadzonej przez dziennikarkę czasopisma „Press”, Ninę Meeks. Tak zwana afera Marr stała się od tamtej pory symbolem narodowego zepsucia obyczajów w czasach taniego rozgłosu i obniżających się standardów edukacji powszechnej.

Tabby wpatrywała się w ekran, powracając do jednego słowa w drugim akapicie: „Emily”. To nie mógł być przypadek; nie trzeba było specjalnego dochodzenia, żeby domyślić się, że „Emmie” może być zdrobnieniem od „Emily”. Tylko raz widziała fragment jej imienia, na buteleczce z lekarstwem: literę E, którą uznała za początek „Emmie”. Jeśli chodzi o nazwisko, to nigdy nie widziała paszportu czy innego dowodu tożsamości nowej znajomej – w końcu dlaczego miałyby chcieć go zobaczyć?

Przypomniała sobie wieczór, kiedy zapytała Emmie, jak ma na nazwisko. Tamta zawahała się, najwyraźniej nie chcąc go zdradzać, aż wreszcie powiedziała, że nazywa się Mason. Czy mogła to zmyślić na poczekaniu? Marr i Mason zaczynały się na tę samą literę.

Myląc klawisze z ekscytacji, wpisała do wyszukiwarki „Emily Marr” i wybrała filtr „Grafika”.

Pokazało się zdumiewająco mało zdjęć, zwłaszcza że przedstawiona na nich kobieta miała być główną bohaterką medialnej sensacji. Kilka obrazów powtarzało się bez przerwy, często przerabianych na różne sposoby: jako karykatury, rysunki ilustrujące rozprawę sądową czy jednobarwne odbitki w stylu Andy'ego Warhola.

Ale na pewno przedstawiały Emmie, nie miała co do tego żadnych wątpliwości, nawet zanim jeszcze trafiła na znane zdjęcie, przedstawiające Emmie w różowo-zielonej sukience. Podpis wyjaśniał wszystko: „Emily Marr i jej były partner, Matt Piper, na weselu w rodzinie Piperów w hrabstwie Kent”. Te same długie blond włosy, wygięte łukowato brwi i intensywne cienie na powiekach, nałożone dokładnie tak samo jak wtedy, gdy wyszły razem wieczorem na wino. Niektóre zdjęcia musiały być dawniejsze, bo ukazywały młodą kobietę, prawdziwą piękność. Nie wyglądała na nich na kogoś, kto zajmuje się sprzątaniami domów lotniskowych albo ma problemy z opowiadaniem o swoim życiu prywatnym.

Na kolejnej stronie z wynikami wyszukiwania Tabby zauważyła dwa niewidziane wcześniej zdjęcia: na jednym Emmie trzymała naręczne gazet, chowając w nich twarz, a na drugim widać było całą postać, z której emanował znajomy smutek. Emmie tutaj ubrana była w czarny płaszcz i kozaki, głowę miała owiniętą czarnym szalem, a na twarzy ciemne okulary. Czy to było już po „wygnaniu”? Tabby ze zdumieniem

przeczytała podpis: „Emily Marr wychodząca z cmentarza Willbury w Hertfordshire po pogrzebie swojego ojca, marzec 2012”. Aż głośno odetchnęła – marzec! Tak niedawno! Ona sama czuła, jakby jej własny ojciec zmarł wczoraj, a przecież było to już sześć lat temu. Biedna Emmie, jak bardzo musiała cierpieć – a w dodatku, jak teraz pojęła Tabby, musiała cierpieć w milczeniu.

Teraz wróciła do strony pokazującej wyniki wyszukiwania bez filtra. Przebiegała oczami kolejne nagłówki: CZY EMILY MARR TO NOWA CHRISTINE KEELER?; EMILY MARR – KONIEC Z TOBĄ, DZIWKO; CO SIĘ STAŁO Z EMILY MARR?; EMILY MARR – WRÓG PUBLICZNY NUMER JEDEN; NIENAWIDZĘ EMILY; DOWCIPY O EMILY MARR; SKRADNIJ TEN STYL: EMILY MARR... I tak dalej, i dalej, trzeba by mieć rok, żeby to wszystko przeczytać. Tabby zaczęła od hasła w Wikipedii:

Emily Rachel Marr (ur. 13 lipca 1980) – Angielka, która ściągnęła na siebie uwagę mediów w lutym 2012, podczas dochodzenia w sprawie śmierci Sylvie Woodhall, Alexandra Woodhalla i Hugo Woodhalla. Wyszło wtedy na jaw, że Marr miała romans z mężem Sylvie, Arthurem Woodhallem, światowej sławy okulistą, który leczył m.in. członków angielskiej rodziny królewskiej. Marr, która mieszkała na tej samej ulicy co państwo Woodhallowie, słynnej Walnut

Grove w południowym Londynie, i pracowała w pobliskiej kawiarni prowadzącej warsztaty ceramiczne, była ostatnią osobą, z którą Sylvie Woodhall rozmawiała przed śmiercią. Choć nigdy nie postawiono jej żadnych zarzutów, Emily Marr spotkała się z powszechnym potępieniem z powodu braku współczucia dla żony swojego kochanka, a zwłaszcza za wypowiedziane w rozmowie z Sylvie słowa: „wszelkie chwyt dozwolone”, które zostały zacytowane przez prowadzącego dochodzenie koronera i opublikowane przez dziennikarkę Ninę Meeks w czasopiśmie „Press”. W rezultacie została publicznie napiętnowana przez Kościół anglikański, wicepremiera i kilka ugrupowań feministycznych za pogardę dla instytucji i wartości małżeństwa i nieokazanie skruchy. Skandal osiągnął wielkie rozmiary dzięki mediom elektronicznym, ale jego początkiem były artykuły napisane przez Ninę Meeks, która w 2007 została laureatką nagrody National Press Award i obecnie jest typowana jako pewna kandydatka do tej samej nagrody za swoje głęboko zaangażowane teksty dotyczące tragedii rodziny Woodhallów.

Informacje w rozdziale obejmującym dzieciństwo i rodzinę Emily nie miały żadnych uwierzytelniających odnośników, ale można się było z nich dowiedzieć, że urodziła się w Hemel Hempstead w Hertfordshire,

uczęszczała do miejscowej podstawówki, a następnie liceum, gdzie na maturze uzyskała dobry wynik z języka angielskiego. Jej matka zmarła na raka jajnika, gdy Emily miała dziewięć lat, i od tamtej pory Emily wraz bratem byli wychowywani przez ojca, który nie ożenił się ponownie. Kiedy Emily miała dwadzieścia kilka lat, stwierdzono u niego chorobę Alzheimera, która doprowadziła do jego śmierci w wieku sześćdziesięciu trzech lat, w marcu 2012 roku.

Tabby przeszła do rozdziału zatytułowanego *Skandal*:

Podczas dochodzenia Arthur Woodhall i Emily Marr zeznali, że spotkali się po raz pierwszy na przyjęciu bożonarodzeniowym w grudniu 2010, a ich romans zaczął się w lutym następnego roku. Ich uczucie było na tyle silne, że w lipcu doktor Woodhall postanowił opuścić żonę i zamieszkać z panną Marr. Miał właśnie jechać do rodzinnego domu letniskowego w Sussex, by oznajmić żonie o swojej decyzji, gdy w jego londyńskim domu zjawili się policjanci z informacją o potrójnej tragedii. Emily Marr była przy tym obecna, ponieważ spędziła poprzednią noc z Arthurem Woodhallem, co bardzo wzburzyło rodzinę pani Woodhall i przez krytyków panny Marr zostało uznane za wyjątkowo niegodne.

Dalsze losy

Niewiele wiadomo o losach Emily Marr po tym,

jak wyprowadziła się z mieszkania przy Walnut Grove pod koniec lutego 2012.

Komenda policji w Hertfordshire otrzymała zgłoszenia po pogrzebie ojca Emily na początku marca, zakłóconym przez fotografów, którzy usiłowali dostać się na miejsce pochówku, oraz po wydarzeniach w Newbury w hrabstwie Berkshire, gdzie jak sądzono, Emily Marr ukrywała się w domu swojego brata Philipa. Uważa się, że potem panna Marr musiała osiąść za granicą, żeby uniknąć publicznej nagonki rozpętanej przeciwko niej w Wielkiej Brytanii. W internetowych doniesieniach wymieniano takie kraje, jak Maroko, Australia czy Holandia. Pomimo padających zewsząd oskarżeń panna Marr nigdy nie udzieliła wywiadu ani nie zdecydowała się wypowiedzieć w żadnych środkach przekazu, pozostając, jak to określiła gazeta „Sunday Times” w poświęconym jej artykule w czerwcu 2012, jedną z „Dziesięciorga Najbardziej Tajemniczych Zaginionych w UK”, obok Agathy Christie i lorda Lucana. W ostatnim okresie opinia publiczna zmieniała nieco nastawienie do panny Marr i coraz częściej pojawiają się pod jej adresem także wyrazy uznania za odrzucenie łatwej popularności i płynących z niej potencjalnych zysków.

Tabby, zapominając o całym świecie, czytała kolejne

teksty o poprzednim wcieleniu Emmie. Większość wyrażała głównie krytykę lub potępienie. Wiele zawierało przekleństwa i pogróżki, a nawet groźby śmierci. W końcu przerwał jej dzwonek telefonu. Była to Moira, sprawdzająca, czy wszystko zostało posprzątane jak należy. Zaczęła dzwonić do Tabby od czasu ich rozmowy o regułach zabraniających przyjmowania gości w obsługiwanych domach.

– Właśnie wychodzę – powiedziała jej Tabby, wstając z krzesła i rozglądając się po kuchni. Przyciskając telefon ramieniem do ucha, posypała tartę cukrem pudrem przesianym przez sitko. Ciasto prezentowało się doskonale.

– Dopiero teraz? Powinnaś skończyć godzinę temu. Ludzie już jadą z lotniska.

– Wiem, chciałam porządnie tu posprzątać. Wszystko wygląda świetnie. Za minutę już mnie nie będzie.

Wyczuwała irytację Moiry, rozzłoszczonej, że Tabby ciągle wymaga pilnowania.

– Zdajesz sobie sprawę, że otrzymasz wynagrodzenie tylko za ustalone godziny pracy?

– Oczywiście. Nie ma sprawy.

Wyłączyła komputer i wsunęła krzesło na miejsce. Umyła i wytarła sitko, odłożyła je do szafki i skierowała się do wyjścia. Akurat teraz mało ją obchodziło, czy w ogóle dostanie jakieś wynagrodzenie.

Pędziła do domu na rowerze Emmie ścieżką wzdłuż

winnic, nie zwracając uwagi na mijanych turystów. Nie chciała dłużej czekać, nie miała zamiaru chodzić na paluszkach wokół Emmie i jej rozkładanych po domu teczek z papierami. Nie można od nikogo oczekiwać, że dowie się takich rzeczy (że podejrzewa takie rzeczy, poprawiła się w myślach) i nic z tym nie zrobi. Jeśli rozmowa z Emmie doprowadzi do tego, że straci mieszkanie, to trudno.

W domu było chłodno i cicho jak zwykle, jak zwykle też za szybami, przez które mógłby zajrzeć tylko wyjątkowo zręczny akrobata, okiennice były zamknięte. Lecz teraz nareszcie wiedziała dlaczego. Emmie drzemała na kanapie, ale podniosła się na dźwięk otwieranych drzwi. Tabby hałaśliwie oparła rower o ścianę, zatrzasnęła za sobą drzwi i weszła do salonu. Zatrzymała się przed kominkiem, starając się wyrównać oddech i przygotować pierwsze zdanie. Nikt by nie zgadł, pomyślała, patrząc na ziewającą kobietę na kanapie – z bladą cerą i niestaranną fryzurą, zarysem twarzy nabierającym ciężkości i figurą tracącą linię. Nawet charakterystyczny kształt brwi Emmie jakoś się rozmył. Nie można by się domyślić, że to ta sama osoba.

– Aleś mnie przestraszyła – wymamrotała Emmie, siadając prosto. – Co się stało?

Tabby poczekała, aż ich oczy się spotkają, zanim powiedziała:

– Emmie, ja wiem.

– Co wiesz?

Nastąpiła między nimi chwila zawieszenia, w której Tabby miała jeszcze szansę powstrzymać swoje rewelacje, a Emmie – uniknąć zderzenia z prawdą. Ale nie trwała długo.

– Wiem, że nie jesteś tym, za kogo się podajesz. Nie jesteś Emmie Mason.

Emmie nerwowo przeczesła włosy, marszcząc brwi.

– O czym ty mówisz?

– Jesteś Emily Marr, prawda? Dziewczyną ze sprawy Woodhallów? Proszę, nie zaprzeczaj, to nie ma sensu. Właśnie przeczytałam o wszystkim w internecie. Widziałam twoje zdjęcie w tej samej sukience, tej, którą włożyłaś, jak wyszłyśmy razem wieczorem. To musisz być ty.

Zapadła cisza. Emmie opuściła ręce na kolana i utkwiała w nich wzrok.

– Wiedziałaś, że wiesz – powiedziała po chwili.

Tabby przeszła przez pokój, żeby usiąść koło niej, pełna ulgi, że przyznanie się nastąpiło tak szybko, i podekscytowana wizją dalszych wyznań.

– Wiedziałaś od samego początku?

– Nie, skąd. Dopiero dzisiaj. Byłam za granicą, kiedy to wszystko było w mediach, nic z tych rzeczy do mnie nie dotarło.

Słowo rzeczy jakoś źle zabrzmiało, bo chodziło o cudze życie, życie zmienione nie do poznania.

Emmie powiedziała tylko:

– Aha.

Tabby pochyliła się, chcąc zająrzeć jej w oczy.

– Powiesz mi o tym, Emmie? Wiem, że pewnie trudno o tym mówić, ale chciałabym zrozumieć. Powiedz mi od początku do końca, o wszystkim. Jak poznałaś Arthura, jak to się stało, że byłaś tak sławna, a jednocześnie tak... – Przypomniała sobie słowo, które najczęściej pojawiało się w przeczytanych artykułach. – ...tak znieawidzona. Trudno mi to wszystko pojąć. – Kiedy Emmie nadal milczała, dodała: – Oczywiście, jeśli chcesz. Tak tylko pomyślałam, że chciałaś się komuś zwierzyć, wiesz, nawet podświadomie, gdy zostawiłaś wczoraj na wierzchu tę teczkę po tym, jak widziałam twoje zdjęcie.

Przypomniała sobie jednocześnie, że przecież Emmie nie mogła wiedzieć, iż przeczytała wycięte z gazety wspomnienie o Sylvie Woodhall, ale szczegóły i tak nie miały już znaczenia.

Emmie nagle jakby podjęła decyzję. Wstała, wyprostowała się i spojrzała na Tabby z zupełnie nowym wyrazem twarzy: o ile wcześniej jej spojrzenia wydawały się ostrzegać przed zbytnią ciekawością, o tyle teraz jakby ją chłoneły, obiecując całkowite zaspokojenie. Ta nagła zmiana zdziwiła Tabby, bo w postawie Emmie przebijała też dziwna wzniosłość, jakby była hollywoodzką gwiazdą, która przez długi czas żyła incognito, ćwicząc się do roli zwykłej śmiertelniczki, a teraz wreszcie może zdradzić swoją

tożsamość i znowu zająć należną sobie pozycję.

Nie mówiąc ani słowa, skierowała się ku schodom.

– Emmie? – zawołała za nią Tabby. – Wszystko w porządku? Naprawdę nie chciałam zrobić ci przykrości...

Poczuła się zdezorientowana. W co się właściwie wpakowała? Czy rozsądnie było tak rzucać Emmie wszystko prosto w twarz? Czy jej słowa nie zabrzmiały jak oskarżenie, jakby miała zamiar ją potępić, tak samo jak to zrobił cały świat? Czy nie powinna była raczej zapewnić jej, tak jak wcześniej, że stoi po jej stronie, niezależnie od okoliczności? Czy rzeczywiście kierowała się troską o Emmie, czy może bardziej własną ciekawością i chęcią odkrycia cudzych sekretów – tą nieładną cechą, która wyszła na jaw, kiedy tu przyjechała?

Te nieprzyjemne myśli przerwał powrót Emmie. Stała znowu przed Tabby, tym razem trzymając w ramionach laptop. Dziwna postawa dumy zniknęła, podobnie jak zachłanne spojrzenie – wyglądała teraz, jakby była niespokojna, jakby ledwie ukrywała smutek. Tabby wiedziała, że wcale nie była osobą, którą opisywano jako kobietę bez serca, skandalistkę, godną pogardy i znacznie gorzej. Zanim jeszcze poznała wszystkie najważniejsze fakty, zrozumiała już, jak wielką niesprawiedliwość wyrządzono jej nowej przyjaciółce.

Wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia Emmie.

– Słuchaj, powinnam powiedzieć już wcześniej, że nie mam żadnego zamiaru cię oceniać. Cokolwiek się stało, możesz mi o tym opowiedzieć, wysłucham cię. Jak przyjaciółka.

Nic nie mówiąc, Emmie delikatnie położyła laptop na kolanach Tabby, niczym najcenniejszy dar.

– Wszystko jest tutaj – powiedziała.

– Co masz na myśli?

– Wszystko, o co chciałabyś mnie zapytać, wszystkie szczegóły, to jest tu opisane. Najlepiej będzie, jak sama przeczytasz.

– Pisałaś dziennik?

– Nie dokładnie, nie dzień po dniu, ale opisałam wszystko z mojego punktu widzenia. Wszyscy byli tacy pewni, każdy wiedział, co się stało i kim byłam. A to jest moja wersja wydarzeń. Tu jest prawda.

Tabby poprawiła sobie komputer na kolanach i podniosła ekran.

– To właśnie robiłaś wieczorami? Pisałaś?

Emmie nie odpowiedziała, stała tylko, patrząc na laptop, jakby już żałowała, że wypuściła go z rąk. Wyraz jej twarzy był tak żałosny, że Tabby ścisnęło się serce. Wyglądała na więcej niż trzydzieści dwa lata, złamana i wymęczona, jak cień pięknej młodej kobiety, której zdjęcie Tabby widziała w internecie godzinę wcześniej.

– Jesteś pewna, że chcesz, żebym to przeczytała?

– Tak. Ale proszę, uważaj. To wszystko, co mam.

Tabby nie potrzebowała kolejnego zaproszenia. Włączyła komputer. Widok pulpitu pokazał się dopiero po dłuższej chwili – to był naprawdę stary sprzęt.

– Jakie jest hasło?

– „Woodhall”.

– Tak jak...? – To było głupie pytanie. – Aha. A jak się nazywa plik?

– Jest na pulpicie. „Emily Marr”.

To był duży dokument. Kiedy Tabby go otworzyła, okazało się, że tekst ma ponad sto stron. Wiedziała, że woli czytać w samotności; nie mogłaby się skupić, gdyby Emmie stała jej nad głową, zdenerwowana i pełna oczekiwaniami, w każdej chwili gotowa zabrać jej komputer.

– Mogę go wziąć na górę, do mojego pokoju?

Emmie skinęła głową.

Tabby wstała i skierowała się ku schodom. Kiedy mijala Emmie, pewna myśl przyszła jej do głowy – coś miłego, co mogłoby złagodzić atmosferę pełną dramatycznych gestów.

– Nie mówiłaś, że miałaś urodziny – rzuciła pogodnie, starając się ukryć napięcie w głosie.

– Jak to?

– Dwa tygodnie temu, trzynastego lipca? Nic nie wiedziałam, inaczej znalazłabym dla ciebie jakiś ładny prezent.

Emmie spochmurniała nagle i Tabby się złękła, że powiedziała coś, czego nie powinna, ale po chwili

Emmie spojrzała na nią rozjaśnionymi oczyma.
– Nie mam głowy do urodzin – powiedziała.

Rozdział 19

Emily

Sprawdziłam to dokładnie – nigdy jeszcze dochodzeniu w sprawie śmierci zwykłego obywatela nie towarzyszył taki rozgłos. Zwykłego to znaczy takiego, który nie był za życia znaną osobistością ani sławą, bo poza tym świat Sylvie Woodhall daleki był od zwykłości: dom przy Walnut Grove, wart co najmniej trzy miliony funtów, słynny mąż i dzieci uczęszczające do prywatnych szkół. A do tego „sabat” dobrze ustawionych życiowo znajomych.

Na przykład Nina Meeks, jej najbliższa przyjaciółka, dziennikarka ciesząca się władzą i szerokimi wpływami. Jeżeli do tej pory nie doceniałam w pełni, jak rozległe były te wpływy, miałam się o tym wkrótce przekonać. Zazwyczaj pisywała o jakichś toczących się sprawach, o skandalach już głośnych, ale tym razem postanowiła sama stworzyć temat. Napisała o tym w artykule, od którego wszystko się zaczęło – „wszystko” to znaczy nie tyle mój upadek, bo przecież już dawno byłam na kolanach, ale moje publiczne upokorzenie, symboliczne zamordowanie mojej osoby.

Zresztą mniejsza o nazwę.

Ale to się zaczęło dopiero w piątek rano. Kiedy koroner ogłosił orzeczenie w czwartek przed

południem, wiadomości nie trafiły od razu do internetu. Prawie nic się nie pojawiło, gdy po południu w pracy wpisałam w wyszukiwarkę „dochodzenie Woodhall” – tylko doniesienia o wypadku z poprzedniego lata. Poczekałam więc, aż Charlotte gdzieś się oddali, i zadzwoniłam do biura koronera – w ostatniej chwili, bo była już prawie czwarta po południu i za parę minut wszyscy szli do domu. Zostałam poinformowana, że w orzeczeniu stwierdza się śmierć w wyniku wypadku komunikacyjnego.

Wciąż oszołomiona cierpieniem po spotkaniu z Arthurem, nie zwróciłam szczególnej uwagi na tę wiadomość. Tego się w końcu należało spodziewać. Formalnego potwierdzenia, że Sylvie nie miała zamiaru zabić siebie ani swoich synów; jeśli chciała czyjejs śmierci, to zapewne jedynie mojej. Dopiero kiedy wróciłam do domu, zorientowałam się, że powiedziano mi tylko połowę – albo nawet jedną trzecią. Poszukawszy znowu w sieci, znalazłam sprawozdanie opublikowane przez lokalną gazetę z Sussex, która przytoczyła orzeczenie koronera w całości:

Według wszelkich danych należy orzec, że śmierć pani Woodhall nie nastąpiła wskutek świadomego działania. Nie wydaje się prawdopodobne, by zamierzała popełnić samobójstwo, i na tej podstawie kwalifikuję jej zgon jako śmierć w wyniku wypadku. Jednak rozważając okoliczności śmierci jej dwóch synów,

należy stwierdzić, że każda trzeźwo myśląca osoba zdawałaby sobie sprawę, że chłopcy zostali narażeni na niebezpieczeństwo utraty życia.

W dochodzeniu ustalono, że siedzący na tylnym siedzeniu Alexander Woodhall nie miał w momencie zderzenia zapiętych pasów i że ten fakt znacząco obniżył jego szanse na przeżycie w porównaniu z sytuacją, w której siedziałby na tylnej kanapie pojazdu z przepisowo zapiętymi pasami bezpieczeństwa. Ustalono również z dużym prawdopodobieństwem, że odpiął swoje pasy, gdy usiłował przejąć kontrolę nad samochodem po tym, jak Sylvie Woodhall tę kontrolę utraciła. Należy stwierdzić, że takiego rozwoju sytuacji można było uniknąć, podobnie jak można było uniknąć śmierci jego brata, Hugo Woodhalla, zajmującego przedni fotel pasażera. Orzekam zatem, że śmierć Alexandra Woodhalla i Hugo Woodhalla nastąpiła wskutek niezgodnego z prawem pozbawienia życia.

Rozpłakałam się wtedy z żalu nad Arthurem. Jakże strasznie musiał się czuć, słysząc, że jego żonę obarczono odpowiedzialnością za śmierć ich dzieci (nawet jeśli nie własną) i uznano w gruncie rzeczy za winną przestępstwa! Kiedy zasypiałam tego wieczora, miałam przed oczyma jego twarz. Tak bardzo pragnęłam móc go utulić, ucałować, pocieszać, chronić

go swoją miłością właśnie w tę najgorszą noc.

Nie chciałybym niesłusznie oskarżać Niny. Publikując tekst w gazecie, która ukazała się następnego dnia, pewnie wcale nie sądziła, że wywoła aż taką burzę. Być może pisząc to wszystko, kierowała swoje słowa przede wszystkim do mnie. W każdym razie byłam o tym przekonana, gdy w piątek o ósmej rano ktoś zadzwonił do drzwi, a kiedy otworzyłam, w skrzynce na listy tkwił egzemplarz „Press”. Wyciągając gazetę, oderwałam niechcący przyklejoną do niej żółtą karteczkę ze słowami: „Zajrzyj na s. 13”.

To był cotygodniowy felieton Niny, cała strona. Wkrótce miałam się przekonać, że jej felietony były czymś znacznie więcej niż poczytną lekturą – to była narodowa instytucja, a wielu ludzi kupowało „Press” właśnie dla nich. Nawet w dzisiejszych cyfrowych czasach piątkowe przemyślenia Niny często stawały się tematem dyskusji na weekendowych przyjęciach w całym kraju.

Teraz nagłówek brzmiał *Zapamiętaj, jak się nazywam*, a na zdjęciu, zamiast gwiazdy filmowej, polityka czy kogoś znanego, byłam ja. Ja. Jeszcze zanim zdążyłam sformułować w głowie jakieś myśli, mój system nerwowy zareagował gwałtowną paniką, przyspieszając mi oddech i podnosząc temperaturę. Stojąc tak, bosy i w pizamie, w korytarzu domu pod numerem 199, usiłowałam się skupić na zdjęciu, które miałam przed oczami, zrozumieć, na co w ogóle patrzę.

Po chwili rozpoznałam sukienkę i fryzurę i uświadomiłam sobie, że to musi być jedna z fotek z wesela kuzynki Matta, Gemmy, sprzed dwóch lat. Postać Matta wycięto ze zdjęcia, została tylko jego dłoń na moim prawym łokciu. Bez żadnego kontekstu i tła wyglądałam beztrosko, jakbym o nic nie dbała i nie przejmowała się niczym na całym świecie. Nie widziałam tego zdjęcia od bardzo dawna i domyśliłam się, że musiało zostać wzięte z jakiegoś portalu społecznościowego, ze strony Gemmy albo któregoś z gości.

Felieton zaczął się tak:

Rzadko pisuję o „cywilach”, ludziach, którzy nie są sławni i wcale sławy nie pragną. Jako felietonistka specjalizuję się w osobach publicznych, ludziach, których wszyscy znamy i odczuwamy potrzebę, by o nich rozmawiać. Zdarzają się jednak chwile, kiedy dopada mnie paradoks współczesnego dziennikarstwa: że musimy robić sensację z drobnych wydarzeń w życiu różnych słynnych postaci, a nie zauważamy prawdziwie sensacyjnych historii wśród tych, o których nikt nigdy nie słyszał.

Więc może czasem powinniśmy o nich usłyszeć.

Moim zdaniem powinniście poznać nazwisko Emily Marr. Wypowiedzcie je głośno. Zapamiętajcie. Emily Marr. Ja naturalnie już je

znam, bo należy do najbardziej znienawidzonej osoby w mojej okolicy.

Jestem przekonana, że zasłużyła sobie na to, by stać się także najbardziej znienawidzoną osobą w Wielkiej Brytanii. Sądzę, że pewien koroner z Sussex zgadza się ze mną w zupełności.

Łapiąc oddech bolesnymi skurczami, czytałam z rosnącym przerażeniem, jak Nina opisuje wydarzenia z lipca 2011 roku, a potem cytuje fragmenty moich zeznań sprzed paru dni, włączając w to, oczywiście, „wszelkie chwytów dozwolone” (do czego dodała wykrzyknik), a także z dawniejszych przesłuchań (udało jej się, rzecz jasna, zdobyć wszystkie materiały – nieważne, jakimi środkami, w końcu była dziennikarką). Nie rozumiałam wtedy jeszcze, że chociaż w tekście przytoczyła treść orzeczenia koronera, to zapewne napisała większość na dużo wcześniej, przygotowując się do kampanii w obronie brytyjskiej moralności, kampanii, za którą jej redaktor naczelny został następnie odznaczony. Nina już od miesięcy szykowała zemstę.

Wszelkie chwytów dozwolone – takie właśnie wyzwanie rzuciła Emily Marr tego straszego licowego wieczora, a Sylvie, jak zrobiłaby każda dobra żona i matka, wsiadła do samochodu i ruszyła w drogę, by walczyć o swoje małżeństwo i o człowieka, którego obdarzała miłością i szacunkiem od ponad dwudziestu lat. Jakoś nie wspomniała, że Sylvie zdążyła wypić dwie

butelki wina i zażyła środki uspokajające, zanim wzięła się do spełniania obowiązku dobrej żony i matki. Czytałam dalej:

Trzeba to jasno powiedzieć, przestępstwo Emily Marr nie będzie pamiętane przez stulecia, żadna z niej Lizzie Borden. Popełniła czyn mniejszy, bardziej swojski; mogła mieć nadzieję, że nigdy nie wyjdzie on na jaw – o ile sama nie chciałaby o nim opowiedzieć. Miała romans z żonatym mężczyzną, ojcem rodziny; zignorowała prośby jego żony, walczącej o dobro dzieci. W ten sposób doprowadziła pośrednio do śmierci trzech osób. Nie jest seryjną morderczynią, zapewne, ale moim zdaniem to ona zabiła dzieci Sylvie i z tego miejsca apeluję o publiczne uznanie tego faktu. Dzisiaj ta gazeta rozpoczyna nową kampanię w obronie starych zasad i proszę was raz jeszcze:

Zapamiętajcie jej nazwisko.

Emily Marr jest młodą kobietą, która reprezentuje to wszystko, co się w naszym społeczeństwie zepsuło. Nie ma szacunku dla nikogo, za to wielkie poczucie własnej ważności. Chce rzeczy, którą sobie upatrzyła, bez żadnego starania i bez względu na to, czy ta rzecz nie należy już do kogoś innego.

Teraz dostała, czego chciała.

Choć teraz brzmi to strasznie naiwnie, najpierw

pomyślałam, że Nina spreparowała ten egzemplarz gazety specjalnie na mój użytek, żeby mnie przestraszyć i ukarać; nie mieściło mi się w głowie, że mogła coś takiego opublikować. Musiałam jeszcze to sprawdzić, żeby się uspokoić – po drodze do pracy miałam zamiar kupić dzisiejszy „Press”, albo jeszcze lepiej, mogłam zajrzeć do internetu i zobaczyć, czy felieton już ukazał się na stronie.

Wróciłam do mieszkania i znalazłam stronę „Press”. I wtedy horror stał się rzeczywistością – to nie była żadna prywatna zemsta, ale publiczne obwieszczenie. Oto miałam przed oczami ten sam tekst, w całości, słowo w słowo. Nina Meeks opowiedziała całemu krajowi, milionom czytelników, o moim życiu.

Na dole strony zobaczyłam dziesiątki komentarzy, a było dopiero wpół do dziewiątej rano:

Jak dla mnie zwyczajna dziwka...

Bez serca, samolubna zdzira. Nina Meeks ma rację, że pokazuje publicznie takie historie. Moim zdaniem winna jest nasza telewizyjna kultura reality show. Ludzie chcą różnych rzeczy za nic, nawet jak mają ukraść komuś, kto ciężko na nie pracował.

Co za p*zda. Jaka ochydna sukienka.

Nawet jedyny mniej krytyczny komentarz, który znalazłam, był nieprzyjemny: „Bez żartów, zobaczcie sami jaka z niej ślicznotka! Żona pewnie była koło pięćdziesiątki, kogo byście woleli popychać?! Założę

się, że doktorek sam grzebał przy hamulcach!!”.

Ktoś inny odpowiedział: „Przeczytaj artykuł, palancie. Biedny facet stracił DZIECI w tym wypadku!”.

Trzęsąc się cała, zamknęłam tę stronę. Po chwili wpisałam w wyszukiwarkę: „Lizzie Borden” i zaraz dowiedziałam się, że była to głośna dziewiętnastowieczna morderczyni. Co prawda nie zostałam do niej porównana, ale nasze nazwiska pojawiły się obok siebie w tym samym zdaniu w ogólnokrajowej gazecie, tuż przed stwierdzeniem: „to ona zabiła dzieci Sylvie” – jak więc mieli zareagować czytelnicy?

Wyłączyłam komputer. Jak głupia wciąż miałam zamiar iść do pracy. Ubrałam się i właśnie miałam wychodzić, kiedy zadzwonił Matt. Nie kontaktował się ze mną od dnia, kiedy się wyprowadził, więc ten telefon musiał znaczyć, że znalazłam się w naprawdę krytycznej sytuacji.

– Jasna cholera, Emi, co się dzieje? Przyszedłem właśnie do pracy i zobaczyłem jakieś wirale o tobie w internecie!

– Co ty mówisz?

– Nie wiem, co to takiego, ale wszędzie są twoje zdjęcia. To wygląda jak jakaś nagonka. Jest nawet moje zdjęcie, jak kupuję drinka, kogoś tu porąbało!

Poczułam, jak serce zaczyna mi walić.

– To pewnie przez to, co Nina napisała w „Press”...

– Jaka Nina?

– Nasza sąsiadka – to znaczy moja sąsiadka. Dziennikarka, z ciemnymi włosami, na obcasach, przyjaciółka Sary Laing, pamiętasz?

– Nie bardzo. Jak ma na nazwisko? Sprawdzę na Twitterze.

Przeliterowałam nazwisko Niny, słysząc strach we własnym głosie.

– Mam tutaj link do jej artykułu, poczekaj... – powiedział.

Czekałam, aż skończy czytać, oddychając z trudem.

– Spotykałaś się z tym gościem, którego rodzina zginęła w zeszłym roku? Musiałaś zeznawać?

– Tak.

Matt nie potrzebowałby wiele czasu, żeby zauważyć, że ostatnie miesiące naszego wspólnego życia nakładały się na początek romansu z Arthurem, ale teraz było to moje najmniejsze zmartwienie. Jego najwyraźniej też.

– Emi, poważnie, powinnaś pozamykać swoje konta, pocztę i fejsa, i co tam jeszcze masz. Zaraz zaczniesz dostawać pogróżki. Tę kobietę śledzi na Twitterze ponad pół miliona ludzi. O kurde, właśnie znowu napisała coś o tobie, to jakiś kosmos! Posłuchaj, napisała tak: „Zgadzam się, nie zasługuje na nic lepszego. I mówię to jako ktoś, kto żywi szacunek dla pamięci Ruth Ellis”. Kto to w ogóle jest Ruth Ellis? – zapytał.

– Chyba ostatnia kobieta, którą powieszono w Wielkiej Brytanii?

– No tak, to by się zgadzało, tu jest cały wątek: ona

odpowiadała jakiejś kretynce, co napisała: „Trzeba przywrócić karę śmierci!”. Chodzi jej o karę śmierci *dla ciebie*. Jezu, to nie wygląda dobrze...

– Nie mów mi nic więcej – poprosiłam. Ręce mi się trzęsły tak mocno, że słuchawka uderzała mnie rytmicznie w ucho.

– Czy to nie jest pomówienie albo coś w tym stylu? Chyba musisz iść do jakiegoś prawnika. – W jego głosie zabrzmiał gniew.

– Nie mam pieniędzy na prawnika – odparłam.

Kiedy skończyliśmy rozmawiać, usiadłam na kanapie z głową w dłoniach. Zamknęłam oczy. Nie potrafiłam zrozumieć brutalności tego wszystkiego. Czułam się, jakby nastąpiła jakaś eksplozja, która tak mnie oślepiła, że ciągle jeszcze nie widziałam rozpryskujących się odłamków. Wczoraj rano koroner zamknął dochodzenie i wydał orzeczenie w sali pustej do połowy. Czy wiedział o felietonie Niny? Czy mógłby zrobić cokolwiek, żeby „Press” wycofało się z publikacji? Jak ona to napisała: „Sądzę, że pewien koroner z Sussex zgadza się ze mną w zupełności”... Czy to była prawda? Czy w ogóle można było publikować tego rodzaju stwierdzenia? Czy pod maską sprawiedliwości, bezstronności i współczucia ten człowiek mógł zgadzać się z każdym słowem Niny?

Mógł.

Matt miał rację w sprawie pogrózek i maili pełnych nienawiści. Udało mi się zamknąć konto na Facebooku,

zanim jeszcze zostało zalane komentarzami. Moja skrzynka mailowa zaczęła pękać w szwach, więc od razu się wylogowałam.

Zrozumiałam, że nie mogę iść do pracy. Zadzwoiłam do Charlotte i ucieszyłam się, że odezwała się poczta głosowa i nie muszę z nią rozmawiać. Zostawiłam wiadomość, że w sprawie, w związku z którą byłam już wzywana w środę, pojawiły się kolejne problemy natury prawnej, ale że przyjdę do pracy nazajutrz – w sobotę, która zawsze była dniem największego ruchu i przyjęć urodzinowych. Mogłam się tylko modlić, żeby nie dotarło do niej, jakie to były problemy – o ile już tego nie wiedziała.

Kiedy to załatwiłam, a głos Matta ucichł w mojej pamięci, doznałam poczucia, które miało mi bez przerwy towarzyszyć w kolejnych tygodniach: osaczenia i zaszczucia – a było to jeszcze zanim przed drzwiami pojawili się fotoreporterzy. Usiłowałam zachowywać się normalnie, potraktować ten dzień jako niespodziewane wakacje. Wzięłam prysznic (ale dotyk wody był niczym uderzenie, bo zakończenia nerwowe w mojej skórze były jakby dziesięć razy bardziej wrażliwe niż zwykle), oglądałam telewizję (nie było żadnych programów na mój temat – jeszcze) i zrobiłam pranie – starałam się chociaż na dwie minuty zapomnieć, że w ogóle czytałam felieton Niny, który uruchomił diabelską maszynę. Uparcie ignorowałam dzwoniący telefon, odrzucając połączenie za

połączeniem, również od Phila, ale nie potrafiłam oderwać się od laptopa. Wczesnym popołudniem po wpisaniu mojego nazwiska w wyszukiwarke pojawiały się tysiące wyników – tysiące, w ciągu zaledwie paru godzin! – i z każdą chwilą było ich coraz więcej. Najbardziej przyciągały mnie komentarze pod tekstem Niny, których teraz zrobiło się wiele setek. Były wśród nich zdumiewająco radykalne opinie dotyczące mojego wyglądu i atrakcyjności, szokujące osądy, że jestem wstrętną wiedźmą zasługującą na rychły koniec albo dziwką, która pcha się facetom do łóżka. Dzięki Bogu oskarżenie o zabicie rodziny Woodhallów nie zostało aż tak chętnie podchwyczone, ale swobodnie porównywano mnie do różnych osławionych postaci historycznych, zwłaszcza słynnych kurtyzan i kochanek. Wymieniano takie, które zostały królowymi, i takie, które skończyły porzucone przez rozrywkowych sportowców, ale żadna z nich, od Maty Hari po Monikę Lewinsky, nie była kobietą, do której kiedykolwiek sama chciałabym się porównać.

Sytuacja wyglądała coraz mniej jak chory żart, a coraz bardziej jak prawdziwy koszmar. Przeglądając SMS-y, trafiłam na jeden od Matta: „Mam nadz. że dajesz radę. Szef właśnie zwolnił mnie wcześniej z pracy. Pierwszy raz w życiu!”.

Tego pierwszego dnia właśnie Matt stał się moim niespodziewanym sprzymierzeńcem. Jego bezwarunkowa lojalność przypomniła mi szczęśliwsze

czasu naszego związku. Zdarzały się tego straszego piątku chwile, kiedy żałowałam, że nie ma go ze mną, że się rozstaliśmy, że kiedykolwiek zamieszkaliśmy na tej ulicy, że poznaliśmy wszystkich tych Laingów, Meeksów i Woodhallów.

Tego wieczora, gdy w sieci zaczęło pojawiać się więcej informacji dotyczących nowego skandalu, przeczytałam zeznania innych osób przesłuchiowanych podczas dochodzenia. Dziewczyna Alexandra, śliczna brunetka, która po wakacjach pojechała na studia do Oksfordu (i której fotografię zamieszczono obok mojej w ilustrowanym zestawieniu dobra ze złem), opowiedziała, że otrzymała od niego wiadomość, wysłaną już z samochodu fatalnego poranka. Był to, jak się okazało, przedostatni kontakt ofiar ze światem zewnętrznym (ostatnia była wiadomość głosowa zostawiona przez Hugo na telefonie ojca): „Matka każe nam wracać do Londynu. Wariuje, ale nie daje mi prowadzić. Zadzwońię jak dojedziemy”.

Podano też dokładne wyniki badań toksykologicznych, z którymi koroner zapoznał się pierwszego dnia: poziom alkoholu we krwi Sylvie wynosił 2,6 promila, podczas gdy dozwolona wysokość wynosi 0,8 promila. Ratownicy opowiadali, jak trzeba było pociąć wrak samochodu, żeby wydobyć ciała jej i Hugo. Alexander wypadł przez przednią szybę i jak to określono, „jego głowa została niemal odcięta od ciała”.

Arthur zapytał obecnego na posiedzeniu patologa, czy którakolwiek z ofiar mogła zachować świadomość pomiędzy zderzeniem a śmiercią. Odpowiedź brzmiała, że zgon z pewnością nastąpił od razu. Zastanawiałam się, czy mogło to być dla Arthura pocieszeniem, zwłaszcza kiedy przeczytałam zeznania innych świadków. Kobieta nazwiskiem Lisa Hawes opowiadała, że widziała twarz Hugo w samochodzie mijającym ją z prędkością około stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę: „Na twarzy miał wyraz kompletnego przerażenia. Przez całe życie nie widziałam czegoś równie okropnego. Jak ktoś siedzący w kolejce górskiej, kto właśnie zobaczył, że wagonik wypadł z szyn i leci w dół ku ziemi”.

Próbowałam wcześniej się położyć i zapomnieć o wszystkim, ale nie potrafiłam uspokoić myśli i zasnąć. Spędziłam tyle czasu przed komputerem, że mój mózg nie umiał przestać wyszukiwać i przeglądać, jakby całe tysiące stron internetowych otwierały mi się w głowie jedno po drugim.

Następnego dnia, w sobotę, niemal każda krajowa gazeta zamieściła relację z dochodzenia, nie tyle ze względu na wagę samej historii (była to bez wątpienia tragedia, ale cokolwiek sądziła Nina Meeks, Sylvie Woodhall nie była księżną Dianą), ile z powodu niespotykanej medialnej sensacji, wywołanej przez felieton w „Press”. Opisywano go jako „wojujący”, „prowokacyjny” i „poruszający”.

W „Press” pojawił się tymczasem kolejny felieton Niny, zatytułowany *Dlaczego obwiniam Emily Marr o odebranie nam wszystkim życia*, w którym stawiała mnie na równi z handlarzami narkotyków i oszustami. Pisała: „W najlepszym razie jest przedstawicielką wszystkiego, co w naszym kraju głupie, a w najgorszym – najbardziej zimnym i niemoralnym z zabójców działających pośrednio w naszym społeczeństwie”. Inna gazeta wydrukowała artykuł *Dlaczego trzydziestka to najbardziej niebezpieczny wiek*, omawiający głównie fakt, że właśnie mając trzydzieści lat, rozpoczęłam mój romans z Arthurem. Zilustrowano go tym samym zdjęciem z wesela, podpisanym: „Emily Marr: zagrożenie dla społeczeństwa?”. Inne zdjęcie z tego samego przyjęcia podpisano: „Zewnętrzne piękno, wewnętrzna brzydota”.

Nie byłam w stanie iść do pracy, chociaż martwiłam się, że opuszczam już trzeci dzień. Kiedy się wahałam, niepewna, co zrobić, zadzwoniła Charlotte i uwolniła mnie od konieczności podejmowania decyzji. Była bardzo poruszona.

– Czemu mi nie powiedziałaś, że byłaś zamieszana w całą tę sprawę?

Wydało mi się dziwne, że ktoś mógł dowiedzieć się dopiero teraz.

– Mówiłam, że byłam tam rano, kiedy wydarzył się wypadek – przypomniałam jej cicho.

– Ale mówiłaś, że ledwo znasz tego gościa? – Nie

czekając na odpowiedź, wykrzyknęła: – Przecież to katastrofa, Emily, ten facet jest jakimś sławnym lekarzem! – Jakbym sama tego nie wiedziała. – Ash mówiła, że ludzie robią telefonami zdjęcia przed kawiarnią i już zjawilo się tutaj dwóch dziennikarzy, w sobotę rano!

Ale ja już wiedziałam, że w internecie nie ma weekendów, nie ma przerw ani wakacji.

– Dacie sobie radę beze mnie?

– No cóż, będziemy musiały. Na pewno nie możesz tu przyjść, wszyscy tylko o tym rozmawiają. Zwali nam się tutaj tłum, którego wcale nie chcemy.

– Na pewno przycichnie do wieczora – powiedziałam, słysząc własny żałośny błagalny głos. – Umówimy się na poniedziałek, jak zwykle?

– Może z tym zaczekajmy, zadzwonię w poniedziałek albo wtorek – odparła. – Zobaczymy, czy rzeczywiście sprawa przycichnie.

Do mnie jednak właśnie dotarło, że nieważne, czy całe to szaleństwo się skończy, czy nie, Charlotte miała zamiar rozmawiać wyłącznie o zwolnieniu mnie z pracy. Moje nieobecności ostatnimi czasy to jedno, ale przede wszystkim nie mogła pozwolić na to, żeby kawiarnia zaczęła się (jeszcze bardziej) kojarzyć z osobą, która zyskała sobie miano najbardziej znieawidzonej w kraju rozbijaczki małżeństw, niszczycielki rodzin. „Wewnętrzna brzydota”.

Siedziałam już w domu półtorej doby, więc

postanowiłam się odważyć na wyjście do sklepu, żeby kupić coś do jedzenia. Bojąc się rozpoznania, związałam włosy i schowałam je za kołnierzem i po raz pierwszy od wielu lat wyszłam z domu bez żadnego makijażu. Udało mi się wszystko załatwić bez problemu, wracałam dłuższą drogą, koło domu Woodhallów pod numerem 11. Kwiaty i liściki znowu pojawiły się na ogrodzeniu, chociaż nigdzie nie pisano, że Arthur wrócił do dawnego mieszkania. Przeczucie podpowiadało mi, że nie.

Kiedy zbliżałam się już do swojego domu, z torbą z zakupami i naręczem gazet w ramionach, zauważyłam, że przy bramie stoi grupka mężczyzn; młodych, zwyczajnie ubranych, najwyraźniej znających się nawzajem. Czterech fotoreporterów. Kiedy mnie dostrzegli, zaczęli zadawać mi pytania i rzucać komentarze, wszystko to pogodnie, swobodnym tonem, jakbyśmy byli starymi dobrymi znajomymi, którzy wpadają na siebie na ulicy: „Jest wreszcie”; „Wszystko w porządku, Emily?”; „Co myślisz o tym, że Nina Meeks zaatakowała cię w taki sposób?”; „Jak się czujesz w roli internetowej sensacji?”. Brzmiało to przyjaźnie, niemal radośnie, kiedy tak podążali za mną ścieżką, żeby mnie sfotografować (nie było przy tym żadnego trzaskania migawek kojarzącego się normalnie z paparazzimi, tylko milcząco wycelowane obiektywy aparatów cyfrowych). Potem napisano o tym jako o mojej strategii, ale schowałam twarz w gazetach tylko

dlatego, że byłam zbyt wstrząśnięta, żeby podnieść wzrok. Jednak dzięki temu nie udało im się zrobić zdjęcia, na którym można by mnie rozpoznać.

Zostali aż do wieczora i rano wrócili znowu, pierwsi paparazzi spośród grupy, która w poniedziałek przypominała już zbiorowisko godne co najmniej zwycięzcy telewizyjnego show albo powracającego do ojczyzny zdobywcy medalu olimpijskiego. To było kolejne surrealistyczne rozwinięcie sytuacji, która już była dla mnie niepojęta, i z wolna moja trzeźwa ocena rzeczywistości zaczęła chwiać się i kruszyć. Wyciągnęłam papierosy, schowane „na wszelki wypadek” w kuchni, kiedy wprowadziliśmy się z Mattem do mieszkania, i zapaliłam po raz pierwszy od półtora roku. Jednego, a potem od razu drugiego i trzeciego. I natychmiast zrobiło mi się niedobrze.

Na mojej komórce zostawiono więcej wiadomości i przysłano mi w ciągu tego dnia więcej SMS-ów niż przez cały poprzedni rok. Ja zadzwoniłam tylko raz, do szpitala.

– Chyba nie będę mogła przyjść w ten weekend – powiedziałam, starając się stłumić drżenie w głosie, pielęgniарce, która odebrała telefon.

– Tak pewnie będzie najlepiej – odparła rzeczowo, z czego wywnioskowałam, że wiadomości o mnie dotarły już do szpitala.

Poprosiłam ją, żeby postarała się trzymać gazety z dala od mojego ojca. Wprawdzie utracił zdolność

rozumienia tekstów dłuższych niż jedno czy dwa zdania, ale mógłby zobaczyć moje zdjęcie i zdenerwować się. Na pewno nie powinien się dowiedzieć, że jego córka została obwołana największym zagrożeniem moralnym dla społeczeństwa.

Poza tym, powodowana jedynie tchórzostwem, nie odbierałam telefonów od brata.

Tego samego wieczora przeżyłam przyprawiające o zamęt w głowie doświadczenie oglądania, jak obcy ludzie dyskutują na mój temat w telewizji. Na jednym z kanałów informacyjnych dwóch dziennikarzy i emerytowany koroner zastanawiali się, czy kampania rozpoczęta przez Ninę jest zwiastunem nowego odważnego dziennikarstwa, końca kultu celebrytów i reality show, które zostaną zastąpione przez rzeczywiste historie zwykłych ludzi.

– Moim zdaniem odbiorców zafascynowało to, że dramat rozgrywa się w prawdziwym życiu, nie w jakimś ustawianym reality show, w którym nikt nie zachowuje się normalnie, bo wszyscy biorą w nim udział tylko dlatego, że chcą zostać sławni.

– Ale czy w ten sposób nie robimy właśnie z Emily Marr celebrytki? Czy to nie inny sposób na osiągnięcie dokładnie tego samego celu?

– Nie, tu nie ma żadnego podobieństwa. Nie ma w ogóle żadnych powodów, żeby sądzić, że ta kobieta chciała przyciągnąć czyjąkolwiek uwagę.

Odetchnęłam głęśniej, słysząc te słowa – czy to

koniec koszmaru, powrót rozumu?

– Chce pan powiedzieć, że to jest czyjaś prywatna sprawa i powinna taka pozostać? – zapytał prowadzący program.

– Chcę powiedzieć, że moim zdaniem to prywatna zemsta Niny Meeks, nie historia o znaczeniu dla całego kraju. Dochodzenia w sprawie wypadków samochodowych toczą się w naszym państwie każdego dnia, w każdym mieście. W tym akurat dochodzeniu nie ma nic szczególnego, co zasługiwałoby na cokolwiek więcej niż wzmiankę w lokalnej prasie albo ewentualnie relację z bardziej sensacyjnych fragmentów w tabloidzie typu „Daily Mail”.

– Ale fakt, że ta historia obudziła tak wielkie zainteresowanie, świadczy o tym, że Nina Meeks dobrze wybrała temat, że ludzie widzą w tym coś znaczącego. Nie wydaje się panu, że być może raz na jakiś czas jakaś młoda kobieta zwraca na siebie uwagę mediów jako reprezentantka swojego pokolenia i może Emily Marr jest właśnie kimś takim? Jak Christine Keeler albo Monica Lewinsky – coś w rodzaju żywego symbolu?

– Pierwsza ikona niemoralności w tym stuleciu? – dorzucił prowadzący.

– Cóż, można by wymienić o wiele więcej osób, które świetnie by się sprawdziły w tej roli.

Wszyscy się roześmiali, po czym mój obrońca odezwał się raz jeszcze:

– Ale przecież to nic nowego – mieć romans

z żonatym mężczyzną i nie zastanawiać się za bardzo nad konsekwencjami, prawda? Wszystkie te wzniosłe słowa o starych zasadach, jakie wciska nam teraz „Press”, to zwykłe bzdury. Wszyscy wiedzą, że zdrady małżeńskie istnieją od zawsze; od wieków zdarzają się takie same skandale. Poza tym mężczyzna, z którym nawiązała romans Emily Marr, to przecież żadna ważna figura. Nie jest to Bill Clinton ani król Hiszpanii...

– Jest znanym lekarzem – przerwał prezydent – o międzynarodowej sławie.

– Tak, ale nie jest osobą publiczną, tak jak znani politycy, prawda? Nie jest sławny w całym kraju.

– Teraz już jest!

Mój obrońca zniecierpliwił się.

– Bardzo przepraszam, moim zdaniem to jest zwykła nagonka i polowanie na czarownice i każdy powinien się poważnie zastanowić, zanim się do niego przyłączy, bo zwykli ludzie nie są przygotowani na radzenie sobie z nagłym prześladowaniem na taką skalę. Ta młoda kobieta nie ma żadnego doświadczenia, obycia z mediami. Być może siedzi teraz w domu i ogląda nas, jak tu o niej rozmawiamy, kompletnie przerażona sytuacją, w której się niespodziewanie znalazła!

– Nie wydaje mi się. Być może nie współpracuje z prasą teraz, ale kto wie, czy nie zobaczymy jej niedługo gdzieś w programie o przeżyciu w dżungli albo w nowej serii *Big Brothera*? Jeśli nie będzie marnowała czasu, wydawcy zapłacą krocie za jej

historię.

Emerytowany koroner, poproszony w końcu o komentarz, powiedział:

– Cieszę się, że opinia publiczna dowiaduje się więcej o dochodzeniach, jakie prowadzimy, o naszej często niedocenianej pracy. Dochodzenia tego rodzaju pozwalają odpowiedzieć na pytania, jakie zadają sobie krewni tych, którzy zginęli, pozwalają wyjaśnić to, co pozostałoby niewyjaśnione, i często niosą pocieszenie.

Po tej spokojniejszej wypowiedzi prezynter zakończył dyskusję. Powiedziałam sobie, że moja historia nie wydobędzie się zapewne dalej niż ten kanał, który nie mógł przecież mieć wielkiej oglądalności, zwłaszcza w sobotę wieczorem, kiedy większość ludzi spotyka się ze znajomymi, bawi się i nawiązuje romanse, które nikogo poza nimi samymi nie obchodzą.

Następnego dnia przeczytałam w niedzielnym wydaniu „Press” napisane przez Ninę wspomnienie o Sylvie. Na Twitterze i podobnych portalach ludzie wyznawali, że czytali ten tekst ze łzami w oczach. Kiedy zajrzałam na stronę gazety, pod tekstem było już ponad osiemset komentarzy. Najwyraźniej internetowa aktywność w weekend jeszcze narastała. Czy ludzie nie mieli nic lepszego do roboty niż czytanie, jak bardzo zdeprawowana jest jakaś kobieta, której nigdy nie znali, i pisanie komentarzy o tym, że kraj schodzi na psy?

Czy Arthur też czytał to wspomnienie? A jeśli tak, to czy podobnie jak ja zatrzymał się szczególnie nad

jednym zdaniem: „Owszem, Sylvie kierowała samochodem tego straszego poranka, ale prawda jest taka, że ktoś ją doprowadził do tragicznej śmierci”.

Co myślał o tym gigantycznym widowisku, które zrobiono teraz ze śmierci jego żony i synów? Czy reporterzy prześladowali go tak samo jak mnie, a jeśli musiał się przed nimi chować, to gdzie? W domu w Sussex, gdzie Sylvie i chłopcy spędzili ostatnią noc swojego życia? W hotelu, może w Inn on the Hill? W klinice przy Harley Street? Gdzie teraz był? Czy miał przy sobie kogoś, kto go pocieszał w nieszczęściu?

Nawet wtedy, w najczarniejszych chwilach, całym sercem pragnęłam, żebym to mogła być ja.

W poniedziałek rano tłumek fotografów i dziennikarzy pod moim domem rósł z każdą chwilą. Dzwonek domofonu rozbrzmiewał bezustannie, a stukanie do drzwi na dole niosło się nawet na pierwsze piętro, wprawiając framugi okienne w drżenia. Głosy nawoływały mnie z dołu, jedne gwałtowne i nagłe, jakby coś się stało, inne melodyjne: „Ee-mi-liiii, Eee-mi-liiii”, jakby w nadziei, że przyciągną mnie do otwartego okna, najlepiej topless i w pełnym makijażu, nic tylko robić zdjęcia. Nie przejmowali się tym, że moje mieszkanie było jednym z trzech w tym budynku i że innym lokatorom może przeszkadzać takie zachowanie. Na szczęście para piętro niżej wyjechała właśnie na wakacje, a wyżej mieszkała trójka studentów medycyny, którzy mieli staże w szpitalu St Barnabas

i bywali w domu o najróżniejszych porach dnia i nocy. W pewnej chwili nastąpił bardzo nieprzyjemny moment, gdy jeden ze studentów, pochodzący z Malezji Ashraf, wchodził właśnie do domu i reporterom udało się sforsować drzwi na dole, kiedy próbował je za sobą zamknąć. Zanim przebrzmiały jego kroki, ciche i znajome, rozległ się na schodach głośny tupot, który zatrzymał się na moim piętrze. Nie wiem, jak długo walili w drzwi i wykrzykiwali moje imię; na wszelki wypadek zabarykadowałam się najcięższym fotelem i zatkałam uszy zatyczkami. Nie miałam wątpliwości, że następnego dnia zdjęcie biednego Ashrafa pojawi się w internecie, zapewne z komentarzem, że to kolejny kochanek tej dziwki z pierwszego piętra.

Wieczorem, zerkając na dół z ukrycia za firanką, zobaczyłam Marcusa Lainga wracającego z pracy. Kiedy doszedł do bramki swojego podwórka, obrócił się w kierunku tłumu dziennikarzy. Zachowywał się swobodnie i bez skrępowania. Po chwili w moim mieszkaniu zabrzmiał sygnał domofonu, krótko i zwyczajnie, jakby dzwonił ktoś znajomy, kto nie trzyma palca na dzwonku po kilka minut.

Oczywiście nie podniosłam słuchawki.

– Widzicie? Marnujecie tu tylko czas. – Usłyszałam jego głos, kiedy wrócił do wyczekujących przed posesją reporterów. – Ona wyjechała. Nie widzieliśmy jej od zeszłego tygodnia. Czemu nie sprawdzicie w pracy?

Nie słyszałam, co odpowiedzieli, ale domyśliłam

się, że pewnie to, iż nie przychodzę do pracy. Może Charlotte powiedziała, że już tam nie pracuję?

– No właśnie, na pewno wyjechała.

Nie wiedziałam, czy próbował mnie chronić, czy tylko wyrażał swoją nadzieję.

– Zresztą trudno jej się dziwić – dodał. – Z wami tutaj!

– A pan dobrze ją zna? – zawołał za nim ktoś z tłumu. – Sympatyczna z niej sąsiadka, co? Podobno lubi takich żonatych?

Rozległ się chóralny śmiech i posypały się kolejne pytania. Wyraźnie spięty Marcus poszedł szybko w stronę swojego domu. Głowę miał schyloną i nie widziałam jego twarzy.

Wieczorem włączyłam telewizję, mając nadzieję, że zapomnę na chwilę o koszmarze przy jakimś filmie, i trafiłam akurat na początek wiadomości w BBC:

– Dziś zajmiemy się pierwszą internetową sensacją 2012 roku – sprawą Emily Marr. Kim właściwie jest Emily Marr i dlaczego stała się w ostatnich dniach głównym tematem w serwisach społecznościowych? Naszym gościem w studiu będzie dziennikarka, która nadała rozgłos całej historii, felietonistka „Press”, Nina Meeks, która uważa, że zna odpowiedź na to pytanie. Chciałbym powiedzieć także, że w imię zasad fair play zaprosiliśmy do studia również Emily Marr, której chcieliśmy dać szansę wypowiedzi i obrony, ale nie udało nam się nawiązać kontaktu z główną bohaterką tej

sensacji – osobą, która jak dotąd nie udzieliła żadnego wywiadu mediom ani nie zamieściła żadnej wypowiedzi w internecie.

I nie miała takiego zamiaru.

Rozdział 20

Emily

Życzenie Niny spełniło się i rzeczywiście zostałam najbardziej znienawidzoną osobą w Anglii. Trzeba jednak przyznać, że dziennikarze byli jedynie pomysłodawcami – owszem, rzucili w tłum sugestię, że należy mnie nienawidzić, ale ludzie musieli dokonywać aktów nienawiści już we własnym zakresie.

Wcześniej przestałam zwracać uwagę na nazwiska moich krytyków. Było ich – i pewnie nadal jest – wielu, dziesiątki, może setki tysięcy. Myśli o zasięgu interentu przyprawiały mnie o zawrót głowy, obezwładniały. Przypomniałam sobie uczucie, którego doznałam po śmierci mamy, kiedy tata nie umiał nam wyjaśnić, dokąd odeszła. Mówił o niebie, aniołach i wiecznym odpoczynku, a ja sama musiałam zmierzyć się z przepaścią bez dna.

Teraz patrzyłam w nową przepaść.

Nienawistnicy prześladowali mnie od dnia, kiedy ukazał się pierwszy felieton Niny, głównie wysyłając mi maile (ponieważ zamknęłam konto na Facebooku), a potem, gdy upubliczniono mój numer telefonu, nagrywając mi wiadomości i wysyłając SMS-y. Później, co było chyba najstraszniejsze, zaczęły przychodzić listy. Gromadziłam ich w moim małym mieszkaniu całe

torby, bojąc się je wyrzucić po prostu do śmieci, żeby nie trafiły w ręce dziennikarzy, a potem do gazet. Moja „zbrodnia” wywołała całą gamę histerycznych reakcji, od grożenia śmiercią i gwałtem po wyznania miłości; zdarzyły się nawet trzy propozycje małżeństwa, w tym jedna od mężczyzny już żonatego („ale to ci nie przeszkadza, Emily, prawda?”).

Wkrótce znalazłam się w pułapce bez wyjścia: nie mogłam przestać otwierać listów, zamknąć konta mailowego ani zmienić numeru telefonu, bo mógłby mnie szukać Arthur, a jednocześnie wszystkie słowa, które musiałam z tego powodu przeczytać, jedno po drugim, godzina po godzinie, utwierdzały mnie w przekonaniu, że jestem nic niewarta, że żaden przyzwoity i cywilizowany człowiek nigdy już nie będzie chciał mieć ze mną do czynienia. Myśl, że ktoś taki jak Arthur mógł kiedykolwiek się we mnie zakochać, wydawała mi się coraz bardziej niewiarygodna.

Dziwne, ale z czasem bardziej niż wrogowie zaczęli mnie niepokoić wielbiciel. Ci, którzy mnie potępiali, dawali wyraz swojej pogardzie i nienawiści i na tym się kończyło – nie chcieli nawiązywać ze mną kontaktu, potrzebowali jedynie obiektu, przeciwko któremu mogli skierować swoje święte oburzenie – za to „fani” byli wytrwali. Ponieważ mój adres był dostępny wszędzie w sieci (wraz z fotografią Walnut Grove, służącą jako ilustracja elitarnego środowiska, w które podstępnie

przeniknęłam i które zatrulałam), w krótkim czasie zjawili się osobiście. Niektórzy tylko stali pod furtką, w nabożnym skupieniu trzymając w gotowości telefony, bo może uda się sfotografować choć zarys sylwetki w oknie, inni byli bardziej przebojowi – podchodzili do drzwi wejściowych z fotografami, dzwonili bez przerwy, wpychali do skrzynki pełne gorących uczuć, odręcznie pisane listy. Zwłaszcza kilkoro było wyjątkowo uciążliwych. Pewna kobieta przychodziła każdej nocy, aż wreszcie nie wytrzymałam i wyszłochałam do słuchawki domofonu: „Proszę, zostaw mnie w spokoju. Muszę kiedyś spać”. Po tych słowach obie umilkłyśmy, ja w swoim mieszkaniu, ona przed wejściem do budynku, zapewne kompletnie zbita z tropu tym, że nagle usłyszała mój głos. Potem usłyszałam metaliczne brzęknięcie: wrzuciła list do mojej skrzynki. „Nie jesteś sama – napisała. – Wiem, co czujesz. Twoje cierpienie jest moim cierpieniem”.

I tak dalej.

Wkrótce dowiedziałam się, że w moim imieniu, stając w mojej obronie, brali odwet na innej mieszkance Walnut Grove. Wczesnie rano, kilka dni po zakończeniu dochodzenia, zadzwonił dzwonek mojego domofonu. Wiedząc, że to zbyt wczesna pora na dziennikarzy i wyczuwając coś odmiennego, podniosłam słuchawkę.

– Tak?

– Nina Meeks. Czy to ty, Emily? Możemy porozmawiać?

Wpuściłam ją i po długiej minucie oczekiwania zdałam sobie sprawę, że nie miała zamiaru wejść na górę, ale czekała, aż ja zejść do niej na dół. Nawet wtedy – być może bardziej niż kiedykolwiek – była to dla niej kwestia zyskiwania przewagi, strategicznego planowania. Serce zabiło mi szybciej na jej widok, na dźwięk jej głosu – kobiety, która zrujnowała mi życie. „Na twoim miejscu, Emily, pomyślałabym o tym, żeby zniknąć” – powiedziała nie tak dawno; a wcześniej, dużo wcześniej: „nie ośmieliłby się”... Tak mówiła do Sylvie, pierwszego dnia, kiedy ją zobaczyłam u siebie w pracy; dlaczego nie rozpoznałam w jej słowach ostrzeżenia, którym przecież były?

Nie zwracała sobie głowy powitaniem.

– Zawołaj swoich małych przyjaciół z powrotem – rzuciła krótko, kiedy stanęłam przed nią. – Wydzwaniamą do mnie w dzień i w nocy i wpychają mi do skrzynki jakieś świstki z pogróżkami.

– Co? – zapytałam zdziwiona. Sądziłam, że mówi o wystających pod moimi drzwiami reporterach, i nie rozumiałam, jak mogli przeszkadzać jej na drugim końcu Grove, tam gdzie mieszkał Arthur. – Chyba ty lepiej sobie poradzisz z dziennikarzami niż ja?

– Nie bądź śmieszna, nie chodzi o media. Mówię o idiotach, którzy nękają mnie w moim własnym domu. Ed złapał jednego, jak wpychał psią kupę przez otwór na listy.

Okoliczności sprawiły, że nie było mi do śmiechu.

Nie patrząc w jej pełne nienawiści oczy, zaczęłam się bronić:

– Skąd wiesz, że chodzi o mnie? Może protestują przeciwko czemuś innemu, co napisałaś? Zdaje się, że masz na swoim koncie dużo skalpów.

To ostatnie zdanie wychynęło gdzieś z zakamarków mojej pamięci – być może usłyszałam je na przyjęciu u Laingów, które wydawało się teraz odległe o setki, tysiące lat, zanim mój własny skalp stał się wart upolowania.

Z wyższością wykrzywiła usta w uśmiechu.

– Och, daj spokój, Emily. To oczywiste, kto ich do tego namówił.

Nic nie rozumiejąc, patrzyłam tylko na nią zdezorientowana. Później widziałam w sieci zdjęcia grupy ludzi ubranych w koszulki z napisem: ODCZEPICIE SIĘ OD EMILY MARR! Nie mieli własnej strony internetowej, a przynajmniej nie udało mi się żadnej znaleźć, ale podpis określał ich jako grupę protestacyjną, która nękała pracowników redakcji „Press” pod siedzibą w Farringdon oraz, zapewne, Ninę pod jej domem.

Wciągnęłam głęboko powietrze, chcąc jej powiedzieć, jak bardzo mnie skrzywdziła, jak bezsensownie okrutny był jej akt zemsty. Nic nie mogło wrócić życia Sylvie i jej synom ani przeszkodzić Arthurowi i mnie – on porzucił mnie już dawno temu, na długo zanim zrobiła ze mnie wroga publicznego

numer jeden. Żadne wyrazy potępienia skierowane przeciwko mnie przez nią albo przez jej kolegów dziennikarzy nie mogły sprawić, żebym poczuła się gorzej niż tamtego dnia na parkingu pod biurem koronera, kiedy Arthur zerwał ze mną ostatecznie. Ale nie potrafiłam nic powiedzieć. Tego wczesnego lutowego ranka, stojąc w korytarzu, miałam pierwszą i jedyną okazję, żeby stawić jej czoło, zażądać od niej wyjaśnień – ale nie miałam odwagi. Stałam tak przed nią ze zdławionym gardłem, a ona rzuciła mi ostatnie pogardliwe spojrzenie.

– Każ im przestać albo będę musiała zgłosić to wszystko na policję.

Ale nie mogłabym nic dla niej zrobić, nawet gdybym chciała. Nie mogłam powstrzymać ludzi przed nękaniami jej, kiedy nie umiałam bronić się przed nimi sama.

Sprawy przybrały poważny obrót tego samego dnia po południu, kiedy jeden z „wielbicieli”, jakiś mężczyzna w średnim wieku, dzwonił i dzwonił do drzwi, najpierw wołając: „Emily, kocham cię!”, ale po jakimś czasie, kiedy się nie pojawiałam, stał się agresywny i zaczął wykrzykiwać najgorsze przekleństwa, nazywając mnie pierdoloną dziwką i grożąc, że wyważy drzwi. Wtedy z domu wypadła Sara Laing, która nie chcąc się zmierzyć z szaleńcem, postanowiła do niego dołączyć i zaczęła sama wołać do mnie z dołu:

– Czy nie możesz wreszcie czegoś z tym zrobić,

Emily! Tu obok mieszkają dzieci, które nie mogą wysłuchiwać takich świństw! – Zupełnie jakbym nie wiedziała, że ma dzieci, którymi się nawet kiedyś opiekowałam. – I jeśli nie usuniesz w końcu tego ohydneho napisu, sama to zrobię! Najlepiej od razu!

Nie miałam pojęcia, o czym mówi. Zanim zdążyłam poszukać w sieci i zobaczyć fotografię muru otaczającego mój dom, na którym wielkimi literami napisano: ZDYCHAJ DZIWKO, ona już stała na chodniku z puszką farby, pędzlem w dłoni i wyrazem świętego oburzenia na twarzy. Wiedząc, że cała scena zostanie zapewne zrelacjonowana przez mój zespół prasowy, postanowiłam zadzwonić na policję, nim ona to zrobi.

Po chwili zjawiło się dwóch policjantów, którzy szybko przekonali wielbiciela prześladowcę, żeby się oddalił. Potem rozmawiali z Sarą, której głośne narzekania wywabiły na ulicę kolejnych sąsiadów, mających najwyraźniej własne zażalenia. W końcu policjanci zadzwonili do mnie i poprosili, żebym wpuściła ich na górę.

Zastanawiałam się, czy któryś z nich okaże się jednym z dwojga funkcjonariuszy, którzy zjawili się dawno temu rankiem z tragiczną wiadomością u Arthura – pamiętałam nawet, że miał na nazwisko Matthews – ale oczywiście tak nie było. Nie wiem, jakiej pociechy się spodziewałam – może wynikającej z ostatnich, najbledszych śladów dawnej bliskości; spotkania kogoś,

kto widział mnie i Arthura w tym samym domu i mógłby zaświadczyć, że kiedyś byliśmy razem.

– To wszystko dochodzi do takich rozmiarów, że powinna pani zacząć myśleć o własnym bezpieczeństwie – powiedział mi starszy z policjantów.

Musi być mniej więcej w wieku Arthura, pomyślałam. Pewnie nigdy nawet nie pomyślał o zostawieniu żony dla takiej awanturnicy jak ja.

– Już teraz nie ma tak wielu fotografów – odparłam. – Właściwie można powiedzieć, że wszystko powoli się poprawia.

– Ale przecież nie dzwoniła pani z powodu fotografów – przypomniał mi. – W takich sytuacjach zwyczajni ludzie stanowią o wiele większe zagrożenie niż prasa. Interesują się panią z powodów osobistych, nie zawodowych. Uważają, że łączy ich z panią związek, który z pani strony nie istnieje. Musi pani naprawdę uważać. Mieszka tu pani sama?

– Tak.

– Ma pani jakichś krewnych czy przyjaciół, u których mogłaby pani zamieszkać na jakiś czas? Może moglibyśmy do kogoś zadzwonić w pani imieniu?

Te słowa przywołały w mojej pamięci to, co zostało powiedziane w kuchni Arthura, wtedy, dawno temu.

– Ale ja tutaj mieszkam – zaprotestowałam, chociaż znacznie słabiej, niż zrobiłabym to jeszcze parę dni wcześniej. – Nikt mnie stąd nie wyrzuci. Mogę to przeczekać.

Mogłam przeczekać, ale nie mogłam spać. Dopiero kiedy pod koniec drugiego tygodnia obłączenia zaczęłam wymykać się wczesnym rankiem, żeby pojechać do taty do szpitala w Hertfordshire, i wracałam po zapadnięciu zmroku – dopiero wtedy tak byłam zmęczona nerwowym unikaniem prześladowców, że wieczorem zapadałam w głęboki sen.

Wychodząc z domu, ubierałam się niepozornie, ale nie chciałam zmieniać swojego wyglądu zbyt radykalnie, bo bałam się, że tata może być zdezorientowany. Stwierdziłam, że włosy są najbardziej charakterystyczną cechą mojego wyglądu, więc chowałam je pod dużą wełnianą czapkę jak pod czepkiem pływackim; nie zdejmowałam jej nawet w dusznym metrze. Przechodząc obok second-handu, kupiłam sobie okulary ze zwykłymi szklami, mając nadzieję, że będę w nich wyglądać po prostu brzydko, a nie jakbym była wyjątkowo nieudolnie przebrana. W szpitalnej toalecie zdejmowałam okulary i czapkę, czesałam się i nakładałam na twarz trochę makijażu, do jakiego przyzwyczajony był tata. Potem, przed wyjściem, zakładałam wszystko znowu. W życiu tropionej zwierzyny, które wiodłam, nie było to tak absurdalne, jak się wydaje.

Kiedy już byłam na oddziale, udawało mi się odzyskać trochę właściwej perspektywy (zapewne nie ma na ziemi wielu miejsc, w których bycie obiektem nienawiści na masową skalę może się wydawać

człowiekowi mało znaczące). Stan taty się pogarszał i nikt nawet nie udawał, że może być znowu lepiej. To był ostatni etap jego choroby – przyszedł zbyt szybko, a jednak nareszcie. Tak mało z niego zostało, był prawie nie do poznania: zniknął jego głos, charakter, poczucie humoru. Wraz z utratą ostatnich śladów swojej osobowości (poczucie czasu i świadomość miejsca zniknęły już dawno) utracił też podobieństwo do samego siebie.

– Tato – mówiłam do jego nieruchomej, wychudzonej postaci. A czasem: – Tatusiu. – Jak mała dziewczynka. – Kocham cię bardzo i potrzebuję ciebie. Proszę cię, musisz nabrać trochę sił.

Proszę, zrób, żeby wszystko było znowu dobrze, tak jak kiedyś potrafiłeś.

Ale teraz prawie nie reagował na moją obecność, nieważne, czy dostrzegał we mnie córkę, czy obcą osobę. Widziałam, że moje słowa w ogóle do niego nie docierają, i zapewne złamałoby mi to serce – gdyby moje serce nie było już złamane.

Podczas którejś wizyty, jednej z ostatnich, lekarz ojca zlitował się nade mną i załatwił mi konsultację u pracującego w szpitalu psychiatry, który przepisał mi lekarstwa do wykupienia w szpitalnej aptece (nie mogłam w tamtym czasie iść tak po prostu do lekarza ani gdziekolwiek indziej, gdzie musiałabym głośno podać swoje nazwisko). To był najwyższy czas na leczenie – zaczęłam się kompletnie załamywać

i psychicznie rozsypywać na kawałki. Nawet kiedy nikt mnie nie prześladował, wydawało mi się, że grozi mi niebezpieczeństwo. Któregoś razu po wyjściu ze szpitala nabrałam dziwnego przekonania, że ktoś mnie śledzi; zanim dotarłam na stację metra, byłam już pewna, że zamierza w końcu skoczyć w moim kierunku i wepchnąć mnie pod nadjeżdżający pociąg. W domu zaczęłam podejrzewać, że ktoś chowa się w łazience albo za kanapą. Wydawało mi się też, że jakiś człowiek głośno dyszy pod moimi drzwiami, i wstrzymywałam oddech, żeby usłyszeć wyraźnie. Doszłam do punktu, w którym nie wiedziałam już, co jest prawdziwe, a co sobie tylko wyobrażam.

Zaczęłam sądzić, że to właściwie zrozumiałe, iż tata przestał mnie rozpoznawać, bo sama przestałam rozpoznawać siebie, zarówno na publikowanych wszędzie zdjęciach, jak i w lustrze. Miałam wrażenie, że zaczynam się rozpuszczać, znikać. Jakby Emily Marr przestawała istnieć.

Tylko Arthur mógł przywrócić mnie do życia.

W dniu, kiedy umarł mój ojciec, przejechałam cały Londyn, niczego się nie spodziewając – sądziłam, że czeka mnie szpitalna wizyta jak wszystkie inne. Wreszcie Phil i ja mieliśmy być u taty jednocześnie i obawiałam się, że może będę musiała odpowiedzieć na kilka trudnych pytań ze strony brata, ale nic więcej mnie nie niepokoiło – poza tym większość energii poświęcałam staraniom, by nie zostać rozpoznaną na ulicy. Na linii

metra były opóźnienia, ale miałam ze sobą niedzielne wydanie gazety, na wypadek gdybym musiała czekać. I rzeczywiście, zdążyłam przeczytać w całości pięciostronicowy artykuł poświęcony mojej osobie.

To był trzeci weekend od wybuchu medialnej sensacji i z ulgą stwierdziłam, że zaczęto o mnie pisać w czasie przeszłym. Artykuł był zatytułowany *Co się stało z Emily Marr?* Była to, jak się wkrótce zorientowałam, sprytna aluzja – po pierwsze, do mojego obecnego „zaginięcia”, po drugie, do mojego dzieciństwa, bo autor tekstu stawiał tezę, że najpierw byłam zwyczajną niewinną dziewczynką, a dopiero okoliczności życiowe zdeprawowały mnie i odarły z uczciwości. „Cały szereg wydarzeń popchnął beztroską, roześmianą dziewczynę w przedwczesną dorosłość (...). Już od najmłodszych lat Emily musiała przywyknąć do rodzinnej tragedii. (...) Utrata matki pociągnęła za sobą utratę poczucia bezpieczeństwa, przez co wkrótce zaczęła poszukiwać starszego od siebie opiekuna”. I tak dalej.

Po części może mieli rację. Ale to było jak jedna z tych wczesnych rycin przedstawiających egzotyczne zwierzęta, wykonanych przez rysownika, który nigdy nie widział swojego modelu. Zasadnicze cechy się zgadzały, liczba nóg była prawidłowa, ale proporcje zupełnie inne, kolor nietrafiony, a ogon w złym miejscu.

Autor akurat tego artykułu starał się poruszyć niebo i ziemię, żeby zdobyć informacje na użytek swojego

„pogłębionego” portretu, i dzięki Bogu okazało się, że nie wszyscy mieli ochotę o mnie opowiadać. Phil – według lakonicznego stwierdzenia – „był nieosiągalny”, za co byłam mu bardzo wdzięczna, a Matt, teraz już z nową („mniej kapryśną”) dziewczyną, bagatelizował nasz związek. „Rzadko się widywaliśmy przed rozstaniem – powiedział. – Nie miałem pojęcia o jej sprawach”. Charlotte niestety uważała, że ma pojęcie: „Wcześniej była bardzo sumienną pracownicą, ale od kiedy poznała Arthura, bardzo się zmieniła. Zaczęła wychodzić z pracy przed czasem, ciągle brała chorobowe i przez sześć miesięcy miała tyle wizyt u dentysty, ile ja przez dziesięć lat. Najdziwniejsze było, że po wypadku, w którym zginęła ta kobieta z synami, ona zachowywała się właściwie jak zwykle. Teraz myślę, że chyba ma kawałek lodu zamiast serca”.

Z jej perspektywy to mogło tak wyglądać, pomyślałam i zrobiło mi się przykro.

Mój szef z dawnego miejsca pracy, skąd odeszłam pięć lat wcześniej (jego twarz ledwie mogłam sobie przypomnieć), opowiadał tak: „Zawsze miałem wrażenie, że sama nie wiedziała, czego chce. Wydawała mi się trochę zagubiona. Szczerze mówiąc, myślę, że ponieważ była tak atrakcyjna, chyba się przyzwyczaiła do tego, że wygląd ułatwia jej życie”.

Sama nie wiem, co było dziwniejsze: poznawanie opinii ledwie zapamiętanego szefa sprzed lat czy świadomość, że od tej pory setki tysięcy czytelników

w kraju będą tę opinię podzielać.

Oczywiście Nina także udzieliła wywiadu, a jej wypowiedź była naturalnie bardziej interesująca i lepiej sformułowana niż wszystkie inne:

Sylvie zorientowała się, że Emily stanowi zagrożenie, kiedy pierwszy raz ją zobaczyła. Obie tak myślałyśmy – nie tylko dlatego, że Arthur nie był wiernym mężem i lubił ten typ urody, lecz także dlatego, że Emily należy do kobiet, które wykorzystują seksualność jako środek do osiągnięcia celu. Tego typu kobiety istnieją dla mężczyzn, nie dla innych kobiet. Doprowadziła do perfekcji styl Marilyn Monroe, wrażliwej seksbomby, kobiety dziecka. Do tego wydawało się, że w jej życiu nie ma już nic poza tym, żadnej interesującej pracy czy więzi społecznych, żadnej moralnej struktury. Nie chcę powiedzieć, że jest socjopatką, ale moim zdaniem to, co się wydarzyło, dowodzi, że łatwo przyszło jej zlekceważyć cudze uczucia, kiedy tak było jej wygodnie. Problem polega na tym, że gdy więcej ludzi zaczyna się zachowywać w tak skrajnie indywidualistyczny sposób, społeczeństwo zaczyna się rozpadać. I w końcu ktoś traci życie, cenne życie, które nigdy nie powinno paść niczyją ofiarą.

Brzmiało to tak, jakby Nina wycofała się z nagonki na mnie, jakby wcale sama jej nie rozpoczęła. Teraz

interesowała się intelektualnym wymiarem całej sprawy, patrzyła z szerokiej perspektywy i rozważała kwestię zagrożonej moralności w brytyjskim społeczeństwie. Przy artykule umieszczono fotografię, na której stała obok premiera i jego żony.

Nawet biorąc pod uwagę narzekania na prześladowających ją moich „fanów”, wyglądało na to, że świetnie wyszła na całej tej historii.

Następnie autor artykułu scharakteryzował mnie jako przeciwniczkę postępu technicznego:

Jedną z zastanawiających cech Emily Marr jest to, że rzadko używała tak licznych obecnie serwisów społecznościowych, z których chętnie korzystają jej rówieśnicy. Ostatnie wpisy na swoim koncie na Facebooku umieściła prawie rok temu. Z tego powodu mamy do dyspozycji tylko kilka zdjęć kobiety, której fizyczna atrakcyjność mogła stać się niebezpieczna.

„Bardzo lubiła ubrania w dawnym stylu i to dotyczyło także innych rzeczy – opowiedziała jej znajoma. – Była trochę zacofana. Miała najprostszy telefon, zresztą prawie w ogóle go nie używała. Nie miała pojęcia, co to jest Twitter”.

Niemal wszystkie zacytowane osoby wypowiadały się o mnie tak, jakbym już nie żyła, chociaż autor w podsumowaniu artykułu zakładał jakiś dalszy ciąg:

Niestety, jedyne publiczne wystąpienie panny

Marr podczas rozprawy dochodzeniowej po śmierci Sylvie, Aleksandra i Hugo Woodhallów stało się przedmiotem zainteresowania dopiero jakiś czas później, tak więc nikt nie zrobił jej zdjęcia przed budynkiem biura koronera (zgodnie z prawem fotografowanie wewnątrz jest zabronione). Jakimś cudem udaje jej się również unikać dziennikarzy i fotografów, którzy polują na nią z taką samą zawziętością, z jaką tropią inne sławne i atrakcyjne kobiety. Jedno z najnowszych zdjęć, z częściowo zasłoniętą twarzą, zostało wykonane przed szpitalem w Hertfordshire, gdzie jej ojciec leży na oddziale chorych na demencję. Na zdjęciu nie widać ani słynnych blond włosów, ani uwodzicielskiego stroju, a zwłaszcza olśniewającej urody, w którą musimy uwierzyć innym na słowo. Wydaje się, że Emily Marr, która miała zamęt, która z dnia na dzień stała się sensacją, zniknęła równie nagle, jak się pojawiła.

Potwierdził to mój telefon do szpitala, gdzie dowiedziałem się, że przez ostatni miesiąc odwiedziny u ojca Emily stały się o wiele rzadsze. „Nie widziałam Emily już od dłuższego czasu”, powiedziała mi pielęgniarka pracująca na oddziale. Czy to ingerencje w życie prywatne zmusiły ją do ograniczenia kontaktów z ojcem? Takiego właśnie zdania jest Matt Piper. „Uważam, że wszyscy powinni się od niej

odczepić i zostawić ją w spokoju – stwierdził. – O ile wiem, nie zrobiła nic niezgodnego z prawem”.

Jednak inne osoby, między innymi Nina Meeks i pogrążeni w żałobie członkowie rodziny Woodhallów, sugerują, że bardziej prawdopodobne jest to, iż Emily przestała interesować się ojcem, ponieważ w jej życiu zjawiał się kolejny mężczyzna.

Jeśli to prawda, możemy mieć tylko nadzieję, że nowemu romansowi nie będzie towarzyszył taki rozgłos jak ostatniemu.

Akurat kiedy czytałam tę dziwną mieszaninę półprawd i zmyśleń, tata odszedł. Phil był już wtedy w szpitalu, czuwał przy nim w ostatniej chwili i byłam mu za to bardzo wdzięczna. Do tej pory to ja zawsze zajmowałam się organizowaniem opieki nad ojcem, ale teraz, gdy tylko na mnie spojrział, przejął inicjatywę.

– Chodź, Emi – powiedział, biorąc mnie pod rękę i przyciskając do siebie. – Właśnie dowiedziałem się, że możemy do niego pójść.

Słyszałam wcześniej, że martwy człowiek wygląda, jakby spał, ale to nieprawda – tata wyglądał, jakby był martwy. Brak życia w jego ciele emanował zimnym magnetyzmem, a nasze dwie sylwetki w tym samym pokoju zdawały się nieprzyzwoicie ciepłe, nadmiernie promieniujące. Staralam się z całych sił, jednak nie potrafiłam przestać myśleć o śmierci Sylvie i jej synów,

nawet w obliczu mojej osobistej tragedii. Mój ojciec przeciwko kobiecie, którą widziałam dwa razy przez chwilę, i dwóm chłopcom, których nie widziałam nigdy. Oczywiście czułam się winna, porównując ich w ten sposób, ale poczucie winy zajmowało wtedy tyle miejsca w mojej psychice, że jego granice zupełnie się rozmyły. Każda myśl wydawała się niewłaściwa; nie mogłam ufać własnemu rozsądkowi.

Kiedy pożegnaliśmy się z tatą i załatwiliśmy wszystkie formalności, poszliśmy podziękować pracownikom szpitala, którzy opiekowali się ojcem przez ostatni rok. Potem Phil zaproponował, żebym pojechała z nim do jego domu w Newbury. Zgodziłam się.

W drodze byliśmy zbyt wstrząśnięci, żeby sensownie rozmawiać. Za każdym razem gdy Phil coś mówił, spoglądałam na niego i widziałam, że mimo rozpacz po stracie ojca odczuwa czystą, głęboką ulgę, że sam nadal jest wśród żywych. Ze mną musiało być podobnie.

Tylko raz, już dojeżdżając na miejsce, poruszyliśmy temat jego siostry jako wykreowanego przez media wroga społecznego numer jeden.

– Przepraszam, że do ciebie nie dzwoniłam – powiedziałam. – Było mi strasznie trudno.

Nie dodałam już, że paranoicznie bałam się – mimo braku jakichkolwiek dowodów – że mój telefon jest na podsłuchu, a do skrzynki mailowej ktoś się włamał.

– O co, do cholery, chodziło tym gazetom? –

zapytał. Po jego tonie poznałam, że naprawdę nie rozumiał, dlaczego moje postępowanie miałyby wzbudzić zainteresowanie obcych ludzi na taką skalę. – Najpierw myślałam, że to po prostu jakaś babka, która nazywa się tak samo jak ty, ale potem zobaczyłem zdjęcia. Jesteś jeszcze z tym chirurgiem?

– Już nie – odparłam i nagle zaczęłam płakać. Szloch wydobywał się ze mnie w okropnych, gwałtownych spazmach, które brzmiały prawie nieludzko. Podałam się temu, nie wiedząc, po kim płaczę: po tacie, po Arthurze, po sobie samej czy po nas wszystkich.

Phil milczał przez dłuższą chwilę. Kiedy w końcu się odezwał, słysząc było, że stara się opanować własne emocje.

– Och, Emily – powiedział. – To nie jest dobry dzień, prawda?

– Nie.

I naprawdę nie miałam wtedy nadziei, że dobre dni jeszcze kiedykolwiek nadejdą.

Rozdział 21

Emily

Jak na ironię zostałam wyrzucona z mieszkania właśnie wtedy, gdy dziennikarze przestali wystawać pod drzwiami. Sąsiedzi skarżyli się właścicielowi domu na zakłócenia porządku, aż w końcu wypowiedział mi umowę, nadmieniając, że przedstawiciele Stowarzyszenia Przyjaciół Walnut Grove szczególnie nalegali na moją wyprowadzkę. Bez sensu było z tym dyskutować, podobnie jak nie miało sensu wyobrażanie sobie, że któregoś dnia Arthur nagle zmaterializuje się pod drzwiami i powie, że nasze trwające siedem miesięcy rozstanie jest nieważne, po czym zaczniesz błagać, żebyśmy byli ze sobą tak jak dawniej.

Tymczasem to ja byłam zmuszona błagać – mojego brata, żeby pozwolił mi u siebie zamieszkać. Zgodził się, zanim zapytał żonę o zdanie, za co byłam mu wdzięczna aż do łez. Gdyby najpierw się naradzili i w rezultacie postanowili mi odmówić, nie miałabym do nich żadnych pretensji.

Wyprowadziłam się z Walnut Grove dwa dni przed pogrzebem ojca. Pakowanie rzeczy było niewypowiedzianie smutne. Miałam wciąż w pamięci tę krótką chwilę radości – pół godziny pomiędzy momentem, gdy Arthur powiedział mi, że znalazł dla

nas mieszkanie, a telefonem od Sylvie – kiedy wyobraziłam sobie przyjemny, leniwy okres przeprowadzki, podczas którego wpadałabym do pustoszejącego mieszkania i dziwiła się, jak bardzo zmieniło się moje życie od dnia, kiedy je wynajęłam minionej zimy. W tej wyobrażonej wersji wydarzeń, zamykając drzwi po raz ostatni, odchodziłabym do nowego życia, jeśli nie poza zasięg tych, których skrzywdziłam, to przynajmniej chroniona przed nimi. Chroniona przez Arthura.

W rzeczywistości zostałam tutaj, a mieszkanie stało się moim schronieniem i więzieniem jednocześnie. Nienawidziłam go, a zarazem chciałam w nim zostać na zawsze. Zostawiłam w nim serce, choćby tylko z powodu pamięci o spotkaniach z Arthurem. „Emily, nie mogę przestać cię dotykać”...

A teraz stałam się niedotykalna.

Prawie nie miałam własnych mebli, a tych kilka sprzętów, jakie posiadałam, podarowałam lokalnej organizacji dobroczynnej, która podesłała po nie furgonetkę. Wiele używanych ubrań sprzedałam z powrotem do sklepu, gdzie je kupiłam, niedaleko pracy. Charlotte zapłaciła mi za miesiąc wypowiedzenia i zaległą pensję, więc nie byłam bez grosza. Odzyskałam też połowę depozytu wpłaconego na mieszkanie, który zwrócono szybciej niż kiedykolwiek do tej pory. Wyglądało to tak, jakby wszyscy chcieli się mnie pozbyć – im prędzej, tym lepiej.

Listy od fanów i wrogów podarłam na kawałki i pomieszałam w koszu na śmieci z resztkami jedzenia. Miałam trochę prywatnych rzeczy: teczkę z różnymi papierami z banku, kilka rodzinnych zdjęć, pocztówkę, którą dostałam od Arthura niedługo po tym, jak wyznaliśmy sobie miłość. Wśród papierów, które zostawił Matt, znalazłam coś ciekawego: zdjęcie ze ślubu kuzynki Matta, które ukazało się w „Press” przy pierwszym tekście na mój temat. Gazety wycinały Matta z obrazka, ale tutaj był obok mnie, emanując ironicznym dystansem, który tak bardzo mi się kiedyś podobał. Stojąc koło niego, wyglądałam niematerialnie, nierealnie, jak zjawa w różach i zieleniach, która przybyła za nim nie wiadomo skąd. Do fotografii dołączona była kartka: „Kochani Matt i Emily, dziękujemy za piękny prezent i za Waszą obecność w tym ważnym dniu. Mamy nadzieję, że dołączone zdjęcie przypomni Wam miłe chwile! Uściski, Gemma i Nick”.

Pomyślałam, że zatrzymam fotografię, bardziej na pamiątkę wsparcia, którego ostatnio udzielił mi Matt, niż czegokolwiek innego.

Zapakowałam rzeczy do plecaka i poszłam na stację metra. Było nadzwyczajnie ciepło jak na tę porę roku, zbyt ciepło na noszenie czapki, więc zdałam się na fryzurę, którą zrobiłam sobie własnoręcznie parę dni wcześniej przed lustrem w łazience (był to akt wyższej konieczności, nie szaleństwo – nie chciałam zostać

rozpoznana u fryzjera). Teraz moje włosy były krótkie, odrosły w naturalnym ciemniejszym kolorze i z całą pewnością nie przyciągałam już spojrzeń. Marcowe słońce usprawiedliwiało noszenie ciemnych okularów, zakrywających moją wychudzoną twarz. Zeszczuplałam tak bardzo, że wyglądałam, jakbym była chora, trawiona przez jakąś wyniszczającą dolegliwość. Hollywoodzkie krągłości odeszły w niepamięć.

Siedząc w pociągu odjeżdżającym coraz dalej i dalej od miasta, wydawało mi się, że słyszę głosy Niny, Sary i innych mieszkańców Walnut Grove: „Krzyżyk na drogę i więcęj tu nie wracaj, Emily Marr”.

Teraz rozumiem, że głupotą było się spodziewać, że podczas pogrzebu ojca ciekawscy zostawią nas w spokoju, ale wtedy nie myślałam jasno. Byłam znieczulona przez smutek i nie zaprzętałam sobie głowy prześladowającymi mnie mediami. Nie uprzedziłam policji ani nawet kierownika domu pogrzebowego o możliwych zakłóceniach ceremonii przez dziennikarzy. Tymczasem internet pracował niezamieszanie i zapewne ktoś rozpowszechnił szczegóły dotyczące pogrzebu. Zdumiewające, ale wielu ludzi nadal się mną interesowało.

Zauważyliśmy ich od razu, zanim jeszcze karawan wjechał na teren cmentarza.

– To nie tylko fotografowie – powiedział zaskoczony Phil – jest też cały tłum gapiów.

– Sępy – rzuciła Julie, która od razu pojęła sytuację

i patrzyła przez okno z obrzydzeniem. – Co to za ludzie, którzy przychodzą na pogrzeb kogoś, kogo w ogóle nie znali?

– Bardzo mi przykro – powiedziałam. Gapie i sępy, oto co przeze mnie spotkało ojca w ostatniej drodze.

– O co chodzi, tato? – zapytał młodszy synek Phila. – Czy dziadek był sławny?

– Nie – odparł Phil. – Nikt nie jest sławny. Pomylili pogrzeby.

– Emily!

Zobaczywszy mnie, przybyli zaczęli wykrzykiwać moje imię, a ich głosy zlewały się w okropny, triumfalny chór.

– Emily Marr! Tam jest, w czarnej chustce!

– Ja pierdolę – mruknął pod nosem Phil.

Mnie było łatwiej nie zwracać uwagi na intruzów – byłam w końcu przyzwyczajona – ale czułam się strasznie winna, że inni żałobnicy musieli to znosić. Dziękowałam Bogu, że poprosiłam Julie o znalezienie czarnej chustki na głowę. Gdyby robili zdjęcia, nawet teleobiektywem, niewiele uda im się uzyskać.

– Udawajcie, że ich nie ma – powiedziałam dzieciom, kierując tę radę także do rodziców. – Wyobraźcie sobie, że jesteśmy tu tylko my.

Staraliśmy się. Ale przecież najgorsze było właśnie to, że byliśmy „tylko my”.

Minęły już prawie dwa tygodnie. Niedługo zaczniesz się kwiecień: wiosna, nowa nadzieja, nowe życie. Nie

będę już dużo pisać, zmierzam do końca tej historii. Nie dałabym sobie rady z niczym więcej, nie mogłabym żyć, gdyby spotkały mnie jeszcze jakieś nieszczęścia. Przez to wszystko straciłam tatę i Arthura, straciłam pracę i dom. Utraciłam samą siebie.

Nadal mieszkam z Philem, Julie i chłopcami.

– Jak się czujesz? – pyta mnie Julie co rano. Dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, że chodzi jej o smutek po śmierci taty, nie o to, że zostałam wyrzucona z domu i znajduję się w stanie zawieszenia, z którego być może nigdy nie uda mi się wydostać. Myślę, że najtrudniej przyjdzie mi w przyszłości wybaczyć moim prześladowcom to, że odebrali mi prawo do przeżywania mojej własnej rozpacz po śmierci ojca i że zakłócili żałobę mojej rodziny.

– Dobrze – odpowiadam nieszczercze. – Bez zmian.

W końcu sensacja przygasła, jak należało oczekiwać, i tych kilku dziennikarzy, którzy za mną chodzili, straciło zainteresowanie, gdy nie udało im się ze mną porozmawiać. Tak jak nie udało się największym gazetom, BBC, a nawet pisarzowi pracującemu dla jakiegoś pisma w Nowym Jorku. Ktoś inny zajmuje dzisiaj pozycję Najbardziej Znienawidzonego w Wielkiej Brytanii, a ja życzę tej osobie jak najkrótszej i jak najmniej uciążliwej popularności.

Phil i Julie pracują na cały etat, a chłopcy są przez większą część dnia w szkole, więc samotnie spędzam w domu wiele godzin. Oczywiście byłam zajęta

pisaniem, może nawet trochę obsesyjnie. Nie wiem, czy udało mi się osiągnąć to, czego oczekiwałam, ale na pewno pomogło mi spisanie wszystkiego po kolei. Odtworzenie wydarzeń, zanim będę mogła odsunąć je od siebie.

Kiedy doskwiera mi poczucie uwięzienia, wkładam adidas i wychodzę pobiegać. Naciągam głęboko na oczy czapkę i biegnę do parku parę ulic stąd. Biegnę tak, jakby ktoś mnie gonił. Po dwóch okrążeniach, nie zważając na protestujące płuca, biegnę z powrotem. Czasami siadam na chwilę na ławce i rozglądam się, starając się jakoś dojść do ładu z moim zmienionym światem – myślę, jak to się stało, że nie należę już do żadnej grupy, że jestem wydziedziczona, osierocona. Po całych tygodniach pod obserwacją nie umiem pozbyć się wrażenia, że ktoś mnie śledzi. Być może nigdy mi się to nie uda.

Odstawiam powoli lekarstwa, które dostałam u taty w szpitalu. Parę dni temu, po obudzeniu, zauważyłam, że patrzę na świat trochę inaczej. Nagle zrozumiałam, czego potrzebuję: pracy, zarobków, celu, nawet najprostszego, nawet tymczasowego. Teraz już chyba nikt mnie nie rozpozna? Kiedy nie ufam własnemu odbiciu, wystarczy, że popatrzę na moich bratanków, gdy wchodzę do pokoju: patrzą na mnie zdziwieni, zanim przypomną sobie, że jestem tą jasną, uśmiechniętą ciocią Emily – tyle że już nie jasną i już nie uśmiechniętą.

Największym problemem, jak zauważył Phil, jest nie mój wygląd, który zmienił się wystarczająco, ale nazwisko, które stało się powszechnie znane, czy tego chcę, czy nie. Nawet gdyby udało mi się zdobyć jakąś pracę, byłabym ciągle narażona na ciekawość, a być może także na prześladowania ze strony współpracowników. Opowiedziałam mu o anonimowych groźbach, które dostawałam – gdyby choć jedna z nich została zrealizowana, w najlepszym razie trafiłabym do szpitala.

– Może powinnam zacząć używać fałszywego nazwiska? – zasugerowałam. – Mogłabym się przedstawiać Emmie Mason albo jakoś podobnie, żeby mieć te same inicjały.

– Czy jest w ogóle takie imię: Emmie? – zapytał.

– Nie wiem, ale mogłoby być zdrobnieniem od Emelina albo Emilia. Wolałabym Emelinę, jak ta znana sufrażystka. – Uśmiechnęłam się, próbując zażartować. Mieliśmy tak mało okazji do śmiechu.

Ale Phil myślał o czym innym.

– To nie zadziała. Gdyby mieli cię gdzieś zatrudnić, musiałybyś pokazać jakieś dokumenty, podać im dane konta w banku.

– A może udałoby mi się i trafiłabym na kogoś, kto o mnie nie słyszał? Kogo nie było w kraju przez ostatnie dwa miesiące?

Patrzył na mnie z powątpiewaniem.

– Mogłabyś próbować. Ale obawiam się, że wszyscy

teraz sprawdzają kandydatów do pracy w internecie. Prędzej czy później znalazłby się ktoś, kto o tobie słyszał. Chyba że pracowałabyś na czarno i nie musiała podpisywać żadnych papierów.

– Co można robić na czarno? Sprzątać, może opiekować się dziećmi – do tego wszystkiego potrzebne są referencje. Mam jakieś dawne referencje, ale wszystkie wymieniają moje nazwisko.

Zapadła cisza – nie mieliśmy już żadnych pomysłów. Spojrzałam za okno, na typową podmiejską ulicę, której bezpieczna zwyczajność, tak różna od georgiańskiej elegancji Walnut Grove, nie budziła we mnie żadnych uczuć.

– Kiedy będę mogła znowu zacząć żyć? – spytałam, chociaż nie chciałam powiedzieć tego głośno i na pewno nie oczekiwałam, że Phil będzie znał odpowiedź.

– Myślałaś o wyjeździe na jakiś czas? O podróży?

– O podróży?

Nie powiedziałam, że od jakiegoś czasu coraz częściej marzyłam o wyspie, o której opowiadał mi Arthur, na atlantyckim wybrzeżu Francji. O domku w ustronnym miejscu, o prawdziwym ukryciu, o morskim powietrzu i piasku pod stopami.

– Nie myśl, że chcę cię do czegoś namawiać, ale może to jest jakieś wyjście. Wyjedź i zrób sobie długą przerwę, a jak wrócisz, to może ludzie już zapomną.

– Ale... – zaczęłam.

Przerwał mi jednak, zgadując, co chcę powiedzieć.

– Mogę ci pożyczyć trochę pieniędzy – powiedział. Domyśliłam się więc, że musiał rozmawiać o wszystkim z Julie. Najwyraźniej stwierdzili, że tak będzie najlepiej, że to jedyne sensowne wyjście. – Będę odwiedzał grób taty w twoim imieniu – dodał, uprzedzając moje kolejne zastrzeżenie.

– Może – odparłam. – Muszę pomyśleć tydzień czy dwa. – Siłąc się znowu na żart, dorzuciłam: – Jest jeszcze jedna możliwość: mogłabym komuś zapłacić, żeby się ze mną ożenił. Albo zmienić nazwisko w urzędzie. Widzisz, sytuacja nie jest bez wyjścia.

– Jasne, Emily.

– Nie Emily, tylko Emmie. Mówiłam ci, Emmie Mason.

Wymieniliśmy słabe, smutne uśmiechy.

Ciągle się słyszy o tym, że ludzie chcą być sławni. „Chciałabym, żeby wszyscy rozpoznawali moje nazwisko – mówią. – Żeby od razu wiedzieli, kim jestem, gdziekolwiek się pojawię”. Nieważne, w jaki sposób zdobędą rozgłos, wystarczy, żeby byli znani. „Zrobię cokolwiek”, zapewniają.

A potem orientują się, że to zupełnie inne doznanie, niż się spodziewali. Nigdy tego nie przemyśleli, nigdy nie przyszło im do głowy, że ich osoba może stać się przedmiotem najróżniejszej interpretacji i że zawsze więcej będzie ludzi, którzy wolą myśleć o nich źle, niż tych, którzy chcą widzieć ich zalety. Przesłanie i morał są zawsze takie same: uważaj, czego sobie życzysz.

Ale ja nigdy sobie tego nie życzyłam, i to jest cała
prawda.

Nigdy tego nie chciałam.

Rozdział 22

Tabby

Musiało minąć kilka godzin, zanim Tabby skończyła czytać, ale gdy zeszła na dół, znalazła Emmie dokładnie w tym samym miejscu, na kanapie. W pokoju było prawie całkiem ciemno. Zapaliła lampę i zbliżyła się niepewnie do kanapy. Kiedy spojrzała na Emmie, zdała sobie sprawę, że już nigdy nie będzie myśleć o niej tak jak przedtem.

W końcu prawda wyszła na jaw – jednak niczego podobnego sobie nie wyobrażała.

Usiadła obok przyjaciółki, trzymając przed sobą laptop z ciągle otwartym plikiem na ekranie.

– Och, Emmie, to taka smutna historia. Nie mogę uwierzyć, że przeżyłaś tak straszne chwile. Myślę, że poradziłaś sobie wyjątkowo dobrze, że w ogóle jakoś przez to przeszłaś.

– Staralam się – odpowiedziała Emmie tak cicho, że prawie nie było jej słychać.

– Tak mi przykro z powodu twojego ojca. Odszedł tak niedawno, pewnie to wszystko jest jeszcze dla ciebie świeże.

Pamiętała, żeby właśnie to powiedzieć na początku. W historii Emmie utrata ojca stawała się jakby drugorzędną tragedią, ale Tabby dobrze знаła to uczucie

smutku, w jakim pogrąża się córka po śmierci ojca. Ona sama na tym etapie – a dla Emmie minęło dopiero pół roku – co wieczór zasypiała z płaczem. Gdyby tylko wiedziała, że Emmie dopiero co straciła najbliższą osobę, na pewno... Ale nie rozwinęła tej myśli. Szczerze musiała przyznać, że nie chciała sobie wyobrazić innego postępowania, zastanawiać się, czy potrafiłaby udzielić komuś bezwarunkowego wsparcia i obdarzyć współczuciem.

Zerknęła za okno. Nawet jeśli tam na ulicy rozbrzmiewały wesołe głosy, nie było ich tutaj słychać; jeśli gdzieś tam niedaleko szumiał ocean, nie dobiegał do nich żaden morski zapach. Dom nigdy nie wydawał jej się tak zamknięty jak w tej chwili – dla Emmie musiał pewnie oznaczać bezpieczeństwo i wolność.

– Więc dlatego tu przyjechałaś – powiedziała. – Tak jak mówiłaś, nie miałaś wyboru, musiałaś wyjechać, więc użyłaś nazwiska, z którego żartowaliście z bratem, i wybrałaś miejsce, gdzie on miał zamiar cię kiedyś zabrać. – Nie chciała używać imienia Arthura i sprawiać wrażenia, że spoufala się z postacią tak ważną dla Emmie. – To musiało być dziwne uczucie – dodała – najpierw być w centrum uwagi, a potem żyć zupełnie anonimowo, jak tutaj.

Przypominała sobie, jak żartowała kiedyś, że Emmie zapewne ukrywa się przed mafią – tymczasem okazało się, że to były media, a ukrywanie się było jak najbardziej prawdziwe.

– Teraz rozumiem, czemu zatrudniłaś się u Moiry: nie musisz się z nikim spotykać – ciągnęła. – Gdybyś pracowała w sklepie albo w knajpie, turyści z Anglii mogliby cię rozpoznać.

Nagle uderzyło ją pewne skojarzenie.

– Ci faceci w porcie wtedy wieczorem, oni musieli się zorientować, kim jesteś, prawda? Zwłaszcza że miałaś na sobie tę sukienkę z fotografii?

Jak nierozważne wydało jej się nagle tamto wyjście na miasto, bardzo niepasujące do Emmie. Miała szczęście, że nie skończyło się niczym gorszym.

– Dlaczego ubrałaś się wtedy tak samo jak dawniej? Czy to dlatego, że tęskniłaś za byciem znowu sobą? Teraz pewnie też ci tego brakuje?

– Czasami – niewyraźnie odpowiedziała Emmie. Chociaż patrzyła w stronę Tabby, jej spojrzenie błąkało się, rozproszone. Słuchała Tabby, jakby była w hipnozie.

– Ale w końcu dziennikarze nie wytropili cię tutaj? Ci, którzy stali pod twoim domem, a potem pojechali za tobą do twojego brata?

Powoli wszystkie fakty układały się Tabby w głowie, aż dotarła do początku ich znajomości.

– Myślałaś, że to ja jestem kimś takim, kiedy mnie znalazłaś? Dziennikarką albo jakąś zwariowaną fanką, która włamała się do twojego domu?

Ze wszystkich domów na tej wyspie musiałam znaleźć akurat ten, w którym ktoś się ukrywał,

pomyślała.

– Już ci się to wcześniej zdarzyło, że bałaś się, że ktoś cię znalazł? Jezu, nie mogę sobie nawet wyobrazić, jak musiałaś się czuć cały czas. Pewnie ani na chwilę nie mogłaś przestać się rozglądać?

W odpowiedzi na te pytania Emmie tylko kiwała potakująco głową, a jej ciało wiotczało w oczach. Gdy przestała przytakiwać, zamknęła oczy i osunęła się na oparcie, jakby nie miała siły utrzymać się prosto. Nie tego oczekiwała Tabby – szczególnie po takich sytuacjach jak poprzedniego dnia (teraz wydawało się, że w zamierzonych czasach), kiedy siedziały obie przy kuchennym stole z teczką leżącą pomiędzy nimi, w atmosferze aż iskrzącej od nerwowego napięcia. Być może zdradzając swoją tajemnicę, Emmie straciła także ostatnie zapasy sił. Z Tabby było odwrotnie: poznanie prawdy, wyjście z labiryntu nieodmówień ożywiło ją, uwolniło energię, którą wcześniej poświęcała na domysły.

– To dlatego nie masz łącza internetowego? Żeby nie czytać tych ohydnych rzeczy w sieci? A co z telefonem, nie mogą do ciebie zadzwonić?

Ale zaraz przypomniała sobie, że przecież Emmie ma francuski numer. Pewnie zostawiła ten angielski, jadąc tutaj, żeby wyeliminować wszystkie możliwości wyśledzenia jej.

– Chciałam po prostu oderwać się od tego wszystkiego – odparła Emmie sennym głosem.

– No jasne.

Tabby wiedziała, że gdyby sama znalazła się w podobnej sytuacji, spędzałaby każdą chwilę, czytając, co o niej napisano; wpadłaby w obsesję, zwariowała. Ile siły musiała mieć Emmie, żeby się od tego odciąć, nie dać się wciągnąć.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego to się tak rozniosło. Przecież on nie był żadnym politykiem ani gwiazdorem czy kimś naprawdę sławnym – ciągnęła Tabby.

Wtedy przypomniała sobie zdjęcia Emmie w internecie, tych kilka fotek, które trafiły do mediów: na każdym z nich Emmie miała w sobie jakiś nierzeczywisty urok, który przyciągał wzrok i nie pozwalał oderwać od niej oczu. Trudno było w to teraz uwierzyć, ale ta bezsilna kobieta siedząca obok była kiedyś piękna; być może to piękno, razem z reputacją Arthura, wystarczyło – zwłaszcza w zestawieniu z faktem, że stało się przyczyną, choćby i pośrednią, czyjejś śmierci.

– To musiało być coś takiego jak te wirale, które zaczynają żyć własnym życiem, prawda? Wiesz, takie zjawisko, jak na przykład filmiki na YouTube, które mają dziesięć milionów odsłon, a potem ktoś o nich mówi w wiadomościach i następnego dnia jest już pięćdziesiąt milionów.

– Ja tylko chcę, żeby Arthur mi wybaczył – powiedziała Emmie. – Tylko na tym mi zawsze zależało. Tylko on może przywrócić mnie do życia.

Dziwnie to zabrzmiało w uszach Tabby – usłyszeć te same słowa, które dopiero co czytała, powtórzone na głos, niczym mantrę. Utrata Arthura musi być dla niej ciągle świeża, pomyślała. Od razu poczuła też pierwsze ukłucie zwątpienia – że może odkrycie prawdy nie było wcale takim dobrym pomysłem.

– A co, jeśli on próbował cię odnaleźć, Emmie? Masz przynajmniej to samo konto mailowe?

Emmie spojrzała na nią nieruchomym wzrokiem.

– Nie było żadnych wiadomości.

– Ale sprawdzałaś to? Jak?

Nie zauważyła, żeby Emmie korzystała z kafejki internetowej, ale może chodziła tam w sekrecie, lepiej orientując się w godzinach otwarcia.

– Czasami w domach klientów sprawdzam hasło i korzystam z komputera – powiedziała Emmie.

– To dobry pomysł – odparła Tabby, niemal tak samo poruszona wyobrażeniem Emmie, która nie przestrzega zasad ustalonych przez Moirę, jak przeczytaną dopiero co historią. – I nic nie napisał?

– Muszę pogodzić się z tym, że on mnie już nie chce. To ostateczne rozstanie.

– Och, Emmie – westchnęła Tabby. – Dobrze cię rozumiem.

Ale jeśli kiedyś wierzyła całym sercem we wspólnotę ich przeżyć, to teraz wiedziała już, że się myliła. Jej związek z Paulem był zupełnie inny niż historia miłosna opisana przez Emmie. Ją i Arthura

połączyła wielka namiętność, jedna z tych miłości zdarzających się raz na milion, dla której on zdecydował się postawić wszystko na jedną kartę, zaryzykować cały świat. Żonaci mężczyźni tacy przecież nie bywają, powinni raczej być jak Grégoire – zadowoleni z tego, co oferuje im los, i niezaprzątający sobie głowy, kiedy zostanie im to zabrane. Bez żalu i sentymentów, ale i bez zbytnich kłopotów. Emmie i Arthura rozdzieliła prawdopodobnie jedyna rzecz na świecie, która mogła tego dokonać: śmierć jego dzieci. Być może to właśnie rozjuszyło Ninę i jej kolegów po fachu, nie splendor i piękno, ale coś, czego nie mogli określić, fatalne zauroczenie, to coś, co kazało Arthurowi pójść za Emmie; co sprawiło, że ludzie patrzący z boku próbowali to zniszczyć, zanim pomniejszy ich własne życie i ich miłości. A przecież i tak samo z siebie było skazane na zagładę, nie mogło przetrwać.

– Pomyśleć, że wszyscy mogli o tobie czytać, i to nieprawdziwe rzeczy! To musiało być strasznie denerwujące, nie móc sprostować tych wszystkich kłamstw.

– Tak naprawdę nie miałam wrażenia, że to o mnie – odparła Emmie, a Tabby przypomniała sobie jej słowa o egzotycznym zwierzęciu narysowanym przez kogoś, kto go nie widział.

– Pomylili się nawet w najprostszycy rzeczach! Twierdzili, że nie radziłaś sobie w szkole, jakbyś była

jakimś osiołkiem, a ty tak świetnie piszesz! Twój francuski jest idealny. To zdumiewające, że tak szybko się nauczyłaś płynnie mówić, szczególnie że nie masz tu za wiele okazji, żeby rozmawiać z ludźmi. Może to właśnie powinnaś zrobić, Emmie, jak wrócisz? Pójść na studia językowe. Musisz mieć wrodzony talent.

Ale Emmie nie zwracała uwagi na entuzjazm Tabby. Wydawała się kompletnie wyczerpana. Spojrzawszy na zegarek – było wpół do jedenastej – Tabby wreszcie się poddała.

– Może porozmawiamy więcej jutro, dobrze? Obie powinnyśmy się przespać.

– Tak.

Emmie zamknęła komputer i wstała. Otrzymanie go z powrotem jakby dodało jej energii, potrzebnej, żeby mogła pójść na górę do sypialni. Tabby podążyła jej śladem, czując wielkie zmęczenie.

Dopiero kiedy kładła się do łóżka, zaświtała jej myśl, że przecież w swojej opowieści Emmie stwierdza, iż napisała wszystko w domu brata w Newbury, zanim przyjechała do Francji. Zajęło jej to dwa czy trzy tygodnie. Więc co robiła teraz, kiedy siedziała zamknięta z laptopem w swoim pokoju? Poprawiała swój tekst, każdego wieczora, dodawała różne szczegóły, czy może czytała go na nowo? Tabby nie była pewna, czy tego rodzaju zajęcia mogły być pomocne komuś, kto chce już o wszystkim zapomnieć.

„Ja tylko chcę, żeby Arthur mi wybaczył”... Ale nie

wybaczył i ta świadomość zadreślała, prześladowała Emmie. Czy tak już ma być zawsze?

Długo nie mogła zasnąć tej nocy, a kiedy w końcu zapadła w sen, nie przyniósł jej spokoju.

Następnym dniem była sobota, kiedy sprzątała dom przy rue du Rempart. Zazwyczaj zaraz po przyjściu włączała muzykę, bo to dodawało jej energii i sprawiało, że czas szybciej mijał, ale tego dnia zaczęła pracować w ciszy – historia Emmie tkwiła jej w głowie i nie dawała myśleć o niczym innym. Mój Boże, przez co ta biedna kobieta musiała przejść! Nie tylko prześladowania ze strony dziennikarzy, przez które w końcu straciła dom, ale także świadomość, że człowiek, którego kochała, cierpiał – i nadal cierpi – z powodu największego bólu, jaki może zadać życie, i że ona nie może nic zrobić, by mu pomóc. I jeszcze do tego zaraz potem zmarł jej ojciec, to było prawdziwe okrucieństwo. Tabby nie mogła o tym spokojnie myśleć i w końcu wybuchnęła płaczem.

Wiedziała oczywiście, że przeżycia Emmie były o wiele bardziej dramatyczne niż jej własne, ale nie mogła nie zauważyć kilku podobieństw. Sypiała w końcu z Grégoire'em, starszym, żonatym mężczyzną, który być może nie był dla niej figurą ojca, ale za to był ojcem dwóch synów, jak Arthur. I podobnie jak Emmie postanowiła o tym nie myśleć, ignorować istnienie jego rodziny. „Nie jesteś rozczarowany, że nie musiałeś się bardziej postarać, żeby mnie zdobyć?”, spytała Emmie

Arthurę; za to uległość Tabby była po prostu z góry przesądzona, zdobycie jej kosztowało Grégoire'a tyle wysiłku, co kupno miski ostryg w knajpie przy nabrzeżu. Oszukiwała sama siebie, że nie ma żadnych złudzeń – to było zwyczajnie żałosne.

Dopiero teraz dotarła do niej w pełni podłość własnego postępowania. Jej romans był o wiele gorszy niż romans Emmie, właśnie dlatego, że był taki niezobowiązujący. Nie kochała Grégoire'a, używała go tylko jako odskoczni, która pozwoli jej zapomnieć o cierpieniu z powodu innego mężczyzny i trochę zmniejszy samotność. Jakże często przekonywała samą siebie, że są przecież dorosłymi ludźmi, którzy wiedzieli, co robią, że zasługuje na odrobinę przyjemności jak każdy – a przecież Noémie nie miała o niczym pojęcia.

Nina Meeks powinna zająć się moim brakiem zasad, pomyślała. Ucieleśniała trzy schematy naraz: złamane serce szukające pocieszenia, wakacyjny romans i sypianie z żonatym facetem. Była znacznie lepszą kandydatką na symbol bez troskiej niemoralności niż biedna, zadręczona Emmie.

O tym właśnie myślała, gdy Grégoire zadzwonił do drzwi. Pożałowała, że nie odwołała spotkania. Pomijając już spóźnione poczucie winy, ten związek wydał jej się tani i brudny, od kiedy przeczytała o prawdziwej miłości opisaną przez Emmie. Jeżeli nie miała wystarczająco dużo silnej woli, żeby nie zaczynać

się z nim umawiać, powinna była mieć przynajmniej tyle przyzwoitości, by zakończyć całą sprawę już dawno temu. Tymczasem Grégoire poszedł prosto do sypialni.

Uświadomiła sobie, że kocha się z nim nieuważnie i pospiesznie, żeby potem mieć jeszcze chwilę na rozmowę. Ale na nawiązanie porozumienia było między nimi za późno. Leżąc obok niego na łóżku, streściła pokrótce historię Emmie i spytała, czy wiadomości o skandalu dotarły też do Francji.

– Nie słyszałem nic o takiej sprawie – odparł, oglądając paznokcie. Pewnie miał zamiar zaproponować Tabby papierosa, chociaż wypalenie go nie było warte konieczności długiego wietrzenia po jego wyjściu. Ironiczny dystans Grégoire’a był dokładnym przeciwieństwem tego, jak Emmie opisywała swojego ukochanego: skupienie, zachwycony wzrok, uważne słuchanie, nieustające pożądanie. – To się wydaje bardzo angielskie – dodał. – Tak właśnie robią te ich gazety.

– Co masz na myśli? – spytała. – Wyganianie kobiety z domu, a nawet z kraju, kiedy nie zrobiła nic złego? Organizowanie nagonki?

– Nie, pogląd, że seks jest jakąś złą rzeczą – sprostował. – A przecież to zawsze coś dobrego.

Po czym zaczął opowiadać Tabby o francuskim podejściu do prywatności, według którego to, co ludzie robią w życiu osobistym, pozostaje ich osobistą sprawą. Po chwili poczuła się znużona słuchaniem o francuskim wyrefinowaniu i stosunku do życia seksualnego, o wiele

bardziej pragmatycznym od brytyjskiego. O tym, jak francuski mąż czy żona, nawet jeśli sami nie angażują się w pozamałżeńskie przygody, akceptują potrzeby współmałżonka i nie uzurpują sobie praw do okazywania, jak bardzo czują się zranieni.

Nie wierzyła w ani jedno słowo. Nie było to możliwe, skoro na świecie działały się takie historie jak ta, która wydarzyła się Emmie. I to, że ktoś postanawia ukrywać cierpienie, nie oznacza jeszcze, że tego cierpienia nie czuje. Po raz pierwszy Grégoire zaczął ją irytować. Miała ochotę wracać już do pracy.

Tabby poczuła się zaskoczona, gdy zrozumiała, że po odkryciu prawdy o Emmie nic więcej nie nastąpi. Jej ciekawość została zaspokojona, dowiedziała się wszystkiego i nic więcej nie pozostało do zrobienia – nie miała przecież zamiaru ujawniać miejsca zamieszkania Emmie ani wspominać komukolwiek o jej przejściach. Nawet w ich prywatnym życiu niewiele się zmieniło: po jednej czy dwóch rozmowach, z których nie wynikło nic nowego, skończyły jej się pytania. Mogła jedynie jeszcze bardziej podziwiać Emmie i wspierać ją, jak tylko potrafiła.

Oczywiście korzyścią były nauki dotyczące jej własnego nieudanego związku, jakie mogła wyciągnąć z opowieści przyjaciółki. Myślę o wiele mniej o Paulu – stwierdziła. Może przyjdzie taki dzień, że zrozumie, dlaczego tak nam się ułożyło. Kto wie, być może oczekiwałam od niego rzeczy, które powinnam była

zapewnić sobie gdzie indziej. Rozwój osobisty, też coś! Poczwała się wreszcie wolna i gotowa jakoś zagospodarować pozostałe tygodnie lata, a może nawet porobić plany na przyszłość.

Nie wzięła tylko pod uwagę wpływu, jaki ujawnienie prawdy wyrze na Emmie.

Z początku przyczyn zmienionej atmosfery w domu upatrywała w atmosferze na zewnątrz. Zaczął się sierpień, sam szczyt sezonu, i zrobiło się okropnie gorąco. W miasteczku było tylu ludzi, że nawet chodzenie po ulicach stało się trudne i męczące. Wszędzie w powietrzu latały roje małych muszek, wznosiły się kłęby kurzu, kwiaty schły w doniczkach. Nieustępliwe słońce nagrzało w końcu terakotowe dachówki na dachu i nie miały już dokąd uciec przed upałem, który wszystko spowalniał. Nocami Tabby śniła o domku na palach, stojącym nad powierzchnią chłodnej wody, z krążącymi dookoła mewami i lekką bryzą przez cały czas. O ile w ogóle udawało jej się zasnąć.

W niedzielę nad ranem obudziło ją szlochanie dobiegające zza ściany; podobnie było kolejnej nocy i jeszcze następnej, aż wreszcie każdego dnia świt zaczynał się dla niej tak samo. Wątpliwości, które opadły ją tego popołudnia, gdy szczerze rozmawiała z Emmie, powróciły teraz na dobre, niemożliwe już do zignorowania.

W środę i czwartek Emmie spóźniła się do pracy i Moira musiała do niej zadzwonić, żeby ją popędzać.

Z kolei w piątek bez wiedzy Moiry skończyła sprzątanie godzinę wcześniej, zapewne wykonując je bez należytej staranności. W sobotę, kiedy miała posprzątać dwa domy w La Flotte, w ogóle nie poszła do pracy, tylko zatelefonowała do Moiry, że jest chora. Z dnia na dzień stała się nieprzewidywalna i zarzuciła dawną sumienność i odpowiedzialność. Któregoś razu Tabby sama zadzwoniła do Moiry, opowiedziała o wirusie, który zwałił Emmie z nóg, i zaproponowała, że zastąpi przyjaciółkę, jeśli tylko pozwoli jej na to rozkład dnia. Emmie jednak wolała, żeby obie siedziały w domu. O ile kiedyś zbywała pytania Tabby, o tyle teraz chciała bezustannie rozmawiać o sobie i o przeszłości. Najczęściej skarżyła się na prześladowanie ze strony Niny Meeks i wyraźnie było widać (zgodnie z obawami Tabby), że wszystkie te wspomnienia są bardzo świeże w jej pamięci.

– Gdyby nie ona, to pewnie moglibyśmy zostać razem. Przez te artykuły, przez tę nagonkę musiał się ode mnie odsunąć. Myślała, że tylko mnie wydaje na ukrzyżowanie, ale tak naprawdę ukrzyżowała nas oboje. Wiem, że nie zmieniałbym przeszłości, ale przynajmniej mogłabym z nim być, to byłoby już wystarczająco dużo. Musiał się czuć taki opuszczony, zupełnie samotny.

– Powinnaś starać się o tym zapomnieć – powiedziała jej wreszcie Tabby, po kilku dniach podobnych żalów. – Tak jak mówisz w swoich wspomnieniach, spisałaś je po to, żeby wyrzucić z siebie

wszystko, nie myśleć o tym w nieskończoność...

– Nigdy z siebie tego nie wyrzucę! – przerwała jej Emmie. – To nie fair, ja wcale nie chciałam takiego końca. Czym sobie na to zasłużyłam? Nie rozumiem!

Tabby patrzyła na nią, bezradna wobec tego przyływu nieszczęścia. Coraz bardziej dręczyło ją poczucie winy. Nie było wątpliwości: dopóki Emmie była zdana na własne siły, jakoś radziła sobie z bagażem ciężkich przeżyć, a teraz Tabby zepchnęła ją z powrotem w otchłań rozpacz. Wymuszona przez nią spowiedź nie przyniosła Emmie żadnej ulgi – otworzyła na nowo ledwie zabliźnione rany i teraz Emmie stała się tak samo załamana, bezradna i przerażona jak w najgorszym okresie.

– Emmie. Po prostu zakochałaś się i nie wyszło. Związki cały czas się rozpadają ze znacznie głębszych przyczyn. Wasz nie miał żadnych szans, żaden związek nie przetrwałby czegoś takiego. Sensacja w mediach – no pewnie, że nie zasługiwałaś na takie potraktowanie, ale musisz zostawić to za sobą i skupić się na dalszym życiu. Pozwól sobie przeżyć żałobę po ojcu bez myślenia o Ninie Meeks, ona jest w ogóle nieważna. Tak dobrze sobie radziłaś do tej pory. Chciałabyś, żebyśmy zadzwoniła do twojego brata? Chyba zbliżyliście się do siebie, zanim wyjechałaś – może pomogłaby ci rozmowa z nim?

– Chcę tylko Arthura – jęknęła Emmie. To zdanie Tabby słyszała od kilku dni raz za razem.

Mogła winić tylko siebie. Odegrała rolę Pandory i nie dało się już odwrócić tego, co zrobiła. Puszka z nieszczęściami została otwarta i od tamtej chwili nie kusiły jej już w domach klientów szafki z napisem *Privé*.

Sytuacja robiła się z dnia na dzień gorsza. Na zewnątrz upał powoli ustępował, za to w domu atmosfera stawała się coraz bardziej gorączkowa.

– Emmie – powiedziała, kiedy po powrocie z pracy zastała przyjaciółkę nadal w piżamie, jakby przez cały dzień zdołała przemieścić się jedynie z łóżka na kanapę w salonie – to nie mój interes, ale może powinnaś iść do lekarza, żeby coś ci przepisał?

Przypomniała sobie o tabletkach, które kiedyś znalazła w łazience, zapisanych Emmie przez lekarza ze szpitala, w którym leczył się jej ojciec.

– Nic mi nie jest – odparła Emmie, głosem zniekształconym od długotrwałego płaczu. – Czuję się bardzo dobrze.

– Ale lekarz mógłby ci pomóc, żebyś poczuła się jeszcze lepiej.

– Powiedziałam, że nie chcę iść do lekarza!

Wykrzyczała to zdanie gwałtownie, a efekt pogłębiły jeszcze czerwone białka oczu patrzących na Tabby z gniewem.

– OK, ale w razie gdybyś zmieniła zdanie... Wiem, jak to jest, kiedy...

– Wcale nie wiesz – przerwała jej Emmie, nie mając

cierpliwości dla jakichkolwiek wynurzeń poza własnymi. – Skąd miałybyś wiedzieć?

Tabby musiała przyznać, że nie może, już nie. Jeśli miała wspierać Emmie, nie mogła powoływać się na wspólnotę przeżyć, tylko ograniczyć się do wyrazów współczucia.

Następnego dnia, w sobotę, sprawy wymknęły się spod kontroli. Kiedy zabawiła się z Grégoire'em w sypialni domu przy rue du Rempart, jej telefon kilkakrotnie dzwonił w torebce, którą zostawiła na dole. W obawie, że to może być Moira, zeszła na dół, żeby odebrać, i okazało się, że dzwoniła Emmie. Znowu zwolniła się z pracy, a teraz krzyczała do słuchawki, żeby Tabby natychmiast wracała do domu.

– Muszę iść – powiedziała Tabby do Grégoire'a. – Boję się, że coś sobie zrobi. Wpadła w histerię.

– O co jej chodzi, dlaczego tak płacze? – spytał. Usłyszała oschłość w jego głosie.

Nie mogła opowiedzieć mu o tym, co się stało – instynktownie czuła, że ze spotkania Emmie z Grégoire'em nie wynikłoby nic dobrego, ale i tak była rozczarowana, że nie zaproponował żadnej pomocy. Chciał tylko spędzić przyjemnie czas i iść do domu. Kiedy wychodzili razem, nie przejmując się zwykłymi środkami ostrożności, przysięgła sobie, że widzą się po raz ostatni. Nie wysłała mu wiadomości za tydzień ani za dwa tygodnie. Nie będzie mu więcej dogadzać, w żadnym sensie. A jeśli on przyjdzie jak zwykle, nie

otworzy mu. Oczywiście nic mu nie powiedziała. Nie był to ten rodzaj związku, w którym trzeba dbać o dobrą komunikację, a poza tym nie miała czasu na rozmowy. Poszła szybko w swoją stronę, nie spoglądając za nim ani razu.

W domu zastała Emmie siedzącą na podłodze w salonie, najwyraźniej niezdołną wstać. Zawartość fioletowej teczki rozrzucona była dookoła na dywanie, a zjadliwe tytuły gazetowych artykułów krzyczały wielkimi literami: *EMILY MARR TO TRUCIZNA, MÓWI JEDEN Z POSŁÓW; EMILY MARR – ZABÓJCZYNI CZY LOLITKA?; KOCHANKA CHIRURGA NIE LEPSZA OD PROSTYTUTKI*. Tabby usiadła obok, ale nie próbowała pobierać leżących dookoła papierów. Czy Emmie uciekła od wścibskiej prasy tylko po to, żeby teraz zadrećcać się tymi zniewagami?

Uspokoiwszy trochę przyjaciółkę, otworzyła okna i pchnęła okiennice, żeby wpuścić do domu światło i świeże powietrze – była przekonana, że Emmie potrzebuje przede wszystkim wyjścia na świat. Zrobiła herbatę, ale Emmie chwyciła kubek tak nieporadnie, że rozbił się na podłodze, ochlapując wszystko dookoła. Widząc, że herbata zalała niektóre z wycinków, Emmie zerwała się na równe nogi i gorączkowo zaczęła je zbierać, płacząc przy tym w swój niesamowity, żaloszny sposób, do którego Tabby zdążyła się już przyzwyczać. Jej oczy lśniły, ożywione jakąś prymitywną, zwierzęcą ekscytacją.

– Emmie, proszę cię, musisz postarać się uspokoić. Myślę, że powinnaś trochę wyjść z domu, na powietrze. Zwariujesz, jak będziesz tak siedzieć w zamknięciu. I przestań już czytać te głupoty! Może lepiej, żebyś to wszystko powyrzucała, razem z laptopem. Albo przynajmniej pozwól mi pochować...

– Nie! – wykrzyknęła Emmie skrzekliwym głosem. – Nie możesz, to jest moje!

– Dobrze, dobrze, pozwól mi przynajmniej poskładać te papiery. Leżą wszędzie porozrzucane. Może miałybyś ochotę wziąć kąpiel i trochę się zrelaksować? Napuszczę ci wody, co?

O ile się orientowała, Emmie nie myła się od co najmniej dwóch dni.

– Muszę tylko trochę odpocząć – powiedziała Emmie już nieco mniej bojowo i z podłogi podciągnęła się na kanapę, podpierając się rękami jak ktoś, kto nie ma władzy w nogach. Nie zwróciła uwagi na zakazane dotąd słońce, którego blask wpadał przez okna i złocił stolik koło kanapy; patrzyła tylko w mur zasłaniający widok, jakby zahipnotyzowana widokiem gołych cegieł. Jakąż Tabby miała ochotę rozwalić tę ścianę i spojrzeć choć raz na ogród sąsiadów.

Przyniosła nową herbatę i przyjrzała się Emmie, rozważając, czy może ją tak zostawić.

– Muszę wracać do pracy. Dasz sobie radę przez godzinę?

– Nic mi nie jest – odparła Emmie, na wpeł

zdziwiona, na wpół zrezygnowana. Z jej oczu zniknęła już zwierzęca zajadłość.

Niespodziewanie, jakby tego wszystkiego było mało, w tym momencie zadzwoniła do Tabby Moira i cała sytuacja zaczęła przypominać zwariowaną farsę.

– Na litość boską, Tabby, gdzie jesteś? Goście przyjechali wcześniej na rue du Rempart. Są już w domu!

– Bardzo przepraszam, musiałam szybko wrócić do domu, coś się stało. Zostały mi tylko sypialnie, zaraz tam będę.

– Nie ma potrzeby – odparła Moira z gniewem. – Poprosiłam Sophy, żeby dokończyła pracę za ciebie. Na szczęście była akurat w Saint-Martin i zgodziła się cię zastąpić.

– O, to świetnie, dziękuję bardzo. Obiecuję, że już więcej...

– Nie będziemy teraz o tym rozmawiać – przerwała Moira. – Widzę, że jutro nie masz nic do roboty, bardzo dobrze. Czy możesz przyjść do biura w poniedziałek rano?

– Tak, oczywiście – powiedziała Tabby, chociaż odmowa raczej nie wchodziła w grę. Zresztą Moira rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź.

Mogąc teraz poświęcić uwagę Emmie, przekonała ją do ubrania się i wspólnego wyjścia na spacer nad morze. Poszły ścieżką prowadzącą wzdłuż brzegu do Loix, dla wszystkich innych spacerowiczów najpiękniejszą trasą

widokową, a dla niej w tej chwili jedynie środkiem na przetrwanie godziny czy dwóch w warunkach ostrego kryzysu, który nie bardzo umiała zrozumieć, a zwłaszcza zażegnać. Poszły o wiele dalej niż normalnie, bo Tabby chciała zmęczyć Emmie, tak jak kiedyś jej ojciec i Susie starali się zmęczyć córeczki Susie. Myślała, że może stan Emmie pogorszył się przez to, że zabrakło jej aktywności fizycznej, której normalnie dostarczała jej praca.

– Moira jest wściekła – powiedziała w pewnym momencie, ale gdy Emmie się nie odezwała, nie miała nic więcej do dodania. Moira, podobnie jak Grégoire, była zjawiskiem przejściowym, związkiem na czarno. Priorytety Tabby ostatnio się zmieniły i przestało jej zależeć. Pracowała ze wszystkich sił przez całe lato i nie czuła, żeby miała wobec Moiry jakiś dług wdzięczności.

O Emmie myślała inaczej. Jej zawdzięczała wszystko.

Następnego dnia, w niedzielę, Emmie szczęśliwie nieco się uspokoiła. Nie jadła wprawdzie ani się nie umyła, ale przynajmniej zgodziła się wyjść na kolejny spacer i nie rozmawiać o swoich przeżyciach. Tabby starała się nie myśleć, że pewnie powtarza sobie wszystko w głowie. Postanowiła, że w razie następnego maniakalnego ataku wezwie lekarza, nie pytając Emmie o zdanie. Nie znała się na chorobach, ale opanowujące przyjaciółkę na zmianę złość i bezradność musiały być oznakami rozpacz i żałoby, stłumionej czy odsuniętej

przez ostatnie kilka miesięcy i dopiero teraz znajdującej sobie ujście. Przeszukała koszyk z kosmetykami Emmie w łazience, licząc, że znajdzie fiolkę z lekarstwem, którą widziała tam wcześniej, ale niestety, już jej nie było. Pozostała nadzieja, że Emmie zaczęła brać lekarstwo z własnej woli i że próbuje poradzić sobie z sytuacją.

W poniedziałek Tabby zaproponowała, żeby Emmie poszła z nią do La Flotte na spotkanie z Moirą; zamierzała zostawić ją bezpiecznie w kawiarni, podczas gdy sama będzie rozmawiała z szefową. Jej amatorska kuracja wysiłkiem fizycznym przynosiła efekty – wydawało się, że Emmie szybko wraca do swojej dawnej postaci, a raczej postaci, którą sobie wcześniej wymyśliła. Tabby odetchnęła z ulgą – dawna, małomówna Emmie była znacznie łatwiejsza w obejściu niż ta rozbita i nieradząca sobie z rzeczywistością.

Kiedy dotarły do La Flotte, ku jej zaskoczeniu – i lekkiemu przerażeniu – Emmie uparła się, że wejdzie z nią do biura i będzie towarzyszyć jej w rozmowie.

– Nie bardzo wiem, dlaczego się tu dzisiaj zjawiaś – powiedziała Moira, gdy weszły. – Myślałam, że ciągle źle się czujesz?

Jej niezadowolenie było aż nadto widoczne. Nie zaproponowała im kawy ani nie traciła czasu na uprzejmości. Bez słowa wskazała dwa krzesła stojące przed biurkiem.

– Ona naprawdę źle się czuje – odparła Tabby, gdy Emmie nie zareagowała. Dopiero gdy zobaczyła

przyjaciółkę w sztucznym świetle, zdała sobie sprawę, jak bardzo jest blada. Schudła też przez ostatnie dni i na jej twarzy ostro zarysowały się kości policzkowe. Moira też na pewno to zauważyła, pomyślała, i dobrze. Powstrzymała się przed przypominaniem szefowej, że podczas choroby Emmie nie dostawała pensji; płacenie gotówką miało zalety dla obu stron.

Moira zwróciła się do Tabby.

– Musimy porozmawiać o tym, co wydarzyło się w sobotę przy rue du Rempart.

– Tak, ja...

– Zacznijmy od tego, co ja wiem. O wpół do trzeciej zadzwonili do mnie goście, którzy właśnie przyjechali, skarżąc się, że dom nie nadaje się do zamieszkania. Powinni w ogóle nie móc wejść na teren posiadłości, dopóki dom nie został posprzątny do końca, ale najwyraźniej zapomniałaś włączyć automatyczny zamek, kiedy wychodziłaś.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Tabby. – Spieszyłam się, coś się nagle stało. Sądziłam, że zdążę wrócić i wszystko skończyć, zanim przyjadą.

Moira nie zwróciła uwagi na jej słowa.

– W domu zobaczyli, że ktoś korzystał z jednej sypialni.

– Tak, był jeszcze bałagan. Jak mówiłam, nie skończyłam sprzątnięcia.

– Kobieta była szczególnie zbulwersowana, bo dzieci znalazły opakowanie od prezerwatywy na

materacu. Były tam też niedopałki, używana pościel i porzucona na podłodze bielizna.

Przyparta do muru Tabby postanowiła blefować.

– Pewnie zostały po poprzednich gościach. Mówiłam już...

– Raczej nie – przerwała jej Moira. – Poprzedni lokatorzy to było starsze małżeństwo z wnukiem. Mało prawdopodobne, żeby to byli oni.

– Więc może wnuk?

– Miał jedenaście lat. – Moira patrzyła na nią rozgniewana. – Tabby, proszę, przestań kłamać. Ludzie, którzy przyjechali, widzieli, jak wychodziłaś z domu z jakimś mężczyzną, akurat w momencie, kiedy parkowali przy ulicy.

– Aha.

– I to nie pierwsza nasza rozmowa na ten temat, prawda? Powiedz mi proszę szczerze, czy używałaś domu przy rue du Rempart do spotykania się z chłopakiem? Czy paliliście tam papierosy? Czy uprawialiście seks na terenie posiadłości?

Tabby patrzyła na Moirę pośpiesznie, mając nadzieję, że wygląda na bardziej skruszoną, niż była w rzeczywistości. Miała kłopoty – czy można było na tej podstawie oskarżyć ją o prostytuowanie się? – a jednocześnie ta sytuacja była dla niej mało istotna, tylko odwracała uwagę od ważniejszego zadania: pilnowania Emmie. Moira mówiła z takim zimnym gniewem, kiedyś na pewno by się tego przeraziła, ale

teraz jej słowa wydały się Tabby mało ważne, nawet prawie komiczne. Poczwała, że nie ma siły ani ochoty się bronić.

Siedząca obok Emmie odchrząknęła, jakby chciała coś powiedzieć, i Moira spojrzała w jej stronę.

– Wiesz coś na ten temat, Emmie?

– Tak, wiem – odparła Emmie, nagle pobudzona tak samo jak dwa dni wcześniej. – To pomyłka. To byłam ja, nie Tabby.

– Co ty, zwariowałaś? – zachnęła się Tabby.

– Nie. To byłam ja – upierała się Emmie. – Tabby nie czuła się dobrze rano, więc poszłam ją zastąpić. Zaprosiłam kogoś, z kim się spotykam, żeby przyszedł, kiedy tam będę.

Moira parsknęła z irytacją.

– Myślałam, że to ty zadzwoniłaś w sobotę, że źle się czujesz?

– Dzwoniłam, ale nie mówiłam prawdy. Zwolniłam się, bo chciałam się spotkać z chłopakiem. Ale kiedy Tabby powiedziała, że źle się czuje, zaproponowałam, że ją zastąpię, i zaprosiłam chłopaka, żeby przyszedł do mnie do pracy. I to ja musiałam nagle wyjść. Pralka zalała nam całą łazienkę.

Brzmiało to równie nieprawdopodobnie w uszach Moiry, co w uszach Tabby. Tabby doceniała starania przyjaciółki, jednak było oczywiste, że Emmie nikogo nie przekona.

– Kim jest człowiek, z którym się umówiłaś? –

zapytała Moira. – Chciałabym do niego zadzwonić, jeśli można.

Emmie zamilkła na pełen napięcia moment, a potem odpowiedziała:

– Arthur. Ma na imię Arthur.

– Emmie, daj spokój – wtrąciła Tabby. – Przecież wiesz, że to nieprawda.

Moira patrzyła to na jedną, to na drugą z rosnącym niedowierzaniem. Była coraz bardziej rozgniewana, czekając na wyjaśnienia, które najwyraźniej były nieosiągalne, a poza tym i tak nie mogły jej zadowolić.

– Nie wiem, o co tu chodzi, ale obu wam mówię, że absolutnie nie do przyjęcia jest umawianie się z chłopakiem czy kimkolwiek innym, kiedy jesteście w pracy. Czy to wasza regularna praktyka? Traktowanie miejsca pracy jako hotelu na godziny? Nie spodziewałabym się czegoś takiego po studentkach, a co dopiero po dorosłych kobietach. Uważam, że teraz powinnyście mi powiedzieć, co właściwie działo się tego lata.

– Proszę nie słuchać Emmie – zwróciła się do niej Tabby. – Nie miała z tym nic wspólnego. To byłam ja. Proszę poprosić gości, żeby opisali dziewczynę, którą widzieli, i okaże się, że to byłam ja.

– Nic podobnego nie zrobię. Mieli już wystarczająco dużo kłopotów jak na jedne wakacje. Płacą właścicielowi dwa i pół tysiąca euro za wynajęcie domu na tydzień i nie przyjechali tu, żeby zajmować się

czyimiś pokątnymi romansami. – Moira wpadła teraz w ton pompatyczny i Tabby strasznie zachciało się śmiać. – Owszem, przyjechali wcześniej, ale nie powinni móc dostać się do domu przed trzecią po południu. I nawet jeśli rzeczywiście zdarzyła się jakaś nagła sprawa, to wątpię, żebyś zdążyła wrócić i skończyć pracę przed tą godziną, co byłoby równie nieprofesjonalne. Mogę tylko mieć nadzieję, że ci goście nie poskarżą się bezpośrednio właścicielowi, bo gdyby do tego doszło, pewnie chciałby znaleźć nowego zarządcę i trudno byłoby mieć mu to za złe. Całkowicie zawiodłyście zaufanie moje i właściciela i bardzo możliwe, że zepsułyście mi opinię. Czy zdajecie sobie z tego sprawę?

Ta gniewna przemowa zawisła w powietrzu między nimi, nie zostawiając miejsca ani na zaprzeczenia, ani na przeprosiny. Tabby już przeszła ochota na parsknięcie śmiechem, ale nie była pewna, ile jeszcze wytrzyma. Zerknęła na Emmie, która najwyraźniej zajęta była swoimi myślami i nie przejęła się zbytnio tym, co usłyszały.

– Przepraszam – zwróciła w końcu do Moiry. – Nie wiem, co jeszcze mogłabym powiedzieć.

Nie zdziwiły się, gdy Moira oznajmiła im wreszcie, że obydwie są zwolnione z pracy.

Kolejne dni były chyba najdziwniejszymi w życiu Tabby. Jeżeli kiedykolwiek doceniała rytm, który nadaje dobie chodzenie do pracy, było to właśnie teraz. Bez

żadnego konkretnego powodu, by wyjść, dom stał się dla niej więzieniem, a Emmie – strażnikiem, chociaż w rzeczywistości było odwrotnie. Teraz to ona była odpowiedzialna za Emmie.

Emmie niewiele mówiła od czasu, gdy wstawiła się za Tabby podczas rozmowy z Moirą – ani o swoim cierpieniu, ani o utraconej pracy. Nie zapytała Tabby, czy oskarżenia Moiry były prawdziwe albo kim był mężczyzna, który przyszedł na rue du Rempart. Nie interesowało jej to, podobnie jak nie zajmowało jej jedzenie i dbanie o siebie – robiła to jedynie po usilnych namowach Tabby. Tak samo było ze spacerami, które stały się krótkie i bardzo męczące; rzadko udawało im się wyjść poza fortyfikacje Saint-Martin. Zaczęła za to popijać – parę kieliszków wina przed snem, a Tabby, z solidarności albo z poczucia klęski (sama nie była pewna dlaczego), dotrzymywała jej towarzystwa. Skojarzenia z Sylvie Woodhall, które przychodziły jej do głowy, zachowywała dla siebie. Obie zaczęły przesypiać większą część doby.

W czwartek regularna praca dla Moiry wydawała się już odległym wspomnieniem albo nawet jakby fragmentem przeczytanej kiedyś powieści. Po raz pierwszy Tabby zapragnęła wyjechać z Ré. Bez stałego dochodu mieszkanie na wyspie było niemożliwością, a poza tym miała już teraz wystarczająco dużo pieniędzy, żeby pomyśleć o przeniesieniu się gdzie indziej bądź o powrocie do Anglii. Nie mogła jednak

zostawić Emmie w tym stanie, zwłaszcza że sama była winna jej załamaniu. Bez jej nienasyconej ciekawości Emmie nie musiałaby na nowo przeżywać traumatycznych wydarzeń z przeszłości i nie straciłaby pracy, która wiązała ją z terażniejszością.

Tak się złożyło, że wszystko znowu poszło źle.

Następnego dnia znalazła numer telefonu do lekarza i zadzwoniła z prośbą o radę. Na szczęście mówił po angielsku lepiej niż ona po francusku – wystarczająco dobrze, żeby zrozumiała, że nie może stawiać diagnozy, nie zbadawszy Emmie osobiście. Niestety nie odwiedzał pacjentów w domach, więc musiałaby przyprowadzić Emmie do przychodni. To, jak Tabby dobrze wiedziała, było wykluczone – nawet gdyby udało jej się nakłonić przyjaciółkę do wejścia do budynku, na pewno odwróciłaby się na pięcie i wyszła, gdyby tylko ktoś chciał ją badać. Żałowała, że rozstała się z Moirą w taki sposób – być może mogłaby poprosić ją o pomoc. Przypomniała sobie znowu o Philu, bracie Emmie mieszkającym w Newbury, który najwyraźniej troszczył się o siostrę i kochał ją, i przy najbliższej nadarzającej się okazji poszukała jego numeru w telefonie Emmie. Niestety, ku jej rozczarowaniu książka adresowa Emmie składała się tylko z trzech numerów: Moiry, właściciela domu, w którym mieszkały, i jej własnego. Nie było tam żadnych kontaktów z Anglii – odcięła się od dawnego życia na dobre.

Wieczorem, kiedy Emmie poszła spać, Tabby

zniosła na dół laptop i na nowo przeczytała parę fragmentów jej historii, szukając wskazówek, jak mogłaby podnieść przyjaciółkę na duchu. Nie znalazła nic ciekawego, ale natknęła się na urywek, który musiała albo pominąć za pierwszym razem, albo przeczytać zbyt szybko, by należycie go zrozumieć: „Chciałabym kiedyś, chociaż jeden raz, móc powiedzieć komuś takiemu: «Chodź ze mną, zamieszkaż u mnie, aż będziesz mógł sam stanąć na nogi». Pomóc komuś, kto się tego w ogóle nie spodziewa”. Wreszcie, po tak długim czasie, znalazła wyjaśnienie postępowania Emmie, którego nie potrafiła sobie wytłumaczyć: to dlatego pozwoliła Tabby zostać w swoim domu po włamaniu, dlatego zaproponowała jej, żeby zamieszkały razem. Tabby stała się beneficjentką jej losowego aktu dobroczynności, postanowienia, że pomoże kiedyś jakiejś obcej osobie. Serce ją zabolalo na myśl, że ta miła dziewczyna o otwartym sercu – która zbłądziła, owszem, ale nie bardziej niż każda inna zakochana kobieta – musiała się zamienić w zagubioną i załamana desperatkę.

Aż wreszcie w niedzielę obudziła się, wiedząc, co powinna zrobić. Kiedy wyszła na miasto, by kupić coś do jedzenia, wykonała wszystkie niezbędne telefony.

– Muszę wyjechać z wyspy na kilka dni – powiedziała Emmie wieczorem. – Nie będzie mnie, jak się obudzisz. Dasz sobie radę?

– Oczywiście – odparła Emmie. – Nic mi nie jest.

To była oczywiście nieprawda, zwłaszcza że Emmie nie wychodziła z sypialni od środy, ale inne okoliczności przekonały Tabby, by jednak zrealizować swój plan. Po pierwsze, Emmie nie pytała o laptop, po tym jak Tabby zniosła go na dół, po drugie, wykąpała się i umyła włosy, a po trzecie, zjadła jajecznicę z chlebem, którą Tabby zrobiła jej na lunch.

Napełniwszy lodówkę zdrowym jedzeniem (jakby chodziło o przeziębienie!), zostawiła przy łóżku przyjaciółki kilka książek. Przypomniała jej raz jeszcze, że musi wyjść wcześniej rano, i obiecała, że będzie z powrotem za parę dni i że wszystko wróci do normy. Cokolwiek to miało znaczyć.

Czuła się trochę tak, jakby zostawiała dziecko, żeby radziło sobie samo, ale starała się pamiętać, że swego czasu Emmie doskonale dawała sobie radę bez niej. Może właśnie samotność dobrze jej zrobi.

W tym zaś czasie Tabby wróci do Anglii i znajdzie Arthura Woodhalla.

Rozdział 23

Tabby

To był ostatni weekend sierpnia, a w Anglii przypadał akurat wolny poniedziałek, więc ani z La Rochelle, ani z Nantes nie było żadnych lotów do Londynu, które nie kosztowałyby majątku. Na Eurostar z Paryża nie było już biletów. Musiała więc jechać zwykłym pociągiem i promem – tanio, ale powoli.

Wyszła z domu, kiedy było jeszcze ciemno. Siedząc w autobusie jadącym do La Rochelle, podziwiała słynny most, który kiedyś przejechała z Grégoire'em. Nadal nie pamiętała wszystkich szczegółów tamtej podróży w maju, a ostatnich kilka tygodni było tak dziwnych, że chyba nie zaskoczyłoby jej zbytnio, gdyby w drodze powrotnej okazało się, że żadnego mostu nie ma, a wyspa Ré nigdy nie istniała.

Przesiadła się w Rennes, a potem w Saint-Malo wsiadła na prom do Portsmouth. Rejs trwał niemal cały dzień. Nie miała wrażenia powrotu do domu i cieszyła się z tego. Nie potrzebowała teraz żadnych sentymentalnych wzruszeń. Kiedy dotarli do Anglii, była siódma wieczorem i postanowiła zatrzymać się w tanim hotelu niedaleko portu. Gdyby pojechała do Londynu bez żadnej wcześniejszej rezerwacji noclegu, ryzykowałaby koniecznością wydania ostatnich groszy

na jakiś niepotrzebnie drogi hotel.

Postąpiła słusznie – rano wstała wypoczęta i pełna optymizmu, wierząc, że wieczorem położy się spać już po załatwieniu wielu spraw, a może nawet będzie szykować się do powrotu do Emmie, żeby jakoś ją wydzwignąć z depresji i, kto wie, może nawet skierować na szczęśliwszą drogę.

Niezbyt dobrze знаła Londyn i nie była pewna, czy kiedykolwiek odwiedziła dawną dzielnicę Emmie, więc po przyjeździe na stację Waterloo z zadowoleniem stwierdziła, że znalazła się we właściwej części miasta i ma do przejechania tylko parę przystanków autobusem. Oczywiście nie była tak naiwna, żeby spodziewać się, że Arthur Woodhall osobiście otworzy jej drzwi i zaprosi do środka, a następnie z entuzjazmem zgodzi się pojechać z nią do Francji następnego dnia. Przede wszystkim najprawdopodobniej wcale już nie mieszkał w dawnym domu (Emily ani razu nie widziała świateł w oknie od czasu tragedii), a poza tym zapewne był teraz w pracy, w szpitalu. Nie był to jednak szpital St Barnabas. Pamiętając informacje o jego odejściu stamtąd, Tabby dla pewności zadzwoniła do sekretariatu, żeby to ostatecznie potwierdzić. Mogła tylko mieć nadzieję, że nie zmienił nazwiska tak jak Emmie, bo wtedy na pewno nie udałoby jej się go znaleźć.

Zapomniała już, jak piękne jest w Anglii późne lato. Słońce stało wysoko, kiedy skręciła w Walnut Grove i zobaczyła opadającą w dół ulicę wysadzaną drzewami,

o których pisała Emmie. Ulica była węższa, niż sobie wyobrażała, i drzewa rosnące po obu stronach chodnika stykały się koronami, tworząc zielony korytarz, którym poszła przed siebie niczym przez zaklęty las. Łatwo było zrozumieć, dlaczego Emmie zakochała się w tym miejscu; jak to się stało, że chciała do niego należeć. Idąc w dół – weszła na ulicę od strony domu Arthura, tej lepszej – dziwiła się, jak wysokie są tutaj domy, wyniosłe i imponujące w porównaniu z niską zabudową Saint-Martin. Dom pod numerem jednaście był onieśmielająco wystawny i w oczach Tabby wyglądał raczej jak rezydencja – z nieskazitelną białą elewacją i oknami na pierwszym piętrze ozdobionymi kolorowymi kwiatami. Żywe kwiaty i światło przeświecające przez okienko nad drzwiami wejściowymi wyglądały obiecująco – dom był zamieszkały, otwarty. Ale czy mieszkał tam Arthur? Czy człowiek tak boleśnie osierocony mieszkałby w tak wielkim domu, czy mógłby chodzić po jego pokojach i nie widzieć w nich duchów swoich nieżyjących dzieci?

Zadzwoiła do drzwi. Otworzyła je jakaś kobieta z Nigerii – pewnie sprzątaczką, pomyślała Tabby, tak jak ona sama. Od razu przestała być spięta.

– Szukam Arthura Woodhalla. Czy jeszcze tu mieszka?

Kobieta potrząsnęła głową bez zastanowienia i Tabby zgadła, że pewnie nie pierwszy raz odpowiada na to pytanie.

– Wyprowadził się. Teraz mieszka tu inna rodzina.

– Aha. Dawno się wyprowadził?

– Nie wiem.

– A wie pani może, dokąd się przeniósł? Mieszka ciągle w Londynie?

Ale kobieta najwyraźniej nie wiedziała nic o Arthurze i chciała jak najszybciej wrócić do pracy. Gdy zamknęła drzwi, Tabby poczuła pieczenie pod powiekami. Zganiła się za to w myślach. Bardzo prawdopodobne, że było to jedno z wielu rozczarowań, które czekały ją tego dnia – musiała wziąć się w garść, jeśli chciała zrealizować swoje zamiary.

Odwróciła się i spojrzała na szereg domów naprzeciwko. Były węższe, z cegłami pomalowanymi na czarno, ale i tak duże i eleganckie, niektóre nawet czteropiętrowe. Co najmniej dwa domy można było określić jako leżące naprzeciwko posesji numer 11 i poszła w stronę tego z prawej strony, przywołując na twarz uprzejmy uśmiech, kiedy dzwoniła do drzwi. Otworzyła jej młoda kobieta, około trzydziestki, z rozpuszczonymi włosami i klapkami na bosych nogach. To na pewno nie była sławna Nina Meeks. Wołania małych dzieci z głębi domu świadczyły o tym wyraźnie, bo Nina miała starsze potomstwo, w tym samym wieku co synowie Arthura. Ta myśl zmroziła Tabby na chwilę. To tutaj się wszystko zaczęło: na tej ulicy, w tych domach.

– O – powiedział kobieta, patrząc na nią

z rozczarowaniem, jak ktoś, kto spodziewa się dostawy urodzinowego tortu, a zamiast tego widzi list polecony z urzędu skarbowego. – Słucham?

– Szukam Niny Meeks. Powiedziano mi, że jej dom jest gdzieś tutaj, czy to prawda?

Kobieta zmarszczyła brwi.

– A kim pani jest?

Oczywiście, Nina była znana. Jaka sąsiadka sławnej osoby podałaaby jej adres komuś obcemu, zwłaszcza po tak niedawnym okupowaniu całej ulicy przez dziennikarzy? Potem Tabby uświadomiła sobie, że Nina sama była dziennikarką, i to taką, która wchodzi z butami w cudze życie, bez zastanawiania się, czy kogoś nie skrzywdzi. Ile jeszcze było takich jak Emmie? Nie było sensu przejmować się jej uczuciami.

– Nazywam się Tabby Dewhurst. Przyjechałam wczoraj aż z Francji, żeby porozmawiać z Niną o pewnej ważnej sprawie, która ma związek z jej pracą. Na pewno nie będzie miała nic przeciwko spotkaniu ze mną.

– Nie powinna pani poszukać jej w redakcji?

– Może tak byłoby lepiej, ale jestem teraz w tej okolicy i nie mam zbyt wiele czasu przed powrotem.

Kobieta rozważyła za i przeciw: niewinny wygląd nieznajomej, sympatycznie brzmiące imię, odległość, którą przebyła.

– Mieszka dwa domy dalej, pod numerem szesnastym. Ale pewnie i tak nie ma jej teraz, niech się

pani nie nastawia.

– Dziękuję bardzo.

Kiedy zadzwoniła do odpowiednich drzwi, czekała długą chwilę, zanim otworzył jej młody chłopak, na którego widok zamilkła na moment. Pomyślała znowu o nieżyjących synach Arthura. To musiał być przyjaciel Alexandra – miał jakieś dziewiętnaście lat, pewnie zaczynał właśnie studia. Nie wyglądał na przygnębionego, ale przecież od wypadku minął już ponad rok. Życie toczyło się dalej dla wszystkich uczestników tragedii, przez jakiś czas nawet dla Emmie.

– Dzień dobry, szukam Niny. Czy to twoja mama?

– Pojechała do miasta, pewnie do gazety.

– Do redakcji „Press”?

To było bardziej obiecujące. Łatwo będzie jej znaleźć adres redakcji.

– Ale powinna niedługo wrócić – dodał.

– Wiesz może kiedy? Przyjechałam z bardzo daleka, żeby się z nią spotkać.

Tabby miała szczęście, że chłopak albo był tak wychowany, żeby udzielać pomocy potrzebującym, albo nie wiedział nic o napastowaniu jego matki podczas afery z Emily Marr, bo odpowiedział bez zastanowienia:

– Mówiła, że koło piątej, może trochę wcześniej.

– To przyjdę koło piątej, dobrze?

– Jasne.

Nie bardzo miała ochotę czekać prawie trzy godziny, ale nie mogła ryzykować wyprawy do centrum miasta,

żeby potem przekonać się, że Nina w międzyczasie wróciła do domu. Z drugiej strony była zadowolona, że udało jej się zlokalizować jedną z osób, których poszukiwała. Zaczęła iść powoli ulicą, aż dotarła do dwóch innych domów, o których pisała Emmie: pod numerami 199 i 197. Pod sto dziewięćdziesiątym siódmym mieszkali Laingowie, gospodarze przyjęcia, na którym Emmie poznała Arthura, ale poza tym jednym wydarzeniem nie odegrali żadnej pozytywnej roli w jej historii. Czarny, błyszczący samochód Sary stał zaparkowany przed wejściem i Tabby cieszyła się w duchu, że to nie z nią przyjdzie jej się spotkać. Sara musiała zazdrościć Emmie i życzyć jej jak najgorzej. Miała tyle rzeczy: dom, rodzinę, pieniądze, bezpieczeństwo, a jednak znalazła w sobie energię, by zazdrościć komuś, kto miał tak niewiele. Na swój sposób zawiniła wobec Emmie tak samo jak Nina.

Zaraz obok stał chyba najmarniejszy dom na całej ulicy. Drzwi były byle jakie, z odpryskującą farbą, zewnętrzne parapety poczerniałe od brudu, w oknach wisały tanie rolety, każda krzywo. Próbowwała wyobrazić sobie Emmie chowającą się za oknem na pierwszym piętrze – ciekawe, czy salon jest z prawej czy z lewej? – szukając miejsca, z którego mogłaby spojrzeć na dziennikarzy czekających na dole, tak by jej nie zauważono. Wydawało się niemożliwe, żeby zwyczajna kobieta mogła stać się obiektem tak wielkiego zainteresowania, takiego pogwałcenia

prywatności. Nic dziwnego, że odnosiła wrażenie, iż to nie dzieje się naprawdę.

Nagle drzwi domu pod numerem 197 otworzyły się i niska kobieta w dżinsach i butach na koturnie pojawiła się na progu. Podeszła do swojego range rovera. To musiała być Sara. Wsiadając do auta, rzuciła Tabby spojrzenie, które nie było ani przyjazne, ani wrogie – coś w rodzaju upewnienia się, że Tabby nie jest warta zainteresowania.

Pewnie wzięła mnie za sprzątaczkę u kogoś w okolicy, pomyślała Tabby. Nie była wcale pewna, czy podoba jej się Walnut Grove. Miała wrażenie, że to jedna z tych ulic, których mieszkańcy nie wahają się okazywać dezaprobaty, gdy ktoś nie spełnia ich wysokich standardów, nie tylko w kwestiach pozamałżeńskich romansów z sąsiadami.

Tuż przed piątą dotarła ponownie pod furtkę z numerem szesnaście, akurat w chwili, gdy Nina Meeks parkowała samochód w zatoczce naprzeciwko wejścia. Rozpoznała od razu jej czarne włosy ze zdjęć widzianych w internecie. Nie był to może najkorzystniejszy zbieg okoliczności, że musiała zagadnąć ją na chodniku, ale mogła za to liczyć na efekt zaskoczenia.

– Czy pani Meeks? Nazywam się Tabitha Dewhurst. Pani syn powiedział, że mogę przyjść o tej porze i prosić panią o krótką rozmowę.

Nina, zajęta trzymanymi w ramionach papierowymi

torbami i gazetami, ledwie na nią spojrziała. Wyglądała znacznie starszej, niż Tabby sobie wyobrażała – stresująca praca wyrzeźbiła między jej brwiami pionowe zmarszczki i ściągnęła kąciki ust ku dołowi.

– Jesteś jego znajomą? – spytała.

– Nie.

– Więc o co właściwie chodzi?

Mówiła szybko, ostrym głosem, tylko zwalniając kroku, oczekując zwięzłej i konkretnej odpowiedzi. Jej oczy miały zdumiewająco niebieski kolor, złamany żółtozłotymi refleksami, i czując na sobie jej spojrzenie, Tabby poczuła, jak traci pewność siebie.

– Chodzi o Arthura Woodhalla – powiedziała. Przemyślała wcześniej każde słowo i stwierdziła, że jego nazwisko może dać jej większe szanse na rozmowę niż nazwisko Emmie.

– Nie wydaje mi się, żebyś miała o nim do powiedzenia coś, co mogłoby mnie zainteresować – odparła Nina. Zaczęła znowu iść w kierunku domu, ale nie protestowała, kiedy Tabby poszła za nią. Nie zamknęła jej także drzwi przed nosem, ale odwróciła się i już z wnętrza domu spoglądała na nieproszonego gościa, przechylając lekko głowę na bok. Była w niej charakterystyczna wrodzona ciekawość, taka sama jak ta, która pchnęła Tabby do zaangażowania się w sprawę Emmie.

– Czy mogłabym wejść, tylko na kilka minut? – spytała Tabby z naciskiem w głosie.

Nina westchnęła:

– Jeżeli to konieczne...

Weszła, a Nina zamknęła za nią drzwi.

Stała na chwilę w przedpokoju, przyglądając się wiszącym na ścianie oprawionym karykaturom polityków i stolikowi zawalonemu prasą i nieotwartymi listami, kiedy Nina u podnóża schodów wołała do syna, że jest już w domu. Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, odwróciła się do Tabby i powiedziała:

– Chodźmy do kuchni, właściwie możemy napić się herbaty.

A w tym czasie pokażesz mi, że nie masz nic ciekawego do powiedzenia – brzmiała niewypowiedziana reszta.

Tabby chętnie przyjęła zaproszenie. Wypiła wprawdzie dwie kawy, czekając na spotkanie z Niną w pobliskiej kawiarni, ale pomyślała, że dzięki herbacie będzie mieć szansę na dłuższą rozmowę. Nikt nie wyrzuca człowieka za drzwi, jeśli stoi przed nim pełny kubek. Siadając za stołem, starym i noszącym ślady dziecięcych pisaków i czerwonego wina, przypomniała sobie o scenie, jaka rozegrała się w kuchni Sary, kiedy Emmie została poddana przesłuchaniu. Zależało jej, żeby nie dać się Ninie onieśmielić. Nic ich nie łączyło, nigdy już się znowu nie spotkają.

Nina postawiła na stole kubki z herbatą i usiadła naprzeciwko. Jej błękitne oczy spoglądały prosto w oczy Tabby z pewnym rodzajem bezlitosnej

obojętności.

– Więc o co chodzi? Mówiłaś coś o Arthurze?

– Właściwie chodzi bardziej o Emmie.

– Kto to jest Emmie?

Tabby spojrzała na nią zaskoczona, ale zaraz przypomniała sobie, że to imię było wymyślone.

– Przepraszam, mam na myśli Emily, Emily Marr.

– Aha.

Usta Niny natychmiast się zacisnęły, a jej oczy wydały się ciemniejsze.

– I cóż z nią?

– Poznałam ją dość dobrze ostatnio i chodzi o to, że ona jest bardzo nieszczęśliwa. – Brzmiało to absurdalnie miało – jeśli będzie mówiła w ten sposób, zaraz wyleci za drzwi. Zaczęła więc na nowo, śmieiej: – To coś poważniejszego, przeżywa załamanie nerwowe. Obawiam się, że może zrobić sobie krzywdę albo coś okropnego.

– No to jakaś odmiana po robieniu krzywdy innym ludziom. I o ile nie spadłaś z księżycy, to zapewne wiesz, że już zrobiła coś okropnego.

Bez mrugnięcia okiem Nina podniosła jedną brew i napiła się herbaty. Wobec takiej niewrażliwości Tabby zaczęła opisywać zachowanie Emmie, starając się przy tym stłumić poczucie, że zdradza przyjaciółkę.

– Bez przerwy płacze, prawie w ogóle przestała jeść, nie może nic robić. Siedzi na podłodze, w histerii. Jest przekonana, że cały świat jej nienawidzi i że nikt jej

nigdy nie wybaczy.

– Trudno mi w to uwierzyć – odparła Nina, nieporuszona. – Pewnie tylko udaje, żeby wzbudzić twoje współczucie. To urodzona manipulantka. Potrafi skłonić ludzi, żeby robili, co zechce.

– Nigdy nie spotkałam kogoś mniej wyrachowanego! – zawołała Tabby głosem nienaturalnie wysokim z oburzenia. Na to Nina spojrzała tylko w głąb swojego kubka, jakby chciała znaleźć tam odpowiedź, co właściwie tutaj robi, marnując czas z jakąś dziwaczką, zamiast zając się ważniejszymi sprawami. Tabby szybko się opanowała. – Wiem, że to pani praca, żeby pisać o ludziach... bez ogródek, i zapewne większość z nich na to zasłużyła, ale nie Emily. Nie jest przecież politykiem ani kimś przyzwyczajonym do tego rodzaju ataków, jest zwykłą Bogu ducha winną osobą. Nic takiego nie zrobiła.

– Nie zrobiła? – Oczy Niny, patrzące na nią znad kubka, zwężyły się ze złością. – To ostatnia rzecz, jaką powiedziałabym o tej kobiecie.

– Chcę powiedzieć, że nie popełniła żadnego wykroczenia. Musi pani to przyznać, prawda? Miała romans, rzeczywiście, ale pani napisała cały akt oskarżenia, jakby stała przed sądem. Nigdy przecież jej o nic nie oskarżono?

– Jestem pod wrażeniem twojego rozeznania w kwestiach sądowych – odpowiedziała Nina, patrząc na nią z nowym wyrazem twarzy, czymś między wzdargą

a pobłażliwością.

Tabby poczuła się bardzo głupiutka.

– Ale nie zmusiła Sylvie Woodhall, żeby zrobiła to, co zrobiła, prawda?

Na dźwięk imienia swojej przyjaciółki Nina wyraźnie się rozgniewała, czując być może, że Tabby ma zamiar mówić dalej w tym samym tonie, dopóki nie zostanie powstrzymana.

– Owszem, zmusiła. Tego właśnie chyba nie widzisz. To za sprawą Emily Sylvie wypięła znacznie więcej, niż powinna, i wzięła tabletki nasenne, bo była tak strasznie zdenerwowana, że nie mogła inaczej zasnąć. To wszystko by się nie wydarzyło, gdyby Emily nie powiedziała tego, co powiedziała: takie są fakty.

– Ale dlaczego... – zaczęła Tabby, ale Nina nie dała sobie przerwać.

– Z winy Emily Sylvie tak bardzo obawiała się o przyszłość swojej rodziny, że nie widziała innego wyjścia niż wracać do Londynu natychmiast po obudzeniu. Straciła przytomność za kierownicą, wiedziałaś o tym? – Widząc niepewną minę Tabby, niecierpliwie westchnęła. – Nie wiem, po co w ogóle z tobą rozmawiam. Najwyraźniej nie masz o niczym pojęcia.

– Ale to była jedynie hipoteza, prawda, że straciła przytomność?

– Hipoteza? Koroner uznał to za najbardziej prawdopodobną przyczynę jej śmierci! – Twarz Niny

pociemniała z gniewu. – Jak śmiesz przychodzić tu i wymądrzać się na temat niewinności tej kobiety? Powiem ci, kto był niewinny w tym wszystkim: troje ludzi, którzy zginęli.

Tabby skinęła głową, spuszczać oczy. Rozmowa toczyła się zupełnie nie po jej myśli.

– Chodzi mi o to, że pani Woodhall nie musiała przecież prowadzić. Wiedziała, że wypła sporo alkoholu, mogła poczekać albo wsiąść do pociągu.

– Do pociągu? To jakiś żart? Nie miała czasu siedzieć i rozważać ewentualnych środków transportu, jakby wybierała się na piknik! Musiała dotrzeć do męża jak najszybciej i próbować ratować swoje małżeństwo!

– Ale nie musiała zabierać ze sobą synów. Byli już dorośli na tyle, że mogli zostać sami.

– No rzeczywiście sporo wiesz o tym, jak to jest być rodzicem nastolatków – zadrwiła Nina.

Tabby spojrzała na nią zdziwiona.

– Jeden z nich miał już osiemnaście lat, prawda? Nie mógł zostać z bratem? I nawet jeśli młodszy miał siedemnaście lat, to pamiętam, jak sama jeździłam z przyjaciółmi na wakacje w tym wieku.

To była prawdziwa frajda, przemknęło jej przez głowę, cały tydzień z daleka od Steve'a.

Ale Niny nie obchodziły jej przeżycia z dawnych lat. Spojrzała na nią z wrogością, przy której bledły jej poprzednie miny. Tabby z trudem to zniosła.

– Nie sądzę, żeby miało tutaj jakieś znaczenie, jak

twoi rodzice cię wychowywali – z pewnością jest to mało interesujące – ale wyobrażam sobie, że Sylvie chciała, żeby w tej trudnej chwili cała rodzina była razem. Być może nie myślała tak jasno, jak powinna, ale na pewno wiedziała, co jest ważne. Nie chciała rozstawać się z synami akurat w momencie, kiedy przyszło jej walczyć, żeby wszyscy mogli być razem. Poza tym gdyby zostawiła dzieci, to nie uratowałyby jej życia, prawda? I tak zjechałaby z drogi. A może nie uznajesz jej życia za wartościowe? Jakaś tam kobieta w średnim wieku, która najlepsze lata ma już za sobą? Najważniejsze, że dzieci żyją, reszta się nie liczy? No cóż, droga przyjaciółko Emmie, musisz zdać sobie sprawę, że zginęła i ona, i dzieci.

Tabby, przestraszona, próbowała ukryć swoją bezradność.

– Nie, wcale nie miałam tego na myśli. Oczywiście, że każde życie jest tak samo ważne. Chcę tylko powiedzieć, że Emmie nie może ponosić odpowiedzialności za ich śmierć. Przecież to był wypadek.

Nina parsknęła z politowaniem.

– Najwyraźniej ciebie też oczarowała. Jak się poznałyście? Bardzo mnie to interesuje.

– Przypadkiem. Zbieg okoliczności.

– To dokładnie tak jak z Sylvie. Ty też masz męża?

Jej ton był suchy, bezlitosny. Tabby zrozumiała, że niczego tu nie osiągnie, a jednak Nina przyciągała ją jak

magnes. Nie potrafiła przestać się jej przyglądać, nie miała siły wstać i wyjść.

– Nie, nie mam męża.

Ciekawe, co by Nina powiedziała, gdyby dowiedziała się, że Tabby znalazła sobie żonatego faceta na wakacyjny romans – wołała o tym nie myśleć. Może Noémie też miała taką Ninę? Może ona też planowała zemstę na kochance męża przyjaciółki? Czy jej własne problemy dopiero miały się zacząć?

– Może to i lepiej. I gdzie ona teraz pracuje?

Żałując swojego poprzedniego gadulstwa na temat Emmie, Tabby miała się na baczności.

– Z oczywistych powodów nie chce ujawniać tej informacji.

Nina odsunęła krzesło od stołu, a Tabby wypła kilka łyków ze swojego kubka, mając nadzieję na przedłużenie rozmowy. Podziałało, Nina dołała sobie herbaty z dzbanka i wróciła do stołu.

– Nie bardzo rozumiem, jaki jest cel twojej wizyty. Spotkałam już wcześniej wielbicieli Emily i wszyscy usiłowali mnie przekonywać, jaka jest cudowna. Twój przypadek jest jeszcze dziwniejszy, ale to wszystko już było.

Tabby zastanowiła się. Rozumiała, że jeśli ma przedstawić swoją prośbę, to właśnie nadszedł właściwy moment.

– Po prostu chciałam... Wydaje mi się, że ktoś powinien w końcu się za nią wstawić. To, co pani

napisała, pani i inni dziennikarze, wydaje mi się jednostronne. Nikt nie wziął pod uwagę jej punktu widzenia. W rezultacie wywołano niepotrzebne negatywne emocje.

– „Niepotrzebne negatywne emocje”? Co to ma być, jednoosobowa komisja etyki dziennikarskiej? Ojej, przykro mi, że nie spełniliśmy twoich wyśrubowanych redaktorskich kryteriów, ale obawiam się, że będziesz musiała jakoś żyć z tą niesprawiedliwością. Zawsze możesz napisać do Rady Etyki Mediów, jeśli cię to gnębi, może dać ci adres mailowy? – Roześmiała się nieprzyjemnie. – Zresztą minęło już kilka miesięcy. To bardzo długi czas, jeśli chodzi o wiadomości, zapewniam cię. A jeśli chodzi o internet, to całe wieki – dodała.

– Nie dla Emmie, dla niej to wszystko jest zupełnie świeże! Cała ta sprawa zrujnowała jej życie. Wydaje jej się, że nie ma już dla niej powrotu.

– Nie rozśmieszaj mnie – rzuciła zimno Nina i rzeczywiście na jej twarzy nie było śladu uśmiechu. – Nic jej się nie stało, jeśli to porównać do losu Sylvie i chłopców. I w jakim sensie miałyby „wracać”? Na Grove? Musiałyby stracić rozum, żeby się tu pojawić, nawet teraz. – Zmieniając ton, dodała po chwili: – Posłuchaj, mówię ci, że ta historia to już przeszłość. Jedyńi ludzie, dla których coś znaczy, to rodzina i przyjaciele Sylvie, którym nie jest do niczego potrzebna jakaś sierotka Marysia prowadząca kampanię

na rzecz Emily Marr. Oszczędź sobie wysiłku i uwierz, że nikt nie będzie cię już słuchał, więc możesz równie dobrze dać sobie spokój.

Miała rację. Zamiar Tabby, by przekonać ją do napisania bardziej pozytywnej historii Emily, był zbyt dziecinny, by w ogóle o nim wspominać. Zostało jej tylko jedno: zwrócić się do Arthura. A prawdopodobieństwo, że Nina pomoże jej go znaleźć, było zerowe.

– Więc Arthur także nie mieszka już na Grove?

– Nie. Sprzedał dom po zakończeniu dochodzenia. Nic dziwnego.

W głosie Niny nie było ciepła ani współczucia i Tabby zrozumiała, że nie byłoby mu łatwo, gdyby pozostał wśród dawnych przyjaciół Sylvie, opłakujących jej śmierć. A jednak on też do nich należał, cokolwiek sądziła o tym Nina. Jego życie i tak było koszmarem, wszystko jedno, gdzie mieszkał. Tabby przypomniała sobie, jak Emmie rozpaczła na myśl, że nie może go pocieszyć.

– To musi być dla niego straszne – powiedziała. – Jakkolwiek zawinił, stracił żonę i dwóch synów. To normalnie nie zdarza się mężom, którzy mają romanse. Taka straszna kara.

Nina westchnęła.

– To prawda. Ale da sobie radę z czasem, nie martw się. Jak pewnie wiesz od swojej nowej koleżanki, zawsze znajdują się chętni do pocieszania takich facetów jak on.

To pewnie znaczyło, że ma nową ukochaną, pomyślała Tabby. Może nawet – że będzie miał nową rodzinę, drugą szansę. Przed oczami stanęła jej biedna Emmie, czekająca w domu we Francji. Myślała, że to ona jest dla niego drugą szansą, a tymczasem nie mogła nawet znaleźć się w tym samym kraju co on.

– Gdzie teraz mieszka? – zapytała Ninę. – Ciągle w Londynie?

– Sama mi powiedz. Skąd miałabym wiedzieć, jaki jest ich adres?

Nagle jej twarz się zmieniła – odmalowało się na niej cierpienie, a w oczach zalśniły łzy. Powiedziała „ich” i Tabby zgadła, że pomyślała o rodzinie Woodhallów takiej, jakiej już nie było, o rodzicach i dwójce dzieci. Jak długo to trwa, zanim można o czymś takim zapomnieć? Czy to w ogóle możliwe?

Po chwili jednak Nina odzyskała dawną obojętność.

– Dlaczego pani to zrobiła? – wyrzuciła z siebie Tabby. – Dlaczego pani napisała te artykuły, zrobiła z niej wroga publicznego? Mogła pani rozprawić się z nią we własnym zakresie. I tak by ją pani stąd wygoniła.

Nina spojrzała na Tabby z cieniem zainteresowania – w końcu pojawiło się jakieś pytanie, nad którym musiała się zastanowić.

– Aha, już rozumiem – powiedziała wolno. – Myślisz, że powinnam czuć się winna. Chcesz, żebym została ukarana i może nawet opublikowała jakieś

przeprosiny?

Dokładnie tego chciała Tabby, ale teraz, kiedy Nina wypowiedziała jej życzenia na głos, sama pojęła, jak niewiele by to dało, nawet gdyby jakimś cudem Nina się zgodziła. Cóż by jej przyszło z paru zdań wydrukowanych gdzieś w gazecie, gdzie nikt by ich nie zauważył? Pomyślała znowu o Emmie i o wycinkach z gazet, zaścielających podłogę dookoła niej, każdy ze zjadliwym nagłówkiem. Nic nie mogło tego odwrócić, nie da się cofnąć czasu.

– Naprawdę nie widzisz – zapytała Nina – że zostałam już ukarana? My wszyscy, którzy znaliśmy i kochaliśmy Sylvie i chłopców, zostaliśmy ukarani za każdy zły uczynek, po dziesięciokroć. Straciliśmy znacznie więcej, niż straciła Emily. Nikt z jej bliskich nie zginął w tym wypadku.

Nie, ale Arthur równie dobrze mógł zginąć, pomyślała Tabby, bo Emmie opłakuje go jak zmarłego.

Nina wstała, dając Tabby do zrozumienia, że wizyta się skończyła.

– Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, gdzie jest teraz Arthur, musisz ją po prostu zapytać – powiedziała na koniec.

– Kogo, Emmie? Ona jest chyba ostatnią osobą, która może coś wiedzieć – zdziwiła się Tabby.

Nina zaśmiała się szyderczo, ostrym, jakby szczekającym śmiechem.

– Mój Boże, Tabitha, po co się w to wszystko

pakujesz? Wygląda na to, że nie masz pojęcia, w co się wplątałaś, i najwyraźniej nie znasz Emily tak dobrze, jak ci się wydaje. Ale teraz już muszę cię przeprosić, chciałabym przywitać się z rodziną i trochę popracować. Na jutro mam sporo do zrobienia.

Tabby wstała i poszła za nią do drzwi frontowych.

– Dziękuję za pomoc. Wiem, że jest pani zajęta.

– Nie ma za co – odparła Nina mechanicznie i zanim jeszcze Tabby zdążyła zejść z pierwszego stopnia schodków wiodących do domu, usłyszała szybkie oddalające się kroki dziennikarki w holu – żadnego wahania, namysłu, żadnego zwątpienia.

Pozostało jej tylko spróbować znaleźć Arthura w prywatnej przychodni przy Harley Street. Na stronie internetowej nadal widniał wśród pracowników, chociaż ostatnie aktualizacje pochodziły sprzed paru miesięcy i być może nie ogłoszono jeszcze jego odejścia. A może pozostał współwłaścicielem, ale nie przyjmował już pacjentów? Postanowiła, że wykorzysta doświadczenia Emmie i zamiast dzwonić, pójdzie tam osobiście.

Ale zrobiła się prawie szósta i zdała sobie sprawę, że będzie musiała z tym poczekać do następnego dnia. Właściwie to nawet lepiej, biorąc pod uwagę jej samopoczucie po rozmowie z Niną: czuła się nie tyle zniechęcona, co poturbowana. Prawie się zdziwiła, patrząc potem w lustro, że nie miała nigdzie siniaków po starciu. Zajrzała do internetu w poszukiwaniu pobliskiego hotelu i zauważyła od razu nazwę, którą

była jej dobrze znana: Inn on the Hill, obok stacji kolejowej. Kiedy tam szła, trudno było jej nie myśleć o Emmie w jej pięknym poprzednim wcieleniu, o kuszącym kołysaniu biodrami, gdy szła na długo wyczekiwane spotkania z Arthurem, ubrana w spódnice i bluzki w dawnym stylu, które tak mu się podobały, na wysokich obcasach, z różową szminką na ustach. Jak ona się opisała? Jak cukierek – no tak: słodki, kuszący, który każdy miałby ochotę zjeść.

Był wtorek, w hotelu nie było prawie żadnych gości, więc udało jej się wynegocjować niższą stawkę. Czekaając na klucz, zastanawiała się, czy ma do czynienia z tą samą recepcjonistką, która dawała klucze Arthurowi i Emmie, profesjonalnie nie zwracając uwagi na ich osobne przyście i wychodzenie z piętnastominutowym odstępem. Na ścianie wisiał wycięty z jakiegoś kolorowego pisma artykuł zatytułowany *Dobre adresy dla niegrzecznych dziewczynek*, miniprzewodnik po londyńskich hotelach najlepiej nadających się na romansowy weekend. Inn on the Hill trafił na mapę oczywiście dzięki Emmie: „Już nie tak sekretny jak kiedyś, od czasu gdy wyszło na jaw, że to właśnie tutaj spotykali się Emily Marr i jej żonaty ukochany, Arthur Woodhall. Powiedziano nam w tajemnicy, że Emily i Arthur najbardziej lubili pokój Marrakesz, z wielkim łóżkiem z kutego żelaza i stylowo urządzoną łazienką”. Przynajmniej tutaj dziennikarze nie mijali się z prawdą, pomyślała Tabby.

Czuła podniecenie na myśl, że jest w tym samym miejscu co jej sławna przyjaciółka; że skromna, nieśmiała kobieta, która niechętnie nawiązywała choćby kontakt wzrokowy z obcymi, tak niedawno była osławioną femme fatale, nawet jeśli tylko przez parę tygodni. Tabby zaczynała rozumieć, co czuli „wielbiciele” Emmie, których obawiała się w końcu bardziej niż wrogów. Stwierdziła, że najlepiej będzie, jeśli uzna się raczej za kogoś w rodzaju pielgrzyma.

Tak czy siak ucieszyła się, że nie dostała klucza do osławionego Marrakeszu, tylko do niewielkiego, jasnego Sztokholmu na tyłach budynku.

Zjawiła się na Harley Street o dziewiątej rano. Przychodnia była mniejsza, niż się spodziewała, i nie można było do niej tak po prostu dostać się z ulicy, ale na szczęście akurat wchodził do środka jeden z pracowników i otworzył jej drzwi. Rejestratorka rozmawiała przez telefon, wyjaśniając z jakimś pacjentem nieporozumienie dotyczące kropli do oczu, więc Tabby taktownie odsunęła się od jej stanowiska. Czekając, rozejrzała się dookoła. Było to piękne wnętrze, pieczołowicie odrestaurowane, z błyszczącym parkietem. Nieliczni pacjenci oczekujący na wizytę popijali wodę mineralną i czytali poważne gazety – była to scena diametralnie różna od opisanych przez Emmie korytarzy szpitala St Barnabas. Tabby zastanawiała się, jakim trzeba być człowiekiem, żeby funkcjonować w obu środowiskach i nie zadręczać się przy tym

jaskrawą niesprawiedliwością społeczną (do tego dochodziła jeszcze organizacja dobroczynna w Afryce – zapewne warunki tam panujące sprawiały, że poradnia w St Barnabas mogła wydawać się szczytem luksusu). Nagle poczuła solidarność z Emmie – w jaki sposób mogły mieć szansę na odniesienie sukcesu w tak urządzonym świecie? To, że nie masz nic, nie powinno znaczyć, że jesteś nic niewarta, na nic nie zasługujesz. Może właśnie zasługujesz na więcej?

Rejestratorka odłożyła słuchawkę i zwróciła się do Tabby.

– Przepraszam, że kazałam pani czekać, pani...

– Dewhurst.

Tabby nie dała się zwieść postawie miłej uczynności; ta kobieta była przyzwyczajona do organizowania wizyt różnych ważnych osobistości, musiała być czujna aż do przesady, odporna na wszelkie perswazje – i dlatego właśnie najsensowniej było rozmawiać z nią szczerze.

– Nie jestem umówiona, ale przyjechałam właśnie z Francji i szukam doktora Arthura Woodhalla. Myślałam, że nadal przyjmuje w St Barnabas, ale powiedziano mi, że już od jakiegoś czasu tam nie pracuje. Mam nadzieję, że jeszcze przyjmuje tutaj?

– Czy jest pani jego dawną pacjentką?

– Nie. Mamy wspólnych znajomych. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale mam ważne powody, żeby go znaleźć. Przyjechałam do Anglii tylko na kilka dni

i sprawa jest pilna.

Rejestratorka rzuciła Tabby spojrzenie, z którego można było wyczytać myśl: „Gdyby ta sprawa była naprawdę ważna, sama byś wiedziała, gdzie go szukać”, ale nie porzuciła postawy pomocnego zaangażowania.

– Tak, nadal tutaj pracuje, ale tylko przez kilka dni w miesiącu i dzisiaj go nie ma. Przyjeżdża dopiero w poniedziałek.

„Przyjeżdża” – a więc wyprowadził się z Londynu. To była pierwsza zdobyta informacja, chociaż sama w sobie niewiele mówiąca.

– Czy jest pani jego sekretarką?

– Nie, jego sekretarką jest pani Herne. Ale teraz współpracuje głównie z doktorem Alim.

– Czy mogłabym z nią porozmawiać?

– Niestety, jest na dwutygodniowym urlopie. Zastępuje ją kto inny, ale nie sądzę, żeby wiedział coś więcej niż ja.

– Czy wie pani, gdzie doktor Woodhall teraz mieszka?

– Niestety nie mogę pani podać prywatnego adresu żadnego z naszych lekarzy. Na pewno pani to rozumie.

Tabby ogarnęło zwątpienie. Najwyraźniej nie miała zadatków na detektywa.

– A czy mogłaby mi pani powiedzieć, czy doktor Woodhall pracuje gdzieś jeszcze? Czy przeniósł się do innego szpitala? A może w ogóle nie pracuje już w państwowej służbie zdrowia?

Kobieta spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– No cóż, łatwo się dowiedzieć, że doktor Woodhall pracuje też w Eye Clinic w Leeds. Mogę pani dać numer telefonu, jeśli sobie pani życzy.

– Bardzo pani dziękuję.

Była tak zadowolona, że wyszła od razu po pospiesznym pożegnaniu, jakby obawiając się, że rejestratorka zmieni zdanie i zabierze tę informację z jej świadomości. Być może komuś zorientowanemu łatwo było się dowiedzieć, że Arthur Woodhall pracuje w Leeds, ale akurat ta informacja nie pojawiła się na pierwszych stronach z wynikami wyszukiwania w internecie, które przeglądała pracowicie poprzedniego wieczora.

Od razu z ulicy zadzwoniła do Leeds i dowiedziała się, że poradnia Mapleton Eye Clinic jest nowym oddziałem prywatnej przychodni znajdującej się w północnej części miasta oraz że tego dnia Arthur będzie przyjmował pacjentów po południu. Na stacji King's Cross kupiła najtańszy bilet i wsiadła do pociągu. Starła się nie martwić o pieniądze i nie myśleć o tym, że przywiezione z Francji trzysta euro topniało w oczach. Miała jeszcze jakieś oszczędności w Saint-Martin. Wyjeżdżając dwa dni wcześniej, przestraszyła się, że może nie będzie chciała wrócić, i zostawiła część pieniędzy w swoim pokoju jako coś w rodzaju zabezpieczenia, cichej obietnicy danej Emmie, że zjawi się z powrotem.

Nie wiedziała tylko, co ze sobą przywiezie – i jakie będą rezultaty jej poszukiwań.

Rozdział 24

Tabby

Śledzenie Arthura środkami komunikacji publicznej nie miałyby szans powodzenia, więc po przyjeździe do Leeds postanowiła wynająć samochód, co poważnie uszczupliło jej fundusze. Pojechała od razu na spokojne przedmieście, gdzie mieściła się przychodnia. Po dłuższym oczekiwaniu udało jej się zaparkować tak, że stała jak najbliżej głównego wyjścia. Zgasiła silnik. Nie miała zamiaru powtarzać błędów Emily i próbować dostać się do gabinetu Arthura, udając pacjentkę czy znajomą – po prostu poczeka, aż on skończy pracę.

Pytanie brzmiało: jak długo to potrwa? Mogłaby wzbudzić podejrzenia, pytając o to w rejestracji. Może powiedzieliby jej przez telefon? Przez chwilę przyglądała się taksówce, która podjechała pod wejście po jakiegoś pacjenta, i przyszedł jej do głowy lepszy pomysł. Wsiadła z samochodu i weszła do środka.

– Taksówka dla pana Arthura Woodhalla – rzuciła do rejestratorki, stając nieco z boku, jak to mają w zwyczaju taksówkarze.

Rejestratorka sprawdziła numer telefonu na liście i gdzieś zadzwoniła.

– Mam tu taksówkę dla doktora Woodhalla – powiedziała. Po chwili przybrała lekko zdezorientowaną

minę, jakiej Tabby się spodziewała. – Nie, tak właśnie myślałam. Dzięki.

Odłożyła słuchawkę i zwróciła się do Tabby, która starała się wyglądać naturalnie, jakby nie przewidywała żadnych komplikacji:

– Jest pani pewna? Doktor Woodhall pracuje dzisiaj do dziewiętnastej.

Tabby zmarszczyła brwi.

– Widać coś się pomieszało. Nie ma sprawy, zaraz to wyjaśnię z dyspozytorką – powiedziała i szybko się odwróciła.

– Z jakiej pani jest firmy? – zawołała za nią rejestratorka, ale Tabby udała, że nie słyszy. Po wyjściu na zewnątrz obeszła parking dla pracowników i znalazła wśród samochodów mercedesa. Oczywiście Arthur mógł zmienić samochód od czasu, kiedy Emmie widziała go ostatni raz, ale wcale nie musiał. Ponieważ uwaga mediów skupiła się głównie na Emmie, Tabby pomyślała, że zapewne Arthur nie musiał uciekać przed nękaniami (w końcu bez problemu dowiedziała się, gdzie pracuje), ale przed rozpaczą. Być może nie był do końca świadomy zainteresowania dziennikarzy – to musiało mieć niewielkie znaczenie wobec tragedii, jaką przeżywał. Pewnie było mu zupełnie wszystko jedno, jaki ma samochód i gdzie pracuje.

Do dziewiętnastej. A była dopiero trzecia. Kupiła sobie w pobliskim sklepie coś do jedzenia i picia i usiadła w samochodzie. Miała doskonały widok na

drzwi wejściowe i parking dla pracowników. Wyciągnęła książkę i oparła ją na kierownicy w taki sposób, żeby móc ponad nią obserwować otoczenie.

Wiedziała, jak wygląda Arthur, ze zdjęć w internecie. Oczywiście wśród ludzi pracujących w tej przychodni musiało być kilka osób w podobnym wieku i o podobnym wyglądzie, ale musiała zaufać swojej pamięci i instynktowi. Nie mogła zmarnować tej okazji, bo nie będzie już miała następnej – obliczyła, że pieniędzy starczy jej tylko na jeszcze jedną noc w tanim hotelu, najlepiej ze śniadaniem, żeby potem nie musiała już kupować jedzenia. Ale na razie wszystko szło dobrze, powiedziała sobie. Ten dzień był udany. Przychodnia znajdowała się na przedmieściach, nie trzeba było płacić za parking i nigdzie nie zauważyła kamer monitoringu, przez które mogłaby mieć kłopoty z ochroną. Pogoda była ładna i długo będzie jasno – z łatwością rozpozna samochód Arthura i pojedzie za nim, co byłoby praktycznie niewykonalne w Londynie albo w centrum Leeds.

Czytała, patrzyła, czytała znowu. Zamknęła na chwilę oczy i zmusiła się do otwarcia ich, kiedy zaczęła przysypiać. Patrzyła więc cierpliwie.

Było już prawie wpół do ósmej, kiedy mężczyzna, w którym rozpoznała Arthura, wyszedł z budynku, nie głównym wyjściem, tylko od podwórza, niedaleko srebrnego volkswagena, do którego podszedł. Miał na sobie ciemny garnitur i białą koszulę i poruszał się

lekkim krokiem, który przyciągnął jej uwagę, zanim jeszcze dopasowała jego krótkie, szpakowate włosy i poważne rysy do zapamiętanych zdjęć. Zanim zdążyła wyjechać z parkingu, pomiędzy nimi ustawił się jeszcze jeden samochód i miejski autobus – nie mogła więc dojrzeć, czy stojący na światłach volkswagen ma włączony kierunkowskaz. Miała jednak szczęście – oba samochody znajdujące się między nimi skręciły i wkrótce jechała bezpośrednio za nim, zachowując odpowiedni dystans, żeby nie rzucać się w oczy.

Po niedługim czasie wjechał na drogę ekspresową. Minęli wielkie pole golfowe i już dobrze za miastem Arthur zjechał w niewielką przecznicę, a po paru minutach zatrzymał się przed bramą wolno stojącego nowego domu. To była brama zamykana elektrycznie, więc jak najszybciej zaparkowała swoje auto naprzeciwko, przebiegła przez ulicę i w ostatniej chwili przecisnęła się między zamykającymi się skrzydłami, za którymi zniknął volkswagen. W środku podjazd był krótki i Arthur musiał zobaczyć ją w lusterku. Wysiadł zaraz z samochodu i skierował się w jej stronę.

– Kim pani jest? – zawołał. Jeżeli się przestraszył, to niczego po sobie nie pokazywał.

Zrobiła krok w jego stronę.

– Nazywam się Tabby.

– Tabby jaka? Ma pani jakieś nazwisko?

Mówił ładną, kulturalną angielszczyzną, ale nie starał się ukryć wrogości.

– Tabby Dewhurst.

Czekając na parkingu, zastanawiała się, jak się przedstawić, by zyskać jego zaufanie, ale nagle wszystko wyleciało jej z głowy; czuła się kompletnie onieśmielona.

– Dobrze, teraz proszę posłuchać – powiedział. – Wiem, że jechała pani za mną od szpitala. Domyślam się też, że to pani wcześniej zgłosiła się jako kierowca taksówki. Może to panią zaskoczy, ale takie historie już się zdarzały. Proponuję, żeby mi pani powiedziała od razu, czego pani chce, albo zadzwonię na policję. Niech pani nie próbuje uciekać – nie da pani rady, poza tym zapisałem numer rejestracyjny pani samochodu, więc łatwo będzie panią znaleźć.

Trzymał telefon w dłoni, gotowy spełnić swoją groźbę. Nie był jak Nina, niezadowolona, że ktoś ją nagabuje, ale zaintrygowana – był tylko rozgniewany. Myliła się, sądząc, że nie obchodzi go cudze zainteresowanie. Zrobił bardzo wiele, żeby odseparować się od dawnego życia: poza pracą wszystko było inne, a teraz ona chciała, żeby znowu wrócił do przeszłości.

Poza tym spędził wiele godzin w pracy i był zwyczajnie zmęczony. Pomyślała, że trzeba było poczekać, przyjść rano, wtedy miałby więcej energii i cierpliwości.

– Czekam – powiedział.

– Przyjechałam w sprawie Emily – wydobyła z siebie wreszcie z trudem.

Nie zrobiło to na nim takiego wrażenia, jakiego się spodziewała. Ale, co pogardliwie podkreśliła Nina, nie była pierwszą osobą broniącą Emily i najwyraźniej również nie pierwszą, która starała się z nim porozmawiać.

– Jest pani dziennikarką?

Spojrzał na nią z nowym rodzajem odrazy. Potrafił, jak widziała, doskonale nad sobą panować. Przywykł do tego, że ludzie słuchają jego poleceń, stosują się do jego życzeń; zrozumiała, że będzie równie odporny na perswazję jak Nina, za to najprawdopodobniej da jej o wiele mniej czasu.

Ale nie mogła jeszcze myśleć o kapitulacji.

– Nie, skądże – odparła. – Przyjechałam z Francji, z okolic La Rochelle.

– La Rochelle? – spojrzał na nią ze zdziwieniem. Tego się nie spodziewał.

– Wiem, że jest późno, wiem, że naruszam pana prywatność i nie powinnam tego robić, ale naprawdę muszę z panem porozmawiać o Emily.

– Proszę posłuchać, panno Dewhurst, z pewnością nie może mi pani powiedzieć o Emily niczego, czego bym już nie wiedział, i ode mnie też się pani niczego nie dowie.

Była jakaś delikatność w sposobie, w jaki wypowiedział jej nazwisko, być może dżentelmeńskie dobre maniery, co napełniło ją nadzieją. Nie parsknął złością, słysząc imię Emily, nie szydził z pomysłu, że

można o niej rozmawiać.

– Ale to bardzo ważne. Czy mógłby mi pan poświęcić tylko pięć minut?

– Nie, powiedziałem już.

– Ale bardzo pana proszę. Naprawdę. Pięć minut i nie będę pana już nigdy więcej niepokoić, przysięgam na grób mojego ojca.

Kiedy się odwrócił, od razu pożałowała, że powiedziała coś o grobie, ale poszła za nim, bardziej z nadzieją niż oczekiwaniem, że zechce z nią pomówić. Wszedł do domu, zostawiając drzwi uchylone, bez słów zapraszając ją do środka, tak samo jak Nina. Najwyraźniej oboje zdawali sobie sprawę, że choćby bardzo chcieli, nie mogą uciec od sprawy Emily, są jej winni posłuchanie. Kiedy weszła do holu, zaprosił ją gestem do pierwszego pokoju po lewej stronie, małego salonu z nijakim umeblowaniem i zaciągniętymi zasłonami. Tabby od razu pomyślała o różnicy między tym skromnym mieszkaniem a wielką stylową rezydencją, którą widziała poprzedniego dnia przy Walnut Grove.

– Proszę poczekać tu chwilę – powiedział. Zamknął za sobą drzwi i usłyszała, że wchodzi na górę po schodach. Kiedy wrócił po paru minutach, zauważyła, że zdjął marynarkę i przyniósł ze sobą butelkę wody mineralnej. Jej nie zaproponował nic do picia i zachowywał się cały czas z dużą rezerwą. Widząc go z bliska, Tabby poczuła się nieco rozczarowana – być

może miało to związek z nieciekawym otoczeniem, a może z tym, że nie chciał nawet poczęstować jej wodą. Wiedziała wprawdzie, jak wyglądał, ale chyba oczekiwała atrakcyjności bardziej rzucającej się w oczy, czegoś w rodzaju magnetyzmu, jaki miał Grégoire. Ale Arthur sprawiał wrażenie, jakby nie obchodziło go, czy kiedykolwiek spojrzy na niego jeszcze jakaś kobieta. Różnił się tym diametralnie od mężczyzny, jakiego opisywała Emmie; być może gdyby Emmie się o tym dowiedziała, łatwiej by jej przyszło pogodzić się z rozstaniem.

Usiadł naprzeciwko na kanapie i spojrzał na nią tak, jakby chciał powiedzieć: „Masz, dziewczyno, tupet”. Na głos odezwał się:

– Proszę. Pięć minut.

Nie miała zamiaru marnować ani sekundy.

– Rozmawiałam z Emily o wszystkim, co się wydarzyło, i...

Niemal od razu jej przerwał.

– Chwileczkę, więc jednak jest pani dziennikarką?

Odstawił butelkę z wodą na niski stół, gotów wstać i wyrzucić ją za drzwi.

– Nie – odparła Tabby stanowczo. – Mówiłam już, że nie jestem. Nigdy w życiu nawet nie widziałam żadnego reportera.

– Jeśli jest pani terapeutką, to wie pani bardzo dobrze, że nie powinna pani zdradzać żadnych poufnych informacji.

– Nie jestem terapeutką.

Tabby była zniecierpliwiona. Chciała, żeby pozwolił jej mówić, bo inaczej pięć minut skończy się, zanim zdąży w ogóle zacząć.

– Jestem jej znajomą, jej bliską przyjaciółką.

Arthur spojrział na nią niedowierzająco, ale nic nie powiedział i pokazał gestem, że może kontynuować.

– Rozmawiałam z nią, czytałam jej dziennik i przyjechałam tu specjalnie, żeby zapytać pana, czy istnieje jakaś możliwość, żeby jej pan przebaczył. Nie chodzi o to, aby spotkał się pan z nią osobiście, chociaż byłoby świetnie, gdyby pan się zgodził, ale o to, żeby powiedział mi pan, że nie żywi do niej nienawiści, żebym mogła wrócić i powiedzieć jej, że nie musi się tak zadręczać jak do tej pory. Ona oczywiście zdaje sobie sprawę, że między wami wszystko się skończyło, ale nie potrafi żyć dalej z myślą, że pan ją nadal obwinia. Jest naprawdę w okropnym stanie i boję się, że może zrobić coś złego, zrobić sobie krzywdę. Nie jechałabym tutaj taki kawał drogi, gdybym się o nią poważnie nie martwiła, przysięgam. Nikt nie wie, że tu jestem, nawet ona. Rozmawiam z panem w tajemnicy.

Przerwała na chwilę, bo zabrakło jej oddechu. Arthur wpatrywał się w nią wzrokiem najpierw zdezorientowanym, a potem jakby zahipnotyzowanym. Narastająca cisza była równie onieśmiałająca co jego wcześniejsze, zadawane ostrym tonem pytania.

– Gdzie jest ten dziennik? – spytał w końcu, a jego

głos był tak uprzejmy, że niemal złowrogi. Emmie pisała, że jego moc kryła się w spokojnym opanowaniu, i Tabby zaczęła teraz rozumieć, co miała na myśli.

Ręce trzęsły jej się lekko, gdy wyciągała z torby laptop. Spodziewała się, że będzie musiała jakoś potwierdzić swoją opowieść, i nie mając dostępu do drukarki, zabrała komputer ze sobą – w ramach usprawiedliwienia przekonywała sama siebie, że w spisanej historii Emmie nie ma niczego, czego Arthur by nie wiedział, za to jest wiele rzeczy, które kiedyś były dla niego oczywiste, ale o nich zapomniał, przeżywając własną tragedię. Na przykład siła uczucia Emmie, jego bezinteresowna czystość. Jeżeli wyrzucił ją ze swojego życia tak kategorycznie, nie dał jej żadnej szansy na obronę, nawet pięciu minut, które teraz dawał Tabby, jeżeli nie chciał z nią choćby raz porozmawiać, to znaczy, że musiał być w czymś w rodzaju pourazowego szoku, który być może teraz powoli ustępował. Nie chciała zastanawiać się, jak zareagowałyby Emmie, wiedząc, że jej były ukochany dostaje właśnie do ręki całą zawartość jej duszy i serca; nie chciała też myśleć o tym, co powie przyjaciółka, kiedy odkryje, że laptop zniknął z domu.

– To nie jest w ścisłym sensie dziennik – powiedziała, zauważywszy, że Arthur przygląda się komputerowi nieufnie. – Napisała to po zakończeniu dochodzenia. Ale to są jej wspomnienia. Wszystko, co się stało, przedstawione z jej punktu widzenia. To jest jej

historia.

Włączyła komputer, otworzyła plik i przesunęła laptop w stronę Arthura. Nie zareagował; nie sięgnął do niego ani nie zadał żadnego pytania. Wydawało się, że nie wie, co powiedzieć, czy wziąć od niej komputer, czy rzucić nim o podłogę.

– To jest dość długie – dodała Tabby. – Przeczytanie zajęło mi jakieś dwie godziny. Jeśli pan woli, mogę zostawić go panu na noc i może zgodziłby się pan porozmawiać ze mną rano?

Prześpię się w samochodzie, pomyślała. Nie mogła oczekiwać, że pozwoli jej zostać, kiedy będzie czytał, i musiała zaufać, że nie usunie pliku z komputera.

– Przepraszam – rozległ się nagle cichy głos i kiedy Tabby podniosła wzrok, zobaczyła, że Arthur nie zamknął całkiem drzwi do holu i że za nimi stała jakaś kobieta, schowana częściowo w cieniu. – Skąd pani to ma?

– Zadzwoił pan na policję? – spytała Tabby, zwracając się do Arthura, całkowicie zaskoczona. No oczywiście, że zadzwonił, musiał to zrobić, kiedy poszedł na górę, a może nawet jeszcze zanim wysiadł z samochodu. Ależ była naiwna, śledząc go niczym jakaś zwariowana nastoletnia panna detektyw z książki dla młodzieży, zdradzając się, zanim jeszcze wyjechała za nim z parkingu – i jaka była głupia, sądząc, że nic go nie obeszło zainteresowanie mediów! Czy nie widziała na własne oczy wysokiej bramy na pilota, tego, że dom

stał osobno – rzeczy znacznie ważniejszych niż designerskie meble? Ten facet został zmuszony do zmiany miejsca zatrudnienia i zamieszkania, tak samo jak Emmie. Ale, w przeciwieństwie do biednej Emmie, miał wysoką pozycję i pieniądze, mógł zapewnić sobie pomoc lokalnej policji i odpowiednią ochronę w nowej pracy. Jego umiejętności i doświadczenie były cenne dla społeczeństwa, niezależnie od błędów, jakie popełnił w życiu prywatnym. Był ofiarą, którą warto chronić. Oczywiście, że mógł zadzwonić na policję zaraz po tym, gdy jakaś obca kobieta zjawiła się nie wiadomo skąd i zaczęła opowiadać o Emily Marr. Ta policjantka i jej koledzy mieli być może nawet zapasowe klucze do domu i pozwolenie na wejście od razu, na pierwszy sygnał od Arthura. Nieważne, jak nieszkodliwie Tabby wyglądała, nieważne, że zapewniała o swoich dobrych intencjach, musiał zakładać, że może być niebezpieczna. Musiał wiedzieć, że nikomu nie może zaufać.

Znowu niewłaściwie oceniła sytuację, jak zwykle.

– Dostałam to od Emily – powiedziała, zwracając się w stronę drzwi. – Pożyczyła mi. – Po sekundzie dodała: – Nie ukradłam go. – Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, było oskarżenie o kradzież na dokładkę do oskarżenia o nękanie.

– Przecież został ukradziony – powiedział Arthur z boku.

Tabby odwróciła się do niego z gniewem.

– Nie, wcale nie. Dała mi go tydzień czy dwa temu.

Straciła poczucie czasu i nie chciała marnować cennych sekund na liczenie dni.

– Wtedy przeczytałam dziennik po raz pierwszy. Chciała, żebym go przeczytała – i cieszę się, że to zrobiłam. Dzięki temu mogłam ją zrozumieć i o nic więcej pana nie proszę. Czy to takie trudne? Po tym wszystkim, co razem przeszliście?

– To jakieś szaleństwo – powiedział Arthur tak cicho, że mógł nawet mówić do siebie. – Kompletne szaleństwo.

Te słowa zirytowały Tabby, która w tej chwili, po zjawieniu się policji, poczuła, że nie ma nic do stracenia – najgorsze już się stało i teraz chodziło tylko o zachowanie szacunku dla samej siebie, i dla Emmie także.

– Szaleństwo to sposób, w jaki ją potraktowano, jak kogoś oskarżonego o morderstwo. Nie – poprawiła się, porzucając wszelką powściągliwość – jak kogoś już skazanego za popełnienie zbrodni! Być może postąpiła niezbyt honorowo, ale uważam, że to nie było zachowanie niewybaczalne. I ktoś z jej rodziny także umarł, wie pan. Myślę, że to straszne, jak wszyscy obrócili się przeciwko niej, wpadli w obsesję obwiniania jej o wszystko, zrobili z niej kozła ofiarnego, kiedy najbardziej na świecie potrzebowała miłości i współczucia!

– Wszyscy – powtórzył jak echo Arthur, dziwnym, pełnym smutku głosem, i Tabby zorientowała się, że

posunęła się za daleko, że powiedziała zbyt wiele.

– Nie mam oczywiście na myśli pana, ona też nie. Oczywiście pan przeżywa tragedię o wiele straszniejszą niż Emmie. Bardzo mi przykro z powodu pana rodziny, panie Woodhall, powinnam była powiedzieć to na początku. Naprawdę panu współczuję. Nie wiedziałam nic o wypadku, o całej tej tragicznej sprawie, aż do niedawna. Nie było mnie w kraju.

Zaczęła się teraz plątać, przez cały czas czując na sobie wzrok Arthura, który patrzył na nią jak na dostarczycielkę jakichś fantastycznych, baśniowych wieści.

– O co chodzi? – spytała. – Nie wierzy mi pan?

Drzwi otworzyły się na całą szerokość i policjantka weszła do pokoju. Była ubrana po cywilnemu i zachowywała się w bardzo powściągliwy, stonowany sposób, bez wątplenia wypracowany na specjalnych szkoleniach. Będę musiała dać już spokój, pomyślała Tabby; gdybym mogła wyjść z tego tylko z jakimś pouczeniem albo ostrzeżeniem... Nagle zapragnęła znaleźć się znowu na promie płynącym przez kanał La Manche, w jednym z foteli na cichym pokładzie kołysanym falami morza, gdzie można było przymknąć oczy i zasnąć. Kiedy jechała do Anglii, denerwowała ją powolność przeprawy, ale teraz nic nie wydawało jej się bardziej kuszące.

Wtedy zauważyła coś dziwnego: policjantka nie miała butów. Widziała jej bose stopy, z paznokciami

pomalowanymi na jasny perłowy kolor, jak wnętrze muszelki. Stała z niewymuszoną gracją i Tabby, zaintrygowana, podniosła wzrok, spoglądając na jej smukłą, miejscami apetycznie zaokrągloną figurę. Była ubrana, ale musiała wyjść właśnie spod prysznic – włosy miała mokre, zaczesane do tyłu, a twarz zaróżowioną. Była śliczna. Czerwieniąc się nagle na myśl o własnej głupocie, Tabby zrozumiała, co się dzieje. Ta kobieta musi tu mieszkać; to nie żadna policjantka, ale nowa ukochana Arthura, o której wspominała Nina – jego pocieszycielka. Zapewne ukrywali swój związek – ludzie mogli uznać, że Arthurowi nie wypada nawiązywać nowych relacji tak krótko po śmierci żony.

Kobieta tymczasem wpatrywała się w laptop zafascynowana, spodziewając się być może różnych rewelacji o osławionej kochance Arthura. Czy rozmawiał z nią o Emily? Czy w ogóle ją wspominał? Tabby poczuła wielki ciężar w sercu, stając twarzą w twarz z tą ostateczną przegraną, i pomyślała po raz nie wiadomo który: biedna Emmie... Będzie musiała wrócić do niej z jakąś wymyśloną historyjką, z jakimiś litościwymi kłamstwami. Przede wszystkim należało ją pocieszyć, prawda nie miała już żadnego znaczenia.

– Tabby – powiedział Arthur, a w jego głosie słychać było straszne zmęczenie – tak właśnie się nazywasz, o ile pamiętam?

– Tak – odparła machinalnie. Może trzeba było

przedstawić się jakimś fałszywym imieniem? Nieznana kobieta nie była wprawdzie policjantką, w porządku, ale Tabby czuła, że kłopoty jeszcze się nie skończyły.

– Wobec tego, Tabby – mówił dalej Arthur, wstając z nieco formalną grzecznością – poznajcie się, to jest Emily Marr.

Rozdział 25

Tabby

Wpatrywała się w Arthura kompletnie zdezorientowana, jak dziecko, które nie nauczyło się jeszcze mówić na tyle, żeby rozumieć rozmowę dorosłych, i potrzebuje gestów, by pojąć, o co chodzi. Wiedziała, że powiedział coś ważnego, coś naprawdę istotnego, ale nie docierało do niej znaczenie wypowiedzianych słów. Tymczasem Arthur i bosonoga kobieta jakby zapomnieli o niej, patrząc na siebie nawzajem, a na ich twarzach malowało się zbyt wiele różnych emocji – gniew, zadowolenie, podejrzliwość, zdumienie – by pomóc jej zorientować się w sytuacji.

Wreszcie kobieta usiadła obok Arthura. Była o wiele bardziej zainteresowana komputerem niż nią, Tabby – to było widać.

– Myślałam, że już go nie odzyskam – powiedziała, a jej głos, niski i lekko chropawy, miał w sobie coś pokornego. – Nigdy tego nie wydrukowałam. To był tylko plik na twardym dysku.

– Nic nie rozumiem – powiedziała Tabby, zwracając się do Arthura, jakby odwołując się do jego autorytetu. Ale on był ciągle wpatrzony w kobietę z pomalowanymi paznokciami, o której powiedział, że to Emily Marr, która jednak nie mogła przecież nią być. Oczywiście, że

nie mogła, bo Emmie była Emily, to było zupełnie jasne.

Co dziwne, ta kobieta była trochę podobna do Emmie. Nie do Emmie z dawnych fotografii, ale do tej obecnej, anonimowej. Obie miały krótko obcięte, ciemne włosy, szeroko rozstawione oczy i pewną prostotę w stylu bycia. Ale ta kobieta miała o wiele delikatniejsze rysy i była znacznie bardziej pociągająca. Było w niej widać pewną elegancję i łagodny smutek; Tabby pomyślała, że może melancholia byłaby lepszym określeniem. Cokolwiek to było, sprawiało, że Arthur objął ją ramieniem, chciał ją chronić. Kochał ją, to było jasne jak słońce.

– Ty nie jesteś Emily – powiedziała do niej Tabby i spojrzała na Arthura, szukając potwierdzenia. – Prawda?

On powinien to wiedzieć na pewno. Ale chciał, żeby kobieta mówiła sama za siebie.

Ona zaś głęboko westchnęła.

– Ciągłe zdarzają się chwile, kiedy żałuję, że nią jestem, ale co zrobić. Widzę, że mi nie wierzysz – może chciałabyś zobaczyć mój paszport?

– Nie musisz się tłumaczyć przed tą osobą, kochanie – powiedział do niej Arthur. Tabby spojrzała na niego oszołomiona. A więc zgadzał się, że to była Emily?

– Nic nie rozumiem – powtórzyła. – Ten laptop należy do mojej przyjaciółki Emmie. Miała go, od kiedy się poznałyśmy, w maju, prawie cztery miesiące temu.

– Ukradzono mi go w marcu, z domu mojego brata w Newbury – odparła kobieta, jakby zgadzając się ze słowami Tabby. – Tuż przed tym, jak wyjechałam do Paryża.

Paryż? Newbury? Ziemia usunęła się Tabby spod nóg i coś dziwnego działo się z czasem. Być może dlatego Tabby nie mogła nic zrozumieć.

– Z domu twojego brata? – powtórzyła bezdźwięcznie. – W Newbury?

Strach przed policją wyparował, a zamiast niego pojawiła się nowa, jeszcze nieokreślona obawa.

– Tak. Zgłosiliśmy sprawę na policji, ale od razu nam powiedzieli, że praktycznie nie ma szans na to, by go odzyskać.

Tabby mogła teraz tylko oddychać, wdech, wydech, wdech i wydech, podczas gdy jej umysł, w kompletnej rozsypce, usiłował jakoś połączyć fakty, żeby móc pojąć tę dziwną tajemnicę.

– Więc myślisz, że Emmie dostała go od kogoś, kto go ukraść? Ale jeśli tak było, to jak udało jej się otworzyć pliki? Skąd знаła hasło, jeśli nie było jej własne?

Kobieta i Arthur wymienili spojrzenia.

– „Woodhall” – przypomniała sobie Tabby. – To było twoje hasło?

– No tak, nie było trudne do odgadnięcia – przyznała kobieta.

– To jakiś zabytek – powiedział Arthur, sięgając do

klawiatury laptopa. – Dziwne, że w ogóle jeszcze działa.

– Tak naprawdę należy do Matta. Ale zostawił mi go, kiedy się wyprowadził. Z początku prawie wcale go nie używałam.

Tabby, jak to Tabby, przejrzała pozostałe pliki w pamięci komputera i znalazła kilka utworzonych przez Matta Pipera, mężczyznę z fotografii, który wstawił się za Emily w rozmowie z dziennikarzem.

– Matta, tego byłego chłopaka Emily? – zapytała.

– Tak.

Kobieta popatrzyła jej w oczy – tęczówki miała ciemnoniebieskie, zupełnie inne niż Emmie – i zacisnęła usta, zmieszana.

– Mój Boże, jeśli to przeczytałaś, to wszystko o mnie wiesz. Naprawdę wszystko. Czuję się z tym o wiele dziwniej niż z myślą, że ludzie czytali o mnie nieprawdę. Co za zwariowana sytuacja.

Zajęła się znowu komputerem, przeglądając plik z opowieścią Emily. Jej oczy przebiegały tekst z góry na dół.

– Napisałam potem jeszcze więcej. Był kolejny rozdział. Napisałam go już po wyjeździe z Anglii. Ręcznie, w notesie, nie miałam pieniędzy na nowy laptop. – Zamknęła komputer. Była wyraźnie poruszona. – To miało dalszy ciąg – powtórzyła.

– Oczywiście – powiedział Arthur – inaczej nie byłoby tego całego zamieszania. – Zwrócił się do Tabby: – Myślę, że powinnaś powiedzieć nam o tej

przyjaciółce, która najwyraźniej myśli, że jest Emily. Mówiłaś, że posługuje się jej nazwiskiem?

– Nazywa się Emmie. Emmie Mason.

Oczywiście – to było nazwisko wzięte z dziennika, pomysł Emily na nową tożsamość.

– I mieszka w La Rochelle, tak?

– Niedaleko.

Na razie Tabby nie chciała zdradzać zbyt wiele. Kto wie, w jakich kłopotach mogła znaleźć się biedna Emmie.

– Pewnie jest do mnie trochę podobna? – zapytała nowa Emily. – Do tego, jak kiedyś wyglądałam?

Tabby zmarszczyła brwi i przytaknęła. Nadal nic nie rozumiała, ale wyczuwała, że ta kobieta wie więcej od niej.

– To jest dziwne. Wygląda raczej tak jak ty teraz. Krótkie włosy, bez makijażu, ubiera się bardzo przeciętnie. To bez sensu.

– To ma sens, możesz mi wierzyć – powiedziała Emily, wstając. – Chyba wiem, co się stało. Masz czas, żeby zostać chwilę, Tabby?

– Tak, jasne.

– Dam ci do przeczytania ostatni rozdział. Lepiej przeczytaj go, zanim będziemy dalej rozmawiać.

– Emily – wtrącił się Arthur, biorąc ją za rękę i zamykając jej dłoń w swoich dłoniach. – Jesteś pewna, że chcesz do tego wracać? Na pewno Tabby się nie obrazi, jeśli pożegnamy się z nią. To oczywiście jakies

nieporozumienie. Tamta kobieta nie ma z nami nic wspólnego.

Ma w sobie niezmałony spokój, pomyślała Tabby, umiejętność słusznej oceny sytuacji. Teraz też miał rację – nie obraziłaby się, gdyby poprosili ją, żeby wyszła, a przynajmniej nie nalegałaby, żeby chcieli z nią dłużej rozmawiać. Nie bardzo wiedząc dlaczego, czuła się zawstydzona, w imieniu swoim i Emmie. Nie rozumiała, co się wydarzyło, ale pojęła, że musiała zostać oszukana. Po części miała ochotę zrobić to, co sugerował Arthur: po prostu pójść sobie, bez żadnych dalszych wyjaśnień, ale... Jeśli ta kobieta знаła jakieś fakty, które mogłyby wyjaśnić sytuację Emmie, Tabby powinna się o nich dowiedzieć. Zawsze, odkąd pamiętała, gdy tylko miała wybór między wiedzą a nieświadomością, wybierała wiedzę.

– Powinna to przeczytać – powiedziała kobieta do Arthura, łagodnie zabierając mu dłoń. Coś w sposobie, w jaki wypuścił jej rękę, niechętnie, stopniowo, boleśnie zakłuło Tabby w sercu. Paul nigdy tak nie wypuszczał jej z objęć. A w końcu chciał już tylko ją odepchnąć, jak najdalej od siebie. – Naprawdę, nic lepszego nie możemy zrobić.

– Dobrze – powiedział Arthur, stając obok niej. – Przynieś, co potrzeba, a ja naleję wina. Proszę tu zostać – zwrócił się do Tabby.

Po raz drugi została sama. Słyszała odległy brzęk szkła, dźwięk korka wyciąganego z butelki, a nad jej

głową kroki zmierzające do sypialni i z powrotem, ku schodom. Drzwi na korytarz zostały tym razem otwarte i mogła widzieć dół klatki schodowej. Cała ta sytuacja była dla niej tak nieodgadniona, atmosfera tak nieznana, że nie byłaby zdziwiona, gdyby kobieta wróciła ubrana jak Emily Marr, tak samo jak Emmie tamtego dziwnego wieczora, gdy wyszły razem na miasto. Najpierw powinny ukazać się buty, potem falujący dół sukienki, nagie ramiona, usta z różową szminką i oczy pomalowane intensywnym cieniem, prosto z lat pięćdziesiątych.

Ale kiedy Emily wróciła, wyglądała ciągle tak samo. Poruszała się z ogromnym wdziękiem, lekko i cicho, jak modelka albo tancerka; trudno było jej nie podziwiać, miało się ochotę bez przerwy na nią patrzeć.

– Proszę.

Przyniosła dwie rzeczy: notatnik książkowego formatu i paszport. Paszport pokazała Tabby najpierw, zwracając uwagę na nazwisko: Emily Rachel Marr, i datę urodzenia, którą Tabby знаła z internetu. Na fotografii miała jasne włosy, platynowy blond, i swój ulubiony makijaż. Z całą pewnością ta twarz należała do osoby, której zdjęcia pojawiły się w sieci i które miała w swojej teczce Emmie. Potem nowa Emily podała jej notatnik.

– Pomiń francuski – powiedziała. – Niedużo zapisałam.

Tabby zorientowała się, że pierwsze strony

zapełnione są listami francuskich słówek – nazw codziennych przedmiotów, kwiatów, zwierząt i produktów spożywczych; był to zupełnie podstawowy francuski, całkowicie poniżej doskonałych umiejętności Emmie. Tabby pomyślała, że to będzie jedno z mniej zaskakujących odkryć, jakie ją czekają.

– Jest tam dalej – odpowiedziała Emily – ten fragment, o który chodzi.

Do pokoju wszedł Arthur z kieliszkiem wina, a potem oboje porozmawiali cicho o kolacji i zostawili ją samą nad lekturą.

Rozdział 26

Emily

Nie mieszkam już u Phila. Wynajęłam małe mieszkanie na najwyższym piętrze domu w Ivry, południowo-wschodniej dzielnicy Paryża. Z moich okien roztacza się widok, ale nie na wieżę Eiffla czy Łuk Triumfalny, tylko na dach chińskiej hurtowni spożywczej. To doskonała kryjówka, bezpieczne schronienie. Wreszcie zniknęłam, jak radziła mi Nina Meeks.

Czasami zdarza mi się snuć fantazje o tym, że wracam i dokonuję zemsty – musiałyby to być coś bardzo przemyślnego, jakaś skomplikowana intryga – ale tak naprawdę nie mam pojęcia, jak miałabym się zemścić na kimś takim jak Nina. Gdybym potrafiła, to w ogóle nie stałabym się jej ofiarą, bo tego typu oprawcy wybierają sobie zawsze słabsze osoby. A ona jest oprawcą, dręczycielką – teraz zdaje sobie z tego sprawę – przybierającą maskę bojowniczką o wartości moralne. Nikt mnie nie przekona, że to nieprawda.

W zasadzie od kiedy tu przyjechałam, myślę o sobie bardziej jak o kimś, kto przetrwał ciężkie czasy, niż o kimś, kto padł ofiarą. To już jakiś postęp.

Wystarczy mi pieniędzy, żeby zostać tu przez pięć czy sześć miesięcy bez pracy, pod warunkiem że będę

kupować tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Jeśli uda mi się znaleźć pracę, w której nie trzeba dobrze mówić po francusku, zostanę dłużej. Jeśli nie, wrócę do Anglii i spróbuję od nowa. Musi znaleźć się ktoś, kto albo nie będzie znał mojej historii, albo nie będzie go obchodziła. Nie mogę się ukrywać przez resztę życia. A może jednak zmienię nazwisko, stworzę siebie samą na nowo oficjalnie, jak młodociani przestępcy, którzy dostają nowe dane osobowe przed wejściem w dorosłe życie.

Nie pamiętam, gdzie skończyłam opowiadanie mojej historii ani kiedy napisałam ostatni fragment, ale musiało to być na dzień przed włamaniem do domu Phila, gdy ukradziono mój laptop. Wiedziałam, że nie mogę zostać tam dłużej po tym, jak to się stało. Włamywacz nie zabrał niczego należącego do Phila, Julie czy dzieci, ale już sam fakt, że ktoś obcy chodził po ich domu i zaglądał do pokojów, był wystarczająco okropny. Z całą pewnością na ich miejscu też nie chciałabym dłużej narażać się na takie nieprzyjemności.

Nie zdziwiłam się, że ktoś zabrał tylko rzeczy należące do mnie, i to te nieprzedstawiające większej wartości: butelkę perfum (prezent od Arthura), szminkę, sukienkę, parę butów, pocztówkę, którą dostałam od Arthura wkrótce po naszym poznaniu (nie muszę notować tego, co mi wówczas napisał – nigdy nie zapomnę ani słowa), oraz zdjęcie Matta i moje ze ślubu jego kuzynki, to samo, które trafiło wcześniej do gazet

i internetu. Spoglądałam na nie czasem po wyprowadzce z Walnut Grove; przynosiło mi pocieszenie. Widziałam w twarzy Matta jego upodobanie do bezproblemowego życia i najłatwiejszych rozwiązań i przypominałam sobie, jak bardzo go lubiłam. Ta świadomość była jednym z okruchów dobra, jakie pozostały po tragedii.

Płakałam po utraconych rzeczach, zwłaszcza z powodu pocztówki, ale tylko zniknięcie laptopa naprawdę mnie przeraziło, zwłaszcza pliku z tekstem, który napisałam. Na pewno nie dałabym rady napisać wszystkiego na nowo, nie mogłabym przypominać sobie znowu szczęśliwych i nieszczęśliwych chwil, przeżyć powtórnie opowiadania o nich, bo już za pierwszym razem było to tak trudne. Ale z czasem zaczęłam myśleć, że utrata komputera nie ma znaczenia, bo udało mi się osiągnąć zamierzony cel: pisząc, wyrzuciłam z siebie co najgorsze i czerpałam nadzieję z najlepszego. Nie muszę już tego czytać. Jak podkreśliłam na początku, nie był to dziennik pisany dla potomności.

Nie – ale bałam się, że ktoś może zamieścić mój tekst w internecie albo w jakimś czasopiśmie. Gdyby został opublikowany w całości, nie byłoby to może takie straszne (w końcu wszystko w nim było prawdą), ale zdążyłam się boleśnie przekonać, jak można przeinaczyć czyjeś słowa, wyjąć wypowiedzi z kontekstu i użyć przeciwko autorowi.

Spodziewam się jednak, że nic takiego się nie stanie,

i powtarzam sobie, że nawet gdyby moje słowa zostały ujawnione i cała historia znowu by ożyła, to mnie już tam nie ma, jestem poza zasięgiem. Ukryłam się w Paryżu – w starym stylu, niczym Wallis Simpson, u której boku pojawiłam się nawet ostatnio na zestawionej przez jakąś gazetę „dowcipnej” liście kobiet, które doprowadziły kochających je mężczyzn do upadku. Byłam jedyną reprezentantką XXI wieku – być może w ostatnich latach nie zdarzyła się żadna inna historia, którą uznano za wystarczająco ponadczasową.

Moja też taka nie będzie. Jeżeli tak łatwo snuć fantazje na czyjś temat, to równie łatwo będzie o ich bohaterce zapomnieć.

Zgłosiłam kradzież w komendzie w Newbury, ale nie mogli w żaden sposób pomóc. Oczywiście domyślałam się, kto dokonał włamania, i policja także, ponieważ otrzymali ode mnie zgłoszenia już wcześniej. Na kilka dni przed włamaniem zdałam sobie sprawę, że niepokojące poczucie, iż ktoś mnie obserwuje, kiedy tylko wyjdę z domu, było jak najbardziej uzasadnione. Ktoś rzeczywiście za mną chodził, jakaś kobieta. Nie byłam całkowicie pewna, ale chyba rozpoznałam ją jako jedną z moich wielbicielek, stojących pod drzwiami wejściowymi przy Grove.

Policja nie chciała nazwać tego nękaniami, chociaż Phil i ja dokładnie tak to określaliśmy – oczywiście kiedy Julie nie słyszała.

Po raz pierwszy zauważyłam tę kobietę akurat wtedy,

gdy zaczęłam wierzyć, że powoli wracam do anonimowości. To było w środku tygodnia, przed południem. Wyszłam właśnie z domu, żeby trochę pobiegać, kiedy zderzyłam się z jakąś osobą na ulicy, parę domów dalej. Przeprosiłam i odsunęłam się, nie nawiązując kontaktu wzrokowego (chodziłam zawsze ze spuszczoną głową, nie patrząc dokoła – pewnie dlatego na nią wpadłam), ale zwróciłam uwagę na jej buty. Były z zielonego zamszu i wyglądały dokładnie jak te, które oddałam do sklepu organizacji charytatywnej niedaleko Grove.

Z początku uznałam to za zbieg okoliczności, ale kiedy już zrobiłam swoją rundę i biegłam przez park w kierunku wyjścia, zauważyłam te buty znowu. Miała je na nogach kobieta, która siedziała samotnie na ławce, nie bacząc na mżawkę. Gdy na nią wcześniej wpadłam, szła w przeciwnym kierunku, musiała więc zawrócić i pójść za mną do parku. Teraz, zupełnie otwarcie, wstała z ławki, żeby iść za mną znowu.

Ruszyłam biegiem do domu i szybko ją zgubiłam, nie dając jej satysfakcji i nie pokazując, że ją widziałam. Nie miało to jednak większego znaczenia – równie dobrze mogłabym zaproponować jej wspólny spacer, skoro i tak wiedziała, gdzie mieszkam, i mogła mnie znaleźć, kiedy tylko miała ochotę. Zrozumiałam, że musiała obserwować mnie już od dłuższego czasu, na tyle dyskretnie, że tylko wyczułam jej uwagę, nie dostrzegając jej samej.

Teraz to się zmieniło. Zaczęłam natykać się na nią po prostu za każdym razem, gdy wychodziłam na zewnątrz, jeśli nie od razu na ulicy, gdzie mieszkał Phil, to kawałek dalej. Nasze spojrzenia się nie spotykały, bo starałam się nie patrzeć na nią bezpośrednio. Przychodziło mi to zaskakująco łatwo. Ignorowałam ją albo, kiedy byłam w lepszym humorze, traktowałam jak kogoś w rodzaju anioła stróża, dobrego ducha – co było możliwe, jak sądzę, tylko dlatego, że była kobietą, nie mężczyzną. Jednak wychodziłam wtedy mało, rzadko więcej niż raz dziennie, co oznaczało, że musiała czekać na moje pojawienie się całymi dniami. To z kolei znaczyło, że nie mogła chodzić do pracy. Czy w ogóle sypiała w nocy, a jeśli tak, to gdzie? Poświęcała cały swój czas na obserwowanie mnie. Niezależnie od jej płci, to było niepokojące.

Rozmawiałyśmy twarzą w twarz tylko dwa razy i były to jedne z najdziwniejszych rozmów mojego życia.

Za pierwszym razem w któryś poniedziałek. Wyszłam do osiedlowego sklepu po czekoladę – jakie skromne były moje przygody! – i wróciwszy, miałam właśnie otworzyć drzwi wejściowe do domu, kiedy odwróciłam się i zobaczyłam, że stoi z tyłu, zaledwie jakieś pół metra ode mnie. Musiała cicho wejść za mną przez furtkę i przejść ścieżką aż do domu. Na jej widok aż krzyknęłam z zaskoczenia. Potem zdjęłam czapkę i wyciągnęłam klucze, chcąc pokazać, że nic sobie z niej

nie robię i zaraz zniknę za drzwiami. Akurat tego dnia Phil pracował w domu, więc wiedziałam, że w razie czego wystarczy, że go zawołam. Byłam bezpieczna.

Kiedy włożyłam klucz do zamka, coś jednak kazało mi się odwrócić i spojrzeć prosto na nią po raz pierwszy.

– Czego sobie pani życzy? – zapytałam.

Dwie rzeczy mnie zaskoczyły. Po pierwsze, to, jak jej twarz zmieniła się na dźwięk mojego głosu – stwierdziłam, że być może niespodziewanie ją rozczarował. Ale okazało się, że chodzi o coś innego.

– Co zrobiłaś ze swoimi włosami? – zapytała, a w jej głosie wyraźnie słychać było rozpacz. – Były takie piękne.

– Z moimi włosami?

Nie odpowiedziała, wpatrując się w czubek mojej głowy spojrzeniem tak przerażonym, jakbym miała tam coś naprawdę strasznego. To było zadziwiające.

– Obcięłam – odparłam zniecierpliwiona.

– Ale dlaczego?

– Bez przesady, to chyba oczywiste. Nie chcę być rozpoznawana – i miałam nadzieję, że mi się udało.

Jej nastrój błyskawicznie się poprawił, twarz ułożyła się w szeroki uśmiech.

– Udało nam się – potwierdziła uszczęśliwiona. – Nikt się nie zorientował.

– O kim pani mówi? – spytałam, ale nic nie odpowiedziała, patrząc tylko na mnie z uśmiechem.

Wtedy zdałam sobie sprawę, jaki był drugi powód mojego zaskoczenia, kiedy się pojawiła, powód, który teraz przypawił mnie o ciarki na plecach – to, że wyglądała bardzo podobnie do mnie. Nie chodzi mi o dokładne podobieństwo, ale o ogólne wrażenie – byliśmy tego samego wzrostu i podobnej budowy, mniej więcej w tym samym wieku i można by bez problemu uwierzyć, że jest moją siostrą albo kuzynką. Ale przeraziło mnie co innego: jej strój, fryzura i makijaż, którym musiała poświęcić wiele starań i sporo czasu. Były w najoczywistszy sposób wzorowane na moim stylu, a raczej na stylu Emily Marr, kobiety ze zdjęć publikowanych w gazetach i krążących w internecie. Kiedy tak stałam, patrząc na jej rozkloszowany płaszczyk z beżowego filcu, niemal identyczny z tym, który nosiłam wcześniej, i buty, które na szczęście okazały się tylko podobne do moich, nagle coś zrozumiałam: utraciłam samą siebie. Straciłam siebie, kiedy pierwszego dnia wyszłam z mojego okupowanego mieszkania w specjalnie kupionej czapce na głowie. Od tamtego dnia bez przerwy nosiłam przebranie. Myślałam, że stało się to wtedy, gdy zginęła Sylvie i Arthur mnie porzucił, ale teraz dotarło do mnie, że w tamtym czasie jeszcze byłam sobą. Nawet podczas rozprawy, kiedy ścierałam z ust szminkę i żałowałam, że włożyłam niewłaściwe buty, to ciągle jeszcze byłam ja. Teraz, półtora miesiąca później, zostały tylko imitacje, takie jak ta.

– Kim pani jest? – zapytałam. – Dlaczego pani się tak ubrała?

– Bo jesteśmy takie same – odparła, patrząc na mnie całą rozjaśniona.

– Nie, to nieprawda. Nie znamy się nawet.

Na szczęście akurat wtedy otworzyły się drzwi i na ganku za mną stanął Phil.

– Kto to jest, Emi?

– Nie wiem, ale od jakiegoś czasu za mną chodzi. Próbuję się dowiedzieć dlaczego.

Przemknęła mi nawet przez głowę myśl, że może dobrze byłoby zaprosić tę dziewczynę do środka, zaspokoić jej ciekawość raz na zawsze, rozczarować ją dowodami mojej zwyczajności, tak żeby sama z siebie straciła zainteresowanie. Ale Phil był zupełnie innego zdania. Zagroził kobiecie policją i niegrzecznie kazał jej się wynosić do diabła.

– Musi pani stąd iść – dodałam, trochę grzeczniej. Chociaż nas nachodziła, nie chciałam traktować jej bez szacunku – musiała być jakoś ułomna, jeśli fascynacja moją osobą doprowadziła ją do takiego zachowania. Była niczym nastolatka oczekująca pod salą koncertową na ukochaną gwiazdę, tyle że była już dorosłą kobietą, a ja nie byłam gwiazdą. Przypomniałam sobie te grupy „protestacyjne”, które uprzykrzały życie Ninie Meeks; zrobiły sobie nawet specjalne koszulki. Były też blogi moich „fanów”, z których jeden podał informację o nowym girlsbandzie The Emilys.

Ta wielbicielka nie była aż tak wyjątkowa, jak pewnie sądziła. Patrząc na nią, gdy odchodziła spiesznie w stronę furty, zrobiło mi się jej trochę żal.

Phil jednak widział sprawy inaczej.

– Do cholery, co to za wariatka? Wygląda bardziej jak ty niż ty sama.

– Jak ja kiedyś, rzeczywiście. Wydaje mi się, że to jedna z osób, które wystawały pod moim domem w Londynie. Ale chyba nie zamierza zrobić nikomu krzywdy.

– Julie będzie innego zdania.

Rzeczywiście, moja bratowa na pewno obawiałaaby się o bezpieczeństwo dzieci, gdyby dowiedziała się, że ktoś wystaje pod jej domem.

– Ty też nie powinnaś tego lekceważyć – dodał. – Każdy, kto jest na tyle stuknięty, żeby przyjeżdżać z Londynu, przebierać się za kogoś innego i sterczeć pod jego domem, jest potencjalnie niebezpieczny.

– No cóż, jeśli spojrzymy na to w ten sposób... – Próbowałam się uśmiechnąć.

– Trzeba zgłosić tę wariatkę na policję.

Od razu zadzwonił do komendy, żeby zawiadomić o zdarzeniu, ale nie znając nazwiska prześladowczyni, która w dodatku nie wykazywała żadnych złych intencji, nie mogliśmy się spodziewać podjęcia konkretnych działań. Policja nie ochraniała mnie w Londynie, gdzie musiałam znosić ciągłe obłęzenie, więc tym bardziej nie miała zamiaru robić tego teraz.

Nie widziałam jej przez cały następny dzień, ale kolejnego dnia wróciła. Zadzwoiła do drzwi – nowe śmiałe posunięcie. Byłam sama i nie otworzyłam, jednak przyszła znowu po zmroku, kiedy cała rodzina była w domu. Phil poprosił, żebym została w środku, i sam poszedł się z nią rozmówić. Słyszałam, jak mówi:

– Wnieśliśmy skargę na policję. Jeśli jeszcze raz tu pani przyjdzie, poprosimy o interwencję. Jak się pani nazywa? No proszę bardzo, proszę nie tchórzyć i się przedstawić. Nie chce pani, żeby pani bohaterka się dowiedziała, z kim ma do czynienia?

Dopiero kiedy powtórzyła imię po raz drugi, dosłyszałam, że mówi: Emily.

– Tak, wiem, że zna pani jej imię. Pytam, jak pani się nazywa.

Wcześniej niż Phil pojęłam, że twierdzi, iż ona też jest Emily. Nie wierzyłam w to – po prostu przywłaszczyła sobie to imię, tak samo jak przywłaszczyła sobie mój styl ubierania się. Zerkając ponad ramieniem Phila, zobaczyłam z przerażeniem, że tym razem miała na sobie coś, co naprawdę należało wcześniej do mnie: czarny wełniany żakiet z wielkimi guzikami i futrzanym kołnierzem, który odsprzedalam do sklepu z używanymi ciuchami, gdzie go kiedyś kupiłam. Czy śledziła mnie tego dnia, gdy dźwigałam worki z ubraniami na przystanek autobusowy? Czy sprzedawczyni rozpoznała mnie i sprzedawała moje rzeczy z odpowiednim komentarzem? „Noszone przez

osławioną Emily Marr!”. Czy ta kobieta i inne jej podobne wykupiły całą moją garderobę? Czy kawałki mojego życia wystawiano teraz na eBayu?

Zawołałam do niej:

– Zaraz wyjeżdżam za granicę. Nie znajdziesz mnie tam. Więc kimkolwiek jesteś, po prostu daj sobie spokój, zapomnij o mnie i zajmij się własnym życiem.

Głos uwiązał mi w gardle – bo to samo odnosiło się do mnie i Arthura. Powinnam go zapomnieć, zapomnieć o nas, zacząć żyć swoim życiem.

Może życie tej kobiety było tak samo pozbawione oparcia i pełne obaw jak moje własne dla mnie? W takim wypadku miałybyśmy ze sobą więcej wspólnego, niż sądziłam.

Kiedy poszła, Phil, kochany Phil, próbował obrócić wszystko w żart.

– Taka fanka to wyjątek, co? Jeśli będzie paradować po mieście, wyglądając jak ty, to w końcu dorobi się własnych prześladowców. To byłoby coś.

Ponieważ w pobliżu była Julie, zrozumiałam, że lekki ton był przeznaczony dla jej uszu, i roześmiałam się sumiennie.

Lecz Julie miała zmarszczone brwi i patrzyła na nas z niepokojem. Lubiła mnie bardzo – nie mogłabym sobie wymarzyć miłszej, życzliwszej bratowej – ale zawsze i we wszystkim na pierwszym miejscu byli dla niej synowie.

– Ona na pewno nie jest jedyna, Emily –

powiedziała. – Ludzie, którzy padają ofiarą rozgłosu w różnych skandalach, zawsze mają problemy z takimi osobami.

Starając się nie zmieniać nastroju, powiedziałam, że w okresie największego zainteresowania mediów czytałam nawet, że dziewczyny prosiły fryzjerów o fryzury wzorowane na mojej.

Skinęła głową, lecz na jej twarzy ciągle malowało się napięcie.

– Często zdarza się taka fascynacja blondynkami. Serio, pewnie nawet Myra Hindley miała w swoim czasie jakieś chore naśladowczynie.

– Chodzi o kogoś o specyficznym wyglądzie – wtrącił pospiesznie Phil. – Oczywiście Julie nie sądzi, że masz cokolwiek wspólnego z jakąś seryjną morderczynią dzieci.

Teraz nie byłam już w stanie żartować. Przypomniało mi się, jak Nina Meeks przywołała nazwisko Lizzie Borden i jak potem ciągle porównywano mnie do różnych przestępczyń i czarnych charakterów, i łzy stanęły mi w oczach na myśl, że moja własna rodzina też robiła takie porównania. Strasznie zmieszana Julie zaczęła mnie przeproszać. Powiedziałam, że nic się nie stało, ale czułam się okropnie przygnębiona.

– Dobrze zrobiłaś, że ścięłaś włosy – stwierdził Phil.
– Nie musisz już nawet chodzić w czapce. Teraz raczej nikt cię nie rozpozna.

– Ale ta kobieta rozpoznała – wtrąciła się Julie.

– Tylko ona jedna, no nie? Musiała dowiedzieć się, że masz brata, sprawdziła adres i cieszy się, że cię tu znalazła.

Wiedziałam, co myśli Julie: jeśli jeden karaluch włął ci do domu, to zaraz pojawią się następne.

Teraz to już nieważne. Wszyscy byliśmy świadomi, że nadszedł czas na poważniejsze rozwiązania. Phil właściwie poprosił mnie, żebym wyjechała za granicę – zaproponował, że da mi na to pieniądze – i ja w zasadzie się zgodziłam. Zwlekałam z decyzją, ale trzeba było coś wreszcie postanowić. Moje schronienie nie było już bezpieczne.

A potem, przy pierwszej okazji, kiedy wszyscy wyszliśmy, ktoś włamał się do domu. Było to włamanie bardzo porządne, można nawet powiedzieć: delikatne. Stłukła wprawdzie szybę w drzwiach kuchennych, ale pozbierała szkło i poskładała odłamki na gazetę. Nie grzebała w szufladach ani w szafach, niczego nie powyrzucała na podłogę. Zabrała jedynie to, co było jej potrzebne do skompletowania garderoby Emily Marr, i przy okazji znalazła zapis moich najbardziej osobistych przeżyć i najskrytszych myśli. Pewnie nie spodziewała się takiego szczęścia. Wkrótce będzie mnie znała prawie tak samo dobrze jak ja sama. Z początku byłam chora, kiedy o tym myślałam, ale potem, jak pisałam, okazało się, że to był impuls, którego potrzebowałam.

Następnego wieczora, po bezowocnych rozmowach z policją, spakowałam się do wyjazdu. Bez komputera i ukradzionych ubrań miałam jeszcze mniej rzeczy do zabrania – byłam gotowa w niecałą godzinę. Philowi i Julie powiedziałam, gdzie się wybieram, dopiero rano, przed ich wyjściem do pracy. Wiedziałam, że bardzo mi współczuli, a jednocześnie musieli odczuwać ulgę, że zdecydowałam się wyjechać z własnej woli. Nie mogłam ich za to winić.

Phil obiecał przelać trochę pieniędzy na moje konto.

– Odzywaj się – powiedział. – Nie znikaj tak bardzo, żebyśmy nie mogli cię znaleźć.

– Dobrze – obiecałam.

Kiedy przechodziłam przez odprawę paszportową na dworcu St Pancras, wydało mi się, że urzędniczka zmrużyła oczy na widok mojego nazwiska, a zwłaszcza fotografii, na której widniało moje jasnowłose wcielenie. Nic jednak nie powiedziała – wręczyła mi paszport z powrotem i przepuściła dalej. Obyło się bez pożegnalnego upokorzenia. W Paryżu, trzy godziny później, nikt nie rozpoznał mnie przy odprawie i gdy przeszłam przez halę Gare du Nord, nie zwracając niczyjej uwagi, wiedziałam już, że postąpiłam słusznie.

Jak mówi Phil, w najlepszym wypadku mogę mieć nadzieję, że kiedy wrócę do Anglii – jeśli to w ogóle nastąpi – ludzie zapomną już, że kiedykolwiek o mnie słyszeli.

Chciałam jeszcze dodać ostatnią rzecz – że spróbowałam skontaktować się z Arthurem jeszcze jeden raz. Zrobiłam to po staroświecku, pisząc list, który zaadresowałam do przychodni przy Harley Street. Na kopercie napisałam: „Prywatne” i trochę zmieniłam charakter pisma, licząc na to, że pieczętka z Paryża może go zaintryguje. Ale pewnie dostawał pocztą różne anonimy, tak samo jak ja – i wiele adresowanych do mnie listów miało napis „Prywatne” (zapewne nadal przychodzą na mój dawny adres przy Walnut Grove). Mijają dni i nie przyszła żadna odpowiedź, więc domyślałam się, że sekretarki Arthura, które nie chciały mi o nim powiedzieć niczego przez telefon, przekazują mu tylko najważniejszą korespondencję. „Na pewno pani to zrozumie”, powiedziałyby.

Pewnie już nigdy się nie dowiem, czy ten list do niego dotarł.

Wiem tylko, że musiałam go napisać z wiarą, że zostanie przeczytany – inaczej nie byłoby sensu. Napisałam, że rozumiem, dlaczego nie mógł się ze mną spotkać po śmierci żony i synów. Że najbardziej na świecie żałuję, iż przyczyniłam się do tej tragedii, i że oddałabym własne życie za ich powrót. Że go kocham i zawsze będę kochać. Spytałam, czy pamięta, jak mówiłam, że zakochanie można zgodnie ze swoją wolą zatrzymać albo odwrócić, że to nie kwestia magii. Więc kochanie go jest moim wyborem. Napisałam, że choćbyśmy mieli nigdy już nie mieszkać w tym samym

mieście, nie mówiąc już o sąsiedztwie, to nadal wierzę, że miłość jest ważna, nawet jeśli byłaby to miłość tylko z mojej strony, niechciana i nieodwzajemniona. Przypomniałam mu, co powiedział, kiedy się pierwszy raz spotkaliśmy, i zapewniłam, że nadal w to wierzę: że każdy się liczy.

Nawet Emmie Mason.

Rozdział 27

Tabby

Zastała Arthura i Emily w kuchni, przy kolacji.

– To musi być ona – powiedziała, stając w drzwiach.

– Nie ma innej możliwości. Nie jest Emily. Nie jest tobą.

– Nie jest – zgodziła się Emily. – Ojej, chyba przeżyłaś prawdziwy wstrząs.

Wstała i zaprosiła Tabby do stołu. Po chwili postawiła przed nią talerz z sałatką z kurczakiem, sól, pieprz i sos, a obok szklanek wody. Tabby, choć całkowicie pochłonięta myślami, spostrzegła jej uprzejmą życzliwość. Ta kobieta była jeszcze mniej podobna do gazetowych opisów niż Emmie – kimkolwiek była Emmie.

– Nawet nie jest do ciebie podobna – zwróciła się do niej. – To znaczy trochę, ale nie naprawdę, teraz, kiedy cię spotkałam, widzę to wyraźnie. To powinno być dla mnie oczywiste, że nie jest osobą, za którą się podaje, ale byłam taka głupia, nie miałam żadnych wątpliwości. Dałam się oszukać.

Lecz słowo „oszukać” zabrzmiało niewłaściwie, jakby zdradzała Emmie.

– Nie byłaś głupia. Wydaje mi się, że jesteśmy dosyć podobne, a jeszcze przy odpowiednim makijażu, fryzurze i stroju mogłaś dać się oszukać, zwłaszcza że

miałaś tylko zdjęcia dla porównania. To był wyrazisty styl i ona dobrze go skopiowała – to mnie najbardziej przeraziło, kiedy ją zobaczyłam. A przecież ty nie miałaś w ogóle powodów, żeby coś podejrzewać. Powiedziała, że jest tym, kim jest, i dlaczego miałabyś jej nie wierzyć? Dlaczego ktoś miałby coś takiego zmyślić?

– No właśnie, dlaczego – powiedział Arthur. Był błąd ze zmęczenia.

– Może żeby zwrócić na siebie uwagę? – zastanowiła się Emily.

– Nie, na pewno nie dlatego – odparła Tabby. – Dopóki się nie poznałyśmy, żyła zupełnie samotnie, nie opowiadała nikomu, że jest sławna czy coś takiego. Właściwie to musiałam wyciągnąć z niej prawdę niemal na siłę – to znaczy oczywiście nie prawdę, tylko jej historię. Żadnych korzyści też jej to nie przynosi. Nie sprzedaje swojej – to znaczy twojej – historii gazetom ani nic w tym guście. Pracuje jako sprzątaczką i zarabia marnie, ale ponieważ boi się, że zostanie rozpoznana, nie może pracować w jakimś zwykłym miejscu.

Chociaż siedziała spokojnie przy stole, miała wrażenie, że ziemia usunęła się jej spod stóp. Nie mogła uwierzyć w swoją naiwność, tak samo jak w to oszustwo.

Zauważyła, że Arthur spogląda na zegar wiszący na ścianie. Zrobiło się już wpół do jedenastej; nie był to na pewno wieczór, jakiego oczekiwał. Tabby zapytała się w myślach, czy kiedykolwiek pozna zakończenie ich

historii, jak to się stało, że znowu są razem, kiedy wszystko wydawało się takie beznadziejne.

– Jakiegokolwiek są motywy tej osoby, trzeba się zastanowić, co w tej sytuacji powinniśmy zrobić – powiedział i wypił resztę wina ze swojego kieliszka.

– Im więcej o tym myślę – odezwała się Tabby – tym bardziej jestem przekonana, że ona nie podaje się tak po prostu za Emily. To jest coś gorszego. Jestem właściwie pewna, że ona naprawdę uważa, że *jest* Emily.

– Obawiałam się, że tak może być – pokiwała głową Emily.

– Ale co to znaczy? Skąd to się bierze?

– To znaczy, że musi być poważnie chora – odparł Arthur. – Jednak niezależnie od choroby to jest obsesja i może być niebezpieczna. Myślę, że trzeba zawiadomić policję.

– Ale od pięciu miesięcy nie próbowała mnie znaleźć – potrząsnęła głową Emily. – Dla kogo może być niebezpieczna?

– Przede wszystkim dla siebie samej – powiedziała Tabby. – Postanowiłam tu przyjechać i poszukać Arthura Woodhalla dlatego, że bardzo się o nią martwiłam. Przeżywa jakieś załamanie nerwowe. Teraz jeszcze bardziej się denerwuję. Obawiam się, że źle zrobiłam, zostawiając ją samą.

– Właśnie – zgodził się Arthur. – Ona potrzebuje leczenia, opieki psychiatrycznej. Nie byłbym wcale zdziwiony, gdyby się okazało, że leczyła się już

w Anglii, że to nie pierwszy taki epizod. Dobrze, że przyjechałaś, Tabby – tutaj znajdziesz odpowiedzi na swoje pytania.

Tabby kiwnęła głową.

– Ale zanim będę mogła coś zrobić, muszę się dowiedzieć, kim ona naprawdę jest. Mówi o sobie „Emmie”, ale to chyba nie może być jej prawdziwe imię. Na pewno wzięła je z dziennika Emily.

– Nie widziałaś jej paszportu ani żadnych dokumentów? – spytał Arthur.

– Nie. Od razu bym się wtedy zorientowała, nie byłoby mnie teraz tutaj.

– Całe szczęście, że nie ukradła mojego paszportu – westchnęła Emily. – Mogłoby się zrobić straszne zamieszanie.

– Już i tak jest zamieszanie – powiedział Arthur. – Czy wiesz, gdzie mieszkała w Anglii? – spytał Tabby. – Jeżeli przychodziła pod dom Emily, to pewnie musiała mieszkać w Londynie?

– Tak, mówiła, że jest z Londynu. Kiedy już dowiedziałam się wszystkiego, mówiła bez przerwy o Grove, jak było stamtąd blisko do jej pracy i do szpitala. Ale oczywiście wszystko to przeczytała w komputerze. Nigdy nie wspominała o Newbury ani o żadnym innym miejscu. Czy twój brat widział ją jeszcze po tym, jak wyjechałaś do Paryża?

Emily potrzęsnęła głową.

– Nigdy nic nie powiedział. Ale to by pasowało do

tego, co mówisz, że wyjechała do La Rochelle mniej więcej w tamtym czasie.

– Tak naprawdę mieszka po drugiej stronie mostu – wyznała Tabby. – Na Île de Ré.

– Île de Ré?

Arthur i Emily spojrzeli na siebie z gniewnym niedowierzaniem.

– Wspominałaś o wyspie w swoim dzienniku, pamiętasz? Pewnie dlatego pomyślała, że tam właśnie pojedziesz.

– Ona ma urojenia – stwierdził Arthur. – Mam na myśli takie chorobowe. Już mówiłem – byłbym zdziwiony, gdyby nie była pacjentką jakiegoś angielskiego szpitala.

Nagle pewien obraz nasunął się Tabby przed oczy i wykrzyknęła:

– Czekaście, coś sobie przypomniałam! Tabletki. Miała jakieś tabletki.

– Jakiego rodzaju?

– Nie pamiętam nazwy, ale były przepisane przez jakiś szpital w Londynie. A jej imię zaczyna się na E, to na pewno. Widziałam buteleczkę, ale miała zdartą etykietkę... Chyba że też je ukradła u ciebie?

Spojrzała na Emily, która potrząsnęła głową.

– Nie, to nie były moje. Nie zabrała mi żadnych lekarstw. Zresztą moje tabletki były przepisane przez przychodnię w Hertfordshire, nie szpital w Londynie.

– Te jej były na pewno z Londynu. Nie mogę sobie

tylko przypomnieć, skąd dokładnie. Chyba East London?

Arthur spojrział na nią.

– East London NHS Trust? To specjalistyczna poradnia zdrowia psychicznego. Mogę zadzwonić do nich rano i spróbować się czegoś dowiedzieć, ale sama litera E to trochę mało. Czy znasz jej datę urodzenia?

– Nie – odparła Tabby. – Ale wygląda na starszą od Emily.

– A jakieś inne ślady? – spytała Emily. – Rodzina? Wspominała kiedyś o rodzinie?

– Wszystko, o czym mi opowiadała, pochodziło z twojego dziennika.

Tabby zdała sobie nagle sprawę, że Emmie powtarzała całe zdania z tekstu Emily, zdania, które musiała wyryć sobie w pamięci. Czy cokolwiek, co mówiła, w ogóle należało do niej?

– Opowiadała, że jej rodzice nie żyją i że ma brata i dwóch małych bratanków.

– A może to prawda? Taki zbieg okoliczności, który wywołał jej zainteresowanie? – zasugerował Arthur. – Nie nazwisko, ale jakaś zbieżność, podobieństwo przeżyć. Może to jakiś sposób na radzenie sobie z żalobą?

To była ciekawa myśl, że rozpacz może popchnąć kogoś do wycofania się z własnego życia i do egzystencji w stanie ciągłego zmyślenia – ale przecież zarówno Arthur, jak i Emily i tysiące ludzi w całym kraju stracili niedawno kogoś bliskiego, a jednak nie

przywłaszczali sobie cudzych tożsamości.

– Dobrze, pomyślmy – powiedziała Emily. – Założmy, że nie chodziło o przypadkową zbieżność w sytuacji rodzinnej – to znaczy, że jej rodzice albo inni członkowie rodziny może ciągle żyją i jeśli nie mieli z nią kontaktu przez tyle miesięcy, to powinni strasznie się martwić.

– Nie kontaktowała się z nikim od czasu przyjazdu do Francji – powiedziała Tabby. – Jestem tego pewna.

– Więc może zgłosili jej zaginięcie?

Emily i Tabby spojrzały na siebie jednocześnie.

– No to wiemy już, gdzie trzeba szukać – stwierdził Arthur. – To się wydaje zbyt oczywiste, ale najrozsądniej będzie sprawdzić bazę danych osób zaginionych.

I rzeczywiście to wystarczyło. Było pięćdziesiąt białych kobiet mniej więcej w wieku Emmie zgłoszonych jako zaginione na terenie Londynu, a ona była jedną z nich. Nie nazywała się ani Emily, ani oczywiście Marr, ani także Emmie czy Mason. Nazywała się Eve Barron i urodziła się w tym samym miesiącu co Emily, ale o trzy lata wcześniej. Wszystkie informacje znajdowały się na stronie internetowej:

Eve Barron

Data urodzenia: 2 lipca 1977.

Eve zaginęła w Londynie 18 marca 2012 roku. Istnieje zagrożenie dla jej zdrowia i proszona jest o natychmiastowy kontakt z naszym darmowym telefonem zaufania, gdzie może uzyskać poradę

i pomoc.

Eve ma 165 cm wzrostu i średnią budowę ciała. Kiedy zaginęła, miała rozjaśniane blond włosy długie do ramion, przepasane czarną wstążką.

Na fotografii widniała osoba ubrana w łatwo rozpoznawalnym stylu: jej włosy były tak samo długie i miały taki sam odcień jak dawniej włosy Emily, oczy miała pomalowane identycznie, a błękitny sweterek z krótkimi rękawami na pewno mógłby znaleźć się w szafie Emily. Trudno było poznać, w jakich okolicznościach zrobione zostało zdjęcie, ale w tle widniało okno wiejskiego domku z witrażowymi ozdobami. To nie wyglądało na mieszkanie w Londynie ani na miejsce pracy. Może dom krewnych? Może rodziców? Eve na fotografii uśmiechała się z dumą, która w normalnych warunkach byłaby naturalna u osoby pozującej do zdjęcia, ale Tabby wydała się chorobliwa, chimeryczna i złowróżbna.

Gdy Arthur wyszedł z kuchni, a Emily sprzątała po kolacji, Tabby zadzwoniła na całodobową infolinię.

– Chyba znam miejsce pobytu jednej z osób wymienionych na waszej stronie internetowej – powiedziała. – Wydaje mi się, że cierpi na zaburzenia psychiczne i jej rodzina pewnie jest tego świadoma.

Podawała numer, pod jakim wymieniona była Eve, i kobieta z infolinii zaczęła zadawać jej pytania o miejsce, gdzie widziała zaginioną. Kiedy przeszła do

pytań o strój, Tabby jej przerwała.

– To nie było jednorazowe spotkanie – wyjaśniła. – Mieszkam i pracuję z nią. Nosi wiele różnych ubrań. Mogę powiedzieć, co miała na sobie trzy dni temu, ale pewnie się od tamtej pory przebrała. I raczej nie wychodzi ostatnio z domu.

– Gdzie się teraz obie znajdujecie?

– Ona jest pod adresem, który pani podałam, a ja w Anglii.

– Czy ona wie, gdzie pani jest? Czy wie, że dzwoni pani na naszą infolinię?

– Myśli, że pojechałam odwiedzić rodzinę.

Mówiąc to, Tabby uświadomiła sobie nagle, że postępuje podobnie do Emmie-Eve. Wprawdzie nie zgłoszono jej zaginięcia, ale zerwała kontakt z rodziną i w zasadzie przestała w ogóle myśleć o matce, jakby nie chciała przyznać, że jest czyjąś córką. Przyszło jej do głowy, że powinna zadzwonić do matki i powiedzieć, że wszystko z nią w porządku.

– Teraz naszym zadaniem jest skontaktowanie się z policją i przekazanie im informacji od pani. Zrobimy to od razu rano.

Kobieta wyjaśniła jej następnie, że infolinia działa na zasadzie telefonu zaufania i numer Tabby nie został zidentyfikowany. Jednak ktoś z policji zapewne będzie chciał z nią porozmawiać, jeśli się na to zgodzi.

– Oczywiście – odparła Tabby. – Możecie podać im mój telefon, rodzinie zresztą też. Wracam zaraz do

Francji i jeśli będą chcieli, mogą ich zaprowadzić do domu, gdzie mieszkamy. Trudno go znaleźć, jeśli się nie zna tego miejsca.

Skończywszy rozmowę, usiadła na chwilę, zdumiona własnymi słowami. Powiedziała, że wraca do Francji, ale czy naprawdę miała taki zamiar? Czy nie powinna trzymać się z daleka, jeśli wiedziała już, że Emmie jest chora psychicznie? Jednak czy to w ogóle było dla niej zaskoczeniem? Czy nie zauważała różnych dziwnych zachowań przyjaciółki, tylko przechodziła nad nimi do porządku dziennego, bo chciała odwdzińczyć się za okazane współczucie i pomoc?

– Świetnie – odezwała się Emily. – To wcale nie było łatwe. – Stała, opierając się o szumiącą zmywarkę. – Arthur poszedł się położyć. Jest wykończony – dodała.

– Powinam zostawić was w spokoju – odparła Tabby, odsuwając krzesło od stołu. – Jechać do miasta, żeby złapać jakiś pociąg. Oboje podeszliście do całej sprawy z wielkim zrozumieniem, ale jestem pewna, że ostatnia rzecz, na jaką macie ochotę, to mieć do czynienia z tą dziewczyną.

– Nie wygłupiaj się – powiedziała Emily. – Jak moglibyśmy nie mieć z nią nic do czynienia? Poza tym jest za późno na łapanie pociągów. Powinnaś tu zostać na noc, w pokoju gościnnym, i porządnie się wyspać.

Tabby zdawała sobie sprawę, że ze strony Emily było to bardzo wspaniałomyślne zaproszenie i dowód zaufania. Z jakiegoś powodu, tak jak wcześniej Emmie,

Emily postanowiła jej wierzyć.

– Dziękuję bardzo, jeśli naprawdę mogę. To bardzo miło z waszej strony.

– Napijmy się jeszcze. To był dziwny wieczór dla nas wszystkich. – Emily dołała wina do kieliszków. – Za pomyślną drogę – powiedziała. – Chociaż miałam nadzieję, że doszliśmy już do końca tej historii.

Naprawdę jest niezwykle piękna, pomyślała Tabby, patrząc, jak Emily siedzi przy stole z niewymuszonym wdziękiem, z podbródkiem opartym na dłoni. Cerę miała nieskazitelną i promienną, ciemnoniebieskie oczy lekko skośne, z niezwykle długimi rzęsami, usta pełne, układające się do uśmiechu. Nie potrzebowała wcale makijażu. Tabby wyobraziła sobie, jak zareagowałiby na widok takiej istoty znani jej mężczyźni: Paul byłby zachwycony kimś tak cudownym; Steve z kolei nie ośmieliłby się powiedzieć nic dwuznacznego; nawet Grégoire mógłby stracić tupet.

– Mam do ciebie prośbę – powiedziała Emily.

– Jasne – odparła Tabby – mów śmiało.

– Ten dziennik, który przeczytałaś, i ten dodatkowy rozdział, który pokazałam ci dzisiaj – czy mogłabyś zachować je w tajemnicy? Przypuszczam, że dzisiaj to już nikogo nie interesuje, ale tak na wszelki wypadek...

Tabby spojrzała na nią oczami szeroko otwartymi ze zdziwienia.

– Oczywiście! Nie miałam zamiaru o tym nikomu opowiadać. Najlepiej będzie, jak postaram się

o wszystkim zapomnieć. Ale to może być trudne – to naprawdę niezwykła historia.

Emily pochyliła głowę, nie mogąc zaprzeczyć.

– Wiem, że to nie moja sprawa – dodała Tabby, niemal wbrew własnej woli – ale strasznie chciałabym się dowiedzieć jeszcze tylko jednej rzeczy.

Emily uśmiechnęła się.

– O której będziesz chciała zapomnieć?

– No tak. – Zdawała sobie sprawę, że to nieracjonalne, ale nie mogła się powstrzymać.

– Zresztą i tak domyślam się, o co chodzi – powiedziała Emily. – Jak to się stało, że Arthur i ja znowu jesteśmy razem.

– Pewnie przeczytał twój list? Ten wysłany z Paryża?

– Tak. Przeczytał i przyjechał po mnie. – W oczach Emily zalśniły nagle łzy. – Po prostu któregoś dnia się zjawił. To było... to było jak cud. Po południu chodziłam po miejscowych knajpach, szukając pracy, ale zwyczajnie za słabo mówiłam po francusku, to było bez sensu. Kiedy wróciłam do domu, on siedział na progu, siedział tak i czytał gazetę. Najpierw – przez strasznie długi czas – mówił tylko: „Przepraszam. Przepraszam cię”. Myślałam, że zapomniał wszystkie inne słowa.

Zamilkła na chwilę i Tabby wiedziała, że nie pozna opowieści o tym, co było dalej; musiała sama wyobrazić sobie pojednanie, całą jego gorzką słodycz.

– Następnego dnia wyjeżdżał, a ja pojechałam z nim

– dodała.

– Po tak długim czasie zmienił zdanie? Ty już zrezygnowałaś, prawda?

– Myślałam, że jest już dla nas za późno, że wyrzucił nas z pamięci. Ale teraz wiem, że nie ma czegoś takiego jak zbyt późno. To było tylko osiem miesięcy. Czekałabym na niego osiem lat.

– Ojej.

Tabby poczuła zazdrość tak kłującą, że aż ją zabolowało. Czy zazdrość leżała też u podłoża zachowania Emmie, tego naśladownictwa, a raczej utożsamienia się, zatracenia? Intuicyjne przekonanie, że Emily jest niezwykła, że niezwykły jest jej związek z Arthurem?

– Od dawna mieszkacie tutaj, w Leeds?

– Arthur przeprowadził się tu zaraz po zakończeniu dochodzenia. Wcześniej wszystko przygotował, ale przyspieszył przeprowadzkę, kiedy wybuchła afera w mediach. Ja przyjechałam w maju. Nie jest specjalnie łatwo, jak możesz sobie wyobrazić. Musieliśmy zaczynać od nowa, właściwie bez żadnych znajomych. Wiemy, że nie będziemy już spotykać się z nikim z dawnych czasów.

– Nawet z rodziną? A co z Philem?

– On jest w porządku. Był u nas z chłopcami parę razy. Brat Arthura też nie zerwał z nami kontaktów, chociaż jego żona i ich siostra nie chcą go widzieć. No i nikt z rodziny Sylvie, żadni jej siostrzeńcy.

Przygryzła dolną wargę, najwyraźniej zmartwiona.

– Mamy nadzieję, że kiedy będą starsi, sami zdecydują, czy chcą się spotykać z Arthurem, czy nie. Zobaczymy.

– Myślisz, że długo tu zostanieiecie?

– Nie wiem, to zależy od pracy Arthura. Nie chcemy wracać do Londynu. Jest sporo szpitali okulistycznych w Ameryce, może się tam przeniesiemy.

– Nadal myślisz o pisaniu?

Emily przymknęła na chwilę oczy.

– Nie, napisałam już wszystko, co chciałam. Teraz chodzę na kursy doradztwa terapeutycznego, więc mogę pracować gdziekolwiek, byle po angielsku.

– Gdzieś, gdzie nie byłabyś tak łatwo rozpoznawalna, prawda?

– Tak, chociaż na razie nie jest tak źle. Ludzie w administracji szkoły, gdzie chodzę na kurs, zachowują się wspaniale. Zgodzili się, żebym mogła się zapisać pod innym nazwiskiem, i nikt nie robił mi problemów. I kiedy parę razy zdarzyło się, że ktoś rozpoznał mnie po wyglądzie, też nie było tak źle, jak się spodziewałam. Często ludzie po prostu uświadamiają sobie, że gdzieś mnie widzieli, ale nie pamiętają gdzie. Ktoś pytał, czy brałam udział w jakimś programie telewizyjnym, takim ze śpiewaniem. Szkoda, że to nieprawda...

Tabby z czystej ciekawości miała ochotę zapytać, jakiego nazwiska używa Emily, ale ona była już zmęczona; wstała i powiedziała, że musi się położyć. Zaprowadziła Tabby do pokoju gościnnego i Tabby

znowu doceniła zaufanie, jakim została obdarzona przez osobę, która tak bardzo musiała strzec swojej prywatności. Poczowała się dumna.

Była zbyt podekscytowana, żeby zasnąć, więc spytała Emily, czy może jeszcze trochę posiedzieć w internecie, używając komputera, który został na dole.

– Jasne – odparła Emily. – Tylko zgaś światło, jak będziesz szła na górę.

Po chwili zniknęła w sypialni. Tabby nie mieściło się w głowie, że za tymi drzwiami znajduje się para ludzi, którzy tak niedawno wzbudzili sensację w całym kraju. To, że znowu byli razem, wyglądało jak cud nawet w ich własnych oczach. Arthur Woodhall i Emily Marr, mimo wszystko. Ze słów Emily można było wywnioskować, że teraz mieli właściwie tylko siebie nawzajem. Od samego początku byli przygotowani na poświęcenia, ale na końcu okazały się one znacznie większe i niezwykle bolesne. Nikt nie wyszedł bez szwanku.

Usiadłszy do komputera, Tabby wróciła na stronę organizacji zajmującej się zaginionymi. Przeczytała, że większość dorosłych znikających bez śladu robi to z wyboru, a spory odsetek cierpi na choroby psychiczne, od depresji po ostre psychozy. Bywają wśród nich pacjenci, którzy oddalili się z oddziałów szpitalnych. Jedna informacja szczególnie zwróciła jej uwagę: siedemdziesiąt procent tych, którzy sami zadzwonili do telefonu zaufania, stwierdziło, że zniknięcie miało swoje dobre strony.

Z pewnością Emmie wydawała się zadowolona z obecnego życia: miała towarzystwo Tabby, zajmowała się pracą, mieszkała wygodnie w domku nad morzem, gdzie można było używać i bojlera, i pralki, choć nie w tym samym czasie. Takie życie, bez kontroli, bez leczenia, miało wiele dobrych stron. Zaczęła być nieszczęśliwa dopiero wtedy, gdy Tabby wyciągnęła na światło dzienne jej historię. Nie jej, poprawiła się w myślach. Tak wiele rzeczy dotyczących Emmie trzeba będzie teraz skorygować i zobaczyć na nowo, poczynając od jej imienia.

Poszukała strony East London NHS Trust, tak jak mówił Arthur – poradni zdrowia psychicznego. Przeglądając ją, trafiła przypadkiem na alfabetyczną listę leków używanych w psychiatrii i zaczęła uważnie ją czytać. Kiedy doszła prawie do końca, wydało jej się, że rozpoznała nazwę leku, który widziała u Emmie: Quentapil. Czy to mogło być to? Żadna inna nazwa nie wydawała jej się znajoma. Kliknęła na link i przeczytała:

Substancją czynną leku jest kwetiapina, należąca do atypowych neuroleptyków, czyli leków przeciwpsychotycznych. Oddziałuje na mózg, wpływając na działanie różnych neuroprzekaźników, zwłaszcza dopaminy i serotoniny. Neuroprzekaźniki są to związki chemiczne, które znajdują się w komórkach nerwowych i biorą udział w przekazywaniu impulsów między neuronami.

Dopamina i serotonina należą do substancji związanych między innymi z regulowaniem nastroju i zachowania. Uznaje się, że schizofrenia związana jest z zaburzeniami w działaniu neuroprzekaźników (zwłaszcza dopaminy) w mózgu. Wywoływana jest przez nadmierną aktywność dopaminy, co może skutkować urojeniami i halucynacjami, charakterystycznymi w przebiegu tej choroby.

Kwetiapina blokuje receptory dopaminy w mózgu. Zapobiega w ten sposób nadmiernej aktywności tego neuroprzekaźnika i pozwala opanować chorobę. Kwetiapina jest również stosowana w leczeniu epizodów maniakałnych i epizodów ciężkiej depresji w chorobie afektywnej dwubiegunowej.

Tabby zmarszczyła czoło – ogarnęło ją zdenerwowanie. Schizofrenia? Choroba dwubiegunowa? Miała niewielkie pojęcie, co kryło się pod tymi nazwami, kojarzyły jej się głównie z rozdwojeniem osobowości. Zaczęła czytać znowu, zatrzymała się na słowie „przeciwpсихotyczny” i poszukała prostej definicji: „Psychoza – choroba psychiczna, w której zaburzony jest kontakt chorego z otoczeniem, co objawia się urojeniami, omamami, zaburzeniami świadomości, emocji i nastroju”.

Co może oznaczać poczucie odrzucenia, izolacji, wyjątkowości. A może nawet stanie się zupełnie inną

osobą...

Wyłączyła komputer, zgasiła światło i cichutko poszła na górę.

Pokój gościnny znajdował się na tyłach domu; pościel była chłodna od długiego nieużywania. Przypomniała sobie swój pierwszy wieczór w domu przy rue de Sully, Emmie mówiącą: „Więc jak się nazywasz? Może Śnieżka?”. I na wspomnienie głosu przyjaciółki, jej pogodnej życzliwości, która była tym miłsza, że całkowicie niezasłużona, Tabby ukryła twarz w poduszce i zaczęła płakać.

Gdy zeszła rano na dół, Arthur już pojechał do pracy, a Emily szykowała się do wyjścia. Tabby podziękowała za śniadanie – czuła, że już i tak nadużyła gościnności tych dwojga, że czas ruszać w drogę i rozwiązać kolejną zagadkę, odkryć kolejne tajemnice. Kiedy zbierała swoje rzeczy, zadzwonił jej telefon. To była kobieta z organizacji poszukującej zaginionych, z pytaniem, czy Tabby zgodziłaby się porozmawiać z rodzicami Eve, którzy chcieli umówić się z nią po południu na lotnisku i razem polecieć do Francji.

Zgodziła się od razu.

– Bardzo się ucieszyli, że pani się zgłosiła – powiedziała kobieta. Brzmiało to, jakby Tabby była świadkiem jakiegoś przestępstwa, ale przecież nic złego się nie stało, przynajmniej jej zdaniem.

– Spotkasz się z nimi dzisiaj? – zapytała ją Emily, kiedy się zegnały.

– Tak, po południu, na Stansted. Chcą od razu lecieć do Francji.

– Mam nadzieję, że wszystko z nią będzie dobrze. Z ich córką.

– Ja też – odparła Tabby. Potem zawahała się przez chwilę, ale na myśl, że prawdopodobnie nigdy już nie spotka Emily ponownie, odrzuciła powściągliwość i zapytała: – A jak ty się czujesz, Emily?

Emily wyglądała, jakby poruszyło ją to proste pytanie, jakby dawno nie spotkała się z przejawami troskliwego zainteresowania i nie bardzo wiedziała, jak odpowiedzieć na taki gest. Tabby przypomniała sobie jej słowa o zaczynaniu wszystkiego od nowa, bez znajomych i przyjaciół.

– Dobrze – odparła po chwili. – Lepiej, niż się spodziewałam, niż się obawiałam. Dziękuję.

– A Arthur? Nie jest już... Nie jest taki, jak opisywałaś, kiedy się pierwszy raz spotkaliście. To znaczy, wiadomo, dlaczego, tylko... – Tabby szukała właściwego słowa.

Emily jedną ręką ścisnęła mocno palce drugiej, jakby nagle zrobiło jej się zimno.

– Szczerze mówiąc, jest w bardzo złym stanie, gorszym, niż ty albo ja możemy sobie wyobrazić. Myślę, że nie można podnieść się całkiem po takiej stracie. Ale trzeba dokonać wyboru: albo człowiek się poddaje, albo stara się żyć dalej. On ma wystarczająco dużo powodów, żeby żyć dalej. Mam nadzieję, że

z każdym rokiem będzie ich więcej.

– Tak.

Tabby zarzuciła torbę na ramię. Miała dzisiaj jeszcze mniej bagażu – zostawiała komputer prawowitej właścicielce. Z obawą pomyślała o tym, jak wyjaśni Emmie, co się z nim stało; miała nadzieję, że zajmie się tym ktoś inny, lepiej wykwalifikowany.

– Do widzenia – powiedziała.

– Do widzenia – odparła Emily. – Nie obraż się, ale nie odprowadzę cię do drzwi. Taki nawyk – nigdy nie wiadomo, kto może czaić się za progiem.

Rozdział 28

Tabby

Umówiła się z Rayem i Kerry Barronami na lotnisku przy stanowisku Air France. Rozpoznała ich, zanim jeszcze zauważyła czerwoną walizkę, która była umówionym znakiem – widać było wyraźnie, że są pełni niepokoju. Była w nich mieszanina nadziei i zrezygnowania, pod której wpływem Tabby, sama zdenerwowana, poczuła się dziwnie bezradna.

Zaledwie się przywitali, Ray kupił jej bilet na lot do La Rochelle, na który on i Kerry już zarezerwowali miejsca, i zaproponował, żeby porozmawiali, kiedy już oddadzą bagaże i będą mogli usiąść spokojnie.

W kolejce do odprawy Tabby spoglądała na nich ukradkiem, zafascynowana tym, jak Emmie była fizycznie podobna do ojca – ten sam kolor oczu, identyczny nos – i jak Kerry była pierwowzorem tego spokojnego, skromnego zachowania, które było tak charakterystyczne dla Emmie. Kiedy spoglądali na siebie nawzajem, w oczach mieli ostrożny niepokój, niepewność, które Tabby, chcąc nie chcąc, odnosiła do siebie. Przeżyli koszmarne chwile, a teraz zjawiała się nagle wybawczyni, której nie znali, i jeszcze nie potrafili jej zaufać. Widać było, że nie wiedzą, czy ich cierpienia zaraz się skończą, czy może wręcz

przeciwnie, jeszcze się spotęgują? Ciężar spoczywającej na niej odpowiedzialności przyprawiał Tabby niemal o zawroty głowy, jak przy mdłościach.

Dopiero kiedy przeszli już przez wszystkie bramki i znaleźli wolny stolik w kafejce, po raz pierwszy padło imię Eve.

– Zabraliśmy kilka zdjęć, żeby ci pokazać – powiedziała Kerry. – Tak dla pewności.

Z bliska, w jasnym świetle, uczucia malujące się na jej twarzy wydawały się aż nazbyt odsłonięte: bezradność, bezbronność, na wpół szalona nadzieja wbrew wszystkiemu. Tabby szybko odwróciła wzrok, ciesząc się, że może skupić się na fotografiach.

Widniały na nich dwa różne wcielenia Eve, najpierw nowsze, inspirowane Emily (było to kilka zdjęć zrobionych przy tej samej okazji co fotografia zamieszczona na stronie internetowej), a potem dawniejsze: tu jej długie włosy były ciemne, brwi – grube i niewyregulowane, usta – jakby spękane, bez uśmiechu. I na tych drugich zdjęciach Eve była bardziej podobna do załamanej, poturbowanej psychicznie Emmie, którą Tabby zostawiła we Francji.

– Więc zdawaliście sobie sprawę, że zmieniała wygląd, żeby upodobnić się do Emily Marr? – spytała Tabby. Tego ranka długo rozmawiała z Kerry przez telefon, jadąc pociągiem z Leeds, i opowiadała jej o spotkaniu Emily z Eve w Newbury, o kradzieży laptopa i innych rzeczy, o podejrzeniach Emily, że Eve

znajdowała się w grupie wielbicieli wystających pod jej domem. – Musiała to zrobić niedługo przed zniknięciem, bo przecież zdjęcia Emily zaczęły pokazywać się w mediach od połowy lutego.

– Tak, to była diametralna zmiana w stosunku do poprzedniego razu, gdy ją widzieliśmy – odparł Ray. – Urządziliśmy przyjęcie urodzinowe dla jej babci u nas w domu – to wtedy właśnie zostały zrobione te zdjęcia – i kiedy przyszła Eve, wszyscy zwrócili uwagę na jej nowy wygląd. Już samo przefarbowanie włosów było dość radykalne, bo zawsze miała ciemne włosy. Oczywiście wszyscy czytaliśmy w gazetach o skandalu i o Emily Marr i parę osób zauważyło, że to na niej musiała wzorować się Eve. Akurat tego samego dnia opublikowano o niej artykuł w „Mail”, pisali, że zniknęła z Londynu i gdzieś się ukrywa.

– Jednak mało brakowało – dodała Kerry – żeby wcale nie przyszła na przyjęcie. Mówiła, że z powodu pracy nie może wyjechać z Londynu. Nie widzieliśmy jej wtedy już od kilku tygodni, co dawniej raczej się nie zdarzało. Martwiliśmy się, że za bardzo przejmuje się pracą, ale kiedy zaginęła, dowiedzieliśmy się, że ponad miesiąc wcześniej przestała w ogóle pracować.

Zajmowała się obserwowaniem mieszkania Emily, pomyślała Tabby, a potem domu Phila w Newbury. Oddała Kerry zdjęcia i powiedziała:

– To z całą pewnością ona, ale teraz wygląda jeszcze inaczej. Ma krótkie włosy, szczerze mówiąc takie, jakby

obciąła je sobie sama. Nie maluje się. Nie dba o wygląd.

– Czy jest zdrowa? – zapytała Kerry. – Fizycznie?

– Była. Ale tuż przed moim wyjazdem do Anglii, kiedy straciła pracę, była w nie najlepszej formie. Niewiele jadła i przestała o siebie dbać. Dlatego chciałam coś zrobić, żeby jej pomóc.

Te słowa, z których można było wywnioskować, że to utrata pracy doprowadziła Emmie do desperacji, wywołały u Tabby palące poczucie winy. Do niedawna z Emmie, a raczej z Eve, jak teraz powinna o niej myśleć, było wszystko w porządku. Jadła i dbała o siebie. To ona, Tabby, była odpowiedzialna za pogorszenie stanu przyjaciółki, bo po pierwsze, wyciągnęła z niej wyznanie „prawdy”, a po drugie, spowodowała, że Moira wyrzuciła Eve z pracy, która dawała jej oparcie.

– Chyba powinniśmy powiedzieć ci więcej o chorobie Eve – stwierdził Ray, jakby wyczuł jej przygnębienie i chciał wyjaśnić wszystkie niedomówienia. – Musisz wiedzieć, że to są problemy, z którymi Eve boryka się prawie przez całe życie, zaczęły się wiele lat temu.

Tabby skinęła głową. Była wdzięczna, że przejął ciężar prowadzenia tej rozmowy i podejmowania kolejnych kroków, że nikt już nie będzie patrzył na nią z pełnym nadziei oczekiwaniem.

Słuchając historii choroby Eve, pomyślała, że Eve miała dokładnie takie dzieciństwo, jakiego zabrakło

Emily Marr: zdrowi, zamożni rodzice, kochająca rodzina, spokojne i bezpieczne życie na wsi. Miała dwóch młodszych braci, miłych i troskliwych, co jeszcze bardziej zdumiało Tabby, która nie mogła pojąć, jak można w takich warunkach porzucić najbliższych. Jak można utożsamić się całkowicie z jakąś zupełnie obcą osobą, podczas gdy kochający rodzice i rodzeństwo zamartwiają się i każdego dnia czekają na jakiś znak życia – to nie mieściło jej się w głowie. Co za bluźnierstwo – rozpaczać po śmierci cudzego ojca, podczas gdy własny ojciec żyje i poświęca dla dobra córki, co tylko może (Ray i Kerry, jak się dowiedziała, musieli częściowo zrezygnować z pracy, żeby opiekować się Eve, a potem nadzorować poszukiwania).

Ale państwo Barronowie wcale tak nie myśleli. Oboje sporo wiedzieli o chorobach psychicznych i starali się przekonać Tabby, że Eve nie odpowiada za swoje czyny. Powiedzieli jej o depresji w rodzinie, o tym, że starszy brat Raya w wieku dwudziestu kilku lat popełnił samobójstwo.

– Eve zaczęła chorować jako nastolatka, jej choroba rozwijała się z czasem – tłumaczył Ray. – Była u wielu lekarzy i w końcu zdiagnozowano u niej zaburzenia urojeniowe. Na tamtym etapie były to urojenia, jak to nazywają, prześladowcze – myślała, że wszyscy są przeciwko niej. Potem zaczęły zdarzać się inne niepokojące zachowania. Ostatni raz z kolegą z pracy; psychiatrzy nazywają to urojeniami erotycznymi. Im

bardziej stanowczo on odrzucał jej zainteresowanie, tym bardziej ona uważała, że ją kocha, i wierzyła w różne inne rzeczy, coraz dalsze od prawdy. W końcu spotkała się z jego żoną, która przestraszyła się na tyle, że zawiadomiła policję. Eve musiała oczywiście odejść z pracy.

– Z jakiej pracy? – spytała Tabby.

– Była nauczycielką.

– Nauczycielką?

Nie mogła sobie wyobrazić Emmie stojącej przed klasą, pewnej siebie i ożywionej, dzielącej się wiedzą, a nie pilnującej każdego słowa.

– Oczywiście nie mogła pracować na pełen etat. Raczej zatrudniała się nieregularnie, na krótkie okresy. Przed tą ostatnią posadą przez dwa lata była bez pracy. Mieszkała u nas, a czasem wyprowadzała się i radziła sobie sama. Trudno to było przewidzieć – westchnął Ray.

Potem opowiedział jej, że wcześniej tego dnia rozmawiali z psychiatrą, który miał pod opieką Eve.

– Mówi, że być może rozwinęły się u niej urojenia wielkościowe, jak wtedy, gdy chory wyobraża sobie, że jest kimś ważnym i posiada jakieś szczególne zdolności albo umiejętności. Czasem, dość rzadko, zdarza się też, że ludzie sądzą, iż są konkretnymi znanymi osobami – na przykład kimś z rodziny królewskiej albo jakimś sławnym przywódcą religijnym.

Albo obiektem przemijającego zainteresowania

mediów, kimś podobnym fizycznie – i to podobieństwo może zostać zinterpretowane jako coś znacznie więcej niż tylko zbieg okoliczności. Z relacji Emily i z tego, co Tabby znalazła w internecie, wynikało, że cała Anglia przez tydzień czy dwa fascynowała się Emily Marr, a to musiało wywołać u Eve fanatyczną obsesję, która wkrótce przerodziła się w coś jeszcze dziwniejszego.

– Lekarz mówi, że mogło się zdarzyć, iż Eve tak bardzo zainteresowała się tą kobietą, tak bardzo jej współczuła, że to uczucie przekroczyło granice normy i zrodziło w niej przekonanie o jakimś pokrewieństwie między nimi dwiema, przekonanie, które przerodziło się w identyfikację. Zaczęła zachowywać się tak, jak robiłaby to Emily, albo jak jej się wydawało, że powinna zachowywać się Emily – a w danej sytuacji to oznaczało ukrywanie się.

– Ale nigdy się z niczym nie zdradziła – powiedziała Tabby. – Nie dała mi żadnych powodów do wątpliwości.

– Właśnie o to chodzi, Tabby, tu nie ma miejsca na „zdradzanie się”, to nie jest udawanie. Eve po prostu nie była już świadoma swojej prawdziwej tożsamości.

Tabby przypomniała sobie opis leku przepisanego Eve, który znalazła w internecie.

– Więc to coś takiego jak rozdwojenie jaźni? Schizofrenia?

– Nie, coś innego. Ona nie ma dostępu do swojej prawdziwej osobowości, ma tylko tę urojoną. Dlatego w jej zachowaniu nie było niespójności czy

sprzeczności. Z tego, co mówiłaś, wynika, że zachowanie Eve jest zupełnie zgodne z jej przekonaniem: ucieka, bo czuje, że musi się ukrywać.

Tabby starała się zrozumieć, ale nigdy nie miała wcześniej do czynienia z problemami tego rodzaju. Emmie jako Emily była bardzo przekonująca, ale ona jakoś nie potrafiła sobie wybaczyć łatwości.

– Czuję się jak idiotka, że nic nie zauważyłam. Naprawdę myślałam, że przeżywa zawód miłosny albo coś w tym stylu.

– Bo w pewien sposób przeżywała – wyjaśnił Ray. – Tylko że złamane serce nie należało do niej, tylko do kogoś innego. Tak jak mówiłem, nie było w jej zachowaniu żadnej sprzeczności, która mogłaby ci dać do myślenia – a zresztą nawet gdyby jakieś były, jak miałabyś je rozpoznać? Nie znałaś wcześniej ani jej, ani Emily. Nie miałaś szans.

To była medycznie uzasadniona wersja wydarzeń, którą poprzedniego wieczora zaproponowała Emily. Tabby poczuła ulgę, że nikt nie oskarża jej o spowodowanie pogorszenia się stanu Eve.

– Ale jeszcze nie do końca to rozumiem. OK, zerwała kontakty z rodziną i ukryła się, myśląc, że jest Emily, ale mieszkałam z nią kilka miesięcy i mogę zaświadczyć, że zachowuje się jak każdy normalny człowiek: gotuje obiady, pracuje, radzi sobie z pieniędzmi. Chodziła ze mną na spacer, raz nawet wyszliśmy wieczorem na drinka.

No tak, i wtedy wydawało jej się, że ludzie ją rozpoznają – że rozpoznają ją jako Emily, pomyślała.

Ray i Kerry pokiwali głowami. Widać było, że sami już wcześniej o tym myśleli.

– Psychiatra twierdzi, że Eve może funkcjonować normalnie i być przy tym bardzo przekonująca – powiedział Ray. – Osobie z zewnątrz może się wydawać, że świetnie daje sobie radę.

– Naprawdę? Ale przez taki długi czas? To chyba niemożliwe!

– Urojenia mogą trwać tygodniami, miesiącami, latami.

– Jeżeli te urojenia są tak zaawansowane, musimy się cieszyć, że nie śledziła dalej Emily Marr, po tym jak ukradła jej komputer i inne rzeczy – dodała Kerry. – Ani Arthura Woodhalla, którego jak się okazuje, całkiem łatwo znaleźć. To dobra wiadomość, że pojechała do Francji, wycofała się z ich terytorium.

Tabby przysłała do głowy kolejna myśl.

– Ale ona świetnie mówi po francusku – powiedziała. – Prawdziwa Emily prawie wcale nie zna francuskiego. Więc Eve nie jest całkiem taka jak ona. Ktoś, kto wiedziałby więcej o prawdziwej Emily, od razu by się zorientował.

– Na pewno – przytaknął Ray. – Ale niestety, nie było wokół niej takich osób ani nikogo, kto znałby ją jako Eve. Jeżeli chodzi o francuski, nie mogła utracić posiadanych umiejętności, co najwyżej nie zdawała

sobie sprawy, skąd się wzięły. Eve studiowała romanistykę, uczyła francuskiego w szkole. Mogła mówić dobrze po francusku pomimo swoich urojeń. I postanowiła pojechać właśnie do Francji, prawda? To chyba nie był przypadek.

Tabby akurat to potrafiła wyjaśnić.

– Wiedziała o wyspie, bo Emily pisała o niej w swoim dzienniku. Kiedyś Arthur chciał ją tam zabrać na wakacje.

Ray wydawał się zadowolony z tej informacji.

– Aha, więc to było logiczne, że tam pojechała. To dobrze – jak mówiła Kerry, trzeba się cieszyć, bo wygląda na to, że była tam bezpieczna. Nikomu się nie narzucała.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, popijając herbatę. Ich pełna emocji rozmowa bardzo różniła się nastrojem od zachowania innych podróżnych w kafejce. Tabby pomyślała, że dziennik Emily odegrał kluczową rolę w chorobie Eve. Może przeczytanie go spowodowało, że z obsesyjnego zainteresowania rozwinęły się urojenia.

– To straszne – szepnęła. – Jeśli jest tak, jak przypuszczacie, to ona musi być jakby uwięziona, w pułapce, bez dostępu do samej siebie.

Ray pokiwał głową.

– Są na to odpowiednie lekarstwa. Ale trzeba je podać jak najszybciej. Z tego, co mówiłaś o jej pogarszającym się stanie – o bezradności i niedbaniu

o siebie – psychiatra wywnioskował, że może przechodzić epizod ciężkiej depresji. Miewała takie już wcześniej. Pilnie potrzebuje leków i psychoterapii.

A ja brałam ją na spacerzy nad morze i dawałam wino, żeby lepiej spała, pomyślała Tabby. Czy w ogóle było coś, czego nie udało mi się schrzanić?

– Próbowałam namówić ją na wizytę u lekarza, ale nie chciała za żadne skarby. Twierdziła, że wszystko z nią w porządku.

– To jedna z najtrudniejszych stron tej choroby dla lekarzy i dla rodziny – często chory nie dopuszcza myśli, że coś z nim jest nie tak. Czuje się zupełnie normalnie i potrafi bronić się z całych sił, jeśli bliscy próbują go przekonać, że jest inaczej. To jasne, że gdyby taka osoba wiedziała, iż jest chora, to nie uciekałaby za granicę i nie żyłaby jak pustelnica, prawda? Szukałaby pomocy.

– To musiało być dla was straszne – powiedziała Tabby. – Wiedzieć, że ona gdzieś tam jest, naprawdę chora, ale nie wie o tym albo nie chce wiedzieć. Jaka szkoda, że nie zdawałam sobie z tego sprawy i nie mogłam was zawiadomić wcześniej.

– To był koszmar – przyznała Kerry. – Nie ma nic gorszego niż zaginięcie dziecka.

Chyba że umrze, pomyślała Tabby. Potem jednak zastanowiła się, czy na pewno. Arthur miał przynajmniej groby swoich synów, które mógł odwiedzać, i z czasem, być może, kiedy minie żałoba, to mogło stać się dla

niego jakąś pociechą. Czy przeżycia rodziców zaginionych dzieci są łatwiejsze? Nie wiedzieć, co się stało – czy to trudniejsze niż dowiedzieć się najgorszego?

– Ale to się wydaje takie samolubne, że nie dała wam znaku życia. Albo mogła poprosić o to mnie, żebyście się nie martwili.

– To tak nie działa – cierpliwie wyjaśnił Ray. – Ona nie jest samolubna. Jeżeli wierzy, że naprawdę jest tamtą kobietą, to my dla niej w ogóle nie istniejemy.

– Mogłaby się zastanowić, widząc wpis „rodzice” w kontaktach w swoim telefonie – powiedziała Tabby, lecz zaraz przypomniała sobie, że przecież Emmie miała nowy telefon, w którym zapisała tylko numery potrzebne w Saint-Martin. Powiedziała o tym głośno. – A jeśli sprawdzała maila czy konto na Facebooku, czy coś takiego, to nie widziała wiadomości od was?

– Wcale nie sprawdzała, bo dlaczego miałyby to robić? Nie interesowało jej nic związanego z Eve Barron. Nie dotarłyby do niej wiadomości od nas ani od nikogo innego, kto starałby się dotrzeć do niej pod tym nazwiskiem. Może otworzyła nowe konto jako Emily Marr? Czy mówiła coś o korzystaniu z poczty elektronicznej?

– Tak – chociaż nie dosłownie. Mówiła tylko, że nie dostała żadnej wiadomości od Arthura.

Ray i Kerry spojrzeli sobie nawzajem w oczy, jakby milcząco stwierdzając powagę stojącego przed nimi

zadania. Potem Kerry odwróciła się i popatrzyła na tablicę odlotów.

– Jest nasz samolot – powiedziała. – Może pójdziemy już do wyjścia?

Kiedy szli przez halę lotniska, Kerry puściła Raya przodem i zrównała się z idącą pół kroku za nimi Tabby.

– Dziękujemy ci, Tabby, za to, co zrobiłaś. Bez ciebie jej zaginięcie mogłoby trwać znacznie dłużej, może nigdy byśmy jej nie znaleźli.

Na dźwięk słowa „zaginięcie” coś dziwnie ścisnęło Tabby w sercu, jakby Emmie była bezbronnym dzieckiem, porwanym albo zagubionym. Pomyślała znowu o własnej matce i zrozumiała, że musi opowiedzieć jej swoją historię. Minęły lata, owszem, ale przeszłość z tego powodu nie uległa zmianie. Paul odszedł na dobre. Poza matką nie miała nikogo bliskiego.

To, jak matka zareaguje, nie było już zależne od niej.

Kiedy wylądowali, była prawie siódma wieczorem. Na wyspę jechali taksówką, a deszcz rozpryskiwał się na szybach samochodu, gdy pokonywali most. Nawet biorąc pod uwagę złą pogodę, widać było w Rivedoux i La Flotte, że w ciągu minionego tygodnia Île de Ré opustoszała. Francuskie wakacje dobiegły końca.

– To jest La Flotte – powiedziała Tabby, myśląc bez sympatii o Moirze, która całkiem straciła znaczenie i zamieniła się w jej świadomości w figurkę starej

wiedźmy z bajek dla dzieci. – Jedziemy do następnej miejscowości. To tylko parę minut.

Ray i Kerry wyglądali przez okna na deszczowy krajobraz, jak gdyby mieli tam znaleźć jakieś ważne wskazówki.

– Może powinniśmy ją ostrzec? – powiedziała Kerry na poły do siebie. Już dwa razy zastanawiali się wspólnie, czy Tabby powinna zadzwonić do Eve albo wysłać jej wiadomość, że wraca, ale w końcu zdecydowali, że trudno byłoby przewidzieć skutek, więc zrobią lepiej, jeśli przyjadą bez uprzedzenia.

– Nie chcemy jej wystraszyć – powiedział Ray, jak podczas wcześniejszych dyskusji. Tabby zorientowała się już, że ich rozmowy o córce pełne były bolesnych wątpliwości i zgadywania, co poradziliby lekarze. To prawdziwy cud, myślała, że to małżeństwo wytrzymało stresy i życie w ciągłym napięciu.

– Czy ona was rozpozna? – spytała Raya.

– Nie wiem. Nawet jeżeli tak, to wcale nie musi pomóc w przewiezieniu jej do domu. Zdarzało się już w przeszłości, że uważała nas za swoich wrogów. Tym razem może być podobnie.

– I jak wtedy ją stąd zabierzecie?

– Nie możemy jej zmusić. Musielibyśmy ją ubezwłasnowolnić, a nie wiem, jak to zrobić za granicą, gdybyśmy w ogóle chcieli. Lekarz poradził nam, żebyśmy starali się podejść do sprawy bardzo spokojnie, próbując ją powoli przekonać, żebyśmy nie namawiali

zbyt usilnie ani nie przymuszali.

– Miejmy nadzieję, że będzie chciała pojechać. Tutaj już nic jej nie trzyma – westchnęła Tabby. Jednak kiedy zbliżali się do Saint-Martin, opanował ją irracjonalny lęk, zupełnie odmienny od poczucia winy, jakie dręczyło ją od dwóch dni. Być może to przez roztrząsanie stanu psychicznego Eve nagle pomyślała: a co jeśli sobie to wszystko wyobraziłam? Jeżeli nigdy nie spotkałam Emmie, a teraz prowadzę tych ludzi donikąd? Jeżeli zajedziemy do Saint-Martin i nie będzie żadnej uliczki odchodzącej od rue de Sully, żadnego domu? Jeżeli to ja mam urojenia?

Wydało się jej, że granica między wiarą w rzeczywistość i we własną wizję świata a utratą tej wiary jest niepokojąco łatwa do przekroczenia.

Wysiedli z taksówki w centrum miejscowości, niedaleko kościoła, i musieli przejść kawałek po mokrym bruku. Ray wziął Kerry pod ramię, żeby się nie poślizgnęła. Z nieba kapało, gdy mijali rozrośnięty krzew, posadzony przy wylocie alejki. Alejka była tam, gdzie powinna. Drzwi do domu także. Wszystko się zgadzało. Tabby wzięła głęboki oddech i wystukała kod na klawiaturze. Zamek się otworzył.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała dziarsko, chociaż wcale nie czuła się szczególnie odważnie. Weszła pierwsza do przedpokoju, a potem do salonu, wołając: Emmie! Zawołała kilka razy, ale nie było żadnej odpowiedzi. W domu panowała zupełna cisza,

poza dobiegającym z kuchni szumem lodówki.

Otworzyła okna i okiennice, żeby wpuścić do środka trochę świeżego powietrza. Deszcz padał gęsto na zewnątrz.

– Więc tutaj mieszkała przez cały czas – powiedziała Kerry. – Dobrze, że w takim miłym miejscu.

Tabby widziała, że jest rozczarowana nieobecnością Emmie, ale ona sama, po tym, czego dowiedziała się przez ostatnie dni, czuła ulgę, przekonawszy się, że dom wygląda mniej więcej tak, jak go zostawiła, wyjeżdżając. Teczka z wycinkami z gazet była na miejscu, w szufladzie w kuchni, gdzie sama ja włożyła; nie było też żadnych oznak gorączkowego poszukiwania komputera, który zabrała do Anglii.

W lodówce zapasy leżały nietknięte.

– Sprawdźmy na górze – zaproponowała. – Może śpi.

Barronowie nie zdziwili się, że przecież jest zbyt wcześnie na spanie; najwyraźniej wiedzieli, czego można się spodziewać po kimś znajdującym się w stanie ciężkiej depresji.

Na górze w powietrzu wisiał nieprzyjemny zapach. Tabby weszła do łazienki, żeby spuścić wodę i otworzyć okienko w dachu. Zobaczyła tam kosmetyki Emmie rozsypane na podłodze, w takim bałaganie, że nie była w stanie ocenić, czy coś zginęło.

– Tu jest jej sypialnia. – Otworzyła drzwi, niepewna, co zastanie w środku. Ale wewnątrz nie wyglądało

najgorzej: panował tam większy nieład niż normalnie, owszem – ubrania leżały na podłodze, pościel była skotłowana, ale nic gorszego. Podczas gdy rodzice Eve rozglądali się dookoła, Tabby zauważyła parę rzeczy, które naprawdę ją zaniepokoiły: zza ramy lustra zniknęła pocztówka od Arthura, butelka perfum nie stała już na toaletce. W szafie nie było różowo-zielonej sukienki i torby podróżnej, z którą widziała Emmie pierwszego dnia.

Była już pewna – Emmie musiała wyjechać.

– Sprawdzę w moim pokoju – powiedziała. – Może tam są jakieś ślady.

Ale w jej pokoju nic się nie zmieniło: plecak stał koło łóżka, ubrania zostały w szufladach, schowane pieniądze na swoim miejscu. Emmie tu w ogóle nie wchodziła.

– Może gdzie wyszła? – zapytała sama siebie, dołączywszy do Raya i Kerry. Nie miała na razie serca, by powiedzieć im o swoich podejrzeniach. – Na spacer albo coś zjeść. Może poczuła się lepiej?

– Rozejrzemy się po okolicy? – zwrócił się Ray do Kerry. – Sprawdzimy bary i restauracje?

– Myślę, że jedno z nas powinno zostać na miejscu – odparła.

– Ja zostanę – powiedziała Tabby. – To będzie dla niej mniejszy szok, gdyby wróciła. Ale jeżeli ją spotkacie i będziecie potrzebować pomocy, to zadzwońcie.

Dała im plan miejscowości i skierowała ich w okolice portu, ale w głębi duszy była przekonana, że nie znajdą Eve. Kiedy ich nie było, spakowała wszystkie swoje rzeczy do plecaka i zaczęła przygotowywać kolację z tego, co znalazła w lodówce. Dopiero kiedy już wszystko zrobiła, wzięła komórkę i napisała do swojej matki wiadomość, na jaką od dawna nie mogła się zdobyć.

Będę w Anglii niedługo. Możemy się spotkać? Chcę z tobą porozmawiać w 4 oczy.

Nacisnęła: „Wyślij”.

Nie było odpowiedzi od razu.

Ray i Kerry wrócili mniej więcej po godzinie, zmartwieni i skonsternowani. Przy kolacji Tabby powiedziała im o rzeczach, których brakowało w pokoju Emmie. Doszli do wniosku, że musiała je spakować i wyjechać. Próbowali ustalić jakieś daty: Tabby opuściła Saint-Martin w poniedziałek rano, a teraz był czwartek wieczór, więc Eve mogła wyjechać w którymkolwiek momencie w ciągu tych dni. Mimo to Kerry odwracała głowę na każdy dźwięk dobiegający z uliczki, mając nadzieję, że to jej córka wraca do domu, że wyszła tylko coś załatwić.

– To mi się nie podoba – powiedziała w końcu do Raya. – Dlaczego miałyby wyjechać? Coś się stało.

– No tak – odparł. – Skoro już raz zniknęła, mogła zrobić to samo znowu.

– Ale dlaczego teraz, kiedy jej przyjaciółka miała

wrócić?

– Nie wiem. Musiała o tym zapomnieć.

– Może podejrzewała, że przywiozę kogoś ze sobą?
– powiedziała Tabby i zarumieniła się na wspomnienie swojego naiwnego planu, że przyjedzie z powrotem wraz z Arthurem Woodhallem albo przynajmniej z dobrymi wiadomościami od niego.

Kerry nic nie mówiła. Starannie sprzątała ze stołu, zmywała naczynia i odkładała wszystko na miejsce, jakby chciała zrobić porządek na powrót córki.

– Myślisz, że jest za późno, żeby poszukać jakiegoś hotelu? – spytał Ray.

Ale Kerry chciała zostać, na wypadek gdyby Eve jednak wróciła w nocy.

– Nie możemy spać w jej pokoju. Co by było, gdyby wróciła? Przeraziłaby się śmiertelnie.

– Śpijcie w moim pokoju – zaproponowała Tabby. – Ja położę się tu na dole, na kanapie, a jak Eve wróci, jej pokój będzie pusty, tak jak go zostawiła. Może się zdziwić na mój widok, ale poradzę sobie.

I znowu, z uczuciem podobnym do nostalgii, przypomniała jej się ta chwila, kiedy Emmie znalazła ją śpiącą w mniejszej sypialni i potrząsając nią, spytała: „Kim jesteś? Co robisz w moim domu?”.

Barronowie, skrajnie zmęczeni, przystali na jej propozycję z ulgą. Ray powiedział:

– Rano, jeśli nie wróci, pójdziemy na policję.

Tabby popatrzyła na nich oboje i zrozumiała, że

nawet Kerry nie wierzy w pomyślniejszy obrót sprawy.

Rozdział 29

Tabby

Większą część nocy nie spała, nasłuchując skrzypienia drzwi wejściowych, oczekując podmuchu świeżego powietrza, który nie nadchodził – aż w końcu zapadła w płytki sen. Obudziły ją szepty ludzi w pokoju i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że byli to jej nowi towarzysze, państwo Barronowie, oboje całkiem ubrani i gotowi do wyjścia. Rozmawiali, pochylając się nad gazetą. Zdała sobie sprawę, że spała na dole, na kanapie – każdą z kolejnych ostatnich nocy spędziła w innym łóżku.

– Dzień dobry, dobrze spaliście? – spytała, siadając w pościeli. – Nie musicie czytać po ciemku, zapalcie światło.

Kerry spojrzała na nią znad gazety, z twarzą ściągniętą nowym zmartwieniem.

– Co się stało?

– Chodź zobacz, Tabby. To coś nowego.

Okazało się, że Ray wstał wcześniej, żeby przejść się po mieście i rozejrzeć za córką, a wracając, kupił w kiosku przy nabrzeżu angielską gazetę, „Press”, żeby mieć co czytać, zanim one obie się obudzą. W środku znalazł niepokojące nowiny na temat „Emily Marr”.

– Pamiętaj, że to nie jest dzisiejsze wydanie –

powiedział, podając Tabby gazetę. – Sprzedają je z opóźnieniem, ta jest z wczoraj, z czwartku.

Tabby spojrzała na zdjęcie z przerażeniem – nie tylko dlatego, że przedstawiało front domu, w którym się właśnie znajdowali, ale dlatego, że w półotwartych drzwiach widać było Emmie, stojącą w korytarzu. Podpisane było: „Emily Marr w swoim domu w zachodniej Francji, gdzie ukrywa się od kwietnia”.

– Co to ma być? – podniosła oczy na Raya i Kerry, ale oni pokazali tylko, żeby przeczytała artykuł poniżej.

Zatytułowany był *Emily Marr znaleziona we francuskiej kryjówce* i zaczął się tak:

Jedna z najbardziej intrygujących tajemnic ostatnich tygodni została w tym tygodniu rozwiązana, gdy otrzymaliśmy informację o miejscu pobytu Emily Marr. Tym, którzy mają krótszą pamięć, przypomnijmy, że Emily Marr to bohaterka skandalu, który wybuchł zaraz po tym, jak „Press” ujawniło niesmaczne i niemoralne okoliczności związane ze śmiercią żony i dwóch synów znanego chirurga Arthura Woodhalla. Niespodziewane zniknięcie Emily Marr niedługo później dało pożywkę najróżniejszym teoriom i hipotezom, jakich nie słyszeliśmy od czasów ucieczki lorda Lucana – ale w przeciwieństwie do arystokraty mordercy panna Marr została właśnie odnaleziona, choć oficjalnie jeszcze jej nie zidentyfikowano.

Ostatnie plotki dotyczące Emily wspominały o północnej Anglii, dokąd podobno przeprowadził się doktor Woodhall z nową, młodszą od siebie partnerką, ta wiadomość nadeszła jednak z zachodniego wybrzeża Francji. Poleciałem więc na modną wyspę Île de Ré, gdzie – jak mówiono – Emily Marr zamieszkała incognito w malowniczym, otoczonym fortyfikacjami miasteczku Saint-Martin-de-Ré.

Osoba, którą spotkałem, niczym nie przypominała efektownej bohaterki niedawnego skandalu. Potargana i zaniedbana, z nieumytnymi włosami, bosa – stanowiła widok prawdziwie żałosny. Trudno mi było uwierzyć, że to ta sama kobieta, której elegancki i atrakcyjny styl chwalili kiedyś tacy znawcy jak sam Karl Lagerfeld. Była wzburzona i wypowiadała się bardzo niekonkretnie, odmawiając odpowiedzi na pytania. „Pani jest Emily Marr, czy tak?“, zapytałem wprost, na co najpierw zaprzeczyła, a potem dodała, że obecnie używa nazwiska Emmie Mason.

W końcu rozmowa stała się niemożliwa: „Gdzie jest Arthur?“ pytała raz za razem, aż wreszcie zaczęła coś niewyraźnie mamrotać i zamknęła mi drzwi przed nosem.

To ostatni, smutny akt tej ponurej, tragicznej historii. Może on stać się oskarżeniem pod

adresem prasy, której natrętne prześladowania zmusiły Emily Marr do ucieczki z kraju. Nade wszystko widok tej kobiety, z której pozostał wrak człowieka, jest okrutnym przypomnieniem, że podczas gdy tyle młodych dziewczyn marzy o sławie, dla wielu może się ona okazać nie do udźwignięcia.

Tabby spojrzała na nich z niedowierzaniem.

– „Natrętne prześladowania”? A co on myśli, że sam robi, pisząc takie artykuły?

Kerry i Ray patrzyli na nią podobnie rozgniewani.

– Matko, żałuję, że mnie tu nie było. Spławiłabym go, zanim Emmie by go zobaczyła. To pewnie dlatego wyjechała.

– Zadzwońię do redakcji „Press” – powiedział Ray. Spojrzał na zegarek. – Jest ósma rano w Anglii, czy ktoś o tej porze odbierze telefon?

– W końcu ktoś odbierze. Zrobię kawę – odparła Tabby. Kiedy ekspres bulgotał, nagle uderzyła ją pewna myśl. – Wiecie, że to nie ja zadzwoniłam do „Press”, prawda? – zwróciła się do rodziców Eve.

– Oczywiście, że nie ty – wzruszyła ramionami Kerry. – Przecież ty wiesz, że ona nie jest Emily.

– Ale dwa dni temu tego nie wiedziałam. Jeśli to się ukazało we wczorajszej gazecie, musiało być napisane najpóźniej w środę albo wcześniej.

Kto to mógł być? Na pewno nie Emily ani Arthur, choćby dlatego, że dziennikarz musiał dowiedzieć się

o Emmie mieszkającej we Francji wcześniej niż oni – zresztą bezsensowne byłoby podejrzenie, że któreś z nich chciało współpracować z prasą. Zapewne nie wiedzieli wcale o nowych doniesieniach, bo prawdopodobnie nie czytali już gazet, zwłaszcza „Press”. A jednak jeśli naprawdę krążyły plotki o przeprowadzce Arthura na północ, byłoby dla nich korzystne, gdyby fani i wrogowie Emily otrzymali fałszywe informacje.

– To mógł być ktokolwiek – powiedział Ray. – Tego wieczora, o którym nam opowiadałaś, gdy Eve wyszła na miasto ubrana w sukienkę Emily, komuś, kto ją widział, mogło przyjść do głowy, że to Emily Marr.

Tabby myślała intensywnie, zestawiając daty i porządkując fakty.

– Ale co z Emmie – to znaczy z Eve? Musiała uznać, że to ja doniosłam prasie. Nikt inny nie znał jej „prawdziwej” tożsamości. To by było logiczne: ona mi się zwierza, potem ja znikam bez konkretnego wyjaśnienia, a dwa dni później pojawia się dziennikarz. Trudno się dziwić, że postanowiła uciekać.

Ray, z telefonem przy uchu, podniósł rękę.

– Czekajcie, dodzwoniłem się...

Po rozmowie z kimś w redakcji dowiedział się, że autor artykułu jest freelancerem. Powiedział więc, że ma kolejne informacje w sprawie Emily Marr, i dostał jego numer telefonu, pod który od razu zadzwonił.

– Poczta głosowa – powiedział po chwili. – Jeszcze

za wcześniej. Zadzwoń znowu za pół godziny.

– Gdzie ona jest, Ray? – zapytała Kerry złamanym głosem, a Tabby ścisnęło się serce. – Dokąd pojechała?

– Nie wiem, kochanie. Ale ten obrzydliwy artykuł może nam pomóc ją znaleźć.

Usiedli do kawy, Ray wzburzony i niespokojny, Kerry bliska łez, Tabby czyniąca sobie po raz kolejny wyrzuty z powodu nieprzemyślanego wyjazdu – ale wszyscy wyobrażali sobie podobną scenę: Eve sama, zrozpaczona, siedząca gdzieś przy drodze, błakająca się po jakimś mieście (kto wie, może boso?), zatrzymująca samochody przy autostradzie, zagubiona w jakimś miejscu, gdzie nie było nikogo, kto by jej pomógł. Potem Ray zadzwonił do dziennikarza ponownie i tym razem ktoś odebrał telefon, kończąc ich bezradne oczekiwanie. Przedstawivszy się, Ray włączył głośnik, żeby Kerry i Tabby mogły także słuchać ich rozmowy.

– Dzwonię do pana, ponieważ czytałem pana artykuł we wczorajszym wydaniu „Press”. Obawiam się, że kobieta, z którą pan rozmawiał w Saint-Martin, to nie była Emily Marr, ale moja córka, która zaginęła w marcu.

– O nie, to była Emily Marr, na sto procent – odpowiedział dziennikarz. – Nie do poznania, ale na pewno ona. Jak pisałem, teraz nazywa się Emmie Mason.

– Nie, Emmie Mason to nasza córka – odparł Ray.

– Też nazywa się Emmie Mason?

– Nie, żadna z nich nie nazywa się Emmie Mason.

– Nic nie kumam, sorry.

Głos dziennikarza był znudzony i lekceważący. Tabby miała ochotę przyłożyć mu w ucho.

– Zacznijmy od nowa – powiedział Ray z anielską cierpliwością. – Proszę posłuchać uważnie. Nazywam się Ray Barron i przy współpracy z policją i organizacją poszukującą osób zaginionych usiłuję odnaleźć moją psychicznie chorą córkę. Policja z pewnością skontaktuje się z panem osobno, bo jest pan ostatnią osobą, która rozmawiała z zaginioną, ale na razie, ponieważ sprawa jest pilna, proszę na chwilę zapomnieć o jej nazwiskach i powiedzieć mi wszystko, co pan zapamiętał z tego spotkania.

Na moment zapadła cisza i kiedy dziennikarz odezwał się znowu, jego ton był zupełnie inny.

– Co pan chciałby wiedzieć?

– W jak złym była stanie? Pisał pan, że nie można było jej zrozumieć?

– Była w rozsypce, szczerze mówiąc. Mówiła coś od rzeczy, pytała w kółko o Arthura. Stąd się domyśliłem, że to była ona, bo poza tym wyglądała zupełnie inaczej niż kiedyś.

– Czy była ubrana? Trudno rozpoznać na zdjęciu, które pan zrobił.

– Raczej tak, miała na sobie czarne spodnie od dresu i chyba jakąś koszulkę. A może to była ciemna piżama. Była boso. Najpierw pomyślałem, że ją obudziłem, ale potem zauważyłem, że wygląda bardzo kiepsko, jakby

nie wychodziła z domu od tygodni. Do tego niezbyt dobrze pachniała. Gdy zaczęła mówić, zdałem sobie sprawę, że chyba nie bardzo kontaktuje. I na koniec strasznie się wściekła – to nie było przyjemne.

Tabby miała ochotę zawołać: „A czego się spodziewałeś? Ludzie tacy jak ty i Nina Meeks zrujnowali jej życie!”. Ale zaraz się zreflektowała – musiała ciągle sobie przypominać, że kobieta, z którą się zaprzyjaźniła, nie była Emily Marr. Życie Eve nie zostało zrujnowane przez dziennikarzy.

– Nie pomyślał pan, że trzeba jej pomóc? – zapytał Ray. – Jeśli pan widział, że była w tak złym stanie?

– Spytałem, czy ktoś z nią mieszka, i powiedziała, że tak. A potem zatrzęsnęła drzwiami i nie chciała więcej otworzyć. Wykrzykiwała jakieś przekleństwa.

– Nie wrócił pan już do niej?

– Poszedłem tam jeszcze raz, przed wyjazdem, ale nikt nie otwierał. Musiałem już jechać do Paryża, w sprawie innego zlecenia. Teraz jestem z powrotem w Londynie.

Tabby wyobraziła go sobie, jak składa zeznania podczas dochodzenia koronera w sprawie utraty życia, które podsumował w kilku zdaniach, życia kolejnej osoby, której nie znał, ale bez zastanowienia potępiał. Wiedziała, że takie myślenie jest nie fair, że tylko wykonywał swoją pracę, ale nie mogła nic na to poradzić.

– Nie widział pan, żeby potem wychodziła z domu?

Albo opuszczała wyspę?

– Nie. Podszedłbym do niej, gdybym ją zobaczył.

– Proszę powiedzieć, kiedy dokładnie pan z nią rozmawiał?

– We wtorek wieczorem. Więc jak wróciłem i jej nie zastałem, była środa.

Kerry i Ray wymienili spojrzenia: jeśli wyjechała w środę, a być może – przerażona wizytą dziennikarza – nawet we wtorek wieczorem, miała co najmniej dwa dni przewagi – mogła w tym czasie przejechać pół kontynentu.

Tabby nie zdołała dłużej się powstrzymać.

– Od kogo dostał pan informacje? – spytała dziennikarza. – Jak pan znalazł ten dom?

– Tego nie mogę powiedzieć.

– Ale ta osoba po prostu zadzwoniła nagle do gazety i powiedziała, że wie, gdzie mieszka Emily Marr?

– Coś w tym rodzaju, tak. To się często zdarza. Nie tylko w sprawie Marr, ale wszystkich znanych postaci, ludzi, którzy pojawiają się w mediach.

– Ale pan jest freelancerem, w jaki sposób dostał pan tę historię? Mieszka pan we Francji?

– Mam tam krewnych. Często pracuję w Paryżu i na południu.

– Czy pana informator chciał pieniędzy za doniesienie?

Tego jednak dziennikarz nie chciał powiedzieć. Kiedy Ray kończył rozmowę z godną podziwu

uprzejmością, Tabby sprawdziła nazwisko w gazecie: John Spreadbury. Nie знаła go, ale przyszło jej do głowy, że ktoś inny może je rozpoznać.

– Poradzicie sobie beze mnie podczas spotkania z policją? – spytała Raya i Kerry. – Muszę z kimś porozmawiać.

Wzięła rower Emmie, żeby pojechać do La Flotte, wybierając jak zwykle wyboistą ścieżkę biegnącą wzdłuż wybrzeża, nie zatłoczoną drogę rowerową ciągnącą się przy szosie. Było jeszcze wcześniej i biuro Moiry było puste. Wiedziała jednak, że Barronowie spędzą zapewne sporo czasu z policją, i postanowiła poczekać. Pół godziny później zobaczyła samochód Moiry zatrzymujący się w zatoczce po drugiej stronie ulicy.

– Tabby – powiedziała Moira, kiedy podeszła bliżej. Jej głos wyrażał wszystko oprócz zadowolenia.

– Dzień dobry, Moira. Czy możemy chwilę porozmawiać?

– Jestem dość zajęta. Czy to nie może poczekać?

– Nie, raczej nie. Tylko parę minut.

– Jeśli to naprawdę konieczne.

Gdy weszły na górę, Moira nie poprosiła, żeby usiadła, tylko stanęła przed nią w holu z zaciętą twarzą, jakby zasłaniała jej dalszą drogę.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – zapytała, ale z jej tonu można było wywnioskować, że to pytanie otwierało przed Tabby możliwości bardzo ograniczone.

– Emmie zaginęła – powiedziała Tabby, patrząc jej prosto w oczy.

– O? – Moira spojrzała na nią, lekko przestraszona.
– Chcesz powiedzieć, że wróciła do Anglii, nie zawiadamiając cię o tym?

– Nie wiemy, gdzie jest. Mogła pojechać wszędzie. Może być w niebezpieczeństwie.

Moira musiała wyczuć cień oskarżenia w jej słowach, bo powiedziała z pretensją w głosie, jakby chciała się bronić:

– No cóż, ja nie mam pojęcia, gdzie ona może być. Nie widziałam jej od dnia, gdy obie przyszłyście tu razem. – W powietrzu zawisła niedopowiedziana dalsza część, że miała nadzieję ich więcej nie oglądać. – Więc nie wiem, jak mogłabym ci pomóc – dokończyła.

– Nie mogłabyś – powtórzyła Tabby, patrząc jej w twarz. – Teraz zajmuje się tym policja. A ja przyszłam, żeby zapytać cię dlaczego.

Moira zamruła oczami.

– Dlaczego co? Dlaczego ją zwolniłam? Chyba wyjaśniłam to wystarczająco, kiedy się ostatnio widziałyśmy.

– Nie. Dlaczego doniosłaś angielskiej gazecie, że ona jest tutaj. I to tej samej gazecie, która pierwsza zamieniła jej życie w piekło?

Nie było sensu zdradzać Moirze prawdziwej tożsamości „Emmie”; nie zasługiwała na to, a poza tym przekazałaby tę informację dalej, więc Tabby uznała, że

najlepiej będzie nic jej nie mówić.

Moira zaczerwieniła się, a rumieniec zaprzeczył jej słowom:

– Nie bardzo rozumiem, o co chodzi.

– A może znasz dziennikarza, Johna Spreadbury’ego? To jakiś znajomy? A może rodzina? Wiem, że ma krewnych we Francji. To oczywiste, że to byłaś ty, nikt inny. Emmie nie znała tu nikogo poza tobą i mną.

Moira potrząsnęła głową.

– A ten nowy facet, o którym mówiła?

– Nikt taki nie istnieje. Wymyśliła to, żeby ratować mnie z kłopotu.

– Wybacz, ale trudno się zorientować, co tu jest prawdą, a co kłamstwem.

– Akurat. Słyszałaś, że mówiła o nim: Arthur. Wiesz, o jakiego Arthura chodzi, prawda?

Moira westchnęła z rezygnacją.

– Tak, wiem. Ale każdy mógł ją rozpoznać i zadzwonić do gazety. Na przykład ty, Tabby, ty potrzebujesz pieniędzy, co? Sama mi mówiłaś na początku, że nie masz ani grosza.

Tabby poczuła narastający gniew.

– A więc to było dla pieniędzy? Zapłacili ci za ten adres?

– Wiesz, sporo straciłam, kiedy właściciel domu przy rue du Rempart zerwał ze mną umowę. Miałam szczęście, że nie pozwał mnie do sądu.

– Och, na litość boską! – przerwała jej Tabby. – W domu zostało trochę bałaganu, to wszystko. Nie walały się tam żadne trupy!

– To rzecz względna – odparła Moira kwaśno.

– Ach tak – więc jak się ma niedokończone sprzątanie do niepłacenia należnych podatków?

– Co takiego?

– Płaciłaś mnie i Emmie gotówką przez całe lato, prawda? Wydaje mi się, że w oczach francuskich sądów to znacznie poważniejsze wykroczenie niż cokolwiek, co my zrobiłyśmy.

Moira nie odpowiedziała. Przypomniawszy sobie wystawiane przez nią faktury i wysokie stawki za administrowanie, Tabby wróciła do tematu:

– Zresztą to, co dostałaś od gazety, na pewno nie pokryło straconych zarobków.

– Owszem, masz rację.

A więc to była zwykła małostkowa zemsta.

– Skąd wiedziałaś, kim ona jest?

– Bo nie jestem idiotką, stąd wiedziałam. Od pierwszej chwili to podejrzewałam. Jakaś Angielka zjawia się ni stąd, ni zowąd, zupełnie inna niż ludzie, którzy tu normalnie przyjeżdżają, i zachowuje się po prostu komicznie, jakby musiała się ukrywać. Nie chciała nawet powiedzieć, jakie ma nazwisko.

– Ale tego skandalu nie było przecież we francuskich mediach.

– Czytałam o tym w internecie. Było we wszystkich

angielskich portalach. Oczywiście zmieniła wygląd, ale nietrudno było ją rozpoznać.

– Pytałaś ją kiedyś, kim jest?

– Nie, oczywiście, że nie. Szanowałam jej prywatność.

– Dziwny sposób na okazywanie tego szacunku – stwierdziła Tabby. Poczowała się nagle strasznie zmęczona i nie wiedziała już, co chciała osiągnąć, przyjeżdżając tutaj. Nie posiadała umiejętności Niny Meeks, zawsze wychodziła z takich konfrontacji z niczym. – Zresztą to już nieważne. Muszę ją znaleźć. Jej rodzice czekają na mnie w Saint-Martin.

– Jej rodzice? – zdziwiła się Moira. – Myślałam, że oni nie żyją?

To rozsierdziło Tabby na nowo – jeżeli Moira pamiętała coś takiego, to musiała też wiedzieć, że ojciec Emily zmarł bardzo niedawno, ale to nie powstrzymało jej przed zdradzeniem dziennikarzom jej miejsca pobytu. Nieważne, że tak naprawdę to wszystko nie dotyczyło prawdziwej Eve; chodziło o zasady.

– O niczym nie masz pojęcia – powiedziała szorstko i niegrzecznie. – I lepiej by było, żebyś się w ogóle nie odzywała.

– Och, wynoś się już stąd – rzuciła rozgniewana Moira, odwracając się od niej. – I nie przychodźcie tu więcej, ani jedna, ani druga. Obie jesteście tak samo nic niewarte.

– I tu się mylisz – odparła Tabby. – Żadna z nas nie

jest nic niewarta.

Moira spojrzała na nią z nieukrywaną pogardą.

– Obawiam się, że ty się mylisz. Miałam z wami tylko kłopoty, z obiema, i na pewno nie mam zamiaru dłużej przykładać ręki do machlojek dwóch zdzir z marginesu.

Zaskoczona Tabby aż otworzyła usta. Zrozumiała, z czym musiała zmagać się Emily, i schodząc po schodach, pomyślała, jak wielką rolę w całej sprawie odegrała zła wola, złośliwa mściwość, najzwyczajniejsza na świecie i nieodmiennie kobieca: zła wola Moiry, Niny Meeks, Sary Laing, a może również Sylvie Woodhall.

Zamykała za sobą drzwi, mając nadzieję, że nie zobaczy tej kobiety już nigdy w swoim życiu.

Kiedy wróciła, nie powiedziała nic o swojej wyprawie, tylko wysłuchała relacji Barronów ze spotkania z policją. Zgłosili zaginięcie córki i wkrótce miały się zacząć poszukiwania Eve na wyspie i dalej. Informacje miały zostać przekazane na lotniska i do przystani, gdzie obiecano rozwiesić fotografie. Przyznali jednocześnie, że wszystko to przerobili już w Anglii.

– Chcą porozmawiać z tobą i z dziennikarzem, ale wydaje mi się, że uważają, iż pojechała do Anglii. Île de Ré to kurort, w końcu wszyscy stąd wyjeżdżają – powiedział Ray.

Policjanci wzięli od niego dane kontaktowe i obiecali dzwonić, gdy tylko czegoś się dowiedzą.

Nie powiedział jednak, choć można to było wyczytać z jego twarzy, że szukali teraz Eve żywej bądź martwej. Wypadek albo samobójstwo – w jej stanie wszystko było możliwe. Tabby poczuła przypływ energii, kiedy pomyślała o Emmie siedzącej tu z nią tydzień wcześniej, jedzącej, mówiącej, żyjącej.

– Musi gdzieś być – powiedziała z przekonaniem. – Poszukajmy też sami na wyspie. Wynajmijmy samochód i zajedźmy do każdej miejscowości, na każdą ulicę. Potem, jeżeli jej nie znajdziemy, wrócmy do Anglii i poszukajmy tam, gdzie kiedyś mieszkali Arthur i Emily. Możemy pojechać trasą, jaką mogła poruszać się Eve. Jest hotel niedaleko Walnut Grove, gdzie trzeba zadzwonić i sprawdzić, czy się tam nie zatrzymała. I jest jeszcze Arthur. Jeśli ja go znalazłam, to ona na pewno też go znajdzie.

– Myślę, że powinniśmy też skontaktować się z policją w Londynie – powiedziała Kerry. – Na wszelki wypadek.

– Dobrze – zgodził się Ray. – Tutejsi policjanci mają powiadomić właściciela domu, ale mam nadzieję, że nic się nie stanie, jeśli zostaniemy jeszcze jedną noc. Przeszukamy wyspę, a potem spakujemy rzeczy Eve i zabierzemy je do domu. Dalej będziemy szukać w Anglii.

Wyszli z alejki i poszli brukowanym deptakiem, mijając sklep z pościelą i inne eleganckie sklepiki, aż do nabrzeża i w stronę informacji turystycznej. Chcieli tam

zapytać o wynajęcie samochodu i ewentualnie złapać autobus albo taksówkę.

– Znajdziemy ją – powiedziała Tabby do Kerry, czując głęboko w sercu niezłomne przekonanie. – Może nie jest gdzieś bardzo blisko, ale na pewno ją znajdziemy, obiecuję.

Kerry uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością.

– Dziękuję, że z nami zostajesz, Tabby. To zupełnie co innego. Znasz to miejsce i przede wszystkim znasz ją.

– Wy znacie ją najlepiej – odparła Tabby. – Ty i Ray.

– Nie, w tej chwili nie. Nie znamy Emily, więc nie znamy Eve. A ty znasz Emily, to najważniejsze.

Tabby nie odpowiedziała. Był piękny, słoneczny poranek i na chwilę zapomniała o wszystkim, patrząc, jak słońce błyszczy na świeżo wymyтым bruku, jak wokoło nich światło rozprasza się w powietrzu, jak woda w przystani lśni niczym lustrzana tafla u ich stóp. Urlopowicze już zapełniali stoliki stojące na tarasach, zamawiali kawę i wyciągali okulary przeciwsłoneczne z kieszeni. Wszędzie dookoła ludzie cieszyli się piękną pogodą, słonym atlantyckim powiewem i wymyślali przyjemności na cały dzień, grzeszne albo całkiem niewinne. Wiedziała jednak, że Ray i Kerry nie zwracają teraz uwagi na otoczenie, a już na pewno nie mogą się nim cieszyć.

– Mogłabyś przecież po prostu wrócić do domu – dodała Kerry. – Nikt nie miałby ci tego za złe.

Tabby wsunęła jej rękę pod ramię, zaskakując ją tym

serdecznym gestem tak samo jak siebie.

– Nie, nie mogłabym – odparła.